

A person's silhouette is visible on the right side of the image, standing on a wooden deck. The background shows a lake at sunset, with a warm orange and yellow glow reflecting on the water. The sky is a mix of orange and blue, and there are trees in the distance. The overall mood is serene and contemplative.

**WOJCIECH
WÓJCIK**

**JEZIORO
PEŁNE
ŁEZ**

**WOJCIECH
WÓJCIK**

**JEZIORO
PEŁNE
ŁEZ**

**ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO**

Mojej przepięknej Żonie i naszym dwóm kochanym łobuziakom

Jeziro pełne łez

Odbiłem się od desek pomostu i po sekundzie znalazłem pod wodą. Zamachałem energicznie rękami i wynurzyłem się dziesięć metrów dalej. Otarłem oczy i po raz kolejny zachwyciłem się niezwykłą grą światła. Ostatnie promienie sierpniowego słońca zdawały się barwić taflę jeziora różnymi odcieniami złota i czerwieni, a w miejscu, gdzie wpływała doń rzeczka, nakładały się na to srebrzyste refleksy. Zanurkowałem jeszcze raz, a gdy ponownie znalazłem się na powierzchni, parsknąłem radośnie niczym młody wieloryb, a potem przyłożyłem dłoń do ust i wydałem z siebie indiański okrzyk. Odbijające się w lustrze wody potężne olszyny — jakby w odpowiedzi na mój entuzjazm — dostojnie zaszumiały. Zdawało mi się, że w tym szumie zabrzmiały nutki zdziwienia, a nawet... dezaprobaty. Natura nie potrafiła pojąć, dlaczego trzydziestopięcioletni facet zachowuje się jak trzynastolatek, dla którego właśnie zaczęły się wakacje.

Płynąłem kraulem tak długo, aż dostałem zadyszki. Odwróciłem się na plecy i przez chwilę gapilem w ciemniejące niebo, a potem przeniósłem wzrok na dzikie kąpielisko, położone kilkadziesiąt metrów od przystani ośrodka. W ciągu dnia zazwyczaj roiło się tam od rodzin z dziećmi, ale o tej porze plaża była niemal pusta. Zobaczyłem na niej jedynie dwie dziewczyny w skąpych strojach kąpielowych. Jedna z nich stała na brzegu, a druga właśnie wychodziła z wody, poprawiając dół od kostiumu i obdarzając mnie na sekundę widokiem zgrabnych pośladków. Podpłynąłem bliżej i w ostatniej chwili powstrzymałem się od gwizdu, który mógłby wskazywać na to, że jestem kompletnym prymitywem, a może nawet zboczeńcem.

Ale ja wcale nie byłem zboczeńcem. Ani prymitywem. Po prostu czułem się tego wieczoru bardzo szczęśliwy.

Tak naprawdę czułem się tak od ponad trzech miesięcy. Ciągłe, przez cały czas. Bez chwili przerwy. Czułem się szczęśliwy od momentu, gdy zamknęła się za mną brama zakładu karnego, a ja — po pięciu latach przymusowego odosobnienia — znów się znalazłem w realnym świecie, między normalnymi ludźmi. I chociaż koledzy z za krat wielokrotnie mi mówili, że upojenie wolnością mija już po kilku dniach, to przekonałem się, że nie mieli racji. Od tamtego majowego popołudnia, gdy opuściłem bartoszyckie więzienie, każda chwila była dla mnie jak dar od losu. Chciałem śpiewać, tańczyć i sprawić, by świat śpiewał i tańczył razem ze mną. Czułem się tak, jakbym zyskał drugie życie.

Dziewczyna owinęła się ręcznikiem i wyciągnęła spod niego mokry biustonosz. Kiedy zobaczyła kilkanaście metrów od siebie mój szeroki uśmiech, pisnęła i podskoczyła, a ręcznik zsunął się z jej ramienia i zatrzymał na pełnej piersi. Nie mogłem się powstrzymać i wywinąłem w wodzie kilka koziołków. Ta pantomima zalotów dorastającego szympansa niewątpliwie bardzo ją rozbawiła, bo w półmroku wyraźnie dostrzegłem biel jej zębów, a po chwili dobiegł mnie jej gardłowy śmiech.

— Kim jesteś, wodny stworze? — Usłyszałem, ale zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, odezwała się druga z dziewczyn, która miała chyba lepszy wzrok.

— Nie wygłupiaj się! To przecież pan Marcin. Kaowiec z „Rybitwy”. To znaczy nie kaowiec — sprostowała natychmiast — tylko instruktor kulturalno-oświatowy...

Animator... — miotała się, lekko zażenowana.

Pomachałem ręką i odwróciłem się, chociaż odniosłem wrażenie, że dziewczynie w ręczniku wcale nie przeszkadza, iż jestem tylko zwykłym pracownikiem ośrodka wypoczynkowego. Znałem ten typ turystek, kobiet, które marzą o flircie z „chłopakiem z Mazur”. Ale tym razem nie chciało mi się flirtować. Uznałem, że ten zachód słońca obejrzę w samotności. Popłynąłem szybko krytym kraulem, chcąc dotrzeć do przeciwległego brzegu. Nie zdążyłem jednak pokonać nawet stu metrów, gdy usłyszałem przeciągły gwizd.

Odwróciłem się w stronę plaży, ale nikogo na niej nie dostrzegłem. Dziewczyny musiały już zniknąć między drzewami. Po chwili konsternacji rzuciłem okiem w kierunku pomostów „Rybitwy”. Na tym większym stał Włodek. Gdy na niego spojrzałem, znów zagwizdał.

— O co chodzi?! — wrzasnąłem, ale mój krzyk utonął w wieczornej mgle, która pojawiła się nie wiadomo skąd, zasnuwając brzegi jeziora. Przez jej opary przebijał się tylko gwizd.

Podpłynąłem do pomostu i złapałem się metalowej drabinki. Mężczyzna popatrzył na mnie ze złośliwym uśmiechem.

— Co, pogoniły cię? — zapytał, wskazując palcem miejsce, gdzie przed chwilą stały dziewczyny.

Spojrzałem w jego stronę z mieszaniną zdziwienia i irytacji.

— I to dlatego zawracasz mi głowę? — odpowiedziałem mu pytaniem na pytanie, odpychając się od drabinki. — Nie pogoniły. Sam się pogoniłem.

— Nie dziwię się. To jakieś głupie siksy. — Mężczyzna zdjął ciemne okulary i przetarł je chusteczką. — Zaczekaj — poprosił, gdy się oddalałem. — Ktoś rąbnął jedną z łodzi.

Nie byłem pewien, czy dobrze zrozumiałem. Uszy miałem pełne wody, a na dodatek Włodek mówił ze wschodnim, śpiewnym akcentem, który zdradzał jego podlaskie pochodzenie.

— Jedną z łodzi? — powtórzyłem, a gdy przytaknął, skierowałem się w stronę drabinek. — Jesteś pewien?

W moim głosie nie było zaniepokojenia, tylko ciekawość. Zastanawiałem się, komu potrzebna byłaby jakaś stara, pordzewiała łódź. Flota ośrodka prezentowała się pod tym względem wyjątkowo mizernie. Łącznie osiem identycznych sztuk. Same okazy z lat osiemdziesiątych, skorodowane i obłazące z farby, z powykrzywianymi wiosłami. Nie nadawały się ani na sprzedaż, ani do użytkowania — zwłaszcza że tu, na jeziorze Małtygi, wszyscy doskonale je znali. Jeszcze gdyby ktoś ukradł rower wodny albo kajak... ale łódź?

— Jestem pewien. Siódemkę — odparł i splunął na deski pomostu. — Rano była na swoim miejscu. W ciągu dnia ktoś urwał łańcuch i odpłynął.

— Ktoś? A może łańcuch sam trzasnął? Przerdzewiał i...

— Akurat łańcuchy były nowe. W przeciwieństwie do łodzi. Poza tym, jak to sobie wyobrażasz? Przecież dzisiaj nie było ani odrobiny wiatru. Sam się rozerwał?

Chociaż sprawiał wrażenie nieokrzesanego, był porządnym człowiekiem.

A przynajmniej takie odnosiłem wrażenie. Znałem go od dwóch miesięcy, czyli od momentu, w którym zacząłem pracę. Nadawaliśmy na tych samych falach, mieliśmy podobne poczucie humoru i spędzaliśmy ze sobą sporo czasu. Włodek był w „Rybitwie” kimś w rodzaju magazyniera. Urzędował w hangarze tuż przy przystani. Do jego obowiązków należała konserwacja sprzętu, w tym też łodzi, a także wypożyczanie go turystom. To fakt, wieczorami lubił sobie wypić kilka piw, ale któż nie lubi? Najważniejsze, że następnego dnia zawsze był trzeźwy.

Wyszedłem z wody i sięgnąłem po ręcznik. Włodek zapalił papierosa i ze stoickim spokojem czekał, aż się ubiorę. Nie spieszyłem się, bo przecież nie stało się nic wielkiego. Po chwili leniwym krokiem podeszliśmy do miejsca, w którym cumowały łodzie. Stanowisko numer siedem było puste.

— Rzeczywiście — mruknąłem, pochylając się nad betonowym nabrzeżem i przesuwając palcami po okach łańcucha. — Wygląda na to, że ktoś pracował tu obcęgami. Co robimy?

Włodek podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie. Domyśliłem się, że sam chciał mi zadać to pytanie, ale go ubiegłem. Po chwili namysłu wzruszył ramionami. Ozdabiające je węzowe tatuaże przez moment żyły własnym życiem, a ja jak zawsze się wzdrygnąłem. Nie lubiłem węży, a tatuaże... Kiedyś chciałem je mieć, ale teraz za bardzo kojarzyły mi się z więzieniem.

— Trzeba będzie powiedzieć szefowi — stwierdził. — Niech on decyduje, czy wzywać policję.

Skrzywiłem się. Miałem oczywisty uraz do organów ścigania, a Włodek chyba podzielał moją niechęć. Najchętniej machnęlibyśmy na to wszystko ręką, ale kierownik ośrodka nie był zbyt wyrozumiałym szefem. Niepoinformowanie go o kradzieży mogłoby mieć dla nas oplakane konsekwencje. Praca była co prawda na wpół sezonowa, ale lepsza taka niż żadna.

— A może to jakieś dzieciaki — zastanawiałem się głośno, podczas gdy Włodek wystukiwał w telefonie numer do kierownika. — Może jutro znajdziemy łódkę gdzieś w trzcinach...

Umilkłem, bo mój kolega uzyskał połączenie. W kilku słowach przedstawił szefowi sytuację, a potem przez chwilę kiwał głową.

— Jak pan chce — odezwał się wreszcie i zakończył rozmowę. — Ma to gdzieś — poinformował mnie, wkładając telefon do kieszeni krótkich spodenek. — Trwa impreza, a on nie ma ochoty na żadne spotkania z policją. Zresztą... ty chyba też. Ulżyło ci, prawda?

Nie czekał na odpowiedź. Na moment zniknął w hangarze, a gdy z niego wyszedł, ścisnął w rękę dwie oszronione butelki piwa, dopiero co wyjęte z turystycznej lodówki. Podał mi jedną, a drugą otworzył zapalniczką. Poszedłem w jego ślady, jako otwieracza używając klucza do pokoju.

Usiedliśmy na leżakach i przez chwilę piliśmy w milczeniu, gapiąc się na pełzającą po powierzchni jeziora mgłę. Tuż przy moich stopach, w krótko skoszonej trawie, leżał przecięty łańcuch. Z każdym łykiem poziom stresu obniżał mi się o kilka procent. Szybko odzyskałem dobre samopoczucie.

— Zdarzyła się tu przedtem jakaś kradzież? — zapytałem, przeciągając się leniwie.

— Nie. — Włodek zmarszczył brwi. — Przynajmniej przez te trzy... prawie cztery lata, jak tu pracuję. To spokojne miejsce. Sam wiesz, głównie emeryci, kolonie i zielone szkoły.

Pokiwałem głową. „Rybitwa” nie była typowym warmińsko-mazurskim ośrodkiem wypoczynkowym, nastawionym na dobrą zabawę gości i godny zysk właścicieli. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż właścicielem ośrodka było państwo. „Rybitwa” była pozaszkolną placówką specjalistyczną, należąca do struktur Ministerstwa Edukacji Narodowej. Tak jak powiedział Włodek, jej „target” stanowiły głównie dzieci na koloniach, a także nauczyciele i pracownicy oświaty, którzy korzystali ze znacznych zniżek. Oczywiście ośrodek oferował też wczasy dla klientów indywidualnych, ale był tak słabo rozreklamowany, że trafiali tu głównie starzy bywalcy. Amatorzy spokoju i skrupulatnie przestrzeganej ze względu na obecność dzieci ciszy nocnej.

— Nie mówię o wczasowiczach — stwierdziłem z uśmiechem, bo trudno mi było sobie wyobrazić emerytowaną panią od polskiego, która piłowałaaby łańcuch starej łodzi. — Mam na myśli mieszkańców wsi. Wiesz, jak tu jest... Bieda aż piszczy.

Włodek pokręcił głową.

— Tutaj prawie każda rodzina jest jakoś związana z ośrodkiem. Jak nie z naszym, to z tym wojskowym. Sprzątają, koszą trawniki, sprzedają turystom jagody czy ryby... Nie, nikt miejscowy nie ukradłby łodzi. Za dużo do stracenia, za mało do zyskania. Co komu po takiej kupie złomu — powiedział, trącając sandałem łódź z numerem piątym i odłupując od jej burty kawał starego lakieru.

Westchnąłem, spoglądając w lewo. Nad skarpą w wieczornym mroku widać było zarysy kilkunastu chałup składających się na wieś o romantycznej, staropruskiej nazwie Gęglawki. Nadciągająca z każdą minutą ciemność była dla tych rozpadających się domostw błogosławieństwem, gdyż chociaż częściowo kryła ich opłakany stan. Gęglawki powoli się wyludniały — większość młodych uciekała do miast lub za granicę, a starzy sukcesywnie zapełniali niewielki cmentarz w pobliskich Kamionkach. Miałem wrażenie, że za kilkanaście lat zostanie tu tylko garstka pijaczków.

— A wczasowicze z WOW-u? — zapytałem, mając na myśli ludzi odpoczywających w Wojskowym Ośrodku Wypoczynkowym, który znajdował się na drugim końcu wioski. — Tam na polu namiotowym zawsze jest sporo patologii.

Do WOW-u nie przyjeżdżali emeryci. Ani żołnierze. Był to ośrodek nastawiony na młodą klientelę, z dyskotekami i całodobowym barem. Na szczęście amatorzy głośniejszych zabaw zazwyczaj omijali „Rybitwę” szerokim łukiem. Tak jakby jej senna atmosfera mogła być zaraźliwa niczym czarna ospa.

— Podobno dzisiaj nie kręcił się tu nikt od nich. — Włodek przechylił butelkę, wysączając ostatnie krople piwa. — Zanim cię zawołałem, dzwoniłem do Grześka. Dzieciaki z kolonii miały dziś jakieś zawody pływackie, więc był w okolicach przystani prawie przez cały dzień. Mówił, że nie widział nikogo obcego.

Skrzywiłem się, jakbym połknął cytrynę. Zawsze tak reagowałem na imię naszego ratownika. To był odruch, nad którym nie mogłem zapanować. Włodek zaśmiał się bezgłośnie.

— Po prostu go nie lubię. Muszę wszystkich lubić? — spytałem zaczepnie, ale on machnął ręką.

— Lub sobie, kogo chcesz — wzruszył ramionami, a wytatuowane węże znów ożyły. — To nie był nikt z WOW-u — podjął po chwili. — Chcesz jeszcze piwa?

Odmówiłem, bo chciałem trochę nacieszyć się samotnością. Wiedział, że przez kilka lat siedziałem w ciasnej celi, i nie próbował mnie zatrzymać. Wszedłem po betonowych schodkach na skarpę i spojrzałem w dół, napawając się otulającą jeziorem ciszą. Z przyjemnością skonstatowałem, że ta cisza będzie w najbliższych dniach czymś trwałym.

Przed godziną autokar zabrał do Warszawy resztę rozwrzeszczanych dzieciaków, których energii nie zdołały stłumić nawet wyczerpujące zawody pływackie. To był ostatni turnus kolonijny w tym sezonie. Końcówka tegorocznych wakacji zapowiadała się niezwykle spokojnie.

Teren ośrodka tonął w półmroku. Skinąłem dłonią strażnikowi, który właśnie udawał się na obchód, a potem poszedłem w stronę budynku stołówki. Dochodziły stamtąd ciche dźwięki muzyki, ale nie zamierzałem tańczyć. Chciałem porwać coś do jedzenia i zamknąć się w swoim pokoju. Liczyłem, że może uda mi się przed snem obejrzeć jakiś dobry film. Coś ze strzelaninami i pościgami.

Na stołówce odbywała się kameralna impreza. To była już tradycja — po zakończonym turnusie kolonijnym kierownik ośrodka zapraszał miejscowe elity i organizował popijawę. Czasem zapraszani byli również starannie wyselekcjonowani wczasowicze, ale dzisiaj bawili się tylko goście z zewnątrz. Nie miałem ochoty na pogaduszki, więc przemknąłem chyłkiem do kuchni, porwałem z talerza kilka kanapek i odwróciłem się na pięcie.

Byłem kilka kroków od wyjścia, kiedy owiał mnie intensywny zapach wody toaletowej. Moje plany, by pozostać niezauważonym, spaliły na panewce.

— Marcin?! — na moim ramieniu wylądowała szczupła dłoń. — Chłopie, ale się zmieniłeś! Ledwie cię poznałem.

Odwróciłem się powoli i bez przekonania uściśnąłem wyciągniętą w moim kierunku rękę.

— Cześć, Adaś. — Uśmiechnąłem się z umiarkowanym entuzjazmem, omiatając wzrokiem szczerzącego się do mnie bruneta. — Ile to lat? Z dziesięć?

Przed laty byliśmy przyjaciółmi. Chodziliśmy razem do liceum. Przez długi czas siedzieliśmy nawet w jednej ławce. Byliśmy wizytówką szkoły — obaj przystojni, inteligentni, wyszczekani... Potem nasze drogi się rozeszły. Ja zacząłem studia na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, a Adam dostał się na politologię do Warszawy. Stolica go wchłonęła. Po ukończeniu studiów nie wrócił w rodzinne strony, tylko zaczął się piąć po szczeblach kariery w jednym z ugrupowań politycznych. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, trafił z powrotem do Mogielna przed trzema laty, a pół roku później — z namaszczenia swojej partii — został najmłodszym burmistrzem w całym województwie. Władza chyba mu służyła, bo wyglądał o wiele młodziej niż ja. Musiałem obiektywnie przyznać, że od matury prawie się nie zmienił.

— Cieszę się, że cię widzę. Szukałem cię. Od kiedy twój brat powiedział mi, że

wyszedłeś z... no, wiesz... — chrząknął z zakłopotaniem — z zakładu...

— Wiem, mówił mi — przerwałem, patrząc na niego uważnie. — Ale ja nie miałem ochoty na spotkania. Musiałem trochę odpocząć. Wiem, że to dziwnie brzmi, bo odpoczywałem przecież pięć lat, ale naprawdę czułem się zmęczony.

Poklepał mnie po ramieniu. Odniosłem wrażenie, że ten gest był wystudiowany. Cóż, polityka zmienia ludzi w aktorów.

— Napijemy się? — zapytał, wskazując na odległą ladę, na której zwykle rozkładane były produkty śniadaniowe, a która teraz pełniła funkcję baru. — No, pozwól się zaprosić. Pogadamy o starych czasach, co? Jest kilka osób, które znasz. Brata masz na co dzień, ale jest też... — zaczął wymieniać imiona i nazwiska osób, które ledwo pamiętałem.

Staliśmy tuż przy wyjściu, a bar znajdował się po przeciwnej stronie sali. Było przy nim kilka par. Kilka dalszych płaśło niespiesznie w rytm płynącej z głośników muzyki. Rozpoznałem łysą głowę dyrektora szkoły i siwe włosy właściciela najlepszego hotelu w Mogielnie. Gdybyśmy byli sami, może dałbym się namówić, ale w takiej sytuacji... Nie miałem ochoty na przedstawienie ze sobą w roli głównej.

— Wpadnij w tygodniu, wtedy się napijemy — zaproponowałem, a on nie próbował dłużej mnie namawiać.

Podał mi rękę i ruszył w stronę baru. Zauważyłem, że lekko się chwieje. Musiał już wlać w siebie kilka drinków. Miał zawsze słabość do alkoholu i do pięknych kobiet. A w zasadzie nie tylko do pięknych. Do wszystkich kobiet. W przeciwieństwie do mnie był lekkoduchem. I dlatego w dawnych szkolnych czasach to mnie wrócono większą karierę. Cóż, wróżby mają to do siebie, że nie zawsze się sprawdzają. Dziś on był burmistrzem — i to najmłodszym w historii — a ja byłem skazańcem, zatrudnionym na umowę-zlecenie w charakterze animatora zabaw (czyli po staremu — instruktora kulturalno-oświatowego) w zapomnianym przez Boga i ludzi ośrodku wypoczynkowym.

Ale byłem przy tym wolnym człowiekiem i tylko to się dla mnie liczyło. Dlatego wymykając się z roztańczonej sali w ciemną, mazurską noc, czułem w sercu spokój i spełnienie. Ruszyłem w kierunku baraku, w którym pomieszkiwałem, ale po kilku krokach zatrzymałem się z cichym westchnieniem, gdyż przypomniałem sobie o ręczniku, który został na pomoście. Besztając się w duchu za roztargnienie, lekkim truchtem pokonałem trzysta metrów, które dzieliły mnie od przystani.

Włodek najwyraźniej zakończył już swój wieczorny seans z butelką piwa. Nabrzeże było puste, a hangar zamknięty na cztery spusty. Wszędzie panowały egipskie ciemności — księżyc był w nowiu, a gwiazdy nie zdążyły jeszcze rozblysnąć pełnym blaskiem. Przez kilka minut wędrowałem po omacku wzdłuż bariery i wreszcie — kiedy zamierzałem już dać za wygraną — udało mi się wymacać wilgotny kształt. Przewiesiłem rącznik przez ramię i cicho pogwizdując, wróciłem na teren ośrodka.

Barak, w którym mieszkali pracownicy „Rybitwy”, znajdował się tuż przy ogrodzeniu od strony lasu. Żeby do niego dojść, należało przejść przez cały teren ośrodka. Zwykle o tej porze — nie było jeszcze dwudziestej drugiej — pomiędzy domków dobiegały odgłosy rozmów i śmiechu, ale tego dnia wszędzie panowała głucha cisza. Wraz z końcem ostatniego turnusu kolonii z ośrodka zniknęła też większość

wczasowiczów. Nie było w tym nic dziwnego. Do początku roku szkolnego zostało zaledwie kilka dni i chociaż pogoda wciąż była rewelacyjna, to tuż za rogiem czaiła się jesień.

Okna baraku były równie ciemne, jak reszta ośrodka. Jedyne źródłem światła w moim polu widzenia był podskakujący promień latarki nocnego stróża, który patrolował teren przy drodze. Pomacałem się po kieszeniach i wyciągnąłem klucz — ten sam, którym wcześniej otwierałem piwo. Próbowałem trafić nim do zamka, ale wysunął mi się z dłoni i z metalicznym dźwiękiem uderzył w podłogę. Ukląknęłam i przez chwilę szukałam go w żwirze. Kiedy znalazłam go pod rozłożystą pokrzywą, metaliczny dźwięk niespodziewanie powtórzył się gdzieś za moimi plecami. Drapiąc się po poparzonej dłoni, odwróciłam głowę w tym kierunku i moje oczy natrafiły na piętrowy budynek, w którym kwaterowano zazwyczaj grupy kolonijne.

Przez moment sądziłam, że mam słuchowe omamy, bo przecież w budynku nikt nie nocował. Ale po kilkunastu sekundach znów to usłyszałam. Metaliczny, trzeszczący dźwięk, jakby ktoś otwierał pordezwiązany właz do bunkra. Poczuję irracjonalny lęk. Nie wiem dlaczego, w mojej wyobraźni miejsce bunkra zajęła powlekana metalem trumna, do której wnętrza ktoś bardzo chciał się dostać. Upuściłam klucz i zacząłam macać po ziemi w poszukiwaniu jakiejś broni. A po chwili zacząłam się z siebie śmiać, choć w tym śmiechu nie było radości.

Oto co więzienie robi z człowieka. Uwalnia lęki, o których nie mieliśmy wcześniej pojęcia.

Szybko wstałam i sprężystym krokiem udałam się w stronę budynku kolonistów. Nie obchodziło mnie, czy za ten dziwny dźwięk odpowiada wyrwany ze snu ptak, czy siły nadprzyrodzone. Jedyne, czego chciałam, to pozbyć się tego lęku. Znów być tym silnym mężczyzną, którego nie dręczą koszmary.

Wszystkie okna w budynku były ciemne, ale nagle odniosłam wrażenie, że w jednym z nich coś na moment zamigotało. Chciałam podbiec w tamtą stronę, lecz potknąłem się o korzeń i upadłem na kolana. Kiedy się podniosłem, po migotaniu nie było śladu. Otrzeptałem kolana i podszedłem do podejrzanego okna, ale nie różniło się niczym od sąsiednich. Stałem na palcach, zmrużyłem oczy i przytknąłem twarz do szyby. Zobaczyłem tylko ciemność. Z równym powodzeniem mógłbym zaglądać na dno filiżanki z melasą.

Okrażyłem budynek, stwierdzając, że po jego drugiej stronie było jeszcze ciemniej. Starłem się iść możliwie cicho i nasłuchiwać, ale do moich uszu nie dochodził żaden dźwięk. Nawet rechot żab, które zwykle o tej porze rajcowały za ogrodzeniem, wydawał się jakby stłumiony. Stąpając jak kot, dotarłem do głównego wejścia. Wspiąłem się po kilku stopniach, namacałem klamkę i lekko ją przycisnąłem. Drzwi powinny być zamknięte, ale ku mojemu zdziwieniu otworzyły się z cichym stęknięciem. Czując przyspieszone bicie serca, wślizgnąłem się do środka.

Powtarzałem sobie w duchu, że nie ma powodów do zdenerwowania. Przecież to, że drzwi nie były zamknięte na klucz, samo w sobie nie upoważniało mnie chyba do wszczynania alarmu, prawda? Ktoś mógł o tym po prostu zapomnieć — w końcu jaki był sens zamykania pustego budynku? Odetchnąłem głęboko kilka razy i udało mi się nieco

uspokoić. Wcisnąłem włącznik światła, ale wciąż było ciemno. W budynku prawdopodobnie nie było prądu. Postąpiłem przez chwilę, a potem machnąłem na wszystko ręką. W końcu nie płacili mi za to, by walczyć z duchami. Wyszedłem z powrotem na zewnątrz, trzasnąłem drzwiami i... zdębiałem, bo w nocnej ciszy rozległ się ten sam metaliczny odgłos, który usłyszałem przed paroma minutami. Tym razem nie miałem wątpliwości — odgłos był wyraźny i dochodził z któregoś z parterowych okien.

Pomny niefortunnej przygody z korzeniem tym razem się nie spieszyłem. Powoli przeszedłem przez barierkę i podążyłem wzdłuż ściany w stronę, z której dobiegł dźwięk. Kiedy tak się skradałem, dotarło do mnie, że w budynku — obok pokoi zajmowanych zwykle przez dzieci z kolonii — znajdowało się również pomieszczenie administracji ośrodka. Była tam kasa, a w niej pewnie kilka tysięcy złotych. Czyżby złodzieje? Nie mogłem tego wykluczyć. Przeklinając swojego pecha, wyjąłem telefon i szybko wybrałem numer do Włodka. Byłem pewien, że w przeciwieństwie do mnie marzy o takiej sytuacji. Bójka ze złodziejem stanowiłaby dla niego przyjemną odskocznię od szarej codzienności.

Tyle że nie odbierał. Coraz bardziej zdenerwowany rozważałem kolejne możliwości, z miejsca odrzucając telefon na policję. Mogłem zawiadomić ludzi bawiących się na imprezie, ale budynek stołówki znajdował się niemal na drugim końcu ośrodka. Obawiałem się, że zanim przybędzie odsiecz, potencjalny rabuś rozplynie się w ciemnościach. Mogłem zatrzymać go sam, ale — szczerze mówiąc — nie miałem na to najmniejszej ochoty. Mogłem też udać, że niczego nie słyszałem, bo w końcu nie byłem tu ochroniarzem, ale przeciwko takiemu rozwiązaniu buntowała się ta część mojej duszy, która nie została spaczona przez więzienie. Mogłem...

Na kolejny pomysł zabrakło mi czasu. Okno pomieszczenia, z którego dobiegały dziwne hałasy, nagle wypadło z zawiasów i rozprysło się na kawałki, a na czarnym tle nocnego nieba zamajaczył na moment jeszcze ciemniejszy kształt ludzkiej postaci, zeskakującej z parapetu i ściskającej na ramieniu coś, co przypominało worek. Zareagowałem instynktownie:

— Stój, złodzieju! — wrzasnąłem napiętym głosem i skoczyłem na zastygłą w bezruchu postać, zamierzając obalić ją na ziemię.

Złodziej drgnął i próbował uciekać, ale zastąpiłem mu drogę.

— Rzuć to, co masz na ramieniu! — krzyknąłem najgłośniej, jak umiałem, częściowo dlatego, by go zastraszyć, a częściowo, by przywołać jakąś pomoc. Jakąkolwiek: nocnego stróża, Włodka lub nawet ratownika Grzeška. — Na ziemię, złodzieju! Już!

Miałem nadzieję, że mnie posłucha, ale najwyraźniej mój groźny głos nie podziałał na niego tak, jak zakładałem. Zrobił kilka niepewnych kroków wzdłuż muru, a gdy zabiegłem mu drogę, ruszył prosto na mnie. Zobaczyłem, że jest podobnego wzrostu co ja, ale nie poruszał się tak sprawnie. Instynktownie wyczułem, że mam szansę go pokonać. Uniosłem pięści, ale sekundę później je opuściłem i zamiast uderzyć, spróbowałem przywoździć go do ściany.

To był błąd. Wyrwał się z mojego uścisku, a gdy złapałem go wpół, zamachnął się na mnie prawą ręką. Musiał w niej trzymać coś metalowego, bo gdy uderzył mnie

w czoło, przed oczami zawirowały mi gwiazdy.

— Co robisz, debilu?! — warknąłem, luzując uścisk.

Popatrzył na mnie i wtedy zobaczyłem, że jego twarz ukryta jest za materiałową maską. Chciałem ją zerwać, ale odskoczył, a potem jeszcze raz zamachnął się na mnie prawą ręką. Tym razem dostrzegłem, że trzymany przez niego przedmiot był metalową rurką. Dałem za wygraną. Sparowałem cios, a potem usiadłem na trawie, odgrywając utratę przytomności. Nie przeliczyłem się — nie był zainteresowany kontynuowaniem walki. Przez chwilę stał nade mną, dysząc jak po przebiegnięciu maratonu, a potem zerwał się do biegu.

Ku mojemu zdziwieniu nie pobiegł w stronę ogrodzenia, tylko skierował się ku centralnej części ośrodka. Patrzyłem za nim z mieszaniną politowania i rezygnacji. Nie było we mnie złości. Minęły czasy, gdy liczyła się dla mnie urażona męska duma. Wiedziałem, że gdybym był bardziej zdecydowany, przygoda mogłaby zakończyć się zupełnie inaczej — to nie ja, lecz on leżałby teraz na trawie. Tylko czy warto byłoby dla tych paru groszy robić mu krzywdę?

Gdzieś za moimi plecami zastukały szybkie kroki. Dźwięk był dziwny — odniosłem absurdalne wrażenie, że nadbiegająca osoba miała na nogach szpilki. Odwróciłem się powoli, wciąż masując się po czole. Zobaczyłem rozedrgane światło latarki, które zbliżając się, omiatało między innymi nogi nadciągającej postaci. Długie i zgrabne.

— Nic ci nie jest?! — Ilona miała na co dzień aksamitny, seksowny głos, ale teraz skrzeczała jak histeryczka, walcząc o odzyskanie oddechu. — Marcin? O, Marcin... — uklękła obok mnie i odruchowo wtuliła moją twarz w swoje apetyczne krągłości. Na moment i ja straciłem oddech.

— To był złodziej — wymamrotałem po chwili, odrywając się od niej i wracając do masowania czoła. — Przekręć do szefa, może uda się go złapać. Mogły zginąć jakieś pieniądze i nie chciałbym, żeby pomyślał, że to ja.

— No coś ty! — wstała, wciąż ciężko dysząc. — Trzeba zadzwonić na pogotowie. I na policję.

Chciałem zaprotestować, ale nie dała mi dojść do słowa. Wystukała numer alarmowy i rozemocjonowanym głosem opisała mój stan. Gdy usłyszałem, jak mówi, że jestem zalany krwią, odruchowo obmacałem twarz. Oczywiście przesadzała, ale faktycznie — z rozbitego łuku brwiowego ciekła mi niewielka strużka krwi.

— Masz chusteczkę? — spytałem, gdy skończyła, po czym, gdy mi ją dała, zatamowałem krwawienie. — Dziękuję — dodałem.

Nie miałem na myśli chusteczki. Dziękowałem jej, bo dotarło do mnie, że to Ilona spłoszyła rabusia. Kto wie, czy gdyby nie ona, nie użyłby swojej stalowej rurki jeszcze raz. Wątpiłem w to, ale nie mogłem mieć pewności. Poza tym jej odsiecz sprawiła, że złodziej nie schował się w lesie za ogrodzeniem, tylko pomknął prosto w miejsce, w którym stał stróż. A wiedziałem, że nie był to zwykły stróż.

Pan Janek był kiedyś komandosem. Co prawda na emeryturze na pewno nieco zardzewiał, ale nie na tyle, by nie dać sobie rady z pojedynczym opryskiem. Dlatego wybierając numer szefa, byłem dobrej myśli.

Odebrał po pierwszym sygnale i gdy usłyszał o kradzieży, bardzo się przejął. Łudziłem się przez chwilę, że wstrząsnęła nim wiadomość o mojej rozbitej głowie, ale gdy przybiegł na miejsce, nawet na mnie nie spojrział. Wszedł do budynku, podzwaniając kluczami. Po trzech minutach zjawił się przy nas z powrotem, przybierając marsowy wyraz twarzy.

— Dużo zginęło? — Zaryzykowałem pytanie, a on przełożył latarkę do lewej ręki i zgromił mnie wzrokiem.

— Nic — burknął, a gdy nie odwróciłem spojrzenia, dodał bezosobowym tonem, gotując się z wściekłości: — Wszystkie pieniądze są na swoim miejscu. Wiem, bo dzisiaj rano osobiście robiłem rozliczenia.

Wiedziałem, że szef ma swoje humory, ale kompletnie nie rozumiałem, dlaczego zamiast się cieszyć, tak się denerwuje. Odważyłem się o to zapytać. Przez chwilę patrzył na mnie tak, jakbym był konkubentem jego nastoletniej córki.

— Nie lubię nie wiedzieć, co się dzieje — zawarczał wreszcie, zapalając papierosa. — Złodziej nawet nie dotknął kasy. Grzebał w szufladach z dokumentacją. Wiem, bo kilka z nich było wysuniętych... Sam nie wiem dokładnie, co w nich było — dodał z niesmakiem.

Powoli wypuściłem powietrze. Zrozumiałem, że tajemnicze metaliczne dźwięki, które słyszałem, były odgłosami towarzyszącymi wysuwaniu aluminiowych szuflad. Złodziej musiał czegoś w nich szukać. Czy to znalazł, czy też zdążyłem go spłoszyć? Worek na jego ramieniu nie był chyba zupełnie pusty. Na pewno zmieściłby się w nim segregator albo plik papierów...

Gdy tak kombinowałem, od strony baraku, w którym mieszkała obsługa ośrodka, zbliżyła się do nas jakaś postać. Niestety nie był to Włodek, tylko Grzesiek. Ratownik, którego serdecznie nie znosiłem. Skrzywiłem się i dostrzegłem, że skrzywiła się też Ilona. Wiedziałem, że nasza kelnerka również za nim nie przepadała, ale nie sądziłem, że aż do tego stopnia.

— W samą porę... — mruknęła scenicznym szeptem.

Grzesiek ziewnął teatralnie.

— Co mówiłaś, złotko? — rzucił w jej kierunku, po czym odwrócił się do mnie. — O, nasz bohater — zadrwił. — Co się stało? Poślizgnąłeś się na psiej kupie?

Popatrzyłem na niego właśnie tak, jak się patrzy na psią kupę. Kierownik ośrodka, który chodził wokół nas, przerwał na chwilę swój nerwowy marsz i zgromił go spojrzeniem.

— Idź stąd — rozkazał, a potem wyszeptał mu do ucha kilka słów. Grzesiek posłusznie się oddalił. — Jak się czujesz? — zapytał, błędząc wzrokiem gdzieś po czubkach drzew.

— Dobrze — odparłem zgodnie z prawdą. — Do wesela się zagoi...

— To po co, do cholery, wzywaliście policję i pogotowie?! — przerwał mi, patrząc to na mnie, to na Ilonę.

Jedynym źródłem światła były gwiazdy i latarki. W zasięgu wzroku nie było ani jednej czynnej latarni, ale pomimo tej względnej ciemności odniosłem wrażenie, że zaczerwienił się ze złości.

Kelnerka popatrzyła na niego jak na idiotę. Trzeba jej było oddać, że miała temperament i nie obawiała się jego napadów złości. Albo dobrze udawała.

— Jak to, szefie? — spytała z wyrzutem. — Marcin leżał we krwi, a złodziej dopiero co obrobił kasę. To znaczy nie obrobił... ale tak przecież myślałam. I co miałam zrobić? Zadzwoić po pizzę?

Uśmiechnąłem się w duchu. Wypunktowała go jak kompletnego amatora. Zamiast z nią polemizować, tylko podrapał się po głowie.

— To fatalny moment na przyjazd policji — stwierdził wreszcie pojedynczym tonem, zwracając się do mnie. — Jest u nas sporo gości. Burmistrz, ordynator szpitala, twój brat... Policja będzie chciała pewnie ich przesłuchać, a oni wszyscy są... no cóż, pijani. A ja muszę z nimi dobrze żyć. Muszę... — zafrasował się i sięgnął do paczki po kolejnego papierosa.

Nie zdążył go jednak zapalić, bo do naszej trójki dołączyła kolejna postać. W przeciwieństwie do nas stróż-komandos miał równy oddech i doskonale panował nad nerwami.

— Uciekał przede mną jakiś mężczyzna w masce — powiedział, kierując swoje słowa do szefa. — Kończyłem obchód, a on chciał przeleźć przez ogrodzenie. Krzyknąłem, by się zatrzymał, ale nie posłuchał, tylko odwrócił się i pobiegł w stronę stołówki. Był daleko i po chwili straciłem go z oczu, ale podejrzewam, że wciąż jest na terenie ośrodka. Spuściłem psy... Widzę, że wcześniej nabroił tutaj — dodał, oświetlając latarką zakrwawioną chusteczkę.

Stał dumny i czekał na pochwałę, ale szef tylko złapał się za głowę.

— Tego tylko brakowało. Zaraz zabiorą mi gości na komisariat. A wszystko dlatego, że jakiś złodziejasek schował się koło stołówki. I to akurat dzisiaj... — westchnął ponuro, po czym odwrócił się w stronę stróża. — Panie Janku, jakby pana pytała policja, to pan nic nie widział. Rozumiemy się? Nic się nie stało, złodziej niczego nie ukradł...

— To był złodziej? — zapytał zdumiony stróż.

— Złodziej, złodziej... Tylko jakiś niedouczony. Zamiast zabrać pieniądze, wziął jakieś stare papiery. Albo i nie wziął. Bóg wie, co było w tych szufladach. Pewnie jakieś stare rachunki, faktury czy coś w tym stylu.

— A pan gdzie trzyma dokumentację? — zapytałem z umiarkowaną ciekawością.

— Od kiedy jestem kierownikiem ośrodka, cała dokumentacja przechowywana jest w metalowej szafie w moim gabinecie. Panuje w niej idealny porządek. A co do tych starych kwitów... — wskazał ręką w kierunku wyłamanego okna. — Już dawno powinny zostać zbelowane.

— Zbelowane? — zapytała Ilona.

— To znaczy zniszczone — wyjaśnił kierownik. — Większość dokumentów księgowych przechowuje się przez pięć lat. Przecież nikt nie będzie w nieskończoność trzymał starych rachunków... Ale z tego, co wiem, niczego tu nie niszczone. Cały ten pokój — znów wskazał na wyłamane okno — zawalony jest jakąś makulaturą. Wcześniej wszystko stało tu na głowie. Po kontroli NIK-u mój poprzednik wyleciał stąd jak z procy. Ponad cztery lata temu — dodał, po czym urwał, nadstawiając uszu.

— Jada — westchnąłem z rezygnacją, bo w nocnej ciszy rozległ się podwójny głos syreny. — Karetka i radiowóz.

Pan Janek pomknął do bramy, by ją otworzyć, a ja pograżyłem się w niewesołych myślach. Nie bałem się badań w karetce pogotowia. Byłem zdrowy jak koń, a rana na czole była w zasadzie tylko większym zadrapaniem. Strachem nappełniała mnie rozmowa z policją. Po kilku latach za kratami na widok munduru traciłem cały rezon. Kiedy miesiąc temu zatrzymała mnie drogówka, z emocji o mało nie zemdlałem.

— Marcin. — Kierownik pochylił się i położył dłoń na moim ramieniu w podejrzenie serdecznym geście. — Nie chcę tutaj scen rodem z „Kryminalnych zagadek Los Angeles”. I nie chcę, by policja zainteresowała się moimi gośćmi. Skoro z kasy nie zginęła ani złotówka, to byłbym ci wdzięczny, gdybyś nie mówił za dużo. Mogę na to liczyć?

Czułem suchość w gardle, więc tylko pokiwałem głową. Kierownik wyciągnął do mnie rękę i pomógł mi wstać.

— Spokojnie — szepnął, bo zdał sobie sprawę z mojego zdenerwowania, po czym ujął za łokieć Ilonę i przez chwilę coś jej tłumaczył.

Podeszliśmy do bramy ośrodka. Zanim zobaczyłem policjantów, zostałem dokładnie zbadany w karetce. Ratownik zasugerował szycie, ale się przy tym nie upierał. Gdy po piętnastu minutach wyszedłem z erki, moje czoło ozdabiał wielki plaster.

— Pan Marcin? — niski głos należał do wąsatego mundurowego z wystającym brzuchem.

Usiedliśmy w spartańsko urządzonym wnętrzu stróżówki — ja, wąsaty policjant i jego partnerka, szczupła szatynka, która nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia kilka lat. Kierownik się nie kwapił, by zaprosić funkcjonariuszy do centralnej części ośrodka, z której wciąż dochodziły stłumione dźwięki muzyki. Cały czas krążył w pobliżu niczym wygłodniały sęp. Pan Janek i Ilona stali nieopodal, wyglądając jak para pasażerów taksówki, w której niespodziewanie skończyła się benzyna. Ich zeznania nie trwały długo — cała trójka (oni i kierownik) odpowiadała na pytania policji nie dłużej niż kilkanaście minut.

Na prośbę policjanta opisałem całe zdarzenie. Udało mi się nawet zapanować nad drżeniem głosu. Policjant sprawiał wrażenie znudzonego. Kiedy skończyłem, z trudem stłumił ziewnięcie.

— I nic nie zginęło? — upewnił się, a jego partnerka zanotowała coś w notesie.

Kierownik posłał mi zza ich pleców ciężkie spojrzenie. Domyśliłem się, że jak dotąd nie poruszano kwestii przetrzebionej zawartości szuflad. Skrzyżowałem palce i pokręciłem głową, rozgrzeszając się w myślach. Skoro wszyscy uważali te papiery za kompletnie bez znaczenia, to chyba nie było sensu robić zamieszania.

Pozostała do wyjaśnienia jeszcze jedna kwestia. Ściganie sprawcy naruszenia nietykalności cielesnej — a właśnie do tej kategorii należało zaliczyć incydent, który zakończył się dla mnie rozbitą głową — odbywało się w praktyce na wniosek pokrzywdzonego. Wiedziałem, że policja na ogół nie lubi dokładać sobie roboty, zwłaszcza w sytuacji, gdy ustalenie sprawcy było mało prawdopodobne. Takie sprawy potrafiły zepsuć statystykę, która od lat pozostawała dla organów ścigania „królową

nauk”.

— Chce pan, żebyśmy prowadzili dalej tę sprawę?

W głosie policjanta było tyle niechęci, że kręcąc odmownie głową, z trudem stłumiłem śmiech. Oczywiście nie miałem najmniejszego zamiaru w cokolwiek ich angażować. Marzyłem tylko o jednym: żeby już sobie poszli i więcej nie wracali. Chociaż policjantka... Policjantka wydała mi się cholernie atrakcyjna.

— Możemy dostać od pana jakiś kontakt telefoniczny? — odezwała się po raz pierwszy, a potem zapisała mój numer w notesie. W innej sytuacji zaproponowałbym, żeby w rewanżu podała mi swój, ale nie czułem się aż tak swobodnie, by żartować.

— Po co to? — zapytałem z lekkim zaniepokojeniem.

— Przyjedziemy tu jeszcze raz jutro rano, żeby obejrzyć miejsce zdarzenia. Teraz jest za ciemno. Być może będziemy chcieli z panem jeszcze porozmawiać — dodała tajemniczo, a ja nie odważyłem się drażnić tematu.

Z chwilą gdy radiowóz zniknął za zakrętem, powrócił do mnie mój dobry humor. Jeszcze raz podziękowałem Ilonie, obiecując sobie, że przy najbliższej okazji kupię jej kwiaty. Cmoknąłem ją w policzek, a ona w rewanżu posłała mi sympatyczny uśmiech.

Okazało się, że jej obecność w miejscu bójki zawdzięczałem Adasiowi. Podczas imprezy dziewczyna stała za barem. Mój kolega ze szkoły tak się podochocił, że przez przypadek oblał ją piwem.

— Wymknęłam się po cichu, żeby się przebrać — opowiadała z przejęciem. — Gdy dochodziłam do baraku, usłyszałam odgłos wybijanej szyby. Trochę się przestraszyłam i chciałam zamknąć się w pokoju, ale wtedy ty zacząłeś krzyżeć. Pobiełam...

Była gadułą, więc na pewno trajkotałaby jeszcze przez dłuższy czas, ale krążący wokół nas kierownik bezceremonialnie jej przerwał.

— Może rozejrzemy się za tym gagatkiem — zaproponował. — Nie chciałbym angażować w to policji, ale jeżeli sami byśmy go złapali... Cóż, gość zasługuje na solidne lanie.

Pomysł kierownika w pierwszej chwili wydał mi się głupi, bo przecież od bójki minęło ponad pół godziny. Zmieniłem zdanie, gdy z ciemności niespodziewanie wynurzył się Grzesiek.

— Po mojej stronie nikt się nie przekradał — poinformował. — Włodek cały czas pilnuje odcinka graniczącego z lasem i też nikogo nie widział.

Zrozumiałem, że szef kazał im pilnować tej części ośrodka, której nie było widać z okolic bramy. Miało to sens. Gdybym to ja był złodziejem, to na widok radiowozu uciekałbym właśnie w tamtą stronę. Popatrzyłem na kierownika z szacunkiem. Okazało się, że wcale nie zlekceważył tajemniczego zajścia. Po prostu nie chciał w nie wciągać policji.

— Spróbujcie go znaleźć, a ja popytam na stołówce. Może ktoś coś widział albo... — urwał, po czym zapalił papierosa.

— Albo co, szefie? — zapytała Ilona.

Wydmuchał w nocne niebo chmurę dymu.

— Albo to któryś z gości zabawił się w złodzieja, tylko... Tylko nie mam pojęcia

dlaczego — wymamrotał i skręcił w alejkę prowadzącą do stołówki, oddalając się od nas szybkim krokiem.

— Jedno trzeba stwierdzić: facet ma jaja — mruknął Grzesiek, a ja wyjątkowo przyznałem mu rację, bo w dzisiejszych okolicznościach taki samotny spacer wymagał odwagi.

Pokręciliśmy się przez jakiś czas po terenie ośrodka, ale nie natknęliśmy się na złodzieja. Jediną osobą, którą spotkaliśmy, była mniej więcej pięćdziesięcioletnia wczasowiczka. Nie pamiętałem jej imienia, kojarzyłem natomiast jej męża, który kilka razy ze mną rozmawiał. Szła ścieżką między domkami i chyba się nas przestraszyła. Poprosiłem ją, by wróciła do swojego domku.

— Nie widział pan mojego męża? — zapytała drżącym głosem.

Pamiętałem, że mężczyzna był zapalonym wędkarzem, więc pomyślałem, że zasiedziało się na którymś z pomostów. Nad jeziorem był bardziej bezpieczny niż na terenie ośrodka. Mruknąłem coś uspokajającego i poradziłem kobiecie, by poszła spać. Zniknęła niczym zdmuchnięta świeca.

— Słuchaj, a może to ten wczasowicz cię napadł? — odezwał się Grzesiek.

Parsknąłem śmiechem. Mąż kobiety miał metr sześćdziesiąt wzrostu i wydatny brzuch. Wyglądał jak piłka. Rozpoznałbym go bez trudu, nawet jeżeli miałby na twarzy dziesięć masek.

— Masz jeszcze jakieś genialne pomysły? — rzuciłem złośliwie, po czym wziąłem Ilonę pod rękę i pociągnąłem ją w kierunku naszego baraku mieszkalnego, w którym przed chwilą zniknął Włodek. — Jest już prawie północ. Goście kierownika rozjeżdżają się właśnie do domów. Chodź, idziemy spać. Wystarczy już na dzisiaj tych wrażeń. Najpierw łódka, potem to... — mamrotałem, potykając się ze zmęczenia o własne nogi.

— Łódka? Jaka łódka?

Opowiedziałem jej o kradzieży łodzi.

— Złodziej, który kradnie niepotrzebne rzeczy... — ziewnęła, po czym wbiła we mnie senny wzrok. — W ośrodku dzieje się coś dziwnego, prawda? Od kilku dni mam wrażenie...

Umilkła, a ja nie drążyłem tematu. Otworzyłem drzwi do pokoju i życzyłem jej dobrej nocy. Leżąc w łóżku, przeanalizowałem jeszcze raz obie kradzieże, ale nie dopatrzyłem się żadnych powiązań. Podejrzywałem, że od jutra nasz ośrodek znów będzie tak senny, jak zawsze.

Bardzo się myliłem...

Obudziło mnie pukanie. Przez chwilę próbowałem je zignorować, ale ktoś był bardzo natarczywy. Zerknąłem na zegarek w telefonie i stłumiłem przekleństwo. Było kilka minut po szóstej rano. O tej porze każdy szanujący się kaowiec przewracał się dopiero na drugi bok.

Wstałem z cichym stęknieniem i narzuciłem na siebie koszulę. Nie tracąc czasu na zapinanie guzików, przelunatykowałem do drzwi, przygotowując w myślach soczystą wiązanekę przekleństw. Szarpnąłem za klamkę i na moment osłupiałem, bo po drugiej stronie drzwi nie było nikogo. W takim razie skąd brało się to nieustające pukanie? Potarłem w zamyśleniu czoło, a potem ruszyłem w kierunku okna.

Stała w pierwszych promieniach słońca i z determinacją uderzała w futrynę. Chciałem na nią naskoczyć, ale się powstrzymałem. Nie wypadało wrzeszczeć na wczasowiczkę, zwłaszcza że była ode mnie ze dwadzieścia lat starsza, a jej twarz zastygła w wyrazie niemej trwogi. Otworzyłem okno i odetchnąłem świeżym, porannym powietrzem, a potem wykrzywiłem usta w krzepiącym (choć nieszczerym) uśmiechu.

— Dzień dobry — wychrypiałem.

Mój uśmiech zbladł. Kobieta wyglądała tak, jakby znajdowała się na krawędzi paniki. Przypomniałem sobie, że wczorajszej nocy włóczyła się po ośrodku w poszukiwaniu męża. Po kręgosłupie przebiegły mi zimne ciarki. Czyżby wydarzyła się jakaś tragedia? Poczulem, jakby przygniótł mnie wielki głaz.

— Mój mąż do tej pory nie wrócił do naszego pokoju — wyszeptała kobieta. — Całą noc nie zmrużyłam oka. Trzeba coś zrobić. Nie wiem, zacząć go szukać czy co...

Poczulem, jak przygniatający mnie głaz zmienia się w bańkę mydlaną. Mąż nie wrócił na noc? Wielkie rzeczy... Gdyby był nieco młodszy i szczuplejszy, podejrzewałbym romans, ale prawda była przypuszczalnie mniej sensacyjna. Obstawiałem, że po prostu stracił poczucie czasu na rybach. Nie on pierwszy i nie ostatni.

— Próbowала pani do niego dzwonić? — zapytałem, drapiąc się po karku.

Jej oczy były pełne łez.

— A jak pan myśli? — spytała z wyrzutem. — Chyba ze sto razy, ale wciąż ma wyłączony telefon...

— Może po prostu nie chce, by ktoś dzwonił podczas łowienia? — zasugerowałem.

— Nigdy przedtem nie wyłączał komórki. Wyciszał, ale nie wyłączał...

Tkwiliśmy w impasie. Nie umiałem jej przekonać, że wszystko na pewno było w porządku. Co więcej, w pewnym momencie sam nabrałem wątpliwości. Przypomniałem sobie o grasującym w nocy złodzieju. Z ciężkim westchnieniem odwróciłem się od okna i włożyłem sprany podkoszulek, krótkie spodenki i sandały. Po chwili znalazłem się obok kobiety.

— To kiedy małżonek dokładnie wyszedł na te ryby?

— Nie mam pojęcia. Nawet nie wiem, czy to były ryby. Wczoraj koło południa poszłam do lasu na spacer. Nie było mnie dwie, może trzy godziny. Kiedy wróciłam, jego już nie było.

— A wędki? Czy zabrał ze sobą jakieś wędki?

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Nigdy nie mogę się doliczyć tych jego wędek, szaławików i kołowrotek. Zabrania mi ich dotykać — zaśmiała się nerwowo, lecz po chwili nagle umilkła i lekko zachwiała się na nogach.

Uznałem, że balansuje na skraju załamania nerwowego. Nieprzespana noc pogłębiła bruzdy wokół ust i „przyozdobiła” jej oczy potężnymi worami. Była tak blada, że prawie przezroczysta. Ująłem ją pod ramię.

— Znam tu większość łowisk. Chodźmy, zaraz go znajdziemy. Zobaczysz pani, że pewnie po prostu się zdrzemnął.

W milczeniu opuściliśmy teren ośrodka i skierowaliśmy się nad jezioro. Zarówno w ośrodku, jak i nad brzegiem nie było o tej porze żywego ducha. Wczasowicze i obsługa

jeszcze smacznie spali, a miejscowi rybacy już od dawna pracowali na jeziorze przy przegradzających przesmyki sieciach. W głębi ducha zżymałem się na to, że akurat ja zostałem poproszony o pomoc w poszukiwaniach, ale nie dawałem tego po sobie poznać.

W końcu taka pomoc wchodziła w pewnym sensie w zakres moich obowiązków — jako instruktor kulturalno-oświatowy (czytaj: animator rozrywek) miałem sprawić, by wczasowicze zapomnieli o troskach i dobrze się bawili.

Nad jeziorem, jak zawsze o tej porze, było magicznie. Po tafli wody snuły się tajemnicze mgły, a jedynym słyszalnym dźwiękiem było gęganie wodnego ptactwa. Ruszyliśmy ścieżką wzdłuż brzegu i po chwili dotarliśmy do pierwszego stanowiska — rachitycznego pomostu wśród szumiących trzciny. Był pusty, ale już na kolejnym drzemało na specjalnych krzesłach dwóch wędkarzy z naszego ośrodka. Korzystając z tego, że jeden z nich na moment się przebudził, zapytałem grzecznie o poszukiwanego mężczyznę.

— Pan Tadeusz? — upewnił się wędkarz, a ja poczułem się przez ułamek sekundy jak podczas zajazdu na Litwie. — Wczoraj rano się widzieliśmy, ale dziś... dzisiejszej nocy chyba go tu nie było. Czy coś się stało?

— Nie — zaprzeczyłem szybko, nie chcąc ich wciągać w poszukiwania. — Pamiętacie, panowie, że dzisiaj mamy wycieczkę rowerową do rezerwatu żółwia błotnego?

Wędkarz poklepał się po wydatnym brzuchu.

— Mnie raczej nie będzie, ale na pewno pojawią się żona i córka. A ja w tym czasie odeśpię. — Sięgnął po butelkę piwa i pociągnął długi łyk, mlaskając z zadowoleniem językiem.

A kiedy ja odeśpię? — spytałem się w duchu, prowadząc osowiałą kobietę przez pole pokrzyw. Musiałem uważać, bo ścieżka była bardzo wąska.

— Pewnie pani mąż będzie na następnym łowisku — mruzczałem uspokajająco, ale powoli sam przestawałem w to wierzyć.

Po kolejnej półgodzinie poszukiwań wywiesiłem białą flagę. Kobieta zalała się łzami.

— Trzeba dać znać na policję — wybełkotała pomiędzy kolejnymi spazmami. — Dlaczego on mi to robi...

Przypomniałem sobie, że dziś rano do ośrodka miała przyjechać młoda policjantka. Uznałem, że nie zaszkodzi jej powiedzieć o zaginięciu pana Tadeusza.

— Zresztą zobaczy pani, że do tego czasu mąż na pewno się znajdzie. Przyjdzie do pani z dużym bukietem róż.

— Tadek? Z bukietem?

Kobieta zaśmiała się szczerze. Mój żart najwyraźniej poprawił jej humor. Miałem nadzieję, że w związku z tym uda mi się jeszcze trochę pospać, ale na terenie ośrodka czekał już na mnie komitet powitalny.

— Gdzie ty się podziewasz? — Naskoczył na mnie kierownik, zupełnie nie krępując się obecnością uwieszoną na mym ramieniu wczasowiczki. — Szukamy cię od prawie pół godziny! — grzmiał, wyładowując na mnie swój zły nastrój, wywołany przedwczesną pobudką.

— Wystarczyło zadzwonić...

Urwałem, bo za jego plecami dojrzałem policjantkę. W dziennym świetle prezentowała się jeszcze lepiej niż wczoraj. Miała długie, zgrabne nogi i sympatyczny uśmiech. Pomimo całonocnej służby wciąż wyglądała świeżo. Tak jakby właśnie wstała z łóżka. Nie chciałem nawet zgadywać, jak po nocnych przygodach i porannej pobudce wyglądam ja. Przejechałem ręką po zarośniętym policzku, zmęczonych oczach i... lekko się zarumieniłem. Co się z tobą dzieje, chłopie? — zbeształem się w myślach.

— Panie Marcinie, opowie nam pan, jak to wczoraj było? — zapytała dźwięcznym głosem.

Ruszyliśmy w kierunku miejsca, gdzie doszło wczoraj do bójki. W połowie drogi przypomniałem sobie o wciąż drepczącej obok mnie wczasowiczce.

— Proszę pani — zwróciłem się do policjantki. — Ta pani chciałaby zgłosić zaginięcie.

Policjantka wyciągnęła do kobiety rękę i się przedstawiła. Miała na imię Karolina.

— W czym mogę pani pomóc? — spytała tak grzecznie, że aż się zdziwiłem.

Policjanci, z którymi miałem dotąd do czynienia, nie byli tak mili.

Kontakt z policją znów wytrącił wczasowiczkę z równowagi. Mówiła tak chaotycznie, że w pewnym momencie jej przerwałem i sam dokończyłem opowieść. Wbrew temu, co myślałem, policjantka nie zlekceważyła naszych słów. Albo przynajmniej dobrze udawała.

— Może pani coś zrobić? — zapytała drżącym głosem kobieta.

— Oczywiście. Pojedzie pani ze mną do Mogielna i wypełnimy wszystkie niezbędne papiery. A potem będziemy panią informować o stanie poszukiwań.

— Ale chyba od zaginięcia do podjęcia poszukiwań musi upłynąć czterdzieści osiem godzin, prawda? — wtrącił się kierownik.

— Nieprawda — zaprzeczyła policjantka. — Działamy od razu. Po czterdziestu ośmiu godzinach często byłoby za późno. Porwane dziecko jest wywożone z kraju najczęściej w ciągu pierwszej doby. Jeżeli nie zdążymy w tym czasie namierzyć porywaczy, to... — zwiesiła głowę. — Oczywiście jestem pewna, że pani męża nikt nie porwał — dodała szybko — ale zapewniam panią, że o ile się nie znajdzie, wdrożymy wszystkie procedury.

Żona pana Tadeusza wyraźnie się odprężyła, natomiast kierownik wciąż był najeżony. Domyślałem się, że wiadomość o zaginięciu jednego z wczasowiczów tylko dołała oliwy do ognia. Emocje na jego twarzy były tak sugestywne, że mogłem z niej czytać jak z książki. Nie chciał, by po jego ośrodku kręciła się policja, a każdy kolejny powód jej zainteresowania traktował niczym osobistą klęskę.

Następne kilka minut spędziliśmy pod wybitym oknem. Żona pana Tadeusza została wysłana do swojego domku, na wypadek gdyby jej zguba postanowiła się tam pojawić, a my... My wałkowaliśmy temat mojej rozbitej głowy.

— Miał na twarzy maskę, tak? — dopytywała się policjantka. — Dziwne. To musiał być ktoś, kogo twarz była tu powszechnie znana.

Pokiwałem głową. To było możliwe, ale w gruncie rzeczy nic nam nie dawało. Ile osób przewijało się rocznie przez ośrodek? Pięćset? Siedemset? Poszukiwanie złodzieja

w takiej rzeszy ludzi przywodziło na myśl szukanie igły w stogu siana.

— Był mniej więcej mojego wzrostu, ale chyba trochę cięższy. Taki... kanciasty — dodałem, bezskutecznie szukając lepszego określenia. — Bardziej mężczyzna w sile wieku, a nie dwudziestolatek, chociaż... nie dałbym sobie uciąć za to ręki.

Weszliśmy na chwilę do pomieszczenia, w którym grasował włamywacz, ale policjantka tylko pobieżnie rzuciła okiem na pootwierane szuflady. Obejrzała za to dokładnie metalową szafkę, w której przechowywane były pieniądze. Nie robiła wrażenia solidnej. Podejrzywałem, że gdyby złodziej chciał się do niej dostać, poradziłby sobie bez trudu.

— I co? — zapytał z niepokojem kierownik. — Zamykacie tę sprawę? Skoro nic nie zginęło, a panu Marcinowi nic się nie stało...

— A szkoda w mieniu? — zapytała policjantka niewinnym głosem.

— Jaka szkoda?

— Wybita szyba. — Zmrużyła oczy i wtedy zdałem sobie sprawę, że rozszyfrowała uczucia kierownika i sobie z niego żartuje.

— To tylko szyba — burknął szybko szef, a potem zabarwił swój głos fałszywą życzliwością: — Szkoda waszej fatygi. Na pewno i bez tego macie dużo roboty.

Miałem nadzieję, że jeszcze przez chwilę potrzyma go w niepewności, ale najwyraźniej zrobiło jej się go żal. Sprawa została zamknięta, a kierownik — z przyklepionym do twarzy uśmiechem — oddalił się w kierunku stołówki na wczesne śniadanie. Zostaliśmy sami. Starłem się wyobrazić sobie, że dziewczyna nie ma na sobie budzącego moje lęki munduru.

— To co, zaprowadzi mnie pan do tej pani, która chciała zgłosić zaginięcie męża?

Poszliśmy wyżwirowaną alejką, mijając po kolei boiska do piłki nożnej i siatkówki oraz betonowy kort tenisowy. W sezonie kolonijnym obiekty sportowe pękały w szwach, ale dzisiaj spacerowało po nich tylko kilka mew. Obiecałem sobie w duchu, że wieczorem rozegram sobie z Włodkiem na korcie trzy pełne sety.

Dziewczynę męczyło milczenie.

— Pewnie zaraz się znajdzie ten... pan Tadeusz. — Uśmiechnęła się szeroko. — W okresie urlopowym mamy dużo takich zgłoszeń. Najczęściej okazuje się, że przyczyną zaginięć jest... jak to powiedzieć... słaba tolerancja na alkohol. Czy on lubi się napić?

Wzruszyłem ramionami.

— Prawie go nie znam. Gadałem z nim kilka razy, to wszystko. Wiem, że jest zapalonym wędkarzem. Czy pije? Sprawia wrażenie człowieka, który dobrze się bawi i bez alkoholu.

— Wesolek, tak?

— Tak, ale w takim... dojrzałym stylu, jeżeli rozumie pani, co mam na myśli.

— Cóż, zobaczymy... — Zamyśliła się na moment. — A tak z innej beczki: chyba nie lubicie tu policji, co?

Zmieszałem się.

— Dlaczego pani tak sądzi? — wydukałem.

Zatrzymała się i popatrzyła mi w oczy. Poczulem się jak królik tuż przed wiwisekcją.

— Wasz szef nie był zbyt gościnnie, prawda? Miałam wrażenie, że najchętniej posłałby nas do diabła. Poza tym ten wasz ratownik...

— Grzesiek? — zdziwiłem się.

— Tak, pan Grzegorz. Kiedy wpadliśmy na siebie dzisiaj rano, od razu po moim przyjeździe, o mały włos nie rzucił się do ucieczki. I wreszcie pan...

— Ja? Ja bardzo panią polubiłem...

Zaśmiała się perliście.

— Dziwnie pan to okazuje — powiedziała, mrugając do mnie. — Kiedy na pana patrzę, to odnoszę wrażenie, że chciałby pan być daleko stąd...

— Ależ skąd! — zaprzeczyłem żarliwie, chociaż nie do końca szczerze. Fajnie było tak iść z ładną dziewczyną, tylko dlaczego ta ładna dziewczyna musiała być akurat policjantką?

Miała ochotę drążyć temat, ale na szczęście dotarliśmy na miejsce. Żona pana Tadeusza siedziała na werandzie, wyłamując palce.

— Nie wrócił? — spytałem, chociaż znałem odpowiedź, zanim otworzyłem usta.

Pokręciła smutno głową, po czym zaprosiła nas do środka. Wnętrze domku wyglądało tak, jakby dopiero co przeszła tam trąba powietrzna.

— Przepraszam za ten bałagan — powiedziała bezbarwnym tonem. — Nie miałam siły sprzątać...

Wszędzie leżały porzrzucone części męskiej garderoby. Wyglądało na to, że pan Tadeusz opuścił domek w ogromnym pośpiechu. Do tego samego wniosku doszła policjantka.

— Czy pani mąż nie zachowywał się ostatnio jakoś dziwnie?

Kobieta westchnęła, po czym pokręciła głową.

— Chodzi pani o ten nieporządek? Tadeusz jest bałaganiarzem. Zawsze taki był. Zaniepokoiłabym się, gdyby wszystko poukładał na miejsce. Kiedyś z tym walczyłam, ale domyśla się pani, jak to jest. Po trzydziestu latach małżeństwa do wszystkiego można się przyzwyczaić...

Mówiła dalej, ale przestałem jej słuchać. Zajrzałem do drugiego pokoju i natknąłem się w nim na sprzęt wędkarski. Wśród wędek, żyłek, spławików i sztucznych przynęt panował idealny porządek. Najwyraźniej bałaganiarstwo pana Tadeusza nie rozciągało się na sferę hobby.

Dorastałem nieopodal jeziora i jako młody chłopak często wędkowałem. A chociaż już od kilku lat nie złowiłem żadnej ryby, to część tej pasji wciąż we mnie trwała. Nie potrafiłem się powstrzymać i kiedy policjantka wypytywała wczasowiczkę o strój, w jakim wyszedł z domu zaginiony mężczyzna, zacząłem szczegółowo oglądać sprzęt wędkarski. Był markowy, solidny i na pewno bardzo drogi. Z żalem uzmysłowiłem sobie, że przy obecnych zarobkach nigdy sobie takiego nie sprawię. A potem uśmiechnąłem się w duchu, bo nagle moje myśli wydały mi się absurdalne.

Ciesz się, że masz teraz tylko takie problemy — pomyślałem z rozbawieniem i wtedy mój wzrok padł na pojedynczą kartkę papieru, wystającą z pojemnika na spławiki. To nie było miejsce, w którym zdrowy na umyśle człowiek przechowywałby korespondencję. Sięgnąłem po kartkę i cicho gwizdnąłem. Pokryta była drukowanymi

literkami, które wyglądały tak, jakby były wycięte z gazety.

Jeżeli chciałby Pan dowiedzieć się czegoś w interesującej Pana sprawie, to proszę dziś punktualnie o 17:00 pojawić się na starym cmentarzu w Wymykach.

Tajemniczy list nie był podpisany. Przeczytałem go kilka razy, czując się jak na planie taniego dreszczowca. Brakowało tylko, by spotkanie wyznaczone było na dwunastą w nocy — i to najlepiej pod pochyłym krzyżem.

— Pani Karolino! — Adrenalina sprawiła, że odezwałem się głośniej, niż zamierzałem. — Chyba znalazłem coś ważnego.

Policjantka przytrzymała kartkę opuszkami palców i przez chwilę się jej przyglądała, a potem odłożyła ją na szklany blat niskiego stolika. Zrozumiałem, że nie chce zatrzeć śladów. Zganiłem się w myślach, bo ja nie byłem tak ostrożny i na pewno zostawiłem tam swoje odciski palców. Przeprosiłem ją, ale mnie nie słuchała.

— Wie pan, gdzie jest ten cmentarz? — spytała, a ja kiwnąłem głową.

— Jaki cmentarz?! — spytała wczasowiczka, gwałtownie blednąc.

— Spokojnie — policjantka przytrzymała ją za ramię. — Mamy ślad. Myślę, że niedługo znajdziemy pani męża.

Ton jej głosu był krzepiący, ale mnie dopadły złe przeczucia. Stary cmentarz w Wymykach — to brzmiało dość złowieszczo. Było to miejsce, gdzie rzadko kto się zapuszczał. Ponure, opuszczone i tajemnicze. W 1914 roku pochowano tam kilkudziesięciu żołnierzy Armii Cesarstwa Niemieckiego, poległych podczas bitwy pod Tannenbergiem, czyli bitwy, która — według historiografii niemieckiej — stanowiła udany rewanż za bitwę pod Grunwaldem.

Myślałem, że pojedziemy tam od razu, ale policjantka — znęcona moim znaleździem — postanowiła zrobić w domku nieformalne przeszukanie. Zadania nie ułatwiał wszechobecny bałagan. Przez kilkanaście minut, wspomagani przez małżonkę, przetrząsaliśmy każdy kąt.

— Nic więcej tu nie ma — oznajmiłem wreszcie, rozwalając się na kanapie w większym z pomieszczeń. — Czy jest szansa, bym poszedł na szybkie śniadanie? — zapytałem z nadzieją, bo pora była więcej niż stosowna.

— Niech pan chwilę zaczeka — usłyszałem zza ściany.

Domyśliłem się, że policjantka w asyście żony pana Tadeusza (wciąż nie wiedziałem, jak ma na imię) przetrząsała szuflady z bielizną. Kilka minut wcześniej zaglądałem do jednej z nich, ale buszowanie wśród męskich gaci było ponad moje siły. Rozejrzałem się za pilotem i włączyłem telewizor. Trafiłem na prognozę pogody — prezenter informował właśnie, że czeka nas piękne babie lato. Wyciągnąłem spod ramienia uwierającą mnie poduszkę i rzuciłem ją na przeciwległy skraj kanapy. Pod poduszką leżała cienka książka.

O mały włos bym ją przegapił. Sięgnąłem po nią tylko dlatego, że w więzieniu nauczyłem się kochać książki. Chciałem odłożyć ją na szklany stolik — obok tajemniczego listu — ale coś mnie tknęło. Wolumin nie miał tytułu. Przyjrzałem mu się uważnie i dotarło do mnie, że trzymam w ręku oprawiony w skórę notes.

Przekartkowałem go szybko i stwierdziłem, że zapisanych jest tylko kilka pierwszych stron. Próbowałem zrozumieć coś z tych bazgrołów, ale nie byłem w stanie.

Znajdowały się tam głównie nazwiska, numery telefonów i jakieś notatki, których nie potrafiłem odczytać. Początkowo sądziłem, że spisane są w sanskrycie, ale po chwili odnalazłem kilka polskich znaków. Zgadywałem, że autor musiał posługiwać się jakimś szyfrem, którego na pewno nie zdołałem złamać.

Poczułem coś na kształt szczeniackiej dumy, usprawiedliwionej o tyle, że jak do tej pory tylko ja znajdowałem interesujące materiały. Już nabierałem powietrza w płuca, by zawołać policjantkę, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język. Dosłownie, niemal do krwi. Wpatrywałem się w ostatnią zapisaną stronę i sądziłem, że śnię.

Znajdowała się na niej tylko jedna linijka tekstu. Bazgroły układały się w moje imię i nazwisko oraz słowo „kontakt”, zapisane po myślniku.

Nie wiedzieć czemu spanikowałem. Słyszac głos policjantki informującej mnie, że w szafkach z bielizną nie znalazła nic interesującego, chwyciłem feralną kartkę i szybko wydarłem ją z notesu. A potem zmiąłem ją i schowałem do kieszeni. Gdy weszła do „mojego” pokoju, siedziałem z pozorowaną swobodą i gapiłem się w telewizor.

— Takie interesujące są te reklamy? — spytała zdziwiona, a ja przeniosłem na nią wzrok.

— Szukam nowego proszku do prania — zażartowałem nieudolnie, a potem wyciągnąłem w jej kierunku dłoń z notesem. Notesem, w którym brakowało jednej kartki.

Chwyciła go, a z jej twarzy natychmiast zniknął wyraz pobłażania. Przejrzała go metodycznie, coraz bardziej zadowolona.

— To notes pani męża? — zapytała, a gdy uzyskała potwierdzenie, zwróciła się w moją stronę. — To skarb — poinformowała. — Jeżeli będziemy zmuszeni do wszczęcia poszukiwań, to zawartość tego notesu bardzo nam pomoże. To, co w nim jest, a tym bardziej to, co w nim było — zakończyła zagadkowo.

Pełen najgorszych przeczuć podniosłem na nią pytający wzrok.

— To, co w nim było? — powtórzyłem niepewnie.

Rozpromieniła się.

— Ostatnia zapisana strona została wyrwana — oznajmiła, a ja aż skurczyłem się w sobie. — Nasi technicy bez trudu ustalą, co było na niej zapisane. Długopis na pewno zostawił mikrowgniecenia na kolejnej stronie. Uczylałem się o tym na kursie oficerskim w Szczytnie — dodała z uśmiechem.

To był ostatni moment, w którym mogłem się przyznać do winy. Mogłem opowiedzieć jej o swojej przeszłości i podskórnym lęku przed aparatem sprawiedliwości. Mogłem zrzucić wszystko na nagły atak paniki i oddać jej wydartą wcześniej kartkę. Przecież miałem czyste sumienie. Nie wiedziałem, dlaczego moje nazwisko znalazło się w kajecie pana Tadeusza, ale miałem pewność, że nie zrobiłem nic złego.

Mogłem ułatwić sobie życie, ale zamiast postawić na szczerość, wybrałem milczenie. I tylko grymas na mojej twarzy świadczył o tym, jak ciężko było podjąć tę decyzję.

— Zjadł pan cytrynę czy co?

— Nie, po prostu jestem zmęczony. I głodny.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie, ale po chwili się uśmiechnęła, a ja przywołałem się do porządku. Wiedziałem, że jeżeli nie zapanuję nad nerwami, wcześniej czy później

na moich nadgarstkach zatrzasną się kajdanki.

— Chciałabym prosić pana o jeszcze jedną przysługę. Czy mógłby pan pokazać mi ten cmentarz? Obiecuję, że potem podrzucę pana pod ośrodek. A my — zwróciła się do kobiety — pojedziemy na komisariat. Przekażę pani sprawę kolegom, bo... — zerknęła na zegarek — bo od godziny jestem już po służbie.

Cóż miałem zrobić? Zgodziłem się. Z nerwów zabulgotało mi w brzuchu, ale funkcjonariuszka wzięła to za objaw mojego wygłodzenia.

— Może pan wziąć na drogę jakieś kanapki. Zaczekamy na pana w radiowozie. I jak pan będzie na stołówce — dodała nieśmiało — to niech pan weźmie też coś dla mnie, dobrze? Czuję, że zaraz umrę z głodu.

Podniosłem się, ale jeszcze szybciej zerwała się z krzesła wczasowiczka. Pomyślałem, że też chce coś zjeść, ale po sekundzie zdałem sobie sprawę, że chodzi o coś innego. Z werandy dobiegł nas wyraźny odgłos kroków.

— Może nie będziemy musieli nigdzie jechać — szepnąłem z ulgą. — Zjemy sobie śniadanie i...

Urwałem, bo w drzwiach zamiast tak oczekiwanego pana Tadeusza pojawiła się Ilona. Miała na sobie swój służbowy strój: białą bluzkę i czarną minispódniczkę. Na jej widok żona zaginionego opadła na krzesło jak przekłuty balon. Policjantka westchnęła, a ja... Ja po raz pierwszy nie ucieszyłem się na widok swojej koleżanki.

Ilona błyskawicznie zorientowała się w atmosferze. Spojrzała na mnie pytająco, a potem przeniosła wzrok na policjantkę, odruchowo marszcząc brwi. Wyglądało na to, że niechęć do policji była w naszym ośrodku zaraźliwa.

— A więc tu jesteś — odezwała się, nie przestając patrzeć wrogo na policjantkę. — Nie byłeś na śniadaniu. Pomyślałam, że przyniosę ci coś do jedzenia. Nie sądziłam, że jeszcze cię męczą. Kierownik przyszedł do stołówki prawie godzinę temu.

Popatrzyłem na nią z sympatią, po czym pokręciłem głową.

— To szef nic nie mówił? — spytałem. — Tamta sprawa jest już zamknięta, ale pojawiło się coś nowego. Zaginął pan Tadeusz. Nasz wczasowicz, mąż pani — wskazałem na bladą jak prześcieradło wczasowiczkę.

Większość kobiet zasypałaby mnie gradem pytań, ale Ilona była z innej gliny. Z tego, co się zorientowałem, nie wpadała łatwo w panikę. Wczoraj działała w stanie silnego wzburzenia, ale na ogół była spokojna jak ocean. Być może jej stoicyzm wynikał z bagażu życiowych doświadczeń. Jej życie nie było sielanką. W wieku osiemnastu lat — czyli ponad dziesięć lat temu — urodziła nieślubne dziecko i od tego czasu musiała znosić mnóstwo małomiasteczkowych przytyków. No i zarabiać na siebie, córeczkę i niepełnosprawnych rodziców.

— Czy mogę jakoś pomóc? — spytała tylko, a gdy policjantka powiedziała, że na razie wystarczy jej ja, odwróciła się do niej plecami. — Dawaj mi znać, co i jak — poprosiła, stawiając na stoliku pojemnik z kanapkami i termos z gorącą kawą.

* * *

Radiowóz stał w cieniu wiekowego jaworu. Usiadłem na przednim fotelu, a żona pana Tadeusza przycupnęła z tyłu, za szybą z pleksi. Policjantka przez chwilę rozmawiała

przez radio, a potem upiła łyk kawy.

— W którą stronę mam jechać? — spytała, a ja skończyłem rozmowę z kierownikiem, schowałem do kieszeni telefon i wskazałem ręką na lewo.

— To będzie kiepska droga — ostrzegłem, po czym zająłem się kanapką.

Wyjechaliśmy z Gęglawek, kierując się na południe. Wkrótce asfalt przeszedł w żwirówkę, a gdy wjechaliśmy między pierwsze drzewa, droga zamieniła się w leśny dukt. Policyjny opel insignia podskakiwał na wybojach, a funkcjonariuszka raz po raz ciężko wzdychała. Kiedy o podwozie zagrzechotały kamienie, z jej ust wyrwało się pojedyncze przekleństwo.

— Przepraszam — usprawiedliwiła się, omijając błotnistą kałużę. — Czy naprawdę nie ma tam innej drogi? — spytała po chwili.

Wy tłumaczyłem jej, że Wymyki są leśną osadą otoczoną bagnami. Mieszkało w niej zaledwie kilka osób, głównie w podeszłym wieku.

— Pewnie łatwiej byłoby nam tam dopłynąć — dodałem, bo osada była położona kilkaset metrów od jeziora. — A potem przedrzeć się przez torfowisko.

Policjantka machnęła z rezygnacją ręką i dalej jechała przez zielone piekło. Lśniący wcześniej radiowóz stopniowo pokrywał się błotem. W końcu wjechaliśmy na polanę, na której wznosiło się kilka na wpół zrujnowanych chałup. Na drugim krańcu osady droga przechodziła w ścieżkę.

— Niech pani tu zaparkuje. — Wskazałem na niewielką łączkę tuż przy końcu drogi. — Dalej będziemy musieli pójść pieszo.

Wysiedliśmy, brodząc po kolana w niekoszonej trawie. Nad polanką unosiły się bagienne wyziewy. Pachniało tu mieszaniną obornika i zgniłych jaj. Policjantka zmarszczyła nos.

— Nie potrafiłabym żyć w takim miejscu — przyznała, wypuszczając z radiowozu żonę pana Tadeusza.

— Niech się pani cieszy, że jesteśmy tu w sierpniu — mruknąłem, patrząc przed siebie. — Miesiąc wcześniej zjadłyby panią komary.

Poszedłem przodem, starając się omijać co bardziej grząskie miejsca. Tuż za mną podążała wczasowiczka. Zauważyłem, że zniknął gdzieś jej nerwowy, poświstujący oddech. Szła jak robot. Najwyraźniej przekroczyła już granicę, za którą stres zamieniał się w pozorną obojętność. W przeciwieństwie do niej ja byłem coraz bardziej zdenerwowany. Bałem się tego, co zastanę na starym cmentarzu. Wyobrażenia podsuwała mi koszmarne obrazy...

Przed tygodniem byłem tu z wycieczką. Większość jej uczestników wołała zostać w osadzie, ale kilku śmiazków nie przstraszyło się błota i dotarło ze mną do samego cmentarza. Gdzienigdzie było nawet widać ślady rowerowych opon. Zgadywałem, że zostawiliśmy je właśnie my. W końcu nie jeździło tędy zbyt wiele osób. Ścieżka była mało wyraźna — by dotrzeć do celu, należało się kierować na potężny dąb, który rósł na wyrastającym ponad bagno wyniesieniu. Nekropolia była tuż obok.

Na drzewie przed laty ktoś wyrył serce oraz inicjały dwóch osób. Litery były poczerńiałe ze starości. Ostatnim razem zastanawiałem się, czy miłość okazała się równie trwała, co napis, ale tym razem moje myśli biegły w innym kierunku. Spodziewałem się,

że między nagrobkami natkniemy się zaraz na pana Tadeusza. Śpiącego, pijanego, nieprzytomnego lub... martwego. Celowo przyspieszyłem kroku, chcąc oszczędzić jego małżonce potencjalnych stresów. Albo przynajmniej je opóźnić. Policjantka zrozumiała mnie bez słów i zaczęła zadawać kobiecie pytania, nieco opóźniając jej marsz.

Ale cmentarz wyglądał na pusty. Składało się nań kilkanaście porozrzucanych mogił, nad którymi wznosiły się czarne od rdzy krzyże. Wszystko pokryte było wysokim zielonym dywanem, w którym dominowały pokrzywy. Przez chwilę rozgarniałem nogami ten zielony dywan, ale na szczęście nie krył pod sobą żadnych przykrych niespodzianek. Natknąłem się jedynie na rozbitą butelkę po piwie.

— Pusto! — zakomunikowałem kobietom, które właśnie wyłoniły się zza dębu.

Policjantka — jakby nie do końca mi ufając — dokładnie przeszukała teren cmentarza. W pewnym momencie kucnęła i podniosła z ziemi rozbite szkło. Dostrzegłem, że trzyma je za krawędzie.

— To musi być coś świeżego — oznajmiła z zastanowieniem. — Jeżeli to szkło leżałoby tu dłużej niż kilka dni, to byłyby na nim jakieś pajęczyny czy coś w tym stylu... To chyba był czarny specjal — dodała, patrząc na etykietę. — Czy pani mąż pije takie piwo?

Kobieta pokręciła głową.

— Mąż nie lubi piwa — stwierdziła stanowczo, potwierdzając tym samym wnioski, jakie wyciągnęliśmy po przeszukaniu ich domku. Mimo bałaganu nigdzie nie natknęliśmy się na puste lub pełne butelki. To fakt, facet wyhodował sobie potężne brzuszysko, ale to nie piwo było przyczyną jego otyłości.

Policjantka odłożyła ostrożnie rozbity kawałek butelki na miejsce, z którego go podniosła. To nie był jeszcze moment na zabezpieczanie dowodów. Cały czas wierzyliśmy, że panu Tadeuszowi nic się nie stało.

— Jak on tu dotarł? — spytała niespodziewanie wczasowiczka.

— Słucham? — wyrecytowaliśmy chórem.

— Zastanawiam się, jak mąż się tu dostał. Przecież nie przyszedł na piechotę. I skąd wiedział, jak tutaj trafić?

Odpowiedź na drugie z tych pytań była prosta. Co prawda zorganizowałem w te wakacje już dobre kilkanaście wycieczek, ale miałem niezłą pamięć do twarzy. Doskonale kojarzyłem otyłą sylwetkę pedałuującego pana Tadeusza.

— Był tu ze mną na wycieczce... jakoś w zeszły weekend. A jak się tu dostał? Rowerem lub samochodem. Samochód stoi na parkingu, więc pozostaje...

— Rower — dokończyła za mnie policjantka. — Czy mąż wziął na wczasy własny rower? Czy wypożyczał?

— Wypożyczał — odpowiedziałem machinalnie, wyszukując w telefonie numer do Włodka. — Słuchaj, Włodek — powiedziałem do telefonu od razu, gdy usłyszałem głos kumpla. — Czy pan Tadeusz pożyczał od ciebie wczoraj rower?

Mój kolega przez chwilę milczał.

— To ten pan z brzuszkiem? Po pięćdziesiątce? — upewnił się, po czym usłyszałem szelest kartek. — Tak, mam go w spisie. Wczoraj o piętnastej trzydzięci. I do tej chwili go nie zwrócił. A co? Stało się coś?

Zdałem sobie sprawę, że Włodek jeszcze nie wie o zaginięciu pana Tadeusza, ale to nie był odpowiedni czas i miejsce, by go wtajemniczać.

— Nic ważnego — powiedziałem zdawkowo i chciałem się rozłączyć, ale nie zdążyłem.

— Jeżeli cię to interesuje, to pytał się o ciebie. Chciał wiedzieć, gdzie cię znaleźć. Powiedziałem mu, że jesteś u brata i wrócisz wieczorem. Kontaktował się z tobą?

— Nie — mój głos był spokojny, ale wewnątrz aż się skurczyłem. — A nie wiesz, czego chciał?

— Nie mam pojęcia. Ale chyba bardzo mu zależało. Wyglądał przy tym na...

— Na przestraszonego? — przerwałem.

Usłyszałem jego śmiech.

— Coś ty! Skąd ci to przyszło do głowy? Wyglądał na szczęśliwego. Tak, jakby trafił w totka. Szóstkę, a przynajmniej piątkę.

Rozłączyłem się z niewyraźną miną. Na szczęście policjantka zajęta była badaniem śladów. Wyglądała jak ładniejsza wersja Winnetou, ale to nie był świat Karola Maya. Po chwili podniosła się z kolan i wzruszyła ramionami.

— Te ślady opon mogą tu być równie dobrze od miesiąca — westchnęła, po czym wysłuchała mojej relacji. — Nikogo to nie zdziwiło? To, że nie oddał na koniec dnia tego roweru?

Wyjaśniłem jej, że rowery wypożyczane są wczasowiczom często nawet na kilka dni, a w regulaminie ośrodka nie ma punktu, który kazałby informować o przewidywanym terminie zwrotu. Mówiąc to, przypomniałem sobie o skradzionej wczoraj łodzi. Policjantka wyglądała na bardzo zaciekawioną.

— Dziwne rzeczy się u was dzieją — stwierdziła, gryząc źdźbło trawy. — Kradzież starej łodzi, włamanie do archiwum, a teraz to zaginięcie... A może to się jakoś łączy?

Wzruszyłem ramionami, bo nie lubiłem takiego gdybania. Może tak, a może nie...

Sądziłem, że wrócimy już do radiowozu, ale policjantce wciąż było mało. Chociaż jej dyżur dawno się skończył, postanowiła jeszcze pokręcić się po bagnie. Oczywiście ze mną jako przewodnikiem. Żona zaginionego została na jej polecenie na zapuszczonym cmentarzu, a my zeszliliśmy z wyniesienia, zagłębiając się w podmokłej płataninie chwastów i trzciny, przywodzącej na myśl pola ryżowe.

Na prośbę funkcjonariuszki poprowadziłem ją w stronę niewidocznego stąd jeziora. Nigdy się tu nie zapuszczałem, ale wiedziałem, że woda dochodzi do rzędu olszyn, które wzbijały się w niebo jakieś pięćset metrów od nas. Dziewczyna uważnie patrzyła pod nogi. Sądziłem, że boi się zamoczyć buty, ale okazało się, że chodziło jej o coś innego.

— Patrz! — powiedziała z przejęciem, zapominając, że nie przechodziliśmy na ty.

Trawy przed nami wyglądały jak stratowane. Można było pomyśleć, że ktoś ciągnął tu za sobą jakiś ciężar. Ale ja się w tych stronach wychowałem. Popatrzyłem na nią kpiąco, zapominając na moment o tym, że jest policjantką.

— Myśli pani... myślisz — poprawiłem się — że te ślady mają związek z panem Tadeuszem?

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. Przez chwilę sądziłem, że przywoła mnie do

porządku, ale nie, nie chodziło jej o to, że zrezygnowałem z formy „pani”. Po prostu związek zgniecionej trawy z zaginionym wydał się jej oczywisty.

— Ktoś go tu ciągnął — stwierdziła pewnym głosem. — Popatrz, to są świeże ślady! Może był nieprzytomny...

Pokręciłem głową.

— Jeżeli ktoś go ciągnął, to musiały to być dziki. A z tego, co wiem, dziki na ludzi nie polują.

Stropiła się i po chwili musiała przyznać mi rację. Obszar zgniecionej trawy był zbyt duży. Odniosłem wrażenie, że jej wyobraźnią zawładnął na moment obraz szarżującego dzika. Pomacała się ręką po biodrze i rozpięła kaburę.

— Te dziki... Mogą tu gdzieś być?

Z trudem ukryłem rozbawienie. Myślę, że właśnie w tym momencie zacząłem ją traktować bardziej jak dziewczynę niż policjantkę.

— Chyba nie pochodzisz z tych stron, prawda? Jesteś z miasta?

— Z Warszawy — przyznała. — Jestem typowym mieszczuchem. Po szkółce skierowali mnie do Warszawy, ale zaraz potem na moim komisariacie była redukcja etatów i dostałam do wyboru kilka lokalizacji. Mogielno było najbliżej, więc... Cóż, do wszystkiego można się przyzwyczaić — zakończyła nieco twardszym tonem, pewnie żebym nie pomyślał, że narzeka. — A ty od zawsze tutaj mieszkasz?

— Od zawsze. Jestem chłopakiem z Mazur.

Chciałem dodać coś zabawnego, ale w tym momencie moja dłoń natknęła się na zmiętą kartkę w lewej kieszeni spodenek. Kartkę, którą wyrwałem z notesu. Przypomniałem sobie o swoim postępku sprzed godziny i natychmiast spowaźniałem.

Po kilkunastu minutach brodzenia w bagnie dotarliśmy do brzegu jeziora. Od lustra wody oddzielał nas gęsty pas trzcinowiska. Ruszyliśmy brzegiem, oganiając się od wszechobecnych ważek. Teren był do tego stopnia dziewiczy, że powątpiewałem, by ktokolwiek się tu zapuszczał, jednak tylko do czasu, gdy moim oczom ukazał się wąski drewniany pomost ukryty wśród wysokich trzcin.

— Ale fajne miejsce — stwierdziłem, bo pomost docierał do linii wody, chociaż z dalszych części jeziora był zapewne kompletnie niewidoczny.

Dziewczyna przytaknęła w zamyśleniu, po czym ruszyła po skrzypiących deskach.

Poszedłem w jej ślady. Pomost był stary. Musiał stać tu od wielu lat. Po kilku krokach instynkt ostrzegł mnie, by ostrożnie stawiać stopy, ale stało się to o sekundę za późno. Deska, na której stanąłem, nie wytrzymała moich dziewięćdziesięciu kilo i złamała się z głośnym traskiem. Wpadłem w wodę niemal po pas, zatrzymując się dopiero na rękach.

Życie nauczyło mnie dystansu do pewnych spraw, dlatego nawet się nie zezłościłem. Nogawki spodenek miałem mokre, ale na szczęście portfel i telefon pozostały ponad linią wody. Roztarłem obtartą łydkę i pochyliłem się, by oderwać to, co zostało ze zdradliwej deski. Zacisnąłem palce na spróchniałym drewnie i zamarłem w bezruchu.

— Wszystko w porządku? — zapytała Karolina, ale nie odpowiedziałem jej ani słowem, tylko z makabryczną fascynacją wpatrywałem się w powstałą przed chwilą

wyrwę w pomoście.

Na powierzchni pokrytej rzesą wody unosiła się niebieska czapka z daszkiem. Nie miałem ani grama wątpliwości. Czapka była własnością pana Tadeusza.

Karolina nachyliła się nad wyłamaną deską i gwałtownie zaczerpnęła powietrza, a potem spojrzała mi prosto w oczy. Zrozumieliśmy się bez słów. Wszystko wskazywało na to, że kilkanaście godzin temu na pomoście wydarzyło się coś dramatycznego. Pan Tadeusz mógł oczywiście po prostu tę czapkę zgubić, ale nie bardzo w to wierzyłem. Dopadły mnie czarne myśli. Kto wie, czy w wodzie razem z czapką nie znajdowało się też ludzkie ciało...

Myśli policjantki pomknęły w tym samym kierunku. Położyła się na brzuchu i usiłowała zerknąć pod wodę, ale nie bardzo jej to wychodziło. Dostrzegłem, że drżą jej ręce.

— Odsuń się — rozkazałem, a potem zdjąłem ubranie i powoli opuściłem się do wody.

Nie bałem się trupów. Pobyt w więzieniu zahartował mnie do tego stopnia, że bardziej niż widoku opuchniętych zwłok obawiałem się tego, iż skaleczę się o dno, pokryte twardymi łodygami trzciny. Oraz tego, że dziewczyna zaraz mi tu zemdleje. Była blada i po raz pierwszy dostrzegłem na jej twarzy ślady zmęczenia. Siedziała, obejmując rękami kolana, w pozie zagubionej nastolatki.

Pod pomostem natknąłem się na kilka skorupiaków, lecz na szczęście nie było tu ludzkiego ciała. Kilkakrotnie przepłynąłem wzdłuż pomostu, uważnie się rozglądając.

— Nic tu nie ma! — krzyknąłem z ulgą.

Karolinie wróciły częściowo kolory, ale w jej głosie dalej brzmiała niepewność.

— A jeśli ktoś ukrył zwłoki? Na przykład tam? — wskazała na wyjątkowo bujny gąszcz trzciny po prawej stronie od pomostu.

— Jeżeli komuś zależałoby na zamaskowaniu śladów... morderstwa — powiedziałem, zacinając się lekko na ostatnim słowie — to przecież nie zapomniałby o czapce. Nie, jestem pewien, że w okolicy nie ma żadnych zwłok.

— Sprawdźmy. Jeszcze dzisiaj wrócę tu z ekipą — zapowiedziała, a ja spojrzałem na nią z podziwem, bo po tylu godzinach służby musiała już padać na nos.

Wygramoliłem się z wody i przez chwilę suszyłem w słońcu. Zapowiadała się piękna pogoda. Gdyby nie okoliczności, to pewnie zachwyciłbym się tym uroczym zakątkiem, ale sprawa zaginięcia pana Tadeusza tkwiła we mnie niczym drzazga pod paznokciem. Po raz pierwszy od niemal trzech miesięcy nie czułem w sobie tej rozpiekającej mnie radości. Byłem podenerwowany i przygaszony, a nastrój ten pogłębiał się w momentach, gdy przypominałem sobie o ukrytej w mojej kieszeni kartce z notesu.

Wziąłem ubranie i poszedłem w krzaki, żeby się przebrać. W gęstwinie natknąłem się na oparty o drzewo rower. Tak jak w przypadku czapki, tak i teraz nie miałem wątpliwości. Rower był własnością ośrodka. Szybko założyłem spodenki, po czym zawołałem Karolinę. Kiedy oglądała rower, ja niespiesznie dopasowywałem do siebie wszystkie elementy układanki.

— Wychodzi na to, że opuścił to miejsce łodzią — powiedziałem wreszcie i od razu pomyślałem o łódce ukradzonej sprzed naszego hangaru.

Na twarzy dziewczyny pojawiła się determinacja.

— Nie ma na co czekać — oznajmiła. — Pojedziemy na komisariat. Tam przyjmą zgłoszenie i odbębnią tę całą papierkową robotę, a ja wrócę tu z posiłkami.

Wracając, ustaliliśmy, że nie ma co niepokoić czekającej na nas wczasowiczki. Gdy dotarliśmy do cmentarza, przybraliśmy obojętny wyraz twarzy. Chyba dała się nabrać, bo o nic nie pytała. Zadowolona się tylko krótkim komunikatem, że nadal nic nie wiadomo. Kilka minut później siedzieliśmy już we trójkę w radiowozie.

— Podrzucisz mnie do ośrodka? — poprosiłem, a Karolina pokiwała głową.

— Jasne. I tak musimy się tam zatrzymać. Pani nie ma ze sobą dokumentów.

Resztę podróży spędziła, rozmawiając przez radio, odgradzona od wczasowiczki dźwiękoszczelną pleksi. Zapatrzyłem się w okno, marząc o tym, by walnąć się na swoim łóżku i uciąć sobie godziną drzemkę.

Karolina wysadziła żonę pana Tadeusza przed bramą, po czym zatrzymała się na niewielkim parkingu przy zejściu nad jezioro.

— Wrócę tutaj z ekipą za jakieś dwie godziny — powiedziała, posyłając mi zmęczony uśmiech. — Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Będziesz gdzieś w pobliżu?

Nie planowałem na razie opuszczać ośrodka. Wycieczka rowerowa miała wystartować dopiero o piętnastej.

— Jak wszystko dobrze się skończy, to zaproszę cię na lody — powiedziałem i wysiadłem z radiowozu.

Opuściła szybę i lekko wychyliła się przez okno.

— Trzymam za słowo! — krzyknęła, a z jej miny wywnioskowałem, że naprawdę się ucieszyła. Cóż, pewnie nie miała tu jeszcze zbyt wielu znajomych.

Szczęśliwy finał tej sprawy byłby dla mnie błogosławieństwem. W przypadku szybkiego odnalezienia zaginionego mężczyzny policja nie badałaby jego zapisków, a moja mała kradzież — usunięcie ostatniej strony notesu — pozostałaby nieodkryta. Mógłbym wtedy spytać pana Tadeusza, w jakim celu umieścił w notesie moje nazwisko. Ale na razie pozytywne zakończenie wydawało się dalekie, a po chwili... po chwili jeszcze się oddaliło.

Nieopodal zejścia nad jezioro natknąłem się na trzech diskutujących ze sobą mężczyzn. Jeden z nich wyglądał na zdenerwowanego, a pozostali dwaj byli wyraźnie rozbawieni. Znałem ich wszystkich z widzenia. Byli miejscowymi rybakami.

— Co panów tak rozbawiło? — zapytałem z irytacją, która była w tej sytuacji jak najbardziej na miejscu.

Z twarzy rybaków zniknęły złośliwe uśmiechy. Cóż, cieszyłem się w okolicy dość ponurą sławą...

— Plecie coś trzy po trzy... Jak zwykle — poinformował mnie jeden z nich, zabarwiając głos należnym szacunkiem.

Spojrzałem na niego ostro, a potem przeniosłem wzrok na trzeciego rybaka. Tego, który był przedmiotem drwin. Był wysokim, żylastym mężczyzną z długą, siwą brodą. Jego oczy miały dziwny wyraz. Były puste. Przywodziły na myśl oczy osoby dotkniętej demencją. Albo szaleństwem.

Stary Maciej był szalony, co do tego nie było wątpliwości. Wiedziałem, że dotknęła go kiedyś jakaś straszna tragedia. Stracił kogoś bliskiego, ale nie dopytywałem nigdy, czy chodziło o żonę, syna czy córkę... Od tego czasu wiódł żywot pustelnika, a gdy już — tak jak dziś — wychodził do ludzi, to zazwyczaj bredził coś od rzeczy. Miejscowi często sobie z niego żartowali, co odbierałem jako przejaw skrajnego chamstwa. Od momentu gdy zacząłem pracę w „Rybitwie”, już dwukrotnie stanąłem w jego obronie. Moja mroczna reputacja sprawiła, że w obu przypadkach obyło się bez pyskówek czy — nie daj Boże — rękoczynów. Teraz również dowcipnisie mruknęli coś niewyraźnie i ulotnili się jak kamfora. Patrzyłem na nich z pogardą do chwili, gdy zniknęli w jednej z pobliskich chałup.

— Mogę w czymś pomóc, panie Macieju? — spytałem grzecznie, bo wydał mi się jakiś inny niż zazwyczaj.

Na co dzień sprawiał wrażenie osoby żyjącej gdzieś za szybą, w wykreowanym przez siebie świecie, ale dziś wyglądał na wzburzonego. I zdenerwowanego, skrajnie zdenerwowanego. Oddychał tak szybko, jakby dopiero co przebiegł sprintem osiemset metrów. Bałem się, że lada chwila zejdzie na zawał. Podniósł na mnie swój szklany wzrok i coś powiedział, ale tak szybko, że nie zrozumiałem.

— Słucham? Może pan powtórzyć?

Położył dłoń na sercu, jakby chciał je uspokoić. Albo zapewnić mnie, że to, co mówi, jest najprawdziwszą prawdą.

— Za ujściem rzeczki... — wydyszał. — Tam, na wysokości wysepki...

Poczułem, jak moje ramiona pokrywają się gęsią skórką.

— Ale co tam się stało? — spytałem drżącym głosem.

Popatrzył na mnie i zrobił szybki znak krzyża. Jego głos zabrzmiał zaskakująco spokojnie.

— Poszedłem tam na brzeg, za potrzebą. Za pasem trzciny leży trup.

Może i był szalony, ale od razu mu uwierzyłem. Spełniał się najczarniejszy ze scenariuszy. Poprosiłem, by chwilę zaczekał, a potem pomknąłem do radiowozu, napotykając po drodze spieszącą w tym samym kierunku wczasowiczkę.

— Pani... proszę mi przypomnieć, jak ma pani na imię? — zagadnąłem ją, starając się panować nad zdenerwowaniem.

— Halina — przedstawiła się, patrząc na mnie ze zdziwieniem. — Czy coś się stało? Strasznie pan pobladł. Czy to chodzi o... o mojego męża?

Nie miałem serca, by rujnować jej świat. Poza tym... jeszcze nic nie było przesądzone. Następne słowa podsunęła mi wyobraźnia, wykarmiona setkami przeczytanych książek:

— Nie, to nie ma z nim nic wspólnego. Dowiedziałem się, że na obwodnicy był straszny wypadek. Trzeba tam jechać, ratować... Niech pani wróci do domku i tam na nas czeka.

— Ale... — zaczęła kobieta.

— Niech pani wraca do siebie! — rozkazałem i spojrzałem z naciskiem na Karolinę, która właśnie do nas podeszła.

Była doskonałym obserwatorem. W mgnieniu oka odgadła, że coś było nie tak.

Wysłała panią Halinę do jej domku i zaczęła, aż kobieta znajdzie się poza zasięgiem głosu.

— Co jest? — spytała z napięciem, a ja zaprowadziłem ją do rybaka.

Po niecałej minucie była w radiowozie i rwącym się głosem informowała dyżurnego o odkryciu zwłok. Stałem tuż przy uchylonej szybie i słyszałem każde słowo. Dzięki jej wcześniejszym meldunkom funkcjonariusz orientował się w sprawie.

— Pojedź na to miejsce i daj znać, co i jak — polecił spokojnym głosem. — A ja zaraz powiadomię szefa i prokuraturę.

Policjantka rozłączyła się i spojrzała na mnie błagalnie.

— Pojedziesz ze mną? Nie mam pojęcia, jak tam trafić.

Kiedy pokręciłem przecząco głową, zrobiła wielkie oczy. Złość walczyła u niej z zaskoczeniem.

— A zdajesz sobie sprawę, że w takich sytuacjach policja ma prawo żądać pomocy? — spytała z napięciem w głosie.

— To i tak nic nie da — odezwałem się, po czym otworzyłem drzwi radiowozu. — Wsiadaj i zamykaj. W tamto miejsce nie da się dojechać samochodem. Nawet terenowym. Będziemy musieli popłynąć tam łódką.

Minutę później byliśmy przy hangarze. Włodek na widok policyjnego munduru skrzywił się tak, jakby rozboleły go zęby.

— Daj łódkę... Albo nie, lepszy będzie kajak — rzuciłem w jego stronę, po czym wbiegłem do hangaru.

Ruszył za mną i po chwili położyliśmy kajak na wodzie. Wsiadłem do tyłu i wskazałem Karolinie miejsce przed sobą. Poradziła sobie całkiem sprawnie.

— Co tu się dzieje? — zapytał szeptem Włodek, podając mi wiosła.

Gdy powiedziałem mu, że płyniemy odszukać zwłoki, cicho zagwizdał.

— Wie, że jesteś notowany? — mruknął, a ja zaprzeczyłem. — Uważaj, żeby ci czegoś nie przypięła.

Splunął do wody, podkreślając swój brak zaufania do policji. Miałem podobne poglądy, ale klamka już zapadła. Nie mogłem się teraz wycofać. Podałem Karolinie jedną parę wiosel, a sam schwyciłem drugą i odepchnąłem kajak od pomostu.

Musiało być już koło dziesiątej, bo po jeziorze kręciło się sporo turystów. Mimo flauty w zasięgu wzroku były dwie omegi i trzy deski windsurfiingowe, a także kilka poruszających się sprawniej — bo niewymagających wiatru — rowerów wodnych i łódek wiosłowych. Nie było natomiast motorówek. Na jeziorze Małtygi obowiązywała strefa ciszy.

Omijając niewielką wyspę, przecięliśmy jezioro i wpłynęliśmy w płytką zatoczkę. W przeciwieństwie do centralnej części akwenu tutaj nie było żywego ducha. Nie lubiłem tego miejsca. Brzeg ukryty był za ścianą trzciny, a uschłe kikuty drzew wyglądały jak skierowane w niebo palce kościotrupa. Bogata podwodna roślinność sprawiała, że woda miała tu niezdrową, zgnięzieloną barwę.

— Jesteśmy naprzeciwko miejsca, gdzie znaleźliśmy rower — zakomunikowałem, wskazując ręką na przeciwległy brzeg jeziora, oddalony od nas o jakieś trzysta metrów. — Gdzieś tam powinien być ten zamaskowany pomost — wykonałem ruch ręką, ale

policjantka ledwie się obejrzała.

Doszedłem do wniosku, że zjada ją stres. Nie pytałem, ale wyglądało na to, że będzie to jej pierwszy trup. Uśmiechnąłem się kpiąco, ale w głębi duszy zazdrościłem jej tej niewinności.

Zdjąłem koszulkę, bo zaczęło się robić coraz bardziej gorąco. Przeszukiwałem wzrokiem przybrzeżne trzciny, ale nie byłem w stanie zlokalizować miejsca, w które wpłynął stary Maciej. Ściana trzcin wyglądała na zwartą — rozrzedzała się tylko przy ujściu niewielkiej, leniwie płynącej rzeczki.

— Za ujściem... — przywołałem z pamięci słowa rybaka i skierowałem dziób kajaka w lewo. — Nie wiosłuj przez chwilę — poprosiłem i stopniowo wytraciliśmy prędkość.

Nagle z jednego z bezlistnych drzew zerwała się czapla. Przelatując obok nas, wydała z siebie drwiący skrzek. Zatoczyła nad nami krąg, po czym udała się znów do brzegu. Odruchowo śledziliśmy jej lot i w tym samym momencie zobaczyliśmy wśród stojących nieruchomo trzcin wąski tunel.

— Skręcaj! — poleciała mi niepotrzebnie dziewczyna i za moment dziób kajaka zaszurał o trzciny.

Po chwili znaleźliśmy się w ich lesie. Nad nami unosił się zapach rozkładu — wiedziałem, że za smród odpowiedzialne są gnijące rośliny, ale i tak nie mogłem się pozbyć wrażenia, że to, co czujemy, to zapach zwłok. Wychyliłem się w bok i zobaczyłem, że Karolina zagryza wargi. A potem utknęliśmy na mieliźnie.

— Pójdę i zobaczę, czy coś tam jest — powiedziałem eufemistycznie, nie chcąc nadużywać słowa „trup”.

Była twardsza, niż zakładałem.

— Pójdę z tobą — wychrypiała i podniosła się, o mało nie wywracając kajaka.

— Siedź — mruknąłem stanowczo, po czym, balansując na granicy utraty równowagi, zdjąłem spodenki i zostałem tylko we wciąż wilgotnych bokserkach.

Wszedłem do bagnistej wody i — brodząc w niej miejscami po uda — pchnąłem kajak w kierunku brzegu. Po kilku metrach jego dno zaszurało po wilgotnej ziemi. Podeszedłem do dziewczyny, chcąc jej podać rękę, ale musiałem odskoczyć. Jej ciałem wstrząsnął nagły dreszcz, a potem przechyliła się i zwymiotowała. Spojrzałem na brzeg i skrzywiłem się z obrzydzeniem. Mnie również zrobiło się niedobrze.

Czaple żywią się także padliną. Ciało pana Tadeusza było rozpoznawalne, ale ptak już go napoczął. To nie był miły widok. Machnąłem wiosłem, a czapla wzbiła się w powietrze, patrząc na mnie z wyrzutem. Z jej dziobu zwisał kawałek czegoś, co przypominało... No, mniejsza z tym.

Chciałem wejść na brzeg, ale Karolina złapała mnie za rękę.

— Nie podchodź do niego — powiedziała słabym głosem. — I tak mu już nie pomożesz, a nie możemy zdeptać śladów. To pan Tadeusz, prawda?

Pokiwałem ze smutkiem głową, myśląc o czekającej w ośrodku pani Halinie. Biedaczka, pewnie wciąż myślała, że wszystko dobrze się skończy. Wgramoliłem się do kajaka.

— Mam odpłynąć? — spytałem, bo nie miałem ochoty dłużej wpatrywać się

w okaleczone przez czapkę zwłoki.

Karolina pokiwała głową, po czym wskazała palcem nieco na prawo. Przybiłem do brzegu kilkanaście metrów dalej i pomogłem jej wyjść. Doszła do siebie szybciej, niż zakładałem. Na jej twarz wróciły kolory, a głos znów brzmiał normalnie.

— To mój pierwszy zgon — stwierdziła, potwierdzając moje podejrzenia sprzed paru minut. — Brrr... Chyba się nie przyzwyczaję — dodała, wyciągając telefon.

Połączyła się z dyżurnym i zaczęła mu opisywać miejsce odkrycia zwłok. Stałem przez chwilę obok niej, ale w pewnym momencie poczułem nacisk na pęcherz. Odszedłem kilkanaście kroków, instynktownie oddalając się od miejsca, w którym leżało ciało. Pod stopami chrzęściły mi na wpeł wyschnięte trzciny. Skryłem się za grubym drzewem, odwracając się w kierunku wody. Mój wzrok prześlizgnął się po pokrytym tatarakiem brzegu, po czym zatrzymał się na podłużnym kształcie tkwiącym wśród szuwarów. Zamarłem w bezruchu, zdając sobie sprawę, że patrzę na zieloną łódź. Łódź należąca do naszego ośrodka, oznaczoną numerem siedem.

Chciałem zaalarmować Karolinę, ale przypomniałem sobie, że wciąż rozmawia z dyżurnym. Pomny jej ostrzeżeń, by nie zadeptywać śladów, zostałem tam, gdzie stałem, ale po chwili zwyciężyła ciekawość. Wszedłem do wody i ostrożnie zbliżyłem się do łodzi. W mojej głowie galopowały różne myśli, ale jedna powracała z większym natęctwem niż inne.

Pan Tadeusz nie mógł opuścić ośrodka jednocześnie w łodzi i na rowerze. Łodzią musiał zatem podróżować ktoś inny. Kto? Odpowiedź narzucała się sama.

Autor listu złożonego z liter wyciętych z gazety. Czyli morderca, bo nie sądziłem, by Tadeusza powalił atak serca.

Gdy chwyciłem za burtę, moje tętno przekraczało wszystkie dopuszczalne normy. Miałem wrażenie, że z ukrycia śledzą mnie złe oczy mordercy. Trzciny szumiały w podmuchach wiatru, a słońce zniknęło na moment za pojedynczym obłokiem. Zjrzałem do środka i poczułem, że kręci mi się w głowie.

Dno łodzi wymazane było zakrzepłą krwią, ale nie to było najgorsze. Pod ławką dla wioślarza leżały rozbite okulary przeciwsłoneczne w zielonej oprawie. Znałem je dobrze. Takie same miałem zazwyczaj na szyi lub w kieszeni.

Takie same? A może te same? Starając się nie robić hałasu, dopadłem do wiszących na gałęzi spodenek i nerwowo obmacałem ich bojówkowe kieszenie. Westchnąłem z ulgą, bo moje palce zacisnęły się na etui. Dla pewności je otworzyłem i z moich ust dobyło się kolejne westchnienie. Tym razem nie było w nim śladu ulgi, tylko zaskoczenie. I strach.

Etui było puste.

Jak najszybciej dotarłem z powrotem do łodzi. Drżącą ręką sięgnąłem po okulary, a potem wzięłem zamach, chcąc cisnąć je jak najdalej w trzciny. Powstrzymałem się w ostatniej chwili. Chociaż współwięźniowie opowiadali mi o warsztacie pracy policji, to jak na złość „lekcję” z techniki kryminalistycznej najwyraźniej przespałem. Może sądziłem, że wiedza w tym zakresie nie będzie mi potrzebna? Teraz przeklinałem swoją naiwność, ale mleko się już rozlało. Nie wiedziałem, jak dokładnie badane są ślady i jaki obszar objęty zostaje poszukiwaniami.

Nie mogłem ryzykować, że policja znajdzie na miejscu zbrodni moje rozbite okulary. Z moją kartoteką oznaczałoby to natychmiastowe wakacje w areszcie śledczym. Dlatego schowałem je do etui i wcisnąłem do kieszeni. Tej samej, w której trzymałem zmiętą kartkę z notesu...

Wróciłem na brzeg w tym samym momencie, w którym zza kurtyny zarośli wyłoniła się Karolina.

— Wszystko w porządku? — spytała, patrząc na mnie z troską.

— Musiałem odetchnąć — odpowiedziałem, czując, że mój głos brzmi fałszywie. — Patrz... — chciałem pokazać jej łódź, ale sama ją zobaczyła.

Zapominając o swych wcześniejszych uwagach o niezacieraniu śladów, ściągnęła buty i weszła do wody. Ruszyłem za nią.

— Krew — odezwała się po chwili, wpatrując się z makabryczną fascynacją we wnętrze łodzi. — Czyli to tutaj doszło do... morderstwa. A tam... — wskazała ręką. — Połamane trzciny. Pewnie przyłynęli tędy, a potem morderca przeniósł zwłoki w tamto miejsce — spojrzała strapiionym wzrokiem na brzeg. — Cholera... zdeptaliśmy ślady, ale skąd mieliśmy wiedzieć. Chodź, musimy sprawdzić, czy jest tu jakaś droga, ścieżka, czy coś w tym rodzaju.

Rozumowała logicznie. Skoro morderca dotarł tu łodzią, a łódź wciąż stała w trzcinach, to musiało oznaczać, że opuścił to miejsce w inny sposób. Najprawdopodobniej lądem. Istniała jednak jeszcze jedna możliwość, dlatego ucieszyłem się, że w dłoni policjantki pojawił się pistolet.

Może morderca wciąż się tu czaił.

Stąpając jak saperzy po polu minowym, zagłębiliśmy się między uschłe kikuty drzew. Dalej na przestrzeni kilkudziesięciu metrów rozciągała się podmokła łączka, a jeszcze dalej wyrastał z ziemi las karłowatych drzew. Nigdy tu nie byłem. Podejrzewałem, że nie prowadzi tu nawet najmniej wyraźna ścieżka.

— To musi być ktoś miejscowy — uznała Karolina po kilku minutach, podczas których bezskutecznie szukaliśmy jakiegokolwiek śladu. — Nikt inny nie potrafiłby stąd trafić w cywilizowane strony. Zresztą to miejsce jest doskonałe. Gdyby nie przypadkowa obecność tego rybaka, to zwłoki mogły tu leżeć nieodkryte... bo ja wiem... aż do następnej wiosny?

Nie zgodziłem się z nią. Zatoczka nie była tak bezludnym miejscem, jak mogłoby się wydawać. Rybacy mieli tu swoje sieci i na pewno zdarzało się, że wysiadali na brzeg. Jakby na potwierdzenie moich wątpliwości natknęliśmy się po chwili na miejsce po ognisku oraz pieńki ściętych drzewek. Niektóre całkiem świeże.

— W naszych czasach nie ma już w Polsce zupełnie dziewiczych miejsc — stwierdziłem filozoficznie, po czym pogrążyłem się w ponurym milczeniu.

Motorówka z policjantami dotarła do nas pół godziny później. W tym czasie Karolina balansowała na granicy snu, a ja przetrawiałem w myślach konsekwencje swojego odkrycia, za każdym razem dochodząc do tego samego, przerażającego wniosku.

Ktoś, kto podrzucił tu moje okulary, chciał mnie zrobić w morderstwo.

Ktoś, kto dobrze mnie znał. Kto wiedział, gdzie trzymałem okulary...

Byłem zmęczony i skołowany, dlatego w chwili gdy do brzegu dobili policjanci,

podniosłem się i poklepałem na w pół śpiącą Karolinę po ramieniu.

— Będę już leciał — powiedziałem, posyłając jej zmęczony uśmiech.

— Dziękuję — odpowiedziała sennym głosem, po czym z cichym jękiem wyprostowała się do pozycji siedzącej, wyjmując z włosów pojedyncze źdźbła wysuszonej trawy. — Pewnie ktoś zgłosi się do ciebie w dalszej części dnia. To formalność, złożysz tylko zeznania do protokołu.

Wzdrygnąłem się w duchu, ale nie dałem niczego po sobie poznać. Podałem jej rękę, a potem skinąłem głową pierwszemu z policjantów i skierowałem się do kajaka. Usiadłem z tyłu i chwyciłem za wiosło.

— Hej, nie tak prędko! — usłyszałem od stojącego na brzegu mężczyzny.

Miał koło czterdziestki i szpakowate włosy. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, był jego strój. Garnitur pasował do tego miejsca jak kwiatek do kozucha, a w jego czarnych pantoflach można było się przejrzeć.

— W czym mogę pomóc? — spytałem grzecznie, biorąc go za jakiegoś ważnego policjanta po cywilnemu. Myliłem się.

— Prokurator Patryk Mauer — przedstawił się, strzepując z marynarki niewidzialny pyłek. — Poproszę o pańskie dokumenty.

Wysiadłem z kajaka i podałem mu dowód osobisty. Wpatrywał się w niego tak długo, że zdążyłem się spocić. Na prokuratorów reagowałem jeszcze gorzej niż na policjantów. Wreszcie wyciągnął elegancki notes i spisał moje dane.

— W jakim charakterze pan tu przebywał?

Podrapałem się po głowie. Starąłem się wyglądać jak wios-kowy głupek. Zwykle nieźle mi to wychodziło.

— Służyłem jako przewodnik — bąknąłem. — Najpierw w Wymykach, a potem tutaj. Policjantka mnie poprosiła, a przecież policji się nie odmawia, prawda? Mówiła, że nie zna tych okolic...

Machnął ręką, abym nie kończył, a potem wykrzywił twarz w uśmiechu. Prokurator, który się uśmiecha? Tego jeszcze nie grali...

— Czego pan tu dotykał? — zapytał, oddając mi dokumenty.

Jego ton zdawał się niedbały, ale nie dałem się zwieść. Wiedziałem, że najważniejsze pytania w śledztwach zadawane są właśnie w ten sposób — mimochodem.

— Zwłoki zobaczyliśmy z wody, a na brzeg wyszliśmy w tym miejscu — zacząłem, uważając na każde słowo. — Potem poszliśmy w tamtą stronę i znaleźliśmy łódź. To łajba skradziona z naszego ośrodka...

— Było zgłoszenie? — przerwał mi prokurator.

Poczułem się winny. Cholernie winny. To uczucie było irracjonalne, ale nic nie mogłem na to poradzić. Odpowiadając, gubiłem spółgłoski.

— Jeszcze nie... Nie chcieliśmy zwracać głowy. Liczyliśmy, że się znajdzie...

— Jacy my?

— No... Ja, Włodek i... I nasz szef! — dokończyłem nieco pewniej, podając mu nazwiska. — Po znalezieniu łodzi zatoczyliśmy krąg wokół tej kępy drzew i wróciliśmy tutaj. Ani na moment nie zbliżyliśmy się do ciała...

— A do łodzi?

On wie — pomyślałem, ale udało mi się nad sobą zapanować. Niby skąd miał wiedzieć...

— Ja nie podchodziłem za blisko. Trzymałem się za panią Karoliną... Wspomniała, że w środku jest krew, ale ja nie chciałem tego oglądać. Nie lubię takich widoków.

— Aha — mruknął bez wiary w głosie, zapisując coś w notesie. — Poproszę jeszcze o pana numer telefonu.

Podaliśmy mu swój numer, a potem spytałem, czy mogę już odpłynąć. Popatrzył na mnie uważnie i przez chwilę miałem wrażenie, że nie uwierzył w żadne moje słowo. A potem niespodziewanie podał mi rękę.

— Tak, oczywiście. Dziękuję za współpracę.

Odwrócił się i poszedł w stronę zwłok, którymi zajmowała się już policyjna ekipa. Nie czekając, aż sobie o czymś przypomni, wskoczyłem do kajaka i odwróciłem go dziobem w kierunku jeziora, a potem — nie oglądając się za siebie — wypłynąłem z trzciny.

Prułem wodę wiosłami tak prędko, jakby od tego miało zależeć moje życie. Chciałem jak najszybciej oddalić się od zwłok, zakrwawionej łódki i podejrzliwego prokuratora. Zatrzymałem się dopiero o dwieście metrów od przystani „Rybitwy”. Rozglądając się na boki, pozbyłem się obciążających mnie dowodów — rozpuściłem w wodzie zmiętą kartkę z notesu, a potem wyrzuciłem za burtę rozbite okulary, przywiązując je przedtem gumką recepturką do znalezionej w kajaku kamienia. Natychmiast poszły na dno, osiadając gdzieś w mule, dwadzieścia metrów niżej. Przez moment czułem ulgę, ale potem przypomniałem sobie o czekającej w ośrodku pani Halinie i moje piersi przygniótł ogromny ciężar. Nie miałem pojęcia, jak spojrzę jej w oczy.

Dobiliśmy do brzegu i wyciągnąłem kajak. Mimo pięknej pogody przystań była pusta — wczasowicze szykowali się zapewne do obiadu. Nigdzie nie widziałem też Włodki. Leżak był złożony, a drzwi do hangaru zamknięte na głucho. Ciągnąc kajak po ziemi, zastanawiałem się, gdzie mógł się podziewać. W końcu w godzinach pracy nie powinien opuszczać przystani.

Zagadka jego nieobecności rozwiązała się sama. Zobaczyłem go nieopodal wejścia na plażę, pod sezonowym sklepikiem. Z ponurą miną odpowiadał na pytania młodego policjanta. Domyśliłem się, że tematem ich rozmowy było wczorajsze zniknięcie łodzi.

Posłałem mu współczujące spojrzenie i poszedłem w kierunku bramy ośrodka. Dogonił mnie po kilkunastu sekundach.

— Co tam się stało? — mruknął, wskazując na jezioro.

Rozejrzałem się, nigdzie nie widząc młodego policjanta. Mimo to ściszyłem głos.

— Znaleźli łódź. A zaraz potem zwłoki pana Tadeusza.

Włodek syknął tak, jakby rozbolał go ząb, i wyrzucił z siebie kilka przekleństw. A potem popatrzył na mnie uważnie.

— Policja pytała mnie przed chwilą o to, czy wczoraj nie kręcił się tutaj nikt obcy. Myślałem, że chodzi im o tę cholerną łódź, i nawet się dziwiłem, że interesuje ich taka głupota...

— I co im powiedziałeś? — przerwałem mu pytaniem, choć z góry wiedziałem,

jaka będzie odpowiedź.

— Wiesz, jak tu jest. Czasem wpadnie ktoś z WOW-u, czasem pojawią się jacyś miejscowi, czasem ktoś przejazdem... Co chwila widzę nowe twarze i ich nie zapamiętuję. Chyba że chodzi o ładne babeczki — zaśmiał się rehotliwie, ale po chwili na jego twarz powrócił poważny wyraz. — Ale ten chłopak pytał o coś jeszcze. Pytał o wczasowiczów, ale też o pracowników ośrodka. Powiedziałem, że nie pamiętam, czy któryś z nich kręcił się po nabrzeżu, ale... chyba mi nie uwierzył. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć, ale jeżeli tu chodzi o trupa... Czy to było morderstwo?

Westchnąłem ciężko, bojąc się tego, co zaraz usłyszę. Włodek miał taką minę, jakby właśnie skończył kopać grób.

— Wszystko wskazuje na to, że tak — bąknąłem.

Splunął pod nogi.

— W takim razie zaczną od ustalania alibi. A w takiej sytuacji... cóż, ty nie jesteś kryty. Nie było cię tutaj przez pół dnia, prawda?

Zakląłem, bo coraz mniej mi się to podobało.

— Włodek... Ja mam wrażenie, że ktoś chce mnie zrobić.

Opowiedziałem mu o okularach. Wysłuchał mnie uważnie, po czym zmarszczył czoło. Jego oczy rzucały wrogie błyski. Chciał mi coś powiedzieć, ale nagle zmienił zdanie.

— Dzień dobry, szefie — wyrecytował, kierując wzrok gdzieś za moje plecy.

Odwróciłem się i zobaczyłem zbliżającego się kierownika. Wyglądał jak gradowa chmura.

— Co tu się dzieje?! — warknął, wbijając we mnie wrogie spojrzenie. — Podobno szuka mnie policja. Ilona dzwoniła, że pytali o mnie na stołówce. Tylko mi nie mów, że chodzi im o wczorajsze zajście. Myślałem, że sprawa jest zamknięta. Miała być zamknięta, czyż nie?

Siedziałem w jednej celi z naprawdę groźnymi ludźmi, więc jego złość nie zrobiła na mnie wrażenia. Popatrzyłem na niego beznamiętnie i niespodziewanie dostrzegłem, że irytacją maskuje inne uczucie. Strach.

— Nie chodzi o to, co stało się wczoraj, tylko o wydarzenia z dzisiaj...

— Coś z tym wczasowiczem, co niby zaginął? Znalazł się?

— Tak, znalazł — odpowiedziałem, obserwując jego reakcję. — Niestety martwy...

Po moich ostatnich słowach na jego twarzy pojawił się niepokój. Wydobywające się z jego ust przekleństwa były niemal równie kwieciste, jak te wypowiedziane przed chwilą przez Włodka. Odniosłem jednak wrażenie, że jego reakcja nie była równie szczerą, co hangarowego. Nie przejął się samą śmiercią, tylko tym, co ona oznacza. W jego przypadku była to konieczność współpracy z policją, czego tak bardzo chciał uniknąć. Zacząłem się zastanawiać, z czego wynika jego niechęć do organów ścigania, ale szybko machnąłem na to ręką. Miałem przecież swoje problemy.

— Czy widział pan na terenie ośrodka żonę zmarłego? — spytałem, chcąc uniknąć przypadkowego spotkania.

Kierownik odplynął myślami dość daleko.

— Kogo? A, żonę... Nie, nigdzie jej nie było. Czy masz jakieś plany na popołudnie? — spytał niespodziewanie.

Przeleciałem w myślach swój dzisiejszy grafik.

— O piętnastej miała być wycieczka do Nadrowa, ale w takiej sytuacji pewnie ją odwołam. A tak poza tym jestem wolny.

Podrapał się po głowie. Taki gest oznaczał, że intensywnie myśli.

— Dzieje się tutaj coś złego — stwierdził wreszcie, błędząc wzrokiem po koronach drzew. — Chciałbym wiedzieć, co dokładnie zostało wczoraj wyniesione z archiwum... Na pewno nie było to nic ważnego, ale w obecnej sytuacji... Musimy do tego dojść. Choćby dlatego, by nie czepiała się nas policja.

Wziął mnie pod rękę i wydał mi polecenie. Zerknąłem na Włodka.

— Możemy go wziąć? — spytałem, ale kierownik stanowczo pokręcił głową.

— Włodek zajmie się czymś innym — stwierdził, a potem skinął na niego ręką i obaj szybko oddalili się w kierunku przystani.

Idąc na stołówkę, zastanawiałem się, czy będę w stanie wypełnić otrzymane polecenie. Przerwałem te rozważania dopiero w chwili, gdy odnalazłem Ilonę. Stała w sportowym staniku nad zmywakiem. Kiedy mnie zobaczyła, zarumieniła się po same uszy.

— I co z panem Tadeuszem? Znalazł się? — spytała zaraz po tym, jak zapięła białą koszulę.

Po raz kolejny tego dnia poczułem się jak Tanatos — grecki bóg śmierci. Ilona nie przeklinała. Jej brązowe oczy wypełniły się łzami. Usiadła na krześle i ukryła twarz w dłoniach, a potem ścisnęła rękę, którą dotknąłem jej ramienia.

— Życie bywa brutalne — westchnąłem, czując, jak banalny jest to tekst.

Po kilku minutach przekazałem jej słowa kierownika. Podniosła na mnie zaczerwienione oczy.

— Ale... czego mamy tam szukać?

— Tego niestety nie powiedział. Mamy iść do archiwum i spróbować ustalić, co wczoraj zostało skradzione. Nie pytaj, jak mamy to zrobić. Wiem tyle, co i ty.

Konkretne zadanie pozwoliło jej zapanować nad emocjami. Gdy wyszliśmy z budynku stołówki, już prawie nie płakała. Ruszyliśmy betonową ścieżką, ścinając zakręty. Nagle chwyciła mnie za ramię i pociągnęła na prawo, chowając się za żywopłotem.

— Żona — szepnęła bezgłośnie, a po policzkach znów popłynęły jej łzy.

Wyjrzałem ostrożnie zza żywopłotu i zobaczyłem panią Halinę w towarzystwie młodego policjanta i jeszcze jednego mężczyzny, w cywilnych ciuchach. Po wypchanej torbie rozpoznałem w nim lekarza. Pani Halina poruszała się lekko niczym duch. Domyśliłem się, że po przekazaniu tragicznych wiadomości nafaszerowali ją lekami. Nie miałem pojęcia, gdzie idą. Miałem nadzieję, że do szpitala, a nie na formalną identyfikację zwłok. Denat nie nadawał się do oglądania...

Odczekaliśmy jakiś czas, a potem ruszyliśmy dalej. Po chwili dotarliśmy do budynku, którym mieściło się archiwum. Potłuczone kawałki szyby skrzyły się w promieniach słońca. Pchnąłem drzwi i jako pierwszy wszedłem do środka. W wąskim

korytarzu było ciemno jak w zatrzaśniętej trumnie. Namacałem włącznik światła i pod sufitem rozbłysły żarówki.

Pacnąłem się w czoło.

— Wczoraj ktoś wyłączył prąd. Wiesz, co to oznacza?

Ilona przez chwilę kojarzyła fakty. Tak jak ja wiedziała, że to w piwnicy są korki. I to w takim miejscu, do którego trudno było trafić.

— To nie był wczasowicz. Ani ktoś z zewnątrz. To musiał być ktoś, kto dobrze zna ośrodek — powiedziała.

Pokiwałem głową. Tajemniczy mężczyzna w masce był kimś stąd. Zastanawiałem się, czy go znam. A może chodziło o kogoś z byłych pracowników?

— Ile lat tu pracujesz? — zapytałem.

Ilona zaczęła liczyć na palcach.

— Cztery — powiedziała po chwili. — Moja córka miała wtedy niecałe sześć lat. Chodziła do zerówki.

Poprosiłem ją, by w wolnej chwili sporządziła listę byłych pracowników ośrodka. Z adresami, numerami telefonów i czymś na kształt rysu psychologicznego. Zrobiła wielkie oczy, ale obiecała, że się tym zajmie. Z zadowoleniem zatarłem ręce.

To nie było tak, że nagle obudził się we mnie detektyw amator. Nie miałem w sobie ciągłot do naprawiania świata — uważałem, że od tego jest policja. Ale dręczył mnie niepokój. Ktoś chciał mnie w coś zrobić i wcale mi się to nie podobało. Dlatego postanowiłem dowiedzieć się jak najwięcej.

W pomieszczeniu archiwum oświetlenie nie było już potrzebne. Przez wyłamane okno wpadało wystarczająco dużo dziennego światła. Patrząc na powysuwane szuflady, poczułem chwilowe wyrzuty sumienia. Obawiałem się, że zatrzemy ślady, ale skoro otrzymałem takie polecenie, a policja jak dotąd nie wpadła, by czegokolwiek tu szukać... Pochyliłem się, zamierzając przesunąć tarasujący mi drogę fotel na kółeczkach, ale Ilona złapała mnie za rękę.

— Czeka! — zawołała, po czym z tylnej kieszeni roboczych dżinsów wyciągnęła dwie pary gumowych rękawiczek, których używała do zmywania. — Załóż to — zaordynowała, wręczając mi większy z zestawów.

Rękawiczki piły mnie w dłonie, ale pozwalały nie zostawiać odcisków palców. Zbliżyłem się do szuflad i przez chwilę zastanawiałem, od czego zacząć. Kierownik mówił wczoraj, że niektóre z szuflad były po włamaniu wysunięte, ale najwyraźniej wsunął je z powrotem. Było ich wszystkich łącznie piętnaście: pięć rzędów po trzy szuflady. Postanowiłem być metodyczny, mając nadzieję, że metodyczny był także archiwista. Jeżeli w dokumentach był groch z kapustą, to szanse na określenie, co zginęło — nawet w sytuacji zlokalizowania opróżnionego miejsca — były bliskie zeru. Zacząłem od lewej strony od góry, a Ilona odruchowo wybrała przeciwny kraniec metalowego regału — z prawej, od dołu.

Dokumenty w pierwszej z szuflad były pożółkłe ze starości. Pochodziły z lat pięćdziesiątych i pełno było w nich kurzu. Kilkakrotnie kichnąłem, a potem zacisnąłem palce na nosie. Nie podejrzewałem, by złodzieja interesowały takie starocie, ale na wszelki wypadek pobieżnie je przejrzałem.

Pierwszy z dokumentów, podpisany przez przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej w Nidzicy, datowany był na luty 1951 roku i dotyczył przekazania w zarząd siedmiohektarowego terenu dawnego poligonu na potrzeby ministerstwa bezpieczeństwa publicznego. Następne papiery dokumentowały historię budowy placówki, która wówczas nazywana była Ośrodkiem im. marszałka Nikołaja Bułganina, a później — po popadnięciu marszałka w niełaskę — Ośrodkiem Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Został otwarty w 1952 roku, a przecięcia wstęgi dokonał przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie Mieczysław Moczar. Tak, ten sam Mieczysław Moczar, który jako szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi miał na rękach krew setek żołnierzy Armii Krajowej. Lekko się wzdrygnąłem.

— U mnie na razie archeologia — rzuciłem w kierunku Ilony, a potem mruknąłem pod nosem: — I to wyjątkowo wstrętne...

Zawartość kolejnych szuflad zdawała się nie wnosić nic nowego. Stanowiła doskonały materiał dla kogoś, kto chciałby napisać pracę magisterską z historii ośrodka, ale dla nas była równie przydatna co... kombajn. Można ją było streścić w jednym zdaniu: mijały kolejne lata, ośrodek się rozwijał, a nad tym rozwojem — z charakterystyczną dla siebie troską — czuwała Polska Ludowa. Propagandowy bełkot, od którego rozboleła mnie głowa.

Nieco ożywienia wprowadziła w dokumentach transformacja ustrojowa. Ośrodek został przemianowany na „Rybit-wę” i zaczął działać na zasadach komercyjnych. Pojawiły się wezwania komornicze, kredyty i ugody przedsądowe, a także sprawy o niegospodarność i korupcję. Słowem, typowe piekielko młodej demokracji. Wszystko zmierzało ku bankructwu, ale na szczęście pomocną dłoń wyciągnęło państwo, a konkretnie Ministerstwo Edukacji Narodowej. Ośrodek został wciągnięty w jego struktury i służył odtąd jako placówka wychowawczo-oświatowa, co w praktyce sprowadzało się do organizowania kolonii, zielonych szkół oraz wypoczynku dla nauczycieli i pracowników ministerstwa.

Mniej więcej od przełomu wieków dokumentacja stawała się bardziej szczegółowa. Zbiegało się to w czasie z powołaniem nowego kierownictwa — szefem ośrodka został wówczas poprzednik obecnego kierownika. Ten, który miał potem stracić stanowisko po kontroli NIK-u. Być może rzeczywiście coś nabroił, ale nie można mu było odebrać jednego. Był niezwykle skrupulatny — za jego czasów wszystko przenoszono na papier, a dokumentacja prowadzona była w sposób wzorowy.

Przedzierałem się przez nią z mozołem, trąc łzawiące od kurzu oczy. Niekończące się strony wypełnione były planami, wykresami, bilansami i rzędami cyfr. A także nazwiskami — zgadywałem, że są to spisy uczestników kolonii, wczasowiczów oraz dawnych pracowników ośrodka. Próbowałem się wgryźć w jeden z takich spisów, ale nazwisk było tak dużo, że nie byłem w stanie wyłowić niczego ciekawego. Żałowałem, że dokumentacja nie była prowadzona tak jak teraz — w sposób elektroniczny.

Działałem szybciej niż Ilona. Zabierałem się już do czwartego rzędu, podczas gdy ona dopiero skończyła pierwszy. Otworzyłem kolejną szufladę i dotknąłem łydką jej biodra. Klęczała bezpośrednio pode mną. O mały włos, a bym ją nadepnął.

— Masz coś? — zapytałem bez wiary.

Nie odpowiedziała. Zobaczyłem, że przesuwa dłonią po zawartości dolnej szuflady. Była do tego stopnia skupiona, że mnie nie usłyszała. Ukucnąłem obok niej i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że coś do niej mówiłem.

— To chyba tutaj — powiedziała głosem, który wibrował z podniecenia. — Spójrz, jaki tu bałagan.

W szufladach, które dotąd przeglądałem, panował względny porządek. Owszem, spośród najstarszych akt wystawały gdzieś pojedyncze, pomięte strony, ale już dokumenty dotyczące ostatnich lat ułożone były tak równo, jakby używano do tego linijki. Tymczasem zawartość tej szuflady wyglądała tak, jakby ktoś ją przeżuł i wypluł. Albo używał jako papieru... niech będzie, że ściernego.

— Kompletny bajzel — stwierdziłem ze zdziwieniem, nachylając się jeszcze niżej.

Spojrzałem na front szuflady i zobaczyłem dwie daty, które ktoś nabazgrał tu flamastrem. Wynikało z nich, że zawartość szuflady dokumentowała okres od stycznia 2010 do grudnia 2011 roku. Niby nie było to tak dawno, ale daty były tak wyblakłe, że niemal niewidoczne. Podejrzywałem, że złodziej ich nie dostrzegł — w świetle latarki ich odczytanie było zadaniem rodem z filmu *Mission: Impossible*. To tłumaczyłoby chaotyczność jego poszukiwań, przejawiającą się w pobieżnym badaniu zawartości kilku innych szuflad.

Ale w końcu i tak trafił na tę właściwą i znalazł to, czego szukał — pomyślałem, patrząc na pomięte kartki.

— Popatrz, tu jest puste miejsce! — Ilona lekko podniosła głos, wrywając mnie z zamyślenia i stwierdzając coś, co potwierdzało moje podejrzenia. — Widzisz? Te strony są podarte, a ta... prawie przerwana — popatrzyła na mnie wzrokiem wygłodniałego sokoła, który właśnie zobaczył gołębia. — Tak, to musiało być wyciągnięte właśnie stąd. Ciekawe, co tam było...

Wpatrywała się w opróżnione miejsce jak sroka w gnat. Opadłem na kolana i włożyłem głowę pod jej ramię.

— Daj zobaczyć — poprosiłem, ale przesunęła się tylko o kilka centymetrów.

Nie sposób było zgadnąć, ilu kartek brakowało. Równie dobrze mogło ich zniknąć pięćdziesiąt albo... jedna. Ale nie było wątpliwości — coś zniknęło. Pozostałe dokumenty były porozrzucane i zgromadzone w dwóch oddzielnych plikach. Między nimi ziała dziura, w której pozostały strzępy podartego papieru.

Postępując z wysiłku, wyjąłem szufladę z zawiasów i położyłem ją na biurku, a potem przysunąłem sobie fotel. Ilona zajęła miejsce z drugiej strony blatu.

— Tu są jakieś rachunki... A tutaj lista zakupów spożywczych — mruzczała pod nosem, sięgając do wnętrza szuflady i wyciągając przypadkowe dokumenty.

Uznałem, że działanie na chybił trafił daleko nas nie zaprowadzi. Wyjąłem z jej dłoni coś, co wyglądało jak kwit z pralni, a potem zaproponowałem, byśmy zaczęli od początku.

Pierwsze chronologicznie dokumenty dotyczyły zabawy sylwestrowej. Obejrzałem dokładnie listę gości, natrafiając na kilka znajomych nazwisk z lokalnej elity, a potem przekartkowałem dane odnoszące się do poniesionych wydatków — w tym liczby

opróżnionych butelek. Wśród zgromadzonych kwitów natknąłem się nawet na menu. Wpatrywałem się w nie przez chwilę, a potem przywołałem się do porządku.

W takim tempie przeglądanie zawartości szuflady trwałoby do kolacji.

Ilona studiowała w tym czasie poważnie wyglądający dokument z nadrukiem Ministerstwa Edukacji Narodowej. Przejąłem go od niej i przeczytałem tytuł na pierwszej stronie. Okazało się, że trzymałem w rękach protokół z kontroli wewnętrznej. Przekartkowałem go i zatrzymałem się na załączonej dokumentacji fotograficznej. Doszedłem do wniosku, że przez te kilka lat ośrodek niemal się nie zmienił. Jedyne farba, którą pomalowano główny budynek, była nieco bardziej biała niż obecnie. I zamiast hangaru nad jeziorem stał niewielki barak pokryty blachą falistą.

Dalej także nie było nic ciekawego. Zatrzymałem się dopiero przy spisie pracowników, ale nie odnalazłem w nim nikogo, kogo bym znał. Nie byłem zdziwiony. W takich ośrodkach jak ten zawsze była dość duża rotacja. Pracowali w nich najczęściej młodzi ludzie, traktujący tę pracę jako coś tymczasowego. Nawet pan Janek — nocny stróż — nie pracował tu dłużej niż pięć lat. W 2011 roku pełnił jeszcze służbę wojskową i zamiast na Warmii i Mazurach przebywał w Afganistanie.

Ostatni dokument w pierwszym z plików dotyczył zaopatrzenia. Wyczytałem, że ośrodek zamówił u lokalnego hodowcy dwa oprawione prosiaki. Uśmiechnąłem się odruchowo, a Ilona, która zapoznała się z dokumentem zaraz po mnie — odwróciła się w stronę okna i podniosła oczy ku niebu.

— Czym my się zajmujemy... — westchnęła, po czym pogłaskała się po brzuchu: — Ale kawałek takiej upieczonej świnki to bym zjadła.

Jej słowa przypomniały mi o obiedzie. Podawany był o czternastej, czyli — zerknąłem na wyświetlacz telefonu — za dwadzieścia minut. Musieliśmy się spieszyć i wcale nie chodziło mi tylko o napełnienie własnego brzucha. Ilona była kelnerką — jej obecność w stołówce była niezbędna.

Rzuciłem się w pośpiechu na resztkę papierów i od razu znalazłem w nich coś, co wydało mi się arcyciekawe. Pismo zostało nadane przez ubezpieczyciela i dotyczyło postępowania odszkodowawczego. Przedmiotem tego postępowania był domek letniskowy typu „Brda”, który — według pisma — uległ całkowitemu spaleni w nocy z 22 na 23 lipca. Pismo określało pozostałości po domku jako „zgliszcza”, które nie nadawały się do odbudowy.

Kolejne dokumenty opisywały proces usuwania resztek domku i porządkowania terenu. Brakowało informacji o okolicznościach pożaru. Dwa miesiące później ubezpieczyciel wypłacił odszkodowanie — na konto ośrodka przelane zostało trzydzieści tysięcy złotych. I to by było tyle. Dalsze dokumenty nie nawiązywały do spalonej „Brdy”. Nie było w nich niczego ciekawego.

Podrapałem się po głowie, stwierdzając, że przydałby mi się fryzjer.

— To dziwne — stwierdziłem, a Ilona posłała mi pytające spojrzenie. — Zwróć uwagę, wszystko jest opisane w niesamowicie dokładny sposób. Nawet największe pierdoły. Spójrz, są tu nawet wyniki konkursu wędkarskiego. Lin, kilo sześćset, leszcz, kilo dziewięćset — czytałem. — Tymczasem o tym pożarze nie ma ani słowa. O przyczynach, o zniszczeniach... Przecież w takim domku był jakiś sprzęt, jakieś meble.

Te rzeczy nie były ubezpieczone. Jedynym sensownym wyjaśnieniem jest to, że ktoś je buchnął. Tylko dlaczego? Przecież to było... ponad pięć lat temu.

Mogłem jeszcze mówić, ale dostrzegłem, że Ilona przestała mnie słuchać.

— Słyszałam coś o tym pożarze... — powiedziała w zamyśleniu, podczas gdy ja odkładałem do szuflady ostatnie dokumenty, starając się niczego nie pomieszać. — Ten domek stał niedaleko naszego baraku. Przy samym ogrodzeniu. Teraz są tam tylko chwasty i kilka betonowych klocków.

Postanowiłem, że muszę to zobaczyć. Umówiliśmy się, że pójdziemy tam zaraz po obiedzie.

— Tak naprawdę nie wiemy, czy skradzione dokumenty dotyczyły tego pożaru — westchnąłem, wsuwając szufladę z powrotem do regału i dokładnie ją domykając. — Ale nie mamy innego punktu zaczepienia. Wszystko inne jest tak nudne... Prosiaki i konkursy wędkarskie.

Oboje się zamyśliliśmy. Ciszę przerwała Ilona.

— Trzeba by dotrzeć do ludzi, którzy pracowali wówczas w ośrodku. Albo do osób, które były akurat na wczasach. Mamy spisy wczasowiczów?

— Mamy — otworzyłem z powrotem szufladę i po chwili wyjąłem z niej kilka spiętych kartek. A potem wydałem wargi. — Wtedy była przerwa między turnusami. Typowa „wolna sobota”, tak jak z wczoraj na dzisiaj. W ośrodku nie było żadnych wczasowiczów. Przynajmniej oficjalnie.

Idąc w kierunku stołówki, kombinowałem, kto może mieć jakieś informacje o pożarze, ale nikt nie przychodził mi do głowy. Sam nigdy o nim nie słyszałem. Nie było mnie wtedy w kraju — jak co roku w wakacyjne miesiące przebywałem w Niemczech na pracach sezonowych. Za dwa miesiące pracy płacili mi więcej pieniędzy niż w Polsce za pozostałe dziesięć. Harowałem do upadłego i dziś mogłem się tylko z siebie śmiać, bo tamte pieniądze nie przyniosły mi szczęścia. Podobnie jak ten splachetek ziemi pod Mogielnem, który za nie kupiłem, a który stał teraz niezagospodarowany i zarośnięty dwumetrowym perzem.

— Z czego tak się śmiejesz? — zapytała mnie Ilona.

Opanowałem się, bo to, co było dla mnie powodem do wesołości, u innego wyciskałoby łzy. Nie chciałem, by wzięła mnie za psychola.

— Po prostu cieszę się na myśl o obiedzie — skłamałem. — Co dziś będzie?

Dwie minuty później byliśmy na stołówce. Ilona zniknęła na zapleczu, by zamienić dzinsy na czarną spódniczkę, a ja skierowałem się do stolika dla pracowników. Kierownik siedział już na swoim miejscu, co oznaczało, że przesłuchanie nie trwało długo. Ale jeżeli się z tego cieszył, to doskonale to ukrywał. Jego czoło przecinała głęboka bruzda. Zwrócony twarzą w stronę Włodka, coś mu tłumaczył, gestykulując gwałtownie rękami, a ten słuchał jego słów ze stoickim spokojem, co pewien czas wtrącając jakiś pojedynczy wyraz.

Byłem ciekawy, o czym rozmawiają, ale na mój widok przerwali i odwrócili się w moim kierunku.

— I co, dowiedzieliście się, o co chodzi? — zapytał kierownik, a ja opowiedziałem mu o naszych odkryciach.

Zaciekawienie na jego twarzy ustąpiło miejsca obojętności.

— Słyszałem o tym pożarze. Podobno spalił się jeden z domków. Byli chyba jacyś ranni, a może poparzeni... Paskudna sprawa. Pół roku później NIK wskazał na jakieś nieprawidłowości w ochronie przeciwpożarowej, dokładając do tego zarzut niegospodarności. W związku z ich protokołem posłali kierownika na zasłużoną emeryturę... To było w 2012 roku. Kogo mogą interesować takie stare historie?

Pokręciłem głową.

— Nie mam pojęcia — powiedziałem szeptem, bo obok nas przechodziło właśnie kilkoro wczasowiczów.

Stołówka wypełniona była co najwyżej w jednej piątej. W ośrodku przebywało aktualnie jedynie dwudziestu kilku wczasowiczów. Wszyscy wyglądali na poruszonych, a ich spojrzenia biegły w kierunku stolika zajmowanego zwykle przez pana Tadeusza i jego żonę. Kierownik również zdał sobie sprawę z tych spojrzeń i wiszącego w powietrzu napięcia. Kiedy Ilona pojawiła się w drzwiach kuchni z pierwszą wazą zupy, przywołał ją do siebie.

— Wstrzymaj się przez chwilę — burknął. — Muszę coś im powiedzieć.

Wstał i na sali od razu zapadła cisza. Chyba nigdy jego słowa nie były przyswajane w takim skupieniu.

— Proszę państwa, mam niestety niewesołe wiadomości — zaczął. — Jak zapewne część z państwa już wie, dzisiaj rano znalezione zostało ciało pana Tadeusza. To tragiczny dzień w historii naszego ośrodka. Oczywiście ludzie umierają przez cały czas, ale dla mnie najsmutniejsze są śmierci takie jak ta — w sile wieku... nagle... i niespodziewane. Pan Tadeusz przyjechał tu na urlop i zamiast wypocząć, odszedł na zawsze. Wybaczcie państwo, ale nie znajduję słów. — Kierownik pochylił głowę i otarł płynącą mu po policzku, autentyczną łzę, a potem opadł na krzesło. — Jeszcze chwilę — szepnął do Ilony, a w jego głosie nie było ani grama wcześniejszych emocji.

Spojrzałem na niego z niechętnym uznaniem. Odegrał tę scenkę po mistrzowsku. W tych kilku zdaniach zasugerował, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych. Wiadomo, każdy zgon szokuje, ale zawał czy wylew jest dużo mniej szokujący niż morderstwo. Goście pospuszczali głowy, ale wyczuwałem, że w głębi duszy poczuli się uspokojeni. Doskonale ich rozumiałem — od rana natykali się na policję i musieli wyobrazić sobie Bóg wie co.

Tymczasem kierownik dalej rozgrywał swoją partię. Robił to kompletnie na zimno, ale był przy tym doskonałym aktorem. Jego głos brzmiał w stu procentach autentycznie.

— Zdaję sobie sprawę, jak trudno jest dojść do siebie po takiej tragedii — westchnął i zawiesił na chwilę głos. — Ale jako kierownik ośrodka chciałbym, by życie, chociaż brzmi to brutalnie, biegło swoim trybem. Z doświadczenia wiem, że najlepszym antidotum na melancholię jest wysiłek fizyczny. Dlatego gorąco zachęcam do wzięcia udziału w dzisiejszej wycieczce rowerowej do rezerwatu w Nadrowie. Pan Marcin — tu wskazał na mnie — będzie na państwa czekał o piętnastej przy hangarze, w którym przechowywane są rowery. Natomiast jutro o dziewiątej rano w sali kominkowej odprawiona zostanie msza święta w intencji zbawienia duszy pana Tadeusza. Serdecznie zapraszam do uczestnictwa.

Usiadł, dając znać kelnerce, że może już podawać zupę. Sprawiał wrażenie niezwykle zadowolonego ze swojej przemowy. Trzeba było mu przyznać, że osiągnął cel, który sobie założył. Wczasowicze zaczęli ze sobą rozmawiać, a w pewnym momencie od ich stolików dobiegł nawet stłumiony śmiech. Kierownik popatrzył na nas triumfalnie, po czym dalej raczył się krupnikiem.

Po raz pierwszy odkryłem w nim psychologa. Doskonałego psychologa. Wykorzystując fakt, że nikt nie przyjeżdża na urlop, by chodzić w żałobie, zaproponował wczasowiczom wycieczkę — dając im tym samym pretekst, by przejść nad śmiercią jednego z nich do porządku dziennego. Jutrzejsza msza miała złagodzić ewentualne wyrzuty sumienia. Byłem pewien, że sala kominkowa będzie wypełniona do ostatniego miejsca.

Wszyscy wyglądali na zadowolonych z takiego rozwiązania. Wszyscy z wyjątkiem mnie. Nie miałem nastroju, by włóczyć się po okolicy. Najchętniej usiadłbym gdzieś z butelką piwa, ale nie miałem wyboru. Praca to praca — musiałem jechać.

Pod koniec posiłku, korzystając z o niebo lepszego niż rano nastroju kierownika, poprosiłem go, bym mógł nie wracać z wycieczki, tylko przenocować u brata. Odruchowo pokręcił głową, ale nie zdążył mi odmówić. Do rozmowy wtrącił się Włodek.

— Pojadę z Marcinem — zaproponował. — Rozstaniemy się w Nadrowie. On pojedzie do brata, a ja wrócę tu z wycieczką.

Kierownik pogładził się po swym wysokim czole.

— Dobra — powiedział po chwili. — Może to i lepiej... Dzisiaj nie powinniśmy wypożyczać sprzętu do pływania. Na jeziorze wciąż kręci się policja, a znając nasze szczęście... Pierwszy z wczasowiczów z pewnością trafiłby właśnie do tamtej zatoczki i natknąłby się na trupa. Zamknij hangar na cztery spusty i nie otwieraj go do rana. — Zatarł ręce i uśmiechnął się z zadowoleniem. — Wydaje mi się, że dziś już będzie spokojnie. Ile można...

Wyszedłem na taras i przez jakiś czas gapiłem się bezmyślnie na puste boiska. Nagle ktoś podkradł się do mnie od tyłu i zakrył mi oczy. Wyczułem zapach perfum i się uśmiechnąłem.

— Już po obiedzie?

— Tak. — Odwzajemniła uśmiech Ilona. — Mamy niewiele czasu. Idziemy?

Ruszyliśmy alejką, która prowadziła do naszego baraku, ale w pewnej chwili dziewczyna skręciła w prawo, ciągnąc mnie za sobą. Znaleźliśmy się w najdzikszym zakątku ośrodka. Wokół nas rosły na wpół zdziczałe drzewa owocowe i blisko metrowe chwasty. Kręta ścieżka raz po raz niknęła wśród gęstych krzaczków malin albo jeżyn.

— Jeszcze tu nie byłem — stwierdziłem, wyciągając z łydki kilka kolców. — I chyba tego nie żałuję — dodałem po tym, jak potknąłem się o skryty w trawie zmurszały pień.

W pewnym momencie teren nieco się podniósł. Na niewielkim wzgórku dojrzałem kilka osmalonych desek.

— To tutaj — powiedziała Ilona, przeciskając się przez gąszcz roślin.

Chociaż od pożaru minęło niewiele więcej niż sześć lat, to przyroda zdążyła już przejąć nad tym miejscem absolutną kontrolę. Pozostałości po spalonej „Brdzie” były

niemal w całości przykryte zielonym dywanem roślin. Stojąc w tym miejscu, miało się wrażenie zupełnego odosobnienia. Gęsto rosnące drzewa i krzewy sprawiały, że budowle ośrodka były stąd zupełnie niewidoczne. Jedynym wytworem człowieka, który znajdował się w zasięgu wzroku, było pordzewiałe ogrodzenie. Teren za nim opadał gwałtownie, aż do płynącej dołem rzeczki.

— Jak na uroczysku — stwierdziłem, rozglądając się dookoła.

— Albo jeszcze straszniej — uśmiechnęła się Ilona.

Oboje odruchowo mówiliśmy szeptem. To miejsce miało w sobie dziwny klimat. Z zasady nie wierzyłem w żyły wodne, czakramy czy inne tego typu historie, ale gdybym częściej się tu zapuszczał, to pewnie w końcu bym uwierzył...

Przez chwilę rozgarniałem butem pleniące się na ziemi zielsko, ale nie natknąłem się na nic ciekawego. Zresztą nie spodziewałem się znaleźć tu jakichś wskazówek. Liczyłem tylko na swoją intuicję. A ona wręcz krzyczała do mnie, że wydarzyło się tu coś ważnego.

Zegarek wskazywał, że była piętnasta. Powinienem być już nad jeziorem. Postanowiłem, że zamiast przedzierać się znów przez maliny, spróbuję pójść wzdłuż ogrodzenia. Ruszyłem w tamtym kierunku, ciągnąc za sobą dziewczynę. Po kilku krokach zamarłem.

Mężczyzna miał ponad sześćdziesiąt lat, siwą czuprynę i ascetyczne rysy twarzy. Siedział w wysokiej trawie, pustym wzrokiem wpatrując się w miejsce, gdzie kiedyś stała „Brda”. Nie wyglądał jak ktoś zdrowy psychicznie.

— Dzień dobry — odezwałem się nieco drżącym głosem, wydobywając z pamięci jego imię i nazwisko. — Ale nas pan przestraszył, panie Zbyszku. Czy pan się przed nami ukrywał?

Spojrzał na mnie tak, jakbym wyrwał go ze snu.

— Ukrywał? Nie, ja się po prostu zamyśliłem — stwierdził, podnosząc się na nogi.

Popatrzyłem na niego podejrzliwie. To nie było miejsce, w którym bym się relaksował. Ale cóż... Ludzie są różni. Jedni wolą pospacerować nad jeziorem, a do innych bardziej trafiają takie pustelnie.

— Wybiera się pan na wycieczkę? — zapytałem uprzejmym głosem.

— Nie — pokręcił głową. — Nie lubię tłumów. Wolę samotność.

Pokiwałem głową, udając, że go rozumiem. W końcu w samotności nie było nic złego. Podejrzywałem jednak, że mówiąc „nie lubię tłumów”, miał na myśli „nie lubię ludzi”. A tego zrozumieć nie potrafiłem.

Z tego, co wiedziałem, pan Zbyszek przyjeżdżał tu na wczasy już od kilku lat. Był emerytem. Nigdy nie było z nim problemów, ale też nigdy nie uczestniczył w życiu towarzyskim ośrodka. Włodek określał go mianem dziwaka i odludka. Polemizowałem z nim, twierdząc, że ktoś unikający towarzystwa nie zawsze musi być dziwakiem. Ale teraz byłem skłonny przyznać mu rację. W jego zachowaniu było coś... niepokojącego.

Chciałem zostawić go samemu sobie, ale zanim zdążyłem się oddalić, zagadnęła go Ilona.

— A wie pan, że tu kiedyś był domek letniskowy?

Mężczyzna usiadł z powrotem na trawie.

— Wiem — odpowiedział krótko.

W jego głosie było coś takiego, co kazało mi się cofnąć.

— A wie pan o pożarze? — spytałem z napięciem w głosie.

Spojrzał na mnie ostrym wzrokiem. Nie wyglądał już jak niegroźny dziwak, tylko jak ktoś wyjątkowo zdeterminowany.

— Co pan ma na myśli? — spytał metalicznym, bezosobowym tonem.

Nagle straciłem ochotę na rozmowę. Nie chciałem mieć go na sumieniu. Wyglądał tak, jakby miała go trafić apopleksja. Widocznie pożar wiązał się z jakimiś złymi wspomnieniami.

Ale Ilona była mniej empatyczna.

— Pan tu wtedy był? — spytała jak gdyby nigdy nic.

Myślałem, że wybuchnie, ale się opanował. Przez chwilę wodził wzrokiem po niebie.

— Nie, nie byłem — powiedział, zapalając papierosa. — Przyjechałem tu po raz pierwszy już po pożarze. Stał jeszcze szkielet budowli. Kilka osmalonych filarów i zwęglona ściana. Wczasowiczom nie wolno było tu przychodzić, ale ja jestem przekorny. Miałem sznaucera miniaturkę i musiałem go gdzieś wyprowadzać, a tu zawsze było pusto.

— Przychodził pan tu z psem? — upewniała się Ilona.

— Tak. Wabił się Filip. Wspaniały zwierzak — uśmiechnął się do wspomnień, a zaraz potem posmutniał. — Teraz też tu przychodzę. Zawsze jak tu jestem. Częściowo z przyzwyczajenia, a częściowo dla tradycji. To było nasze miejsce — w jego oczach zalśniły łzy. — Ten pies był wszystkim, co mi zostało...

Ilona przez chwilę milczała. Zauważyłem, że też była bliska płaczu. Wiedziałem, że uwielbia psy.

— Pana pies... piesek... już go nie ma, tak? — wyjąkała.

Mężczyzna wydmuchał z płuc dym i pokręcił głową, zagryzając wargi. Ilona mruknęła po nosem, że jej przykro, a potem ruszyła przed siebie. Podejrzywałem, że będzie płakać, i szybko ją dogoniłem.

— Ruszyło cię, prawda?

Popatrzyła na mnie oczami mokrymi od łez.

— A ciebie nie? — spytała z wyrzutem. — Przecież to takie... takie przejmujące. Facet co roku jeździ tu na wczasy, zaszywa się w tym samym miejscu i... wspomina swojego psa. Czy może być większy dowód przywiązania? Dlaczego się śmiesz? Wiesz co? Ty po prostu nie masz serca.

Odwróciła się ode mnie obrażona. Siłą woli opanowałem śmiech, bo chociaż była naiwna, nie chciałem jej sprawiać przykrości. A potem zacząłem myśleć o panu Zbyszku.

Przywołałem z pamięci jego minę, gdy spytałem go o pożar. To nie była mina człowieka, który włóczy się po chaszczach, wspominając swojego psa. W jego oczach nie było wtedy smutku, tylko złość. A nawet wściekłość. Byłem pewien, że jego obecność w tamtym miejscu miała jakieś drugie dno. Nie wiedziałem, jak powiązać to z pożarem, ale facet z pewnością coś ukrywał i dlatego uraczył nas tą łzawą historyjką o psie.

Przez moment zastanawiałem się, czy to nie on wykradł dokumenty dotyczące

pożaru, ale uznałem, że to niemożliwe. Złodziej był wyższy i postawniejszy. I na pewno nie miał sześćdziesięciu kilku lat.

— No nie gniewaj się — poprosiłem Ilonę, gdy dotarliśmy pod stołówkę. — Po prostu nie bardzo wierzę w tę jego miłość do zwierząt. Pamiętasz, jak wyglądał, gdy go zobaczyliśmy? Chodzi mi o twoje pierwsze wrażenie.

Ilona ostatni raz pociągnęła nosem i szybko się opanowała. Przez chwilę milczała, a potem w jej oczach pojawiła się ciekawość. Kobiety lubią takie psychologiczne łamigłówki.

— Jak wyglądał? — powtórzyła. — Siedział za krzakiem i się... czał — dokończyła ze zdziwieniem.

— Dokładnie — uśmiechnąłem się. — A poza tym wyglądał na niezadowolonego, że nas tam zobaczył. Moim zdaniem tu nie chodzi o żadne podróże sentymentalne... o żadne wspomnianie zdechłego psa... — urwałem, gdyż przyszedł mi do głowy pewien pomysł. — Słuchaj, czy mogłabyś dziś wieczorem wrócić do archiwum?

Zrozumiała mnie w mgnieniu oka.

— Chodzi ci o to, żeby sprawdzić, kiedy po raz pierwszy był w ośrodku, prawda? Pokiwałem głową.

— Byłbym ci wdzięczny.

— Pójdę tam po kolacji. I tak mam dzisiaj wolny wieczór, więc tylko bym się nudziła — powiedziała, a potem dodała tytułem wyjaśnienia: — W tym tygodniu moją córeczką opiekuje się babcia. Samotne wieczory potrafią być bardzo długie.

Podziękowałem jej, zastanawiając się jednocześnie, czy skarga na samotne wieczory miała być w założeniu zawołowanym zaproszeniem, by trochę te wieczory uatrakcyjnić. Chciałem powiedzieć coś równie dwuznacznego, ale nagle poczułem ukłucie niepokoju.

— Tylko obiecaj mi, że skończysz przed zmrokiem — poprosiłem, a ona bez przekonania pokiwała głową. — Zresztą poproszę Włodka, by miał na ciebie oko.

Pożegnałem Ilonę i zbiegłem nad jezioro. Przed hangarem tłoczyli się niemal wszyscy wczasowicze. Brakowało jedynie pana Zbyszka. Włodek wydawał właśnie ostatnie rowery. Kiedy wpadłem do środka, popukał w szkiełko zegarka.

— Kwadrans akademicki dawno już minął — stwierdził, a ja parsknąłem śmiechem, bo mój kolega miał tyle wspólnego ze światem naukowym i studiami, co ja z wyszywaniem serwetek.

Najpierw pedałowaliśmy szosą przez las, a potem skręciliśmy w drogę gruntową. Znałem tę okolicę jak własną kieszeń. Chociaż później mieszkałem na przedmieściach Mogielna, to przecież kilka pierwszych lat świadomego życia spędziłem, uganiając się właśnie po tych lasach. Rodzice mieli chałupę nieopodal Gęglawek, niemal nad samym jeziorem. Do Gęglawek nie prowadziła wówczas szosa, tylko zwykła szutrowa droga. Jeździliśmy po niej z bratem na jego motorynce — to właśnie po wywrotce na tej drodze została mi na kolanie potężna blizna. Bardzo wtedy płakałem i nie chodziło mi o zranione kolano, tylko o zbity reflektor i zarysowany bak.

Uśmiechnąłem się do wspomnień i podzieliłem się tą anegdotą z towarzyszami wycieczki. Wszyscy śmiali się serdecznie, a ja jeszcze raz utwierdziłem się

w przekonaniu, że jestem coraz lepszy w tym, co robię. Wczasowicze dobrze się ze mną bawili. Nie było w tym oczywiście nic nadzwyczajnego, ale i tak rozpierała mnie duma.

Przez całe lata bałem się, że nie będę umiał poradzić sobie na wolności. Ale sobie poradziłem i już prawie nie tęskniłem za dawnym życiem. To nowe coraz bardziej mi się podobało, choć kryło wiele pułapek — tak jak choćby próba wrobienia mnie w morderstwo...

Przez długi czas pedałowaliśmy, myśląc o przeszłości. Dlatego kiedy w połowie drogi, podczas krótkiego popasu nad niewielkim leśnym jeziorem, podszedł do mnie ktoś, kto był częścią mojego dawnego życia, odruchowo się wzdrygnąłem.

— Ale masz kondycję! Nawet się nie spociałeś — usłyszałem.

Czarek uczył w naszej szkole wuefu, podczas gdy ja byłem polonistą. Zaczęliśmy pracę mniej więcej w tym samym czasie — czyli około dziesięciu lat temu — i na początku trzymaliśmy się razem. Jednak w pewnym momencie ta przyjaźń się skończyła.

— Od dwóch miesięcy ciągle się ruszam — powiedziałem, czyniąc zapraszający gest.

— A ja od dwóch miesięcy leniuchuję — zaśmiał się i usadowił obok mnie, na ściętym drzewie. — Patrz, jak przytyłem. Ledwo się dopinam...

Oczywiście przesadzał. Owszem, przybyło mu przez te lata z pięć kilogramów, ale był w takim wieku, że to nie dziwiło. Od czasu gdy rozmawialiśmy ostatni raz, obaj przeszliśmy przemianę — z chłopców staliśmy się mężczyznami. Co prawda ja przez ten czas znacznie schudłem, ale mój przypadek był odosobniony. W więzieniu trudno jest nie stracić paru kilo. Choćby przez stres.

— Od kiedy przyjechałeś, obiecywałem sobie, że utniemy sobie pogawędkę. Tylko że jak dotąd nie było okazji. Co u ciebie? Ożeniłeś się z... Natalią? — Z wysiłkiem wydobyłem z pamięci dawno zapomniane imię.

Uśmiechnął się smutno, ale znałem go wystarczająco długo, by wiedzieć, że ten smutek był udawany.

— Niestety nam nie wyszło. Ciągle jestem kawalerem. Zresztą tak jak ty, chyba że o czymś nie wiem.

Puściłem jego zawołane pytanie mimo uszu. Nie miałem ochoty rozmawiać z nim o swoich uczuciach. I o tym, jak bardzo się kiedyś zawiodłem.

Przez chwilę gawędziliśmy o wspólnych znajomych, a potem Czarek zaczął mnie podpytywać o więzienie. Na początku delikatnie, a potem coraz śmielej. Byłem do tego przyzwyczajony i takie pytania mnie nie irytowały. W końcu nie ma nic dziwnego w tym, że ludzie interesują się światem, który znają co najwyżej z książek, podkoloryzowanych reportaży i amerykańskich filmów sensacyjnych.

Tyle że pytania Czarka były naprawdę bardzo śmiałe. W gruncie rzeczy mogłem się ich spodziewać, bo mój dawny kolega z pracy zawsze był perwersyjny, a jego żarty i opowieści często przekraczały granicę dobrego smaku. Wyglądał na zawiedzionego, gdy w reakcji na pytanie o gwałty na współwięźniach zacząłem się śmiać. Pewnie liczył na jakieś pikantne historie, a tu...

— W więzieniach nie dochodzi teraz do gwałtów — wyjaśniłem mu z uśmiechem, bo rozbawiła mnie jego naiwność. — No, chyba że ktoś bardzo chce być gwałcony.

Dwadzieścia lat temu pewnie wyglądało to zupełnie inaczej, ale w obecnych czasach... Teraz w zakładach karnych panuje skrajna homofobia — mrugnąłem okiem. — Oficjalnie nikt nie lubi tam ciepłych... pedałów... — Miotalem się, szukając właściwego określenia, bo po tylu latach za kratami wciąż czasem posługiwałem się grypsera. — To znaczy... gejów — zakończyłem, wzdychając z ulgą, bo odnalazłem wreszcie słowo, które nikogo nie powinno urazić.

Chyba że przez te kilka lat, gdy byłem odcięty od normalnego świata, coś się zmieniło...

Czarek, który wyglądał na rozczarowanego moją odpowiedzią, szukał jakiegoś punktu zaczepienia, oblizując bezkrwiste wargi.

— A bójki? Próby samobójcze? — zapytał, a ja odniosłem wrażenie, że chce usłyszeć coś makabrycznego.

Wykrzywiłem się z niesmakiem, bo tak się składało, że jeden z moich towarzyszy niedoli próbował się powiesić w celi. Nie wytrzymał psychicznie rozłąki z narzeczoną. Pytanie Czarka wydało mi się zbyt ofensywne. Tym razem nie chciało mi się śmiać.

To właśnie dlatego rozpadła się nasza przyjaźń. Czarek zachowywał się czasem bardzo dziwnie. Na co dzień był bystrym i zabawnym kompanem, ale zdarzały się chwile, w których przekraczał wszelkie granice. Podejrzewałem, że ma ze sobą jakiś problem. Wściekałem się, jak na wuefie zmuszał kilkunastoletnie dziewczyny do różnych wygibasów, a potem przypatrywał im się z ledwie tłumionym pożądaniem. Nie wiedziałem, gdzie przebiegała granica pedofilii, ale jeżeli nawet nie był pedofilem — dziewczyny z liceum miały od szesnastu do dziewiętnastu lat — to na pewno miał w sobie coś ze zbrojeńca. Spoconego i obleśnego. Gdy zdałem sobie z tego sprawę, zacząłem go unikać. Nie umiałem się przyjaźnić z takim człowiekiem.

Mruknałem coś zdawkowo i chciałem wstać, a potem dać sygnał do wyruszenia w dalszą drogę, ale złapał mnie za rękę. Miałem ochotę się wyrwać, ale się powstrzymałem. Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że chce mnie zapytać o coś jeszcze. Westchnąłem w duchu i przygotowałem się na kolejne irytujące pytanie z cyklu „życie w więzieniu”. Ale Czarek kompletnie mnie zaskoczył.

— Nie boisz się pokazywać w Nadrowie? No wiesz, po tym wszystkim?

Chciałem mu odpowiedzieć, że się nad tym nie zastanawiałem. Już otwierałem usta, gdy zobaczyłem podchodzącego do nas Włodka. Siedział kilka metrów dalej i mogły do niego dotrzeć strzępy naszej rozmowy.

— Strasznie pan wścibski — rzucił w kierunku Czarka z szerokim uśmiechem, który miał pokazać, że tylko żartuje.

Ale jego oczy patrzyły chłodno. Czarek zaśmiał się fałszywie, po czym ruszył do swojego roweru. Nie dziwiłem się tej reakcji. Włodek potrafił wyglądać jak bandyta. W więzieniu od pierwszego dnia cieszyłby się szacunkiem.

Podziękowałem mu dyskretnie za uwolnienie od natręta, a potem sam dosiadłem roweru.

— Proszę państwa, ruszamy do rezerwatu żółwia błotnego — zakomunikowałem i pół godziny później dotarliśmy do wybudowanej na skraju bagien wieży widokowej.

Same bagna były niezwykle malownicze. Rozciągały się na przestrzeni

kilkudziesięciu hektarów i podobno wprost roilo się w nich od rzadkiego gatunku żółwi. Podobno, bo ja nigdy nie natknąłem się na choćby jednego. Wycieczka po bagnie kojarzyła mi się dotąd ze wstrętnymi żółtymi muchami, wgryzającymi się w każdy odsłonięty fragment skóry.

Dzisiaj nie było inaczej. Brakowało żółwi, a muchy były szczególnie zajadłe. Po kilkunastu minutach spaceru wczasowicze zaczęli narzekać i ku mojej uldze zaproponowali powrót do pilnowanych przez Włodka rowerów. Rozsiedliśmy się na trawie i zrobiliśmy sobie niewielki piknik. Chrupaliśmy zabrane z ośrodka jabłka i gawędziliśmy o przysłowiowej dupie Maryni. Atmosfera zrobiła się tak swobodna, że na moment nawet ja zapomniałem o śmierci pana Tadeusza, a także o wyrwanej z notesu stronie, podrzuconych do łodzi okularach — i wszystkim tym, co mogło z tego wynikać.

Czarek nie próbował wracać do rozmowy o Nadrowie. Trzymał się ode mnie z daleka, co jakiś czas nerwowo zerkając na siedzącego obok mnie Włodka. Był chyba jedyną osobą, która nie umiała docenić spotkania z naturą. Co chwila drapał się po pogryzionych łydkach i tęsknym wzrokiem spoglądał w kierunku najkrótszej drogi do Gęglawek.

Droga ta prowadziła przez Nadrowo, czyli niewielką osadę, która była niegdyś siedzibą PGR-u. Z tamtych czasów pozostały w niej trzy dwupiętrowe boczki i znaczna populacja bezrobotnych, siedzących zwykle pod ledwo wiążącym koniec z końcem sklepikiem typu GS i obserwujących każdego, kto nie należał do ich kręgu, z jedynie na wpół ukrytą wrogością.

Słowem nie było to miejsce, które poleciłbym na popołudniowy spacer. Ale niestety wsi nie dało się ominąć.

Gdy wjechaliśmy pomiędzy pierwsze zabudowania, poczułem lekkie ukłucie niepokoju. Byłem tu po raz pierwszy od czasów pobicia, które zaprowadziło mnie za kraty. Chciałem tu przyjechać, by pozbyć się demonów, które czasem mnie dręczyły. Przekonać się, czy wciąż mam tu wrogów. Dlatego, chociaż instynkt mi podpowiadał, by brać nogi za pas, zwolniłem już i tak powolne tempo naszej rowerowej kawalkady. Mijałem kolejne chałupy, uważnie rozglądając się dookoła.

Wieś nie była duża. Bloki usytuowane były w jej centralnej części. Przypominały brzydkie klocki — szare, z odłóżką farbą, pokryte zielonkawym nalotem grzyba. Na niewielkich balkonach suszyły się jakieś stare szmaty. Przydomowe ogródki zarośnięte były chwastami, a podwórka zawałone jakimś złomem, którego nie udało się oddać do skupu. Na schodkach prowadzących do najbliższej klatki siedziały w milczeniu dwie zmęczone życiem kobiety. Kiedy przejeżdżaliśmy obok nich, obrzuciły nas apatycznym spojrzeniem, po czym z powrotem utkwily wzrok w zaśmieconej ziemi. Cóż, byłem przyzwyczajony do takich obrazków. Tak właśnie wyglądało województwo warmińsko-mazurskie, kiedy zjechało się z turystycznych szlaków.

Niektórzy członkowie wycieczki byli tak zdumieni tym widokiem, że zatrzymali się i chwycili za telefony komórkowe. Nie pozwoliłem jednak na żadne zdjęcia. Wychodziłem z założenia, że mieszkańcom takich osad należy współczuć, a nie traktować ich jak okazy z zoo.

Wioskowy sklepik wyglądał jeszcze gorzej niż boczki. Przywodził na myśl kloakę.

Szyby były tak brudne, że wyglądały jak przyciemnione, a przed samym wejściem piętrzyły się stosy śmieci. I ten szyld... Pamiętałem go z dawnych czasów. Na żółtym tle ktoś, kto nie zwracał sobie głowy ortografią, namalował kilka czerwonych liter, składających się na napis „Sklep *sporzywczy*”. Członkowie wycieczki najpierw prze-tarli oczy, a potem wybuchli zgodnym śmiechem. Tym razem nawet nie próbowałem ich powstrzymać. Niemal każdy strzelił sobie fotkę.

O ile turyści traktowali sklep jak egzotyczną atrakcję, o tyle miejscowi nie zwracali uwagi na takie szczegóły jak brud, śmieci czy brutalny gwałt na ortografii. Było ich tu kilkunastu. Siedzieli na obtłuczonym murku, kiwając się w alkoholowym transie. Zupełnie jak w „Ranczu” — pomyślałem, ale zaraz zmieniłem zdanie. Mężczyźni spod GS-u nie przypominali poczciwych w gruncie rzeczy postaci z serialu o Wilkowyjach. Wszyscy mieli brody, mętne oczy i... wszyscy obrzucili nas wrogim spojrzeniem. Przyjrzałem się im dyskretnie, szukając znajomych twarzy, ale wszyscy byli tak brudni, że wyglądali niemal jednakowo. Mogłem tylko wzruszyć ramionami.

Wesołość wczasowiczów najwyraźniej nie przypadła im do gustu. Jeden z autochtonów podniósł się i ruszył chwiejnym krokiem w naszą stronę. Zbliżając się, bełkotał coś pod nosem. Chociaż nie rozumiałem jego słów, to byłem pewien, że nie mówi nic miłego.

Wskazałem ręką w kierunku porzuconych rowerów.

— Proszę państwa, odjeżdżamy — powiedziałem głośno, aby wszyscy mnie usłyszeli.

Wczasowicze zorientowali się, że nie są tu mile widziani, i szybko zastosowali się do mojego polecenia. Na szczęście nikt nie miał ochoty na konfrontację. Zaczekaliśmy z Włodkiem, aż przejadą obok nas, a potem sami wskoczyliśmy na siodełka. Zanim ruszyłem, obrzuciłem sklep ostatnim spojrzeniem.

Mężczyzna, który szedł w naszą stronę, zatrzymał się nagle i patrzył na mnie z niedowierzaniem, trwając w idealnym bezruchu. Odniosłem wrażenie, że momentalnie wytrzeźwiał. Poczułem, jak moje ramiona pokrywają się gęsią skórką. Nie miałem pewności, ale to był chyba jeden z nich...

— Co się dzieje? — zapytał z niepokojem Włodek, zerkając to na mnie, to na stojącego kilkanaście metrów od nas mężczyznę. — Znacie się?

— Głównie ze słyszenia — powiedziałem zgodnie z prawdą, a potem przywołałem się do porządku.

Nie chciałem go wciągać w swoje mroczne sprawy, a on chyba to zrozumiał.

— To co, jedziemy? — zapytał, patrząc na oglądających się za nami wczasowiczów.

— Jasne.

Ruszyłem, ale po kilku metrach zerknąłem za siebie. To było silniejsze ode mnie. Do mężczyzny dołączyło kilku jego kompanów. Wszyscy patrzyli za nami, a ich oczy skryte były w cieniu. W pewnym momencie jeden z nich cisnął w naszym kierunku butelką. Nie miał szans, by dorzucić na taką odległość. Flaszka nie pokonała nawet połowy dzielącego nas dystansu — uderzyła w kamień i rozbiła się na drobne kawałki. Przystałem pedałowac i po kilku metrach się zatrzymałem.

— Coś ci się stało?! — W głosie Włodka po raz pierwszy w życiu usłyszałem niepokój.

Pokręciłem głową, a potem ruszyłem dalej, unikając jego wzroku. Doszedłem do siebie dopiero po kilkudziesięciu metrach.

— Widziałeś to? — spytałem napiętym głosem.

Popatrzył na mnie z zaskoczeniem.

— Niby co?

Ściszyłem głos, bo już niemal dopędziliśmy resztę wycieczki.

— To, jak rzucił tą butelką...

Wydał wargi.

— Rzut jak rzut. Ja zrobiłbym to lepiej.

— Ale butelka była pełna. Tutaj nikt nie marnuje alkoholu. Chyba że...

Nie skończyłem, bo nie musiałem. Na twarzy Włodka pojawiło się zrozumienie. Mężczyźni spod sklepu musieli naprawdę mnie nie lubić. Chciał o coś zapytać, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

— Jak będziesz wracał od brata... Wybierz jakąś inną drogę, dobrze?

Rozstaliśmy się kilometr dalej. Skręciłem w stronę Mogielna, a Włodek poprowadził wycieczkę dalej. To nie była nawet połowa pętli. Do ośrodka mieli jeszcze z piętnaście kilometrów.

Mnie czekała nieco krótsza droga. Po dwudziestu minutach szaleńczej jazdy ujrzałem na horyzoncie znajome zabudowania. Wyglądały jak budowle z klocków lego, ale w miarę jak się zbliżałem, rosły, by osiągnąć wreszcie rozmiary potężnej rezydencji. Ogromny, piętrowy dom z kamienia i cegły, dwa gigantyczne hangary garażowe, a w środku — fontanna w kształcie delfina. Mój brat był zamożnym człowiekiem i nie próbował tego ukrywać.

Ale nie zawsze tak było. Startował w zasadzie od zera.

Moja rodzina mieszkała niegdyś w drewnianej chałupie nad jeziorem Małtygi. Kiedy miałem dziewięć lat, przenieśliśmy się do Mogielna. Zamiana działki nad jeziorem na ciasne mieszkanie w bloku nie była z perspektywy czasu dobrym interesem, ale na początku lat dziewięćdziesiątych nikt nie wierzył, że ładnie położone działki będą kiedyś tak chodliwym towarem. A w każdym razie nie wierzył w to mój ojciec.

Kiedy myślałem o ojcu, zazwyczaj robiło mi się przykro. Był przyzwoitym człowiekiem, ale nie miał w życiu zbyt wiele szczęścia. Zaczynał od pracy w gospodarstwie rybackim, ale w dziewięćdziesiątym roku zostało ono sprywatyzowane i osiemdziesiąt procent pracowników — w tym i on — wylądowało na bruku. Nie załamał się. Kosztem olbrzymich wyrzeczeń zdobył uprawnienia i został kierowcą ciężarówki — najpierw w lokalnym przedsiębiorstwie transportowym, a potem, jak to mówią, „na swoim”.

Na swoim było różnie. Na początku klepaliśmy straszną biedę, ale po pięciu latach udało się spłacić kredyt na starego stara. Wszystko miało się poprawić, ale kilka dni później ojciec — wracający z kursu do Olsztyna — miał groźny wypadek. Przez kilka miesięcy razem z bratem odwiedzaliśmy go w szpitalu, a gdy z niego wyszedł, na zmianę pchaliśmy jego wózek inwalidzki. Przez jakiegoś gówniarza, który wymusił

pierwszeństwo, spychając ojca do rowu, ten przez resztę życia nie zrobił już ani kroku.

Zresztą to życie nie trwało nie wiadomo jak długo. Zmarł, gdy byłem na piątym roku studiów. Dzień wcześniej kupiłem sobie pierwszy w życiu telefon komórkowy — starą nokię na kartę. To był jeden z pierwszych odebranych przeze mnie SMS-ów. Matka napisała, że ojciec nie wytrzymał. Serce. Nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat...

Brat w tamtym okresie zaczął wychodzić na prostą. Po wypadku ojca przejął firmę i z pieniędzy za odszkodowanie kupił inną ciężarówkę. Miał wtedy zaledwie dwadzieścia lat. Harował jak wół i powoli nasza sytuacja się stabilizowała. Do tego stopnia, że pięć lat później nie musiałem iść do pracy, tylko złożyłem papiery na studia dzienne. Przez następne pięć lat dostawałem od niego kilkaset złotych miesięcznie i wraz ze stypendium jakoś dopinałem swój studencki budżet. Sam nie miał czasu na studiowanie. Swoją edukację zakończył na technikum.

Kiedy obroniłem pracę magisterską, czekał na mnie przed gmachem uczelni. W jego jak zwykle podkrążonych oczach jaśniała duma.

— Gratuluję, panie magistrze — powiedział z szerokim uśmiechem.

Z trudem powstrzymałem się wtedy od łez. Zdawałem sobie sprawę, że zawdzięczam mu wszystko. Przez ostatnie lata był dla mnie niczym ojciec.

Gdy wróciliśmy do Mogielna, z dumą pokazał mi niemal wykończony dom i drugą, całkiem nową ciężarówkę. Proponował mi udziały w swojej firmie, która zdawała się prosperować coraz lepiej, ale nie mogłem ich przyjąć. Przecież zrobił dla mnie już wystarczająco dużo... Zacząłem pracę w szkole, ale i tak widywaliśmy się codziennie. Mieszkałem pod jego dachem i jadłem jego chleb.

Nie zmienił się nawet wtedy, gdy w jego życiu pojawiła się kobieta, a później — po ślubie, na którym byłem świadkiem — dwóch uroczych urwisów. Cała czwórka kochała się do szaleństwa. Ani wcześniej, ani później nie spotkałem tak oddanej sobie rodziny. Od śniadania do kolacji słyszałem tylko „kochany” i „kochana”. Któregoś dnia poczułem się jak intruz i chociaż nigdy nie usłyszałem od nich jednego niemilego słowa, postanowiłem się wyprowadzić. Kiedy powiedziałem o tym bratu, niemal się rozplakał. Zawołał żonę — bo wszystko robili razem — i przez pół nocy oboje namawiali mnie, żebym został. Ich głosy brzmiały szczerze, ale ja już podjąłem decyzję.

— Dziękuję za wszystko, Michał — powiedziałem następnego poranka, ściskając mu dłoń.

— Pamiętaj, braciszku, zawsze będziesz mógł tu wrócić — odpowiedział. — I pamiętaj, że to także twój dom — dodał, wkładając moje rzeczy do dziesięcioletniej mazdy 323, którą niedawno sprowadziłem z Niemiec.

Spojrzałem wówczas na wypasioną chatę, hangar, w którym stały już cztery ciężarówki, i elegancko utrzymany kort tenisowy. Zdałem sobie sprawę, że brat, który powoli zamieniał się z kierowcy w biznesmena, zajdzie naprawdę daleko. Gdy byliśmy dziećmi, to zawsze ja uchodziłem w rodzinie za tego bardziej udanego, ale w dorosłym życiu role się odwróciły. Ciężka praca przywiodła go do sukcesu, a ja... szkoda gadać.

Nie czułem jednak zawiści. Zbyt mocno go kochałem.

— Możesz być pewien, że będę tu częstym gościem — obiecałem. — Wpadnę za każdym razem, gdy skończy mi się żarcie.

I obietnicy dotrzymałem. Odwiedzałem ich przynajmniej dwa razy w tygodniu. Aż do czasu... wypadku. Tej cholernej bójki, która zaprowadziła mnie za kraty...

Był na każdej rozprawie. Załatwił mi najlepszego prawnika i płakał jak bóbr, gdy sędzia ogłosił werdykt. Regularnie odwiedzał mnie w więzieniu. Jako jedyny, bo do Bartoszcyc nie przyjeżdżała nawet jego żona, a nasza matka — dla której każda wizyta oznaczała kilka nieprzespanych nocy — pojawiała się tam raz na pół roku. I chociaż te wszystkie lata — a zwłaszcza pierwsze dwa — nie były najłatwiejsze, to jego obecność pozwoliła mi je przetrwać. Paczki, które mi przesyłał, też były ważne, ale najbardziej liczyło się to, że do mnie przyjeżdżał.

Kiedy wyszedłem na wolność, czekał na mnie przed bramą. Uścisnąłem go i po raz pierwszy zobaczyłem, że jego skronie pokryła siwizna.

— Staruszkule — powiedziałem pieszczotliwie. — Kopę lat...

Spojrzał na mnie ze łzami w oczach. Był jednym z najbogatszych ludzi w regionie, miał pod sobą pół setki pracowników, ale w tym momencie wyglądał tak, jakby to on właśnie opuścił celę. Jego wzruszenie było tak wielkie, że lekko się zachwiał. Podtrzymałem go i otoczyłem ramieniem. Chciałem go jakoś rozweselić, ale nie zdążyłem. Na parkingu ujrzałem znajomy kształt.

— Mazda? Moja mazda?! — wykrzyknąłem zdumiony, a wtedy on wręczył mi kluczyki.

— Jeszcze się nie rozsypała. Chcesz poprowadzić?

Pokiwałem radośnie głową. I dopiero w tamtym momencie dotarło do mnie, że znów jestem wolnym człowiekiem.

Brakowało mi tylko dwóch rzeczy. Jedną z nich była praca. Zdawałem sobie sprawę, że już nie znajdę zatrudnienia w żadnej szkole. Nigdy, nawet po zatarciu kary — zawsze będzie nade mną wisiało odium przestępstwa. A nie chciałem do końca życia być na garnuszku brata, chociaż sam mi to zaproponował.

Odbijałem się od kolejnych drzwi. Postanowiłem spróbować też w „Rybitwie”. Zbliżał się sezon urlopowy, a oni wciąż nie mieli obsadzonego etatu „instruktora kulturalno-oświatowego”. Nie mieli, bo pensja była tak mała, że aż obraźliwa. Ale ja nie wybrzydzałem. Odbyłem z kierownikiem półgodzinną rozmowę, po której wyrzucił mnie za drzwi.

— Dlaczego jesteś taki smutny? — spytał wieczorem Michał. — Przecież mówiłem ci, że...

Nie dałem mu skończyć. Opowiedziałem, jak potraktowano mnie w „Rybitwie”. Byłem na skraju załamania. Michał położył mi rękę na ramieniu i powiedział, żebym się nie martwił. A potem wsiadł w swojego jaguara i zniknął za zakrętem. Pojechał do „Rybitwy”, ale ja dowiedziałem się o tym później.

Następnego dnia zadzwonił do mnie kierownik.

— Naprawdę chcesz u mnie pracować? — zapytał głupio.

Zapewniłem go, że jest to moje marzenie, i nawet nie musiałem kłamać. Praca z wczasowiczami wydała mi się dużo ciekawsza niż zmywanie naczyń w knajpie przy trasie S-7 czy sprzątanie ulic. Od razu wskoczyłem w mazdę i pół godziny później podpisałem umowę. Pochwaliłem się bratu, a on otworzył butelkę wina, nie wspominając

ani słowem, że lobbował za mną w „Rybitwie”. Dowiedziałem się o tym dopiero kilka tygodni później, od Włodka.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś? — spytałem potem Michała, nie wiedząc, czy mam mu dziękować, czy się na niego obrazić.

— Nie mogłem patrzeć, jak się męczysz. A tak poza tym... no wiesz — zakończył niejasno, ale ja wiedziałem.

— Myślałem, że chcesz, żebym wyjechał — westchnąłem.

— Tak. To znaczy najpierw odpoczął, a potem wyjechał... Tu zawsze będziesz... jak to się mówi?

— Na cenzurowanym — podpowiedziałem.

— No właśnie. Ale skoro jesteś taki... uparty... — przerwał i popatrzył na mnie z mieszanką dezaprobaty i miłości. — Pomogłem ci, bo mogłem. Jacek od lat jest moim kolegą.

Uspokojony otworzyłem piwo. Cieszyłem się, że mimo wstawiennictwa mojego brata szef nie próbuje traktować mnie inaczej niż innych pracowników. Był dla mnie równie niemiły, co dla innych. A może nawet bardziej?

Od tego czasu minęły dwa miesiące i przez ten okres w zachowaniu szefa nic się nie zmieniło. Ale mimo że z dokładnością szwajcarskiego zegarka opieprzał mnie jak burą sukę, lubiłem atmosferę ośrodka. Spałem w baraku, a do brata wpadałem mniej więcej dwa razy w tygodniu, czyli tak jak przed aresztowaniem.

W tym tygodniu to był już trzeci raz, ale i tak się ucieszył.

— Co? W ośrodku skończyło się żarcie? — przywitał mnie z szerokim uśmiechem, wychodząc z mniejszego hangaru.

— Śpiewałeś ciężarówkom kołysanki? — odciąłem się, a potem energicznie go objąłem.

Ruszyliśmy w kierunku domu. Po drodze dowiedziałem się, że chłopcy wciąż łobuzują nad Bałtykiem pod teoretycznym nadzorem ich babci, a naszej matki. Byłem pewien, że babcia ma ich już serdecznie dosyć.

— Jest za to Marysia — dodał brat.

Ucieszyłem się, bo zawsze bardzo lubiłem swoją bratową, a ostatnio rzadko ją widywałem. Te kilka razy wystarczyło jednak, bym zaczął się niepokoić. Wyglądała na przemęczoną. Już nie mówiła do męża „kochanie”. Miałem nadzieję, że to tylko chwilowy kryzys, który zdarza się nawet w najlepszych małżeństwach.

— Cześć, Krwawa Mary — przywitałem się z nią na schodach, śmiejąc się z absurdalności nadanego jej kiedyś przezwiska.

— Cześć, przystojniaku.

Wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek. Była malutka i drobna — wyglądała tak bezbronne, że aż chciało się ją przytulić. Chodziliśmy razem do klasy, ale gdybym jej nie znał, to dałbym jej co najwyżej trzydziestkę.

Dziś była w lepszej formie niż ostatnio. Cieszyła się z ostatnich dni swobody. Chłopcy za kilka dni wracali z wakacji, by znów przewracać dom do góry nogami. Michał ciężko pracował i często musiał wyjeżdżać, więc sprawy gospodarstwa domowego od zawsze spoczywały wyłącznie na jej barkach. Czasem odnosiłem wrażenie, że ten ciężar

ją przytłaczał, zwłaszcza że moja matka wspierała ją tylko z doskoku. Nie mieszkała z nimi, tylko w naszym małym mieszkanku w centrum.

— Słyszałem, że w ośrodku zmarł jeden z wczasowiczów — odezwał się Michał.

Byliśmy sami. Marysia zniknęła w kuchni, a my wyszliśmy na taras, by brat mógł wypalić papierosa. Ja nigdy nie paliłem. Nie nauczyłem się nawet w więzieniu.

Nie byłem specjalnie zdziwiony tym, że już wiedział. W naszej okolicy takie wieści rozchodzą się bardzo szybko. Opowiedziałem mu o swoich przygodach u boku pięknej policjantki. W pewnym momencie brat zmierzwił mi włosy.

— Proszę, proszę — przerwał mi, uśmiechając się z rozbawieniem. — Widzę, że wraca stary dobry Marcin. Umówiłeś się z nią?

Pokręciłem głową.

— Za dużo atrakcji. Wczoraj dostałem po pysku, dziś to morderstwo...

— Morderstwo? — przestraszył się Michał. — A wczoraj... po pysku? Co tam się u was dzieje?

Tym razem już mi nie przerywał. Kiedy skończyłem, chciał mnie natychmiast wysłać gdzieś daleko stąd.

— Mówiłem ci, żebyś tu nie wracał — powiedział z wyrzutem, zaciągając się papierosem. — Wiesz, co o tobie myślą... Jeszcze będziesz miał kłopoty, zobaczysz.

Parsknąłem śmiechem, a potem przypomniałem sobie o notatkach denata i podrzuconych okularach. Śmiech przeszedł w napięty grymas.

— No coś ty! — zaprzeczyłem żarliwie. — Od wyjścia z pudła jestem świętszy od świętej Kingi!

— Może i tak... — westchnął Michał. — Ale z twoją kartoteką... Jak myślisz, kto będzie dla policji pierwszym podejrzanym?

Moja mina jeszcze się wydłużyła.

— Nie strasz, nie strasz... — powiedziałem, wpatrując się chciwym wzrokiem w niemal już wypalonego papierosa. Może rzeczywiście koją nerwy? — Przecież wiesz, że na samo słowo „policja” dostaję dreszczy.

Machnął ręką.

— Pewnie wszystko będzie w porządku, ale miej na wszelki wypadek jakieś wiarygodne alibi. I nie mów nic Marysi. Jest za nerwowa, by słuchać o takich rzeczach... Co się stało?

— Nic — odpowiedziałem nieszczerze, przesuwając po włosach drżącą dłońią. — Powiedziałeś, żebym miał alibi. A ja... — zamknąłem oczy. — Ja niestety nie mam.

Cicho zaklął.

— Znów tam byłeś? — zapytał z wyrzutem. — Znów podkradałeś się jak złodziej?

— To silniejsze ode mnie — powiedziałem, a w moim głosie zabrzmiała szczerza skrucha. — Ostatni raz, przysięgam. W razie czego zaświadczysz, że byłem u ciebie?

Rozłożył bezradnie ręce.

— Nie wiemy przecież, kiedy to się stało — stwierdził rozsądnie, a ja ciężko westchnąłem. — Wczoraj przez prawie cały dzień byłem w trasie. Dopiero wieczorem wpadłem do ośrodka na przyjęcie. Ale nie rób takiej przerażonej miny. Wiem, że nie lubisz policji, ale oni nie zajmują się puszkowaniem niewinnych. Zadadzą ci na pewno

kilka pytań. I tyle... Opowiedz jeszcze o tej bójce. Że też nic nie wiedziałem — zaklął i wyciągnął drugiego papierosa.

Zrelacjonowałem mu włamanie i późniejszą szamotaninę. Wyglądał na bardzo zainteresowanego.

— Coś mi tu śmierdzi — skwitował, gdy skończyłem. — Będę musiał pogadać z twoim szefem. Po co komuś jakieś stare kwity? Wiadomo chociaż, co zginęło?

— Jakieś papiery dotyczące pożaru sprzed... pięciu lat — policzyłem na palcach. — Słyszałeś o tym pożarze? Ja wtedy byłem na saksach.

— W Westfalii, tak? — zapytał bez związku. — To zdarzyło się podczas imprezy między turnusami. Doszło do wypadku. Wybuchł pożar, w którym zginęła jedna z wczasowiczek. Jak ona się nazywała... Widzisz, kompletnie nie pamiętam. Znałem ją... jak to się mówi... tylko z widzenia.

Zanuciłem pod nosem kilka taktów piosenki Czerwonych Gitar.

— Bardzo ładnie — usłyszałem zza pleców. — O czym tak gadacie?

Odwrociłem się do Marysi i pamiętając, by jej nie denerwować, na biegu wymyśliłem jakieś nieszkodliwe kłamstewko.

— Jakbyś była wczoraj w „Rybitwie”, tobyś wiedziała. Michał był królem parkietu. Nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

— Michał? — wydyszała wreszcie, wciąż chichocząc. — Mój mąż ma mnóstwo zalet, ale na parkiecie zachowuje się jak słoń. I dlatego zawsze szybko wraca. Prawda, kochanie?

Pogładziła go po policzku, a ja uśmiechnąłem się w duchu. Okazało się, że konflikt małżeński był już przeszłością. Znów wyglądali jak para zakochanych nastolatków.

Podczas obiadu wciąż się śmialiśmy. Czuję się tak, jakbym się cofnął w czasie o ładnych kilka lat. Tak jakby cały ten syf nigdy się nie wydarzył. Michał namawiał mnie na zimne piwo, ale odmówiłem, bo czekała mnie jeszcze podróż rowerem do ośrodka.

— Daj spokój, to tylko jedno piwo. — Mój brat jak zwykle nie dawał się zbyć.

— Nie, stary — powiedziałem stanowczo. — Życie nauczyło mnie pokory. W więzieniu miałem wystarczająco dużo czasu, by wszystko przemyśleć. Nie łamię już żadnych paragrafów. I nie chcę już nigdy ryzykować.

Michał uśmiechnął się z zawstydzeniem i przestawił butelki ze stołu na parapet. Patrzyłem, jak to robił, oblizując się w duchu. Dlatego szloch Marysi kompletnie mnie zaskoczył.

— Co ci się stało? — spytałem, ale ona zerwała się od stołu i wybiegła z jadalni. — Powiedziałem coś złego? — rzuciłem w kierunku Michała.

— Nie, nie — zaprzeczył z roztargnieniem. — Ona wciąż to przeżywa... Twoje więzienie i... i całą resztę — zakończył niezręcznie. — Chyba do niej pójde. Zaczekaj jeszcze chwilę.

Atmosfera kompletnie się zwarzyła. Czekałem przez kilkanaście minut, a potem postanowiłem wyjść. Pamiętałem, że drzwi wejściowe po zamknięciu automatycznie się blokowały. Cóż, mój brat jak każdy miał swoje dziwactwa. Udałem się więc na poszukiwanie klucza. Pomyszkowałem trochę po kątach, aż wreszcie go znalazłem. Leżał obok opróżnionej fiolki.

Poczułem, jak moje serce przyspiesza. Widziałem już wcześniej fiołki z takim napisem. Xanax. Silny lek na receptę, łagodzący skutki nerwicy. W zakładzie karnym dostawali go chorzy psychicznie więźniowie, którzy omyłkowo wylądowali na zwykłych oddziałach. Czy zmienne nastroje Marysi nie wynikały czasem z rozchwianej psychiki?

Odszedłem szybko jak najdalej od leków, porzucając myśl o wyjściu. Cierpliwie czekałem, aż wróci do mnie Michał.

— Wszystko z nią w porządku? — zapytałem, a on potwierdził moje najgorsze obawy.

— Nerwy — rzucił krótko. — Odprowadzę cię, dobrze?

Liczyłem, że powie coś więcej, ale milczał niemal do ogrodzenia.

— Widzimy się jutro na mszy, prawda?

Pokiwałem ze smutkiem głową. To nie był dobry dzień, a jutrzejszy nie zapowiadał się lepiej. Nie znosiłem pogrzebów, gromnic, mszy za zbawienie duszy — słowem wszystkiego, co kojarzyło się ze śmiercią.

— Uważaj na siebie — powiedział, ściskając mi rękę. — Jakbyś miał jakikolwiek problem, to wal do mnie jak w dym.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

— I tak już tyle dla mnie zrobiłeś — powiedziałem, a potem popatrzyłem w kierunku okna ich sypialni. — Myślę, że masz teraz większe problemy niż ja.

Pokręcił stanowczo głową. Z jego oczu wyzierał przeraźliwy smutek.

— Nie mam — zaczął drewnianym głosem. — Jestem twoim bratem. A poza tym jestem też twoim dłużnikiem. I tego długu nie spłacę do śmierci.

Nie usiłowałem zaprzeczać, bo wiedziałem już, jak na to reaguje. Wyprowadziłem rower za furtkę i skinąłem mu ręką.

— Do zobaczenia jutro — powiedziałem ze wzruszeniem, a potem popedałowałem tak szybko, jakby mnie ktoś gonił.

Jechałem wśród podmokłych łąk, ciągnących się aż po ledwie stąd widoczną ścianę lasu. Z wyjątkiem słabo odznaczającej się ścieżki nie było tu żadnego śladu działalności człowieka. Zachodzące słońce barwiło falujące trawy złotem i purpurą. Chłonałem ten widok całym sobą, szybko zapominając o problemach swojej bratowej. Gdy tarcza słońca dotknęła horyzontu, poderwałem przednie koło do góry i przez chwilę jechałem tylko na tylnym, oddając w ten sposób hołd warmińsko-mazurskim pejzażom. I wtedy niespodziewanie pojawił się lęk. Nie chciałem, by ktoś znów odebrał mi to wszystko. Magię letnich wieczorów, szum wysokich traw i to upajające uczucie wolności, które towarzyszyło szybkiej jeździe na rowerze.

Nie chciałem znów widzieć wokół siebie jedynie szarych ścian celi i ponurego spacerniaka.

Zwolniłem i jeszcze raz przeanalizowałem wydarzenia dzisiejszego dnia. Sytuacja nie wyglądała dla mnie zbyt różowo. To prawda, zniszczyłem dwa dowody łączące mnie z denatem. Ale skąd miałem mieć pewność, że człowiek, który podrzucił do skradzionej (i zakrwawionej) łodzi moje okulary, nie zostawił jakichś innych prowadzących do mnie śladów? Człowiek, który usiłował mnie zrobić... w zabójstwo. Kim był? Dlaczego chciał mi zaszkodzić? Skąd wiedział, gdzie trzymałem okulary i w jaki sposób dostał się do

mojego pokoju? Pytań było wiele, ale na żadne nie znałem odpowiedzi.

Zemsta? Przez chwilę przetrząsałem pamięć, ale nie potrafiłem w niej znaleźć osoby, która aż tak mnie nienawidziła. Byłem raczej zgodnym, spokojnym człowiekiem — takim wyluzowanym wesołkiem, który mruga okiem i klepie po ramieniu. Nie miałem w życiu wielu wrogów, nawet za kratami. Co prawda dzisiaj przekonałem się o niechęci chłopaków z Nadrowa, ale oni... Ich nie było stać na tak wyrafinowaną zemstę. Prędzej zaprawiliby mnie wiosłem i przytrzymali kilka minut pod wodą...

I wreszcie pytanie z innej beczki: co łączyło mnie z panem Tadeuszem? Dlaczego zapisał sobie w notesie moje dane? I jaką rolę odgrywał w tej układance? Nie wierzyłem, by ktoś zdecydował się go zabić tylko dlatego, by zrobić mnie w morderstwo. Nikt nie mógł być aż tak szalony.

Rozmyślałem tak intensywnie, że straciłem poczucie czasu i przestrzeni. Kiedy się ocknąłem, było już za późno. Kilkanaście metrów przede mną dostrzegłem pordzewiałą tabliczkę z napisem „Nadrowo”. Zakląłem cicho, ale nie zawróciłem. Cofnięcie się do miejsca, w którym mogłem ominąć wieś, zajęłoby zbyt dużo czasu.

Poza tym chyba nie siedzą wciąż pod tym sklepem — pomyślałem. Na moje wyczucie już od dawna powinni być kompletnie pijani.

Pedałowałem powoli, starając się nie robić hałasu. Wieś wyglądała na opustoszałą. Jedynym dźwiękiem, który słyszałem, był szelest porwanej reklamówki, która przesuwiała się po kocich łbach w sporadycznych podmuchach wiatru, by osiąść w końcu na ogrodzeniu. W blokach nie świeciło się światło. Zastanawiałem się, czy odcięto prąd, czy też mieszkańcy o tej porze już go nie potrzebowali. Wpatrywałem się przez chwilę w ciemne okna i nagle odniosłem wrażenie, że w jednym z nich błysnęła na sekundę czyjaś twarz. Przeszedł mnie dreszcz, ale zaraz się uspokoiłem. To było złudzenie optyczne. Po prostu wiatr wpadł przez uchylony lufcik i poruszył firankę.

Sklep był zamknięty na cztery spusty, a na murku nikt już nie siedział. Z duszą na ramieniu podjechałem nieco bliżej i wtedy zobaczyłem, że na ziemi leży coś, co wyglądało jak kupa szmat. Przełknąłem ślinę. Chciałem jak najszybciej zwiać, ale nie pozwoliła mi na to moja męska duma. I całe szczęście. Z bliska kupa szmat bowiem okazała się... kupą szmat. Odetchnąłem z ulgą, a cały stres, który czułem, przejeżdżając przez wieś, wydał mi się tylko odległym wspomnieniem.

We wsi mieszkali czterej bracia. To znaczy pomieszkiwali, bo większość czasu spędzali zazwyczaj w zakładach karnych. Byli psychopatami. Przez całe lata terroryzowali okolicę — bili, napadali, kradli, rozwalali, zaczepiali... Nie kierowali się przy tym tylko chęcią zysku. Często robili ludziom krzywdę tak po prostu, dla zabawy. Nie liczyli się z niczym ani z nikim. Groźni, wiecznie pijani i kompletnie zdegenerowani.

Pech chciał, że kiedyś miałem z nimi do czynienia. Konkretnie z jednym, niejakim „Rudym”, który podobno był z nich najmłodszy i najgroźniejszy. Wtedy o tym nie wiedziałem. Postawiony pod ścianą, z całej siły dałem mu w mordę.

Jego bracia nigdy mi tego nie zapomnieli. Nie spotkaliśmy się wprawdzie twarzą w twarz, ale już w więzieniu dochodziły mnie sygnały, że zaprzysięgli mi wendetę. Od tego czasu minęło co prawda kilka lat, ale — jak zdążyłem się przekonać pod sklepem — wciąż o mnie pamiętali. Ten, który do nas ruszył, i ten, który rzucił butelką... Mieli takie

same rysy jak ich młodszy brat. Rysy, które jawiły mi się w sennych koszmarach.

Ale teraz ich tu nie było. Odetchnąłem z ulgą i obiecałem sobie, że więcej nie będę kusić losu i tędy przejeżdżać. Ten jeden raz wystarczył — udowodniłem sobie, że nie jestem mięczakiem. Pogwizdując pod nosem, ruszyłem do granicy wsi. Gdy minąłem ostatnią chałupę, na ciemniejącym niebie pojawiła się pierwsza gwiazda. A wraz z nią... Gdzieś za moimi plecami trzykrotnie rozbrzysła latarka.

Odwracałem się właśnie, chcąc po raz ostatni spojrzeć na Nadrowo. Błysk latarki wytrącił mnie z równowagi. Prędzej spodziewałbym się go o północy na cmentarzu. Przecież wieś wydawała się taka pusta i senna.

Zatrzymałem się gwałtownie i — chociaż bijące szybko serce nakazywało mi pośpiech — wbiłem wzrok w zabudowania, czekając na dalsze sygnały. Ale już nic nie rozpraszało szybko zapadającej ciemności. Zakląłem i nacisnąłem na pedały tak mocno, że spod tylnego koła wystrzeliła fontanna piachu.

Chciałem jak najszybciej oddalić się od wsi. Co prawda błyski mogły być zupełnie przypadkowe — na przykład dzieci bawiły się w podchody — ale mogły być też znakiem dla kogoś, kto był gdzieś przede mną. Był, czaił się... Co to za różnica? Nie chciałem się znów stresować. Marzyłem, by mieć to już za sobą i wziąć w swoim baraku długi prysznic, aż do wyczerpania gorącej wody w termie.

Gnałem jak szalony, widząc przed sobą czarną ścianę lasu. Zbliżała się szybko, a ja z każdym metrem jeszcze przyspieszałem, prześlizgując się po piaszczystej nawierzchni. Ciemność oznaczała dla mnie schronienie, a labirynt drzew — możliwość zgubienia ewentualnej pogoni. Byłem już o krok od celu, gdy zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam. Zahamowałem, przewracając się wraz z rowerem. Chciałem zawrócić, ale było już za późno.

Czekali na mnie po obu stronach drogi. Nie tylko bracia, ale jeszcze kilku innych mężczyzn. Niemal pół wsi. Przegląd najpaskudniejszych gąb, jakie kiedykolwiek widziałem. Tak jest: kiedykolwiek. Koledzy z więzienia wyglądali przy tym bydle jak ministranci.

— Jesteś... profesorku! — odezwał się jeden z nich, okraszając powitanie wiązką przekleństw. — Jak cię dziś zobaczyłem, to nie mogłem uwierzyć. Jak ktoś może być taki głupi?

W myślach przyznałem mu rację. Takie wchodzenie w paszczę lwa zawsze oznacza kłopoty...

— Czekaliście tu... na mnie? — spytałem, by zyskać na czasie, zabarwiając swój głos niewinnym zdziwieniem.

Kilka osób zarechotało, ale w głosie tego, który się do mnie odezwał, nie było śladu wesołości.

— Myśleliśmy już, że zostaniesz u brata. — Spojrzał na mnie z nienawiścią. — A potem, że wybrałeś inną drogę. Ale jesteś tu... Bezbronny jak... Jak nasz brat tamtej nocy...

Nie wytrzymałem.

— Nie był taki bezbronny — powiedziałem hardo, przypominając sobie jego gabaryty. — Dobrze wiecie, jak to wtedy było. Rozumiem...

— Nic nie rozumiesz — usłyszałem trzeci głos, należący do trzeciego z braci. — Nic nie rozumiesz — tu padło plugawe przekleństwo — ale nikt nie będzie ci tłumaczył.

Nigdy nie lubiłem, gdy ktoś podawał w wątpliwość porządne prowadzenie się mojej matki, ale teraz nie mogłem zareagować tak, jak bym chciał. To mogły być ostatnie sekundy mojego życia. Jedynym wyjściem była ucieczka. Dyskretnie się rozejrzałem, opierając stopę na pedale. I wtedy zdałem sobie sprawę, że to może się udać. Trzymałem w rękawie jednego asa. Miałem rower, a oni... Przyszli tu na piechotę? Nie widziałem ani jednego roweru. Kto wie, może zdążyli je już przepić?

— Ale, panowie... — powiedziałem pokornym głosem, żeby odwrócić ich uwagę. — Przecież...

Oparłem nogę na pedale, zamierzając odjechać z powrotem w kierunku Nadrowa. To mogło się udać, ale nagle od strony wsi dobiegły mnie głosy głośniejszej, pijackiej rozmowy.

— To był on, mówię ci — stwierdził bez większej pewności pierwszy głos.

— Dupa, nie on — stwierdził drugi z głosów, po czym moich uszu dobiegł delikatny brzęk uderzających w siebie butelek i zgodne podwójne mlaśnięcie. — Nie on...

W tym momencie światło trzymanej przez niego latarki wydobyło z niemal całkowitego już mroku moją twarz. Dwójka nadciągających od strony Nadrowa mężczyzn patrzyła na mnie ze zdziwieniem, jednocześnie odcinając mi odwrót. Sytuacja skojarzyła mi się z grą w dwa ognie. Powoli się schyliłem i nabrałem w obie garście jak najwięcej drobnego piasku.

— On? — w głosie nadchodzących mężczyzn było tyle pijackiego zdziwienia, że w innych okolicznościach bym się zaśmiał.

Ale nie teraz. Teraz wyrzuciłem obie ręce w górę, obsypując napastników piachem, a jednocześnie zakręciłem pedałami. Zwinnym balansem ciała wyminąłem jednego z rzucających się na mnie mężczyzn, a potem ująłem kierownicę i obróciłem rower prostopadłe do drogi. Przeskoczyłem jej piaszczystą krawędź i pomknąłem przed siebie, modląc się, by na mojej trasie nie było bagna.

Usłyszałem za plecami pełne złości okrzyki oraz dźwięk uderzenia. Domyśliłem się, że jeden z braci ukarał w ten sposób mężczyznę, któremu się wymknąłem. A potem już nic nie słyszałem. Kręciłem pedałami tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu. Niestety...

Niestety po kilkunastu metrach stanąłem w miejscu.

Mazury są uroczą krainą. Na ich urok składa się między innymi różnorodność. Są tu jeziora, lasy, bagna. Pagórki, żwirowiska i pola tataraku. A gdzieś tam nawet głazowiska. Ale do dzisiaj nie wiedziałem, że występują tu także pustynie. I właśnie na takiej pustyni utknąłem.

Pewnie tak naprawdę nie była to pustynia, tylko obszar niedawnego karczowiska, którego nie zdążyła jeszcze zarosnąć trawa, ale ja czułem się jak na Saharze. Koła roweru zakopały się w piachu do połowy, a gdy próbowałem je uwolnić, razem z rowerem wyłożyłem się jak długi. Usłyszałem głośny okrzyk — z jednej strony radosny, z drugiej mściwy. Poderwałem się na nogi, unosząc w górę rower.

— Chodźcie tu — wycodziłem, rozglądając się dookoła.

Nie było czasu na strach. Gdy pierwszy z napastników pojawił się obok mnie, zdzieliłem go rowerem. Osunął się na kolana, ale nie zdążyłem tego zobaczyć. Drugi napastnik — chyba jeden z braci — chwycił mnie od tyłu za gardło i zaczął dusić.

Walczyłem jak lew. Więzienie sprawiło, że stałem się twardszy niż wcześniej, a poza tym — co miałem do stracenia? Udało mi się tak pochylić tułów, że napastnik poluzował uchwyt i znalazł się naprzeciwko mnie. Uniosłem pięść, ale się zawahałem, przegapiając moment przewagi. Mężczyzna odzyskał równowagę i przyjął postawę boksera, bełkocząc przekleństwa. Chciał się zamachnąć, ale zanim zdążył unieść potężną jak konar drzewa łapę, padłem na ziemię, w ostatniej chwili unikając kontaktu ze zbliżającą się do mojej głowy butelką.

Z poziomu gruntu dostrzegłem, że butelka trafiła nie tam, gdzie miała. Rozbiła się na głowie mężczyzny, z którym walczyłem, obsypując mnie kawałkami szkła. Tuż potem poczułem uderzenie kropel czegoś, co kojarzyło się z ciepłym deszczem. To były krople krwi. Zakrwawiony mężczyzna zastygł w bezruchu, a potem osunął się na ziemię. Jego kompani popatrzyli po sobie, na ułamki sekund zapominając o mojej obecności.

— Zabiłeś go — usłyszałem gniewne głosy.

Zerwałem się do biegu, pozostawiając ich w stanie głębokiego szoku, który niestety skończył się tak szybko, jak się zaczął. Zapadając się w piachu, stawiałem kolejne kroki i czułem, że depczą mi po piętach. Było ich chyba z kilkunastu. Jakby mnie dorwali, zostałyby ze mnie mokra plama. Dopadłem do końca karczowiska i stanąłem wreszcie na twardym gruncie. Niestety grunt był pochyły. Straciłem równowagę i zatrzymałem się kilkanaście metrów dalej, na jakimś drzewie.

Pozbierałem się szybko, wyczuwając w powietrzu wilgoć. Przedemną był głęboki rów z wodą, od którego wzięła nazwę miejscowość. Słyszając zbliżającą się pogoń, rzuciłem się na spotkanie wody. Kiedy stanąłem na krawędzi dołu, w twarz pacnęła mnie zwisająca gałąź.

Niewiele myśląc, chwyciłem ją i mocno odbiłem się od ziemi. To nie był lot Tarzana, ale kiedy moja „liana” się urwała, byłem już po drugiej stronie rowu. Upadłem na trawę i przez chwilę balansowałem na przeciwległej krawędzi. A potem znów zerwałem się na nogi i zmusiłem do biegu.

Dyszałem jak miech kowalski, ale i tak to usłyszałem.

— Gdzie on jest? — zapytał gniewnie jeden z napastników.

— Przeleciał — odpowiedział mu drugi głosem, w którym pobrzmiwało osłupienie.

Gramolili się przez rów tak długo, że zdołałem im odskoczyć. Przez chwilę biegłem sam i zacząłem wierzyć, że uda mi się uciec. Było tak ciemno, że niewiele już widziałem, ale pamiętałem, że do lasu mam ze dwieście... co najwyżej trzysta metrów. Wystarczyło zniknąć z otwartej przestrzeni. W gęstym lesie ich latarki były dla mnie równie niegroźne, co czerwcowe świetliki. Niestety, nie byłem jeszcze w lesie...

W momencie kiedy na moich ustach pojawiał się zwycięski uśmiech, nocną ciemność rozjaśnił pierwszy promień latarki. A zaraz po nim drugi i trzeci. Zobaczyłem, że ściana lasu nie jest tak blisko, jak sądziłem. Uśmiech zbladł, a ja ukryłem się

w wysokiej trawie.

Pełzłem mozolnie w kierunku pierwszych drzew, oceniając w myślach swoje szanse. Na moją korzyść działało to, że trawa była naprawdę wysoka. Dziękowałem opatrności, że od tak dawna nikt jej nie kosił. Doszedłem do wniosku, że aby mnie odkryć, trzeba by zaświecić wprost na mnie. Teren był duży, a latarek tylko kilka. Uznałem, że to może się udać. Trwałem w tym przekonaniu kilkadziesiąt sekund. Po tym czasie na łące zrobiło się jasno jak w dzień.

Zakaślałem, bo zapach dymu był koszmarny. Uniosłem się na kolana i zobaczyłem, że ścigający mnie mężczyźni podpalili dużą stertę siana. A potem drugą. Nie miałem pojęcia, jak im się udało w tak krótkim czasie osiągnąć aż taki efekt. Mieli benzynę czy co? W każdym razie płomienie zdawały się sięgać gwiazd, a wokół fruwały co chwila oderwane wiatrem fragmenty płonącego siana. Wiedziałem, że widoczna z daleka łuna ściągnie tu prędzej czy później straż pożarną, ale podejrzewałem, że może być za późno. I dla mnie, i dla pobliskiego lasu...

Pozostałem na czworakach. Napastnicy biegali to tu, to tam, wzajemnie się przekrzykując. Część z nich spoglądała z niepokojem na wzniesiony pożar. Wiatr wiał na szczęście w przeciwnym kierunku, więc gryzący dym przestał być aż tak dokuczliwy. Wzrastały też szanse lasu. Niestety ja nie miałem tyle szczęścia.

— Tam jest!

Mężczyzna w czerwonej czapce ruszył biegiem w moją stronę. W poświacie pożaru jego twarz była widoczna jak na dłoni. To nie był jeden z braci-zabijaków. Mrużąc oczy, spojrzałem tam, skąd nadbiegał, i z zadowoleniem stwierdziłem, że w panującym wokół chaosie jego triumfalny krzyk nie został usłyszany.

— Nie rób mi krzywdy, proszę! — odezwałem się prosząco, pozostając na czworakach.

Napastnik oczywiście nie posłuchał, tylko zamachnął się na mnie nogą. Byłem na to przygotowany. Uniknąłem kopniaka i jak ryś skoczyłem na jego drugą nogę, obalając go na ziemię. Usiadłem na nim okrakiem, a on wytrzeszczył na mnie oczy. Prawdopodobnie przypomniał sobie o mojej mrocznej reputacji.

— Panie, zostaw pan — poprosił, przelęknięty. — Nikomu nie powiem...

— Milcz! — warknąłem, krzywiąc się z obrzydzenia, bo cuchnął jak stary cap.

Postawiłem go na nogi i zabrałem mu czapkę, a potem — wzdrygając się — włożyłem ją na głowę.

— Idź w tamtą stronę — rozkazałem, wskazując na las. — Tylko się nie oglądaj!

Ruszył sztywno w kierunku, który mu wskazałem. Początkowo szedł powoli, ale po kilkunastu metrach zorientował się, że za nim nie idę, i rzucił się do ucieczki.

— Ucieka! — wydarłem się na całe gardło i pomknąłem za nim, przytrzymując czapkę. — Tam jest... — zakląłem równie paskudnie, jak przedtem moi prześladowcy.

Mój okrzyk podchwyciło kilku kręcących się nieopodal mężczyzn. Zobaczyłem wśród nich przynajmniej jednego z braci. Ruszyłem w pogoń za „zbiegiem”, a w moje ślady podążyli wszyscy w zasięgu głosu. Dałem się im wyprzedzić, a potem nieco skręciłem. Kiedy dopadli właściciela czerwonej czapki, znajdowałem się kilkadziesiąt metrów od nich, na skraju lasu. Przez chwilę go okładali, a potem — spostrzegłszy swoją

pomyłkę — zaczęli nerwowo rozglądać się dookoła. Nie czekałem, aż rozgryzą mój desperacki fortel. Z przyjemnością pozbyłem się czapki, a potem wszedłem między drzewa, pogrążając się w absolutnej ciemności.

Przez pewien czas poruszałem się po omacku, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do mroku. Po kilku minutach zacząłem rozpoznawać zarysy poszczególnych konarów, ale i tak kilkakrotnie potknąłem się i przewróciłem. Szedłem długo, uważnie nasłuchując. W pewnym momencie spłoszyłem kilka dzików, ale oprócz ich niezadowolonego pochrząkiwania nie usłyszałem żadnego niepokojącego dźwięku. Wreszcie usiadłem na obalonym pniu. Najwyraźniej nikt mnie już nie gonił.

Uspokajając oddech, zastanawiałem się nad swoim położeniem. Generalnie nie było ono złe, ale czułbym się pewniej, gdybym wiedział, gdzie się znajduję. Zerknąłem z nadzieją na komórkę, ale jak na złość nie było zasięgu, więc nie mogłem skorzystać z dobrodziejstw usługi ustalenia lokalizacji. Spędzenie nocy na mchu niezbyt mi się uśmiechało, chociaż oczywiście było lepsze od spędzenia nocy z mieszkańcami Nadrowa. Albo od „noclegu” w nieoznakowanej leśnej mogile.

Wzruszyłem ramionami i ruszyłem przed siebie. Miałem nadzieję, że prędzej czy później natknę się na jakąś drogę lub dotrę do jeziora. Głowę wypełniały mi przeczytane w dzieciństwie opowieści z Dzikiego Zachodu. O tym, jak podczas nocy takich jak ta doświadczeni traperzy całymi godzinami chodzili w kółko, nie biorąc poprawki na to, że kroki zrobione prawą nogą są dłuższe — czyli idąc, automatycznie skręca się w lewo. Miałem nadzieję, że opowieści te nie miały nic wspólnego z rzeczywistością, będąc jedynie wytworem wyobraźni ich twórców: Maya, Curwooda czy Wernica...

Myśli o Dzikim Zachodzie wywietrzały mi z głowy w momencie, gdy uderzyła w nią pierwsza kropla deszczu. Po chwili padało jednostajnie, przemaczając mnie do suchej nitki. Nie była to wymarzona noc na leśną eskapadę. Chociaż deszcz przeszedł w końcu w mżawkę, miałem już tego wszystkiego serdecznie dość. Kłąłem w rytm chlupania, które przy każdym kroku dobiegało z moich butów. Miałem ochotę się położyć, ale wszędzie wokół było wilgotno i wstrętne. Szedłem więc dalej. Widoczność znów spadła do zera i co chwilę nadziewałem się na jakąś oślizgłą gałąź.

Na szczęście nadziałem się w końcu na coś innego.

To był pręt. Stalowy pręt, który boleśnie mnie zadrapał. Ale tym razem nie zakląłem. Przesunąłem po nim palcami i natrafiłem na betonową ścianę. Już wiedziałem, gdzie jestem.

Bunkry pochodziły z czasów drugiej wojny światowej. Mimo upływu lat znajdowały się wciąż w niezłym stanie. Niemiecka solidność... Stały sobie na uboczu, w odległej części lasu, nieopodal przesmyku między centralną częścią jeziora Małtygi a jego bezimiennym odgałęzieniem. Nikt nie wiedział, po co wzniesiono je na takim odludziu ani ile ich tu naprawdę jest. Ukryte w bogatym leśnym podszyciu, z odległości większej niż kilkanaście metrów były w zasadzie niewidoczne. Oczywiście odległość ta odnosiła się do dnia. Podczas nocy takiej jak ta, żeby je znaleźć, trzeba było po prostu na nie wpaść.

Ucieszyłem się, bo w pobliżu bunkrów wiodła leśna droga, którą od biedy mógł przejechać nawet zwykły, osobowy samochód. Nie oznaczało to oczywiście, że chciałem

zamówić tu taksówkę. Po prostu dość już miałem przedzierania się przez leśne ostępy. Droga gwarantowała wygodę, a było to o tyle istotne, że od ośrodka dzieliło mnie jeszcze z osiem kilometrów.

Półtorej godziny — pomyślałem. Nie jest tak źle. Przed drugą powinienem być już w łóżku. I to po prysznicu.

Tymczasem zbliżała się północ. Posuwałem się ostrożnie wzdłuż ścian bunkra, pamiętając, że przed jego „głównym wejściem” niemal na pewno była studnia do odprowadzania wody. Wpadnięcie do takiej studni nie mogło skończyć się dobrze. Przed każdym kolejnym krokiem badałem najpierw grunt przed sobą i w pewnym momencie dla własnej wygody opadłem na kolana. Raczkując w błocie, odnalazłem studnię. W tej samej chwili odniosłem wrażenie, że z jej wnętrza dochodzą jakieś dźwięki.

Przyłożyłem ucho do otwierającej się przede mną czeluści i wtedy to usłyszałem. Odgłos, jakby ktoś... odkręcał słoik. Nie dobiegał on jednak ze studni, tylko jakby z lewej strony. Obróciłem się w tamtym kierunku i wyostrzyłem słuch, ale tym razem usłyszałem tylko ponure zawodzenie wiatru.

— Co za cholera? — mruknąłem z irytacją, bo jak na jeden dzień miałem już dosyć wrażeń.

Nie zamierzałem zawracać sobie głowy jakimiś odgłosami, tym bardziej że mogły być jedynie wytworami mojej wyobraźni. A nawet jeżeli nie... Machnąłem ręką i się odwróciłem, ostrożnie omijając ziejącą w ziemi dziurę. W końcu nawet jeżeli w okolicy grasowali jacyś poszukiwacze wrażeń, to nie byłem od tego, żeby ich ostrzegać przed wykrotami. Każdy jest kowalem swojego losu...

Odchodziłem już, gdy moich uszu dobiegły kolejne dźwięki. Jakiś potrącony kamyk, jakaś złamana gałązka... Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Zaprzagnąłem znaleźć się od tego miejsca jak najdalej, ale znów sprzeciwiła się temu ta bardziej przekorna część mojej natury. Zamiast odejść, skryłem się w paprociach. I wtedy...

Kilka metrów ode mnie zapaliło się światełko. Mała latarka, tak zwana złodziejka. Jej promyk wodził przez chwilę po okolicznych krzewach, lśniących od drobnych kropel mżawki. A potem przeniósł się w górę, oświetlając na moment męską postać, ubraną w nieprzemakalny płaszcz.

Nie miałem wątpliwości.

— Adaś? Co ty tu robisz?

Burmistrz Mogielna drgnął, jakby do ucha zaszeptała mu śmierć. Omiótł mnie światłem „złodziejki”, a potem ją zgasił.

— Adaś?! Nie chowaj się! To ja, Marcin! Przecież mnie poznajesz!

Wstałem, chcąc się z nim przywitać. Zrobiłem kilka kroków i kopnąłem coś metalowego. Nachyliłem się i podniosłem „złodziejkę”.

— Adaś?

Zapaliłem ją. Świeciła zaskakująco jasno. Omiotłem jej promieniem pobliskie paprocie, wilgotny bunkier i skąpane w deszczu pnie drzew. Mojego kolegi nigdzie nie było. Wyglądało to tak, jakby rozplynęła się w powietrzu.

— Adaś?

Po raz kolejny odpowiedziała mi cisza. Nic z tego nie rozumiałem.

Prysznic wziąłem dopiero rano. Kiedy dotarłem w końcu do ośrodka, było już po drugiej w nocy i nie miałem siły na jakiegokolwiek ablucje. Zrzuciłem z siebie ubłocone i przepecone łachy, po czym rzuciłem się na swój barłóg i nakryłem kocem. Usiłowałem połączyć wydarzenia dnia w jakąś logicznie spójną całość, ale po chwili się poddałem — nie było w nich żadnej logiki. Przytknąłem głowę do zwiniętego polara. Po chwili — a przynajmniej takie odniosłem wrażenie — rozległo się pukanie do drzwi.

— Wstawaj, śpiochu, już prawie ósma! — usłyszałem energiczny głos Ilony. — Myślałam, że nocowałeś u brata, ale te ślady błota na korytarzu... Gdzieś ty się wczoraj włóczył?

Mruknałem coś niewyraźnie, po czym wziąłem ręcznik i powlokłem się pod prysznic. Na korytarzu minąłem Grześka, czyli ośrodkowego ratownika. Kiwnął mi głową, a ja wymamrotałem coś pod nosem.

— Słucham? — spytał z przekąsem, a potem popatrzył w moje opuchnięte oczy. — Och, ktoś tu się nie wyspał.

Minąłem go jak powietrze, a on zaśmiał się złośliwie. Od samego początku naszej, powiedzmy, znajomości usiłował mnie sprowokować. Zaczepiał mnie bezustannie, ale konsekwentnie go olewałem. Był tym coraz bardziej rozdrażniony. Gdy minąwszy go, zanucił melodyjkę z serialu „Z archiwum X”, nie wytrzymał i złapał mnie za ramię.

— Tak ci wesoło? — zapytał, marszcząc jedną z brwi, tę, na której nie miał blizny. — Jeszcze zobaczymy, cwaniaczku.

Delikatnie uwolniłem ramię z uścisku i zmierzyłem go wzrokiem od stóp do głów. Wyglądał jak stary, przebiegły kocur. Jego żylaste ciało pokrywały szramy, a twarz wykrzywiał mu kpiący uśmieszek. Jasne oczy patrzyły na mnie jednocześnie chłodno i zaczepnie. Gdybym był reżyserem, obsadziłbym go w roli esesmana.

— Co zobaczymy? — spytałem niewinnym głosem.

Na korytarzu rozległ się tupot bosych stóp.

— Chłopaki, przestańcie — poprosiła Ilona, miażdżąc Grześka wzrokiem. — Marcin, ty idź pod prysznic, a ty, Grzesiek... po prostu stąd spadaj.

Po prysznicu wróciłem do pokoju i wyjąłem z szafy swój garnitur. Pamiętał czas studiów, ale lepszego jak dotąd się nie dorobiłem. Wciągnąłem go na grzbiet, zawiązałem krawat i spryskałem szyję wodą toaletową.

— Wyglądasz jak model! — powitał mnie chwilę później Włodek.

Podając mu rękę, usiłowałem nie parsknąć śmiechem. Wobec mającej się niedługo rozpocząć mszy za zmarłego byłoby to ze wszech miar niestosowne.

— Dzięki! Ty też!

Miał na sobie brązowy garnitur, czerwony krawat i białe adidas. Każdy element tej garderoby wyglądał tak, jakby kupiony został na kilogramy. Od samego patrzenia bolały zęby. Nawet ja — w swoim dziesięcioletnim ubraniu i zdartych pantoflach — prezentowałem się na jego tle jak członek Izby Lordów. Może był biedny, ale podejrzewałem, że po prostu nie przywiązuje wagi do wyglądu. Albo ma taki wypaczony gust.

Na stołówce było dzisiaj znacznie ciszej niż zwykle. Wczasowicze wyglądali jak po dobrej, ale zbyt intensywnej imprezie. Grzebali bez entuzjazmu w talerzach i wiercili

się na krzesłach. Stres wprost unosił się w powietrzu.

— Dzień dobry, szefie! — przywitałem się z kierownikiem, a potem podałem rękę bratu. — Nie będzie Marysi? — spytałem po cichu, a on ze smutkiem pokręcił głową.

— Co ci jest? — zapytał, zapraszając mnie gestem, bym usiadł obok niego. — Wyglądasz, jakbyś się nie wyspał.

Chciałem mu opowiedzieć o wszystkim, ale to nie był dobry moment. Wokół kręciło się zbyt wielu ludzi.

— Wiesz, jak to jest w naszym ośrodku... Orka na okrągło, przez całą dobę. Patrz na niego — wskazałem na Włodka, który też miał zmęczoną twarz. — Nikt nas tu nie oszczędza, oj nie...

Siedzący obok nas kierownik uśmiechnął się blado.

— To wy mnie nie oszczędzacie... Wy i los. Wszędzie pełno policji. Węszą i węższą, aż wreszcie coś wywęszą. Albo naślą na nas NIK.

Otworzyłem w mózgu właściwą szufladkę.

— Tak jak po tym pożarze, prawda?

Kierownik wbił we mnie ponure spojrzenie.

— Wtedy skończyło się to dymisją — westchnął, po czym jednym haustem opróżnił szklaneczkę soku i utkwiał wzrok w ścianie.

— Pamiętasz starego kierownika? — spytałem Michała.

Wzruszył ramionami.

— Pewnie, że pamiętam. Zrobili z niego kozła ofiarnego. Wiesz, jak to jest z kontrolą. Muszą znaleźć jakieś nieprawidłowości — westchnął, a potem niespodziewanie się wyszczerzył. — Ale w sumie ta dymisja wyszła mu na zdrowie. Wkrótce potem został powołany na członka zarządu spółki Skarbu Państwa... Zarabia tam pewnie kilka razy tyle, co w ośrodku.

— Jakiej spółki?

— A co, książkę pisziesz? — zażartował, rozsmarowując masło na kromce chleba. — Spółka nazywa się Kornimpex. Jak sama nazwa wskazuje, przedmiotem jej działalności jest produkcja i handel zbożem. Wiesz, z angielskiego: *corn*, -czyli zboże — urwał i nalał sobie kolejną szklanekę soku. — Jak chcesz się dowiedzieć czegoś więcej o starym kierowniku, to wpisz go w wyszukiwarkę, a na pewno coś wyskoczy. Nazwisko: Bolesław Grzywacz.

Słuchałem uważnie, bo stary kierownik z pewnością był człowiekiem, który mógł mi opowiedzieć o pożarze. Zapisałem jego nazwisko na serwetce, a potem zająłem się jajecznicą. Musiałem się spieszyć, bo do mszy został tylko kwadrans. Przez okno widziałem, że na parkingu stoi już stara skoda księdza.

Salka, w której miała się odbyć msza, pękała w szwach. Przeliczyłem głowy i stwierdziłem, że na poustawianych ciasno krzesłach siedziało dwudziestu siedmiu wczasowiczów.

— Frekwencja sto procent — rzuciłem w stronę Włodka, ustawiając się przy ścianie.

— Prawie — mruknął mój kolega. — Brakuje chyba...

Mówił dalej, ale przestałem go słuchać. Utkwiłem wzrok w drzwiach wejściowych,

bo pojawiła się w nich delegacja z mogielneńskiego ratusza. Ku swojemu niezadowoleniu zobaczyłem, że zamiast burmistrza pojawił się jego zastępca. A tak chciałem wypytać Adasia o jego dziwne zachowanie wczorajszej nocy.

Pozostali uczestnicy nabożeństwa utkwili oczy w pani Halinie. Wdowa była blada jak prześcieradło i cały czas się trzęsła. Stała w najciemniejszym kącie pomieszczenia, podtrzymywana przez nieznanego mi nawet z widzenia policjanta. Wyglądała tak, jakby miała zaraz zemdleć. Ruszyłem w jej stronę, ciągnąc za sobą ostatnie wolne krzesło.

— Niech pani usiądzie — powiedziałem ze współczuciem.

Nie zareagowała, natomiast policjant uśmiechnął się smutno i wziął ode mnie krzesło.

— Usiądź, mamó — szepnął delikatnie, a potem pomógł jej zająć miejsce. — To pan odnalazł jego ciało, prawda?

Udało mi się ukryć zdziwienie.

— Pomagałem miejscowej policji. Zwłoki znajdowały się w dzikiej części jeziora. To znaczy na brzegu jeziora... — zamotałem się, ale na szczęście do salki wchodził właśnie ksiądz.

Wróciłem na swoje miejsce. Zaraz potem rozpoczęła się msza.

Nie umiałem się skupić na słowach księdza. Przez pewien czas myślałem o panu Tadeuszu, a potem zacząłem ukradkiem rozglądać się dookoła. Zobaczyłem, że z tyłu przy oknie stała Karolina, tym razem ubrana po cywilnemu, ale trudno było nie poznać w niej policjantki. Cały czas przypatrywała się poszczególnym osobom, tak jakby podejrzewała, że wśród nich znajduje się zabójca. W pewnym momencie spojrzała na mnie. Uśmiechnąłem się do niej porozumiewawczo, ale jej wzrok pozostał zimny. Bardzo zimny. Tak zimny, że zrobiło mi się nieprzyjemnie.

Nie odważyłem się spojrzeć w miejsce, gdzie siedziała wdowa. Zamiast odwracać się w jej stronę, skierowałem wzrok przed siebie. Pod przeciwną ścianą stała załoga ośrodka. Pan Janek, Ilona, Grzesiek... Wyglądali na przygnębionych: po twarzy Ilony płynęły łzy, nocny stróż marszczył czoło, a Grzesiek... Jego twarz zastygła w wyrazie takiego smutku, że poczułem do niego odrobinę sympatii. Nie spodziewałem się po nim takiej wrażliwości.

Wczasowicze i zaproszeni goście siedzieli w centralnej części pomieszczenia. Tu nie było łez, tylko pełne szacunku skupienie. Mój brat zaciskał szczęki tak mocno, że na policzkach odznaczały mu się żuchwy, siedzący zaś obok niego zastępca burmistrza oparł czoło na dłoni i trwał nieruchomo jak posąg. Kierownik wyglądał na zdenerwowanego. Chociaż na pierwszy rzut oka wcale się nie ruszał, to dobry obserwator zwróciłby uwagę na kilka szczegółów — choćby na delikatne przytupywanie nogą czy bezwiedne zagryzanie warg. Wrażenia nerwowości nie była w stanie zamazać nawet jego marsowa mina.

Większość wczasowiczów również przybrała mniej lub bardziej wystudiowane pozy, ale nie miałem złudzeń. Byłem przekonany, że w głębi serca każdy z nich marzył już o końcu tej smutnej uroczystości — byli tu przecież na wakacjach i chcieli się trochę rozerwać. Do podobnego wniosku doszedł najwyraźniej także ksiądz. Nie przedłużał. Szybko recytował religijne formuły i w niecałe pół godziny dotarł do końca.

— Już? I to ma być msza? — spytał ze zdziwieniem Włodek.

Przeżegnał się inaczej niż wszyscy. Na odwrót i potrójnie. Był prawosławny i stąd brało się jego zdziwienie. W cerkwiach nabożeństwa są znacznie dłuższe.

Nie chciałem się pchać. Poczekalem, aż wszyscy wyjdą, i dopiero wtedy skierowałem się do drzwi. Wpadłem w nich na księdza. Pogroził mi palcem.

— Rzadko cię widuję w kościele — odezwał się z wyrzutem.

Zmieszałem się.

— W niedziele zazwyczaj pracuję — odezwałem się nieśmiało, bojąc się reprimendy.

Ale ksiądz pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Pan Bóg jest miłosierny. Pamiętaj o tym, Marcinie — powiedział, a ja się domyśliłem, że wcale nie chodzi mu o moją pracę w niedziele. — Bądź blisko Boga, bo nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć — dodał, wskazując zawieszony na drzwiach nekrolog pana Tadeusza.

Kiwnąłem głową i powiedziałem „Szczęść Boże”, chcąc jak najprędzej uciec od trudnych tematów. A potem pod wpływem impulsu zmieniłem zdanie.

— Proszę księdza? — zagaiłem. — Ksiądz jest tu od dawna, prawda?

— Osiemnaście lat, synu — mruknął, podnosząc z biurka brewiarz.

Musiałem o to zapytać.

— Czy ksiądz odprawiał już kiedyś mszę na terenie ośrodka? Taką mszę jak dzisiaj — uściśliłem.

Odłożył brewiarz i splótł ręce na piersiach.

— Czemu pytasz, synu? — W jego głosie zabrzmiał niepokój.

Opowiedziałem mu o włamaniu do ośrodkowego archiwum. To nie była w końcu żadna tajemnica, a poza tym mówiłem to księdzu. Słuchał uważnie, a potem ścisnął mnie za ramię.

— Dobrze ci radzę, synu... Nie interesuj się tym. Chyba że... — popatrzył mi w oczy, a potem potrząsnął łysawą głową. — Nie, to niemożliwe... — rzekł uspokojony. — Porzuć tę sprawę. Dobrze ci radzę...

— Ale dlaczego? — spytałem ze zdziwieniem. — Nie może mi ksiądz powiedzieć, co się tu stało?

Westchnął tak ciężko, jakby przygniotła go góra Synaj.

— W pożarze zginęła kobieta... Biedna kobieta. I to wszystko, co wiem. Naprawdę — podniósł brewiarz, po czym podszedł do mnie i zrobił mi na czole znak krzyża. — Uważaj na siebie, synu — wyszeptał, a potem odwrócił się i wyszedł, pozostawiając mnie w stanie kompletnego osłupienia.

Trwałem w tym stanie jeszcze po wyjściu z budynku, w którym odbyła się msza, ale tylko do momentu, w którym natknąłem się na Karolinę. Albo raczej — to ona natknęła się na mnie.

— Gdzie się podziewałeś? — zapytała ostrym tonem, a ja oczami wyobraźni dojrzałem mundur, którego akurat nie miała.

— Ale... o co chodzi? — wydusiłem z siebie lekko przestraszony. — Rozmawiałem z księdzem. Czy coś się stało?

Przez chwilę świdrowała mnie wzrokiem. Nie było to zbyt przyjemne. Gdzie się podziała tamta miła dziewczyna, która drętwiała ze strachu na widok ciała?

— Jeszcze się pytasz? — warknęła. — Czy ty wiesz, jakie przez ciebie mam kłopoty? Dlaczego mi nie powiedziałeś, że niedawno opuściłeś zakład karny?!

Trochę się zirytowałem. Co miała tu do rzeczy moja odsiadka? Ale kiedy na nią spojrzałem, irytacja ustąpiła. Nie chciałem mieć żadnych kłopotów.

— Nie pytałaś — zauważyłem, przygotowując się w myślach na dalsze pretensje. Ale te nie nastąpiły. Dziewczyna była zła głównie na siebie.

— Powinam była cię przepuścić przez bazy danych — mruknęła, ciągnąc mnie za sobą poza teren ośrodka, w stronę wsi. — Cholera, przecież mam do nich dostęp nawet z radiowozu. A tak... Widzisz, policja rzadko korzysta z bezinteresownej pomocy byłych więźniów. To... nie jest dobrze widziane.

— Nie rozumiem — stwierdziłem zgodnie z prawdą. — Co to za różnica: karany czy nie? Przecież byłem tylko przewodnikiem. Nie zbierałem śladów, nie zabezpieczałem dowodów...

Urwałem, bo przypomniałem sobie o swojej roli w... zabezpieczaniu dowodów. Okulary i kartka z notesu... Na szczęście Karolina nie spostrzegła mojego zakłopotania.

— Nie zrozum mnie źle. Przecież ja nic do ciebie nie mam. Ale prokurator... Tak bardzo mnie ochrzanił. Mówił takie rzeczy... Chciałam wstać i dać mu w ryj...

— Nie radzę — wtrąciłem odruchowo, przypominając sobie „swojego” prokuratora.

Za znieważenie funkcjonariusza publicznego można było dostać do dziesięciu lat. Na szczęście się wtedy powstrzymałem, ale naprawdę niewiele brakowało.

— Najgorsze jest to, że nie siedziałeś za kradzież kilku lizaków — stwierdziła Karolina. — Wsadzili cię... wsadzili cię za morderstwo! — Spojrzała na mnie tak, jakbym złamał jej serce.

— Nieprawda — odezwałem się beznamiętnym tonem, a ona popatrzyła na mnie z nadzieją. — Siedziałem za pobicie... pobicie ze skutkiem śmiertelnym — dokończyłem nieco ciszej, a nadzieja w jej oczach zniknęła tak szybko, jakby jej nigdy nie było.

— Też mi różnica — burknęła. — Zabiłeś człowieka...

W jej głosie było tyle pogardy i rozczarowania, że nie wytrzymałem. Złapałem ją za ramię i przyciągnąłem do siebie. Jej ucho znalazło się tuż przy moich ustach.

— Łatwo tak kogoś osądzać, nie? — spytałem jadownicę. — Zwłaszcza wtedy, kiedy jest się gówniarą, która w ogóle nie zna życia, prawda? I co tak patrzysz? Założysz mi kajdanki? Pryśniesz mi w oczy gazem?

Odepchnąłem ją i ruszyłem przed siebie w kierunku wsi. Byłem wściekły. Nie wiedziałem, dlaczego aż tak. Było mi wszystko jedno, co zrobi. Odejdzie, obali mnie na ziemię...

Wybrała trzeci wariant. Dogoniła mnie i przeprosiła.

— Prokurator powiedział tylko, że zabiłeś pijanego mężczyznę — powiedziała cała czerwona z emocji. — Opowiedz, jak było naprawdę.

Usiedliśmy na zmurszałej ławeczce przed jedną z opuszczonych chałup. Kiedy szukałem słów, patrzyła na mnie z napięciem. W końcu ułożyłem wszystko w głowie

i zacząłem opowiadać.

Wszystko wydarzyło się pewnego marcowego wieczoru. Niby to był marzec, ale pogoda typowo styczniowa. Ulice Mogielna usłane były śniegiem, który na chodnikach zalegał w metrowych zaspach. Wracałem z korepetycji. W ten sposób dorabiałem do pensji i wakacyjnych saksów. Pracowałem do późna, bo liczył się wtedy dla nas każdy grosz...

— Dla was? — spytała Karolina.

— Nieważne — mruknąłem, a potem opowiadałem dalej.

Wszystko rozegrało się obok bloku, w którym mieszkałem. Niedaleko od rynku, w jednej z bocznych uliczek. Pamiętam, jak gapilem się na płatki śniegu, migoczące w niebieskawym świetle latarni. A potem zobaczyłem Marysię, swoją bratową. Stała zmarznięta na chodniku przed moją klatką schodową i najwyraźniej na mnie czekała. Pomachałem do niej i przyspieszyłem kroku.

— Cześć. — Objąłem ją delikatnie, a ona cmoknęła mnie zimnymi wargami w policzek.

— Michał powiedział, że zaraz będziesz — powiedziała. — Mam cię zawieźć do nas na kolację.

Popatrzyłem na nią i głośno się zaśmiałem.

— Ty? Mnie? Zawieźć? — upewniłem się, a ona też zaczęła się śmiać.

— Albo odwrotnie. Chociaż Michał mówi, że muszę ćwiczyć.

Marysia dopiero niedawno zdała egzamin na prawo jazdy i wciąż bała się jeździć. Jej niechęć do kierownicy stała się wręcz legendarna. Była znerwicowana i nie dawała sobie niczego wytłumaczyć. Nie rozumiałem zacięcia, z jakim mój brat zmuszał ją do mierzenia się ze słabością. Chyba czasem lepiej odpuścić...

— A gdzie jest Michał? — zapytałem, wciąż się chichrając.

— Zostawił mnie tu z samochodem, a sam ma wrócić z pracownikiem. Chciał jeszcze coś załatwić na mieście. To co, jedziemy?

— Zaczekaj chwilę — poprosiłem. — Zostawię tylko zeszyty — wskazałem na trzymaną w ręku pakę — i zaraz będę.

— OK, to ja zaczekam w samochodzie. Tam, za blokiem.

Pobiegłem do mieszkania, mijając po drodze jakiegoś dryblasa w grubej czapce, która zakrywała mu większość twarzy. Obejrzałem się za nim, bo nie spodobało mi się, jak unikał mojego wzroku.

Pewnie jakiś były uczeń, który nie pałał do mnie sympatią. Cóż, nie można wszystkich zadowolić — pomyślałem, wbiegając na swoje drugie piętro.

Minutę później byłem znów na zewnątrz. Poprawiłem szalik, a potem ruszyłem za blok. Było tu ciemno i ponuro — na tę stronę nie wychodziły okna, a ciemności nie rozpraszała żadna latarnia. Większość zaparkowanych tu samochodów nie nadawała się do eksploatacji. Niektóre z nich stały na ceglach, inne były tak zardzewiałe, że trzymały się tylko na lakierze... Gdyby nie ciemności, jaguar mojego brata wyglądałby przy nich jak miss Polski w otoczeniu lekkoatletek z NRD.

Zmrużyłem oczy i wtedy ją zobaczyłem. Marysia stała przy drzwiczkach od strony pasażera. Dojrzała mnie w tym samym momencie, co ja ją, i pomachała uniesioną ręką.

A sekundę później...

Czarny cień pojawił się obok niej tak niespodziewanie, że przez moment podejrzewałem u siebie halucynacje. Ale krzyk Marysi był przerażająco realny.

— Ratunku! — wrzasnęła z takim przestachem, że aż podskoczyłem.

Szok odebrał mi mowę. Zastygłem w bezruchu. Otrzeźwił mnie dopiero widok tego, jak upadała. Bezwładnie, niczym ciśnięta w kąt pacynka. Byłem tak daleko... Rzuciłem ścisną w rękę butelkę wina i popędziłem jej na odsiecz.

— Co jest?! — krzyknąłem tak głośno, że odpowiedziało mi zmrożone echo.

Poślizgnąłem się na zmarzniętym śniegu i wylądowałem na kolanach, tuż obok niej. Dyszała jak zaszczute zwierzę. Zerwałem się na nogi i podniosłem wzrok. Stał obok mnie, a w ciemności błyskały tylko białka jego oczu. To mogło być złudzenie, ale wydawało mi się, że pod naciągniętą na twarz kominiarką dostrzegam zarys złośliwego uśmiechu.

— Co jest?! — powtórzyłem, jakby w słowniku nie było innych słów.

Przez chwilę patrzył mi prosto w oczy, a potem uniósł nogę i wyprowadził kopnięcie. Nie celował we mnie — jego but zatrzymał się na plecach leżącej w śniegu Marysi. Jęknęła cicho, a potem dobiegł mnie jej cichy szloch.

Na oczy opadła mi czerwona zasłona. Już się nie odzywałem. Chciałem rozerwać go na strzępy. Uniosłem pięść i wziąłem zamach, ale łatwo się uchylił.

Gdzieś daleko przejeżdżał samochód. Blask jego reflektorów oświetlił na chwilę sylwetkę napastnika i wtedy rozpoznałem w nim dryblasa, którego mijalem, wchodząc na klatkę schodową. Teraz wątpilem, by chodziło o jednego z moich dawnych uczniów. Uczniowie byli różni — lepsi i gorsi — ale byłem pewien, że nie ma wśród nich degeneratów. Takich, którzy kopią bezbronne kobiety.

Zrobiłem dwa kroki do przodu, zasłaniając sobą płaczącą cicho Marysię. Uniosłem pięści, ale w głębi serca marzyłem, by zaczął uciekać. Nie miałem ochoty na mordobicie — chciałem zadzwonić po policję i poczekać, aż zostanie schwytany. A potem obciążyć go zeznaniami, tak by trafił za kraty. Ale on nie zamierzał zwiewać. Odepchnął mnie jak dzieciaka, a następnie ruszył w kierunku bratowej.

— Powiedz mężowi, że ja tak tego nie zostawię! — warknął takim głosem, jakby miał zapalenie gardła. Sekcja miała to potwierdzić — miał zakażone gardło i prawdopodobnie przed śmiercią gorączkował. — Za kogo on się uważa?! Za kogo... — urwał, a z jego płuc dobył się dudniący kaszel.

Wtedy na niego skoczyłem. Potoczyliśmy się po zmrożonej ziemi, oddalając się od Marysi. Miałem nadzieję, że bratowa skorzysta z okazji i ucieknie, zawiadamiając po drodze policję, ale chyba oczekiwałem od niej zbyt wiele. Trwała w miejscu, zwinięta w kłębek.

— Ty... — warknąłem, kiedy znalazł się pode mną.

Zacisnąłem dłoń w pięść, ale znów się wywinął. Po chwili to on był na górze, ale tym razem udało mi się go trafić. Nasada dłoni wylądowała na jego kominiarce i chociaż nawet nie jęknął, to poczułem przyływ energii.

— Jeszcze zobaczysz... — wydyszałem, zrzucając go z siebie i szykując się do kolejnego ciosu.

Udało mi się unieruchomić go przy jednym z wraków. Przycisnąłem jego łeb do

opony i zebrałem wszystkie siły. Celowałem w miejsce, gdzie powinna być szczęka, ale cios nie był imponujący — miałem wrażenie, że tylko musnąłem jego podbródek, wyładowując większość energii na okrytym kurtką puchową ramieniu.

— Ty frajerze! — usłyszałem ochryply szept, a potem poprawiłem.

Tym razem siła zgrała się z precyzją. Osunął się bezwładnie na śnieg, a jego twarz zniknęła pod progiem nadwozia. Chciałem mu jeszcze dołożyć, ale się nie ruszał. Opuściłem pięści i buzująca we mnie złość zaczęła ustępować. Gdy ustąpiła zupełnie, przypomniałem sobie o Marysi. Po sekundzie klęczałem już przy niej. Leżała tam, gdzie upadła, i ścisnęła się za dolną część pleców. Jej ciałem wstrząsał spazmatyczny szloch.

— Co ci się stało?! Mam wezwać pogotowie? — spytałem z lękiem.

I wtedy, w prześwicie między blokiem a rozsypującymi się ze starości garażami, ujrzałem karetkę. Pojawiła się w tym miejscu jak na zawołanie. Sunęła po kocich łbach, a potem zaparkowała przy krawężniku.

Zerwałem się i — upewniwszy się, że napastnik wciąż jest zamroczony — pomknąłem w stronę ulicy.

— Tutaj! — wrzasnąłem, a kierowca pojazdu obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. — Napadli nas! Wezwijcie pomoc...

Otworzył okno, wzdrygając się z zimna.

— Co się stało? Trzeba wezwać policję?

— Tak — wydyszałem. — Tam leży kobieta...

Kierowca nie czekał, aż wydyszę do końca swoją kwestię. Wcisnął głębiej na głowę czerwoną czapkę, uruchomił sygnał dźwiękowy i ruszył w kierunku, z którego nadbiegłem. Reflektory zatrzymały się na leżącej wciąż w tym samym miejscu Marysi. Sanitariusz dopadł do niej w kilku susach. Błogosławiłem swoje szczęście. Do czasu.

— Zostaw ją! — krzyknął kierowca do ratownika. — Chodź tutaj... Tutaj ktoś leży. I chyba... Chyba ma otwarte oczy...

Jeszcze się łudziłem. Położyłem się w śniegu obok poobijanej Marysi. Karetka odjechała na sygnale. Po kilku minutach, które trwały dla mnie tyle co rok, ujrzałem policjantów. Jeden z nich pochylał się nade mną i obrzucił mnie smutnym wzrokiem. Zналиśmy się z widzenia.

— Coś ty, człowieku, narobił? — spytał retorycznie, a ja zrozumiałem, że mój świat rozpadł się właśnie na tysiąc kawałków.

— Złamałem mu kark — mówiłem, a Karolina słuchała bez słowa. — Wcale nie uderzyłem go tak mocno, ale miałem pecha... A on jeszcze większego... Po prostu miał skręconą szyję. Trach i... pyk — rozerwałem na dwie części na wpół uschłe źdźbło trawy. — Do dzisiaj nie wiem, jak to się mogło stać — zwiesiłem głowę, bo to wspomnienie zawsze otwierało stare rany.

Zapadło milczenie. Policjantka położyła dłoń na moim ramieniu.

— Kto to był? I dlaczego napadł na twoją bratową? — spytała cichym głosem.

Przypomniałem sobie jego twarz. Znałem ją tylko ze zdjęcia. Małe, prymitywne oczka, złamany nos i niskie, małe czoło. Był bardzo podobny do swoich braci z Nadrowa. Ale tylko z wyglądu, bo na skali zepsucia wyprzedzał ich o kilka długości.

— Miejscowy watażka — wyjaśniłem. — Kilkakrotnie karany za rozboje i oszustwa. Chłopak, który wyrwał się z -PGR-u i współtworzył coś na kształt lokalnej grupy przestępczej. A poza tym psychopata, choć ci, którzy go znali, mówili, że był przy tym raczej inteligentny. Cóż, jedno drugiego nie wyklucza — dodałem, a potem opowiedziałem jej resztę tej historii.

Od kilku miesięcy pracował u mojego brata. Chociaż Michał nigdy mi tego wprost nie powiedział, to z jego luźnych uwag i przemilczeń wywnioskowałem, że to zatrudnienie było formą haraczu, który dla świętego spokoju płacił lokalnej mafii. Tym bardziej że nie widziałem, by bandzior kiedykolwiek faktycznie dla Michała pracował — czy to w hangarach przy rozładunku, czy jako kierowca ciężarówki. Łatwo było dodać dwa do dwóch — mężczyzna chciał podwyżki swojego „wynagrodzenia”, a gdy Michał powiedział „nie”, wyładował swą złość na jego żonie. W każdym razie tak twierdził mój obrońca po lekturze złożonych w sprawie zeznań.

Pierwsze kilka nocy po zatrzymaniu spędziłem w Olsztynie, w policyjnej izbie zatrzymań. Potem przez pewien czas odpowiadałem z wolnej stopy. Przyznałem się do wszystkiego na pierwszym przesłuchaniu. Prokurator o diabolicznej twarzy — chudym podbródku, ciemnych oczach i wypielęgowanej czarciej bródce — obiecywał, że sąd potraktuje to jako obronę konieczną, a w przypadku gdy stwierdzi jej przekroczenie, zastosuje nadzwyczajne złagodzenie kary. W najgorszym razie czekać mnie miały tak zwane zawiasy, czyli wyrok w zawieszeniu. Byłem przecież niekarany, a sprawa wydawała się jasna. Marysia dokładnie opisała wszystko to, co tego feralnego wieczoru wydarzyło się na przybłokowym parkingu.

Brat przez kilka dni nie mógł do mnie do siebie. Kiedy się wreszcie zobaczyliśmy, wybuchnął płaczem. Powiedział, że nigdy mi tego nie zapomni, a potem przedstawił mi mojego obrońcę — podobno najlepszego fachowca w całym województwie.

Byliśmy dobrej myśli, ale nagle wszystko się rozleciało.

Proces toczył się przed miejscowym sądem. Nie przypominał typowych procesów z amerykańskich filmów. Nie było pięknej sali rozpraw, publiczności, mediów. Tylko procedury i monotonne głosy: prokuratora, obrońcy i sędziego. I terminologia, z której niewiele rozumiałem. W pewnym momencie zaczęło mnie to nużyć. Nie spodziewałem się niczego złego, a moje myśli zaprzętało głównie to, czy przed zbliżającymi się wakacjami uda mi się wrócić do pracy w szkole.

Dlatego wyrok okazał się szokiem.

— Dostałeś pięć lat za pobicie ze skutkiem śmiertelnym? Artykuł sto pięćdziesiąty ósmy? — upewniła się Karolina. — Z tego, co pamiętam, to maksymalny wymiar kary wynosi dziesięć lat. Ale w tej sytuacji pięć to i tak bardzo dużo...

— Tak — przerwałem jej z kwaśną miną. — Mój obrońca się odwoływał, ale nie wskórał. Widocznie nie był aż tak dobry. A prokurator... Prokurator po prostu poprawiał sobie statystyki. Tak przynajmniej mówili mi w więzieniu. Statystyki, rozumiesz? On dostał dwa tysiące złotych nagrody, a ja przez kilka lat nie mogłem nawet pójść sobie na miasto i zjeść głupiej pizzy! To jest... to jest... — Chciałem powiedzieć coś mocnego, ale zdołałem się opanować i opowiadałem dalej.

Prosto z sali rozpraw zostałem przewieziony do aresztu śledczego, a wkrótce potem wylądowałem w zakładzie karnym, gdzie odsiedziałem cały wyrok.

— Pięć lat to kawał czasu — westchnąłem. — Tak długi czas za kratkami pozostawia w człowieku trwałe ślady. Nie lubię o tym mówić. Nie lubię nawet o tym myśleć. Mam nadzieję, że teraz rozumiesz, dlaczego nie trąbię o tym na prawo i lewo — zakończyłem, mając nadzieję, że się ode mnie odczepi i zostawi mnie samego.

Ale się nie odczepiła.

— Przepraszam, że tak łatwo cię osądziłam — powiedziała.

Patrzyła na mnie z odległości kilkunastu centymetrów. Choć byłem wzburzony, to zauważyłem, że ma piękne oczy.

— Nic nie szkodzi — odpowiedziałem niezręcznie, wciąż gapiąc się w te oczy. — Kiedyś też wszystko było dla mnie czarno-białe... No przestań, jeszcze ktoś zobaczy — wyszeptalem, bo nie wiadomo czemu znajdowała się na granicy płaczu.

Poszliśmy na pusty o tej porze brzeg jeziora. Tu mogła płakać do woli.

— Przepraszam. Za dużo ostatnio emocji. Najpierw morderstwo, potem „dywan” u prokuratora, a teraz ty... — wyliczyła, po czym otarła oczy. — A ten twój diaboliczny prokurator... pracuje tu jeszcze?

Wzruszyłem ramionami.

— Pewnie nie — mruknąłem, bo na samo wspomnienie czułem złość. — To był taki typ, który dla kariery zrobiłby wszystko. Tacy ludzie najczęściej zachodzą daleko. Na moje wycucie jest przynajmniej w „okręgu”. Zresztą, jeśli cię to interesuje, to można łatwo sprawdzić — stwierdziłem, a potem podałem jej wygrzebane z pamięci nazwisko.

— W każdym razie nie pracuje już w Mogielnie — skwitowała dziewczyna. — Znam wszystkich sześciu. W tym tego... — zakłęła, rumieniąc się ze złości na wspomnienie Patryka Mauera, czyli prokuratora, który zmieszał ją z błotem.

— Prokuratorzy nie są od tego, żeby ich lubić — powiedziałem lekkim tonem, wracając do równowagi. — Kurczę, ale bym się napił kawy...

Sięgnęła do przepastnej torebki i wyciągnęła z niej niewielki termos.

— Nazwał mnie gówniarą — poskarżyła się, nalewając mi kawy. — A potem powiedział, że kobiety nadają się tylko do gotowania zupy. Najgorsze było to, że nie mogłam mu się odgryźć. Jakbym to zrobiła, to zaraz by mnie stąd przenieśli. Cholera, on jest tu kimś na kształt udzielnego księcia!

Pokiwałem głową. W ciągu tych wszystkich godzin spędzonych w celi nasłuchiwałem się o wielu lokalnych prokuratorach. Także o Patryku Mauerze. Cóż,

o czymś trzeba było rozmawiać, gdy wyczerpaliśmy już temat klawiszy i podłego zarcia. Podczas rozmów czas płynął trochę szybciej.

— Mauer pracuje w tej prokuraturze od dwudziestu lat. Z tego, co mi mówili, odrzucił kiedyś propozycję awansu. Jak to mówią Anglicy, lubi być dużą rybą w małym stawie. Jest przy tym dość kompetentny...

— Wiem — przerwała Karolina. — Wszyscy tak lubią z nim pracować. Aż chce się rzygać!

Pograżyła się w ponurym milczeniu, a ja obserwowałem sunące po tafli jeziora łabędzie. Zza chmur wyszło słońce. Lato wciąż broniło się przed jesienią. Zdjąłem marynarkę i powiesiłem ją na gałęzi.

— O co chodzi? — zapytałem, bo policjantka uważnie mi się przyglądała.

— O nic — odparła speszona, uciekając wzrokiem gdzieś w bok.

Ale po chwili znów na mnie spojrzała.

— Marcin — szepnęła. — Jeżeli komuś o tym powiesz, to wydrapię ci oczy...

— Słucham? — spytałem zaskoczony, ale mnie zignorowała.

— Poważnie — jej głos był coraz szybszy, jakby chciała to już mieć za sobą. —

Wiesz, dlaczego mnie tutaj przysłali?

— Bo chcieliście wiedzieć, kto pojawi się na mszy — odparłem pewnym głosem.

— W kiepskich kryminałach mordercy zawsze pojawiają się na pogrzebach swoich ofiar...

Popatrzyła na mnie jak na świra. Najwyraźniej trafiłem kulą w płot.

— Jestem tu po to, żeby obserwować... ciebie.

Zrobiło mi się gorąco.

— Jak to mnie? — wybełkotałem. — Podejrzewacie mnie o morderstwo?

Poczułem zawroty głowy. Jako recydywista dostałbym pewnie dożywocie.

— Spokojnie, nie zemdlej mi tu — w jej głosie pojawił się niepokój. — Nikt cię nie podejrzewa. To tylko jedna z hipotez. W śledztwie zawsze stawia się hipotezy.

Nie podobało mi się to wszystko. Brakowało tylko tego, by odkryli, że denat zapisał moje nazwisko w notesie. Wtedy mógłbym się już pakować.

— Cały czas mnie obserwujecie?

— Nie — zaprzeczyła. — Nie jesteś formalnie objęty żadną obserwacją. Po prostu mam mieć na ciebie oko. Prokurator, już po tym, jak mnie ochrzanił, kazał mi, bym wykorzystała twoją... sympatię.

Zarumieniła się, ale nie zwróciłem na to uwagi. Myślałem, że śnię.

— Gratuluję — zagotowałem się ze złości.

Chciałem wstać, ale mnie przytrzymała.

— Przecież jakbym chciała ci zaszkodzić, tobym ci tego nie powiedziała — szepnęła, trzymając mnie za rękę.

Zastanowiłem się nad jej słowami.

— Dlaczego tak mi ufasz?

Wzruszyła ramionami.

— Może znam się na ludziach? A może... może urzekła mnie historia, którą mi opowiedziałeś?

Zrozumiałem, że decyzję o tym, by odkryć przede mną karty, podjęła dosłownie przed momentem. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie będzie jej żałować... Korciło mnie, by opowiedzieć jej o wszystkim: o pogruchotanych okularach, wyrwanej z notesu kartce, wczorajszej utarczce z mieszkańcami Nadrowa i tajemniczym spotkaniu z burmistrzem. Ale byłem od niej o kilka lat starszy, a poza tym miałem za sobą odsiadkę. Nie umiałem jej zaufać tak, jak ona mnie.

Podniosła głowę i przez chwilę gapiała się na wysepkę. Na kilku rosnących na niej drzewach siedziały kormorany. Też przez chwilę na nie patrzyłem, a potem — chociaż moja sytuacja nie była wesoła — niespodziewanie parsknąłem śmiechem.

— Wiesz, że właśnie zawarłaś pakt z diabłem, prawda?

Potem opowiedziałem jej o swoich poszukiwaniach w archiwum.

— Czyli zginęły papiery dotyczące pożaru, w którym spłonęła jakaś kobieta? — podsumowała, skrobiąc coś w notesie. — Może uda mi się znaleźć coś w archiwum naszej komendy. Można by też dotrzeć do tego prezesa, ale jeżeli to teraz taka szycha, to lepiej się z tym nie spieszyć. A z ówczesnych pracowników... — zawiesiła głos. — Naprawdę nikt już tu nie pracuje?

— Nikt — potwierdziłem. Przed poranną mszą Ilona odczytała mi z kartki nazwiska dawnych pracowników, które spisała wczoraj po południu z archiwalnych rejestrów. Dzięki temu mogłem ubiec następne pytanie. — Nie mam pojęcia, gdzie ich szukać. Nie znam ich. Sprawę pamięta ksiądz, ale nie chce o tym mówić. Kiedy go zapytałem, zachował się dosyć dziwnie — opowiedziałem jej o rozmowie z duchownym zwieńczonej jego nakazem, bym na siebie uważał.

— Dziwne — westchnęła dziewczyna.

Chciała coś dodać, ale w tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Odebrała i przez chwilę wsłuchiwała się w głos z drugiej strony.

— Muszę wracać na komisariat — powiedziała. — Mam już wolne, ale chcę, żebym uzupełniła jakąś notatkę. Zobaczymy się wieczorem? Postaram się wydobyć coś o tym pożarze.

Zostałem sam. Przez jakiś czas się zastanawiałem, o co jej chodziło. Targały mną wątpliwości. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, by bez powodu zdradzała mi tajemnice służbowe — i to takie, które dotyczyły mnie. To nie było profesjonalne, a poza tym narażało ją na kłopoty. W końcu jednak machnąłem ręką, stwierdzając, że i tak nic mądrego nie wymyślę.

Nie spieszyłem się z powrotem do ośrodka. Według grafiku miałem dziś wolne, ale szef zawsze umiał zadbać, żebym broń Boże się nie nudził. Dlatego nie chciałem wchodzić mu w oczy. Położyłem się na trawiastym brzegu jeziora i przez dłuższy czas spoglądałem na wysepkę, nad którą krążyły kormorany. Moje powieki były coraz cięższe.

— Tu jesteś! — usłyszałem w momencie, gdy sphywał na mnie sen. — Masz ochotę na ciastko?

Ilona usiadła obok mnie i podała mi drożdżówkę. Miło mieć dobre układy z kelnerką.

— Co tam w ośrodku? — spytałem, nieudolnie tłumiąc ziewnięcie.

— Nic się nie dzieje — odpowiedziała. — Tak sobie pomyślałam, że tu cię znajdę.

Słuchaj... — zawiesiła głos i spojrzała na mnie prosząco.

Znałem to spojrzenie. Drożdżówka okazała się łapówką. Westchnąłem i powoli się podniosłem.

— Dokąd? — zapytałem, a Ilona uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Nie miała samochodu i często korzystała z mojej uprzejmości. Tym razem chciała, by zawieźć ją do drogerii. Wróciłem do baraku po kluczyki, a potem ruszyłem w kierunku parkingu.

— Co, randka? — spytał złośliwie Grzesiek, ale go zignorowałem.

Najkrótsza droga do Mogielna prowadzi przez bezkresne pola, które niegdyś należały do tutejszego PGR-u, a w latach dziewięćdziesiątych zostały wydzierżawione przez jakiegoś Niemca. Ziemia była kiepskiej klasy i od kilku lat na polach rosły tylko chwasty. Niektóre — korzystając z resztek starego nawozu — osiągały nawet trzy metry. Kiedy tamtędy przejeżdżałem, często ogarniała mnie dziwna melancholia. Czułem się tak, jakbym jeździł po Księżycu.

Ale dzisiaj nie zwracałem uwagi na otoczenie. Obok mnie trajkotała Ilona, a z głośników mojego starego radia dobywały się dudniące dźwięki jej ulubionego hip-hopu. We wnętrzu było tak głośno, że fotele zdawały się wpadać w rezonans.

— Patrz! — krzyknęła dziewczyna, kiedy przemknął obok nas jakiś sportowy wóz. — Corvetta! Ale bryka! Śliczna! Widziałeś?!

Uwielbiała motoryzację, a do sportowych autek miała prawdziwą słabość. Aby nie robić jej przykrości, powściągnąłem złość — bo samochód wyprzedzał mnie tuż przed zakrętem — i udałem, że też mi się spodobał. Kilkaset metrów dalej zobaczyłem, że skręcił w polną drogę, prowadzącą na gminne wysypisko śmieci.

— Ciekaw jestem, jak poradzi sobie z wybojami — zaśmiałem się złośliwie, ale w tym momencie auto się zatrzymało.

— Zepsuł się? — zapytała z nadzieją Ilona.

Zacząła mnie namawiać, żebym się zatrzymał. Pod pretekstem zaoferowania pomocy chciała z bliska przyjrzeć się samochodowi. Odmówiłem, z trudem skrywając zażenowanie. Mimo niełatwego przecieź życia czasem potrafiła być bardzo infantylna. Zwłaszcza jeżeli chodziło o samochody.

— To chociaż zwolnij — poprosiła, a ja posłusznie przycisnąłem hamulec, redukując prędkość do czterdziestu na godzinę.

— I co? Zadowolona? — spytałem protekcyjnie. — Patrz, wcale się nie zepsuł. Po prostu z kimś się umówił.

— Ale gówniarz! — skomentowała. — Chyba z szesnaście lat. Skąd tacy jak on biorą kasę na takie fury? A ten drugi przyjechał na rowerze... Słuchaj, przecieź to jest pan Zbyszek! Stój!

W jej głosie pojawiło się takie napięcie, że odruchowo nacisnąłem pedał hamulca. Zatrzymałem się vis-à-vis nich, a oni zastygli w miejscu i popatrzyli na nas z zaskoczeniem.

— Przepraszam! — krzyknąłem przez okno, ale pewnie i tak usłyszeli tylko głośną muzykę.

Ruszyłem z piskiem opon, rzucając Ilonie mordercze spojrzenie. Ale wcale nie

wyglądała na zakłopotaną.

— Myślałam, że zaczną się bić — powiedziała, ścisząc radio. — Pan Zbyszek zrobił taki ruch, jakby chciał go spoliczkować. Ale...

— Co: ale? — spytałem, wciąż zirytowany.

— Ale go nie spoliczkował — westchnęła. — Podał mu rękę.

Parsknąłem śmiechem.

— To jednak pewna różnica.

Ilona zrobiła obrażoną minę.

— Myślałam, że będą się bić. Ludzie nie umawiają się na takim odludziu, żeby się witać.

— A z pana Zbyszka to jest taki bokser...

Przekomarzaliśmy się przez resztę drogi. Nie widziałem w tym spotkaniu nic dziwnego. Pan Zbyszek był emerytowanym nauczycielem, a chłopak mógł być jego dawnym uczniem. Zobaczyli się na trasie i postanowili chwilę pogadać. Sam często wpadałem na byłych podopiecznych, tyle że po odsiadce takie spotkania zrobiły się jakby niezręczne...

W Mogielnie znałem niemal każdy kamień. Spędziłem tu znaczną część dorosłego życia. Z pięcioletnią przerwą na studia i drugą — również pięcioletnią — na pobyt za kratami. Lubiałem tę miejscowość. Była urocza, zwłaszcza latem.

Podwiozłem Ilonę pod drogerię, a sam ruszyłem na spacer. Z doświadczenia wiedziałem, że mam przynajmniej pół godziny. Przeszedłem przez rynek, a potem — omijając szerokim łukiem miejsce, w którym odbyła się tamta feralna bójka — poszedłem w stronę zamkowego parku. Wybrałem sobie ustronną ławeczkę i otworzyłem zabraną z samochodu książkę. Następne trzy kwadranse minęły w mgnieniu oka.

— A ty jak zwykle czytasz? — przywitała mnie Ilona, ścis-kając w rękę wypchaną reklamówkę. — Chodź, zapraszam cię na lody.

Lodziarnia znajdowała się kilkadziesiąt metrów od zamku, między szpitalem a cmentarzem. Może lokalizacja nie była zbyt szczęśliwa, ale dawali tam największe porcje i nigdy nie było kolejek. Usiedliśmy na murku, naprzeciwko niskiego pawilonu na terenie szpitala.

— Wiesz, że to kostnica? — spytała w pewnym momencie Ilona, a ja pokręciłem głową. — A zaraz obok zakład medycyny sądowej. To pewnie tutaj trzymają biednego pana Tadeusza.

Wolałbym, żeby tego nie mówiła. Lody przestały mi smakować. Przypomniałem sobie, że to tutaj spoczywały niegdyś zwłoki mężczyzny, którego zabiłem. Zanim przeniesiono je kilkadziesiąt metrów dalej — na cmentarz.

— Ofiary morderstw... albo wypadków... z reguły są poddawane sekcji zwłok, prawda? — spytałem nagle, bo coś mnie tknęło.

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia... Dokąd idziesz?

Ruszyłem w kierunku wejścia do szpitala. Chciałem, by na mnie poczekała, ale uparła się i poszła za mną. Wyjaśniłem jej, że chcę się zapytać o kobietę, która była ofiarą pożaru. O ile jej ciało nie uległo skremowaniu, na pewno trafiła do miejscowej kostnicy.

A wtedy musiał po tym zostać jakiś ślad w dokumentacji.

— Może dowiemy się, kim była... Jak miała na nazwisko...

Przed wejściem do gmachu szpitala stało kilku pacjentów. Niektórzy z nich byli podpięci do zawieszonych na mobilnych stojakach kroplówek. Nie wyszli tu, by zaczerpnąć sierpniowego powietrza, tylko żeby wypalić papierosa. W powietrzu unosił się siny obłok dymu. Rozpoznałem wstrętny smród st. thomasów — tanich fajek przemycanych tu z Obwodu Kaliningradzkiego.

— Pójdę przodem — powiedziałem i pchnąłem drzwi.

Obmierzły korytarz prowadził do oszklonej portierni. Za szybą siedziała otyła kobieta w grubych okularach.

— Pan Marcin — przywitała się, zanim zdążyłem się odezwać.

Rozpoznałem w niej matkę jednego ze starych uczniów. W jej głosie usłyszałem nutki sympatii. Wy tłumaczyła mi, jak dojść do drzwi kostnicy i gdzie zadzwonić, by dostać się do środka. Podążając za jej wskazówkami, osiągnęliśmy cel, ale nic nie wskóraliśmy.

— Nie udostępnię państwu żadnych informacji — stwierdziła stanowczo pielęgniarka, odwracając się do nas plecami.

Ilona proponowała, żeby poczekać na kogoś innego, ale ja się poddałem. To był głupi pomysł. Dane medyczne są świętością. Podejrzywałem, że nawet gdyby na naszym miejscu była policja, to nie obyłyby się bez spotkania z dyrektorem szpitala i przedstawienia mu nakazu prokuratora.

— Chodź, idziemy — zakomenderowałem, ale ona pociąg-nęła mnie w przeciwną stronę. Za róg.

— Widziałeś, kto tam siedzi? — spytała, wskazując głową na rząd ławek pod ścianą.

Wychyliłem się. Na ławkach siedziało kilka osób, ale od razu się domyśliłem, kogo ma na myśli. Te rysy twarzy, tak podobne do rysów twarzy denata. Kilka metrów od nas siedział syn pana Tadeusza. Wciąż miał na sobie policyjny mundur.

Nie znałem szpitalnych procedur. Nie wiedziałem, czy czeka na wydanie ciała, czy też jego obecność spowodowana była czymś innym. Na kolanach trzymał jakieś niekończące się formularze i cierpliwie je wypełniał. W pewnym momencie podniósł na mnie wzrok.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytał grzecznie.

Podszedłem do niego i się przedstawiłem. Ku mojemu zdziwieniu pamiętał, kim jestem.

— Pan instruktor z „Rybitwy”? To pan pomagał policji w odnalezieniu zwłok, prawda? Mówiła mi o tym taka młoda policjantka.

Podąłem mu rękę i wymamrotałem kilka okolicznościowych słów. Chciałem odejść, ale złapał mnie za rękę.

— Jak pan sądzi, kto to mógł zrobić? — jego głos brzmiał spokojnie, ale oczy rzuciły mroczne błyski.

— Policja ma już na pewno jakieś... wersje — odparłem, przywołując z pamięci to, o czym mówiła mi Karolina. — A ja? Ja jestem tylko zwykłym pracownikiem

ośrodka...

— Ale znał pan mojego ojca, prawda?

— Znałem go. I lubiłem — dodałem odruchowo.

— No właśnie — ucieszył się mężczyzna. — To jest słowo klucz. Mój tata dał się lubić. Miał zawsze mnóstwo przyjaciół, a co istotniejsze, nie miał wrogów. Nawet wtedy, jak pracował jeszcze w policji.

— Pański ojciec był policjantem? — zdziwiłem się.

— Tak, ale dziesięć lat temu przeszedł na emeryturę. Jego śmierć nie miała związku ze służbą. Nie miał wrogów, nikomu się nie narażał...

— ...a jednak ktoś go zabił — wszedłem mu w słowo. — A czym zajmował się na emeryturze?

Policjant posłał mi zachmurzone spojrzenie.

— No właśnie... Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem pewny, że to chodziło właśnie o to. Widzicie państwo — co rusz przenosił wzrok ze mnie na Ilonę, która od pewnego czasu stała obok nas — mój ojciec formalnie nie robił nic. Miał emeryturę, mama wciąż pracowała w szkole... Nie musiał sobie dorabiać. Ale miał pewne irytujące hobby.

— Hobby? — Poza łowieniem ryb nic nie przychodziło mi do głowy.

Nasz rozmówca westchnął z dezaprobatą.

— Ojciec od lat miał papiery prywatnego detektywa. Matka mówiła, że czasem podejmował się pewnych czynności. Nie mówił o tym, ale ona wiedziała. Żony zawsze wiedzą — mówiąc to, popatrzył ciepłym wzrokiem na swoją obrączkę. — To nie było nic niebezpiecznego — kontynuował. — Nie śledził bandziorów, nie fotografował in flagranti niewiernych mężów... Najczęściej chodziło o... — urwał, szukając odpowiedniego słowa — przeszukiwanie przeszłości. Stare zapisy w księgach wieczystych, testamenty sprzed pięćdziesięciu lat, zaginione osoby. Z pozoru nic niebezpiecznego, a jednak...

Zawiesił głos, a z chwili milczenia skorzystała Ilona.

— I sądzi pan, że pana tato przyjechał do „Rybitwy” po to, by wykonać jakieś... zlecenie?

Popatrzyłem na nią z uznaniem. To było bardzo dobre pytanie.

— Nie wiem — stwierdził policjant, opadając na krzesło i sięgając po odłożone wcześniej formularze. — Ale przez całe lata rodzice jeździli w sierpniu do pensjonatu w okolicach Brodnicy. A tutaj... Tutaj trafili po raz pierwszy. To daje do myślenia, prawda?

Pożegnaliśmy się, bo nie było już nic do powiedzenia. Informacja, że pan Tadeusz był detektywem, wydała mi się bardzo ważna. Podejrzywałem, że policja już o tym wie, ale gdy Ilona skrzyła, by skorzystać z toalety, zadzwoniłem do Karoliny. Jej głos zdawał się dochodzić z zaświatów.

— Spałam — mruknęła, a ja przypomniałem sobie, że rzeczywiście wyglądała na zmęczoną. — A ty nigdy nie odpoczywasz?

Policja знаła detektywistyczną przeszłość pana Tadeusza, ale nie przykładła do niej większej wagi. Pierwszeństwo miały inne hipotezy — z tonu jej głosu wysnułem, że na pierwszym planie wciąż znajduje się ta ze mną w roli głównej. Chociaż uspokajała

mnie, że brakuje tu motywu, to kiedy kończyłem połączenie, byłem cały spocony.

Pamiętałem, jak mówiło się w więzieniu: motyw zawsze się znajdzie.

Od dawna fascynowało mnie to, jak długo może trwać „pudrowanie noska”. Nie czekając na Ilonę, przeszedłem do sali głównej. Studiowałem akurat wiszącą na ścianie ulotkę o gruźlicy, która musiała mieć już dobre trzydzieści lat, kiedy na moje ramię opadła ciężka łapa.

— W czym mogę panu pomóc? — Mężczyzna miał czterdzieści kilka lat, drogie okulary i pokazał łysinę. — No, słucham pana...

Patrzyłem na niego szeroko otwartymi oczami. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Nikomu przecież nie przeszkadzałem. Stałem sobie w kącie i czytałem ulotkę. Tymczasem on ścisnął moje ramię z siłą orangutana, a jego głos aż drżał od z trudem tłumionej agresji.

— Zabieraj pan to łapsko! — warknąłem, bo ramię zaczęło mnie boleć.

Puścił mnie, ale tylko po to, by zaraz znów złapać. Tym razem pod szyją, za koszulkę.

— Jeżeli jeszcze raz cię zobaczę... Nieważne, czy tu, czy na Wczasowej...

Koszulka trzasnęła, a ja byłem wolny. Słyszac nazwę ulicy, domyśliłem się, z kim mam do czynienia.

— To co, *panie ordynatorze*? — zapytałem ponuro.

— Nie jestem ordynatorem, tylko dyrektorem — rzekł dumnie, a potem zobaczywszy, że wokół nas gromadzi się tłumek, odsunął się o metr. — Zobaczysz, gnoju — pogroził mi pięścią, po czym odwrócił się na pięcie i podszedł do drzemiącego na ławeczce ochroniarza.

Po chwili zniknął, a sędziwy ochroniarz z ociąganiem ruszył w moją stronę. Wyglądał tak, że mógłby być moim dziadkiem. Skinąłem mu ręką i ruszyłem powoli do drzwi, wciąż trzęsąc się ze złości.

Przy drzwiach dogoniła mnie Ilona. Znała mnie na tyle dobrze, że od razu się zorientowała, iż jestem wściekły.

— Co się stało? — spytała. — Kto cię tak wkurzył?

Mruknąłem coś niewyraźnie, ale nie dała się zbyć.

— No powiedz, kto to był — prosiła. — Wrócę tam i mu nawrzucam. Pacjent? Lekarz? — Nagle zamilkła, a na jej twarzy pojawiło się zrozumienie. — Dyrektor szpitala? Ten cały... Antczak?

Ponuro pokiwałem głową. Myślałem, że będzie mi zawracać głowę dalszymi pytaniami, ale okazało się, że o wszystkim wiedziała. Przez dłuższą chwilę obrzucała go obelgami, uważnie mi się przyglądając.

— Tak się po prostu nie robi — zakończyła. — Nie odbija się narzeczonej człowiekowi, który siedzi w więzieniu.

Nie do końca się z nią zgadzałem.

— Takie jest życie, mała — rzuciłem sentencjonalnie. — A tak w ogóle to skąd o tym wiesz?

Popatrzyła na mnie z politowaniem.

— To małe miasto — stwierdziła. — Twój proces przez długi czas był tu tematem

numer jeden. Ludzie gadali o tym wszystkim nawet po tym, jak już na dobre wylądowałaś za kratami. Nic dziwnego, że dostało się też jemu... a raczej im. Z tego, co słyszałam, to rozważali nawet wyprowadzkę. Zwłaszcza ta Agnieszka... Wiesz, ludzie pluli jej pod nogi.

Nie chciałem dalej tego słuchać. Ten rozdział już dawno powinien być zamknięty. Kiedy Ilona zaczęła mówić dalej, delikatnie jej przerwałem.

— O której musisz być w ośrodku?

Zerknęła nerwowo na zegarek. Do obiadu była równa godzina.

— Mam tu jeszcze jedną sprawę. Piętnaście minut i wracamy, dobrze? — poprosiłem, a ona kiwnęła głową.

Zaletą małych miasteczek jest to, że są... małe. Po trzystumetrowym spacerku byliśmy pod ratuszem.

— Zaczekam tam. — Ilona wskazała na ukwiecony skwer po przeciwnej stronie rynku. — Nie lubię urzędów.

Powiedziałem jej, że mam tu coś do załatwienia. Ale nie chodziło o sprawy urzędowe. Szedłem tam prywatnie. Chciałem koniecznie porozmawiać z Adamem. Jego wczorajsze zachowanie było więcej niż dziwne.

Przepych jego sekretariatu trochę mnie onieśmielił. Wydukałem, że mam sprawę do burmistrza, ale wyfiokowana sekretarka rozłożyła ręce.

— Pan burmistrz nikogo dzisiaj nie przyjmuje — powiedziała stanowczo, po czym otworzyła gruby notes. — Mogę pana zapisać na najbliższy czwartek.

— Ale to mój kolega — zaprotestowałem nieśmiało. — Chodziliśmy do jednej klasy. Niech pani mu przekaże moje nazwisko. Na pewno mnie przyjmie. — W moim głosie była pewność, której tak naprawdę nie czułem.

Stropiła się. Jej stanowczość nagle gdzieś uleciała.

— Widzi pan... — zaczęła. — Pan burmistrz wziął dzisiaj wolne. Urlop na żądanie. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, bo miał w kalendarzu kilka ważnych spotkań, a od rana nie mamy z nim kontaktu.

— Dziwne, bo w szkole był bardzo solidny — rzuciłem, żeby nie wyjść na mruka.

— Prawda? — podchwyciła sekretarka. — W pracy też. Przychodził zawsze, nawet z gorączką. I nigdy się nie spóźniał... Przepraszam. — Podniosła słuchawkę dzwoniącego telefonu: — Niestety, burmistrza dzisiaj nie będzie — wyrecytowała to jak wyuczoną formułkę, a ja dyskretnie się ulotniłem.

Wiedziałem, że mieszka dwie ulice dalej, w jedynym w Mogielnie apartamentowcu. Chciałem go odwiedzić w mieszkaniu, ale gdy tylko opuściłem urząd, zadzwonił do mnie kierownik.

— Gdzie ty się podziewasz? Znów podrywasz moje kelnerki? — w swoim stylu ochrzanił mnie na wstępie, a potem kazał natychmiast wracać do ośrodka.

— Tak jest, szefie! Zaraz będę! — obiecałem, a potem ruszyłem w kierunku czekającej na ławeczce Ilony.

Dwadzieścia minut później byliśmy w ośrodku. Ilona pobiegła do kuchni, a ja udałem się na poszukiwanie kierownika. Nie miałem pojęcia, czego może ode mnie chcieć. Obawiałem się, że chodzi mu o organizowanie jakichś rozrywek dla

wczasowiczów. Kompletnie nie miałem do tego głowy.

Na szczęście okazało się, że on też nie. Znalazłem go dopiero nad jeziorem. Stał tyłem do mnie, przytrzymując się drzwi od hangaru. Zbliżając się, usłyszałem taki zbitek przekleństw, że gdyby nie te kilka lat w więzieniu, to zwiędłyby mi uszy.

— Chcą nas wykończyć! — warknął na koniec, zaciągając się głęboko papierosem. — Jeżeli co drugi dzień ma się tu kręcić policja, to cały ten interes nie ma sensu. Zabójstwa, włamania, zaginięcia... Brakuje jeszcze tylko...

— Spokojnie, szefie — usłyszałem flegmatyczny jak zawsze głos Włodka. Dobiegał z wnętrza hangaru. — Tylko spokój może nas uratować. Szef myśli, że to konkurencja?

— Może i konkurencja. A ty co się tutaj skradasz?!

Zmierzył mnie ponurym wzrokiem. Zawsze sprawiał wrażenie podirytowanego, ale teraz był po prostu wściekły. I to nawet bardziej niż ja po rozmowie z dyrektorem szpitala. Uznałem, że lepiej mu się nie narażać.

— Przepraszam, że tak długo — powiedziałem tylko, po czym na wszelki wypadek się odsunąłem.

Spodziewałem się niezasłużonej bury. Na szczęście byłem w błędzie.

— Nie szkodzi, młody. — Głos szefa był zaskakująco pojednawczy.

Tak pojednawczy, że nawet nie obruszyłem się na określenie „młody”. Cieszyłem się, że to nie ja podpadłem. Kierownik potrafił uprzykrzyć życie. Cóż, tym razem padło na kogoś innego. Może na Grześka?

Ale moja nadzieja była płonna. Chodziło o Czarka, czyli nauczyciela wuefu z liceum w Mogielnie, który przebywał u nas na wczasach. Najwyraźniej nie lubił wypoczywać dalej niż kilkanaście kilometrów od domu...

— Dzisiaj miała być ostatnia rada pedagogiczna przed rozpoczęciem roku — powiedział kierownik, zaciągawszy mnie do wnętrza hangaru. — Godzinę temu dzwonili ze szkoły. Szukali go. Podobno obiecywał, że będzie, a nie dotarł. Ba, nawet nie zadzwonił. Osobiście mam gdzieś te ich cholerne rady, ale skoro prosił o to sam dyrektor... Kazałem go poszukać i okazało się, że od wczoraj nikt go nie widział.

Zamrugąłem oczami. Kolejne zaginięcie? To zaczynało przypominać jakąś epidemię. A z moim życiorysem... lepiej było stąd znikać, póki czas.

— Może gdzieś zapił?

To była moja pierwsza myśl, ale Włodek od razu pokręcił głową. W jego głosie zabrzmiało coś na kształt pogardy.

— On nie pije. To wuefista. Sportowiec.

Sięgnąłem pamięcią wstecz i zdałem sobie sprawę, że mój kolega miał rację. Nigdy nie widziałem, by Czarek wypił więcej niż jedno piwo. I nigdy nic mocniejszego. Jego jedyną słabością był afekt do młodych dziewcząt.

— A zawiadomiliście policję?

Zanim zdążyłem skończyć to pytanie, już wiedziałem, że popełniłem błąd. Kierownik prychnął, a potem wyciągnął papierosy. Oczywiście śmierzące st. thomasy.

— Szefie, nie tu! — krzyknął Włodek, wskazując na wnętrze hangaru.

Myślałem, że jego zuchwałość skończy się reprimendą, ale szef zaskakująco

posłusznie opuścił hangar. Cała złość zarezerwowana była dla mnie.

— Nie wiem, czy jesteś aż tak głupi, czy tylko udajesz — warknął, zaciągając się gryzącym dymem. — Na wszelki wypadek powtórzę: nie chcę tutaj policji. Mam to sobie wyryć na gębie czy może łaskawie zapamiętasz?!

Pochyliłem głowę w geście przeprosin. Odwrócił się ode mnie i wtedy pozwoliłem sobie na lekki uśmiech. Włodek mrugnął do mnie, bo wiedział, że w tej kwestii wszyscy mamy podobne zdanie. Nie tęskniliśmy za glinami. Ja dopiero co wyszedłem z więzienia, kierownik nie chciał, by mundurowi wypłoszyli mu wczasowiczów, a mój kolega... Jeden rzut oka na jego blizny i ponure tatuaże wystarczał, by dojść do wniosku, że nie zawsze był tak grzecznym chłopcem, jak teraz.

— Co mu zrobimy, jak go już znajdziemy? — zapytał pogodnie, ale w jego oczach dostrzegłem ponury błysk.

Kierownik obrócił się w naszą stronę. Jego twarz przypominała maskę.

— Nie chciałbym, żeby mu się stało coś poważnego — wycedził. — Ale jakby się potknął... przewrócił... skapał się w ubraniu...

Miał taką minę, że nie wiedziałem, czy żartuje. Gdy zbliżaliśmy się do domku, w którym mieszkał Czarek, zagadnąłem o to Włodka.

— Oczywiście, że nie żartował. Oczekuje, że przemówimy mu do rozumu. Nasz kierownik to twardy człowiek. Uważaj na niego — dodał niespodziewanie.

Z tego, co wiedziałem, kierownik był zwykłym urzędnikiem Ministerstwa Edukacji Narodowej, który przed kilku laty zwyciężył w konkursie na kierownika „Rybitwy”. Ale dziś wyglądał bardziej na szefa mafii.

— Pasowałby do miejsca, które niedawno opuściłem — zażartowałem, ale Włodek nawet się nie uśmiechnął.

— Pasowałoby tam wielu ludzi — odparł zagadkowo, po czym zagwizdał pod nosem jakąś smętną, podlaską melodię.

Nauczyciel dzielił domek z dwoma wczasowiczami: panem Zbyszkiem i emerytowanym nauczycielem z Trójmiasta. Każdy z nich miał oddzielny pokój, wspólna była tylko łazienka.

— Cały czas gdzieś znikają — poinformował nas ten, który był na miejscu, czyli wiekowy gdynianin. — Ten młody to jeszcze nic dziwnego, ale pan Zbyszek... Siódmy krzyżyk na karku, a włóczy się gdzieś po nocach. Mówi, że łowi ryby, ale nigdy nie widziałem, by coś złapał.

— A kojarzy się panu, by z kimś się spotykał? Na przykład z takim młodym chłopakiem...

— ...w takim ładnym samochodzie, tak? — Staruszek uśmiechnął się domyślnie, kłapiąc przy okazji sztuczną szczęką. — Mówi, że to jego wnuczek, ale kto by mu tam wierzył. Bo co to za dziadek, który wstydzi się własnego wnuka? Spotykają się w tajemnicy. Przedwczoraj natknąłem się na nich w lesie i wtedy uraczyli mnie tą bajeczką o wnusiu. Ale ja jestem już za stary na takie kity. Za stary...

Rzeczywiście był stary, a do tego wścibski i zrzędlivy. W normalnych okolicznościach nie przywiązywałbym wagi do jego słów, ale okoliczności nie były przecież normalne. Jeden człowiek zginął, drugi gdzieś zniknął, a ja... Ja doskonale

pamiętałem obrazek z drogi do Mogielna. Pan Zbyszek rzeczywiście spotykał się ze swoim niby-wnuczkiem w dziwnych miejscach. Tak jakby nie chciał, by ktoś zobaczył ich razem...

Staruszek spieszył się na obiad, więc na szczęście nie był świadkiem tego, jak włamywaliśmy się do pokoju Cezarego. W przeciwnym razie za godzinę wiedziałby o tym cały ośrodek, a nam zależało na dyskrecji.

— Pokój jak pokój — skwitowałem, bo nie było tu nic niezwykłego. Umiarkowany bałagan, brak pustych butelek, śladów przemocy czy... tajemniczych notesów.

Włodek klapnął na zaścieloną kanapę.

— Wróciliśmy wczoraj z wycieczki i od razu poszliśmy do stołówki na kolację. Pamiętam, że tam był. Narzekał, że nie zdążył się przebrać. A potem... Ja piłem piwko, a on... Czort go wie. Mógł pójść wszędzie...

— Nieprawda — sprzeciwiłem się. — Skoro piłeś piwo i go nie widziałeś, to na pewno nie poszedł na przystań. Przynajmniej do... — zawiesiłem głos.

— Do dwudziestej. Potem zaczęło się chmurzyć, więc poszedłem do baraku. Chciałem namówić cię na bilard, ale ciebie... też nie było.

Powiedział to pozornie lekkim tonem, ale wyczułem, że aż skręca go z ciekawości. Chciał wiedzieć, gdzie się wczoraj podziewałem, ale nie zamierzałem go wtajemniczać. Bo niby co miałbym mu powiedzieć? Że lałem się z połową wsi? A potem pół nocy błądziłem po lesie, natykając się o północy na burmistrza? Moje wczorajsze przygody wydawały się tak nierealne, że sam z trudem w nie wierzyłem. A on? Nie chciałem, by miał mnie za blagiera...

— Chodź, na wszelki wypadek przejrzymy jego rzeczy — zaproponowałem, wskazując na szafę, komodę i niewielką szafkę przy łóżku.

Włodek przystał na moją propozycję i po chwili obaj myszkowaliśmy po kątach. Nie było tu zbyt wiele roboty. W przeciwieństwie do pana Tadeusza, u którego panował — łagodnie mówiąc — artystyczny nieład, Cezary był pedantem. Do tego stopnia, że było to... cóż, niepokojące. Każda para skarpetek zrolowana była w identyczny sposób, a każdy sweter — złożony według identycznego schematu. Wszystkie ubrania poukładane były tak dokładnie, jakby ich właściciel korzystał przy tym z linijki. Ja też nie byłem bałaganiarzem, ale taki porządek wydał mi się przesadzony, zwłaszcza że nauczyciel nie był u siebie w domu, tylko na wczasach, w domku letniskowym.

— Jak u jakiejś znudzonej starej panny — skwitował Włodek, zamykając kolejną szufladę.

Ciuchów było tyle, że starczyłoby dla kilku mężczyzn. Ale jeszcze więcej było kosmetyków. Obie kosmetyczki — każdej wielkości całkiem sporej walizki — pękały w szwach. Czego tam nie było? Kremy, olejki, pilniki, żele pod prysznic i kilkanaście rodzajów perfum. A także przeróżne opakowania i saszetki, których zawartość była dla mnie kompletnie nieznana. Sięgnąłem po pierwszą z brzegu.

— Masczka pielęgnacyjna — przeczytałem, a Włodek zrobił wielkie oczy.

— Coś z nim nie tak? — spytał, a ja się roześmiałem, bo zdziwienie na jego twarzy wyglądało naprawdę komicznie.

— A co, ty nie stosujesz masczek?

Odskoczyłem, bo odniosłem wrażenie, że chce splunąć na podłogę. Na szczęście w ostatniej chwili się powstrzymał.

— Wszyscy nauczyciele tak mają? — zapytał, patrząc na mnie podejrzliwie.

— Niektórzy pachną tak, że chciałbyś, żeby się uperfumowali — mruknąłem, przypominając sobie starego nauczyciela fizyki.

W jednej z przepastnych kosmetyczek znaleźliśmy prezerwatywy. Było ich tak dużo, jakby Cezary zaopatrywał się w nie w hurtowni.

— Taki kogut? — zdziwił się Włodek.

Z tego, co pamiętałem, to Cezary lubił się zabawić. Proponował mi kiedyś wspólny wypad na dyskotekę, ale ja miałem już wtedy narzeczoną. A poza tym... to było już po tym, jak nakryłem go na pożeraniu wzrokiem szesnastolatek. Nie chciałem patrzeć, jak robi z siebie pośmiewisko, startując do młodych dziewczyn.

— Miał kiedyś dziewczynę, ale wczoraj mi powiedział, że teraz jest sam. Wiesz, krew nie woda — dodałem, wskazując na rozsypane na łóżku prezerwatywy.

Jego dawna dziewczyna miała na imię Natalia. Pamiętałem ją jak przez mgłę. Była przedszkolanką i miała anielską cierp-liwość. Sądziłem, że jakoś się dotrą, ale Cezary najwyraźniej wybrał wolność. A może to ona miała go dość?

W kącie pokoju stała rakietka tenisowa. Podniosłem ją i wykonałem kilka zamachów.

— Idziemy? — zaproponowałem, bo właśnie zaczynał się obiad.

Włodek pochylał się właśnie nad łóżkiem.

— Zaczekaj chwilę — wystękał, odsuwając je od ściany.

Zerknąłem za łóżko, ale zobaczyłem tylko kurz. Oraz kabel ładowarki.

— Zadowolony?

— Czeka, coś ty taki narwany — mruknął z wyrzutem Włodek. — Patrz, na szafce leży jego portfel, a tutaj — wskazał palcem na krzesło — klucze do pokoju i kluczyki do samochodu. To znaczy, że nigdzie nie wyjeżdżał...

— ...i co z tego? — wszedłem mu w słowo, ale udał, że mnie nie słyszy.

— Brakuje tylko jednego. Wiesz czego?

Nie miałem ochoty na łamigłówki.

— Komórki? — burknąłem, a on popatrzył na mnie z uznaniem.

— Dokładnie. Telefon ma przy sobie. Pytanie brzmi, dlaczego nie odbiera. Przecież na pewno wydzwaniali do niego ze szkoły...

Znalazłem w kontaktach jego stary numer. Nie aktualizowałem kontaktów od ponad pięciu lat, ale po wyjściu z więzienia przekonałem się, że ludzie na ogół nie rozstają się z numerami. Numer komórki jest w tych czasach jak numer PESEL. Niezmienny.

Po sześciu sygnałach usłyszałem głos Cezarego, który informował, że nie może odebrać telefonu. Wzruszyłem ramionami.

— Przecież nie będę mu się nagrywał na pocztę...

Urwałem, bo Włodek uśmiechnął się kpiąco. Zrozumiałem.

— Chcesz połączyć i posłuchać?

Pokiwał głową, wciąż się uśmiechając.

— Ma ustawioną fajną melodyjkę. Motyw z Metalliki. Bardzo charakterystyczny

— oznajmił, a potem się pochylił, udając, że szarpie struny elektrycznej gitary.

Przez kilka następnych minut wałęsaliśmy się po ośrodku. Wybieraliśmy mniej uczęszczane miejsca, wychodząc z założenia, że gdyby telefon leżał przy którejś z głównych arterii, to ktoś już dawno by go usłyszał. Ośrodek był kompletnie opustoszały — wszyscy byli na obiedzie, dzięki czemu nikt nie zwracał nam głowy. Bardzo to nam odpowiadało.

— Może jeszcze tutaj — pociągnąłem go za sobą w kierunku miejsca po spalonej „Brdzie”.

Chwasty wokół starego pogorzelniska trwały nienaruszone. Telefon milczał, nigdzie też nie natknęliśmy się na czającego się pana Zbyszka. Włodek wyglądał na lekko wystraszonego.

— Tfu! Ale ponure miejsce — stwierdził, a potem odruchowo nakreślił na piersi znak prawosławnego, „odwróconego” krzyża. — Powinni coś z tym zrobić. — Zawahał się, a potem pokręcił głową. — Albo lepiej nie. Lepiej nie drażnić duchów — splótł palce w geście odpędzającym uroki, a potem splunął przez ramię.

Nie wiedziałem, że jest aż tak przesądny. Wyszczrzyłem do niego zęby, ale udał, że tego nie widzi.

— Jakie duchy? — spytałem lekkim tonem. — Co najwyżej jeden, tej dziewczyny, która się tu spaliła.

Zgromił mnie spojrzeniem.

— Nie czujesz tego? Tutaj wydarzyło się coś paskudnego. Posłuchaj, jak wieje wiatr.

Chciałem zapytać, jaki wiatr, bo pogoda była bezwietrzna. Ale w momencie, w którym otwierałem usta, poczułem na skórze chłodną bryzę. Ktoś bardziej wrażliwy niż ja porównałby ją do podmuchu z otwartego grobu. Ja nie miałem takich skojarzeń, ale i tak moje ramiona pokryła gęsia skórka.

— Chodźmy stąd — zaproponowałem, a Włodek skwapliwie przyspieszył kroku.

Przeszliśmy koło stołówki, gdzie zapobiegliwa Ilona wyniosła nam po jednym kurzym udzie.

— Macie coś? — spytała szeptem, najwyraźniej wtajemniczona już w zaginięcie nauczyciela.

Zdałem sobie sprawę, że góra za dwie godziny — zakładając, że do tego czasu Cezary się nie znajdzie — cały ośrodek będzie mówił tylko o tym.

Przeszliśmy obok pawilonu, gdzie w sezonie kwaterowane są grupy kolonijne, a potem skierowaliśmy się w stronę jeziora. Co kilkanaście sekund podnosiłem do ucha komórkę, ale wokół wciąż panowała cisza. Przeszliśmy się brzegiem, dochodząc wreszcie do ogrodzenia. Tu nasza misja dobiegła kresu.

— Jak się znajdzie, to sobie z nim pogadam — sapnął Włodek, przedzierając się przez kłujące maliny. — Szef będzie zadowolony. Oj, będzie...

Wróciliśmy na przystań, a potem odruchowo ruszyliśmy w kierunku hangaru. Obaj stwierdziliśmy, że piwo dobrze nam robi.

— Ale tylko po jednym — zaordynowałem, a Włodek poczłapał do swojego królestwa.

Piwo podziało na mnie jak waleriana. Cały stres związany z poszukiwaniami minął mi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— Bałem się, że ten telefon nagle zadzwoni, a obok niego będzie leżał Czarek... Najlepiej z rozwalonym łbem.

Włodek parsknął śmiechem.

— Za dużo czytasz — stwierdził, po czym przechylił oszronioną butelkę i szybko ją opróżnił. — Ja rozumiem, że ten Tadeusz... Ktoś go sprzątnął, to fakt. A przedtem ukradł łódź. Pewnie jakiś miejscowy, mało tu desperatów? Paczka fajek, parę groszy... I mamy motyw. Ale przecież nic nie dzieje się dwa razy. Seryjny morderca w Gęglawkach? To nieprawdopodobne...

Wiedziałem więcej od niego. On nie miał pojęcia, że denat był prywatnym detektywem, a poza tym zdawał się zapominać, iż ktoś — zakładałem, że morderca — podrzucił na miejsce zbrodni moje okulary. Ale jego słowa podziały na mnie uspokajająco. Może to był tylko złośliwy przypadek?

Uśmiechnąłem się do niego, a z serca spadła znaczna część przygniatającego je ciężaru. Nawet wczorajsze spotkanie z burmistrzem wydało mi się mniej dziwne niż przedtem. Chciałem opowiedzieć o nim Włodekowi, ale ten zrobił się jakiś nieswój. Nagle zbladł i pochylił się do przodu. Miałem wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

— Co jest, stary? — zapytałem, a on bez słowa wziął leżący na moich kolanach telefon i odblokował klawiaturę.

Popatrzyłem w tym samym kierunku co on. Na nabrzeżu stały porzewiałe łodzie. Wszystkie z wyjątkiem łodzi numer siedem, którą zabrała policja. Widok był dość zwyczajny, żeby nie powiedzieć nudny. Tymczasem Włodek wpatrywał się weń z szeroko otwartymi oczami, ściskając w dłoniach mój telefon. Ścisnął tak mocno, że obawiałem się, iż komórka zaraz pęknie na pół.

Wyciągnąłem rękę i pomachałem mu przed oczami. Nawet tego nie zauważył. Wciąż trwał w bezruchu, niczym słup soli. Zareagował dopiero w chwili, gdy próbowałem odebrać mu telefon.

— Zaczekaj — powiedział napiętym głosem. — Masz go zapisanego jako Cezary?

— Daj! — powiedziałem stanowczo, po czym nacisnąłem właściwy klawisz. — Znów sygnał...

Przerwałem w pół słowa, bo znad wody dobiegł mnie czysty dźwięk elektrycznej gitary. Nie wiedziałem, czy to Metallica, ale dla mnie brzmiało to bardzo metalowo. Zerwałem się na nogi i wtedy zobaczyłem w jednej z łódek jakąś białą szmatę.

— To rękaw koszulki — stwierdził Włodek nieswoim głosem.

Zbliżyłem się ostrożnie do łódki i z pewną ulgą skonstatowałem, że na jej dnie nie ma ciała. Tylko zwinięte w kłębek ubrania i leżący pod nimi telefon. Ale zbyt długo żyłem nad jeziorami, by się ucieszyć. Takie porzucone na brzegu zawiniątko najczęściej oznaczało jedno — że jego właściciel od dawna karmi ryby.

— Czarek!

Wolał formę Cezary, ale teraz było mu już chyba wszystko jedno.

— Czarek! — wrzasnąłem po raz drugi, tym razem na całe gardło, ale odpowiedziało mi tylko echo i klask skrzydeł wystraszonego łabędzia.

— Nie wrzeszcz więcej — upomniał mnie Włodek. — To i tak nie ma sensu.

Jego zdenerwowanie gdzieś się ulotniło. Znów był taki jak zawsze — opanowany i pełen dystansu. Dotarło do mnie, że od samego początku — gdy tylko zobaczył w łódce porzucone ubranie — nie przejmował się ewentualnym utonięciem, tylko tym, iż doszło do niego przy naszej przystani. Był twardy jak gład. Jak na mój gust, nawet zbyt twardy.

— To co, na policję? — drżącymi palcami nacisnąłem dwie jedyńki i dwójkę, zastanawiając się, co powiedzą mundurowi na kolejne zgłoszenie. Ale Włodek wyciągnął rękę i przerwał połączenie.

— Niech z policją bawi się szef. Jeżeli o mnie chodzi, to znikam. I tobie też to radzę.

Jego pomysł był dla mnie cholernie wygodny. I chociaż serce nakazywało mi natychmiast wskoczyć do wody, to rozum mówił co innego. I tak już było za późno. Jeżeli utonął, to jego odnalezienie należało do policyjnych nurków.

— Daj rower — poprosiłem, gdy zamykał hangar.

Popatrzył na mnie chytrze. Miał nerwy ze stali.

— A gdzie twój? — zapytał, jakby miało to w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie.

— Rozpadł się ze starości — mruknąłem, a on machnął ręką.

— Bierz i znikaj. Ja pójdę na górę i powiem staremu. A potem wypiję jeszcze kilka piw. Po pijanemu nie przesłuchują...

Pedałowałem leniwie, zastanawiając się, gdzie pojechać. W zasadzie nie miałem wyboru. Jeżeli chciałem uniknąć kontaktu z policją, to w grę wchodziło tylko jedno miejsce. Rower sam poniósł mnie do lasu. Tylko tu zdarzały się jeszcze miejsca, w których nie było zasięgu. Gdy tylko minąłem granicę pierwszych drzew, wyłączyłem telefon. W razie czego nikt by mi tego nie udowodnił. Po prostu... zgubiłem zasięg.

Przez pewien czas zapadałem się w miękki piasek, a potem skręciłem w dróżkę biegnącą nad jeziorem. Nie było z niej widać przystani, ale przy przesmyku zauważyłem dwa wypożyczone od Włodka rowery wodne. Wyteżyłem wzrok i na jednym z nich zobaczyłem pana Zbyszka. Facet miał niesamowitą kondycję — dwie godziny temu spotkałem go kilkanaście kilometrów stąd na drodze do Mogielna, a teraz, jak gdyby nigdy nic, pedałowal sobie po jeziorze. W drugim rowerze siedziała rodzina z dziećmi. Nawet tu słyszałem radosne piski dwóch małych chłopców, moczających nogi w spienionym kilwaterze.

Usiadłem na trawiastej skarpie i wystawiłem twarz do słońca. Przez moment rozkoszowałem się lenistwem, ale niestety nie wiadomo skąd pojawiły się czerwone mrówki. Wskoczyłem ze swojego miejsca jak z katapulty i po chwili znów pedałowałem przed siebie. Na leśnym skrzyżowaniu ścieżek odruchowo wybrałem tę, która wiodła w stronę bunkrów.

Las w tej okolicy był nieco bardziej dziki niż gdzie indziej. Co prawda obok bunkrów przebiegało coś, co od biedy można było nazwać namiastką drogi, ale od kilku lat — dokładnie od momentu, gdy na skraju lasu wybudowano wąską asfaltówkę — nikt tędy nie jeździł. Ziemia zryta była gęsto usianymi okopami, a pod starą brzozą stał przechylony krzyż wiekowej kapliczki. Według lokalnej legendy postawiono ją w miejscu, gdzie przed laty powiesił się skąpy młynarz.

Jako dzieciak lubiłem się tu bawić. W bunkrach i okopach można było się natknąć na przeróżne skarby: zardzewiałe łuski, niewypały i inne militarne żelastwo. Brat znalazł nawet pordzewiałą żołnierską menażkę, której mu bardzo zazdrościłem. Wtedy o tym nie myślałem, ale dziś wyobraźnia podpowiadała mi, że mogła to być ostatnia pamiątka po jakimś zapomnianym żołnierzu, który właśnie tu odszedł na wieczną wartę.

Dziś nie było żadnych bawiących się dzieci. Jedynym dźwiękiem był posepny szum starych dębów. Staralem się odtworzyć drogę, którą wczoraj podążałem, ale się okazało, że to zadanie ponad moje siły. W nocy wszystko wyglądało inaczej. Po dłuższej chwili odłożyłem rower i oparłem się o pień. I wtedy, za zieloną zasłoną roślinności, zobaczyłem szary skrawek muru.

Nie miałem pojęcia, czy to był ten sam bunkier, co wczoraj. Usiłowałem dojść do tego po śladach połamanych gałązek, ale w końcu się poddałem. Okrążyłem bunkier i po jego przeciwnej stronie zauważyłem następny. Ruszyłem wzdłuż jego ściany i nagle... runąłem jak długi na ziemię, potknąwszy się o ukryty w runie leśnym stopień.

Moja głowa znalazła się niżej niż nogi. Grunt opadał w tym miejscu tak gwałtownie, że grawitacja pociągnęła mnie w dół. Zatrzymałem się dopiero w błocie wypełniającym zagłębienie. Przez chwilę zastygłem w bezruchu, licząc kości.

Przekręciłem głowę i osłupiałem. Ból, który czułem w urażonym łokciu, minął jak ręką odjął. Na chropowatej ścianie bunkra, kilkanaście centymetrów ode mnie, wisiał niewielki mosiężny krzyżyk. A pod nim, w zielonkawym błocie, leżały kwiaty. Wyglądały jak sztuczne, ale gdy przeciągnąłem po nich ręką, między palcami zostało mi kilka płatków. Kwiaty były świeże...

Podniosłem się na kolana i rozejrzałem dookoła. Z trzech stron otaczał mnie spękany mur, a z czwartej pięły się zmurszałe schody. Dziura, do której wpadłem, nie była głęboka. Miała nieco ponad metr głębokości, ale była doskonale zamaskowana. Zacząłem podejrzewać, że to w niej zniknął wczoraj Adaś. Opadłem z powrotem na czworaka, a moje dłonie zagłębiły się w błotnistej mazi.

Szukałem jakiegoś wjazdu, ale moje ręce natrafiały tylko na błoto. Podałem się, gdy pod jego powierzchnią zniknęły mi łokcie. Nie znałem się na takich konstrukcjach, ale przyszło mi do głowy, że schody mogły prowadzić do studzienki odwadniającej albo nawet do... polowej toalety. I chociaż wiedziałem, że od lat nikt z niej nie korzystał, szybko wstałem, wspiąłem się po schodkach i — będąc już na górze — wstrząsnąłem się z obrzydzenia.

Obszedłem bunkier, ale nie znalazłem wejścia. Wiedziałem, że do niektórych bunkrów można się było dostać tylko podziemnymi korytarzami. Nie miałem jednak ochoty na penetrację podziemi. Wróciłem do „kloacznej” dziury i przez chwilę gapiłem się na krzyżyk i kwiaty. Miejsce przypominało mogiłę. Zadrzałem, a po kręgosłupie przebiegły mi zimne ciarki.

Wyglądało na to, że ktoś pielęgnował pamięć po poległym podczas wojny żołnierzu. Po, bagatela, siedemdziesięciu kilku latach...

Nie byłem już pewny, czy to w tym miejscu natknąłem się wczoraj na burmistrza. Znałem go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie miał przodków w Wehrmachcie czy Armii Czerwonej. Nie interesował się też specjalnie historią. Próbowałem go sobie wyobrazić,

jak składa kwiaty na mogile poległego żołnierza, ale nie byłem w stanie. Wydawało mi się to mało realne.

Pokręciłem się jeszcze wśród bunkrów, ale nie natknąłem się już na nic ciekawego. Czas płynął bardzo wolno i w pewnym momencie dotarło do mnie, że jestem żaloszny. Nie mogłem w nieskończoność unikać policji. Jeżeli będą chcieli ze mną pogadać, to prędzej czy później i tak do mnie dotrą.

Uznałem, że lepiej mieć to już za sobą, i włączyłem telefon. Po chwili nadeszła wiadomość, że ktoś próbował się ze mną skontaktować. Numer należał do Karoliny. Zdziwiłem się, bo miała mieć wolne aż do jutrzejszej nocy. Czyżby sytuacja wymagała, by wzywać funkcjonariuszy poza godzinami ich służby?

Okazało się, że nie. Karolina nie miała pojęcia o zaginięciu nauczyciela.

— Znowu coś się u was dzieje? — zdziwiła się, a ja poweselałem. — Dzwonię w innej sprawie. Czy mógłbyś przyjechać do Mogielna?

Na chwilę oderwałem telefon od ucha. Wyświetlacz wskazywał szesnastą. Dokonałem szybkich obliczeń i wyszło mi na to, że mogę. W końcu to było tylko jedno piwo, dwie godziny temu.

— Pewnie! A co, zapraszasz mnie na randkę?

Nie spieszyła się. Albo wiedziała, że żartuję, albo miała mnie gdzieś.

— Przeszłam się do archiwum i znalazłam dokumenty do sprawy tamtego pożaru. To wszystko wydaje się dziwne. Chciałabym z tobą pogadać.

— Jasne. Tylko daj mi godzinę, dobrze? Możemy się umówić na przykład na rynku, w którymś z ogródków...

— Bądź przy Armii Ludowej. Wiesz, gdzie jest policyjne archiwum?

Potwierdziłem, a ona się rozłączyła. Poczulem przyspieszone bicie serca. A potem znów chwyciłem za telefon i nastawiłem aparat na autoportret. Wiedziałem, że jestem brudny, ale nie spodziewałem się, że aż tak. Połowę twarzy miałem w klejącej mazi, a po głowie spacerowały mi dwa pająki.

Nie chciałem wracać do ośrodka jak ofiara trzęsienia ziemi. Wsiadłem na rower i wybrałem drogę prowadzącą nad jeziorem. Znalazłem odpowiednie miejsce, rozebrałem się do naga i przez chwilę kąpałem się w ciepłej, przybrzeżnej wodzie. Miałem już wychodzić, gdy moich uszu dobiegł charakterystyczny terkot roweru wodnego. Odwróciłem głowę i znalazłem się oko w oko z panem Zbyszkiem, który najwyraźniej wracał z wycieczki.

— Piękny dzień, panie Marcinie! — przywitał mnie, żartobliwie salutując.

Nie przypominał już staruszka w depresji, gapiącego się w zarosłe zgliszcza „Brdy”. Tryskał humorem i musiałem przyznać, że zdecydowanie wolę tę wersję.

— Pan to ma zdrowie — wysapałem z nieudawanym podziwem, podpływając do roweru. — Przed południem widziałem pana przed samym Mogielnem, a teraz tutaj... — podciągnąłem się i uwiesiłem na płozie.

— Staram się o siebie dbać — stwierdził pogodnie. — Emerytura za pasem... Trzeba uważać, żeby nie zdziadzić.

Pochwaliłem taką postawę, po czym zapytałem go, skąd do nas przyjechał.

— Mieszkam w Toruniu, ale zastanawiam się, czy na emeryturze nie przenieść się

gdzieś bliżej. A może nawet — mrugnął — tu, do Gęglawek.

— Chyba pan nie mówi tego poważnie?! — Udałem przestach. — Pan nie wie, jak tu jest zimą. Wilki podchodzą pod same chałupy!

To akurat był żart, natomiast zimą — a także jesienią i wczesną wiosną — wszystko wyglądało tu zupełnie inaczej. Było szaro i smutno. Akurat ja lubiłem takie melancholijne pejzaże, ale takich wariatów było niewiele.

— Wielokrotnie bywałem tu i zimą — stwierdził nieoczekiwanie pan Zbyszek. — I nigdy pana nie widziałem...

Między wierszami ukryte było pytanie. Co prawda kierownik zabronił mi rozmawiać z wczasowiczami o mojej mrocznej przeszłości, ale pan Zbyszek sprawiał tak poczciwe wrażenie... W kilku słowach przedstawiłem mu zakręty mego życiorysu i zaraz tego pożałowałem, bo zrobił się strasznie ciekawski.

Są ludzie, którzy zdają się żyć procesami, paragrafami i wszystkim, co związane jest z sądownictwem. I wszędzie szukają korupcji i nieprawidłowości. Pan Zbyszek należał właśnie do takich ludzi.

— Tak, równe pięć lat — odpowiedziałem na któreś z kolejnych pytań, marząc, bym mógł już odpłynąć. — A wcześniej byłem nauczycielem... Nie, nie byłem karany. Nie, nigdy tu wcześniej nie pracowałem...

Był moją historią zafascynowany. Słuchał moich odpowiedzi, a gdy urywałem, wygłaszał mądrości w stylu „jesteś młody, masz jeszcze czas” albo „sędziowie i prokuratorzy to jedna sitwa”. I pytał... Wciąż zadawał pytania, a mi powoli drętwiały ręce. W pewnym momencie miałem już dosyć. Postanowiłem zmienić temat. Potrzebowałem tylko... no cóż, tematu.

— Ten chłopak, z którym pan się spotkał... To był pana wnuk, prawda? Bardzo podobny — to miał być strzał w dziesiątkę, bo który dziadek przepuściłby okazję, by pochwalić się wnukiem. — Widziałem was, jadąc do Mogielna. Przyjechał takim ładnym samochodem...

— Chevroletem corvette — podpowiedział odruchowo. — Ja w jego wieku nie marzyłem nawet o junaku. Takie czasy... — westchnął, a ja zamiast dumy usłyszałem smutek.

Ale nie chciałem, by wracał do sprawy mojego procesu i osadzenia. Dlatego uczepiłem się tego wnuka.

— Jest tu gdzieś blisko na wczasach?

Wiedziałem, że spotykali się już wcześniej. Jego współlokator z domku numer trzy mówił przed dwoma godzinami, że widział ich w lesie. Podejrzywałem, że tych spotkań było więcej. Dlatego jego odpowiedź mnie zaskoczyła.

— Nie, był tutaj przejazdem — mruknął. — Tak się spieszył, że nie chciał nawet przyjechać do ośrodka. To dlatego spotkaliśmy się przy tamtym wysypisku... Przywiózł mi kilka książek. Ostatnią powieść Cobena, dwie Chmielewskie i...

Wyczułem w jego słowach nutkę fałszu. Szczególnie dziwne było to, jak wymieniał poszczególne tytuły. Tak jakby wcześ-niej sobie tę odpowiedź przygotował. Zacząłem mieć wątpliwości, czy chłopak z corvetty był rzeczywiście jego wnukiem. Dzieliło ich ponad czterdzieści lat, więc teoretycznie było to możliwe, ale... naprawdę nie znałem

dziadka, który mówiłby o swoim wnuku tak zdawkowo jak on.

Pożegnałem go i popłynąłem do brzegu, ścigając się z wyjątkowo odważnym perkozem. Włożyłem na siebie ubłocone ubranie, wsiałem na rower i po kwadransie byłem z powrotem w Gęglawkach. Spodziewałem się tłumu policjantów, ale wieś wyglądała na wymarłą. Na drodze minąłem tylko jedną osobę — szalonego rybaka Macieja, który nie odpowiedział na moje pozdrowienie. Równie spokojnie było w okolicach przystani.

— Gdzieś ty się tak u... — Włodek nie powiedział „ubrudił”, ale o to z grubsza mu chodziło.

Roztarłem ramię, które piekło po jego przyjacielskim klepieniu.

— To tu, to tam — rzuciłem zdawkowo, starając się oszacować, ile w sobie wiał. Doszedłem do wniosku, że niezbyt dużo. — Dlaczego nic się tu nie dzieje? Gdzie policja?

Włodek roześmiał się tak, jakbym opowiedział mu dobry dowcip. Gdy doszedł do siebie, pociągnął mnie w kierunku przystani.

— A co to za policja... — wydusił z siebie, wciąż trzęsąc się od tłumionego śmiechu. — Jeden od godziny przesłuchuje szefa, a ten ma już po dziurki w nosie... A nurkowie... — Chwycił mnie za ramię. — Sam zobacz...

Wskazał palcem na najdalszy fragment pomostu. Zmrużyłem oczy i wydało mi się, że dostrzegam dwie kucające postacie.

— Co oni robią? — zapytałem ze zdziwieniem. — Dlaczego nie są w wodzie?

Włodek znów parsknął śmiechem. Po alkoholu zawsze był wesoły, tyle że jego poczucie humoru robiło się wówczas mało wysublimowane.

— Powiedzieli, że sam wypłynie — powiedział takim tonem, jakby opowiadał dowcip.

Chociaż brzmiało to makabrycznie, była w tych słowach niezaprzeczalna logika. Przecież policjanci nie mogli przeszukiwać całego jeziora, choćby i dlatego, że zajęłoby to im dobre pół roku. Woleli poczekać, aż ciało zostanie wypchnięte na powierzchnię wody dzięki gromadzącym się wewnątrz gazom.

— Paskudna robota — skwitowałem.

Włodek zachichotał jak panna na wydaniu, którą ktoś klepnął w pośladek. Zaczynałem mieć go dość.

— I czego rżysz? — spytałem, mierząc go spojrzeniem pełnym obrzydzenia, na co on dostał czkawki.

— Oni tak nie myślą, zapewniam cię — wybełkotał między czknięciami. — Wiesz, co teraz robią? — Chwila pauzy. — Sukinsyny, grają sobie w oczko. Na kasę.

Przyjrzałem się uważniej i stwierdziłem, że rzeczywiście rzną w karciochy. Z obiektywnego punktu widzenia ich znieczulica była zrozumiała, ale ja nie potrafiłem się z nią pogodzić. W końcu kilka metrów od nich mogło pływać ciało Cezarego.

— A może on po prostu odpłynął? — westchnąłem z nadzieją. — Może uciekł?

Trudno mi było uwierzyć w jego utonięcie. Był wuefistą, a poza tym wychował się tu, na Mazurach. Pływał jak ryba.

— Tak, pewnie uciekł. — Głos Włodka ociekał ironią. — Zostawił telefon, portfel i ubranie... Taka ucieczka musiała być bardzo skuteczna.

Wzruszyłem ramionami, ale się nie odezwałem. Miał rację. Przez chwilę przeczesywałem wzrokiem skrzącą się w słońcu toń, a potem przypomniałem sobie, że umówiłem się z Karoliną.

— Muszę lecieć — oznajmiłem, ale Włodek chwycił mnie za ramię.

— Zaczekaj jeszcze — poprosił, owiewając mnie przykrym zapachem przetrawionego alkoholu. — Popatrz na tamtego. Wygląda jak James Bond, nie?

Przez dłuższą chwilę nie rozumiałem, o co mu chodzi. Zobaczyłem go dopiero wtedy, gdy wyłonił się z cienia. Zmartwiałem, gdyż miałem nadzieję, że już go nie zobaczę.

Na brzegu, między dwoma olszynami, stał prokurator Patryk Mauer. Ten sam, z którym rozmawiałem tuż po odkryciu zwłok pana Tadeusza. Miał na sobie garnitur, a jego buty były tak czyste i błyszczące, że nawet z tego miejsca widziałem, jak odbija się w nich słońce. Ale sama jego obecność nie była tak groźna.

Groźne było to, że najwyraźniej przyglądał mi się przez lornetkę. Oczami wyobraźni widziałem, jak na jego wąskich wargach zarysowuje się okrutny uśmieszek.

— Co tak zbladłeś? — zaniepokoił się Włodek. — Ja też nie lubię prokuratorów, ale ten wydaje się dość miły. O, patrz! Nawet do nas macha...

Miałem dość. Odniosłem wrażenie, że Mauer bawi się ze mną jak kot z myszą. Chociaż dzieliło nas ponad sto metrów, to czułem się zestresowany. I winny, cholernie winny, pomimo że przecież nic nie zrobiłem.

— Sorry, stary, widocznie fiksuję — rzuciłem w kierunku Włodka, który popatrzył na mnie ze współczuciem.

Kilka minut później — przebrany i skropiony wodą kolońską — siedziałem już w swojej maździe. Usiłowałem wyrzucić z głowy obraz obserwującego mnie prokuratora, ale było to ponad moje siły. Usadowił się na dobre w mojej wyobraźni. Zaraz obok kartki z notesu, rozbitych okularów i mojego brakującego alibi.

Brutalna prawda była taka, że nie miałem alibi także na ostatnią noc. Co prawda widzieli mnie mieszkańcy Nadrowa, ale nie oczekiwałem, że będą za mną świadczyć. Podobnie jak Adaś, który do tego stopnia się mnie wystraszył, że jeszcze następnego dnia nie miał odwagi pokazać się w robocie. Jeżeli Cezaremu rzeczywiście stało się coś złego, to było jasne jak słońce, że znów wyląduję na liście podejrzanych. I to na samym czele.

Karolina od razu wyczuła, że jestem podminowany. Okazało się, że знаła już ostatnie wieści z placu boju.

— Miejmy nadzieję, że się znajdzie. W końcu to dorosły facet — powiedziała krzepiącym tonem, ale odniosłem wrażenie, że gdzieś w tle zabrzmiała troska. Widocznie moje akcje stały jeszcze niżej, niż sądziłem.

Przez moment się zastanawiałem, czy zamiast buszować po policyjnym archiwum, nie powinienem poszukać sobie prawnika, ale jak zwykle ciekawość zwyciężyła. Chciałem dowiedzieć się czegoś o tym tajemniczym pożarze i poznać motywy człowieka, który pięć lat później zacierał po nim ślady w dokumentacji ośrodka. Wszedłem z Karoliną do niewielkiego budynku z czerwonej cegły i zatrzymałem się przed stanowiskiem ochrony.

— On jest ze mną, panie Marcinie. — Karolina uśmiechnęła się do mojego

wąsatego imiennika, a on uczynił ręką zapraszający gest.

Po raz wtóry dotarło do mnie, że zachowanie policjantki jest, łagodnie mówiąc... niestandardowe. Już samo publiczne pokazywanie się z człowiekiem, który lada chwila mógł zostać oskarżony o morderstwo, nie było w jej sytuacji czymś mądrym. A zapraszanie „tego kogoś” do takiego miejsca jak to było niczym rosyjska ruletka. Nie miałem pojęcia, dlaczego aż tak ryzykowała.

Archiwum Komendy Powiatowej Policji w Mogielnie przypominało niewielką bibliotekę. Niewielką pod względem powierzchni — na nie więcej niż trzydziestu metrach kwadratowych poustawiane były w rzędach metalowe regały, pękające w szwach od nadmiaru białych, równo zszytych teczek. Na szczęście na półkach panował względny porządek. Akta ułożone były chronologicznie. Stwierdziłem, że najstarsze mają koło piętnastu lat.

— Policja musi pilnować porządku w papierach — stwierdziła Karolina, prowadząc mnie do upatrzonego z góry regału. — Inaczej byśmy w nich utonęli — dodała, wyciągając z półki dość ciekłą teczkę.

Usiedliśmy obok siebie przy jedynym biurku. Wzięłem od niej teczkę i zważyłem ją w dłoni.

— To wszystko? — spytałem zdziwiony, bo w teczce było jedynie kilkanaście stron dokumentów. — Na akta mojej sprawy składało się kilkanaście segregatorów...

— Tutaj nie doszło do morderstwa — przerwała mi dziewczyna. — A przynajmniej nic na to nie wskazuje. Policja przeprowadziła tylko rutynowe czynności, ale...

Urwała, a jej czoło przecięła pojedyncza zmarszczka. Wyglądała jak studentka, która wyciągnęła na egzaminie trudny zestaw pytań.

— Coś ci się nie zgadza?

Spojrzała na mnie z odległości kilkudziesięciu centymetrów i pokręciła bezradnie głową.

— Nie wiem — powiedziała, ścisząc głos. — Wcześniej tylko ją przekartkowałam, ale wydaje mi się, że te czynności mogłyby być bardziej rozbudowane. W każdym razie ja bym na tym nie poprzestała, ale z drugiej strony... To niewielka komenda. Może tak tu się pracuje...

Wpatrywałem się w leżącą na biurku teczkę niczym sroka w gnat.

— Podejrzewasz, że ktoś ją wyczyścił?

— Nie. — Pokręciła głową tak energicznie, że chlasnęła mnie po twarzy włosami. — Myślę... Wydaje mi się, że po prostu niewiele zrobiono... Moim zdaniem — dodała po chwili — zrobiono za mało.

Sięgnąłem po teczkę i otworzyłem ją na pierwszej stronie. Znajdowało się tam ksero dowodu osobistego. Z kolorowego zdjęcia patrzyła na mnie młoda brunetka. Nigdy wcześniej nie widziałem jej na oczy.

— Ładna dziewczyna — stwierdziłem, wpatrując się w jej nieśmiały uśmiech i dołeczki w policzkach. — To ona się spaliła?

— Tak — potwierdziła policjantka. — Katarzyna Joanna Dzwonkowska, w chwili śmierci lat dwadzieścia dziewięć. Córka Karola i Joanny, metr siedemdziesiąt wzrostu, oczy brązowe. Przed śmiercią zamieszkiwała w Mogielnie przy ulicy Wyzwolenia...

Wyglądała tak młodo. Trudno mi było sobie wyobrazić, że od pięciu lat spoczywa na cmentarzu.

— Dziwne, że jej nie kojarzę — powiedziałem w zamyśleniu. — Mogielno to nie Warszawa, ludzie się tu znają. Jeśli pięć lat temu miała dwadzieścia dziewięć lat — dokonałem w głowie szybkich obliczeń — to chyba jest moją rówieśniczką. A raczej była... Mam niezłą pamięć do twarzy, a już szczególnie...

Urwałem zakłopotany, ale Karolina i tak zgadła, co chciałem powiedzieć.

— Szczególnie do twarzy ładnych kobiet, tak? I pewnie nie tylko do twarzy...

Udałem, że nie słyszę.

— Chodzi mi o to... — mówiłem dalej, ale nie dała mi skończyć.

— Urodziła się w Brodnicy. To w Kujawsko-Pomorskiem.

Odruchowo zerknąłem na wiszącą na ścianie mapę Polski. Granice województw wskazywały, że pochodziła sprzed ponad czterdziestu lat.

— Wiem, gdzie jest Brodnica — mruknąłem, zlokalizowawszy ją na mapie. — Czyli ta kobieta nie pochodziła z tych okolic. To by tłumaczyło...

— Trafiła tu po ślubie — powiedziała szybko Karolina. — Sprawdziłam, jej mąż pochodzi z Mogielna. Jest o kilka lat starszy, więc możesz nie kojarzyć także jego.

— Dzwonkowski, Dzwonkowski... — zamruczałem pod nosem, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

— Na imię ma Rafał — podpowiedziała. — Pracował w szpitalu, ale po tej tragedii się wyprowadził.

— Lekarz? — spytałem, krzywiąc się odruchowo, gdyż od pewnego czasu nie znosiłem lekarzy, zwłaszcza tych z miejscowego szpitala. — Ale nie psychiatra?

— Ginekolog. I położnik. Popatrz, wydrukowałam jego zdjęcie z dowodu.

Zerknąłem i pokręciłem głową. Ta chuda, ascetyczna twarz z wydatnym podbródkiem i zapadniętymi policzkami była dla mnie kompletnie obca.

— Nie chciałbym być jego pacjentką — zazartowałem, nawiązując do jego diabolicznego wyglądu.

Karolina schowała zdjęcie i przewróciła kolejną kartkę. Tu też były fotografie. Wszystkie przedstawiały zgliszcza.

— Tu powinno być wklejone zdjęcie zwłok, ale chyba nic z niej nie zostało. Tak jak z domku. Popatrz, spaliło się wszystko, aż do najmniejszego kawałka.

Przyznałem jej rację. Oprócz kilku nadpalonych desek i resztek fundamentów na zdjęciu widoczne były tylko zwęglone resztki. Nawet gałęzie drzew wyglądały na osmalone. Akcja gaśnicza — o ile w ogóle ją podjęto — okazała się kompletnie nieskuteczna.

— Była straż pożarna? — spytałem, mrużąc oczy od unoszącego się w powietrzu kurzu.

Karolina przerzuciła kilka stron, a potem popatrzyła na mnie z wahaniem. Przeniosłem wzrok na teczkę i zamrugałem powiekami.

— A co tu się stało? Korniki?

Strona mająca zawierać raport jednostki gaśniczej była podarta i wymiętoszona. Do tego stopnia, że niektóre zapisy były ledwo czytelne. Popatrzyłem na policjantkę.

— Mówiłaś, że przy tych aktach nikt nie majstrował — powiedziałem ze zdziwieniem. — Jeżeli to nie jest majstrowanie...

— Wolę wierzyć, że nie — westchnęła dziewczyna, ale wyglądała na nie do końca przekonaną. W jej oczach dostrzeg-łem coś, co można było wziąć za niepewność. — Zrozum, jestem policjantką. Łatwiej mi zaakceptować nieudolność niż... rozmyślną obstrukcję. Zresztą wszystko można odczytać. A poza tym: co ciekawego może być w raporcie z akcji gaśniczej?

Oboje pochyliliśmy się nad pomiętym drukiem protokołu. Wypatrzyliśmy godzinę akcji, nazwiska biorących w niej udział strażaków, wykaz zużytego sprzętu... Zatrzymaliśmy się przy rubryce poświęconej „osobie zgłaszającej zdarzenie”. Papier był tu tak wystrzępiony, że trudno było coś zobaczyć. Dopiero gdy Karolina zapaliła dodatkowe światło, odczytaliśmy z móżdżkiem tych kilka chwiejnych literek.

„Anonim”.

Przez chwilę trwaliliśmy w milczeniu, a potem zaczęliśmy mówić jednocześnie. Udało mi się ją przekrzyczeć.

— Ja wszystko rozumiem — wypaliłem. — Ktoś może zgłosić anonimowo, że pani Krysia z księgowości bierze łapówki. Ale anonimowe wezwanie straży pożarnej? W sytuacji, w której giną ludzie? Wtedy nikt nie kalkuluje. Pytają, jak się nazywasz, a ty im odpowiadasz. Proste, nie?

Zagryzła wargi. Chyba chciała powiedzieć dokładnie to samo co ja.

— Masz lupe? — spytała, a ja popatrzyłem na nią jak na wariatkę, bo kto na co dzień nosi przy sobie takie rzeczy. — Spytam, może mają w wyposażeniu.

Wróciła, ściskając w ręku grube okulary ochroniarza. Przyłożyła je do strażackiego raportu i przez moment studiowała rubrykę z osobą zgłaszającą. A potem ustąpiła mi miejsca.

— Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku. Chyba ten sam charakter pisma, ale...

— ...ale nie jesteś w stanie wykluczyć, że ktoś wydrapał nazwisko żyłką, a potem napisał w tym miejscu „anonim”, co? — spytałem, oddając jej okulary, a ona pokręciła głową.

Postanowiliśmy zbadać teczkę karta po karcie. Przejrzeliśmy dokładnie wszystkie zdjęcia, a potem przeszliśmy do protokołów z przesłuchań. Przesłuchano trzy osoby: kierownika ośrodka, recepcjonistkę i męża denatki.

Z tego, co słyszałem, w takich sytuacjach pierwszym podejrzanym jest zawsze mąż. Lub żona. Dlatego sięgnąłem po protokół z przesłuchania Rafała Dzwonkowskiego. Sięgnąłem i... zamarłem.

— Co z tobą? — spytała po chwili Karolina, zaniepokojona tym, że zamiast czytać zeznania, wpatruję się tępyim wzrokiem w jeden punkt. — Co tam masz?

Usiłowałem coś naściemniac, ale nie mogłem znaleźć słów. Ten podpis... Poznałbym go nawet za sto lat.

— To ten prokurator... który wsadził cię do więzienia, tak? — domyśliła się Karolina.

— Ten sam — westchnąłem. — Poczulem się, jakbym jeszcze raz czytał swój akt

oskarżenia.

Ale w mojej sprawie prokurator Klicki (wszyscy zwracali się do niego po nazwisku, zupełnie jakby nie miał imienia) był bardziej sumienny. Przesłuchanie męża denatki poprowadzone było zdawkowo. Być może powodem był jego kiepski stan psychiczny. Przesłuchanie kilka razy przerywano, o czym świadczyły pozostawione w protokole adnotacje. Jedna z nich informowała wprost, że przerwa spowodowana była „chwilową niezdolnością do składania zeznań ze względu na stres pourazowy”.

— Jest coś ciekawego? — zapytała po chwili Karolina, odkładając protokół przesłuchania kierownika ośrodka.

— Nie bardzo — westchnąłem. — Mąż nie był świadkiem zdarzenia... przebywał w sali balowej... Nie miał konfliktu z żoną i podobno ją kochał... — wyrecytowałem, a potem położyłem protokół na stole. — To całe przesłuchanie... Wszystko to jakieś takie... na odwal się — stwierdziłem ze zdziwieniem. — Mógł ją zarznąć, poćwiartować i spalić, a prokurator i tak by mu uwierzył.

Karolina powoli pokiwała głową. Wyglądała na zde gustowaną.

— Szef ośrodka był z kolei bardzo oszczędny w słowach. Nic nie widział, nic nie słyszał, nic nie wie... Same bzdury. A ten prokurator to rzeczywiście jakaś porażka. Już lepiej przesłuchują przedszkolaki...

Zerknąłem na ostatni protokół. Przesłuchiwaną była recepcjonistka, niejaka Zdzisława Bies. O ile w poprzednich przypadkach prokurator poszedł na łatwiznę, to tutaj przeszedł samego siebie. Dokument liczył jedną stronę. Trzy pytania, trzy odpowiedzi.

— Nikt obcy nie wchodził na teren ośrodka... Nikt nie wychodził... Cały czas siedziała w recepcji — zreasumowałem pod nosem, a Karolina pokręciła z niedowierzaniem głową.

Ostatnim dokumentem w teczce była notatka służbowa sporządzona przez jakiegoś policjanta. Odczytałem na głos jej kluczowy fragment.

W wyniku przeprowadzonego postępowania wyjaśniającego stwierdzono, że pożar budynku typu „Brda” na terenie Ośrodka Wypoczynkowego „Rybitwa” był rezultatem nieszczęśliwego wypadku polegającego na prawdopodobnym zaprószeniu ognia przez Katarzynę Dzwonkowską, która w wyniku pożaru poniosła śmierć na miejscu. Podjęte czynności nie ujawniły udziału osób trzecich.

Karolina nie wytrzymała i prychnęła z pogardą.

— Podjęte czynności... — zacytowała, czerwieniejąc ze złości. — To nawet nie jest śmieszne. W tej sprawie nie zrobiono kompletnie nic. Ja rozumiem... Okres urlopowy, wakaty. Ale za coś takiego moi starzy szefowie w Warszawie dawali dyscyplinarki.

Jej oburzenie wzrastało z każdym wypowiedzianym słowem. Ja z kolei byłem coraz spokojniejszy.

— Trzeba by się było zastanowić, czy ta opieszałość policji i prokuratury wynikała z niedbalstwa, czy też kryło się za nią coś jeszcze — mruknąłem, przesuwając palcami po teczce. — Przesłuchano trzy osoby. Dyrektora, recepcjonistkę i męża. Może powinniśmy z nimi... porozmawiać.

Popatrzyła na mnie z namysłem.

— Są jedynymi świadkami, o których wiemy — zaczęła ostrożnie. — Ale przecież nie możemy wznowić śledztwa... czy raczej czynności sprawdzających — szybko się poprawiła.

— A nieoficjalnie?

Przez chwilę milczała, a potem na jej twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

— Poza godzinami służby? Ale zdajesz sobie sprawę, że mogę mieć przez to problemy w pracy?

Sam też obawiałem się problemów, ale skoro sprawy zaszły tak daleko... Nieopodal ośrodka zamordowano człowieka, a ja... Ja z każdą chwilą coraz mocniej wierzyłem, że miało to związek z wydarzeniami sprzed pięciu lat. Tak podpowiadał mi instynkt, ale snując przypuszczenia, nie bazowałem tylko na nim.

Wystarczyło powiązać ze sobą fakty. W dniu, w którym został zabity pan Tadeusz, doszło także do włamania do ośrodkowego archiwum, skąd wykradzione zostały dokumenty dotyczące pożaru. Oczywiście mogła to być przypadkowa zbieżność, ale za długo żyłem, by wierzyć w takie przypadki. Zwłaszcza że z tym pożarem było chyba coś nie tak. Świadczyły o tym akta sprawy — zaskakująco cienkie, przetrzebione i miałkie. Zupełnie jakby ktoś miał coś do ukrycia.

To wszystko rozpałało oczywiście moją ciekawość, ale to nie był główny powód, dla którego aż tak się zaangażowałem. W pierwszej kolejności powodował mną egoizm albo — mówiąc wprost — strach o własny tyłek. Zdawałem sobie sprawę, że jestem na liście podejrzanych. Co więcej, kolejne dni mogły mnie tylko pogрузić — ta cholerna strona z notesu wisiała nade mną niczym miecz Damoklesa. Gdybym był w stanie powiązać wczorajsze morderstwo z pożarem sprzed pięciu lat, podejrzania wobec mnie straciłyby rację bytu. Z pożarem nie miałem bowiem nic wspólnego. Kiedy do niego doszło, przebywałem na saksach. Mogły to potwierdzić dziesiątki osób.

Dlatego uśmiechnąłem się przymilnie.

— Jakbyś zdobyła dla mnie ich adresy... Przecież nikt mi nie zabroni z nimi porozmawiać. Ja nie jestem policjantem. Nie obowiązują mnie żadne procedury...

Wciąż się wahała. Postanowiłem wytoczyć najcięższe działa. Streściłem jej swoje przemyślenia, stawiając sprawę wprost: rozwiązanie zagadki z przeszłości mogło oznaczać dla mnie wolność.

— Naprawdę sądzisz, że jest tu jakiś związek? — spytała w zamyśleniu. — To kompletnie bez sensu. Co może łączyć te dwie sprawy? Przecież minęło ponad pięć lat.

Chciałem jej powiedzieć, że pięć lat to wcale nie jest dużo czasu. Niewiele mniej spędziłem za kratami. Życie pędziło niczym bolid Formuły 1, nie dając szansy nawet na chwilę wytchnienia. Chciałem przy tym dodać, że według mnie kluczowym elementem tej układanki jest detektyw — i to nie tylko dlatego, że został zamordowany. Ale nie zdążyłem zebrać myśli. Karolina kompletnie mnie zaskoczyła.

— Wiesz co? — stwierdziła, porzucając nagle swój sceptycyzm. — Najśmieszniejsze jest to, że tak naprawdę myślę tak jak ty. Też mi się wydaje, że musi tu być jakiś związek. Chyba zupełnie przy tobie zwariowałam — dodała, kręcąc z niedowierzaniem głową.

A potem wstała, przestąpiła z nogi na nogę i wyjęła z kieszeni karteczkę.

— Tutaj masz adres męża — powiedziała. — Dawnego dyrektora możesz odwiedzić w miejscu pracy, a co do recepcjonistki, to zaraz wszystko ustalę — wyciągnęła telefon, zadzwoniła na komendę i zaczęła czarować dyżurnego, by po dwóch minutach zapisać na kartce drugi adres. — Mieszka tu, w Mogielnie. Co jest? Zawiesiłeś się?

Wpatrywałem się w kartkę, usiłując zrozumieć, o co tu chodzi.

— To adres Rafała Dzwonkowskiego?

— Mówiłam ci, że po jej śmierci się wyprowadził. Teraz mieszka w Pasymiu. To niedaleko stąd, jakieś trzydzieści kilometrów...

— Naprawdę nie musisz mnie uczyć geografii. Bywałem w Pasymiu wtedy, gdy ty chodziłaś w pieluchach. Skąd masz ten adres?

Wyglądała na zniecierpliwioną.

— Jak to skąd? — spytała, jakby odpowiedź była oczywista. — Z bazy PESEL. Są tam dane odnośnie do zameldowania.

Wiedziałem, jakie informacje zawiera baza PESEL. Podobnie jak inne bazy danych, z których korzysta policja. W więzieniu nauczyłem się wielu rzeczy. Niektórych bardziej przydatnych, innych mniej. Najbardziej ceniłem wiedzę, którą nabyłem o samym sobie.

Okazało się, że byłem twardy. Twardszy, niż kiedykolwiek sądziłem. Nie chodziło tu bynajmniej o odporność na ból, bo na fotelu dentystycznym lamentowałem jak mała dziewczynka. Chodziło o siłę psychiczną. Było to o tyle zaskakujące, że na wolności zawsze byłem postrzegany jako typowy młodszy brat. Beztroski, nieodpowiedzialny i trochę postrzelony. Okazało się, że te cechy wcale nie wykluczały silnej psychiki.

Przez cały okres osadzenia unikałem poważniejszych załamania i czułem się na tyle mocny, że byłem dla niektórych kolegów kimś w rodzaju psychoterapeuty. Pomagałem im przetrwać te najcięższe chwile, a oni zawsze o tym pamiętali. Za kratami byłem kimś, co nie znaczyło oczywiście, że chciałem tam wrócić.

Tylko jednemu koledze nie potrafiłem pomóc. Bardzo tęsknił za pozostawioną na wolności dziewczyną. Płakał nocami, narażając się na drwiny niektórych współwięźniów. Rozmawiałem z nim całymi godzinami, ale moje słowa do niego nie trafiały. Pewnego grudniowego poranka, po drugiej nieudanej próbie samobójczej, trafił na więzienny oddział psychiatryczny.

To było straszne miejsce. „Normalni” więźniowie nie mieli tam wstępu. Budynek oddziału był oddalony od innych zabudowań — widać go było z drogi na jeden ze spacerów. Widać i... słyhać. Bo to dźwięki były najgorsze. Z okien oddziału co jakiś czas rozlegało się zwierzęce wycie. Otumanieni lekami więźniowie zachowywali się jak zwierzęta. Ktoś, kto wchodził tam względnie normalny, wychodził jako kompletny wrak.

Mój kolega miał o tyle szczęście, że nie zabawił tam długo. Siedział za jakąś pierdołę — chyba była to kradzież z włamaniem — i ktoś się nad nim ulitował. Resztę kary spędził w zwykłym szpitalu psychiatrycznym. Też za kratami, ale w o niebo lepszych warunkach, w otoczeniu lekarzy, a nie konowałów. Wyszedł przed rokiem i — z tego, co wiedziałem z listu — wiódł w miarę normalne życie, razem ze swoją wytęsknioną dziewczyną. Poczekala na niego, co wcale nie było regułą.

Dobrze pamiętałem radość, jaką poczułem, gdy przynosili go z oddziału do szpitala. Jeden z kolegów znał to miejsce. Co prawda kiepsko go tam leczyli, bo trafił do paki za morderstwo teściowej, ale sam pobyt wspominał z rozrzewnieniem. To od niego się dowiedziałem, że szpital jest pod Pasymiem, tuż nad malowniczym jeziorem. Przy ulicy Fiołkowej, co wydało się nam bardzo zabawne, bo kojarzyło się z fiołem...

Rafał Dzwonkowski od niemal pięciu lat zameldowany był w Pasymiu, przy ulicy Fiołkowej 1.

Karolina nie chciała mi wierzyć, ale w końcu musiała mi przyznać rację.

— Szpital psychiatryczny — przeczytała ze zdumieniem z ekranu telefonu. — Fiołkowa 1. Trzymają go tam od pięciu lat?

Przypomniałem sobie adnotację na protokole przesłuchania. W świetle tego, czego się dowiedzieliśmy, nabierała nowego znaczenia. To nie był stres, tylko trwały uraz. Uraz wykluczający go z normalnego życia. Facet kompletnie się rozsypał. Bardzo go żałowałem.

— Chcesz tam jechać? — zapytała Karolina.

Nienawidziłem się za to, ale odpowiedź brzmiała „tak”. Miałem nadzieję, że zdołam otworzyć ten szalony umysł i wydobyć na światło dzienne ukryte w nim szczegóły. Było to okrutne, ale liczył się dla mnie tylko cel. Chciałem rozwiązać tę zagadkę i oddalić od siebie widmo powrotu za kraty. Nie miałem zamiaru już więcej testować tej swojej twardej psychiki.

— Ale na pewno nie dzisiaj — dodałem, bo nie chciało mi się od razu jechać do Pasymia. Była już osiemnasta, a ja marzyłem, by wreszcie odpocząć. — Były dyrektor też odpada — dodałem, tłumiąc ziewnięcie.

— To może ta pani Zdzisława?

Przypomniałem sobie, że tak miała na imię recepcjonistka. Podejrzywałem, że ma ze sto lat, bo imię Zdzisława już dawno wyszło z mody. Nie miałem ochoty na rozmowę ze sklerotyczną staruszką, ale z drugiej strony mieszkała niedaleko stąd...

— Tak, złożę jej wizytę — zdecydowałem i jeszcze raz rzuciłem okiem na szczątkowy protokół z jej przesłuchania. — Może mi powie, kto był na tej imprezie, bo twoi koledzy nie uznali za stosowne załączyć do akt listy gości. Chociaż po tylu latach... Kto by to pamiętał? — westchnąłem bez większej wiary.

Karolina odłożyła teczkę na właściwy regał, a potem zaczęła chodzić z kąta w kąt. Kiedy ruszyłem w stronę wyjścia, zastąpiła mi drogę.

— Czekał, myślę — mruknęła.

Posłusznie się zatrzymałem, a ona okrążyła mnie dwukrotnie. Parsknąłem śmiechem.

— Co się dzieje?

Zmierzyła mnie nieprzychylnym spojrzeniem.

— Idę z tobą — powiedziała stanowczo. — Nie mogę tego przegapić.

Mogielno uzyskało prawa miejskie pod koniec XIV wieku. Nazywało się wówczas Neue Stadt i było siedzibą komturii Zakonu Szpitala Najświętszej Maryi Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, czyli — mówiąc prościej — zakonu krzyżackiego. Krzyżacy wzniesli tu piękny zamek, z którego dziś pozostały jedynie dwie wieże,

połączone blankowanym murem. Mijały wieki, zmieniały się granice, miasto na zmianę bogaciło się i ubożało, aż wreszcie — podczas drugiej wojny światowej — zostało częściowo zrównane z ziemią. Polska Ludowa pozostawiła po sobie w spadku kilka osiedli czteropiętrowych bloków z wielkiej płyty, ale rynek i okolice odbudowane zostały w duchu przedwojennym. Dzięki temu miasteczko zaliczało się do najpiękniejszych w województwie. Gdyby było położone nad jeziorem, szybko zyskałoby turystyczny status Mrągowa czy Ostródy.

Ale okolica, w której mieszkała pani Zdzisława, miała niewiele wspólnego z samym Mogielnem. Przejechaliśmy moją mazdą przez tory kolejowe, wkraczając w zupełnie inny świat. Tu nikt nie zawracał sobie głowy gospodarką przestrzenną czy rewitalizacją. Przy żuźlowych uliczkach stały nierównomiernie rozsiane dwupiętrowe bloczki, których elewacje łuszczyły się ze starości i zaniedbania. W przestrzeniach między nimi usadowiła się zabudowa jednorodzinna, ale próżno tu było szukać eleganckich willi. Rozwalające się chałupy i zdewastowane szopy doskonale się komponowały z zapuszczonym otoczeniem, a obraz wszechobecnej ruiny dopełniał porzrzucany po podwórkach złom.

— To będzie tu, za zakrętem — informowała mnie Karolina, śledząc trasę naszej podróży na ekranie telefonu. — Uważaj!

Nacisnąłem gwałtownie hamulec i zatrzymałem się tuż przed przebiegającym przez jezdnię chłopakiem. Stał i rzucił w moją stronę kilka obelg. Miał krótko ostrzyżoną głowę i prymitywne rysy twarzy.

— Niewiele brakowało — skomentowałem, ocierając czoło.

Ominąłem go i odjechałem, zostawiając go na środku drogi. Wciąż gestykulował, a po chwili dołączyło do niego kilku kompanów. Wszyscy wyglądali na pijanych i agresywnych. Cóż, w takich miejscach jak to nikt nie lubi obcych.

Zaparkowałem za zakrętem, nerwowo się rozglądając. Na szczęście się nie pojawili. Nie chciałem idiotycznej konfrontacji, obawiałem się też o swoją mazdę. Wyglądali na takich, dla których wybicie szyby w obcym samochodzie nie było niczym niecodziennym.

Bloczek, w którym zameldowana była pani Zdzisława, był chyba jeszcze bardziej zaniedbany od pozostałych. Brudnożółty tynk odpadał całymi płatami, odsłaniając zagrzybiony mur. Futryny okien były przegniłe, a pod stopami chrzęściło potłuczone szkło.

— Panie przodem — zażartowałem, zapraszając Karolinę wytwornym gestem do cuchnącej klatki schodowej.

Mieszkania nie miały numerów, więc zapukałem do pierwszego z nich. Otworzył mi mężczyzna w przybrudzonym podkoszulku. Jego włosy dawno nie widziały szamponu.

— Zdziśka? — wychrypiał, a potem wskazał ręką na sąsiednie drzwi. Zobaczyłem, że ma długie, żółte paznokcie, i nieco mnie zemdliło.

Karolina wcisnęła guzik dzwonka. Z wnętrza mieszkania dobiegł płacz dziecka. Czekaliśmy przez chwilę, lecz nikt nam nie otworzył. Mężczyzna w brudnym podkoszulku wciąż tkwił w drzwiach swojego mieszkania. Zauważyłem, że nastawiony

był do nas przyjaźnie.

— Nie otwiera? Pewnie boi się komornika — zarechotał, pokazując liczne braki w uzębieniu. — Zdziśka! — wrzasnął, aż zabolaty mnie uszy. — Otwieraj! Gości masz!

Płacz dziecka zrobił się jeszcze głośniejszy. Zaczęło mi się robić głupio. Chciałem się wycofać, ale w momencie gdy zrobiłem pierwszy krok, z mieszkania mężczyzny dobiegł zachrypnięty głos.

— Co się tak drzesz?!

W polu widzenia pojawiła się otyła postać. Chociaż miała gruby głos, a dolną szczękę pokrywał lekki zarost, nie miałem problemu, by rozpoznać w niej kobietę.

— Zdziśka jest na dworze. Wiesza pranie. A o co chodzi?

Zmierzyła nas ponurym spojrzeniem. Zgadywałem, że to partnerka mężczyzny w koszulce. Z tonu jej głosu wysnułem, że trzyma go raczej krótko. Przywodziła na myśl Horpynę z *Ogniem i mieczem*.

— Mamy do niej sprawę — odpowiedziała jej krótko Karolina, kierując się do wyjścia. — Prywatną — dodała, ucinając w zarodku dalsze pytania.

„Horpyna” wyglądała na wściekłą. Ominąłem ją szerokim łukiem i podążyłem za policjantką. Zanim opuściłem klatkę schodową, usłyszałem, jak wyzywa swojego partnera. Nie chciałem być w jego skórze...

Dobrze wydeptana ścieżka poprowadziła nas na niewielkie podwórko. Między zdziczałymi jabłoniemi rozciągnięte były sznurki z praniem. Między nimi stała z miską młoda dziewczyna.

— Szukamy pani Zdzisławy Bies — zagailem, przyoblekając twarz w uspokajający uśmiech. — Podobno wiesz tu pranie — dodałem niezręcznie, bo oprócz dziewczyny nikogo tu nie było.

Zarumieniła się.

— W czym mogę pomóc? — zapytała grzecznie.

Odniosłem wrażenie, że mnie nie zrozumiała. Powtórzyłem to samo nieco wolniej.

— To ja jestem Zdzisława Bies.

Odebrało mi mowę. Nastawiałem się na staruszkę, a okazało się, że Zdzisława Bies ma zaledwie dwadzieścia kilka lat.

— Czy to pani kilka lat temu pracowała w „Rybitwie”? — wtrąciła się Karolina.

Dziewczyna przeniosła na nią wzrok. Musiały być w podobnym wieku, ale różniło je praktycznie wszystko. Karolina była zadbana. Miała piękny uśmiech, starannie ułożone włosy i modne ubranie. A Zdzisława... Jej zęby były żółte, włosy posklejane, a sukienka podarta i poszarzała ze starości. Aż przykro było patrzeć, tym bardziej że gdyby o siebie zadbała, byłaby naprawdę ładną dziewczyną.

— Pracowałam. A o co chodzi?

W jej głosie zabrzmiała nieufność. Postanowiłem, że powiem jej prawdę. A przynajmniej część prawdy.

— A ja pracuję tam teraz — przedstawiłem się, po czym opowiedziałem jej o włamaniu. — Wiem, że to dziwne, ale musi mi pani uwierzyć — ciągnąłem, a ona słuchała w milczeniu. — Nie zginęło nic oprócz kilku dokumentów. A te dokumenty dotyczyły pożaru. Na pewno pani pamięta...

Urwałem, bo dziewczyna niespodziewanie się rozplakała.

— Ja ich nie wzięłam, naprawdę... — wychlipała, a dziecko, które obserwowało nas z otwartego okna, zaczęło się drzeć na całe gardło. — Po co by mi były jakieś papiery?

Ująłem ją za ramię. Zadrżała.

— Przecież ja pani nie podejrzewam — powiedziałem łagodnie. — Chcę się tylko dowiedzieć, co się tam wtedy naprawdę wydarzyło. Nie mam kogo zapytać, a wiem, że pracowała pani wtedy w ośrodku.

Odetchnęła kilka razy, a potem znów załkała. Wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Rozejrzałem się dookoła i przestałem się jej dziwić. Jakbym tu dłużej pomieszkał, też chciałoby mi się płakać.

— Przepraszam — powiedziała wreszcie. — To przez konkubenta. Byłam u niego wczoraj na widzeniu...

Popatrzyłem na nią i na zapłakane dziecko. Zrobiło mi się jeszcze bardziej przykro niż przed chwilą.

— Współczuję — wymamrotałem, tracąc resztki rezonu.

— Siedzi za wymuszenia — powiedziała niespodziewanie. — To nic wielkiego, ale zostało mu jeszcze dwa lata. Jest, jaki jest, ale samej trudno...

Podrapałem się po głowie.

— A gdzie siedzi?

— W Sztumie.

Pokiwałem ze smutkiem głową. To było ciężkie więzienie. Podejrzewałem, że nie chodziło tylko o wymuszenia, ale wolałem nie drażnić tematu.

— Niech nam pani opowie o tym pożarze — poprosiłem. — Kierownikowi zależy, by poznać jak najwięcej szczegółów. Podejrzewam, że sam nie wie, co z tym zrobić. Niby nie zginęło nic wartościowego, ale wie pani... — zawiesiłem głos.

Spodziewałem się pytań, ale chyba niezbyt uważnie mnie słuchała. Odwróciła się do mnie bokiem i utkwiała wzrok w białym prześcieradle.

— To było w lipcu — powiedziała monotonnym głosem. — Podczas imprezy między turnusami. Niewiele widziałam. Siedziałam w recepcji, która mieściła się przy bramie, w takim małym domku...

— Tak jest do dzisiaj — potwierdziłem.

— Ktoś nagle zawołał, że w ośrodku wybuchł pożar. Przyjechała straż pożarna i go zgasiła. Niestety w tym domku, co się spalił, spała jakaś pani. I to wszystko.

Nie umiała opowiadać. Jej historia brzmiała tak sztucznie, że odniosłem wrażenie, iż zmyśla. Ale podstawowe fakty się zgadzały.

— Kto zawiadomił straż? — spytałem, ale ona wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — odpowiedziała, omiatając wzrokiem zrudziały trawnik.

— A kto w ogóle tam był? Pamięta pani gości?

Splotła przed sobą ręce.

— Nie pamiętam — szepnęła. — To było przecież tyle lat temu...

Pokręciłem głową. Byłem rozczarowany, ale w końcu czego się mogłem spodziewać? Nie każdy chce pamiętać o przykrych sprawach.

— A o której to wszystko się zaczęło? — spytałem po to, by przerwać

przedłużające się milczenie.

Wzruszyła ramionami.

— Chyba gdzieś o dziesiątej — powiedziała, znów gapiąc się w prześcieradło.

— O dwudziestej drugiej, tak? — odezwała się Karolina. — Niech sobie pani dokładnie przypomni. Czy było już ciemno?

— Tak. A może nie... Chyba nie — miotła się dziewczyna. — Chyba nie było jeszcze zupełnie ciemno.

Nie wiedziałem, czemu służyło pytanie Karoliny. Przecież odpowiedź była oczywista. Impreza odbyła się pod koniec lipca. O dwudziestej drugiej jest wtedy jeszcze dość jasno.

— Mam jeszcze ostatnie pytanie — zaczęła Karolina, mierząc dziewczynę zagadkowym spojrzeniem.

— Tak, słucham? — Jej głos brzmiał tak, jakby była bardzo zmęczona.

Policjantka zrobiła efektowną pauzę.

— Dlaczego pani kłamie?

Znów rozległ się szloch. Dziewczyna nawet nie próbowała zaprzeczać. Przykucnęła i ukryła twarz w dłoniach. Spojrzałem na Karolinę jak na czarownicę.

— Skąd wiedziałas? — spytałem zdumiony.

— Mowa ciała — odpowiedziała krótko. — Od początku podejrzewałam, że coś jest nie tak. Zamknięta postawa, uciekanie wzrokiem w prawo i do góry... Wiesz, ten cały psychologiczny bełkot. Ale pewności nabrałam dopiero po jej odpowiedzi na twoje ostatnie pytanie.

— O godzinę?

— Tak jest. Pożar nie wybuchł o dwudziestej drugiej, tylko o drugiej nad ranem. Tak przynajmniej wynika z akt, a konkretnie z protokołu akcji gaśniczej. To nie północna Norwegia. Nie mogło być wtedy jasno.

Popatrzyłem na nią z uznaniem. Ja nie zwracałem uwagi na takie szczegóły. Cóż, w końcu byłem facetem.

— Brawo, pani detektyw — zażartowałem, a potem pochyliłem się nad zapłakaną dziewczyną.

— Chce pani chusteczkę?

Pokręciła głową, po czym otarła oczy rękawem sukienki. Na policzku została jej ciemna smuga.

— Doniesiecie na mnie, tak?

W jej głosie było tyle smutku i zniechęcenia, że odruchowo zaprzeczyłem. Empatyczna strona mojej natury nie pozwoliła mi dalej jej stresować.

— To było tyle lat temu, że nikt nie będzie się tym interesował. — Pogładziłem ją po skroni niczym bezdomną wiewiórkę. — Chyba że to ty wzniciłaś ten pożar — zastrzegłem, a na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

— Skąd, proszę pana... Tamtej nocy w ogóle mnie tam nie było!

Odwróciłem głowę w stronę Karoliny. Spojrzeliśmy po sobie, myśląc o tym samym. O protokole przesłuchania. Przesłuchania, podczas którego dziewczyna kłamała jak z nut.

Karolina uznała, że nie powinna tego słuchać.

— Będę przy płocie — stwierdziła, po czym szybko od nas odeszła.

— Co jej się stało? — w głosie dziewczyny brzmiała niepewność.

— Widocznie ma swoje powody — skwitowałem. — Skoro nie było cię w ośrodku... to gdzie byłaś?

Machnęła lekceważąco ręką.

— U chłopaka. Nie, nie tego — wskazała ręką okno, przez które wciąż obserwowało nas dziecko. — Tamto to była pomyłka. Byłam młoda i głupia, a on miał urodziny. Wymknęłam się i nikt tego nie zauważył.

Zbaraniałem. Nikt nie zauważył?

— Przecież ktoś musiał wpuszczać i wypuszczać gości. Kierować ich na parkingi, sprawdzać zaproszenia, wydawać i pobierać klucze do pokoi... To niemożliwe, by nikt nie dostrzegł, że recepcja jest pusta.

Popatrzyła na mnie z politowaniem. Co prawda policzki wciąż miała mokre od łez, ale jej głos był już pewniejszy.

— A pan... nigdy się pan nie zamieniał?

Chrząknąłem. W szkole pod nieobecność dyrekcji robiło się różne rzeczy.

— Czyli zamieniła się pani z koleżanką, która miała wolne, tak? — spytałem zawiedziony, bo wyjaśnienie okazało się banalne. — A dlaczego nie powiedziała pani tego prokuratorowi?

— Nie mogłam — odparła. — Ta koleżanka pracowała w „wojsku”. Tak kiedyś mówiło się na WOW.

Poczułem, że moje serce zaczyna bić coraz szybciej.

— No i... — popędziłem ją.

— Oni też mieli wtedy zmianę turnusów, tyle że u nich nic się nie działo. Po prostu zeszła ze zmiany i przyszła mnie zastąpić. Jakby to się wydało, to mogła mieć większe kłopoty niż ja.

Wiedziałem, o czym mówi. W tamtych czasach ośrodkiem wojskowym kierował emerytowany pułkownik. Był kompletnym psychopata. Gdyby się dowiedział, że ktoś wywinął mu taki numer, zamieniłby mu życie w piekło.

— A co to za dziewczyna? — spytałem, choć znałem już odpowiedź.

— Taka jedna. Była kilka lat starsza ode mnie, ale znałyśmy się z dyskotek. Agniecha... jakaś tam, nie pamiętam nazwiska. Nie chciała się zgodzić, ale tak długo ją namawiałam...

— Wysoka brunetka, tak?

— Bardzo wysoka — potwierdziła. — Zupełnie jak modelka. A co, zna ją pan? Ja nie widziałam jej już od kilku lat — westchnęła, a potem znów powiodła wzrokiem po ponurej okolicy.

Zbyłem jej pytanie milczeniem. Byłem skołowany. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Karoliny, ale zamiast niej dostrzegłem przy płocie trzech ogolonych mężczyzn. Wszyscy patrzyli w moją stronę, a ich miny były dziwnie zacięte.

Karolina pojawiła się niespodziewanie za moimi plecami.

— Czego oni mogą od nas chcieć? — wyszeptała mi do ucha, a ja wzruszyłem

ramionami. — To pani znajomi? — spytała, odwracając się do dziewczyny, ale ta pokręciła głową.

— Mojego faceta. Paskudne typy. Tyle razy namawiałam go, by dał sobie z nimi spokój, ale on... — machnęła ręką.

Nie czułem się komfortowo, ale mężczyźni na szczęście gdzieś zniknęli. Miałem ochotę również zniknąć, ale policjantka chciała jeszcze pogadać. Celowo unikając tematu samego pożaru, zaczęła wypytywać Zdzisławę o wszystko, co łączyło się z jej pracą w „Rybitwie”. Nie wiedziałem, po co to robi, ale jej nie przerywałem. Zaczynałem czuć znużenie i kilka razy z trudem stłumiłem ziewnięcie.

— Pamięta pani tę dziewczynę, która się spaliła? — To pytanie sprawiło, że znów zacząłem słuchać.

Zdzisława, która do tego momentu odpowiadała zdawkowo, lekko się ożywiła.

— Pamiętam — odpowiedziała. — Miała na imię Kaśka... Katarzyna. Miała takiego śmiesznego męża. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale z wyglądu przypominał małego diabełka. Pracował w szpitalu, a oprócz tego prowadził prywatną poradnię ginekologiczną. Nigdy u niego nie byłem, bo nie przyjmował na NFZ...

— A ona? Jaka była? — spytała delikatnie Karolina.

— Bardzo ładna — odpowiedziała odruchowo. — Może nawet trochę za ładna. Chłopy przy niej głupiały, nawet ten mój... już nieaktualny. Ten jej mąż był o nią bardzo zazdrosny.

— A miał powody?

Dziewczyna przez chwilę się zastanawiała.

— Nie wiem — przyznała w końcu. — Nikt jej chyba za rękę nie złapał, ale jak to naprawdę było... Pani jest z policji, prawda? — niespodziewanie zmieniła temat.

— Skąd pani wie?

— Bo pyta pani tak jak oni. Nie będzie mi pani szkodzić?

Karolina pokręciła głową.

— Jestem tu prywatnie. Kolega naprawdę pracuje w ośrodku i podejrzewa, że z tym pożarem było coś nie tak.

— Przykro mi — rozłożyła ręce dziewczyna. — Spróbujcie dotrzeć do tej Agniechy. Nie pamiętam nazwiska, ale ona była wtedy zaręczona z takim przystojnym chłopakiem. Na pewno od dawna są już po ślubie. Jak on się nazywał...

— Nieważne — przerwałem, choć Karolina zgromiła mnie wzrokiem. — Musimy już iść.

Zdzisława podeszła do okna i wzięła na ręce dziecko, a potem odprowadziła nas do ulicy. Szliśmy bardzo powoli, bo wciąż zadawała mi pytania. Wszystkie dotyczyły „Rybitwy”. Zrozumiałem, że tęskni za dawnym życiem. Zapytałem ją, dlaczego odeszła z pracy. Jej historia była krótka i jakże typowa.

— Kiedy zaszłam w ciążę, wszystko się zmieniło — mówiła, głaszcząc po włosach czteroletniego na oko urwisa. — Musiałam długo leżeć, a potem się okazało, że na moje miejsce zatrudnili kogoś innego. Konkubent zarabiał, więc jakoś sobie radziliśmy. Kiedy go capnęli, zostały mi tylko zasiłki z pomocy społecznej...

Spontanicznie objąłem ją na pożegnanie. Gdy odeszliśmy kilkanaście metrów,

Karolina hałaśliwie wydymuchała nos.

— Są takie dni, kiedy nie znoszę tej dziury — westchnęła wyraźnie wzburzona. — Niektórzy mają tu naprawdę pod górkę...

Przy maździe czekał na nas komitet powitalny. Kilkunastu wygolonych mężczyzn.

— Zjeżdżaj, mała — warknął jeden z nich. — Chcemy sobie pogadać z tym chłoptasiem.

Zachowała się głupio. Zamiast skorzystać z okazji i zwać, a zza rogu zadzwonić po pomoc, objęła mnie ramieniem.

— Czego od niego chcecie? — spytała wojowniczo.

Czyjeś silne łapska złapały mnie za nadgarstki i wyrwały z jej opiekuńczego uścisku.

— Dlaczego wrywasz cudze dziewczyny? — wysyczał mi do ucha jakiś łysy drab, wykręcając boleśnie rękę.

Uniosłem pięść, ale zaraz ją opuściłem. Nauczony przykrym doświadczeniem, nienawidziłem przemocy fizycznej. Nienawidziłem myśleć, że znów zrobię komuś krzywdę. Nie chciałem się bić. Ale nawet gdybym chciał, było ich tu zbyt wielu. Krzywdą mogła spotkać wyłącznie mnie.

Nie bałem się „oklepu”. Cóż, jak to mówią: morda nie szklanka... Myślałem wyłącznie o bezpieczeństwie Karoliny. Wiedziałem, że nie będzie spokojnie patrzeć, jak robią ze mnie siekany kotlet. Była ulepiona z twardej gliny. Dlatego widok samochodu z otwartym bagażnikiem powitałem niemal z ulgą.

— Wskakuj, gnoju! — ryknął na mnie największy z nich, dwumetrowy grubas ze szparkami zamiast oczu.

W moją stronę wyciągnęło się kilka par rąk. Wiedziałem, że nie ma co dyskutować. W każdym razie nie teraz. Co innego w lesie, do którego chcieli mnie wywieźć. Po kilkunastominutowej podróży mogli trochę ochłonać, ale teraz na najmniejszy ślad sprzeciwu zareagowaliby agresją. Miałem jak dotąd wszystkie zęby i nie chciałem stracić choćby jednego.

Podniosłem nogę, gotów zająć miejsce w bagażniku, ale Karolina nie zamierzała się poddawać.

— To mój facet — wrzasnęła. — On nie podrywał żadnej miejscowej dziewczyny. Tylko rozmawiali...

Jej głos zginął w gwarze, który podnieśli porywacze. Nie mieli do powiedzenia nic ciekawego. Na gwar składały się głównie przekleństwa. Karolina szybko się przekonała, że wszystko, co powie, zostanie zignorowane. A ja... ja spośród głosów wyłowiłem jeden, który już znałem.

Karolina cofnęła się o dwa kroki i popatrzyła na nich spode łba. Jej oczy przywodziły na myśl okruchy górskiego kryształu. Oczami wyobraźni widziałem, jak sięga po policyjną legitymację i usiłuje wszystkich aresztować. To mogło się skończyć bardzo źle. Tu działał instynkt stadny. Każdy z osobna bałby się zaatakować policjantkę, ale w grupie byli nieobliczalni.

Musiałem działać szybko. Jej policyjny coming out mógł wszystko skomplikować.

— Co jest, Bierut? W kilkunastu na jednego?

Skierowałem te słowa do niepozornego okularnika z pieczołowicie przyciętym wąsem, który do tej pory stał raczej z tyłu. Grubas, który też je usłyszał, zamachnął się na mnie wielką jak bochen pięścią. Ale ja tego nie widziałem. Cały czas patrzyłem na Bieruta, w którego oczach — ukrytych za szklami okularów — zapalił się znajomy błysk.

Jego dłoń wystrzeliła do przodu. Z umiarkowaną energią i bez nadmiernej siły. Czubkami palców trącił grubasa, a ten natychmiast opuścił pięść i stanął niemal na baczność.

— Nie machaj tak grabiami, bo się spocisz — powiedział cichym głosem, a potem mnie uściskał.

Poklepałem go po plecach, wkładając w to minimalną siłę. Nie chciałem uszkodzić mu żeber. Bierut uchodził w zakładzie za człowieka ze szkła. Był mizernie zbudowany i co chwila robił sobie krzywdę. Siedział za poważne uszkodzenie ciała, ale organy ścigania nie wiedziały wszystkiego. Na korytarzach szeptano, że ma na kacie kilku „udupionych”. Czyli zabitych. To były plotki, ale nie miałem podstaw, by nie dawać im wiary. Był dziwny, naprawdę bardzo dziwny. Unikali go nawet strażnicy.

Tak się składało, że był moim przyjacielem.

Odeszliśmy kilka kroków w bok i uderzyliśmy w gadkę. Pochodził z Olsztyna i byłem ciekaw, co przygnało go do Mogielna. Odpowiedź okazała się prozaiczna.

— Minia — mruknął, a ja przetłumaczyłem sobie, że chodzi o kobietę.

Gdy wymienialiśmy informacje, wokół nas trwała pełna szacunku cisza. Bierut cieszył się w tym towarzystwie zasłużoną sławą. Jediną osobą, która zdawała się go ignorować, była Karolina. Siedziała obojętnie na murku, ostentacyjnie obrócona do nas plecami, i jak gdyby nigdy nic paliła cienkiego papierosa.

Bierut wypytał mnie o rodzinę i wspólnych znajomych z więzienia, a potem przeprosił mnie za ten cały incydent.

— Wiesz, jak to jest — mówił z zakłopotaniem. — Chłopaki się nudzą. Nie mają tu żadnych rozrywek, a do tej dupy co rusz ktoś przychodzi...

— Rozumiem, stary — przytaknąłem, uświadamiając sobie, że człowiek może wyjść z więzienia, ale więzienie z człowieka nie wyjdzie już nigdy. Czuję się w jego towarzystwie zupełnie swobodnie i podświadomie zacząłem posługiwać się elementami grypsery. — A ten krzyżak — wskazałem ręką na budynek, w którym mieszkał konkubent Zdzisławy. — Co to za gość?

„Krzyżak” oznaczał w grypsersze więźnia odbywającego karę w Sztumie.

Bierut lekceważąco splunął pod nogi.

— Taki klajniak — mruknął. Określenie to oznaczało niedoświadczonego więźnia.

Rozmawialiśmy w ten sposób jeszcze przez chwilę, a potem pożegnaliśmy się rytualnym uściskiem ręki, rodem z filmów o amerykańskich gangach. Cóż, po kilku latach w pudle niektóre rzeczy przychodzą naturalnie.

— Chodź, Karolina — zawołałem policjantkę i po chwili siedzieliśmy w samochodzie.

Zanim ruszyliśmy, grubas przysunął twarz do okna.

— Jeszcze raz przepraszam, szefie. — Ukłonił się nisko, zezując w stronę Bieruta. — Jakby trzeba było jakoś pomóc...

Skinąłem mu ręką, a potem odjechałem z piskiem opon. Karolina wytrzymała tylko kilka sekund.

— Myślałam, że padnę na serce — powiedziała napiętym tonem, a potem roześmiała się nerwowo. — Gdyby nie ten twój kumpel, to chyba pokroiliby nas na kawałki. Zatrzymaj się tam, dobrze? Muszę ochłonąć.

Stanąłem na poboczu i popatrzyłem na nią z sympatią. Chociaż wszystko skończyło się dobrze, to pamiętałem, że ryzykowała dla mnie własne zdrowie. A może nawet życie.

— Jesteś wariatką, wiesz? — zapytałem, mrugając do niej.

— A ty gangsterem — odcięła się, pijąc do mojego zachowania podczas rozmowy z Bierutem. I do mojego słownictwa. — Myślałam, że czasy grypsery już dawno się skończyły.

Grypsera była czymś w rodzaju więziennego języka. Dziewczyna po części miała rację — język ten powoli umierał, ale poszczególne słowa wciąż pozostawały w użyciu. Od samego początku mojej kary intensywnie się go uczyłem i po pięciu latach nawijałem jak stary gitowiec.

— Chcesz coś oszamać? — zapytałem żartobliwie, a ona zaczęła się bawić kosmykiem włosów.

— Pamiętaj, że jestem policjantką. Za takie teksty mogę cię zamknąć.

Oboje byliśmy w świetnych humorach. Czuliśmy się tak, jakby dopiero co udało się nam uciec przed plutonu egzekucyjnego. Cały czas żartując, dojechaliśmy do centrum. Zatrzymałem samochód w cieniu potężnego klonu, kilkadziesiąt metrów od pizzerii.

Wypełniało mnie poczucie euforii. Karolina uśmiechała się do mnie, a jej oczy błyszczały szczęściem i młodością. We wnętrzu samochodu panował zielonkawy półmrok. A my patrzyliśmy sobie w oczy, uśmiechając się bezwstydnie. Czas stanął w miejscu.

Nie czułem się tak już od wielu lat.

Kto wie, może powiedzielibyśmy sobie kilka miłych słów, ale w tym momencie przed maską samochodu jak gdyby nigdy nic przeszedł burmistrz. Szarpnąłem za klamkę.

— Adaś! Zaczekaj! — krzyknąłem, ale on zerknął przez ramię, a potem rzucił się do biegu.

Wygramoliłem się z samochodu, nadziewając się ramieniem na ostrą krawędź drzwi.

— Zaczekaj! To ja! — krzyknąłem znowu, ale on, zamiast się zatrzymać, jeszcze przyspieszył.

— Kto to? — zapytała Karolina, otwierając drzwi po swojej stronie.

Nie zdążyłem jej odpowiedzieć. Instynkt nakazywał mi biec. Ruszyłem za nim, rozcierając urażone ramię. Para starsuszków na poobiednim spacerze spojrzęła na mnie z wyraźnym oburzeniem.

Byliśmy tuż przy rynku, ale Adam w ostatniej chwili skręcił w stronę starego kina. Był osobą publiczną i nie mógł sobie pozwolić na ściganie się ze mną przed magistratem. Ale na drodze, którą wybrał, też znajdowało się sporo ludzi. Patrzyli na niego ze zdziwieniem, a potem dostrzegali mnie. Po kilkunastu metrach pojawiły się pierwsze

okrzyki strachu i oburzenia.

— Zostaw go! — krzyknęła na mnie kobieta w sile wieku, zastępując mi drogę. Ominąłem ją z najwyższym trudem.

— Stój! — ryknął facet w kaszkiecie, a nastolatka pisnęła i upuściła trzymaną w ręku donicę.

Zawahałem się, a burmistrz w tym czasie zwiększył swoją przewagę.

— Przepraszam! — krzyknąłem w kierunku nastolatki, a potem przyspieszyłem.

Zbliżaliśmy się do miejsca, w którym mieszkał. Był pięćdziesiąt metrów przede mną, ale powoli go dopędzałem. Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia, ale teraz — w przeciwieństwie do niego — byłem w doskonałej formie. Byliśmy już w takim wieku, że decydował tryb życia. On pracował przy biurku, a ja — głównie na świeżym powietrzu.

— Adam! Co jest?! — wrzasnąłem tak głośno, że w oknach zatrzęśły się szyby. — Zwariowałaś?!

Sytuacja była idiotyczna. Tak w zasadzie nie wiedziałem, dlaczego go goniłem. Chyba dlatego, że... uciekał. Spodziewałem się, że wbiegnie do swojej klatki, ale on skręcił w podwórko i przesadził niski parkan.

— Zostaw mnie — wydyszał, ale nie zamierzałem go słuchać.

Chwilę później i ja byłem za parkanem. Adam tymczasem potknął się i przewrócił. Zdołał się pozbierać, ale byłem tuż za nim. Już wyciągałem rękę, by chwycić go za ramię...

— Zostaw... bo... wezwę... policję — zagroził w rytm przyspieszonego oddechu.

Ręka została w powietrzu, a potem opadła. Nie miałem ochoty na konfrontację z policją. Nie teraz, po tym, co zdarzyło się w ośrodku.

— Czemu uciekasz? — zapytałem, ale nie doczekałem się odpowiedzi. Zwolniłem i opadłem na pustą ławeczkę, a on potruczał dalej.

Kompletnie nie wiedziałem, co o tym myśleć. Najwyraźniej nasze nocne spotkanie mocno nim wstrząsnęło. Tak mocno, że nie przyszedł do pracy, a przed chwilą straszyl mnie policją. Ale dlaczego? Nawet jeżeli to on składał kwiaty w miejscu śmierci jakiegoś niemieckiego żołnierza, to co to mnie obchodziło?

Spojrzałem za nim i zerwałem się na nogi. Stał pod ścianą, a Karolina — która niespodziewanie pojawiła się obok niego — obszukiwała mu kieszenie. Cicho zakląłem. Czyżby nie wiedziała, że zatrzymany przez nią facet jest burmistrzem?

Najwyraźniej nie wiedziała. Gdy do nich podbiegłem, wykręcała mu rękę. Był do tego stopnia przerażony, że trzęsły mu się nogi.

— Nie ruszaj się, policja! — warknęła, po czym popatrzyła na mnie z dumą. — Mam go — oznajmiła. — Co to za typ?

Przycisnęła go do ściany budynku, a ja w duchu jęknąłem. Wokół nas gromadził się tłum.

— To burmistrz — powiedziałem cicho. — Lepiej go puść, bo będziesz mieć kłopoty...

Nie wiedziałem, czy pomiędzy Komendą Powiatową Policji a Urzędem Miasta istniała jakaś formalna zależność, ale na pewno istniała zależność nieformalna. Podejrzewałem, że kariera dziewczyny zawisła właśnie na włosku. Ale jeżeli nawet tak

było, to nie dała niczego po sobie poznać. Wciąż była spokojna, profesjonalna i... władcza.

— Dlaczego pan uciekał? — zwróciła się do Adasia, wciąż go trzymając.

— Nie pani sprawa — warknął, próbując się oswobodzić. — Puszczaj mnie, bo zobaczysz...

Dziewczyna odwróciła go i zażądała dokumentów. Widziałem, że ma ochotę posłać ją do diabła, ale wokół zgromadziło się zbyt wielu wyborców.

— Pani się pomyliła — powiedział oficjalnym tonem, podając jej dowód.

Korzystając z chwili zamieszania, znalazłem się obok niego.

— O co chodzi, Adaś? Dlaczego uciekałeś?

Popatrzył gdzieś w bok.

— Wydawało ci się — wycedził.

Zaśmiałem się złośliwie.

— Tam przy bunkrach... Też mi się wydawało?

Rozejrzał się dookoła. W promieniu dziesięciu metrów stało kilkanaście osób. Wszystkie mu się przyglądały. Odniosłem wrażenie, że zbladł.

— To nie twoja sprawa... Słuchaj, Marcin, mnie tam nie było, rozumiesz? I tego się trzymajmy, bo inaczej...

— Pożaluję, tak? — spytałem ze złością, bo nie znosiłem, kiedy ktoś mi groził.

Oblizął nerwowo wargi. Najchętniej by odszedł, ale policjantka wciąż trzymała jego dowód.

— Popatrz na mnie — powiedział cichym głosem. — Jestem u progu kariery. Mam kontakty. Mam możliwości. Mogę ci pomóc. Pomogę ci, ale nie wspominaj o tamtej nocy. Najlepiej wyrzuć ją z pamięci...

Pokręciłem głową. Nie można było tak od razu? Przecież wiedział, że nie jestem wścibski. A teraz było już za późno. Wnerwił mnie. Myślał, że wszystkich może zastraszyć albo... kupić.

— Spadaj — rzuciłem w jego kierunku, a potem ostentacyjnie odwróciłem się do niego plecami. — Nie chcę od ciebie żadnej pomocy — dodałem, patrząc przed siebie.

Powlókł się do domu, a my ruszyliśmy w przeciwną stronę. Karolina pogwizdywała.

— Nie boisz się kłopotów?

Zmarszczyła nos i pokręciła głową. Zaśmiałem się, bo wyglądała jak mała dziewczynka, która coś spsociła.

— Mój komendant jest z nim na wojennej ścieżce. Ucieszy się, gdy mu o tym powiem.

— A burmistrz? Nie będzie się skarżył gdzieś wyżej?

Wzruszyła ramionami.

— Jestem czysta jak łąza — stwierdziła pewnym głosem. — Sporządzę notatkę służbową. Będzie w niej napisane, że podejrzewałam go o kradzież. Przecież rzucił się do ucieczki zupełnie jak złodziej, a w takiej sytuacji policjant ma obowiązek reagować. I to nawet po służbie... Nie, nikt się do mnie nie przyczepi.

— Może nawet uznają cię za bohaterkę? — zażartowałem.

— Tak. I dadzą mi nagrodę. — Pokręciła głową, a potem popatrzyła na mnie uważnie. — Słuchaj, a tak w ogóle to on uciekał... przed tobą?

Zmieszałem się. Jeżeli opowiedziałbym jej o naszym spotkaniu przy bunkrach, to musiałbym też wspomnieć o tym, co wydarzyło się wcześniej. A nie miałem ochoty na opowieść o moich utarczkach z mieszkańcami wsi Nadrowo. Mogłaby mieć pretensje, że niczego nie zgłosiłem.

— Znamy się z dawnych lat — mruknąłem. — Kiedyś siedzieliśmy w jednej ławce, ale od tego czasu nasze drogi się rozeszły. Ostatnio trochę się posprzeczałyśmy, ale nie sądziłem, że będzie przede mną uciekał. Widocznie moja reputacja...

— Jaka reputacja? — pogroziła mi palcem. — Kłamcy? Błagiera?

Nie wierzyła mi, ale nie zamierzała drażnić tego tematu. Doszliśmy do rynku i całą jej uwagę przykuła budka z kebabem. Po chwili pani Dorota — która kiedyś sprzedawała w tym miejscu zapiekanki, ale postanowiła pójść z duchem czasu — podała nam kebaby. Usiedliśmy na ławce przy fontannie i przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

— Marcin — zagadnęła mnie w pewnym momencie. — Ty znalazłeś tę kobietę, prawda?

Mogłem zapytać: „jaką kobietę?” i dać sobie trochę czasu do namysłu. Ale wzięła mnie z zaskoczenia.

— Znałem — burknąłem, ocierając usta chusteczką. — A raczej wydawało mi się, że ją znam.

Chodziło jej o niejaką „Agniechę”, czyli kobietę, która zastąpiła w recepcji panią Zdzisławę. Wysoką brunetkę, która pracowała w ośrodku wojskowym i lubiła dyskoteki. Od momentu, w którym się domyśliłem, że chodzi właśnie o tę „Agniechę”, niemal nie przestawałem o niej myśleć.

Karolina przestała jeść.

— A ten jej narzeczony, o którym mówiła Zdzisława? Ten przystojny...

Zawiesiła głos, a ja straciłem apetyt. Z trudem zmusiłem się do przełknięcia ostatniego kęsa.

— To byłem ja — odpowiedziałem krótko, po czym utkwilem wzrok w fontannie.

Rozmowa o byłej narzeczonej nie była najprzyjemniejszym zwieńczeniem dnia. Przywalony przykrymi wspomnieniami popadłem w przygnębienie. Karolina nie ciągnęła mnie za język. Posiedzieliśmy chwilę w milczeniu, a potem się rozstaliśmy. Na pożegnanie mocno mnie uścisnęła.

Wróciłem do Gęglówek i nie minęło kilka minut, a trzymałem w ramionach inną kobietę. Ilona cicho pisnęła, a ja — po tym jak uratowałem ją przed upadkiem — pomogłem jej stanąć na nogi.

— Dokąd tak pędzisz? — spytałem, bo wpadła na mnie z takim impetem, że z trudem utrzymałem równowagę.

Przez chwilę walczyła z przyspieszonym oddechem.

— Na... przystań — wydyszała wreszcie. — Chciałam sprawdzić, czy... jeszcze go szukają. No wiesz... Policja.

Jej pełne, okrągłe piersi unosiły się i opadały, napierając na dopasowaną bluzkę. Miałem wrażenie, że zaraz pęknie w szwach. Widok był tak intrygujący, że z trudem

oderwałem wzrok. Chyba zauważyła, na co się gapiłem, bo jej policzki pokryły się ślicznym rumieńcem.

— Jeszcze szukają — powiedziałem szybko, by zamaskować zawstydzenie. — A przynajmniej można to tak określić. Widziałem ich przed chwilą, jak wracałem z Mogielna. Siedzieli i gapili się w wodę, jakby byli tu na rybach.

Posłała mi nieśmiały uśmiech.

— Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

Nie bardzo wiedziałem, o czym mówić, ale na wszelki wypadek odpowiedziałem, że nie. Nie chciało mi się już mówić. Miałem wrażenie, że tego dnia wypowiedziałem z milion słów. Na szczęście Ilona była straszną gadułą. Spodziewałem się, że zaraz zacznie trąkotać, a ja będę się mógł oddać rozmyślaniom.

Ale tego wieczoru była dziwnie milcząca. Przez chwilę obserwowałem ją kątem oka i dostrzegłem, że jest podenerwowana. Jeżeli znałem się na mowie ciała, to chciała mi powiedzieć coś ważnego.

— Chodź — szepnęła, ciągnąc mnie za sobą na boisko do koszykówki.

Gdy stanęliśmy pod koszem, położyła mi ręce na ramionach. Poczulem niepokój.

— Coś się stało? — spytałem z grobową miną, a ona pokiwała głową.

— Pan Tadeusz był detektywem, prawda? — Jej pytanie było retoryczne. — Kiedy wróciliśmy z Mogielna, zaczęłam się nad tym wszystkim zastanawiać i doszłam do wniosku, że jego śmierć mogła mieć związek z jakąś sprawą, którą prowadził. Wiesz, wpadł na jakiś trop i ktoś chciał go uciszyć. To ma chyba sens, nie?

Przytaknąłem. Pomyślałem o tym w tej samej chwili, w której dowiedziałem się o jego fachu. Poszedłem nawet o jeden krok dalej. Założyłem, że jego pobyt w „Rybitwie” był związany ze sprawą tajemniczego pożaru. Moim zdaniem to właśnie tego dotyczyła prowadzona przez niego sprawa. Powiedziałem o tym Ilonie, a ona złapała mnie za rękę.

— Nadajemy na tych samych falach — szepnęła. — To jedyne sensowne wyjaśnienie tego, co zaszło.

Podniosłem leżącą na ziemi piłkę i odbiłem ją kilka razy od asfaltu, a potem rzuciłem. Zatańczyła na obręczy, uderzyła w tablicę i wpadła do kosza. Chciałem się umyć i położyć do łóżka, ale Ilona jeszcze nie skończyła. Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że też miała żyłkę detektywistyczną. Tak więc była nas już trójka. Młoda policjantka bez doświadczenia i dwoje detektywów amatorów. W kuchni zaczynało brakować miejsca dla nowych kucharek...

— Kiedy zaczęło się zamieszanie z tym nauczycielem, wpadłam na pomysł, by prześledzić, z kim kontaktował się tu pan Tadeusz — zaczęła, a ja, chociaż marzyłem o chwili relaksu, odruchowo nadstawiłem uszu. — Oczywiście widywał się ze wszystkimi, ale chodziło mi o dłuższe rozmowy... Wiesz, co powiedziały mi sprzątaczkі? Podobno pan Tadeusz odbył przynajmniej dwie długie rozmowy z panem Cezarym.

Przełknąłem ślinę, bo jej rozumowanie wydało mi się niebezpieczne. Równie dobrze sprzątaczkі mogły wskazać mnie. Też z nim rozmawiałem — i to więcej niż dwa razy.

— Mogli gadać o... czymkolwiek — stwierdziłem bez entuzjazmu, ale zapisałem tę informację w pamięci. — Zresztą ten detektyw... On był bardzo towarzyski. Pewnie

rozmawiał z większością wczasowiczów. Odniosłem wrażenie, że był strasznym gadułą.

Tak jak ty — chciałem dodać, ale się powstrzymałem.

— Pewnie masz rację — zgodziła się ze mną Ilona. — Był tu przez tydzień i na pewno poznał się z większością wczasowiczów. O tym nauczycielu powiedziałam... tak w ramach ciekawostki — dodała zgrabnie, po czym obniżyła ton głosu o dobrą oktawę. — Ale wiesz, z kim jeszcze rozmawiał? Z naszym kierownikiem, i to przez bite dwie godziny.

Ta informacja zasługiwała na uwagę. Szef z całego serca nie cierpiał wczasowiczów i nie spędzał z nimi ani chwili dłużej, niż było to niezbędne. Od kontaktów towarzyskich miał mnie. Nie chciało mi się wierzyć, by wdał się z kimś w dwugodzinną pogawędkę.

Z informacji uzyskanych przez Ilonę wynikało ponadto, że detektyw dwukrotnie wyjeżdżał z ośrodka samochodem i nie było go po kilka godzin. W obu przypadkach jechał do Mogielna, a przynajmniej tak twierdził. Zacząłem się zastanawiać, czy podobnie jak my odwiedził policyjne archiwum. Co prawda nie było ono otwarte dla postronnych osób, ale sądziłem, że znalazłby sposób, by do niego przeniknąć. W końcu był emerytowanym policjantem i na pewno wciąż miał sporo kontaktów w starej firmie.

Jedno się tylko nie zgadzało. Jeżeli przeczytałby zawartość archiwalnej teczki, to na pewno chciałby — tak jak my — porozmawiać ze Zdzisławą. A byłem pewien, że tego nie zrobił. W trakcie rozmowy recepcjonistka rozkleiła się do tego stopnia, że na pewno nie ukrywałyby przed nami, iż kilka dni wcześniej ktoś inny zadawał jej takie same pytania.

Wyjaśnienie jego nieobecności mogło być zatem tylko jedno. Wyjeżdżał z ośrodka po to, żeby się z kimś spotykać. Z kim i gdzie? Czy rzeczywiście jeździł do Mogielna? Tego niestety nie mogliśmy sprawdzić.

— Ile bym dał za choćby szczątkową listę gości — westchnąłem. — Wtedy można by ich przepytać na okoliczność kontaktów z detektywem. A tak... Szukaj wiatru w polu.

Ilona podniosła na mnie oczy. Dostrzegłem w nich determinację.

— Nie możemy się poddawać — powiedziała głosem, w którym zabręczała stal. — Przecież znamy tożsamość jednej z osób, która na pewno była wówczas na miejscu.

Pomyślałem o denatce, a potem o jej chorym psychicznie mężu. Ale okazało się, że Ilona miała na myśli kogoś innego.

— Bolesław Grzywacz — powiedziała, a ja odniosłem wrażenie, że gdzieś już to nazwisko słyszałem. — Tak, dobrze kombinujesz — pochwaliła moją pamięć. — Tak nazywał się poprzedni kierownik ośrodka. Sprawdziłam w sieci i wyszło mi, że pracuje niedaleko stąd. Kornimpex, z siedzibą w -Stębarku. Tak sobie pomyślałam... Może pojechalibyśmy jutro z nim pogadać?

Z tego, co pamiętałem, Karolina nie tryskała entuzjazmem na myśl o spotkaniu z Grzywaczem. Ale na Ilonie jego stanowisko nie robiło żadnego wrażenia. Na mnie zresztą też. To, że miał władzę i pieniądze, nie czyniło go automatycznie nadczłowiekiem.

Zresztą na mnie skargi nie napisze. Nie miałby jej dokąd wysłać.

Podniosłem piłkę i znów ją rzuciłem. Tym razem wcelowałem na czysto. W więzieniu sport stanowił jedną z moich ulubionych rozrywek.

— Ciekaw jestem, gdzie podziwia się Cezary — mruknąłem, bo jakoś trudno było mi uwierzyć w jego utonięcie. — Idziemy nad wodę?

W baraku mieszkalnym przebraliśmy się w kostiumy, a potem ruszyliśmy na przystań. Niestety spotkała nas tam niemiła niespodzianka. Gdy wsadziłem stopę do wody, jeden z policyjnych nurków oderwał się od kontemplowania zachodu słońca i ruszył do nas biegiem.

— Proszę nie wchodzić do wody — warknął.

Chciałem się tylko ochlapać, ale nie zamierzałem z nim polemizować. Jezioro było duże. Nie musiałem się kąpać akurat w tym miejscu.

— Chodźmy na cypel — zaproponowała Ilona i po chwili położyliśmy ręczniki na niewielkim, porośniętym sosnami półwyspie.

Sosny zasłaniały widok w kierunku przystani. Z tego miejsca widać było tylko wodę i przeciwległy brzeg. Jezioro rozlewało się tu szeroko. Przy odrobinie wyobraźni akwen mógł się kojarzyć z Mamrami.

Ilona ściągnęła bluzkę i szorty. Pod spodem miała dwuczęściowy kostium, który niewiele zakrywał. Znowu nie mogłem się powstrzymać. Gapilem się na nią jak ciele na malowane wrota, a ona — jak zwykle — zarumieniła się aż po cebulki włosów. Chociaż na co dzień emanowała pewnością siebie, w takich chwilach robiła się nieśmiała.

Zdawałem sobie sprawę, że lada dzień nadejdzie ochłodzenie, ale tego dnia woda wciąż była ciepła. Pomknęliśmy po piaszczystym dnie, czując się jak na Hawajach. Zanurzyliśmy się do pasa i zaczęliśmy się chlapać jak małe dzieci. Po wodzie poniosł się jej pisk.

— Łap mnie! — krzyknęła i położyła się na wodzie.

Tak jak ja wychowała się nad jeziorem. Pływała jak ryba. Choć wyęźałem wszystkie siły, dopędziłem ją dopiero po kilkudziesięciu sekundach. Wróciliśmy na płytką wodę i położyliśmy się obok siebie, dysząc jak kaszaloty.

— Dochodzisz do formy — stwierdziła, kładąc mi dłoń na piersi. — Chociaż serce bije ci tak, jakbyś miał zaraz wykitować.

— A twoje?

Z niewinną miną uniosłem rękę, a potem chwyciłem ją za pierś. Krzyknęła, a potem odsunęła się ode mnie na bezpieczną odległość.

— Zawsze to robisz... — powiedziała z wyrzutem, ale jej usta nieświadomie rozciągnęły się w uśmiechu.

Byłem młodym, zdrowym mężczyzną. Przez te wszystkie lata za kratami marzyłem o kobietach. Po pewnym czasie było mi już kompletnie wszystko jedno — brunetka czy blondynka, ładna czy brzydka, młoda czy dojrzała... Śniły mi się co noc, ale się okazało, że na wolności sprawy nie wyglądały tak różowo, jak sobie wyobrażałem. Problem leżał we mnie.

Miałem rzadką przypadłość — byłem niepoprawnym romantykiem. Seks nie był dla mnie czynnością fizjologiczną. Dlatego nie zależało mi na numerku na jedną noc. Nie zamierzałem też korzystać z usług prostytutek. Czekałem na miłość, ale ta nie chciała przyjść. Przeszłość wciąż nie dawała mi spokoju...

Dlatego pozostawały mi jedynie takie sztubackie żarty, a Ilona — siłą rzeczy —

była ich najczęstszym obiektem. Trzeba było jej oddać, że przyjmowała moje wygłupy ze stoickim spokojem. Chyba nawet jej się podobały.

— Co będziesz robić po sezonie? — spytała, znów się do mnie przysuwając.

W okresie jesienno-zimowym ośrodek rzadko przyjmował wczasowiczów. Przyjeżdżały tu głównie grupy zorganizowane ze szkół — na tak zwane zielone szkoły lub obozy sportowe. Instruktor kulturalno-oświatowy był wówczas niepotrzebny. Liczyłem, że przezimuję tu w jakiejś innej roli, ale kierownik niczego mi nie obiecywał.

— Nie wiem — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — Może wyjadę. Mój brat namawia mnie na to, odkąd wyszedłem z więzienia. Może ma rację? Może rzeczywiście potrzebuję takiego nowego startu?

Ilona ciężko westchnęła.

— A gdzie chcesz wyjechać?

— Nie chcę... ale muszę — zażartowałem, chociaż w tym momencie nie było mi do śmiechu. — Pewnie gdzieś za granicę. W Polsce nie dostanę pracy w zawodzie, a jeżeli mam zapieprzać na budowie... to niech mi chociaż zapłacą.

Wiedziała, co czuję. Przez kilka lat pracowała w Londynie. Z dała od rodziny, od dziecka... Rozumiała, że nie spieszyłem się z wyjazdem.

Słońce już w połowie zniknęło nad horyzontem. Przeciągnąłem się, a potem wygramoliłem na brzeg. Ilona została w wodzie.

— Popłyniemy jeszcze na wyspę? — spytała i nie czekając na odpowiedź, popłynęła w kierunku niewielkiej kępy drzew w centralnej części jeziora.

Odczekałem kilkanaście sekund, a potem wbiegłem do wody. Ten wyścig był już naszą tradycją. Zwykle zaczynaliśmy go z przystani i gdy dopływaliśmy do wyspy, byliśmy kompletnie wypompowani. Stąd było trochę bliżej, ale i tak można się było zmęczyć.

Płynęliśmy w ciszy. Gdy wypłynęliśmy na pełne jezioro, obejrzałem się w kierunku przystani. Policjanci wciąż siedzieli na pomoście. Jeden z nich pogroził mi pięścią, ale go zignorowałem. Odwróciłem głowę w drugą stronę i przez chwilę obserwowałem, jak tarcza słońca chowa się powoli za czubkami drzew, barwiąc je na kolory jesieni — żółć i czerwień. A potem obróciłem się w kierunku wyspy i niespodziewanie wpadłem na Ilonę, która zatrzymała się, rozglądając się na boki.

— Co się stało? — spytałem, bo wyglądała tak, jakby właśnie zobaczyła ducha.

Niespodziewanie rzuciła mi się w ramiona.

— Coś mnie dotknęło — wyjąkała, a mnie nagle zrobiło się zimno.

Co prawda nie wierzyłem w utonięcie Cezarego, ale przecież nie było rzeczy niemożliwych. Wizja jego ciała unoszącego się obok nas tuż pod powierzchnią wody przyprawiła mnie o dreszcze. Podobno nie było widoku bardziej odrażającego niż widok topielca.

— Gdzie? — zapytałem, czując zawroty głowy.

— Gdzieś tam — drżącym palcem wskazała za siebie.

Odwróciłem się w tamtą stronę, a ona przywarła do moich pleców. Trochę krępowała mi ruchy, ale z drugiej strony jej bliskość dodawała mi odwagi. A poza tym pewnie i tak by mnie nie puściła.

Moje stopy natrafiły na jakiś nieruchomy kształt, pół metra pod powierzchnią wody. Był oślizgły i wstrętny.

— Rzeczywiście coś tu jest — mój głos był tak zachrypnięty z emocji, że ledwie sam go poznałem.

Dziewczyna wstrzymała oddech. Serce trzepotało jej w piersiach jak zamknięty w klatce ptak. A ja czułem, że po karku spływa mi pot. Zbliżyłem się do tajemniczego kształtu i dotknąłem go ręką. Był dziwnie chropowaty. I lekki. Zdecydowanie zbyt lekki na zwłoki. Chyba że z ciała pozostałaby sama noga...

Chwyciłem pływający kształt drugą ręką i wydobyłem go na powierzchnię. Dziewczyna krzyknęła, ale w jej głosie zabrzmiała ulga. A ja zacząłem się śmiać, bo okazało się, że to, co przez moment braliśmy za zwłoki, było w rzeczywistości starym, połamanym wiosłem, którego pióro wzmocniono blachą. To właśnie ta blacha sprawiała, że całość nie unosiła się na powierzchni, tylko dryfowała kilkadziesiąt centymetrów pod nią.

— Obejrzyj moje włosy — poprosiłem, gdy już opanowałem śmiech.

— Co z nimi? — głos Ilony wciąż drżał z emocji.

— Chcę wiedzieć, czy nie osiwiąłem.

Zaśmiała się histerycznie, a potem chlapnęła na mnie wodą.

— Są równie śliczne, co zawsze — powiedziała, mrugając okiem. — Ale gdybyś mógł teraz zobaczyć swoją twarz...

Przez chwilę leżeliśmy na plecach, patrząc w niebo. W tym miejscu na wody jeziora oddziaływał jakiś prąd, więc lekko nami kołysało. Wkrótce niebo zasłoniły gałęzie.

Wysepka była mikroskopijna. Rosło na niej kilka drzew, a dostępu broniły gęste trzciny. Przy jednym z brzegów pod wodą ukryty był fragment piaszczystego dna. Wszędzie indziej było zaścielone grubą warstwą cuchnącego mułu.

— Nie wiem, czy nie będę miał koszmarów — stwierdziłem, stawiając stopy na piasku. Woda sięgała mi do pępka. — To twoja wina. Jak można pomylić wiosło z trupem?

Żartowałem, ale Ilona wciąż była wytrącona z równowagi.

— Nie gadajmy już o tym, dobrze? — poprosiła, a potem przestąpiła z nogi na nogę. — Chyba muszę iść na brzeg.

— Po co? — zdziwiłem się, bo na wysepce nie było nic poza szlamem, zbutwiałym drewnem i ptasimi odchodami.

— Zaraz pęknie mi pęcherz — poskarżyła się, lustrując brzeg. — Zawsze tak mam, jak się zdenerwuję...

Pokręciłem z politowaniem głową.

— Siusiaj do jeziora — zaproponowałem. — Obiecuję, że cię nie podkabluję. I że nie będę się śmiał...

Chyba mi nie uwierzyła. Być może dostrzegła mój paskudny uśmieszek.

— Tak, na pewno — powiedziała sarkastycznie. — Będiesz mi to wypominał przez najbliższy rok.

Krzywiąc się z obrzydzenia, brodziła w kierunku brzegu. Po chwili zamknęła się

za nią ściana trzciny. Kucnąłem, chowając pod wodą ramiona, bo na jeziorze zaczął wiać chłodny wiatr. Zerknąłem tęsknie w stronę widocznych na horyzoncie świateł ośrodka i zacząłem marzyć o ciepłym łóżku.

— Tak szybko? — zdziwiłem się, bo Ilona pojawiła się z powrotem już po kilkunastu sekundach.

— Nie pójde tam — poskarżyła się płaczliwie. — Na brzegu siedzi wielki szczur.

Popatrzyłem na nią kpiąco. Gdyby to była Karolina, nie patrzyłbym w ten sposób, ale Ilona była dziewczyną stąd. Nie powinna bać się piżmaków.

— Mam go spłoszyć? — spytałem, unosząc oczy ku niebu.

Przedarłem się przez trzciny i wszedłem na grząski brzeg. Wszędzie było pełno ptasich odchodów. Szczur był rzeczywiście ogromny. Odpłynął dopiero wtedy, gdy rzuciłem w niego patykiem.

— Droga wolna — oznajmiłem, a potem po raz pierwszy rozejrzałem się po wysepce.

Oprócz kilku drzew rosły tu jakieś poskręcane pnącza. Miały różne kolory — od jasnej zieleni aż do intensywnej żółci. W jednym miejscu były nawet różowe, ale to nie był ładny róż. Raczej krwawy.

— Co to jest? — mruknąłem do siebie, podchodząc do pnia pokrytego czymś ciemnym i... galaretowatym.

Byłem pewien, że ten widok pozostanie mi w pamięci do końca życia. W centralnym punkcie wysepki leżał Cezary. A raczej to, co z niego zostało. Czegoś takiego nie widziałem nawet w rzeźni. Miałem wrażenie, że to jakiś koszmarny sen.

O ile nad zwłokami pana Tadeusza pastwiły się ptaki, o tyle nauczyciel wyglądał tak, jakby się spotkał z rozwścieczonym niedźwiedziem. Miał roztrzaskaną czaszkę, a jej zawartość znajdowała się wszędzie wokół — na drzewach, pnączach, w zaroślach i na gołej ziemi. Twarz była jedną wielką raną, a z tydki wystawała złamana kość. Na odkrytym przedramieniu, tam gdzie Cezary miał wytatuowaną obręcz, widać było posiniałe pręgi. Sine były też jego paznokcie. Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że mordercy nie wystarczyło samo odebranie życia. Cezary był przed śmiercią torturowany.

Morderca musiał być sadystą. Albo wariatem.

A ja znów miałem pecha.

Ostrożnie się wycofałem. Kusilo mnie, by wymazać te obrazy z pamięci i udawać — nawet przed samym sobą — że niczego nie widziałem. Ale byłem na tyle przytomny, by zdawać sobie sprawę, że pozostawiłem tu ślady. Musiałem to zgłosić. Nawet jeżeli miałyby to dla mnie oznaczać noc za kratami. Lepsza noc niż... całe życie.

Wróciłem do miejsca, w którym siedział szczur.

— Hej, jeszcze nie skończyłam — powiedziała Ilona z urazą w głosie.

— Idziemy stąd — zakomunikowałem, nie patrząc w jej stronę.

— Co ci się stało? Masz krew na czole.

Przetarłem czoło, ścierając z siebie kawałek mózgu. Musiał skapnąć mi na głowę z któregoś z drzew. Wymyłem rękę w przybrzeżnym szlamie, z trudem powstrzymując mdłości.

— Nie chodź tam — rzuciłem do Ilony, ale było już za późno.

Usłyszałem, jak pada na ziemię.

Przeniosłem ją przez trzciny i posadziłem w wodzie. Była półprzytomna.

— Tam... leży... — bełkotała w szoku, podczas gdy ja się zastanawiałem, czy będzie w stanie dopłynąć do brzegu.

Po kilku minutach doszła do siebie na tyle, że postanowiłem spróbować. Uznałem, że to i tak było lepsze niż pozostawienie jej sam na sam z trupem. Do pewnego momentu szło jej nieźle, ale w połowie drogi dostała ataku paniki. Zaczęła się topić, więc z bólem serca ją spoliczkowałem.

— Już dobrze — pogłaskałem ją po głowie, gdy się uspokoiła. — Jeszcze chwila i ktoś się tobą zajmie.

Gdy dotarliśmy do brzegu, ledwo żyłem. Przez chwilę walczyłem o uspokojenie oddechu, ale machnąłem ręką. Ruszyłem do przystani, ciągnąc za sobą Ilonę. Z każdym krokiem, dzięki któremu oddalaliśmy się od zmasakrowanego ciała, odzyskiwała rezon.

— Chcesz im o tym powiedzieć? — spytała, a ja dostrzegłem w jej oczach troskę. — Nie za dużo tych trupów ostatnio odkrywasz?

Martwiła się o mnie. Sam też się martwiłem.

— Poprzedniego znalazłem z policjantką — odburknąłem, ale nie zmniejszyło to mojego niepokoju.

Jej chyba też.

— Powiem, że to ja go znalazłam — oświadczyła dzielnie, ale pokręciłem głową.

— To i tak nic nie zmieni. Byliśmy przecież razem. Poza tym... im lepiej nie kłamać.

Kiedy dotarliśmy do przystani, policjanci właśnie pakowali sprzęt.

— Powinniście dostać mandat — burknął jeden z nich, ale nie wyciągnął bloczku i długopisu. — Przeszkadzaliście nam w pracy. A tak w ogóle to czemu się tam zatrzymaliście? — wskazał palcem na miejsce, w którym natknęliśmy się na złamane wiosło. — Zebrało się wam na amory, co?

Pokręciłem głową i nagle zacząłem postrzegać nasze „spotkanie” z wiosłem w zupełnie inny sposób. Czy to mogło być narzędzie zbrodni?

Policjant, nie doczekawszy się odpowiedzi, ominął nas szerokim łukiem. Jego kolega był nieco grzeczniejszy.

— To do jutra — rzucił na pożegnanie.

Mogłem nic nie mówić. Mogłem iść do łóżka, ale po odkryciu zwłok od razu stałbym się głównym podejrzanym. A tego nie chciałem.

— Czekajcie! — krzyknąłem za nimi, szukając odpowiednich słów. Nie znalazłem. — To, czego... szukacie... jest tam — machnąłem ręką — na wysepce.

Początkowo nie zrozumieli, ale po chwili — gdy zdali sobie sprawę z naszego zdenerwowania — zaczęli działać. Sięgnęli po telefony i po kilkunastu minutach przy nabrzeżu pojawił się pierwszy radiowóz. A po nim kolejny. Ja zadzwoniłem tylko w jedno miejsce. Kierownik zjawił się na brzegu tuż po moim telefonie.

— Czy ty musisz zawsze być tam, gdzie dzieje się coś złego? — warknął, a potem usiadł na murku i ukrył twarz w dłoniach.

Po chwili zjawiła się też karetka, ale Ilona nie chciała skorzystać z pomocy.

— Nic mi nie jest — stwierdziła. — No... może trochę boli mnie policzek — dodała złośliwie, nawiązując do momentu, w którym zmuszony byłem ją spoliczkować.

Cieszyłem się, że tak szybko doszła do siebie. Niestety moje zadowolenie nie trwało długo. Policjanci spisali moje dane, a później zawieźli mnie na przesłuchanie do prokuratury. Poczulem coś w rodzaju déjà vu i zacząłem się bać.

Prokuratura Rejonowa w Mogielnie mieściła się w posepnym, wschodniopruskim gmachu przy ulicy Bolesć. Już ponad pięć lat temu uznałem, że nazwa ulicy jest wyjątkowo trafna. Teraz też bolało mnie wszystko: brzuch, głowa, a nawet plecy. Widocznie tak reagowałem na stres. Bo chociaż policjanci poinformowali mnie, że zostanę przesłuchany w charakterze świadka, a nie — jak przed laty — podejrzanego, to i tak trząsałem się wewnątrz jak osika.

Nawet pokój był ten sam co kiedyś. Nad drzwiami wisiało to samo wyblakłe godło, a jedna z jarzeniówek migiała zupełnie jak przed pięciu laty. Różnica była jedna, ale zasadnicza — tym razem nie miałem na nadgarstkach kajdanek. Pozwalało mi to zachować resztki optymizmu.

W prokuraturze nic nie dzieje się szybko. Teraz też musiałem poczekać. Minuty wlekły się jak godziny. Monotonne tykanie zegara doprowadzało mnie do szewskiej pasji. Wreszcie — po bitej godzinie — coś się ruszyło.

Spodziewałem się, że przesłuchiwać mnie będzie Mauer, ale okazało się, że prokurator, którego poznałem przedwczoraj, pojechał tam, skąd przyjechałem, czyli na miejsce zbrodni. Zamiast niego po drugiej stronie biurka usiadł jakiś zupełnie młody chłopak. Przedstawił się tak niewyraźnie, że zrozumiałem jedynie, iż jest asesorem.

— Na początku własnymi słowami — zażądał, gdy już spisał mnie z dowodu i pouczył. — Po kolei, co zaszło.

W pokoju oprócz nas była jeszcze protokolantka. Wyglądała na niezadowoloną, zupełnie jak ktoś, kogo oderwano przed chwilą od rodzinnej kolacji. Przymknąłem oczy i powoli zacząłem jej dyktować. Asesor przysłuchiwał się w milczeniu, kręcąc młynka palcami.

Kiedy skończyłem opowiadać o odnalezieniu zwłok, nagle się ożywił.

— Jakie stosunki łączyły pana z denatem?

Nie bardzo wiedziałem, jak mu odpowiedzieć. Po pięciu latach odsiadki moje stosunki z ludźmi nie były już takie jak kiedyś.

— Kolegowaliśmy się — stwierdziłem w końcu. — Pracowaliśmy w jednej szkole, byliśmy w podobnym wieku... Ale przez ostatnie kilka lat się nie widzieliśmy.

Nie pytał dlaczego. Najwyraźniej wiedział o moim osadzeniu. Interesowały go ostatnie dni. Chciał wiedzieć jak najwięcej, ale musiałem go rozczarować.

— Rozmawialiśmy raz, może dwa razy — powiedziałem z udawaną przykrością. — Był dla mnie jednym z wczasowiczów. Nikim więcej. Dowiedziałem się, że wciąż jest kawalerem, i to by było tyle.

Posłał mi długie spojrzenie. Nie lubiłem takich spojrzeń.

— A pan Karolczuk też był dla pana tylko jednym z wczasowiczów?

Popatrzyłem na niego baranym wzrokiem. Przetrzasałem swoją pamięć i nagle poczułem suchość w ustach. Pytał o pana Tadeusza.

— Tak — odpowiedziałem ostrożnie. — Pana Karolczuka poznałem podczas jego pobytu w „Rybitwie”. Z nim też nie rozmawiałem więcej niż kilka razy. Gadaliśmy głównie o rybach...

Zastanawiałem się gorączkowo, czy z laboratorium przyszły już wyniki badań notesu. Zgadywałem, że nie, bo w takim wypadku nie przesłuchiwałby mnie ten szczawik. I chyba się nie pomyliłem.

— Jak to jest, panie Marcynie? — Asesor zniżył głos i pochylił się do przodu. — Wychodzi pan z zakładu karnego, gdzie odbywał pan karę za morderstwo, a wokół pana zaczynają ginąć ludzie...

Robił wszystko, żeby mnie przestraszyć, ale ja nagle przestałem się bać. Zadziałał instynkt, który wyrobiłem sobie w więzieniu. Wiedziałem już, że jak dotąd nic na mnie nie mają. Oprócz podejrzeń, ale podejrzania to za mało, by kogoś posadzić. Przynajmniej teoretycznie.

— Pan na pewno zapoznał się z moją historią. Wtedy to był wypadek, a teraz... Te zgony nie były przypadkowe. Pana Karolczuka ktoś zatłukł na śmierć, a Czarek został dosłownie rozsmarowany. Jak na mój nos szukacie nie tu, gdzie trzeba...

Urwałem, a on zazgrzytał zębami. Chyba był zły, że nie udało mu się mnie zastraszyć. Podejrzewałem, że traktuje to przesłuchanie jako próbę sił. Albo egzamin.

— A gdzie powinniśmy pańskim zdaniem szukać? — zapytał aksamitnym głosem, z trudem tłumiąc gniew.

Powiedziałem mu o tym, co wiedziałem i czego się domyślałem — o tajemniczym zleceniu, które doprowadziło do śmierci detektywa, o włamaniu do ośrodkowego archiwum i o swoich podejrzaniach dotyczących związku tej sprawy z tajemniczym pożarem. Nie chcąc zaszkodzić Karolinie, nie wspomniałem oczywiście o wizycie w archiwum Komendy Powiatowej.

Słuchał w skupieniu, nie okazując emocji.

— Skończył pan? — spytał, gdy nie miałem już nic do powiedzenia. — Ciekawa hipoteza, chociaż... jak by to panu powiedzieć... raczej naciągana. Ale wyobraźnię ma pan znakomitą. Wyrobił pan ją sobie za kratami czy to wrodzone?

Jego głos ociekał sarkazmem, ale na takie sztuczki byłem już uodporniony. Skoro nie wyszło mu zastraszanie, to teraz próbował wyprowadzić mnie z równowagi. Nie miał doświadczenia, brakowało mu też cierpliwości. Zamiast posuwać się do przodu krok po kroku, próbował osiągnąć swój cel natychmiast, tracąc na wiarygodności.

— To pan ma bujną wyobraźnię. Ja przedstawiam panu fakty — powiedziałem spokojnie, a stara protokolantka z trudem stłumiła uśmiech.

Asesor poczerwieniał, po czym ofuknął współpracowniczkę:

— Pani tego nie zapisuje! Przecież to nie wnosi nic do sprawy.

Pokręciłem głową.

— Uważam, że wręcz przeciwnie. To wy szukacie kwadratowych jaj.

Odetchnął głęboko, usiłując odzyskać spokój. Pewnie myślał, jak by mnie znokautować, bo jak dotąd prowadziłem dość znacznie na punkty. Ale to był jego świat. Ja miałem gdzieś wynik całej tej walki kogutów. Chciałem po prostu iść do domu, lecz asesor nie dawał za wygraną.

— Jak kształtują się pańskie dochody? — spytał, kompletnie mnie zaskakując. Punkt dla niego.

Przez kilka minut opowiadałem mu o swojej sytuacji finansowej. O swoich skromnych zarobkach i skromnych potrzebach. A także o zarośniętej chwastami działce budowlanej i braku oszczędności.

— A pański brat? Może pan liczyć na jego pomoc?

To, że brat był milionerem, nie miało nic do rzeczy. Uważałem, że póki mam dwie ręce do pracy i zdrowe serce, powinienem utrzymywać się sam. Na wszelkie oferty pomocy zawsze reagowałem agresją. Po ostatniej awanturze, którą urządziłem mu już po wyjściu z więzienia, chyba na dobre odpuścił sobie uszczęśliwianie mnie na siłę.

— Brat chciał panu ofiarować pensjonat w Międzywodziu, tak? — powtórzył za mną, a ja przytaknąłem. — Ale pan chce być niezależny... Wie pan, że niezależność kosztuje?

Zrobiłem zdziwioną minę. To było dziwne przesłuchanie.

— Mam udzielić odpowiedzi? Tak, wiem, że kosztuje, ale jakoś sobie radzę...

W tym momencie drzwi do pokoju przesłuchań się otworzyły. Stał w nich jak zawsze elegancki prokurator Patryk Mauer.

— Co, jeszcze pana męczysz? — spytał ze zdziwieniem, a potem podszedł do biurka i wbił wzrok w ekran komputera. — No i super, wszystko jest... — powiedział po chwili. — A ta część jest kompletnie niepotrzebna — chwycił za myszkę i jednym ruchem usunął duży fragment tekstu.

Po minucie dostałem wydruk protokołu przesłuchania. Przeczytałem go dokładnie, a potem złożyłem pod nim podpis. Większość pierwotnych zapisów zniknęła — została tylko ta część, w której opisywałem okoliczności znalezienia ciała Cezarego. Młody asesor podpisał protokół zaraz po mnie i zmył się jak niepyszny, zabierając ze sobą protokółantkę.

Prokurator stanął przy otwartym oknie. Wraz z przeciągiem owionął mnie jego zapach. Drogie perfumy mieszały się z fetorem przybrzeżnego mułu.

— Papierosa? — Wyciągnął w moim kierunku otwartą paczkę, ale odmówiłem. — Ale rzeźnia — westchnął, pstrykając zapalniczką. — Ten wasz ośrodek to teraz niebezpieczne miejsce.

Marzyłem o tym, by pozwolił mi wyjść. Dusilem się w atmosferze tego pokoju i nie chodziło tu bynajmniej o zapach papierosowego dymu. Mauer chyba dostrzegł, że mam już dość.

— Przepraszam za niego — mruknął, wskazując na miejsce, gdzie przed chwilą siedział młody asesor. — Taki niestety mamy materiał ludzki. Chciał się wykazać, a wyszło jak zwykle... Zawsze twierdziłem, że nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu.

Zaśmiałem się uprzejmie. Chociaż zachowywał się grzecznie, to stresował mnie sto razy bardziej niż jego agresywny asystent.

— To co, mogę już iść? — spytałem z napięciem.

Wydmuchnął za okno chmurę dymu.

— Tylko niech pan nie opuszcza miejsca zamieszkania... Tak *pro forma* — dodał po chwili.

Wstałem i ukloniłem się niezgrabnie.

— Do widzenia — wymamrotałem, kierując się do drzwi.

— Może pana odwieźć? — zaproponował, odwracając się w moją stronę.

Nie wierzyłem własnym uszom. Pierwszy raz zetknąłem się z miłym prokuratorem. W mojej głowie natychmiast rozdzwoniły się dzwoneczki alarmowe. W celi panowało przekonanie, że jeżeli prokurator udaje miłego, to najpewniej coś knuje. Postanowiłem się mieć na baczności.

— Dziękuję bardzo. I tak zamierzałem odwiedzić brata. Mieszka blisko, przy wylotówce na Szczytno.

Nie nalegał. Podszedł i podał mi rękę.

— Niech pan koniecznie pozdrowi brata. I oczywiście Marysię też — uśmiechnął się sympatycznie, a mnie zrobiło się nieprzyjemnie.

Uśmiechnięty prokurator oznaczał nieszczęście.

Było już po dwudziestej trzeciej. Zwykle nawet o tak późnej porze po ulicach włóczyło się jeszcze sporo młodzieży, ale teraz miasteczko wyglądało jak wymarłe. Ostatnich spacerowiczów przegoniła typowo jesienna mżawka. Światła latarni, schowane za kurtyną wilgoci, wydawały się jakby przyćmione. Zbiegłem po schodach i zatrzymałem się na chodniku. Koszulkę targały mi podmuchy یشie syberyjskiego wiatru. Zadrżałem z chłodu.

Wiedziałem, że przysługuje mi „odstawienie” do miejsca, z którego zostałem zabrany, ale nie zamierzałem zmieniać zdania. Zwłaszcza że moim kierowcą byłby prawdopodobnie prokurator Mauer. A ja nie miałem już siły na jego psychologiczne gierki.

W roli dobrego wujka wypadł przekonująco. Kto wie, może uwierzyłbym w jego dobre intencje, ale poranna rozmowa z Karoliną pozbawiła mnie wszelkich złudzeń. Prokurator ochrzanił policjantkę za korzystanie z mojej pomocy i wydał jej polecenie, by mnie obserwowała. Podejrzewał mnie od momentu, w którym się dowiedział o zamordowaniu pana Tadeusza. Widocznie były więzień doskonale pasował mu do roli mordercy...

Jego pozorowana grzeczność nie była w stanie zamydlić mi oczu. Cały czas kombinował, jak mnie podejść. Chciałem się od niego trzymać tak daleko, jak to tylko było możliwe.

Ruszyłem przed siebie, kierując się w stronę posiadłości brata. Była niedaleko — jakieś cztery kilometry stąd — ale tej nocy każdy krok liczył się podwójnie. Wiatr wiał mi prosto w twarz, niosąc ze sobą pierwsze opadłe liście i melancholijną woń jesieni.

Mżawka tłumiała dźwięki do tego stopnia, że nie słyszałem odgłosu własnych kroków. Nic więc dziwnego, że nie usłyszałem, jak za mną szedł. Jego obecność odkryłem przypadkowo. Ukucnąłem, by zawiązać adidasa, a on nie dość szybko schował się w bramie. Był kilkadziesiąt metrów za moimi plecami.

Początkowo nie podejrzewałem, że mnie śledzi. Ot, samotny przechodzień, spieszący do domu na późną kolację. Ale im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem zaniepokojony. Po co chował się w bramie? Dlaczego dystans między nami się nie zmniejszał, chociaż tak bardzo zwolniłem?

Po raz któryś zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, że się zatrzymał. Miał na sobie coś, co wyglądało z daleka jak zakonny habit z kapturem. Zgadywałem, że była to przeciwdeszczowa peleryna, ale nie mogłem mieć pewności. Światło latarni było rozmyte, a do oczu wpadały mi drobne krople deszczu. Ruszyłem przed siebie, a on po chwili też podjął swój marsz. Nie próbował już się ukrywać. Czyżby dostrzegł, że go zobaczyłem?

To dlaczego wciąż za mną szedł?

Skręciłem w boczną uliczkę między blokami. Tutaj świeciła tylko co druga latarnia. Szedłem przez chwilę tyłem, wypatrując mężczyzny w pelerynie. Pojawił się szybciej, niż się spodziewałem. Wyszedł zza bloku i skręcił... prosto w moim kierunku.

Instynktownie wyczułem, że nie jest to jeden z moich „znajomych” z Nadrowa. Miasto nie było ich żywiołem — podejrzewałem, że jeżeli już, to woleliby zaatakować mnie gdzieś na swoich śmieciach. Poza nimi nie miałem wrogów, a przynajmniej o takich nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, kto może mnie śledzić.

Złodziej? Ale przecież raczej nie śmierdziałem groszem i nie była to żadna tajemnica. Zresztą złodziej by mnie nie śledził. Raczej by mnie wyprzedził i zaczął się gdzieś w ciemnej bramie. Albo podszedłby do mnie i zwyczajnie dał mi w łeb.

Byłem zmęczony, mokry i zziębnięty. Nie miałem ochoty na łamigłówni. W pewnym momencie skręciłem i schowałem się za jednym z bloków. Zakładałem, że pójdzie w tę stronę i uda mi się go zaskoczyć. Chciałem stanąć z nim twarzą w twarz. To było lepsze od chowania się po kątach.

Czekałem kilka minut, lecz nikt się nie pojawił. Wyszedłem z powrotem na uliczkę, ale nie było na niej żywego ducha.

— No pokaż się, tchórze! — ryknąłem, a mój głos odbił się od bloków i wrócił do mnie echem.

Nikt się nie pojawił. W jednym z parterowych okien, na tle niebieskawej poświaty włączonego telewizora, dostrzegłem natomiast przestraszoną twarz staruszki. Oddaliłem się szybkim krokiem. Nie chciałem, żeby wezwała policję.

Doszedłem do końca uliczki. Przede mną falowały na wietrze liście łopianu. Tu miasto się kończyło — nieużytki rozciągały się aż do odległej linii kolejowej. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było żywego ducha. Roześmiałem się bezgłośnie, czując, jak opada ze mnie napięcie.

Wracając do głównej drogi, ganiłem się w myślach za nadmiar fantazji. Na moje usprawiedliwienie przemawiało tylko to, że ostatnie dni były naprawdę nerwowe. Ale żeby wziąć normalnego człowieka za nasłanego na mnie zbira? To był temat na dłuższą rozmowę. Na kozetce, u psychoterapeuty.

Wróciłem do bardziej cywilizowanych okolic i odruchowo przejrzałem się w podświetlonej witrynie sklepu z biżuterią. To, co ujrzałem, bardzo mnie rozbawiło. Spod strzechy potarganych, mokrych włosów patrzyły podkrążone oczy. W świetle latarni twarz wydawała się blada, a reszta przemoczonej sylwetki przywodziła na myśl kogoś, kto właśnie wypełził ze studzienki ściekowej. Wyglądałem okropnie. Zrozumiałem, że mężczyzna w pelerynie chował się przede mną dlatego, iż się mnie... bał.

Spostrzeżenie to bardzo poprawiło mi humor. Mżawka ustała już jakiś czas temu,

a teraz po lewej stronie nieba pojawiły się gwiazdy. Przyspieszyłem kroku, pogwizdując pod nosem.

Po chwili minąłem ostatnie bloki, a zaraz za nimi tabliczkę z nazwą miejscowości. Niedaleko za nią było rondo, od którego odchodziła trasa na Szczytno.

Brat mieszkał kilkaset metrów stąd. Zszedłem z chodnika, który zaraz i tak się kończył, po czym przeszedłem na drugą stronę ulicy. Wymacałem portfel i wyjąłem z niego niewielkie światełko odblaskowe. Przytwierdziłem je do piersi, a potem ruszyłem przed siebie po asfalcie.

Wypadki z udziałem pieszych są na warmińsko-mazurskich drogach prawdziwą plagą. Drogi są wąskie i kręte, więc w absolutnej ciemności nietrudno o tragedię. Sam jako kierowca kilkakrotnie o włos unikałem uderzenia w nieoświetlonych pieszych. Po jednej z takich przygód obiecałem sobie, że zawsze będę miał przy sobie odblask. Nosilem go w przegródce portfela. Był na rzepy i mogłem go przyczepić do każdego elementu garderoby.

Kiedy nadjeżdżająca ciężarówka zmusiła mnie do gwałtownej ucieczki na pobocze, nie byłem zadowolony. Kierowca powinien widzieć mój odblask z daleka, ale pewnie patrzył się akurat w inną stronę. Gdy mnie minął, wyskoczyłem z mokrej trawy i pogroziłem za nim pięścią. Oczywiście mnie nie widział, natomiast ja...

Światła odjeżdżającej ciężarówki wydobyły z mroku tablicę informującą o odległości do Szczytna, kilka przydrożnych drzew... i postać mężczyzny w pelerynie. Przez moment widziałem go wyraźnie jak w dzień. Stał w miejscu, patrząc w moją stronę. W jego postawie była dziwna ostentacja.

Usiłowałem zobaczyć jego twarz, ale naciągnięty kaptur rzucał na nią cień. A potem ciężarówka go minęła i znów zapadła ciemność. Zastanawiałem się nad dwoma możliwościami. Mogłem albo ruszyć w jego stronę i go zaatakować, albo pobiec w przeciwnym kierunku, w stronę „rancza” mojego brata. Wybrałem drugą opcję. W końcu od czasów skazania byłem pacyfistą.

Kiedy rzuciłem się do biegu, z ciemności dobiegł mnie ochryply śmiech.

Biegłem tak szybko, jak chyba jeszcze nigdy. Kiedy dotarłem do posiadłości brata, moje serce biło z prędkością jakichś dwustu uderzeń na minutę. Przesadziłem parkan i znalazłem się na równiutko wystrzyżonym trawniku. Położyłem się na tej trawie i przez kilka minut dochodziłem do siebie, przeklinając w myślach psychopatę, który tak się zabawił moim kosztem.

— Twoje niedoczekanie — warknąłem pod nosem.

Od samego początku tej historii ktoś próbował mnie zastraszyć. Zaczęło się od bójki ze złodziejem, a potem straszili mnie wszyscy: policja, ktoś, kto podłożył do skradzionej łódki moje okulary, bandyci z Nadrowa, dziwnie zachowujący się burmistrz, prokurator i wreszcie teraz on — tajemniczy mężczyzna w pelerynie. To całe straszenie odnosiło odwrotny skutek. Bałem się coraz mniej.

Czułem natomiast coraz większe rozdrażnienie. Staralem się żyć jak mysz pod miotłą, nikomu nie wadzić... A tymczasem ktoś próbował mnie w coś wmanewrować. Do tej pory sądziłem, że chodzi o obciążenie mnie odpowiedzialnością za morderstwa, ale teraz nie byłem tego już taki pewien. Zacząłem się zastanawiać, czy ktoś nie chce mnie

wpędzić w obłąd. Albo skłonić do natychmiastowej ucieczki. Myślałem nad tym przez chwilę, dochodząc do zastanawiających wniosków. Ale nagle przerwałem rozmyślania, czując, jak oblewam się zimnym potem.

Nie byłem tu sam.

Jej biała koszula nocna na tle ciemnego parku zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Wyglądała jak duch i poruszała się równie bezszelestnie.

— Co ci się stało? — zapytała, a ja przez chwilę trwałem w osłupieniu, bo nawet ton jej głosu był eteryczny jak u zjawy.

— Zobaczyłem ciebie i tak mnie rozebrało — powiedziałem, gdy już otrząsnąłem się z szoku, podnosząc się automatycznie do pozycji siedzącej. — Nie jest ci zimno, Marysiu?

Bratowa pokręciła głową. Przy pobliskiej alejce zainstalowane były lampki solarne. W ich ledwie jarzącym się świetle widać było jedynie zarys jej postaci. I twarz, która wyglądała na bardzo bladą. Nie powinna być tutaj o tej porze. Ale nie ja byłem tym, który powinien jej to powiedzieć.

— Wstań — poprosiła. — Trawa jest mokra, dostaniesz zapalenia płuc.

Zawsze bardzo się lubiliśmy. Chociaż byliśmy rówieśnikami, to traktowałem ją jak starszą siostrę. Dlatego widząc ją, zapomniałem o własnych problemach. Coś było nie tak. Jej bladość, jej głos... Mówiła do mnie tak, jakby była za grubą szybą. Czyżby leki uspokajające? Podeszedłem do niej i spojrzałem jej prosto w oczy. W ciemnościach nie miałem szans dostrzec jej źrenic, ale zagadka rozwiązała się sama. W jej szybkim oddechu wyczułem wyraźną woń alkoholu. Była pijana.

— Michał wie, że tu jesteś?

Pokręciła głową.

— Michał załatwia interesy. To nudne, więc poszłam się przejść. Często to robię, zwłaszcza o północy.

Wiedziałem, że mój brat często pracuje do późna. Nie jeździł już tirem, ale wcale nie miał przez to mniej obowiązków. Koordynował trasy swoich pracowników, konferował telefonicznie ze swoimi partnerami handlowymi i przyjmował transporty tego, czym aktualnie handlował — ostatnio był to sprzęt hi-fi. W jego magazynach często było coś do zrobienia, i to o różnych dziwnych porach. Dlatego to, że wciąż pracował, wcale mnie nie zdziwiło.

Zdziwiło mnie to, że pozwolił żonie — która, jak sam przyznał, borykała się z problemami — chodzić samotnie po deszczu. I to w samej koszuli nocnej. Wiedziałem, jak bardzo ją kocha.

— Nie wie, że tu jestem — powiedziała, jakby czytając w moich myślach. — Powiedziałam mu, że rozbolała mnie głowa i że idę spać do jednego z pokoi gościnnych. Często tak robię. Nie wsypiesz mnie?

Nie wiedziałem, co zrobić z oczami. Wydawali się modelowym małżeństwem, a tymczasem — przynajmniej według jej słów — prawda była inna. Te małe kłamstewka... Może i nieszkodliwe, ale skoro zwierzała się z nich za jego plecami... To była już nielojalność. Nie miałem zamiaru angażować się w jej gierki choćby w najmniejszym stopniu. Nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego. Dla nich i dla mnie.

— To wasze sprawy — mruknąłem, biorąc ją pod rękę. — Chodź, odprowadzę cię. Oparła się na mnie całym ciężarem, o mało mnie nie przewracając. Nie była trochę pijana. Była pijana jak bela.

— Zaczekaj — poprosiła i opadła na betonowy murek, odgradzający trawnik od części, w której znajdował się odkryty basen.

Chcąc nie chcąc, klapnąłem obok niej, przeklinając w myślach pomysł udania się do brata. Gdybym mógł cofnąć czas, drałowałbym teraz do Gęglówek i byłbym już pewnie w połowie drogi. Ale czasu nie można było cofnąć.

Za murkiem schowana była butelka z jakimś winem. Piwniczka Michała i Marysia była zaopatrzona bardzo znacznie, ale nie miałem ochoty na najlepszy nawet alkohol. Lecz moja odmowa jej nie zraziła. Marysia wzięła solidny łyk wprost z butelki.

— Walić konwenanse — powiedziała, po czym głośno czknęła.

Zawsze była tak delikatna i subtelna.

— Co się z tobą stało?

Nie odpowiedziała. Przez chwilę błędziła wzrokiem po ciemnym niebie, a potem przełożyła nogę przez murek, siadając na nim okrakiem.

— Często myślę o tamtej nocy — powiedziała, a ja zmartwiałem.

Nigdy nie spędziłem z nią nocy!

— O której?

— Jak to „o której”? O tej, kiedy mnie uratowałeś. Przez którą poszedłeś do więzienia.

Na jej policzkach pojawiła się wilgoć. Nie wiedziałem, czy to krople zanikającej i powracającej wciąż mżawki, czy łzy. Na wszelki wypadek zabarwiłem głos beztrząską.

— Było, minęło. Każdy facet na moim miejscu postąpiłby tak jak ja.

Pokręciła głową. To chyba jednak były łzy.

— Wiesz dobrze, że nie. Nie każdy byłby tak odważny. A ten facet... Do dzisiaj nie wiem, dlaczego to zrobił...

Nie lubiłem wracać do tamtych chwil, ale nie miałem wyjścia. Było zimno i wietrznie, a ona miała na sobie tylko cienką koszulę. Chciałem ją stąd zabrać, a potem pogadać sobie z Michałem. Jak brat z bratem... Praca nie mogła przysłańać mu rodziny.

— Michał zwolnił go z pracy — powiedziałem powoli, chcąc, by mnie dobrze zrozumiała. — Miał prawo to zrobić, ale tamten myślał inaczej. Po prostu chciał się zemścić. Był pijany... Według pośmiertnych badań miał we krwi prawie dwa promile.

I pewnie tylko dlatego dałem mu radę — pomyślałem, wspominając, jak łatwo mi poszło.

Ale to nie były przyjemne wspomnienia. Zadrzałem, a Marysia — myśląc, że jest mi zimno — mocno się we mnie wtuliła. Zesztywniałem, bo dla osoby, która by się na nas natknęła, sytuacja musiałaby wyglądać co najmniej dwuznacznie.

— Weź przestań — szepnąłem, wyobrażając sobie minę Michała, gdyby teraz nas zobaczył. — Chcę wstać — dodałem bardziej stanowczo i wyzwoliłem się z jej objęć. — A wracając do rozmowy, to chodziło właśnie o to. O zemstę.

Pokiwała głową, nie do końca przekonana.

— Może i tak. Ale ja zastanawiałam się jeszcze nad czymś innym. Po co Michał

w ogóle go zatrudniał? To był bandzior, a do tego kompletny nierób. Wiesz, mentalność z pegeeru.

Przez chwilę usiłowałem zrozumieć, o co chodzi z tym PGR-em. Chyba o to, że ludzie się tam nie przepracowywali.

— Widocznie do czegoś go potrzebowali — westchnąłem, bo nie chciało mi się już gadać. — Na pewno coś tam robił... Zresztą sama wiesz, jak tu jest z siłą roboczą. Jakby było lepiej, to Michał nie musiałby zatrudniać Ukraińców i Białorusinów.

— Nic nie robił — stwierdziła stanowczo, ignorując drugą część mojej wypowiedzi. — Od początku przychodził pijany i urządził awantury. Pracownicy bardzo się na niego skarżyli. Kiedyś — ściszyła głos — szarpał się nawet z Michałem...

— Nic dziwnego, że go wywalił...

— Wcale go nie wywalił — przerwała mi. — Przynajmniej nie wtedy. Pracował u nas jeszcze ze cztery miesiące.

Wzruszyłem ramionami.

— Najłatwiej byłoby o to zapytać Michała — powiedziałem, a potem delikatnie ją podniosłem.

Przytrzymała się mnie, a potem wyszeptała z naciskiem:

— Pytałam. Ale on nigdy nie chciał o tym rozmawiać. Nawet jak go pytałam, dlaczego płaci mu więcej niż innym.

— A rzeczywiście płacił więcej? — spytałem, ciągnąc ją w kierunku oświetlonych zabudowań.

— Dużo więcej. Płacił mu tyle, że sam pewnie zarabiał niewiele więcej.

Zatrzymałem się gwałtownie. To było coś nowego.

— Jesteś pewna?

— Tak. Przeglądałam dokumenty księgowe. Płacił mu kilkanaście tysięcy miesięcznie.

Gwizdnąłem pod nosem. To była niewyobrażalna suma, zwłaszcza w tych stronach. A potem zakląłem, bo przecież wiedziałem, o co tu chodziło. Nie dziwiło mnie, że Michał nie chciał o tym mówić. Żonie lub komukolwiek innemu.

— Michał płacił mu haracz... — mruknąłem, kręcąc głową. — Zupełnie jak jakiejś mafii...

— Wiedziałeś? — zadrżała.

— Domyślałem się.

Co prawda czasy haraczu skończyły się w latach dziewięćdziesiątych, ale tu — na ten położony na uboczu skrawek Mazur — wszystko przychodziło z opóźnieniem. Byłem sobie w stanie wyobrazić, że do brata zapukali chłopaki z Nadrowa. Co mu powiedzieli? Że spalą mu dom? Pobią dzieci? Porwą i zgwałcą żonę? Mógł iść na policję, ale pewnie nie chciał ryzykować. Taki był. Znałem go przez całe swoje życie i byłem skłonny uwierzyć, że dla świętego spokoju wołał się opłacać. Tylko ile go to kosztowało?

— Jak długo pracował u was ten... — Zawiesiłem głos, bo nie chciałem już przeklinać, a brakowało mi na niego innych określeń niż te wulgarne.

Marysia zaszczękała zębami.

— Trochę więcej niż pół roku.

— To nie tak długo.

W moim głosie zabrzmiała ulga. Chociaż paskudny przypadek sprawił, że cała ta sytuacja zakończyła się dla mnie więzieniem, to cieszyłem się, że brat znalazł w sobie siłę, by pogonić bandytów. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie miał już na pewno problemów z wymuszeniami. Sprawa była za bardzo śmierdząca.

Obszerny plac przed domem był oświetlony nie gorzej niż stadion piłkarski podczas wieczornego meczu. Między trzema zaparkowanymi tirami kręciło się kilkunastu ludzi. Uwijali się jak mrówki, nosząc jakieś kartony. Pracowali w niemal całkowitym milczeniu — jedynie od czasu do czasu słyhać było pojedyncze słowa. O ile dobrze rozumiałem rosyjski, najczęściej były to przekleństwa.

— Uciekaj spać — szepnąłem, muskając ustami jej policzek.

Ruszyłem przez plac. W pewnym momencie usłyszałem znajomy głos. Gdybym nie rozstał się przed chwilą z Marysią, poprosiłbym, by mnie uszczypnęła. Widok był do tego stopnia surrealistyczny, że aż przystanąłem.

W centralnej części placu zobaczyłem Włodka. Szedł obok jakiegoś wysokiego mężczyzny i coś mu tłumaczył. Wyglądał na podekscytowanego. Albo wkurzonego.

— Co ty tu robisz?! — spytałem, zachodząc go z boku. — Nie wiedziałem, że znasz mojego brata, a poza tym... Myślałem, że o tej porze będziesz odsypiał te wszystkie piwa, które w siebie wlałeś.

Popatrzył na mnie bez cienia uśmiechu. Odruchowo się cofnąłem.

— Nie przeszkadzaj — warknął zupełnie jak nie on. — Rozmawiam.

Przez chwilę szukałem na jego twarzy śladu rozbawienia, ale był śmiertelnie poważny. Patrzył na mnie jak na kogoś obcego. Zakląłem i odwróciłem się na pięcie. Co za parszywy dzień. Irytował mnie nawet najlepszy kumpel.

Po kilkunastu krokach obejrzałem się za nim, ale już go nie było. Nie miałem pojęcia, że bywa u mojego brata. Przez te trzy miesiące nie widziałem zresztą, by bywał gdziekolwiek. Kursował tylko jedną trasą — z baraku mieszkalnego do hangaru, czasem *via* stołówka... Nie dawał się wyciągać nawet na wypadki do Mogielna.

Co go dzisiaj ugryzło? Zastanawiałem się nad tym przez moment, ale machnąłem ręką. Może męczył go kac?

Tej nocy miałem szczęście do znajomych twarzy. Gdy dotarłem do tarasu wejściowego, spotkałem na nim kierownika ośrodka. Palił w milczeniu, ze strapioną miną. Podeszedłem do niego, wrywając go z ponurej zadumy.

— To ty? — w jego głosie brzmiało takie zdziwienie, jakby spotkał mnie nie u własnego brata, tylko na Marsie. — Co tu robisz?

Miałem ochotę zapytać go o to samo, ale nie wypadało. Wyjaśniłem mu, że wracam z przesłuchania. Wydawało mi się jednak, że nie słuchał mnie zbyt uważnie.

— Co tu się dzieje? — westchnął, gdy skończyłem.

Zgadywałem, że nie chodzi mu o zamieszanie na placu przed domem Michała. Powiedziałem mu to samo, co zeznałem w prokuraturze. Odniosłem wrażenie, że tym razem słuchał wnikliwie.

— To idiotyczne — stwierdził gniewnie, gdy tylko skończyłem. — Co kogo obchodzi jakaś laska, która od kilku lat nie żyje?

— Od pięciu...

— No właśnie. Tym bardziej. Nie, młody, tu chodzi o coś innego. — Jego cichy dotąd głos zaczął nagle wibrować. — Chodzi o to, żeby mnie wpędzić do grobu, rozumiesz?! — wrzasnął tak głośno, że dwaj przechodzący obok Ukraińcy o mały włos nie upuścili dźwiganego przez siebie ładunku. — Uważać tam, patałachy! — warknął w ich kierunku łamanym rosyjskim.

Wiedziałem, że pracownicy brata potrafili być agresywni, ale tym razem stulili uszy po sobie i grzecznie przeprosili. Odetchnąłem z ulgą. Tego wieczoru brakowało mi tylko widowiskowej bójki.

— Szefie, a co szef ma na myśli? Przecież szef nie ma wpływu na to, że w okolicy grasuje jakiś szaleniec...

Niespodziewanie się zaśmiał. Ale nie był to wesoły śmiech. Pobrzmiwała w nim histeria.

— Jak ty nic nie rozumiesz! — rzucił w moją stronę z niechęcią w głosie. — A to wszystko jest takie proste... Posłuchaj, jak tu się będą dalej dziać takie rzeczy, to w końcu stracimy klientów. Nie przyjedzie tu pies z kulawą nogą, nie?

Czekał, aż mu odpowiem, ale ja wolałem milczeć. W jego słowach mogło być trochę racji. Nie miałbym ochoty spędzać urlopu w miejscu, gdzie giną ludzie. I pewnie nie tylko ja jeden.

— Nie przyjadą tu ani wczasowicze, ani dzieci na kolonie — ciągnął szef. — Ani w wakacje, ani w roku szkolnym. A jak ośrodek będzie stał pusty, to kto będzie za to odpowiadał? No kto? Oczywiście, że ja!

— Ale panie kierowniku...

— Jeżeli do ośrodka nie przyjechaliby wczasowicze, to od razu zaczęłoby się szukanie winnych — ciągnął kierownik nieco spokojniejszym głosem. — To chyba oczywiste, prawda? Zawsze musi być winny...

— Tak jak w przypadku tamtego pożaru, prawda?

— Co ty z takim pożarem? — zachnął się, gromiąc mnie przy tym spojrzeniem. — Wtedy to był wypadek, a teraz... — machnął ręką.

Nie dawałem za wygraną.

— Ale pański poprzednik stracił robotę właśnie przez ten pożar...

Otworzył paczkę i wyciągnął z niej kolejnego papierosa.

— Mojego poprzednika odwołali po kontroli NIK. Musiała wtedy polecieć jakaś głowa. Ale jemu dali na pocieszenie miejsce w zarządzie Kornimpeksu. Gdybym ja dostał taką fuchę, to też dałbym się odwołać. Tyle że mnie nikt czegoś takiego nie zaproponuje. Przez tego szaleńca wyląduję na zielonej trawce.

— A zna pan tego swojego poprzednika? — spytałem niby mimochodem.

Chciałem wykorzystać jego zdenerwowanie i wyciągnąć z niego trochę informacji. Mogły mi się przydać, bo zamierzałem złożyć wizytę w Kornimpeksie. Ale okazało się, że szef wcale nie bywa aż tak rozkojarzony.

— Co ty, młody? Głupka chcesz ze mnie zrobić? Co ty mnie tak wypytujesz, co?

— Nie wypytuję, nie wypytuję... Zastanawiam się tylko, czy...

— To się nie zastanawiaj — przerwał mi obcesowo. — Uważaj, żebyś nie skończył

tak jak ten nauczyciel. Albo żeby cię nie zapuszkowali, bo coś za często natykasz się na trupy, a policja tego nie lubi...

Odwrócił się do mnie plecami i wszedł do domu. Przez chwilę stałem samotnie, zastanawiając się, czy to była groźba. Doszedłem do wniosku, że nie. To była po prostu rada, tyle że udzielona w jego zwykłym, szorstkim stylu. Bo dlaczego miałby mi grozić? Jeżeliby mu coś nie pasowało, mógł mnie po prostu wylać na bruk.

Brat czekał na mnie w przedpokoju. Wyglądał na zmęczonego, ale posłał mi coś na kształt uśmiechu.

— Co tam się u was dzieje? — spytał, a ja po raz kolejny musiałem opowiedzieć, jak natrafiłem na zwłoki swojego dawnego kolegi. — Ale nie chcieli cię zatrzymać?

— Jakby chcieli, to byłbym zatrzymany.

Chciałem pogadać z nim o wielu rzeczach. O swoich problemach, podejrzaniach i tym, że niepokoję się o jego żonę. Ale to nie był dobry moment. Widziałem, że jest na skraju wyczerpania. Nawet przez tę krótką chwilę, kiedy rozmawialiśmy, cały czas sprawdzał telefon i wyglądał nerwowo przez okno. Chyba miał mnóstwo pracy, a goście potrzebni mu byli jak zaraza.

— Mogę się u ciebie przespać? — spytałem, a on odpowiedział tak samo jak zwykle:

— To jest też twój dom, braciszku...

Odprowadził mnie na piętro, do pokoju, w którym zazwyczaj nocowałem. Zawsze czekało tam na mnie przygotowane posłanie. Zdjąłem buty i padłem na łóżko, a on przysiadł na fotelu.

— Przepraszam cię za zamieszanie — usprawiedliwił się, chociaż byłem niezapowiedzianym gościem. — Wszystko zważyło się na mnie jednocześnie: trzy transporty, awaria dźwigu, problemy na granicy litewsko-białoruskiej... A do tego przypomniał sobie o mnie twój szef...

— No i zjawiłem się ja. — Parsknąłem śmiechem, chociaż od chwili, gdy spotkałem Marysię, nie było mi do śmiechu. — A co tu robi mój szef?

Brat przewrócił oczami.

— Gości się — westchnął. — Pewnie ma nadzieję, że jak po tym wszystkim wywalą go z „Rybitwy”, to załatwię mu robotę. Wspominał coś o Kornimpeksie...

— Mnie też — przypomniałem sobie.

Zaśmialiśmy się razem. Przez chwilę czułem się tak jak kiedyś, gdy dzieliliśmy mały pokoik.

— Jak ci się u niego pracuje? — spytał mnie Michał.

Zastanowiłem się. To było dobre pytanie.

— Dogadujemy się — powiedziałem wreszcie, bo tak rzeczywiście czułem. — Nie jest łatwą osobą we współpracy, ale kiedy człowiek przyzwyczai się do jego sposobu bycia... to da się wytrzymać.

— Cieszę się — uśmiechnął się mój brat. — Nie wiedziałem, czy będzie ci tam dobrze, ale to była chyba najlepsza opcja. Chyba że dałbyś się namówić na pracę u mnie...

— Nie, dzięki — powiedziałem szybko, po raz chyba pięćdziesiąty. — Praca w ośrodku w pełni mnie satysfakcjonuje. Dziękuję.

Nachmurzył się.

— Wiesz, że mógłbym zrobić dla ciebie więcej? Że powinienem zrobić dla ciebie więcej?

— Daj spokój — przerwałem mu z irytacją. — I tak mam wyrzuty sumienia, że tak mi pomagasz...

Jak zwykle się wzruszył. W jego piwnych oczach zalśniły łzy. Doszedłem do wniosku, że oboje z żoną stanowczo za często płaczą.

— Jakbyś coś chciał, to będę na dole — powiedział wreszcie i podał mi rękę.

Szybko się umyłem i wpełzłem pod kołdrę. Była za cienka — przez uchylone okno wpadało do pokoju zimne, jesienne powietrze. Przez chwilę usiłowałem je zignorować, ale było zbyt dokuczliwe. Klnąc na czym świat stoi, podszedłem do okna i starannie je zamknąłem. A potem — z ciężkim westchnieniem — założyłem spodnie i buty. Przez okno spostrzegłem bowiem klęczącą w trawie Marysię.

— Idziemy, moja panno — zarządziłem, żałując, że nie udało mi się znaleźć Michała. — No już, ostrożnie.

Tym razem odprowadziłem ją do samego łóżka. Była zziębnięta i przemoczona, więc przykryłem ją kilkoma kocami. Wyglądała jak mała dziewczynka. Uśmiechnęła się do mnie ciepło, a ja odruchowo pogładziłem ją po czole.

— Dobrze, że już jesteś — powiedziała, a ja się domyśliłem, że chodzi jej o mój powrót z krak. — Przez te wszystkie lata było tu bez ciebie bardzo pusto. Bardzo za tobą tęskniliśmy.

Poczekaliśmy, aż zasnęła, a potem poszedłem do siebie. Na korytarzu było ciemno, ale znałem drogę na pamięć. Dotarłem do swoich drzwi i wtedy zobaczyłem, że w jednym z pokoi na końcu korytarza pali się światło. Podszedłem tam z ciekawości i usłyszałem dwa męskie głosy, które tak dobrze znałem. W pokoju siedzieli Włodek i kierownik.

Chciałem pchnąć drzwi, ale przypomniałem sobie niedawne spięcie z moim kolegą. Pies ich trącał — pomyślałem, tłumiąc ziewnięcie. Już miałem się odwrócić, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły. Wpadł z nich wyraźnie wzburzony kierownik.

Nie zauważył mnie. Zbiegł po schodach i wyleciał na dwór, a po chwili usłyszałem dźwięk uruchamianego samochodu. W tym samym momencie na moje ramię opadła ciężka łapa.

— Przepraszam cię za tamto. — Śpiewny akcent Włodka nie pozostawiał wątpliwości co do jego wschodnich korzeni. — Ale to było dla twojego dobra. Widzisz, od pewnych spraw lepiej trzymać się tak daleko, jak tylko się da. Uważaj na siebie, bracie!

Uściskał mnie mocno, rzeczywiście tak jak brata. A potem rozpląnął się w ciemności, pozostawiając mnie w stanie głębokiego szoku.

Był najtwardszym draniem, jakiego dotąd poznałem. Twardszym niż wszyscy kumple z więzienia razem wzięci. Ale mogłem przysiąc, że kiedy do mnie mówił... kiedy mnie ostrzegał... coś ścisnęło go za gardło, a w jego oczach dostrzegłem podejrzaną wilgoć.

W nocy śniło mi się mnóstwo głupot. Obudziłem się rozbity i senny, ale wystarczył rzut oka na wyświetlacz telefonu, bym od razu poderwał się na nogi. Było kilka minut przed ósmą rano, co oznaczało, że zaraz zacznę pracę. Zrezygnowałem z golenia i po szybkim prysznicu zameldowałem się na dole. Kuchnia była pusta, ale w lodówce znalazłem pieczywo i kilka parówek.

— Zrób i dla mnie — usłyszałem zza pleców.

Odwróciłem się i zobaczyłem w oknie kanciastą twarz Włodka. W przeciwieństwie do mnie wyglądał świeżo jak noworodek. Wracał od strony placu, na którym parkowały ciężarówki.

— Co ty tu w ogóle robisz? — spytałem go, gdy wszedł do środka i rozsiadł się przy stole.

Czuł się jak u siebie. Sięgnął ręką po dzbanek i nalał sobie soku.

— A jak myślisz? — spytał, rozsmarowując sobie masło na kromce chleba. — To, że ty nie chcesz pracować u brata, to nie znaczy, że inni nie mogą sobie dorobić.

— Pracujesz tu?

— Od czasu do czasu — mruknął enigmatycznie, a potem niespodziewanie się ożywił. — Wiesz, że potrzebuję teraz więcej kasy, prawda?

Wyjął z kieszeni portfel i po raz chyba dwudziesty zaprezentował mi zdjęcie swojej żony w towarzystwie trójki dzieci. Z tego, co mówił, najmłodsze nie miało jeszcze pół roku. Rodzinka szczerzyła się do aparatu na tle zawieszzonego na ścianie wzorzystego dywanu. Wyglądali na szczęśliwych.

— Czemu nie znajdziesz sobie roboty gdzieś bliżej domu? — spytałem.

— Mężczyzna jest po to, żeby być daleko.

Głos miał wesoły, ale jego oczy na moment zasnuły się mgiełką tęsknoty. Znałem to spojrzenie aż za dobrze. Tęsknota potrafi boleć bardziej niż zepsuty ząb.

Nałożyłem parówki na talerze i usiadłem naprzeciwko niego. Czekałem, aż nawiąże do tego, o czym mówił mi w nocy, ale wolał narzekać na poranne łamanie w kościach. Trudno było go brać na poważnie. Miał dwadzieścia kilka lat i wyglądał jak młody gladiator. Po kilku minutach moja cierpliwość się skończyła.

— Nie chciałeś mi o czymś powiedzieć? Nie byłeś aż tak pijany, żeby teraz nic nie pamiętać...

Zaśmiał się odrobinę nieszczercze.

— W moich stronach mawiają, że co było wczoraj, pozostaje wczoraj. Dziś jest nowy dzień. Rób swoje.

Zamoczyłem parówkę w słoiku z musztardą. Mama zawsze krzyczała, gdy tak robiłem, ale teraz była trzysta kilometrów stąd.

— Dziś akurat nie mam nic do roboty. — Przeciągnąłem się leniwie.

Popatrzył na mnie kpiąco.

— Jesteś pewien?

Parówka nagle stanęła mi w gardle. Przez chwilę kaszlałem, starając się odzyskać oddech. Włodek wstał i huknął mnie w plecy.

— Dzięki — powiedziałem, rozmasowując żebra. — To dzisiaj miało być to cholerne grzybobranie, prawda?

Pokiwał głową, a ja porwałem ze stołu dwie parówki i wybiegłem na dwór. Przez chwilę rozglądałem się za rowerem, ale przypomniałem sobie, że przecież przyszedłem tu na piechotę. Zakląłem ze złości. Na dziewiątą zaplanowana była wycieczka na grzyby, którą — jako kaowiec — miałem poprowadzić. Do dziewiątej pozostał zaledwie kwadrans, a ja byłem piętnaście kilometrów od ośrodka.

— Podrzuci mnie pan do Gęglówek? — poprosiłem opartego o kabinę tira kierowcę, ale ten rozłożył ręce, pokazując mi, że nie rozumie.

Machnąłem ręką i podbiegłem do drugiego pojazdu. Miał polskie rejestracje, ale jak na złość kierowca gdzieś zniknął. Obiegnąłem tira dookoła, ale nigdzie go nie było. Zdesperowany wskoczyłem do kabiny i nacisnąłem klakson. Gdy i to nie przyniosło efektu, wysiadłem i pogałem w kierunku zabudowań gospodarczych. Jeden z hangarów był otwarty.

Zwykle towaru pilnowały przynajmniej dwie osoby, ale tym razem miałem pecha. W hangarze nie było żywego ducha. Zniechęcony zerknąłem pomiędzy rzędy białych worków i wtedy moją uwagę przykuły pokrywające je napisy.

Na każdym z worków znajdowały się czerwone litery, układające się w nazwę Kornimpex. Słyszałem tę nazwę nie dalej jak wczoraj. Prezesem Kornimpeksu był nie kto inny, tylko dawny kierownik „Rybitwy” — ten, który został zwolniony w następstwie tragicznego pożaru.

Nie wiedziałem, że brat robi interesy z Kornimpeksem. Uznałem, że może mi to ułatwić kontakt z byłym kierownikiem ośrodka, ale nie miałem czasu, by dłużej nad tym rozmyślać. Przeklinając swój pech, wybiegłem przed hangar i wtedy uśmiechnęło się do mnie szczęście.

— Dzień dobry, panie Janku! — Listonosz aż podskoczył, bo krzyknąłem nieco za głośno. — Jedzie pan dalej?

Wiedziałem, że pan Janek — po tym, jak dostarcza pocztę mojemu bratu — jeździ zazwyczaj prosto do Gęglówek. Rozmawialiśmy o tym nie dalej jak przed tygodniem. Zaproponował mi wtedy, że listy adresowane do mnie — to znaczy na adres brata, bo przecież innego nie miałem — będzie zostawiał w recepcji mojego ośrodka. Co prawda listy nie przychodziły (bo kto miał do mnie pisać?), ale za to miał dziś okazję dostarczyć do ośrodka... mnie.

Ucieszył się. Był strasznym gadułą. Chociaż jechaliśmy jego rozklekotanym furgonem nie dłużej niż kwadrans, zdążył mi przedstawić wszystkie najnowsze plotki. Oczywiście większość dotyczyła tego, co działo się w Gęglówkach.

— Wie pan, ten wczasowicz cały czas kręcił się po okolicy i zadawał pytania — opowiadał, a ja udawałem, że słucham, mimowolnie zapadając w drzemkę. — Był na cmentarzu, w szkole... Odwiedził też szpital...

Ocknąłem się. Te słowa jeszcze bardziej utwierdziły mnie w przekonaniu, że śledztwo detektywa związane było ze śmiercią tej dziewczyny, która spłonęła w pożarze. Katarzyny Dzwonkowskiej... W końcu ja też, prowadząc analogiczne śledztwo w sprawie jego śmierci, wpadłem na pomysł odwiedzenia szpitalnej kostnicy. Jedna tylko rzecz była dla mnie niezrozumiała. Szpital, cmentarz, gdzie była pochowana... To oczywiste. Ale po co szkoła?

— Którą szkołę odwiedzał? — spytałem, podskakując na wyboju.

Odwrócił się w moją stronę i posłał mi porozumiewawcze spojrzenie. Wolałem, jak patrzył na drogę.

— Wiedziałem, że to pana zainteresuje — powiedział, uśmiechając się pocziwie.

— Oczywiście liceum. To tam uczył ten nauczyciel, którego znaleźli wczoraj, prawda?

Pokiwałem głową. Poczulem, jak skacze mi ciśnienie. Czego pan Tadeusz chciał się dowiedzieć w szkole?

Pan Janek zdawał się czytać w moich myślach.

— Podobno pytał o nauczycieli — poinformował, wjeżdżając do Gęglawek. — Ale nie wiem, o co konkretnie. Pewnie chodziło mu o tego, którego też zabili... — mówił dalej, ale przestałem go słuchać.

Przed oczami ukazała mi się przerażająca wizja. A co, jeżeli w szkole pytał o mnie?

Kierownik czekał na mnie przed bramą. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

— Spóźniłeś się — stwierdził sucho, ale okazało się, że to nie ja wpędziłem go w zły humor. — Od samego rana jest tu dosłownie niebiesko — warknął, wskazując ręką na boisko, przez które przechodziło dwoje policjantów. — Wszędzie węszą i zabezpieczają ślady, ale najlepiej wychodzi im płoszenie wczasowiczów. Jakby ci i tak nie byli już wystarczająco przerażeni!

Popatrzyłem na niego uważnie. Teraz wyglądał jak rozwścieczony lew, ale wczorajszej nocy bardziej przypominał łasicę. Zmykającą, aby nie dostać od Włodka po głowie. Nie miałem pojęcia, co między nimi zaszło. A może Włodek już tu nie pracował? W sumie zapomniałem go o to spytać.

— Szefie... — zacząłem, ale ugryzłem się w język. Chyba nie byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że byłem świadkiem jego kłótni z podwładnym.

— Nie filozofuj — przywołał mnie do porządku, jakby wyczuł, o czym myślę. — Bierz się do roboty. Zbiórka zaczęła się już dziesięć minut temu.

Poszedłem w stronę jadalni. Ośrodek wyglądał jak wymarły. Jedyными ludźmi, których spotkałem po drodze, byli funkcjonariusze policji. Nie zauważyłem wśród nich Karoliny. Z tego, co mówiła, wynikało, że zaczynała dziś służbę dopiero wieczorem.

— Dzień dobry państwu — przywitałem się z czwórką wczasowiczów, która czekała na tarasie stołówki. — Policja już z wami skończyła?

Pokiwali w milczeniu głowami. Sami mężczyźni, wszyscy po sześćdziesiątce. Westchnąłem, gdyż wyprawa nie zapowiadała się zbyt atrakcyjnie. Cóż, zbieranie grzybów było rozrywką, którą najczęściej docenia się dopiero w wieku dojrzałym.

Chociaż od tej reguły zdarzały się wyjątki.

— Czekajcie! Czekajcie! — zawołała za nami Ilona. — Pozwolicie mi pójść z wami?

Miała na sobie bluzeczkę z głębokim dekoltem, a w rękę ścisnęła pleciony koszyk. Grzybiarze wyprostowali się odruchowo, wypinając piersi niczym młode koguty. Stłoczyli się wokół kelnerki, zagadując ją i prawiąc komplementy. Wszyscy, nawet milczący zwykle pan Zbigniew. Był to sympatyczny widok, więc uśmiechnąłem się odruchowo, a potem spojrzałem na nią z wdzięcznością. Moi podopieczni byli obłaskawieni, a ja mogłem w spokoju oddać się rozmyślaniom o niczym.

Gęglawki też żyły w cieniu podwójnego morderstwa. Nikt nie kręcił się po podwórkach i nawet psy szczekały nieco ciszej niż zwykle. Szalony rybak Maciej opierał się o płot i drżał, wstrząsany spazmami szloch. Zagadnąłem go łagodnie, ale chyba mnie nie usłyszał.

— Nieszczęśliwy człowiek — odezwał się do mnie pan Zbigniew. — On tak od zawsze?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem ochoty z nim gadać. Od początku wydawał mi się dziwny, a nasze poprzednie rozmowy jeszcze to wrażenie pogłębiły. Jak nie krył się po krzakach, to spotykał się ukradkiem z jakimś niby-wnuczkiem. Zastanawiałem się, jak go spławić, ale wtedy obok nas pojawiła się Ilona.

— Kiepsko wyglądasz — przywitała mnie tym mało wyszukany komplementem. — Spałeś w ogóle? — Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się do pana Zbyszka i lekko pochyliła głowę. — Chodzi panu o starego Macieja? — zapytała szeptem, a gdy kiwnął głową, rozejrzała się na wszystkie strony. — To smutna historia. Bardzo smutna. Aż nie chcę panu psuć humoru...

— Jakaś tragedia? — spytał domyślnie pan Zbigniew.

Usiłował nie pokazywać po sobie ciekawości, ale widziałem, że chciałby usłyszeć tę historię. Ze wstydem uświadomiłem sobie, że ja też tego chcę. Taki już niestety jest ten świat — słowo „tragedia” działa na nas niczym lampa na ćmy. Chcemy wiedzieć wszystko, najlepiej z makabrycznymi szczegółami...

Ilona poczekała, aż miniemy wieś. Zatrzymaliśmy się na skraju lasu. Nikogo nie interesowały grzyby. Wszyscy wbili wzrok w usta dziewczyny.

— Nie wiem wszystkiego dokładnie — zaczęła niepewnym głosem. — To było już dosyć dawno, pewnie z dziesięć lat temu. Opowiadała mi o tym moja mama. Mieszkała jeszcze wtedy w Gęglawkach. W tamtej chałupie — wskazała ręką, a wczasowicze, jak na komendę, odwrócili się we wskazanym kierunku.

Znałem tę chałupę. Kiedyś tam razem byliśmy. Stała opuszczona, powoli obracając się w ruinę. Rodzice Ilony kilka lat temu przeprowadzili się do jej kawalerki w Mogielnie, zostając dziadkami na pełny etat.

— Pan Maciej był normalnym facetem — zaczęła kelnerka. — Ożenił się z najpiękniejszą dziewczyną we wsi i po kilkunastu latach małżeństwa wciąż był w niej zakochany. Podobno świata poza nią nie widział. Pamiętam, że aż się z niego śmiali, ale on na to nie zważał. Po pracy od razu pędził do domu, a to... — zawiesiła głos. — To nie jest wcale normą, prawda?

Dwóch najstarszych mężczyzn zarechotało, a Ilona żartobliwie pogroziła im palcem. A potem spoważniała.

— Jego żona zachorowała. To była cudowna kobieta. Wiedziała, jak bardzo ją kochał, i nie chciała go martwić, ale w końcu musiał się domyślić. Miała raka. Położyli ją do szpitala i tam powoli umierała. Stary Maciej odchodził od zmysłów. Nocował pod szpitalem, przynosił jej kwiaty, usiłował korumpować lekarzy świeżo złowionymi rybami... To wszystko brzmi głupio, ale naprawdę było wzruszające i wszyscy bardzo mu współczuli. Niestety nie można było nic zrobić. To był guz mózgu... ten... no...

— Glejak? — zapytał jeden z wczasowiczów.

— Tak, gładak. Czwarty stopień złościwości. Wycinali go, a on odrastał. Wreszcie nastąpił koniec, a wraz z nim druga tragedia...

Ilona urwała i wyciągnęła chusteczkę. Przez chwilę oddychała głęboko, powstrzymując płacz.

— Przepraszam, zawsze mnie to rozwała — powiedziała zachrypniętym głosem. — Kiedy ze szpitala zadzwonili, że zbliża się koniec, Maciej był akurat na jeziorze. Do samochodu wskoczył więc synek. Mógł mieć trzynaście, może czternaście lat. Jakoś sobie radził za kółkiem, ale to nie wystarczyło. Przed samym Mogielnem stracił panowanie nad kierownicą i wpadł na drzewo. Trup na miejscu. A dokładnie w tym samym czasie odeszła jego matka...

Odwróciłem się w stronę lasu i szybko zamrugałem oczami. Wiedziałem, że szaleństwo Macieja wynika z jakiejś tragedii, ale nie spodziewałem się czegoś tak makabrycznego. Żona i syn jednego dnia... Można się było nie podnieść.

Mężczyźni nie płaczą, więc z trudem powstrzymałem łzy. Odwróciłem się i potem położyłem rękę na ramieniu bezskutecznie tłumiącej szloch Ilony. Pozostali uczestnicy wyprawy na grzyby też z trudem ukrywali emocje. Tylko pan Zbigniew miał suche oczy. Ale i on wyglądał na poruszonego, z tym że na jego twarzy malowała się złość.

Przez chwilę miałem serdecznie dosyć Gęglawek i „Rybitwy”. W tym uroczym zakątku Mazur gnieździło się zbyt wiele zła — zarówno współczesnego, jak też dawno minionego, które jednak wciąż bolało. Chciałem zawrócić, a potem wsiąść w samochód i pojechać gdzieś daleko stąd. Ale w tym momencie dostrzegłem wśród mchu brązowy łepiek borowika. Wyrwałem go z ziemi, a wczasowicze przestali się mazać i ruszyli między drzewa.

— Życie to syf — zgodziła się ze mną Ilona, gdy powiedziałem jej, co czuję. — Ale to przecież nie jest wina Gęglawek...

A potem objęła mnie i oparła się czołem o moje ramię. Jej policzek był słony od łez.

— Przepraszam — powiedziała, gdy łagodnie ją odsunąłem. — Strasznie się rozkleiłam.

— Nie próbowali go leczyć?

Przez chwilę nie rozumiała, o czym mówię.

— Starego Macieja? Może i próbowali, ale czy takie rany można wyleczyć? Strata najbliższej osoby pozostawia trwałe ślady. Zresztą ty wiesz to najlepiej...

Odeszła, udając, że rozgląda się za grzybami. Nie poszedłem za nią. Chciałem przez chwilę pobyć sam, ale jak na złość usłyszałem obok siebie astmatyczny oddech.

— Nie przeszkadzam, panie Marcinie?

To był jeden z grzybiarzy, chyba najstarszy. Na oko dałbym mu osiemdziesiąt lat, ale z tego, co wiedziałem, miał jeszcze więcej. Znałem go ze szkoły, w której pracowałem. Był kimś w rodzaju szkolnej legendy — nauczycielem, który w pionierskich latach tę szkołę organizował. Podobno zaczynał na początku lat pięćdziesiątych. Czyli w latach, w których Warmia i Mazury dopiero się podnosiły z wojennej pożogi.

— Ależ skąd, panie profesorze.

Nie pamiętałem, jak się nazywa, ale w szkole wszyscy — łącznie z dyrekcją —

tytułowali go profesorem. Za „moich” czasów był już oczywiście na emeryturze, ale nasze liceum było jego drugim domem. Lubił wspominać, że w pierwszym okresie jego pracy nosiło imię Józefa Stalina, a on na początku swej zawodowej ścieżki poznał osobiście Karola Małką. Był kopalnią anegdot i świetnym gawędziarzem, a jego odznaczeniami można by wybrukować drogę z Mogielna do Nidzicy.

Wyciągnął do mnie starczą dłoń.

— Nie miałem jak dotąd okazji. Witamy w domu, panie Marcinie.

Uścisnąłem jego rękę, bo cóż innego mogłem zrobić. W głębi serca nienawidziłem takich sytuacji. Było mi zwyczajnie wstyd. Więzienie pozostawia w człowieku niezatarte piętno.

— Było, minęło — westchnąłem. — Ale w szkole to już się raczej nie spotkamy.

Pokiwał ze smutkiem głową.

— Tak to już jest w tym życiu. Za łatwo przypinamy ludziom łatki, za łatwo...

Nie wiedziałem, o czym z nim rozmawiać. Milczenie stawało się kłopotliwe. Na szczęście w odpowiedniej chwili wypatrzyłem dorodnego prawdziwka.

— Piękny, naprawdę piękny — cieszył się profesor, a ja podniosłem oczy ku niebu.

Dlaczego ten czas tak wolno płynie? Od opuszczenia ośrodka minęło dopiero dwadzieścia minut. Nie wypadało jeszcze otrąbiać powrotu. Rozejrzałem się za Iloną, ale ta jak na złość gdzieś przepadła. Tymczasem staruszek podjął temat, który walcowali zapewne wszyscy wczasowicze.

— Co pan sądzi o śmierci pańskiego kolegi?

Zgadłem, że chodzi mu o Cezarego. Przez chwilę ważyłem w myślach słowa.

— Sądzę, że musiał się narazić jakiemuś psychopacie — stwierdziłem, przypominając sobie stan, w jakim znalazłem ciało.

W moich słowach nie było nic odkrywczego, ale profesor przyjął je z takim szacunkiem, jakby płynęły wprost z krynicy mądrości.

— Też tak myślę — ściszył głos i chwycił mnie za ramię. — To był dziwny facet. Wiem, że się przyjaźniliście i pewnie niezręcznie panu o tym rozmawiać...

Urwał i się rozkaszał. Myślałem, że wykaszle płuca. Sześćdziesiąt lat palenia robiło swoje.

— Nie przyjaźniłem się z Cezarym — mruknąłem, gdy udało mu się zapanować nad kaszlem.

Przetarł wierzchem dłoni załzawione oczy.

— Myślałem... Zresztą nieważne. Może i nie wypada tak mówić o zmarłym, ale od zawsze uważałem, że powinien dostać zakaz pracy z młodzieżą!

Poczułem niesmak. Doskonale pamiętałem, ile energii kosztowało mnie poruszanie się w szkolnym bagienku. Nauczyciele tworzyli zwalczające się wzajemnie koterie. Plotka i obmowa były na porządku dziennym. Ileż to razy słyszałem, że ten czy tamten się nie nadaje. Byłem pewien, że to samo mówiło się za moimi plecami i o mnie.

Sądziłem, że przynajmniej profesor jest wolny od uprzedzeń. Miałem ochotę odejść bez słowa, ale nie wypadało. Postanowiłem obrócić wszystko w żart.

— Wie pan, jak to jest z wuefistami — mruknąłem okiem. — To są sportowcy, którym nie wyszło.

Myślałem, że się uśmiechnie, ale wciąż był poważny. Być może nie dostrzegł mojego mrugnięcia okiem.

— Ten człowiek zachowywał się... niemoralnie — zagrzemiał, a ja straciłem cierpliwość.

— A za pana czasów to co? Wszyscy byli święci? To, że chłopak wypił czasem piwo czy dwa, nie czyniło z niego jakiegoś potwora. Sam lubiłem się napić. A on... on przecież prawie nie pił — zakończyłem zdziwiony, bo nagle zdałem sobie sprawę, że profesorowi nie mogło chodzić o pijaństwo.

— Za moich czasów piło się spirytus — odburknął, ale się nie obraził. — Z tym Cezarym był inny problem. Mówił mi o tym dyrektor...

Zawiesił głos, a ja wreszcie zrozumiałem, o co mu chodzi. Był zbyt delikatny, by mówić o tym wprost. Ja nie byłem.

— Chodzi panu o jego stosunek do uczennic, tak?

Trafiłem w dziesiątkę.

— W ogóle do młodych dziewcząt — powiedział, a ja przypomniałem sobie „wyczyny” Czarka na studenckich dyskotekach, które mają to do siebie, że bawią się na nich nie tylko studentki, ale też licealistki. — Dyrekcja miała z nim poważny problem, zwłaszcza ostatnimi czasy...

Przypomniałem sobie, że rozstał się z dziewczyną. To mogło tłumaczyć jego większą aktywność. Ale na pewno nie flirtowanie z nieletnimi.

— Lubił dziewczyny, ale zawsze... zawsze nad sobą panował...

— A jeśli któregoś razu nie zapanował?

Wyobraziłem sobie rozwścieczonego ojca, rozszarpującego go na kawałki. To miało sens. Nie zgadzało się tylko jedno.

— Gadałem z nim dzień przed śmiercią. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który przewiduje jakieś kłopoty. Jeżeli z jakąś dziewczyną posunąłby się za daleko, to nie byłby tak bez troski. Może i miał ze sobą problem, ale nie był głupi. Aż tak głupi — poprawiłem się.

— A może jakiś ojciec... albo chłopak... wyciągnął pochopne wnioski? — nie dawał za wygraną starszek.

— Nie sędzę — pokręciłem głową, choć oczywiście nie mogłem mieć pewności. — W takiej sytuacji... jeżeli nic by się nie stało... raczej skończyłoby się na skardze w szkole. Albo doniesieniu na policję. Pana tam nie było. Czarek był dosłownie... rozsmarowany.

Przez chwilę profesor wyglądał tak, jakby miał mi przyznać rację. Ale nauczyciele mają to do siebie, że nie lubią się wycofywać. Zwłaszcza ci z takim stażem jak on.

— Jest coś, o czym nie wiesz — powiedział powoli, a ja przygotowałem się na zawiłą argumentację, z którą dla własnej wygody nie zamierzałem polemizować. Ale udało mu się mnie zaskoczyć: — Na Cezarego wpłynęło w ostatnich latach kilka skarg. Ale żadna nie została uwzględniona.

Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem. Poprosiłem o powtórzenie.

— Kilka albo nawet kilkanaście — uściślił profesor. — I wszystkie poszły, jak kiedyś się mawiało, *ad acta*.

Moje zdziwienie było w pełni usprawiedliwione. Nauczyciele nie bali się agresywnych uczniów ani tego, że jakiś kujon zagnie ich z nauczanego przedmiotu. Tym, co budziło ich największy lęk, było oskarżenie o pedofilię. Choćby było nawet kompletnie wysane z palca, smrodek zawsze pozostawał, zwłaszcza że takie tematy chętnie brała na warsztat lokalna prasa.

Każde zgłoszenie było skrupulatnie analizowane. Dyrekcja, podejmując decyzję, grała też o własne stołki. Często kończyło się na tym, że nawet najbardziej niewinny nauczyciel, który miał nieszczęście stać się ofiarą pomówień, zmuszony był zrezygnować z zawodu. Takie rozwiązanie wymuszała presja społeczna. Z winnymi nikt się nie patyczkował. Relegowano ich z pracy w trybie natychmiastowym i przekazywano sprawę policji.

Biorąc to pod uwagę, trudno mi było zrozumieć, jak Cezaremu udało się przejść przez to morze donosów suchą stopą. Zwłaszcza że jego słabość do lolitek była tajemnicą poliszynela. Co prawda nikt go nigdy za rękę nie złapał, ale dyrekcja i tak wzięła na siebie duże ryzyko. Gdyby te plotki wypłynęły... W takim małym miasteczku jak Mogielno przez miesiąc nikt nie mówiłby o niczym innym.

I tu zaczynało się najlepsze.

— To nie dyrekcja go kryła — odpowiedział profesor, błędząc wzrokiem po leśnej ściółce. — Dyrektor nawet mi się kiedyś skarżył... Chciał go przenieść do technikum leśnego w Miłoszewie. Wie pan, tam uczą się w zasadzie sami chłopcy... Ale nie mógł. Dostał polecenie, by to zostawić.

— Polecenie? Od kogo? Od kuratorium?

Staruszek zaśmiał się tak gwałtownie, że prawie wypadła mu sztuczna szczęka. Złapał ją w ostatniej chwili.

— Panie Marcinie, a co do tego ma kuratorium? — mówił tak wolno, jakby rozmawiał z dzieckiem. — Pan chyba wie, kto jest organem prowadzącym? I kto powołuje dyrektora?

Zakląłem, zanim zdążyłem się powstrzymać. Szkoły średnie z reguły podlegały pod administrację powiatową, ale nasza działała w ramach zespołu szkół i jej organem prowadzącym była Gmina Mogielno.

Parasol ochronny nad Cezarym rozłożył więc burmistrz Mogielna. Czyli człowiek, do którego już przedtem miałem kilka pytań, związanych z naszym nocnym spotkaniem przy bunkrach.

O co w tym wszystkim chodzi, Adaś?

Nie znalazłem już więcej grzybów. Po kolejnej półgodzinie, która ciągnęła się jak czeski dramat obyczajowy, zarządziłem odwrót. Jeden ze staruszków protestował, ale szybko zajęła się nim Ilona. Pozwoliła mu się wziąć pod ramię i pociągnęła go za resztą grupy.

Wieś wciąż wyglądała jak opuszczona. Tym razem nie dostrzegliśmy starego Macieja. W miejscu, w którym przedtem stał, leżała tylko jego brudna czapka. Ilona podniosła ją i zniknęła między chałupami. A ja odprowadziłem wczasowiczów do bramy ośrodka i tam się z nimi pożegnałem.

Czekałem na Ilonę dziesięć minut, ale się nie pojawiła. Znudzony powlokłem się

do baraku mieszkalnego. Praca kaowca może i bywała monotonna, ale miała też swoje zalety. Z grafiku wynikało, że do końca dnia mam wolne.

Po wczorajszym załamaniu pogody dziś znów było ładnie. Usiadłem na ławeczce i wystawiłem twarz na słońce. Usta rozwarły mi się w długim ziewnięciu. Uznałem, że jeżeli zaraz czegoś nie zrobię, to usnę na siedząco.

Wyjąłem telefon i zadzwoniłem do Karoliny.

— Co u ciebie? — zapytałem beztrąsko.

Jej głos brzmiał poważnie. Tak poważnie, że senność minęła mi jak ręką odjął. Nawet się ze mną nie przywitała.

— Czy to prawda, co mówią? Że wczoraj to ty odkryłeś ciało tego nauczyciela?

Przełknąłem ślinę.

— Tak, to ja — potwierdziłem. — Potem zabrali mnie do prokuratury...

Powaga ustąpiła miejsca niepokoju.

— Ale wypuścili, tak? Nie dzwonisz do mnie z aresztu?

— Jasne, że nie — prychnąłem. — Słuchaj, zastanawiałem się, czy nasza umowa jest aktualna...

Chciałem, by pojechała ze mną do pasyńskiego szpitala dla nerwowo chorych. Wczoraj ustaliliśmy, że warto by pogadać z przebywającym tam Rafałem Dzwonkowskim. Czyli mężem dziewczyny, która spłonęła w pożarze „Brdy”. Ale zanim zdążyłem jej o tym przypomnieć, weszła mi w słowo.

— Jak chcesz, to możemy się spotkać — powiedziała bez specjalnego entuzjazmu.

— Tylko dzisiaj to ty stawiasz kawę...

Zbaraniałem. Przecież nie byliśmy wczoraj na kawie. Wczoraj ani... nigdy. Czyżby myliła mnie z kimś innym?

— Mogę postawić — odpowiedziałem ostrożnie. — Jeśli ma cię to uszczęśliwić...

Nagle zrozumiałem, o co jej chodziło. W okolicy popełniono dwa zabójstwa, a ja byłem jedynym z głównych podejrzanych. Co prawda udało mi się przechwycić dwa obciążające mnie dowody — czyli okulary i ostatnią stronę notesu — ale i tak znajdowałem się w kręgu zainteresowania śledczych. Przeciwno mnie przemawiała moja kartoteka. Dopiero co skończyłem odbywać karę za morderstwo — no dobra, za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, ale co to za różnica... Poza tym znajdowałem się w pobliżu i miałem pecha dwukrotnie natknąć się na ciała. W takiej sytuacji wystarczyło dodać dwa do dwóch.

Mój telefon zapewne był na podsłuchu.

Ciężko westchnąłem i odruchowo odsunąłem go od ucha. Tak jakbym bał się zarażenia czymś paskudnym.

— Halo! Jesteś tam jeszcze? — Usłyszałem głos Karoliny i wziąłem się w garść.

— Tak się składa, że niedługo będę w Mogielnie — powiedziałem tonem filmowego amanta. Nie pasowało mi tylko to „Mogielno”. Lepiej brzmiało by „Costa del Sol”. — Czy mogę po ciebie podjechać?

Podyktowała mi adres, a potem poprosiła, bym dał jej jeszcze godzinę. Domyśliłem się, że dopiero niedawno wstała, ale nie zdążyłem sobie z tego zażartować. Odniosłem wrażenie, że za firanką mojego pokoju dostrzegłem zarys ludzkiej sylwetki.

— Oddzwonię — rzuciłem do słuchawki, a potem wstałem i podszedłem do okna. Myślałem, że to sprzątaczką. Nie chciałem dokładać jej pracy.

— Pani Jadziu, proszę dziś nie odkurzać. Naprawdę nie zdążyłem jeszcze nabrudzić.

Postać za firanką zamarła w bezruchu, a potem rzuciła się do drzwi. Prędkość, z jaką to zrobiła, zdecydowanie wykluczała siedemdziesięcioletnią panią Jadzię, która poruszała się o kuli. Szarpnąłem za firankę, zrywając ją z karnisza, ale było już za późno. Intruz zniknął w ciemnym korytarzu — zdążyłem tylko zobaczyć, że miał na sobie zieloną koszulkę w maskujących barwach.

Przesadziłem parapet i znalazłem się w swoim pokoju. Panował tu zwyczajny bałagan, ale od razu zwróciłem uwagę na pootwierane szuflady. Nic w nich nie trzymałem, więc dotąd zawsze były zamknięte. Mężczyzna, który włamał się do mojego pokoju, najwyraźniej czegoś szukał.

Ale to nie szuflady sprawiły, że się zagotowałem. Wkurzył mnie sposób, w jaki włamywacz potraktował czytana przeze mnie książkę. Gdy wychodziłem, leżała na szafce przy łóżku, a teraz wałała się po podłodze, ciśnieńta w kąt jak przedwczorajsza skarpetka.

— Stój! — wrzasnąłem, wybiegając na korytarz.

Wypadł z baraku, ale drzwi wejściowe wciąż były na wpół otwarte. Staranowałem je niczym zawodowy rugbista, mrużąc oczy od słonecznego światła. Mężczyzna, którego ścigałem, zniknął właśnie za górką. Rzuciłem się za nim ile sił w nogach.

Nie mógł mi uciec i chyba zdawał sobie z tego sprawę. Gdy znalazłem się na szczycie góry, on biegł przez wyżwirowane boisko do piłki nożnej. Wtedy go poznałem. Z moich płuc wydobyło się pełne nienawiści warknięcie.

— Stój, ty... — obrzuciłem go stekiem wyzwisk, a on gwałtownie się zatrzymał, nikiąc na moment w tumanie kurzu.

— Co jest?! — spytał agresywnym tonem, a mnie opadła na oczy czerwona płachta wściekłości.

Nie lubiłem go od samego początku, od dnia, w którym go poznałem, a Grzesiek odwzajemniał moje uczucia w całej rozciągłości. Nasza niechęć miała podłoże wyłącznie instynktowne, bo nie pamiętałem, byśmy kiedykolwiek przedtem się spotkali. Był wyjątkowo nieprzyjemnym typem. Niemal za każdym razem kierował w moją stronę chamskie uwagi, a ja nie pozostawałem mu dłużny. Atmosfera bywała napięta, ale jeszcze nigdy nie byłem na niego tak zły, jak w tej chwili.

— Czego tam szukałeś?! — Zbliżałem się powoli, mierząc go wzrokiem.

Ratownik zareagował tak, jak chciałem. Nie rzucił się do ucieczki ani nie próbował przeproszać. Ruszył w moim kierunku, zaciskając pięści.

— Gównu cię to obchodzi, harcerzyku.

Rozejrzałem się szybko i nie zauważyłem żadnych świadków. Los mi sprzyjał. Mordobicie na oczach wczasowiczów nie miałyby dobrego wpływu na moją zawodową karierę. A ja chciałem się bić. Ciągłe napięcie, w którym znajdowałem się od dwóch dni, zamieniło mnie w krwiożerczą bestię. Zapomniałem nawet, ile kosztowała mnie ostatnia bójka.

Zdjął koszulkę, ale ja nie powtórzyłem za nim tego śmiesznego gestu. Na piersi

miał wytatuowany ludzki szkielet.

— Piękny tatuaż — rzuciłem kpiąco, a potem wyprowadziłem pierwsze kopnięcie. Trafiłem go w żebra, ale nawet się nie skrzywił.

— Brawo, chłoptasiu — rzekł z pogardą, a potem zatańczył na nogach. — Zobaczmy, czego nauczyłeś się w więzieniu.

Bójki za kratami były zakazane, ale czasem i tak się próbowaliśmy, a ja zwykle wygrywałem. Mówili, że miałem to we krwi. Nigdy nie trenowałem karate czy boks, ale od zawsze byłem bardzo sprawny fizycznie. No i miałem mocną psychikę, a to było w tym wszystkim najważniejsze.

Zamachnąłem się jeszcze dwa razy i wreszcie udało mi się go trafić. Na jego zębach pojawiła się krew. Otarł ją ręką, a potem splunął na żwir. Jego oczy patrzyły na mnie z zimnym wyrachowaniem.

— Nieźle, nieźle — skwitował, wciąż podskakując.

A potem mnie zaatakował. Jego prawa pięść przeszła tylko powietrze, mijając moją głowę o kilka centymetrów, ale lewą zdołał trafić mnie w brzuch. Stęknąłem cicho i na sekundę opuściłem gardę. Prawa ręka wystrzeliła do przodu drugi raz, tym razem lądując na mej głowie. Poczulem ból, a świat na chwilę zawirował.

Zachwiałem się, a on tylko na to czekał. Jego twarz wykrzywiła się w pierwotnym grymasie. W ciągu sekundy zamienił się z wyrachowanego boksera w kompletnie niepanującego nad sobą ulicznego zabijakę, pragnącego jak najszybciej ujrzeć krew.

I to go zgubiło.

Kompletnie zapomniał o obronie. Chciał mnie rozerwać na strzępy i nie liczyło się nic więcej. Szykował się do decydującego uderzenia, ale ja nie czekałem biernie na nokaut. Szybko pozbierałem się po jego poprzednim ciosie i machnąłem prawą ręką. Moja pięść z przyprawiającym o dreszcz plaśnięciem wylądowała na jego podbródku. Uderzenie było czyste — poleciał do tyłu jak manekin, lądując na plecach.

Nie czekałem, aż się pozbiera. Skoczyłem na niego i lewą ręką złapałem go za gardło. Próbował się bronić, ale robił to z siłą komara. Sparowałem jego anemiczną próbę i wierzchem dłoni chlasnąłem go po twarzy. Z rozbitego nosa wypłynęła strużka krwi.

— Co robiłeś w moim pokoju?! — wykrzyczałem mu do ucha, wciąż gotując się ze złości.

Próbował mnie opluć, ale nie trafił. Jego oczy patrzyły na mnie z nienawiścią.

— Ty frajerze — wydyszał, a potem się rozkaszał.

Ten epitet sprawił, że puściły mi wszelkie hamulce. Uniosłem pięść, gotów okładać go aż do skutku. Nawet nie próbował się zasłaniać. Na jego pokrytej pyłem twarzy dostrzegłem wyraz ponurej determinacji. Chciałem, by determinację zastąpił ból i strach.

Uderzyłem go tylko raz. Tępy odgłos uderzenia był dla mnie tak wstrętny, że o mały włos nie zwymiotowałem. Przed oczami pojawiły mi się obrazy z dawnej przeszłości. Śnieg i krew, a potem migający na niebiesko „kogut” karetki.

Nie był tego wart. Nie chciałem znów przechodzić przez piekło.

— Słuchaj, bydlaku. — Mój głos był tak przepełniony nienawiścią, że Grzesiek odruchowo zadrżał. — Jeżeli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę, to będziesz żałował, że się urodziłeś...

Usiłował odwrócić głowę, więc go przytrzymałem. Jego rozbita warga puchła tak szybko, jakby ktoś ją nadmuchiwał. Chciał coś powiedzieć, ale gdy otworzył usta, wypłynęła z nich wodnista krew, a razem z nią wybito siekacz.

— Ale jesteś teraz piękny — zakpiłem, czując, że moja wściekłość trochę zelżała.

I wtedy usłyszałem tupanie. Podniosłem wzrok i zobaczyłem biegnącego w naszą stronę kierownika.

— Stać! — krzyknął, a potem pochylił się i złapał mnie za ramiona. — Co tu się dzieje?!

Pytanie było głupie i chyba nie oczekiwał na nie odpowiedzi. Podniosłem się powoli, rozcierając pięść. Bolała mnie jak diabli. Dużo bardziej niż ta część głowy, w którą oberwałem.

— Nic, panie kierowniku — powiedziałem wypranym z emocji tonem. — Zwyczajne nieporozumienie, ale już wszystko sobie wyjaśniliśmy.

Grzesiek próbował usiąść, ale szło mu to raczej opornie. Kierownik wbił w niego pytające spojrzenie.

— Chcesz karetkę? — spytał z wyraźną niechęcią.

Ratownik pokręcił głową.

— Nic mi nie jest — wyseplenił, pokazując dziurę po wybitym zębie.

Kierownik przypominał byka podczas korridy. Swoją złość skierował głównie ku mnie, bo Grzesiek wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy.

— Co wy sobie myślicie?! Że to jest jakiś obóz sportowy? To jest praca! A ja potraktuję was tak jak pracodawca!

Myślałem, że wyrzuci nas z roboty. Będąc na jego miejscu, pewnie bym tak zrobił, ale on był z innej gliny. Zdałem sobie sprawę, że byłby doskonałym klawiszem. Chociaż dyszał z wściekłości, nie wyglądał wcale na zszokowanego.

— Wypłacę wam za sierpień połowę pensji — oznajmił, zapalając papierosa. — Czy wy nie macie mózgów?! — znów podniósł głos, czerwieniejąc na twarzy. — Jak to świadczy o naszym ośrodku? Co pomyśleliby sobie wczasowicze...

Urwał na chwilę, po czym obrzucił nas jeszcze jednym jadowitym spojrzeniem.

— Gównu mnie obchodzi, dlaczego tak się nie lubicie... Jak dla mnie, to następnym razem możecie się nawet pozabijać. Ale nie tu. Tutaj macie sobie mówić „dzień dobry”, rozumiano?

Chciałem dla świętego spokoju pokiwać głową, ale od strony stołówki nadbiegła Ilona.

— Dobrze, że pan ich znalazł, szefie — wydyszała. — Bałam się, że zrobią sobie krzywdę.

Rzuciłem okiem na zakrwawionego Grzeška i zacząłem się zastanawiać, co dla naszej kelnerki kryje się pod pojęciem krzywdy. Na moje oko ratownik wyglądał jak ofiara katastrofy kolejowej. Ale ona nawet na niego nie popatrzyła. Podeszła do mnie i jednorazową chusteczką higieniczną starła z mojej twarzy kilka kropel jego krwi.

— Powtórzę, bo to tyczy się także ciebie — zwrócił się do niej kierownik. — Od dzisiaj wszyscy macie się traktować uprzejmie. Koniec z dogryzaniem i głupimi tekstami. Grzesiek... Pan Grzegorz też tu pracuje, jasne? Też jest częścią zespołu...

— Ten złodziej? — oburzyła się Ilona.

Kierownik zastygł w bezruchu.

— Słucham? Coś ty powiedziała?

Chrząknąłem, chcąc dać jej do zrozumienia, by się zamknęła. To, co zaszło, było sprawą wyłącznie między nami. Nie chciałem kablować. To było sprzeczne z moim charakterem.

Ale Ilona nie rozumiała mojego sygnału. Albo udała, że nie rozumie.

— Grzesiek włamał się do jego pokoju. Wszystko widziałam, bo przechodziłam akurat obok baraku. Marcin gadał przez komórkę i nagle go zobaczył. A potem zaczął go gonić, a ja pobiegłam po pana...

Skrzywiłem się. Że też musiała wrócić od starego Macieja akurat w tym momencie. Gdybym ją wtedy zobaczył, to nie byłoby tej całej afery. Powiedziałbym jej, żeby się nie wtrącała.

Spodziewałem się, że kierownik machnie na to wszystko ręką. To, co usłyszałem, niemal zważyło mnie z nóg.

— Pamiętasz, Grzesiek, jaka była umowa? Pakuj się. Za godzinę nie chcę cię tutaj widzieć.

Jego głos był stanowczy, ale spodziewałem się, że ratownik będzie się bronił. I znów poczułem się zaskoczony. Grzesiek bez słowa pokiwał głową, a potem powoli podniósł się na nogi. W jego oczach nie było złości ani smutku, tylko co najwyżej rezygnacja. Nic z tego nie rozumiałem.

— Szefie, to nie tak...

Chciałem coś powiedzieć, ale nikt mnie nie słuchał. Grzesiek pokuśtykał w stronę baraku, a szef stanął do mnie plecami i jak gdyby nigdy nic palił sobie papierosa. Odwróciłem się do Ilony. Myślałem, że zobaczę na jej twarzy wyraz skruchy, ale nie wyglądała tak, jakby gnębiły ją wyrzuty sumienia. Była zła.

— Wiem, co chcesz powiedzieć — warknęła. — I proszę, nie mów tego. Mężczyźni... I te wasze głupie zasady.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiemy, czy chciał coś ukraść. Zresztą tam nie było nic cennego i chyba każdy o tym wiedział. Nie jestem żadnym cholernym krezusem! — podniosłem głos, bo irytował mnie ich brak reakcji. — Szefie, to nie fair wywalać kogoś na bruk. W końcu to ja go pobiłem, a nie on mnie.

Szef wciąż stał do mnie plecami.

— Powiedz mu — powiedział beznamiętnie, patrząc gdzieś przed siebie.

Ilona nabrała w płuca powietrza. Wciąż była zła.

— Grzesiek też trafił tu z więzienia. Siedział za kradzieże. Szef mu zapowiedział...

— Zapowiedziałem mu, że jeżeli będę miał chociaż cień podejrzeń, że znów kradnie, to z miejsca go wywalę — wtrącił się kierownik. — Wiedział, na czym stoi. Złodziej zawsze pozostanie złodziejem, ale myślałem, że nauczy się nad sobą panować...

— Ale przecież nic mi nie zginęło — zaprotestowałem, chociaż w tym samym momencie przypomniałem sobie o swoich okularach, które odnalazły się w zalanej krwią łodzi. To był jednak temat na kiedy indziej. — Może po prostu czegoś szukał. Otwieracza?

Mapy?

Gdyby ktoś kilka minut temu powiedział mi, że będę wstawiał się za Grześkiem, to pewnie bym w to nie uwierzył. Ale nie chciałem, by ta sprawa skończyła się w taki sposób. Wymiana ciosów była uczciwa, a to... Takie załatwienie sprawy wydawało mi się obrzydliwe.

— Marcin, mam do ciebie prośbę. — Kierownik odwrócił się i popatrzył mi w oczy. — Zamknij się, dobrze?

— Słucham? — wybąkałem zaskoczony.

— Zamknij się. Jesteś ostatnią osobą, która powinna się teraz odzywać. Pamiętasz, za co trafiłeś do więzienia? Pamiętasz, prawda? To teraz przeanalizuj sobie, co zrobiłeś. I pomyśl, jak to się mogło skończyć.

Zrobiło mi się głupio, ale nie na tyle, by się poddać. Zdałem sobie jednak sprawę, że sam go nie przekonam. Zobaczyłem, że przez bramę ośrodka przeszedł właśnie Włodek. Pomachałem do niego, a on ruszył w naszą stronę.

— Włodek, weź im coś powiedz — poprosiłem, streściwszy mu pobieżnie sekwencję zdarzeń.

Nie liczyłem na wiele. Mój kolega był na co dzień bardzo zdystansowany. Nie sądziłem, by chciał rezygnować z tej pozy dla kogoś takiego jak Grzesiek. I kiedy zobaczyłem, jak ziewa, zupełnie się poddałem.

— Ale te pekaesy chodzą — westchnął, kompletnie mnie ignorując. — Czekałem na przystanku prawie czterdzieści minut. Na piechotę nie byłoby wiele dłużej. Eh... Co za paskudny dzień.

Mantyczył tak przez dobrą minutę, a potem wyjął z kieszeni jabłko.

— Masz — podał mi je, a potem się przeciągnął. — Idę do roboty. Jakby co, to będę na przystani. Ach, szefie — dodał takim tonem, jakby coś sobie przypomniał. — Nie może pan zwolnić Grzegorza.

W ciszy, która zapadła, dźwięk nadgryzanego przeze mnie jabłka zabrzmiał jak armatni wystrzał.

— Jak to: nie mogę? — zapytał szef, bardziej zaskoczony niż zirytowany.

Włodek wziął go pod rękę i ruszył w kierunku jeziora.

— Zaraz to szefowi wytłumaczę — powiedział spokojnie. — Tylko wolałbym na osobności.

Oddalili się, a ja zostałem tylko z Iloną.

— Gniewasz się? — spytała, a ja pokręciłem głową. — Nie mam pojęcia, co ten Włodek knuje, ale mogę się założyć, że szef nie zostawi na nim suchej nitki.

Uśmiechnąłem się. Doskonale pamiętałem to, co wydarzyło się między tą dwójką ostatniego wieczoru. Nie miałem pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale to Włodek był w tym tandemie samcem alfa. O los Grześka byłem zatem dziwnie spokojny...

Karolina czekała na mnie na skrzyżowaniu przy pętli PKS-u.

— Mogłem odebrać cię spod domu — stwierdziłem zdziwiony, że kazała mi podjechać właśnie tutaj.

— Nie byłem w domu. Wstąpiłam na komendę, a tam... Atmosfera jest, łagodnie mówiąc, dość nerwowa. Zaufaj mi, lepiej, żeby cię tam nie widziano.

— A co się dzieje?

Popatrzyła na mnie jak na opóźnionego w rozwoju.

— Żartujesz, tak? W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin w naszym rewirze zamordowano dwóch ludzi. To więcej niż w ciągu ostatnich... pięciu lat. Myślisz, że zabójstwa to coś powszechnego? Jeśli tak, to bardzo się mylisz!

Nie myślałem o tym w ten sposób. Kilka lat w więzieniu, wśród różnych wykołajeńców, wykoślawiło mój sposób postrzegania rzeczywistości. Tam morderstwa były czymś na porządku dziennym. Co chwila rozmawiało się o tym, że ktoś kogoś zabił. Ale tu, po drugiej stronie krat, było zupełnie inaczej. Tutaj odebranie komuś życia wciąż szokowało.

I jeżeli chciałem wrócić do tego świata, musiałem to sobie szybko przyswoić.

— Wszystkie ręce na pokład, tak? — spytałem dziarskim tonem, usiłując zatrzeć poprzednie złe wrażenie.

Odsunęła fotel i zapięła pasy.

— Od rana na komendzie siedzą ludzie z wojewódzkiej. Przyjechali, by pomóc, a przynajmniej tak twierdzą. Sprawdzają każdą wykonaną przez nas czynność i strasznie się czepiają. Jedynym pozytywem jest to, że dostaliśmy pierwszeństwo w laboratorium. Niedługo dotrą do nas wyniki wszystkich badań.

Przełknąłem ślinę. Bałem się zwłaszcza badania notesu pana Tadeusza.

— A co wykazała sekcja?

Karolina zerknęła na mnie z wahaniem.

— To tajemnica służbowa... ale i tak niedługo wszystko pójdzie w komunikacie do mediów. Zresztą ty tam byłeś. Tadeusz został pobity i uduszony. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie na przeciwnym brzegu, gdzieś niedaleko miejsca, gdzie znalazłeś rower, a potem ciało zostało przewiezione na drugi brzeg...

— Dlaczego? — przerwałem, ale niemal od razu się domyśliłem. — Żeby je ukryć?

— Tak podejrzewamy, chociaż... Oba miejsca są rzadko uczęszczane. Może chodziło o to, by wszystko bardziej zagmatwać. Jedno jest pewne. Morderca to ktoś stąd. Ktoś, kto świetnie zna okolicę.

Jej wyjaśnienie nie do końca do mnie trafiło, ale ona nie miała tej wiedzy co ja. Jak dla mnie wszystko było inscenizacją. Pozostawiony rower, w trzcinach skradziona łódź... Ślady były tak wyraźne, że nie sposób było je przegapić. I niestety prowadziły prosto do mnie. A raczej prowadziłyby, gdybym nie znalazł podrzuconych okularów.

— A może ktoś chciał, byście myśleli, że morderca jest autochtonem — zasugerowałem ostrożnie, ale mnie zignorowała.

— A Cezary... — podjęła. — Cezarego ktoś zmasakrował jakimś solidnym narzędziem. Cieszę się, że nie musiałam oglądać na żywo jego zwłok. Zdjęcia są wystarczająco przerażające.

Przypomniałem sobie o przedmiocie, na który dosłownie wpadliśmy z Iloną w drodze na wysepkę.

— Czy to narzędzie zbrodni... to mogło być wiosło?

Popatrzyła na mnie uważnie.

— Chcesz mi o czymś powiedzieć?

Gdy skończyłem, załamała ręce.

— Oczywiście nie powiedziałeś tego wczoraj w prokuraturze? Och, Marcin, czy ty w ogóle nie masz instynktu samozachowawczego? Wiesz, jak to wygląda? Jakbyś... tam był.

Naburmuszyłem się.

— Nikt mnie o to nie pytał, więc nie mówiłem. Skąd miałem wiedzieć, że ktoś zatłukł go właśnie tym wiosłem...

Urwałem, bo moje tłumaczenie zabrzmiało fałszywie nawet dla mnie. Na szczęście Karolina nie zamierzała się nade mną pastwić.

— Ruszaj — poprosiła, a ja wyjechałem z zatoczki, włączając się do ruchu. — Na twoim miejscu nie wspominałabym o tym wiosle. Dla śledztwa nie ma to większego znaczenia. Jak duże jest to jezioro?

— Ze wszystkimi zatokami ponad trzysta dwadzieścia hektarów — powiedziałem z pamięci.

— No właśnie. Po kilkunastu godzinach znalezienie tego wiosła i tak graniczyłoby z cudem.

Wyprzedziłem wlokącą się ciężarówkę i nagle coś sobie przypomniałem.

— Mówiłaś o jakimś komunikacie dla mediów. Czy to znaczy...

— Zatrzymaj się — rozkazała, a ja zjechałem na pobocze. Kierowca ciężarówki błysnął mi światłami. — Masz, przeczytaj sobie.

Wyciągnęła z torebki pomiętą stronę lokalnej gazety. Na pierwszej stronie rzucał się w oczy wytłuszczony tytuł: *Seryjny morderca*. Pod nim umieszczone były dwa duże zdjęcia: kolorowa panorama naszego ośrodka i czarno-biała fotografia Cezarego. Wszystko to zajmowało trzy czwarte strony — pozostałą przestrzeń wypełniały reklamy.

— Temat dnia — zażartowałem, wyobrażając sobie jednocześnie strapioną minę kierownika, który za wszelką cenę pragnął uniknąć rozgłosu. — Lada chwila będziemy pewnie w mediach krajowych.

Włączyłem radio i nastawiłem na stację informacyjną, ale Karolina od razu je wyłączyła.

— Szkoda czasu — mruknęła. — Na razie nic nie ma, ale to tylko i wyłącznie zasługa tego, że cały kraj żyje wizytą papieża.

Pokiwałem głową. Może i nie byłem na bieżąco z najnowszymi wiadomościami, ale o wizycie Ojca Świętego oczywiście słyszałem.

— To chyba dobrze, prawda? Taki rozgłos na pewno nie ułatwia pracy...

— Bądź spokojny, prędzej czy później media dotrą nawet tu. To smakowity temat i nic nam nie da, że leżymy na uboczu. A wtedy... Wtedy nie będzie przebaczone. Robota dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tak to niestety funkcjonuje. Media to rzeczywiście czwarta władza. Cała nadzieja w tym, że uda nam się złapać tego bydlaka wcześniej. Kiedy wychodziłam, prokurator wygłaszał właśnie coś w rodzaju wykładu motywacyjnego...

— Mauer?

— Tak, zawsze elegancki prokurator Mauer... Ta sprawa to dla niego duża szansa. Na zaszczyty albo na... klęskę. Zdaje sobie z tego sprawę i chwyta się wszystkiego.

Podobno nawiązał współpracę z komendami w Mrągowie, Nidzicy, Mikołajkach i Szczytnie...

— Może sobie nawiązywać współpracę nawet z Wyższą Szkołą Policji, ale i tak nic mu to nie da... Chyba że zacznie wreszcie brać pod uwagę nasz trop. Mówiłaś mu o tym, że detektyw był tutaj z powodu tej historii z pożarem...

Westchnęła.

— Chciałabym mieć twoją pewność. Ale tak... mówiłam mu o pożarze. Tym bardziej że z rozpytania wynika, iż pan Tadeusz rozmawiał z kilkoma ludźmi i rzeczywiście pytał o tę Dzwonkowską. Był też w szkole, wiesz?

Kiwnąłem głową. Ja też miałem swoje źródła. Czyli starego listonosza.

— Mauer powiedział, że bierze ten scenariusz pod uwagę. Nawet mnie pochwalił, a to u niego rzadkość. Tłumaczył, że musi iść wielotorowo, ale ta hipoteza jest dość prawdopodobna.

Odetchnąłem z ulgą.

— Czyli nie musimy jechać do Pasymia? Zrobi to za nas policja, tak?

— No właśnie... nie jestem pewna. Pytałam kolegów, którzy mają dzisiaj służbę. Żaden nie dostał polecenia jazdy do Pasymia. Podejrzewam, że Mauer chce znaleźć odpowiedzi w archiwum. Tym samym, w którym byliśmy wczoraj.

— Nie znajdzie...

— Wiem, że nie znajdzie — przerwała mi z błyskiem w oku. — A to oznacza, że mamy nad nim cały dzień przewagi...

Nie rozumiałem, do czego zmierza. Nie podobał mi się jej chytry uśmieszek.

— O co ci chodzi? — spytałem, a ona się zaczerwieniła. Wtedy wszystko stało się dla mnie jasne. — Och, ty cwaniaczku! Chcesz po prostu złapać u pana prokuratora kilka dodatkowych punktów, tak?

Pokręciła przecząco głową, ale nie potrafiła ukryć uśmiechu.

— To nie jest tak, jak myślisz — powiedziała, patrząc mi w oczy. — Mam gdzieś Mauera i te jego wszystkie eleganckie garnitury... Nie lubię go i nie mam ochoty mu nadskakiwać. Ale popatrz na mnie. Czy myślisz, że chcę przez całe życie pracować w jakimś Mogielnie?

Zrobiło mi się przykro. Kochałem Mogielno. Uważałem je za doskonałe miejsce do życia.

— Chcesz się wybić i wyjechać?

— Muszę się wybić — powiedziała, uciekając wzrokiem w bok. — Bez tego nie wyjadę. A to jest moja szansa.

Straciłem ochotę na dalszą rozmowę. Przypomniałem sobie nasze spotkanie po wczorajszej mszy. Zdradziła mi wówczas, że Mauer kazał mnie obserwować. Odebrałem to wyznanie jako gest przyjaźni, ale teraz zrozumiałem, że to był tylko gest. Nie pomagała mi bezinteresownie.

Połączył nas tylko doraźny sojusz, korzystny dla obu stron. W przypadku jakiegoś zwrotu w śledztwie mogliśmy się znaleźć po przeciwnych stronach barykady. Nie miałem wątpliwości, że w takiej sytuacji rozdeptałaby mnie jak robaka. Za łagodnym spojrzeniem jej niebieskich oczu kryła się bezwzględność.

Stojąc wciąż na poboczu, przejrzałem gazetę, ale nie znalazłem w niej nic ciekawego. Lokalna prasa nie dysponowała uzdolnionymi dziennikarzami śledczymi. Autor artykułu o zabójstwie Cezarego dotarł jedynie do szkoły, uzyskując od jej pracowników zaledwie kilka zdań komentarza. Same komunały, nic interesującego.

Odruchowo uznałem, że takie teksty mogła pisać nawet średnio uzdolniona małpa, ale po chwili się zaważałem. Być może wymagałem zbyt wiele. W końcu na napisanie artykułu dziennikarz miał zaledwie kilka godzin.

Sam trop — szkoła — mógł okazać się obiecujący. Byłem ciekaw, co o śmierci swojego kolegi sądzili inni nauczyciele. Postanowiłem, że w wolnej chwili ich odwiedzę. Kto wie, może w rozmowie ze mną będą bardziej otwarci niż podczas wywiadów czy odbywających się właśnie policyjnych przesłuchań?

Karolina obserwowała mnie w milczeniu. Posłałem jej urażone spojrzenie i wtedy nie wytrzymała.

— Ty naprawdę myślisz, że bez ciebie nie umiałabym trafić do tego Pasymia? Że nie miałby mnie kto podwieźć?

Wzruszyłem ramionami, a ona niespodziewanie podniosła głos.

— Czy wiesz, że za kontakty z tobą mogę dostać dyscyplinarkę?!

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— To po co jedziesz tam ze mną? — wybąkałem w końcu.

— Bo tak chcę — odpowiedziała cicho, patrząc w przednią szybę.

Przez chwilę analizowałem jej słowa, a potem zdałem sobie sprawę, że więzienie odebrało mi resztki zaufania do ludzi.

— Przepraszam — powiedziałem, a ona pokręciła głową z politowaniem.

— Jedź już — poleciła. — To ponad trzydzieści kilometrów, a ja nie mam całego dnia.

W swoim życiu wielokrotnie przejeżdżałem przez Pasym, ale nigdy nie udało mi się go zwiedzić. Teraz też musiałem z tego zrezygnować — nawigacja poprowadziła mnie w bok od centrum i w pewnym momencie niespodziewanie znalazłem się w środku lasu. Asfalt ustąpił miejsca żwirówce, która po chwili przeszła w zwykłą piaskową dróżkę. Niskie zawieszenie mojej mazdy zaprotestowało z cichym jękiem.

— Może zawrócimy — zaproponowała w pewnej chwili Karolina. — To nie może być droga do szpitala. To w ogóle nie jest droga — dodała, gdy podwozie mazdy zaszorowało po wystających z piachu kamieniach.

Ale leśny dukt w końcu doprowadził nas do celu. Zza zakrętu niespodziewanie wyłoniły się dość nowoczesne zabudowania szpitala, choć określenie „szpital” wydawało się w tym przypadku chybione. Budynki miały kraty w oknach i ogrodzone były wysoką siatką zwieńczoną zasiekami z drutu kolczastego. Obiekt bardziej niż z placówką służby zdrowia kojarzył się z więzieniem.

Ale był tylko szpitalem. Na teren więzienia nie wpuszczono by nas tak łatwo. Tu strażnik zadowolony się naprędce skleconym kłamstwem, że przyjechaliliśmy „w odwiedziny”.

— Proszę zaparkować po prawej stronie i udać się prosto do bloku administracyjnego — poinformował, podnosząc szlaban. — Tam załatwicie państwo

formalności i uzyskanie przepustki.

Nigdy nie byłem w szpitalu psychiatrycznym, ale w zakładzie karnym w Bartoszycach był specjalny blok dla więźniów — jak to eufemistycznie określano — nieustabilizowanych psychicznie. Przebywali tam kompletni wariaci. Nie mieliśmy z nimi bezpośredniego kontaktu, lecz na spacerunku słychać było ich krzyki — kto raz usłyszał taki krzyk, ten nie pomyliłby go z czymkolwiek innym. Nawet starzy więźniowie bledli wówczas jak prześcieradła. Ten blok dla nerwowo chorych... to było straszne miejsce.

Tu na razie wszystko wydawało się sielskie. Zewsząd dobiegał śpiew ptaków, a po trawniku przed głównym budynkiem chodził powoli mężczyzna z kosiarką. Nawet siatka oddzielająca teren administracji od terenu właściwej części szpitala przywodziła na myśl ogrodzenie orlika. Zresztą tuż za nią było boisko do piłki nożnej.

Okrażyłem samochód i — jak na dżentelmena przystało — otworzyłem drzwi od strony pasażera.

— Popatrz, grają w nogę — szepnęła Karolina, gramoląc się z niskiego siedzenia mazdy.

Rzeczywiście, tuż za ogrodzeniem uganiało się za piłką kilku mężczyzn. Grali w całkowitym milczeniu, dlatego wcześniej ich nie zauważyłem. W tym „cichym” meczu było coś nienaturalnego, ale zanim zdążyłem o tym napomknąć, policjantka stwierdziła, że wyglądają na zupełnie zdrowych.

— Może to obsługa... No wiesz, sanitariusze — powiedziała, zbliżając się do siatki.

Nic nie powiedziałem, ale przecucie podpowiadało mi, że zaraz stanie się coś strasznego. Spodziewałem się, że któryś z mężczyzn na nią wrzśnie albo rzuci się na siatkę. Ale stało się coś innego. Jeden z graczy niespodziewanie się rozplakał.

— Mamo! Mamo! — zbliżył się do siatki i upadł przed Karoliną na kolana. — Mamo! Tak! Tęskniłem! — darł się, wykrzykując pojedyncze wyrazy, a dziewczyna stała jak skamieniała.

Wziąłem ją za ramię i odciągnąłem, a skryty dotąd w cieniu sanitariusz zrobił to samo z nieszczęśliwym mężczyzną. Jego płacz towarzyszył nam aż do wejścia do budynku.

— Boże! To straszne — wybełkotała Karolina, a ja zrozumiałem, że dopóki nie dojdzie do siebie, nie będę miał tu z niej większego pożytku.

— Dzień dobry! — odezwałem się głośno, ale nikt mi nie odpowiedział.

Korytarz na parterze był pusty, więc postanowiłem wejść na pierwsze piętro. Krata na schodach była uchylona.

— W czym mogę pomóc? — zapytał mnie przechodzący korytarzem mężczyzna.

Ubrany był po cywilnemu, więc nie wiedziałem, jak się do niego zwracać. Mógł być równie dobrze lekarzem, jak i pracownikiem personelu pomocniczego lub administracji. Albo pacjentem. Zacząłem od tego, że się przedstawiłem.

— Chcielibyśmy odwiedzić jednego z państwa pacjentów. Pana Rafała Dzwonkowskiego.

Spodziewałem się, że nas wylegitymuje, a potem szczegółowo wypyta, ale nic

takiego nie nastąpiło. Niespodziewanie się uśmiechnął.

— Rafała? O, jaka niespodzianka. Na pewno się ucieszy. Tak rzadko ktoś go odwiedza...

Skinął zapraszająco ręką i powiodł nas pomalowanym na biało korytarzem. W pięciometrowych odstępach umieszczone w nim były drzwi do cel... to znaczy pokoi, ale skojarzenie było oczywiste. Drzwi były metalowe i wyposażone w zewnętrzne wizjery — zupełnie jak w więzieniu.

W korytarzu panowała niemal kompletna cisza. Było w niej coś złowieszczego. Wolałbym, by zza drzwi dochodziły jakiekolwiek dźwięki: śmiech, przekleństwa, krzyki... W zakładzie karnym nigdy nie było tak cicho. A tu... jedynym dźwiękiem był odgłos naszych kroków. Uznałem, że z dwojga złego wolę więzienia.

Nasz przewodnik przeszedł przez oszklone drzwi i skręcił w lewo. Znaleźliśmy się w pomieszczeniu wyglądającym jak świetlica. Otaczały nas bezładnie rozmieszczone stoliki i fotele. Przy ścianach wznosiły się regały pełne książek, a nieopodal panoramicznego okna — na specjalnym wysięgniku — wisiał telewizor. W pomieszczeniu nie było żywego ducha.

— Panie doktorze — zaryzykowałem, bo mężczyzna poruszał się po tym przygnębiającym miejscu z pewnością lekarza. — Gdzie są wszyscy pacjenci?

Odwrócił się i popatrzył na mnie z uprzejmym zainteresowaniem.

— Pod dobrą opieką — wyjaśnił. — W tym skrzydle szpitala przebywają ludzie z poważnymi zaburzeniami. Najczęściej znajdują się pod wpływem silnych leków. A jeżeli dawki okażą się zbyt małe — urwał, bo po korytarzu poniósł się dziki ryk o takim natężeniu, że zatrzęśły się szyby — to sami słyszycie... robi się nieprzyjemnie.

Zrozumiałem, że to, co wzięłem za świetlicę, było pomieszczeniem socjalnym dla personelu. Podeszedłem do półki z książkami i przeczytałem kilka pierwszych z brzegu tytułów.

— Polskie kryminały?

— Musimy się co jakiś czas trochę zresetować, choć przy tym, co się tutaj dzieje, najlepsze książki są jak opowieści ciotki Helenki przy popołudniowej herbatce. A ja nie jestem lekarzem, tylko zwykłym pielęgniarzem.

Nie jestem ułomkiem, ale gdy ucisnął mi rękę, o mało nie usiadłem. Popatrzyłem z respektem na jego bicepsy. Podejrzywałem, że stosowanie siły fizycznej było nieodłącznym elementem jego pracy. W końcu kiedy leki przestawały działać...

— Czy Rafał Dzwonkowski jest agresywnym pacjentem? — spytała Karolina, posyłając mi znaczące spojrzenie.

Domyśliłem się, że tak naprawdę chciała zapytać, czy nie jest kompletnym świrem. Do tej pory — nie wiadomo na jakiej podstawie — sądziliśmy, że jest tylko... no właśnie, kim? Człowiekiem pogrążonym w delikatnej depresji? Normalnym facetem, który nie może się po prostu pozbierać po stracie żony?

Tylko że takich ludzi nie zamykali w szpitalach psychiatrycznych.

Nie mieliśmy ochoty na spotkanie z agresywnym wariatem. Na szczęście pielęgniarz machnął ręką.

— Rafał jest łagodny jak baranek — powiedział z delikatnym uśmiechem. —

Trzymamy go na ostatnim piętrze. Oddział nerwic. A co, strach was obleciał?

Poczułem ulgę, która niemal natychmiast ustąpiła miejsca zawstydzeniu. Zrozumiałem, że mimowolnie przyznaliśmy się do tego, iż wcale nie znamy pacjenta, którego niby przyszlismy odwiedzić. Spodziewałem się, że pielęgniarz zażąda wyjaśnień, ale nic takiego nie nastąpiło.

— Ja tu tylko sprzątam — rzucił lekkim tonem, mrugając przy tym okiem. — Państwo pozwolą.

Ruszyłem za nim w milczeniu, zezując na Karolinę, bo to jej długi język sprawił, że wyszliśmy na idiotów. Wyglądała na wściekłą, ale też przestraszona. Posłała mi spojrzenie, które zdawało się mówić: „Co my wyprawiamy?”

Ostatnie piętro nie różniło się niczym od dwóch poprzednich. Takie same drzwi, z wizjerami. Gdy przebywałem w celi, nie znośłem, jak ktoś mnie podglądał. Ale tutaj panowały widocznie inne zasady.

— Spójrzcie — pielęgniarz odchylił wizjer i uczynił zapraszający ruch ręką.

Policjantka została nieco z tyłu, więc to mnie przypadła w udziale rola „podglądacza”. Nachyliłem się i przyłożyłem oko do wizjera. Ujrzałem niewielkie pomieszczenie pomalowane na kojący, jasnozielony kolor. Na łóżku siedział w pozycji à la kwiat lotosu chudy jak patyk mężczyzna. Był nagi, jeżeli nie liczyć pokrywających jego ciało bandaży.

— Co mu się stało? — spytałem lekko wstrząśnięty.

— Stosował akupunkturę — odparł pielęgniarz. — Przemycił do pokoju kawał drutu i wbijał go sobie w ciało. Odratowali go w ostatniej chwili. A tutaj... Tutaj mieszka Jezus. Każdy taki zakład ma swojego „Jezusa”.

Z makabryczną fascynacją przytknąłem oko do kolejnego wizjera. Po drugiej stronie drzwi bujał się, jak w narkotycznym transie, mężczyzna z długą brodą. Jego usta cały czas się poruszały, zupełnie jakby odmawiał jakąś modlitwę.

— Straszne — aż się wzdygnąłem. — Co mu się stało?

Pielęgniarz popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

— Pani na pewno jest policjantką, ale pan nie jest z policji, prawda? Niech pan nie odpowiada, to nie moja sprawa... Ludzie bardzo rzadko stają się... nazwijmy to umownie... szaleńcami w wyniku jakichś traumatycznych przeżyć. Szaleństwo to nic innego jak defekt mózgu. Wrodzony lub mechaniczny. To, że ten facet — wskazał ręką na drzwi — będzie się uważał za kogoś innego, zostało zapisane w jego kodzie genetycznym... zanim jeszcze przyszedł na świat. Zgoda, wychowanie, przeżycia, cała ta otoczka... To mogło mieć wpływ na to, że został Jezusem, a nie na przykład Napoleonem. Ale szaleństwo było w nim od samego początku...

Popatrzył na mnie przenikliwie. Odniosłem wrażenie, że zastanawia się, kim jestem. Był dobrym obserwatorem, więc podejrzewałem, że zaraz mnie zdemaskuje, ale nawet jeżeli coś odkrył, to postanowił zatrzymać to dla siebie.

— Skąd pan wie, że jestem policjantką? — zapytała ostrożnie Karolina.

Spodziewałem się dłuższego wykładu, ale pielęgniarz kompletnie nas zaskoczył.

— Pani pasek od dzinsów... Robią je na zamówienie Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie. Ma idealną szerokość dla podpięcia kabury i podajnika na dodatkowy

magazynek. To służbowy pasek, prawda?

Dziewczyna pokiwała głową, piekąc raka.

— Ale tu jestem prywatnie...

— Nieważne. — Machnął ręką sanitariusz. — Idziemy do Rafała...

Odniosłem wrażenie, że coś tu nie gra.

— Na ostatnim piętrze mieli być pacjenci z nerwicą, a ci... — wskazałem dłonią na pokoje „Jezusa” i „fakira”.

— Blok nerwicy jest za tymi drzwiami — poinformował sanitariusz, a potem minął drzwi i ruszył w kierunku pierwszego pokoju. — Chcielibście spotkać się z Rafałem...

Wyjął z kieszeni klucze, które toczka w toczkę przypominały te więzienne. Wetknął jeden z nich w zamek i przekręcił z charakterystycznym szcęknięciem.

— Pogadajcie sobie — powiedział z uśmiechem, otwierając drzwi i zapraszając nas do środka. — Wchodźcie, wchodźcie. Nie ma się czego bać. Zaczekam na korytarzu.

Pokój był wielkości trzyosobowej celi. Dzwonkowski siedział na jego drugim końcu, twarzą do okna. Ze swojej perspektywy widziałem tylko jego bujne, szpakowate włosy. Nie zareagował ani na nasze wejście, ani na odgłos zamykanych drzwi.

— Dzień dobry, panie Rafale! — powiedziałem zbyt głośno, bo cały ten przedłużający się pobyt w zakładzie zaczynał mi już działać na nerwy. — Chcielibyśmy z panem zamienić kilka słów. Ja się nazywam... — przedstawiłem siebie i Karolinę, ale mężczyzna wciąż siedział bez ruchu niczym jakiś posąg.

Uniosłem brwi. Silne leki? Ale pielęgniarz nic nie wspominał o lekach. Mówił, że pacjent się ucieszy.

— Panie Rafale! — powtórzyłem powoli. — Słyszysz mnie pan?

Mężczyzna lekko się poruszył, ale wciąż milczał. Na jego pobrużdżony policzek padło słoneczne światło.

— Coś mi tu śmierdzi — szepnęła policjantka, rozglądając się na boki.

Ja nie miałem żadnych obaw. Nie bałem się chorób, którymi nie mogłem się zarazić.

— Panie Rafale... — zacząłem się zbliżać do siedzącej nieruchomo postaci, cały czas coś mówiąc. — Przyjechaliśmy do pana z Gęglówek, gdzie pracuję w ośrodku wypoczynkowym „Rybitwa”...

— Uważaj! — wrzasnęła Karolina, ale było już za późno.

Siedzący dotąd mężczyzna nagle zerwał się na nogi i rzucił się na mnie niczym zawodowy zapaśnik, obalając mnie na podłogę.

Byłem tak zaskoczony, że zacząłem walczyć dopiero wtedy, gdy usiadł na mnie okraciem i zacisnął dłoń na moim gardle. Usiłowałem go zrzucić, ale składał się chyba z samych mięśni. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie szaleństwa. Podniósł drugą rękę i zobaczyłem, że trzyma w niej kamień wielkości pięści.

— Panie... Rafale — wystękałem, ale nie dał po sobie poznać, że mnie usłyszał.

Ze zwierzęcym rykiem zamachnął się na mnie kamieniem. Celował w moją twarz, a ja byłem unieruchomiony. Część mojego ciała znajdowała się pod metalową pryczą, a na reszcie uwaliał się szalenie. Nie zdążyłem nawet przymknąć oczu — kamień gwałtownie urósł, a potem niespodziewanie zniknął, a jego miejsce zajął zamszowy

mokasyn. Damski.

— Stój, policja!

Głos Karoliny był czysty i mocny niczym dźwięk spiżowego dzwonu. Ale na szaleńcu nie wywarł najmniejszego wrażenia. Pozbawiony kamienia zaatakował nogę, która go wykopała. Policjantka jęknęła i zwała się wprost na nas, miażdżąc boleśnie moją przyciśniętą do podłogi dłoń.

Przez moment kotłowaliśmy się we troje na dwóch metrach kwadratowych podłogi. Wreszcie udało mi się go złapać za szyję i odciągnąć.

— Zawołaj na pomoc pielęgniarza — wydyszałem, ale Karolina spojrzała na mnie jak na idiotę.

— Taki z niego pielęgniarz, jak z tego Rafał Dzwonkowski — mruknęła, wyjmując z torebki gaz. — Trzymaj go...

Szaleniec niespodziewanie pochylił się do przodu, przerzucając mnie przez ramię. Obłok gazu przemknął ponad naszymi głowami, ale i tak zapiekły mnie powieki. Wpiłem się dłońmi w jego ubranie i pociągnąłem go na siebie. Śmierdział niemytym ciałem i papierosami.

— Zrób coś — wybełkotałem, bo obaj ściskaliśmy się za szyje, tkwiąc w typowym pacie.

Karolina złapała go za nos i mocno ścisnęła. Jęknął i nieco zwolnił ucisk na mojej szyi. Wspólnymi siłami okręciliśmy go na plecy i wykręciliśmy ręce. Jęczał w bezsilnej złości, a jego zęby kłapały tak, jakby chciał nas pokąsać.

— To nie jest... Rafał Dzwonkowski? — spytałem, walcząc z oddechem.

Karolina wolną ręką otarła czoło. Czułem, że cały spływam potem, ale potrzebowałem obu rąk, bo wciąż walczył.

— Dzwonkowski ma teraz trzydzieści osiem lat... A ten tutaj... na oko z sześćdziesiąt.

— Może dramatyczne przejścia... — próbowałem polemizować, ale urwałem w połowie, bo przypomniałem sobie zdjęcie Dzwonkowskiego. Wyglądał na nim jak czart, a ten tutaj... Bardziej przypominał Quasimodo.

— To nie jest Dzwonkowski, a tamten pielęgniarz to pewnie jakiś jego kumpel.

— Też pacjent? — nie chciałem uwierzyć, ale ona pokiwała głową. — Zachowywał się jak ktoś, kto tu pracuje.

— Zachowywał się dziwnie. Wpuścił nas tutaj bez żadnych pytań, bez dokumentów. To tak nie działa — urwała, po czym zaklęła pod nosem. — Czułam, że coś jest nie tak...

Zamilkła, bo na korytarzu rozległy się głosy. A raczej krzyki, i to podszyte paniką. Po kilku sekundach ktoś gwałtownie otworzył drzwi. Zza pleców ubranego w biały kitel mężczyzny dostrzegłem naszego „pielęgniara”, przytrzymywanego przez dwóch członków personelu szpitala. Kolejnych trzech pielęgniarzy — tym razem chyba prawdziwych — czekało w gotowości.

Mężczyzna w bieli stanął jak wryty. Wcale mu się nie dziwiłem. Przez chwilę usiłował zorientować się w plątaninie ciał i kończyn, ale chyba dał za wygraną. Widok, który roztoczył się przed jego oczami, najwyraźniej przekraczał granice jego wyobraźni.

— Co jest? — wybełkotał, odruchowo się cofając.

Karolina podniosła się z podłogi i dygnęła jak pensjonarka.

— Dzień dobry — powiedziała, a potem się przedstawiła. — Chyba zaszło jakieś nieporozumienie. Ten pan mówił, że jest sanitariuszem — wskazała na mężczyznę, który nas tutaj przyprowadził.

Na moment zapadła taka cisza, że usłyszałem bzyczącą przy szybie muchę. A potem do izolatki wparował kolejny mężczyzna. Po tym, jak w bezceremonialny sposób odepchnął sanitariusza w bieli, wywnioskowałem, że musi być kimś ważnym. Błysnął groźnie okularami, po czym popatrzył na mnie surowo, ignorując stojącą przede mną Karolinę.

— Kim pan jest i dlaczego atakuje... przydusza pan pacjenta?

Zdumienie odebrało mi mowę. Spodziewałem się przeprosin, a nie ataku. Przytrzymałem napastnika obiema rękami, cały czas leżąc na podłodze.

— To ten pan... — usiłowała wtrącić Karolina, ale mężczyzna nie dopuścił jej do głosu.

— Nie mnie będziecie się tłumaczyć — zawyrokował, po czym odwrócił głowę w stronę stłoczonych w korytarzu sanitariuszy. — Przekażcie do sekretariatu, żeby wezwali policję!

Cofnął się, a ja wstałem i ruszyłem za nim, przekazując unieruchomionego szaleńca wciąż osłupiałemu pielęgniarzowi. Inny pielęgniarz zneutralizował właśnie naszego przewodnika, aplikując mu zastrzyk i siłą kładąc do przenośnego łóżka. Fałszywy pielęgniarz uśmiechnął się do mnie z sympatią.

— Przepraszam — powiedział, moszcząc się w mobilnej kozetce. — Tutaj tak rzadko coś się dzieje...

Stłumiłem przekleństwo. Jak dla mnie działało się tutaj zdecydowanie zbyt wiele, a dyrektor chciał wszystko jeszcze bardziej ubarwić. Skinął dłonią na dwóch wolnych pielęgniarzy i jednoznacznym gestem wskazał w moją stronę. Obrzuciłem ich wszystkich złym spojrzeniem. Karolina stanęła przy ścianie i skrzyżowała ręce na piersiach.

— Ręce przy sobie — ostrzegła, po czym zwróciła się do tego, który kazał wezwać policję. — Pan tu rządzi?

Mężczyzna wyprostował się dumnie.

— Jestem dyrektorem — oświadczył, po czym gestem dłoni powstrzymał pielęgniarzy. — Zaczekacie w spokoju na policję?

— Zaczekamy!

W głosie Karoliny pobrzmiwała pewność siebie. Ja nie byłem aż tak spokojny. Niby nie zrobiliśmy nic złego, ale zaświadczyć o tym mógł tylko fałszywy pielęgniarz, a jego wiarygodność... Cóż, nie była zbyt duża. A poza tym właśnie zapadał w narkotyczną drzemkę.

Dyrektor popatrzył na moją towarzyszkę ze zdziwieniem.

— Mówi pani o tym tak lekko... Będziecie mieć poważne nieprzyjemności.

Wsluchując się w ton jego głosu, zrozumiałem, że jej pewność siebie zbiła go z tropu. Najprawdopodobniej zdał sobie sprawę, że po stronie szpitala też nie wszystko było tak, jak należy. W końcu to, że dostaliśmy się do pokoju groźnego szaleńca —

w dodatku przyprowadzeni przez innego pacjenta — nie wystawiało jego placówce najlepszej wizytówki. Gdyby spotkało nas coś złego, do akcji wkroczyłby prokurator. W ten właśnie ton uderzyła Karolina.

— Zobaczmy, kto będzie mieć nieprzyjemności — warknęła, a dyrektor lekko pobladł.

Konfrontacja skończyła się wcześniej, nim się na dobre się zaczęła. Dyrektor nie miał szans ze złą jak osa Karoliną.

— A tak w ogóle to co państwo tu robicie? — zapytał pojednawczo zaraz po tym, jak odwołał polecenie skontaktowania się z policją.

Zaprosił nas do swojego gabinetu. Zostawiliśmy za sobą świat białych kitli, strzykawek i agresywnych pacjentów — część administracyjna szpitala przypominała zwykle biuro. Sekretarka zaparzyła trzy kawy, a my usiedliśmy przy wentylatorze. Poczulem, że przestaję się pocić.

— On nie jest groźny — przekonywał nas dyrektor, a ja początkowo sądziłem, że ma na myśli szaleńca, który chciał mnie zabić. Ale nie, jemu chodziło o przewodnika. — Kiedyś już zrobił nam taki numer. Ukradł klucze, otworzył kratę i zaczepił jakichś ludzi. Tylko że wtedy szybciej się zorientowaliśmy. Dzisiaj... dzisiaj poszedł na całość. To wszystko mogło się skończyć naprawdę tragicznie.

Wypiłem łyk kawy. Szok powoli ustępował.

— Wyglądał zupełnie normalnie — zauważyłem.

— Potrafi się tak zachowywać. Studiował w Wyższej Szkole Teatralnej i gdyby nie choroba, byłby pewnie dzisiaj gwiazdą „M jak miłość”. Szkoda, naprawdę szkoda, ale co my możemy? My tylko maskujemy objawy...

— A ten facet, do którego nas zaprowadził... — przerwała Karolina. — To jakiś przestępca, prawda?

Dyrektor pokiwał ze smutkiem głową.

— Piętnaście lat temu zabił siekierą dwóch sąsiadów. A trzeciego poważnie poranił. Mówiąc kolokwialnie, kompletny świr. Mimo sześćdziesiątki wciąż jest w dobrej formie.

— Zwróciłem na to uwagę — mruknąłem, rozcierając szyję, która wciąż mnie piekła. — Gdyby nie koleżanka... — wzdrygnąłem się i spojrzałem z wdzięcznością na Karolinę, ale ta tylko się zachnęła.

— Daj spokój, ratowałam też siebie.

Gawędziliśmy jeszcze kilka minut, aż wreszcie przeszliśmy do sedna.

— W zasadzie nie zezwalamy na wizyty osób spoza rodziny, ale skoro zasłiście państwo tak daleko... — westchnął, po czym podniósł słuchawkę telefonu. — Uprzedzam tylko, że jeżeli nie będzie miał ochoty, to...

Urwał i przez chwilę mówił do słuchawki. A potem słuchał. Znacznie dłużej.

— Nie macie szczęścia — powiedział, przerywając połączenie. — To prawda, Rafał Dzwonkowski był pacjentem naszego szpitala, ale w maju tego roku go opuścił.

Karolina zakłęła pod nosem.

— A gdzie go przenieśli?

Dyrektor uśmiechnął się łagodnie.

— Nie zrozumiała mnie pani. Pan Dzwonkowski od maja przebywa na tak zwanej wolności.

Zwróciłem uwagę na zbieżność dat. Mój wyrok również skończył się w maju. Zamyśliłem się nad tym do tego stopnia, że o mały włos nie przegapiłem kolejnego pytania.

— Wyleczyliście go? — dopytywała Karolina.

— Widzi pani — dyrektor zrobił mądrą minę — pan Dzwonkowski cierpiał na zaburzenia nerwicowe. Tego nie da się do końca wyleczyć. Ale skoro został wypisany, to znaczy, że chyba udało się nam go... ujmijmy to w ten sposób... zaleczyć. Zresztą, jeżeli to panią interesuje, to poproszę ordynatora jego oddziału.

Ordynator miał zdecydowanie bardziej restrykcyjny stosunek do tajemnicy lekarskiej.

— To nie są sprawy, o których powinniśmy rozmawiać, panie dyrektorze — zaprotestował, gdy dyrektor przedstawił mu ogólnie, o co chcemy zapytać. — Jeżeli chodzi o informowanie o zdrowiu naszych pacjentów, obowiązuje nas tajemnica lekarska.

— Nawet byłych? — Karolina uśmiechnęła się przymilnie, ale pozostał niewzruszony.

— Nawet byłych — stwierdził, ale po chwili w jego oczach zapaliła się ciekawość. — A o kogo chodzi?

— Rafał Dzwonkowski. — Dyrektor odczytał nazwisko, które wcześniej zapisał na kartce. — Nie znam wszystkich pacjentów — dodał tonem wyjaśnienia. — Jestem tu dyrektorem dopiero od kilku miesięcy.

W oczach ordynatora zapłonęło coś dziwnego. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. A potem je zamknął.

— O co chodzi, doktorze? — zapytała Karolina.

Przez chwilę toczył ze sobą wewnętrzną walkę.

— Tajemnica lekarska nie dotyczy chyba oszustów — stwierdził wreszcie, ucziszając wyrzuty sumienia. — Moim zdaniem Dzwonkowski może nie był do końca zdrowy... bo tak naprawdę nikt z nas nie jest zupełnie zdrowy psychicznie... ale był zdrowszy od większości innych ludzi.

— Zdrowszy od większości waszych pacjentów? — chciała się upewnić Karolina.

— Nie. Zdrowszy od większości ludzi. Od pani, od pana... Moim zdaniem był tutaj nie dlatego, że tego potrzebował, tylko dlatego, że tego chciał.

Przez chwilę patrzyliśmy na niego ze zdumieniem. Pomyśleliśmy o tym samym, ale policjantka miała szybszy refleks.

— On stracił żonę...

— Wiem — przerwał jej ordynator. — Znam jego historię, w końcu był moim pacjentem. Na dodatek ta żona zginęła nagle. W pożarze ośrodka wypoczynkowego. Ale powtarzam: moim zdaniem on był normalny. Ta tragedia nie odcisnęła na nim trwałego piętna. Chociaż chciał, by wszyscy tak myśleli.

Karolina wzruszyła ramionami. Widziałem, że chce polemizować, ale uznałem, że nie ma to większego sensu. Ordynator wyglądał na człowieka, który nie rzuca słów na wiatr. Interesowało mnie coś innego.

— Dlaczego zależało mu, by trafić do zamkniętego szpitala?

Ordynator uśmiechnął się diabolicznie.

— Nie jestem wróżką, ale wydaje mi się, że odpowiedź może być tylko jedna — stwierdził. — Żeby się przed kimś ukryć.

— Albo przed czymś — mruknęła Karolina, ale usłyszałem ją tylko ja.

Ordynator wstał i popatrzył na dyrektora z wyczekiwaniem.

— Mogę już iść?

Zostaliśmy sami. Dopilem zimną kawę i usiłowałem wydębić aktualny adres Dzwonkowskiego, ale dyrektor rozłożył ręce.

— Pewnie w papierach jest gdzieś adres jego zameldowania sprzed pobytu w naszej placówce, ale nic więcej nie mamy — powiedział z nutką usprawiedliwienia w głosie. — Nie wysyłamy sobie z pacjentami kartek na święta. Większość z nich marzy, by o nas zapomnieć, i szczerze mówiąc, wcale się im nie dziwię.

Pokiwałem głową, bo rozumiałem jego punkt widzenia. Sam, chociaż nie przebywałem tu w charakterze pacjenta, pragnąłem wydostać się stąd jak najszybciej i nigdy więcej tu nie wracać. Podobne odczucia miała chyba Karolina.

— Co za koszarne miejsce — mruknęła, gdy wyszliśmy z budynku i znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu dyrektora. — Oby nigdy więcej...

Nie chciała znów przechodzić obok boiska, po którym wciąż uganiał się facet, który na jej widok się popłakał. Pociągnęła mnie za rękę, prowadząc wzdłuż budynku. Pod oknami wiła się wyraźnie wydeptana ścieżka.

Gdy usłyszałem cichy głos, odruchowo podskoczyłem. Z uchylonego okna na pierwszym piętrze patrzyła na nas twarz fałszywego sanitariusza. Skinąłem mu ręką i przyspieszyłem kroku, ale dziewczyna złapała mnie za ramię.

— Co mówisz? — spytała go, udając, że wiąże but.

— Czego chcecie od Rafała? — zapytał pacjent, wciąż szepcząc.

Chciałem odejść, ale Karolina znów mnie przytrzymała.

— Wiesz, gdzie on teraz jest?

Popatrzył na nas uważnie. Dostrzegłem, że ma błędny wzrok. Leki zdążyły już porządnie go otumanić.

— Chodź — poprosiłem niecierpliwym tonem, bo rozmowa z wariatem wydawała mi się zupełną stratą czasu.

Ale ona się uparła. Fałszywy sanitariusz na chwilę odszedł od okna, a potem znów się w nim pojawił i wyrzucił przez nie kawałek papieru, który wylądował u naszych stóp. Podniosłem go ostrożnie i rozwinąłem. Nierówne litery składały się na adres.

— Pozdrówcie go ode mnie. — Mężczyzna wykrzywił twarz w szalonym uśmiechu, a potem zniknął jak zdmuchnięty płomień świecy.

Do Stębarka dojechaliśmy w niecałe pół godziny. Tuż przy polu bitwy grunwaldzkiej Karolinę obleciał strach.

— Idź sam — poprosiła, patrząc w kierunku pagórka, z którego przed ponad sześciuset laty, według *Kroniki Długosza*, dowodził bitwą król Jagiełło.

Siedziba Kornimpeksu wznosiła się obok sporego parkingu, na którym zwykle roiło się od zmotoryzowanych turystów. Dziś, ostatniego dnia wakacji, było tu raczej pustawo.

Na skraju parkingu zatrzymały się dwa luksusowe autokary na niemieckich blachach. Grunwald był co prawda miejscem triumfu polskiego oręża, ale również Niemcy chętnie tu przyjeżdżali. Oczywiście dla nich było to też pole bitwy pod Tannenbergiem.

— Wolałbym, żebyś mi pomogła — mruknąłem, bo podczas naszej przeprawy w szpitalu psychiatrycznym nabrałem do niej szacunku. — Kto wie, może przy kobiecie bardziej się otworzy?

Gdy tylko opuściliśmy teren szpitala, zaczęliśmy się spierać. Chciałem od razu jechać do Giżycka, gdzie — według fałszywego pielęgniarza — mieszkał teraz Dzwonkowski. Karolina była temu przeciwna. O szesnastej zaczynała służbę i nie mogła się spóźnić. Krakowskim targiem ustaliliśmy, że dzisiaj odwiedzimy byłego kierownika ośrodka, a do Dzwonkowskiego pojedziemy przy najbliższej okazji.

— Nie ucieknie nam — stwierdziła Karolina. — O ile w ogóle tam mieszka...

Dlatego teraz, niemal w samo południe, parkowaliśmy przy polach Grunwaldu. Lejący się z nieba skwar bardziej niż z ostatnim dniem sierpnia kojarzył się z połową lipca. Ale wówczas wszystko wyglądało tu zupełnie inaczej. Obchody rocznicy bitwy pod Grunwaldem gromadziły dziesiątki tysięcy osób — było tłoczno, gwarno i trochę jak na jarmarku.

Moje namowy, by ze mną poszła, były bezskuteczne. Karolina tylko się utwierdziła w swoich odczuciach. Zacząłem żałować, że zamiast niej w samochodzie nie siedzi Ilona. Dla niej, podobnie jak dla mnie, prezes był tylko człowiekiem, tymczasem dla policjantki...

— Zrozum, on zna się z moim komendantem. Zapraszają się wzajemnie na grilla. Nie chcę mieć kłopotów, to wszystko. Pamiętasz, co jest stawką w tej grze?

Pokiwałem głową. Dziewczyna chciała się stąd wyrwać i nie zamierzała robić niczego, co mogło jej w tym przeszkodzić. Nie rozumiałem tylko, dlaczego cały czas kręciła się obok mnie. Ze swoją przeszłością na pewno nie byłem kimś, kto mógł jej ułatwić nowy start. Prędzej mogłem ją pograżyć, ale zdawała się tego nie dostrzegać.

Zostawiłem jej kluczyki i wyszedłem na rozgrzany plac.

Siedziba Kornimpeksu była imponująca. Architekci wkomponowali budynek w miejscowy pejzaż, pokrywając go tynkiem imitującym wschodniopruskie cegły. Miał trzy piętra i zgrabną wieżyczkę. Jego wybudowanie musiało kosztować majątek, ale tu nikt nie przejmował się finansami. W końcu była to spółka Skarbu Państwa.

Dotarłem do ogrodzenia i nacisnąłem przycisk domofonu. Zobaczyłem, jak w moją stronę kieruje się umiejscowiona na latarni kamera. Musiałem zrobić dobre wrażenie, bo po chwili rozległ się brzęczyk. Pchnąłem drzwi i znalazłem się wewnątrz fortecy.

Zanim zdążyłem dotrzeć do wejścia do budynku, obok mnie pojawił się ochroniarz.

— W czym mogę pomóc? — zapytał bez cienia służalczości.

Obrzuciłem go uważnym spojrzeniem i dostrzegłem na jego udzie kaburę z pistoletem. Pracownicy dbali o swoje bezpieczeństwo. Podałem swoje nazwisko i poprosiłem o spotkanie z prezesem zarządu. Spodziewałem się trudności, ale ochroniarz tylko kiwnął głową, zapraszając mnie gestem do budynku.

Gdy telefonował do sekretariatu, ja rozwaliłem się w skórzanym fotelu, podziwiając bogactwo wnętrza. Czuję się tak, jakbym odwiedził szejka. Marmurowa

posadzka, w oknach przyciemniane szyby, a na ścianach malownicze pejzaże. Nie znałem się na malarstwie, ale bardzo mi się spodobały.

— Pan prezes zaraz pana przyjmie — poinformował mnie ochroniarz, a ja zacząłem wierzyć w swą szczęśliwą gwiazdę. Obawiałem się, że będę tu musiał kwitnąć całymi godzinami.

Po kilkudziesięciu sekundach w hallu pojawiła się sekretarka. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu i nogi do samej szyi.

— Zapraszam do windy — powiedziała to takim tonem, jakby zapraszała mnie do swej alkowy, gotowa na wszystko. Z trudem oderwałem wzrok od jej seksownych pończoch.

Prezes urzędował na ostatnim piętrze. Winda była oszklona i w miarę jak wjeżdżaliśmy, ukazywała się nam panorama pola bitwy grunwaldzkiej. Gdy się zatrzymaliśmy, widok był powalający.

— Chyba ciężko skoncentrować się na pracy — stwierdziłem jak pewnie co drugi z przyprawdzanych tutaj gości, a sekretarka posłała mi uśmiech numer sześć.

Nie musiałem czekać nawet chwili. Prezes stał już przy windzie z przyklepionym do twarzy uśmiechem. Gdy mnie zobaczył, uśmiech zbladł.

— Ale o co... nie rozumiem — wyjąkał, a sekretarka obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

Patrzyłem na niego, a w moim spojrzeniu było przynajmniej tyle samo zaskoczenia. Jego twarz i sylwetka nie były mi obce. Widziałem tego wysokiego mężczyznę całkiem niedawno. Konkretnie wczoraj, na podwórku u mojego brata.

Rozmawiał z Włodkiem.

— Dzień dobry. — Skłoniłem się lekko, czując przyływ pewności siebie, bo nagle wszystko zrozumiałem. — Pan się spodziewał mojego brata, prawda? Podałem ochronie samo nazwisko...

Uśmiechnął się niepewnie.

— Pan jest bratem Michała, tak? Nawet jesteście trochę podobni...

Nie wyglądał na zadowolonego, ale usiłował tego nie okazywać. Za jego plecami zobaczyłem dwóch mężczyzn w garniturach. Prawdopodobnie przerwałem mu jakieś ważne spotkanie. Zaprosił mnie do swojego gabinetu i nalał mi wody. Nie proponował kawy. Jego czas był zbyt cenny.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytał, patrząc to na mnie, to w kierunku okna, z którego roztaczał się jeszcze lepszy widok niż z windy.

Łyknąłem wody.

— Nie wiedziałem, że współpracuje pan z moim bratem — zagałem, przypominając sobie ciężarówkę Kornimpeksu stojącą na jego posesji.

Chrząknął i przeczesał palcami włosy. Zastanawiałem się, o czym rozmawiał z Włodkiem. W końcu grali w zupełnie innych ligach.

— Firma pana brata obsługuje pod względem logistycznym jeden z niewielkich segmentów naszej działalności — powiedział takim tonem, jakby przemawiał przed walnym zgromadzeniem akcjonariuszy. — Wielkiej współpracy między nami nie ma, ale znamy się towarzysko — dodał, a potem spojrzał na mnie wyczekująco.

Uznałem, że nie oczekiwał kwiecistych wstępów. Postanowiłem od razu przejść do rzeczy.

— Chciałbym pana zapytać o coś, co nie ma nic wspólnego z Kornimpeksem. Dotyczy to pańskiej poprzedniej pracy, w „Rybitwie”.

— Ach tak, pański brat mi wspominał, że pan tam pracuje. To dobre miejsce na nowy start... — urwał, nie wiedząc, jak zakończyć zdanie.

— To prawda, po wyjściu z pudła nie ma co wybrzydzać — pomogłem mu, a potem wróciłem do tematu. — Był pan tam dyrektorem w czasie, gdy doszło do tego wypadku, prawda?

Drgnął. To nie były przyjemne wspomnienia.

— Chodzi panu o ten nieszczęsny pożar?

Kiwnąłem głową.

— A były inne wypadki? — spytałem zdziwiony, bo jego pytanie nie było retoryczne.

— Nie — wzdrygnął się. — Chyba nie. Ten jeden zupełnie mi wystarczył. Później nasylali na mnie kontrolę za kontrolą...

Wstał i podszedł do barku. Sądziłem, że wyciągnie butelkę z drogą whisky, ale on wyjął z niego coś, co wyglądało jak syrop.

— Wrzody żołądka — mruknął, po czym przyłożył buteleczkę do ust i wziął niewielki łyk, masując się po brzuchu.

— Mógłby pan mi opowiedzieć o tamtej nocy? — poprosiłem szybko, mając nadzieję, że syrop zacznie działać.

Zamyślił się ponuro.

— A po co to panu? — spytał z ociąganiem, po czym znów przyłożył do ust buteleczkę z miksturą na wrzody.

Popatrzyłem mu w oczy, a następnie wyłożyłem karty na stół. Uznałem, że jeżeli tego nie zrobię, nic mi nie powie. Opowiedziałem mu o włamaniu do archiwum i kradzieży dokumentów związanych z pożarem, dając mu czas, by powiązał to z morderstwami, o których oczywiście słyszał.

Gdy skończyłem, wstał i zaczął się przechadzać.

— Ta „Rybitwa” to przekłete miejsce — stwierdził z dziwnym napięciem. — Co konkretnie chce pan wiedzieć?

— Zacznijmy od listy gości — poprosiłem.

Podrapał się po głowie. Widać było, że niechętnie wraca myślami do tamtych wydarzeń.

— To był tradycyjny bankiet między turnusami — zaczął, a ja zamieniłem się w słuch. — Na takie imprezy przychodziło zwykle ze trzydzieści osób, głównie z Mogielna. Widzi pan... Ja nie lubiłem takich imprez. Nie piłem, bo jako kierownikowi nie bardzo mi wypadało. Zwykle nudziłem się jak mops i około północy wymykałem się do łóżka. Wtedy też... Obudziły mnie dopiero krzyki. Wszyscy biegali jak poparzeni. Byli dla mnie tylko ciemną masą. Rozbudziłem się dopiero, gdy przyjechała straż, ale wtedy... Wtedy już nikogo nie było. Ludzie nie lubią stawiać czoła problemom, zwłaszcza gdy są pod wpływem alkoholu — urwał na chwilę, pocierając kciukami skronie. — Chce pan

listy, tak? Mogę spróbować sporządzić listę osób, które zwykle zapraszałem, ale nie będzie to lista uczestników tego konkretnego bankietu. Po prostu nie pamiętam... Wie pan, kto może pomóc? — ożywił się nagle. — Recepcjonistka. To ona wydawała klucze i sprawdzała zaproszenia. Pani... Zdzisława Bies — wygrzebał z pamięci dawno zapomniane nazwisko, patrząc na mnie z dumą.

Nie wiedział nawet, że nie było jej tej nocy w ośrodku.

— A lista zaproszeń? — Nie dawałem za wygraną.

Rozłożył ręce.

— Cała dokumentacja została w „Rybitwie”. Z tego, co pan mówił, wszystko zostało skradzione.

Westchnąłem. Nie spodziewałem się cudów, ale liczyłem na więcej. Gdybym sądził, że nie mówi mi całej prawdy, to miałbym chociaż jakiś punkt zaczepienia, ale niestety odnosiłem wrażenie, że jest ze mną szczerzy.

— To było okropne — mówił dalej, a ja słuchałem go jednym uchem. — Czy pan wie, że od kiedy stamtąd odszedłem, nie byłem w Gęglawkach ani razu? Podobno wybudowali nowy hangar, ale nawet go nie widziałem... Trauma, cholerna trauma. Najpierw ta Dzwonkowska, a potem jeszcze to policyjne śledztwo...

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem. Akurat śledztwo w sprawie pożaru prowadzone było po linii najmniejszego oporu.

— Przepytowała pana policja?

Przez moment wyglądał tak, jakby się chciał ugryźć w język. Zdał sobie jednak sprawę, że było już za późno. Odetchnął głęboko, jak przed nurkowaniem.

— A bo to raz?! Przez tę sprawę dorobiłem się siwych włosów. A ja nawet nie wiedziałem, jak ona wyglądała!

Poczułem, że zaczynam się gubić.

— Dzwonkowska, tak?

Na jego twarzy pojawiła się złość.

— Jaka Dzwonkowska?! Dzwonkowska to spaliła się w tym pożarze. Chodziło o tę biedną dziewczynę...

— Dziewczynę? — zbaraniałem.

— Tak, dziewczynę — powtórzył, niegrzecznie mnie przedrzeźniając. — Nie pamiętam nawet jej nazwiska. A idź pan w cholerę! — zaklął i znów chwycił za syrop.

Ręka drżała mu tak bardzo, że połowa syropu wylądowała na jego koszuli. Tym razem ból nie ustąpił tak szybko. Przez dobrą minutę trzymał się za brzuch, cicho posykując. Patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby miał mnie zaraz wyrzucić z gabinetu. Ale gdy atak bólu minął, jego spojrzenie złagodniało.

— Sam pan widzi, ile mnie to kosztuje — mruknął, siadając za biurkiem i ukrywając twarz w dłoniach. — Te miesiące... to najgorszy czas mojego życia.

Dziewczyny prawie nie znał. Przychodziła czasem do ośrodka, tak jak inne dzieci z okolicy. Miała długie jasne włosy i nieśmiały uśmiech. Z wyglądu dałby jej najwyżej piętnaście lat.

— W rzeczywistości miała siedemnaście. Dowiedziałem się tego podczas przesłuchań. Ostatni raz widziano ją dwa dni przed pożarem. Przy bramie ośrodka.

Policja nie powiązała tych dwóch spraw. Nie było wątpliwości, że w pożarze zginęła tylko jedna kobieta i była to na pewno Katarzyna Dzwonkowska. Sprawa zaginięcia siedemnastolatki została otwarta dopiero po kilku dniach — już po zamknięciu sprawy pożaru. Wcześniej nikt nie zgłosił zaginięcia. Działania policji były w tym przypadku bardzo intensywne.

— Chodziło o nieletnią. Gdyby miała o rok więcej, nikt by się nie przejmował. Wiadomo, jakie są dziewczyny w tym wieku. Wystarczy impuls i już lądują w... w „złotym bmw”. Zwłaszcza dziewczyny z takich okolic, jak ta... Kuszone przez wielki świat, który okazuje się wcale nie tak kolorowy, jak im się wydawało.

Przy dzieciach obowiązywały inne procedury. Polska przygotowywała się do wdrożenia programu Child Alert i sprawy nieletnich miały wtedy priorytet. W poszukiwaniu włączyła się Komenda Główna Policji. Rozważano wszystkie możliwe scenariusze — od ucieczki z domu do porwania. Sprawa była mielona na okrągło. Przesłuchano wszystkich mieszkańców Gęglawek i cały personel ośrodka. Na próżno. Dziewczynka nigdy się nie odnalazła. Sprawę zamknięto, a prezesowi zostały na pamiętkę przedwcześnie posiwiałe włosy.

— Jedna z fundacji zaangażowała nawet jasnowidza — opowiadał przygaszonym głosem. — Jasnowidz twierdził, że mała wyjechała za granicę i jest jej tam dobrze. Chciałem w to wierzyć, ale nie mogłem... Ona śniła mi się po nocach.

Zrobił taką minę, jakby zaraz miał się popłakać. Wstałem i poklepałem go po ramieniu.

— Spokojnie — powiedziałem, usiłując nie okazywać zdziwienia. — Taki już jest ten świat... Nie ona pierwsza i nie ostatnia.

Popatrzył na mnie przez łzy.

— Ma pan dzieci?

Pokręciłem ze smutkiem głową.

— No właśnie, pan tego nie zrozumie... Ja mam córkę. Wtedy była dokładnie w wieku tej dziewczyny.

Ostatnie czynności policji sprowadzały się do poszukiwania ciała. Po jeziorze pływały motorówki, a wezwane w tym celu wojsko przeczesywało okoliczne lasy. Nie znaleziono najmniejszego śladu. Niczego. Dziewczyna przepadła jak kamień w wodę.

— Na imię miała Alina — przypomniał sobie prezes, ocierając oczy. — Mam nadzieję, że gdzieś tam sobie żyje i jest szczęśliwa...

Nie miał nic więcej do dodania. Siedział wpatrzony w grunwaldzkie pola, co jakiś czas łykając syrop. Wyciągnąłem do niego rękę, ale nie zareagował. Był kompletnie rozstrojony. Wyszedłem z gabinetu, po cichu zamykając za sobą drzwi.

— Pan prezes prosił, żeby mu teraz nie przeszkadzać — powiedziałem do sekretarki, a ona zrobiła zdziwioną minę. — Rozboleł go brzuch.

Zanim doszedłem do windy, zrozumiałem, że jego odejście z „Rybitwy” wcale się nie wiązało z wynikami kontroli -NIK-u. Było efektem traumy. Sprawa zaginięcia dziewczyny wciąż go bolała — tak bardzo, że unikał tego tematu tak długo, jak tylko mógł.

Karolina czekała na mnie oparta o maskę samochodu.

— Wyrzucił cię? — spytała, a ja zaprzeczyłem. — Wyglądasz tak, jakby to zrobił. Co się stało?

Opowiedziałem jej o zaginięciu dziewczyny. Wyglądała na wstrząśniętą.

— Zaginęła wtedy, gdy doszło do tego pożaru?

— Prezes mówił, że dwa dni wcześniej...

— Nie szkodzi. Nie rozumiem, jak można było tego nie powiązać? Z tym śledztwem naprawdę było coś nie tak...

Wsiedliśmy do samochodu. Poprosiłem ją, by przekopła policyjne archiwa i dowiedziała się jak najwięcej o sprawie dziewczynki. Umówiliśmy się na wpół do czwartej. O czwartej zaczynała ośmiogodzinna służbę.

— A ty co będziesz robił przez te — zerknęła na zegarek — dwie godziny?

Zabębniłem palcami po kierownicy. Ten gest był dość nerwowy, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Nagle zrobiłem się bardzo zdenerwowany.

— Spróbuję ustalić, co dokładnie działo się w ośrodku w nocy pożaru — powiedziałem lekko rozedrganym głosem, a Karolina spojrzała na mnie z wyrzutem.

— Dobrze, jak nie chcesz, to nie mów... Bądź sobie tajemniczy.

Podwiozłem ją pod obmierzły blok, w którym wynajmowała kawalerkę. Gdy zniknęła w klatce, wszedłem do niewielkiego sklepu i kupiłem na obiad pęto kielbasy. Zjadłem je na przednim siedzeniu mojej mazdy, a potem przejechałem przez całe miasteczko, aż do dzielnicy willowej.

Nazwy ulic przywodziły na myśl nadmorski kurort. Ta nazywała się Wczasowa. Zaparkowałem tam gdzie zwykle i przez chwilę przeglądałem się w wewnętrznym lusterku.

— Lepiej nie będzie — mruknąłem do siebie i od razu się zawstydzilem, bo gadanie z samym sobą wydało mi się „lamerskie”.

Wysiadłem z auta i wyglądziłem koszulkę, a potem spacerowym krokiem podszedłem do metalowej bramy. Za nią znajdowała się posesja z zupełnie nowym domkiem o ukwieconej werandzie. Chociaż tym razem nie musiałem się ukrywać, serce waliło mi z prędkością młota pneumatycznego. Drżącą dłonią nacisnąłem klawisz dzwonka.

Od momentu, w którym wyszedłem z więzienia, byłem w tym miejscu przynajmniej dziesięć razy. Także tego dnia, w którym zamordowany został pan Tadeusz. To dlatego nie miałem na ten dzień alibi. Za każdym razem obiecywałem sobie, że nacisnę dzwonek, i za każdym razem rejterowałem jak pospolity tchórz. Potem obiecywałem sobie, że nigdy tu nie wrócę, by po tygodniu złamać obietnicę i znów się zbłąźnić. Ku utrapieniu mojego brata nie umiałem sobie z tym poradzić. Mimo upływu lat Agnieszka wciąż działała na mnie jak narkotyk.

Poznaliśmy się w Olsztynie. Byłem wtedy na ostatnim roku studiów i z ramienia samorządu zasiadałem w komisji egzaminacyjnej, a ona zdawała egzamin wstępny. Delikatnie mówiąc, to nie był jej dzień. Chociaż pytania nie były trudne, nie wykrztusiła z siebie ani słowa. Korzystając z przerwy w egzaminie, dogoniłem ją przy szatniach. Była piękna. Zjawiskowo piękna.

— Nie przejmuj się — rzuciłem, chociaż oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że po

takim „popisie” na pewno nie dostanie się na studia dzienne.

Zamiast się smucić, uśmiechnęła się nieśmiało.

— Odcieło mi prąd — powiedziała z zawstydzieniem, patrząc na mnie tymi swoimi wielkimi, czarnymi oczami. — Powiedz, jak to jest rozmawiać z idiotką?

Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, zanim jeszcze się dowiedziałem, że pochodzi z Mogielna. Byłem gotów pognać za nią na koniec świata, ale okazało się, że mieszkała kilka ulic ode mnie. W pierwszy dzień wakacji umówiliśmy się na randkę do otwieranego sezonowo kina. Gdy po seansie odprowadziłem ją pod klatkę, dała mi się pocałować.

— Będzie coś z tego? — spytałem kilka dni później.

Płynęliśmy łódką, a światło księżycy kąpało się w wodzie, nadając jej czarnozielony, opalizujący kolor. Ujęła moją rękę i przycisnęła ją do ust.

— Kocham cię — szepnęła.

Zostaliśmy parą i były to najwspanialsze chwile mojego życia. Tym wspanialsze, że trwały niemal... sześć lat. Po tych sześciu latach, chociaż zmieniło się tak wiele, jedno pozostawało niezmiennie. Cały czas kochałem ją tak mocno, jak pierwszego dnia.

Byliśmy zaręczeni i zaklepaliliśmy u księdza datę ślubu. Ja pracowałem w szkole, a ona — po zrobieniu licencjatu z pedagogiki — została przedszkolanką. Mieliśmy dla siebie mnóstwo czasu. Nie zarabialiśmy co prawda zbyt dużo, ale nasze dochody — razem z tym, co udawało mi się zarobić w wakacje na saksach w Niemczech — wystarczały na wynajęcie mieszkania i zakup działki, na której chcieliśmy się w przyszłości wybudować.

Po latach na tej działce wciąż były tylko chwasty.

Kochałem ją, a ona chyba kochała mnie. Przynajmniej tak mi się wydawało. Pewnego dnia leżeliśmy w pościeli i wymyślaliśmy imiona dla naszych dzieci. Od zawsze chciałem, by syn miał na imię Zenek, a ona wreszcie się zgodziła.

Myślałem, że nasze szczęście trwać będzie zawsze. Następnego dnia doszło do bójki, w której zabiłem człowieka.

Pamiętałem jej twarz, gdy się o wszystkim dowiedziała. Tę noc spędziłem jeszcze w domu — decyzja o zastosowaniu środka zapobiegawczego w postaci aresztu zapadła dopiero następnego dnia. Ale wiedziałem już, że nie uniknę więzienia. Płakała i obiecywała, że na mnie zaczeka. Nawet jeśli będzie musiała czekać dziesięć lat. Przytuliłem ją i obiecywałem, że wszystko dobrze się skończy, a w głowie jakiś złośliwy głos szeptał bez ustanku, że wcale tak nie będzie.

Nie wytrzymała dziesięciu lat. Nie wytrzymała nawet pół roku. Dwa razy odwiedziła mnie w areszcie w Białymstoku, a potem trzy razy pofatygowwała się do Bartoszc. Robiła dobrą minę do złej gry, ale za trzecim razem nie potrafiła ukryć łez.

— Już nie mogę — wyszeptała, a ja, pod czujnym okiem klawisza, pogładziłem ją po dłoni. Też płakałem, ale w duchu. — Może jak wyjdiesz... Jak wyjdiesz, to znów spróbujemy — dodała i aż do końca widzenia nie odezwała się już ani słowem.

Więcej jej nie zobaczyłem. W odpowiedzi na moje pytania Michał usiłował coś kręcić, ale wreszcie wyznał mi prawdę. Agnieszka miała załamanie nerwowe, po którym przechodziła psychoterapię. Podobno przestała sobie radzić. Gdy to usłyszałem, miałem ochotę ze sobą skończyć.

Ale się nie załamalem. Okazało się, że w przeciwieństwie do narzeczonej umiałem sobie radzić ze stresem. Byłem twardszy, niż myślałem. Bolało mnie tylko, że nie jestem w stanie jej pomóc. Cholernie bolało. Byłem niecałe sto kilometrów od niej, ale równie dobrze mogłem znajdować się na księżycu. Sądziłem, że nie może być nic gorszego niż bezsilność.

A jednak było.

Pewnego zimowego dnia Michał był jakiś inny niż zwykle. Odnosiłem wrażenie, że myślami przebywa daleko od sali widzeń.

— Co jest, stary? — spytałem szybko, bo kończył nam się czas.

W sali widzeń nie ma miejsca na wielkie słowa. Ani na owijanie w bawełnę.

— Agnieszka dzisiaj wychodzi za mąż — powiedział Michał, rozbijając mój świat na milion kawałków.

Dowiedziałem się, że jej wybrankiem jest psychoterapeuta, który wyciągnął ją z depresji. W pierwszej chwili miałem ochotę go rozszarpać, ale potem — gdy nieco ochłonąłem — cała złość przeszła na Agnieszkę. W tej złości utwierdzali mnie moi kumple z celi — w środowisku więziennym kobieta, która nie potrafi zaczekać na swojego faceta, jest postrzegana gorzej niż prostytutka.

Był czas, gdy jej nienawidziłem. Ale w pewnym momencie stało się coś dziwnego. Miłość okazała się silniejsza. Ku zdumieniu i zdegustowaniu współwięźniów wszystko jej wybaczyłem. I była to najlepsza rzecz, jaką mogłem zrobić. Dzięki temu, zamiast zmienić się w zatwardziałego kryminalistę, pozostałem człowiekiem.

Mijały lata, a ja wciąż o niej myślałem. Nie chciałem z nią być. Miałem swoją dumę i nie przyjąłbym jej z powrotem. Ale chciałem stanąć przed nią i powiedzieć, że nie mam do niej żalu. Nawet jeśli miałyby to gdzieś.

Wyobrażałem sobie tę chwilę na tysiąc sposobów, ale w decydującym momencie nie potrafiłem zrobić rozstrzygającego kroku. Aż do dzisiaj.

Teraz jednak było inaczej. Teraz musiałem z nią porozmawiać, bo ścisnęła w rękach klucz do zagadki tamtego pożaru. Dlatego wstrzymałem oddech i zamiast uciec, nacisnąłem dzwonek po raz drugi.

Drzwi domku uchyliły się i wyszła z nich Agnieszka. Nie mogło być mowy o pomyłce. W końcu nieczęsto spotyka się kobiety, które mają ponad metr osiemdziesiąt, a mimo to poruszają się z wdziękiem baletnicy. Patrzyłem, jak się zbliżała, zastanawiając się, co mnie ominęło. Była olśniewająca jak zawsze. Tylko w kącikach jej oczu zauważyłem zapowiedź pierwszych zmarszczek.

Gdy wreszcie mnie dostrzegła, stanęła jak wryta.

— To... ty... — wyjąkała, a ja niespodziewanie się roześmiałem, bo jej problemy z wydobyciem z siebie głosu przypomniały mi nasze pierwsze spotkanie.

— Cześć, Agusia — nazwałem ją tak, jak przez te wszystkie lata, a ona zadrżała, jakby owiał ją listopadowy wiatr. — Nie bój się, nie przyszedłem cię dręczyć.

Chciałem skłonić ją do uśmiechu, ale mi nie wyszło. Zaczęła płakać, chociaż wiedziałem, że nie jest beksą.

— To takie... dziwne — powiedziała, połykając łzy. — Jak jakiś film.

— Jeśli film, to na pewno nie komedia — stwierdziłem, a potem delikatnie ją

objąłem. Zwisła w moich ramionach jak szmaciana lalka. — Jak ci się wiedzie, kochana?

W tym momencie z domu wybiegł mały chłopiec.

— Mamo, płaczesz? — zapytał wstrząśnięty, patrząc na mnie z lękiem.

Miał wielkie ciemne oczy, bardzo podobne do oczu Agnieszki. Był pięknym dzieckiem.

— Nie, synku — odpowiedziała moja była narzeczona. — To tylko wiatr. Przywitaj się z wujkiem — wskazała na mnie ręką, a potem szepnęła tak cicho, że tylko ja mogłem ją usłyszeć: — Ma na imię Zenek. Uparłam się...

Przez moment mój świat zawirował.

— Ale... nie jest mój? — zapytałem, patrząc to na chłopca, to na nią.

Uśmiechnęła się. Odniosłem wrażenie, że był to smutny uśmiech.

— Gdybyś mógł teraz zobaczyć swoją minę... Oczywiście, że nie jest twój. Policz sobie. Zenek ma dopiero trzy lata.

Nie byłem zbyt dobry w rachunkach, ale to nie było skomplikowane działanie. Odetchnąłem z ulgą. Gdybym dowiedział się teraz, że mam z nią syna, mógłbym się rozsypać.

— Ładny chłopak — stwierdziłem. — Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

Chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Dostrzegłem, że wcale nie uważa się za szczęśliwą, i trochę mnie to zmartwiło. Być może jej psychika wciąż była rozchwiana. Ale — jak to mówią — nie był to już mój cyrk.

— Usiądziemy? — zapytałem, wskazując na podwójną huśtawkę.

Zaproponowała kawę, ale nie chciałem marnować czasu. Idąc w kierunku huśtawki, przeszedłem obok piaskownicy. Mały Zenek obrzucił mnie piachem. Nachyliłem się i wyciągnąłem dłoń. Po krótkim wahaniu dał się pogłaskać.

Usiedliśmy obok siebie na ławce-huśtawce.

— Chcesz wiedzieć, jak to ze mną było? — szepnęła Agnieszka, patrząc mi w oczy.

Odepchnąłem się od ziemi, wprawiając huśtawkę w leniwy ruch.

— Niekoniecznie — powiedziałem z cichym westchnieniem. — To, co powiedział mi Michał, w zupełności mi wystarczy...

— Było naprawdę źle — weszła mi w słowo, krzywiąc twarz w poczuciu winy. — Nie poradziłam sobie z tym wszystkim. Zaczęłam faszzerować się pigułkami...

— Xanax? — spytałem, przypominając sobie nazwę środka, który przyjmowała moja bratowa.

— Tak, między innymi — powiedziała lekkim tonem, jakby to nie był lek psychotropowy, tylko drażetki na świeży oddech. — Czułam się cholernie winna. To ty powinieneś się załamać. W końcu byłeś w więzieniu i przechodziłeś piekło, a ja miałam takie spokojne życie... Ale mimo to pękłam, a ty byłeś taki twardy...

— Mnie było łatwiej — przerwałem. — Tam nie mogłem sobie pozwolić na słabość. Stawka była zbyt wysoka...

Wzdrygnąłem się na samo wspomnienie. W więzieniu nie było psychoterapeutów, którzy po udanej terapii zaproponowaliby ci małżeństwo. Tam jedynym lekarstwem na depresję był sznur. Przez te pięć lat w zakładzie doszło do trzech samobójstw.

Starła się nad sobą panować, ale jej oczy znów wypełniły się łzami. Na szczęście

dziecko zajęte było zabawami wodno-ziemnymi w piaskownicy. Obserwując je, doszedłem do wniosku, że będzie z niego świetny inżynier. O ile oczywiście rodzice nie posła go na polonistykę albo ekonomię...

Agnieszka coś mówiła o swoim stanie psychicznym, ale doszedłem do wniosku, że nie chcę tego słuchać. Nie oczekiwałem, że będzie się tłumaczyć. Chciałem jej wybaczyć i nie oglądać się za siebie, ale kobiety zawsze lubią mieć ostatnie słowo. Tylko że ja nie byłem już tak cierpliwy. Nie nadawałem się na psychoterapeutę.

— Wiedziałaś, że tu przychodziłem? — spytałem, aby przerwać jej wynurzenia.

Popatrzyła na uliczkę, która była niemyym świadkiem moich wewnętrznych rozterek.

— Janusz mi o tym mówił... Nawet miał do mnie o to pretensje, że niby to prowokuję i obserwuję cię z daleka... Ale nie miał racji. Ani razu cię nie widziałam.

Janusz Antczak — mąż mojej dawnej narzeczonej — był nie tylko psychiatrą, ale też dyrektorem miejscowego szpitala. Po raz pierwszy spotkałem go wczoraj. Do tamtej chwili sądziłem, że psychiatry są raczej stonowani, ale on wywarł na mnie takie wrażenie, jakby sam potrzebował opieki specjalisty. Groził mi, a na koniec napuścił na mnie ochronę. Okazało się, że w domu też zachowywał się nie do końca normalnie. Chciałem to jakoś skomentować, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. Nie mój cyrk, nie moje małpy...

Chciałem wypytać ją o noc pożaru, podczas której pełniła zastępstwo w recepcji, ale co chwila mi przerywała. Kiedyś była oazą spokoju, ale przez te lata zrobiła się bardzo nerwowa. Ta nerwowość do niej nie pasowała. Chociaż wciąż wyglądała na dwadzieścia kilka lat, mentalnie bardzo się postarzała. Sposób, w jaki wyłamywała palce, wywoływał u mnie dreszcze. Zupełnie jak bezradna staruszka...

Wreszcie dotarło do niej, o co pytam. Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Przecież nie raz ci o tym opowiadałam.

Przetrząsałem pamięć, ale nie znalazłem żadnych wspomnień. A potem palnąłem się w czoło.

— Ty często mi coś opowiadałaś...

— ...a ty tylko udawałaś, że słuchasz, a tak naprawdę czytałaś albo grałaś na komputerze.

Jej nerwowość na chwilę zniknęła. Roześmialiśmy się zgodnie jak za starych, dobrych czasów. A potem opowiedziałem jej o włamaniu do ośrodkowego archiwum i pozwoliłem, by powiązała to z morderstwami. Używałem przy tym podobnych słów, jak podczas rozmowy z prezesem Kornimpeksu. Ale ona miała dużo lepszą pamięć.

— Ta dziewczyna z recepcji... — zaczęła z namysłem, oddając się wspomnieniom. — Chyba na imię było jej Zdziśka... Ona miała jakiegoś chłopaka i poprosiła, bym ją zastąpiła. Czasem tak robiłyśmy, chociaż ja raczej tego nie potrzebowałam. Kiedy dorabiałam sobie w Wojskowym Ośrodku Wypoczynkowym, ty i tak byłeś w Niemczech...

Zgodziła się na zamianę i o wyznaczonej porze zajęła miejsce w budynku recepcji. Spodziewała się sporego ruchu, bo międzyturnusowe imprezy cieszyły się dużą popularnością. Dlatego nie wzięła ze sobą nic do czytania. Później tego żałowała, bo tego

wieczoru gości było zaskakująco mało. Nudziła się jak mops.

— To był bardzo gorący dzień. Było chyba ze czterdzieści stopni. Pamiętam, że siedziałam w recepcji w samym bikini i było mi wszystko jedno, czy ktoś się na mnie gapi. Po południu przyszła burza, a po niej było jeszcze gorzej. To nie była pogoda na bankiet. Przyszło może z piętnastu gości...

Gości było może niewielu, ale za to same grube ryby. Zapamiętała większość z nich.

— Twój brat z żoną... burmistrz z żoną... bracia Gajewscy, kilku lekarzy ze szpitala — recytowała z przymkniętymi oczami. — I jeszcze kilku nauczycieli. I jakiś prokurator... Śmiałam się, bo do kompletu brakowało tylko księdza. Wtedy można by odegrać krótką rozmowę między panem, wójtem a plebanem...

— Krótką rozprawę — poprawiłem ją odruchowo. — Pamiętasz tych nauczycieli?

— Na pewno byli od ciebie z liceum — powiedziała w zamyśleniu. — Byli ci dwaj, co zawsze mi się mylili, był dyrektor...

— A Czarek? — spytałem z napięciem w głosie.

Uśmiechnęła się zwycięsko.

— Oczywiście, że był! Przyszedł jakoś później niż wszyscy, więc go zapamiętałam. Był pijany. Zresztą wszyscy byli pijani. W taką pogodę wystarczyło im kilka kieliszków...

Spytałem ją o nazwisko prokuratora, ale nie była w stanie mi go podać. Dobrze pamiętała natomiast małżeństwo Dzwonkowskich — lekarza Rafała i jego piękną żonę, do której wszyscy mówili z angielska „Kate”.

— On był ginekologiem... Miał taką dziwną twarz, w życiu bym do niego nie poszła. A ona... — zawiesiła głos.

— Co „ona”? — spytałem niecierpliwie, ale Agnieszka jeszcze przez chwilę milczała.

— O zmarłych należy mówić dobrze albo... wcale, prawda? Bo ta Kate...

— No mów, bo zaraz wyjdę z siebie!

— To była taka... latawica — powiedziała, lekko się rumieniąc. — Wiesz, nie z tych, co robią to za pieniądze... Raczej dla przyjemności. Mówili, że polowała na facetów...

— Przecież miała męża — przerwałem jej z oburzeniem, a ona posmutniała.

— Właśnie to podobało mi się w tobie najbardziej. Ta twoja prawość... — westchnęła. — Niestety obrączka jeszcze o niczym nie świadczy. Nimfomanki też wychodzą za mąż — dodała takim tonem, jakby tłumaczyła coś dziecku.

— A ten Rafał? Podobno bardzo ją kochał...

Westchnęła po raz drugi.

— Podobno tak. I jak przystało na kochającego męża, wołał niczego nie widzieć. A inni lekarze wytykali go palcami.

Zagryzłem wargi. Po wizycie w pasymskim zakładzie uważałem Dzwonkowskiego za cwaniaka, ale jej słowa zmieniły mój osąd. Skoro dopuszczał do tego, by żona przyprawiała mu rogi, to chyba nie był aż takim cwaniakiem?

— Dobrze ich znałaś?

Przez chwilę się zastanawiała.

— Jego nie — powiedziała wreszcie. — Był raczej introwertykiem, a poza tym ten jego wygląd... Raczej nie szukałam jego towarzystwa. A Kate? Ona przez dwa czy trzy sezony była kimś w rodzaju lokalnej gwiazdy. Ją znali wszyscy, ja też. Gadałam z nią kilka razy, ale się nie zaprzyjaźniłyśmy. W tamtych czasach uchodziłam za tę porządną — dodała, uśmiechając się smutno.

— No ja myślę — zażartowałam, przypominając sobie te długie dni rozłąki, kiedy pracowałam w Niemczech. — Skoro ta Dzwonkowska tak się udzielała, to dlaczego ja jej nie poznałam?

Agnieszka pokręciła z politowaniem głową.

— No jak myślisz, dlaczego? — spytała, a kiedy wzruszyłam ramionami, podniosła oczy ku niebu. — Ale wy, faceci, jesteście niedomyślni... Nie chciałam, byście się poznali. Bałam się, że zaczniesz cię podrywać.

— Mnie? — uśmiechnąłem się niewinnie. — A dlaczego właśnie mnie?

Zaśmiała się perliście, kładąc dłoń na moim przedramieniu.

— Przecież wiesz, że jesteś przystojny. Zresztą ona nie miała dużych wymagań. Podobał się jej nawet twój brat.

— Michał? — spytałem ze zdziwieniem, a potem chciałem coś dodać, ale ugryzłem się w język. Ale Agnieszka знаła mnie jak nikt inny.

— Chciałeś powiedzieć, że przecież twój brat ma żonę, tak? — zapytała, a jej podbródek zatrzęsł się od śmiechu. — Uwierz mi, dla niej to nie był żaden problem.

— Ale... mój brat? — wciąż nie mogłem w to uwierzyć, bo Michał był najbardziej stateczną osobą, jaką znałem. — Chyba jej się nie udało, prawda?

Przez chwilę milczała, a potem pokręciła głową.

— Nie, chyba nie. Ale Michał miał do niej słabość. Marysia kilka razy mi się skarżyła, że musi go pilnować.

To wszystko przekraczało granice mojej wyobraźni.

— A kto jeszcze, oprócz mojego brata, znalazł się na jej liście... podbojów? — spytałem wciąż oszołomiony.

— Spytaj lepiej, kto się nie znalazł — prychnęła Agnieszka. — Wszyscy ślinili się do niej jak psy. Na przykład ten twój Adaś. Pan burmistrz od siedmiu boleści...

— Też go podrywała?

— Można tak powiedzieć. Bzykali się jak króliki. — Złapała się za usta, przypominając sobie o bawiącym się nieopodal Zenku. — Ale nie tylko z nim — dodała szeptem. — Największą słabość miała do lekarzy...

Mówiła dalej, ale na moment się wyłączyłem. Adaś zawsze miał słabość do kobiet, ale myślałem, że po tym, jak się ożenił, potrafił nad sobą panować. Kompletnie go nie rozumiałem. Miał wszystko, czego mnie brakowało: żonę, kasę, karierę... Zamiast się tym cieszyć, zabawiał się z łatwymi panienkami albo włóczył nocami po lasach.

— Masz z nim kontakt? — spytałem, a ona popatrzyła na mnie zdziwiona. — Z Adasiem — uściśliłem.

Wstała i zabrała Zenkowi łopatkę, którą przed chwilą złamał.

— Jeszcze się skaleczysz, synku — powiedziała stanowczo, ucinając w zarodku

próbę protestu. — Ja go nie widuję, ale Janusz czasem się z nim spotyka. A dlaczego pytasz?

Powiedziałem jej o tajemniczym spotkaniu.

— Przy bunkrach? — zdziwiła się, a potem pokręciła głową. — Nie mam pojęcia, co tam robił, ale ja kiedyś też go tam spotkałam. I rzeczywiście był jakiś... zmieszany.

— Może ktoś z jego rodziny zginął w tych lasach na wojnie — mruknąłem, przypominając sobie ponemiecki grób. — Tylko dlaczego odwiedzał go o dwunastej w nocy...

— ...i dlaczego był taki zmieszany? — zgodziła się.

Przez chwilę roztrząsaliśmy dziwne zachowanie Adasia, ale nie wymyśliliśmy nic mądrego. Wróciliśmy do rozmowy o nocy, kiedy wybuchł pożar.

— Kate miała wtedy na sobie taką niebieską sukienkę — opowiadała Agnieszka. — Zapamiętałam, bo wyglądała w niej jeszcze bardziej zdzirowato niż zwykle. Wiem, że taka opinia w ustach dziewczyny, która siedziała w recepcji w samym staniku, ma niewielką wartość, ale kojarzyła mi się z tirówką. Okropna jestem, prawda? Głupio tak mówić o zmarłych...

Ja nie miałem żadnych skrupułów. Ta sprawa była dla mnie zbyt ważna.

— Pamiętasz może, z kim się tamtej nocy bawiła? — spytałem z napięciem.

Usiadła znów obok mnie i przez chwilę bujała się w milczeniu.

— Nie jestem pewna — przyznała wreszcie. — Chyba ze wszystkimi po trochu. Na pewno kręcił się przy niej burmistrz, ale on kręcił się zawsze... A poza nim? Wiem — ożywiła się nagle. — Na pewno bajerowała Cezarego, ale on nie wydawał się nią zainteresowany.

Pewnie była dla niego za stara — pomyślałem złośliwie.

— Można więcej szczegółów? — poprosiłem.

— Czarek przyszedł późno. Musiało być już po dwudziestej drugiej, bo było już zupełnie ciemno. Pamiętam to, bo się go przestraszyłam. Pojawił się w recepcji tak niespodziewanie, jak jakiś duch. Był w kiepskim humorze. Chciał klucze do któregoś z domków. Gdy mu je dałam, od razu się ulotnił. I wtedy wpadł na Kate. A ona nie chciała go puścić.

— Też była pijana?

— Ona zawsze wyglądała na lekko pijaną, ale chyba to była tylko poza. Nie potrzebowała alkoholu, tylko facetów. Ale tym razem jej się nie poszczęściło. Cezary odepchnął ją tak mocno, że o mało co się nie wywaliła. Wtedy gadałam z nią ostatni raz.

— Co mówiła?

— Nie spodoba ci się to... Tak jak nie spodobało się to Marysi.

— Marysi? Naszej Marysi? — upewniłem się.

— Tak. Kate powiedziała, że zaraz zajmie się moim szwagrem. Czyli...

— Wiem, kogo miała na myśli — przerwałem. — I nie uwierzę, że zdołała zbałamucić mojego brata. Zresztą przed chwilą mówiłaś...

W jej oczach rozbłysły złośliwe ogniki. Tak dobrze je znałem.

— Nie przejmuj się. Cnota twojego brata nie doznała żadnego uszczerbku. Nie byłby w stanie sprzeniewierzyć się swym wartościom...

— A widzisz — wtrąciłem triumfalnie, ale natychmiast sprowadziła mnie na ziemię.

— Był wtedy zbyt pijany, by... jak to powiedzieć...

— Dobra, nie kończ — mruknąłem z urazą w głosie, a ona roześmiała się tak zaraźliwie, że po chwili wraz z nią śmiał się jej synek. Odniosłem wrażenie, że oboje śmiali się ze mnie. — Mój brat był pijany?

Znałem go od urodzenia i nigdy nie widziałem, by się upił.

— Pokonał go upał. W środku nocy przyszła do mnie Marysia i razem go szukałyśmy. Leżał w krzakach, koło parkingu. Poprosiłyśmy kogoś i odprowadziłyśmy go do pokoju. Tak śmiesznie bełkotał, ale Marysia nie była zadowolona. Gdybyś ją wtedy widział...

Moja bratowa była człowiekiem wielkiej łagodności, ale gdy wpadała w szal, bezpieczniej było uciekać gdzie pieprz rośnie. Podejrzywałem, że Michałowi nieźle się wtedy dostało. Zapytałem o to, a Agnieszka uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

— Kiedy leżał już w łóżku, obiecała mu, że też się upije. Pewnie niewiele zrozumiał, ale naprawdę chciała to zrobić. Niemal siłą wyrwałam jej butelkę. Wyobrażasz sobie, jak to by się skończyło? Przecież ona prawie nie pije.

Przypomniałem sobie wczorajszą noc i pokręciłem ze smutkiem głową. W tej kwestii niestety wiele się zmieniło, ale nie chciałem wtajemniczać w to Agnieszki.

— Pewnie wróciłyście razem do recepcji i zaczęłyście plotkować?

Pokiwała głową.

— Jak dobrze nas znasz... Tak, posiedzieliśmy z godzinę, a w tym czasie impreza praktycznie się skończyła. Nie było muzyki, nie było ludzi... Na sali spotkałyśmy tylko żonę burmistrza. Uważała, że jej mąż zasnął gdzieś tak jak Michał, ale nie chciało jej się go szukać. Ponarzekaliśmy chwilę, a potem się rozstałyśmy. Ona zadzwoniła po taksówkę, Marysia poszła spać, a ja wróciłam do recepcji. Było już po północy. Posiedziałam trochę, a potem zasnęłam.

— I co?

— Obudziły mnie krzyki. Nie wiedziałam, co się dzieje. Za oknem było jasno, więc myślałam, że przespałam całą noc. Ale to była tylko łuna pożaru. A pod bramą stał wóz strażacki. Wybiegłam z recepcji i ich wpuściłam, a potem odruchowo pobiegłam za nimi. Domek płonął jak pochodnia. Strażacy nawet nie starali się go gasić. Pilnowali tylko, żeby ogień nie przeniósł się na drzewa. Oprócz nich na miejscu akcji byłam tylko ja i jeszcze jeden facet. Dopiero po jakimś czasie pojawiło się kilka osób z personelu. I dyrektor.

— A kto zadzwonił po straż? — zapytałam, bo w protokole zapisano, że zgłoszenie było anonimowe.

Rozłożyła ręce.

— Na pewno nie ja. Pewnie ten facet. Był bardzo zdenerwowany, ale został na miejscu aż do chwili, gdy domek się wypalił. To był chyba ten prokurator, ale głowy nie dam sobie za to uciąć...

— A reszta? Mój brat? Burmistrz? Lekarze?

— Nikogo nie było. Część spała, ale większość zdążyła wyjechać. Parking był prawie pusty...

Coś mi nie grało.

— A brama? Mówiłaś, że była zamknięta, tak?

— Tylko przymknięta. Nie zamykałam jej na klucz, bo musiałabym co chwila ją otwierać.

Pokiwałem głową. To i tak nie miało w tej chwili znaczenia. Najważniejszy był prokurator. Wyciągnąłem telefon i wpisałem do wyszukiwarki imię i nazwisko. Po chwili podetknąłem jej pod nos zdjęcie Patryka Mauera.

— Czy to był on? — spytałem, ale tylko wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. To było pięć lat temu. Mam dobrą pamięć, ale nie aż tak...

— Przecież mówiłaś, że był tam do samego końca. Postaraj się — prosiłem, a ona jeszcze raz przyjrzała się fotografii.

— Przystojny facet — stwierdziła, a potem rozłożyła ręce. — Nie wiem, naprawdę. Nie zdążyłam mu się przyjrzeć. Cały czas patrzyłam na ten płonący domek i zastanawiałam się, czy ktoś był w środku.

— Ale to był domek Dzwonkowskich, prawda?

— Tak, ale na początku tego nie wiedziałam. Nie znałam tamtego ośrodka. Pracowałam przecież w WOW-ie. Dopiero jak dyrektor powiedział o tym strażakom, a oni zdobyli skądś numery i zaczęli do nich dzwonić... — urwała, nerwowo przełykając ślinę. — Ktoś usłyszał sygnał telefonu jej męża. Znaleźli go w krzakach, kompletnie nawalonego. O tym, że w pożarze zginęła Kate, dowiedziałam się dopiero następnego dnia, od Zdziśki...

— A kiedy pojawiła się policja?

— Kiedy pojawiła się policja, mnie już tam nie było — wyznała ze wstydem. — Nie chciałam mieć kłopotów. Gdy tylko usłyszałam syrenę, wsiałam na rower i wróciłam do Mogielna. Z domu zadzwoniłam do Zdziśki, a ona natychmiast tam pojechała. Podobno ją przesłuchiwali, ale na szczęście mnie nie wsypała.

Niedbałość policji wydała mi się dziwna. Tym bardziej że na miejscu był prokurator. Przecież nie mógł nie zauważyć Agnieszki. Rzuciła się w oczy o każdej porze, nawet nad ranem. Chyba że prokurator nie chciał być kojarzony z tym pożarem. W końcu jego nazwisko nie znalazło się nawet w strażackim protokole.

— A ten prokurator... on czekał na policję, prawda?

Znów wzruszyła ramionami, ale po chwili się wzdrygnęła.

— Nie, oczywiście, że nie czekał — powiedziała zdecydowanym głosem. — W pewnym momencie postanowił się ulotnić. Szef strażaków chciał go zatrzymać, mówił coś o szoku... Ale burknął mu coś niegrzecznie i sobie poszedł. Mnie też chcieli zatrzymać do przyjazdu karetki. Powiedziałam im, że skoro jemu nic nie było, to i ja jakoś sobie poradzę...

Mały Zenek, który od jakiegoś czasu przysłuchiwał się naszej rozmowie, nagle się rozpląkał. Agnieszka wzięła go na kolana i delikatnie głaskała po głowie. Poczujęm w sercu bolesny skurcz. Gdyby nie splot niepomysłnych okoliczności, to miałbym piękną rodzinę, a tak... Czekał mnie powrót do zapleśniałego baraku, który dzieliłem ze złodziejem-recydywistą, samotną matką i tajemniczym niedźwiedziem spod wschodniej granicy, który czasem zachowywał się tak, jakby to on był kierownikiem ośrodka.

— A słyszałaś o tej dziewczynie, która podobno wtedy zaginęła? — zapytałem, gdy Zenek przestał płakać.

— O tej małej z Gęglawek? Pewnie, że słyszałam. Mówiło się, że uciekła z domu, ale nie wiem, co było dalej. Szukali jej podobno przez miesiąc, ale chyba bez powodzenia.

— Znałaś ją?

— A skąd miałam ją znać? Przecież wiesz, że do WOW-u nie wpuszczają miejscowych... To raczej ty powinieneś ją znać. Ile ona miała lat?

— Siedemnaście.

— No właśnie. Nie znałeś jej ze szkoły?

Zakląłem pod nosem. Tego nie brałem pod uwagę. W powiecie mogielneńskim były trzy szkoły średnie: liceum, liceum ekonomiczne i technikum leśne, z tym że technikum — jeżeli chodzi o dziewczyny — raczej odpadało. Jeżeli chodziła do szkoły, to w grę wchodziły tylko dwa licea — moje albo ekonomik.

— Chyba coś bym słyszał, gdyby zaginęła uczennica — mruknąłem, ale wcale nie miałem pewności.

W szkole były po trzy równoległe klasy: matematyczno-fizyczna, humanistyczna i sportowa, a ja miałem zajęcia tylko z humanistyczną. Co prawda zaginięcie jakiegokolwiek uczennicy wywołałoby w szkole burzę, ale tamtego lata trafiła mi się w Niemczech dodatkowa fucha i za zgodą dyrektora wróciłem do pracy dopiero w połowie września. Całe zamieszanie związane z zaginięciem... histeria koleżanek... apele pamięci... to wszystko mogło po prostu mnie ominąć. Jeżeli dziewczyna nie chodziła do mojej klasy, to była możliwość, że zwyczajnie to przegapiłem.

Nie wystawiałoby mi to dobrego świadectwa. Ani jako pedagogowi, ani człowiekowi.

— Nie wiem, gdzie się uczyła — wtrąciła szybko Agnieszka, wyczuwając moje wątpliwości. — Równie dobrze mog-ła wcale nie chodzić do szkoły. Wiesz, jak to jest w takich dziurach jak Gęglawki. Najlepiej, jak spytasz o nią kogoś z miejscowych.

Pokręciłem sceptycznie głową. Kogo miałem spytać? Szalonego Macieja? Albo tych kilku starszków, którzy nie zdążyli się stamtąd wynieść? Większość dawnych mieszkańców wsi już dawno rozjechała się po świecie. Tak jak choćby Ilona. Ilona... No właśnie, Ilona.

Już wiedziałem, kto zostanie moim źródłem informacji.

Popatrzyłem na Agnieszkę, a ona szybko odwróciła wzrok. Wyczerpaliśmy już tematy „służbowe” i zapadła między nami chwila kłopotliwego milczenia. Zenek zeskokczył z kolan mamy i popędził w odległy róg posesji. Wstałem i chciałem się pożegnać.

— A co u Michała? — zapytała mnie, a ja znów usiadłem. Zdałem sobie sprawę, że nie chcę jeszcze iść.

— Robi się coraz grubszy i coraz bogatszy — powiedziałem złośliwie, ale pod tą maską złośliwości kryło się przywiązanie. — Niedługo wykupi całe miasto.

— A jak się czuje? Przeszło mu już?

— Co mu przeszło? — spytałem zaniepokojonym głosem. — Jest zdrowy jak ryba. Zawsze był...

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Ty nic nie wiesz? Michał miał poważne problemy z sercem.

Aż się podniosłem.

— Co?! — spytałem kompletnie zszokowany.

Nasz ojciec umarł na zawał, ale my mieliśmy być przecież niezniszczalni. Michał pływał jak ryba, pracował od rana do nocy i nigdy się nie skarżył. Zgoda, pojawiły mu się siwe włosy, a jego wzrok nie był już tak sprawny jak kiedyś, ale wyglądał i zachowywał się zupełnie normalnie. Tylko palił jak smok — z roku na rok coraz więcej.

— W zeszłym roku trafił do szpitala. Nie mówił ci?

Próbowałem sobie coś przypomnieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Wiedziałem tylko, że nie opuścił żadnego widzenia. Odwiedzał mnie regularnie dwa razy w miesiącu.

— Za dużo pracuje — burknąłem, czując wyrzuty sumienia. Te dojazdy do Bartoszyca musiały być wykańczające, zwłaszcza że odbywały się kosztem odpoczynku. — Pogadam z nim, powinien trochę zwolnić. Zresztą oboje potrzebują odpoczynku. Z Marysią też nie jest najlepiej...

— Teraz jest i tak dużo lepiej niż wcześniej — westchnęła Agnieszka. — Podobno przez rok nie wychodziła z domu...

Przypomniałem sobie fiołki z xanaxem, a potem popatrzyłem na swoją byłą narzeczoną. Obie przeszły załamanie nerwowe, a brat podobno miał chore serce. Czy to była jakaś epidemia? W naszej rodzinie — bo wciąż myślałem o nas jak o rodzinie — zdrowy pozostałem tylko ja.

— Mama, pić! — oznajmił Zenek, podbiegając do niej i chwytając za kolana. Był umorusany jak nieboskie stworzenie.

Agnieszka posłusznie pokłusowała w kierunku domu.

— Chcesz soku? — zapytała, obracając się do mnie od drzwi.

Stwierdziłem, że chętnie się napiję. Potem podniosłem z ziemi piłkę i kilka razy ją podbiłem, a Zenek zapiszczał z uciechy. Kopnąłem w jego stronę, a on złożył się do strzału.

— Brawo! — krzyknąłem, gdy piłka pokoziołkowała po kamiennym chodniku w stronę furtki.

Chciałem po nią pobiec, ale nie było takiej potrzeby. Piłka zatrzymała się gwałtownie pod czarnym pantoflem. Uniosłem wzrok i zobaczyłem, że na posesję wszedł właśnie jej właściciel. Nawet stąd widziałem, że jego oczy wypełniała nienawiść.

— O cholera — zakląłem pod nosem.

Byłem pewien, że pan doktor ma dyżur. Nie chciałem się z nim spotkać. Już wczoraj miałem okazję stwierdzić, że nie pałał do mnie sympatią.

Zerknąłem na dom, ale Agnieszka zdążyła zniknąć w jego wnętrzu. Zdałem sobie sprawę, że z perspektywy jej męża sytuacja wyglądała dziwnie. Były fagas jego żony bawił się na jego własnym podwórku z jego własnym dzieckiem. Na jego miejscu sam bym się wkurzył.

Ale może nie aż tak jak on.

— Co ty tu robisz? — napadł na mnie, wplatając w swoją wypowiedź dwa

przekleństwa.

Zenek zaczął płakać. A mnie zrobiło się głupio.

— Spokojnie, proszę pana. Zaraz panu wszystko wytłumaczę...

Nie dał mi skończyć. Podbiegł do mnie i zamachnął się pięścią. W jego oczach zamigotało coś dziwnego. Odniosłem wrażenie, że na chwilę przeniósł się do świata swoich pacjentów.

Nie dałem mu się trafić. Odskokczyłem, a on zachwiał się i upadł na kolano. Był kilkanaście lat starszy ode mnie, a dodatkowo przeszkadzał mu dość pokaźny brzuch. Mogłem dać mu klapsa i spokojnie wyjść, ale nie chciałem tego robić. Z wielu powodów, z których najważniejszy siedział właśnie na trawie i darł się wniebogłosey.

— Nie przy dziecku, kretynie — wycodziłem, po czym powoli się wycofałem. — Znikam. Agnieszka wszystko ci wyjaśni.

Byłem w połowie drogi do furtki, gdy znów mnie zaatakował. Tym razem jego pięść minęła moją głowę tylko o kilka centymetrów.

— Janusz! Co ty wyprawiasz? — usłyszałem paniczny wrzask Agnieszki.

Liczyłem, że rzuci się między nas i — jak na kobietę przystało — złagodzi obyczaje, ale zapomniałem o najsilniejszym z instynktów. Jak po sznurku pobiegła do Zenka i wzięła go w ramiona, nawet na nas nie patrząc. A my krążyliśmy wokół siebie jak dwa buhaje. Uznałem, że trzeba jak najszybciej przerwać tę groteskę.

— Opanuj się, chłopie — warknąłem, ale mnie nie słuchał.

Nie miałem do niego żalu. Bronił tylko swojej rodziny. W jego mniemaniu byłem kryminalistą, który od trzech miesięcy kręcił się wokół jego domu, czekając nie wiadomo na co. Na jego miejscu dawno zawiadomiłbym policję.

Uznałem, że dalsze przekonywanie go do swojej „niewinności” nie miało sensu. Był zbyt zdenerwowany. Gdy szykował się do kolejnego ciosu, ja się odwróciłem i zacząłem uciekać. Dopadłem do płotu otaczającego posesję i przeskoczyłem go, lądując na podwórku sąsiada. Dyrektor szpitala stał wciąż w miejscu, trzymając przed sobą zaciśniętą pięść. Dostrzegłem, że sapie jak parowóz. Posłałem mu ostatnie — w moim mniemaniu pojednawcze — spojrzenie i pomknąłem przed siebie, docierając do ulicy.

Nawet stąd słyhać było głośny płacz dzieciaka. Obiecałem sobie, że już nigdy tu nie przyjdę.

Wskoczyłem za kółko i oparłem dłonie na kierownicy. Mąż Agnieszki podszedł do ogrodu i coś za mną krzyczał. Uniosłem dłoń, ale ten pokojowy gest nie podziałał tak, jak się spodziewałem. Usiłował przejść przez płot, ale zawadził stopą o metalową sztachelkę i zwałił się w rabatki. Popatrzyłem z żalem na jego ubłocony garnitur, a potem dodałem gazu. Gdy straciłem go z oczu, na moich ustach pojawił się pełen sympatii uśmiech. Facet był pierdołą, ale najwyraźniej kochał Agnieszkę aż do szaleństwa. A ja chciałem przecież dla niej jak najlepiej.

Było akurat wpół do czwartej. Karolina już na mnie czekała. Z ratusza wychodzili urzędnicy, ale pośród nich nie dostrzegłem Adasia. Byłem ciekaw, czy przyszedł dziś do pracy.

Gdy na nią spojrzałem, natychmiast zapomniałem o burmistrzu. Wyglądała na przejętą. Nie wiedziałem, czego się dowiedziała o zaginionej dziewczynce, ale musiało to

być coś wstrząsającego.

— Mów — poprosiłem, gdy tylko usiedliśmy pod parasolem, a kelnerka postawiła przed nami dwie fanty.

O jej przejęciu świadczyło to, że nawet nie spytała mnie, gdzie byłem.

— Śledztwo ruszyło z miejsca — mruknęła, patrząc na mnie uważnie. — Nie ciesz się tak. Najbardziej interesują się właśnie tobą.

— Ale dlaczego? — wyjąkałem, tracąc cały entuzjazm. — Co ja mam z tym wspólnego?

Wzięła potężny łyk. Odniosłem wrażenie, że gra na czas.

— Nie wiem — powiedziała wreszcie. — Słuchaj, coś ty nawywijał w więzieniu? Zbiła mnie z tropu. Co miał do tego wszystkiego mój pobyt za kratami?

— Nic — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — Byłem wzorowym więźniem. Z tego, co wiem, wychowawcy wystawiali mi zawsze same laurki.

Zagryzła wargi. Miałem dosyć jej rozterek. Zażądałem, by wywaliła kawę na ławę.

— Prokuratura wystąpiła wczoraj do Zakładu Karnego w Bartoszycach o twoją teczkę. Jest coś takiego jak teczka skazańca, prawda?

— A skąd mam wiedzieć? — Naskoczyłem na nią, pocąc się z emocji. — Nie wiem, gdzie trzymali moje papiery. Pewnie w jakiejś teczce, ale nigdy jej nie widziałem...

— Prokuraturę interesowało wszystko... Twoje przyzwyczajenia, słabości, nałogi. Ale najbardziej zainteresowani byli twoimi... znajomościami. Wystąpili o listy więźniów, z którymi przebywałeś w jednej celi.

Zbyt gwałtownie przechyliłem szklankę i część fanty wylądowała na mojej koszulce, ale nie zwróciłem na to większej uwagi.

— Chcą wiedzieć, z kim siedziałem? To nedorzeczne...

To rzeczywiście było nedorzeczne. Przecież ci ludzie nie mieli nic wspólnego z morderstwami w „Rybitwie”. Ani tym bardziej z wydarzeniami sprzed lat. Z pożarem... czy zaginięciem dziewczyny. Gdyby odwiedzali Gęglawki, na pewno bym o tym wiedział.

— Dorzeczne czy nedorzeczne... — westchnęła Karolina, bawiąc się słomką. — Sytuacja jest ciężka. I to głównie dla ciebie, bo góra chce wyników. I to już, na *cito*. Muszą kogoś zatrzymać, a poza tobą nie mają innych podejrzanych...

— Ale ja jestem niewinny...

— Wiem. I oni pewnie też to wiedzą. Ale coś muszą zrobić, bo inaczej ktoś utnie im premie.

Jeżeli chciała mnie tym uspokoić, to nie bardzo jej się udało. Miałem ich premie głęboko w... poważaniu. Myśl o tym, że znów znajdę się za kratami, napępiała mnie przerażeniem.

— Ale przecież nie mam motywu... — Spojrzałem na nią błagalnym wzrokiem, lecz ona rozłożyła bezradnie ręce.

— Panu Tadeuszowi zniknęło trochę kasy. Niezbyt wiele, ale na tyle dużo, by dać im punkt zaczepienia.

Przez chwilę kłąłem monotonicznie, unikając jej wzroku. Poklepała mnie po ramieniu.

— Nie gniewaj się. Mnie też się to nie podoba. Myślisz, że dlaczego wciąż mówię

o policji „oni” czy „im”. Kompletnie się nie zgadzam, ale co mogę zrobić? — zamyśliła się. — Chyba tylko jedno. Rozwiązać zagadkę tych morderstw samodzielnie. I to w wolnym czasie, bo w trakcie służby muszę wykonywać te głupie polecenia.

Popatrzyłem na nią bezradnie.

— A ja co mam robić? Czekać w pobliżu komisariatu, żeby mieli po mnie bliżej?

Roześmiała się tak spontanicznie, że sam wykrzywiłem usta w uśmiechu.

— Na twoim miejscu spróbowałabym się dyskretnie dowiedzieć, o co chodzi z tymi twoimi kumplami. Może któryś z nich coś wie... Tylko nie próbuj do nich dzwonić — ostrzegła mnie niepotrzebnie, a potem zerknęła na zegarek. — A co do tej dziewczyny... W archiwum była do jej sprawy cała półka. Nie miałam zbyt wiele czasu. Przejrzałam na szybko kilka tomów...

Z jej słów wynikało, że zawiadomienie o zaginięciu siedemnastoletniej dziewczyny — Aliny Janeczek — wpłynęło na policję w początkach sierpnia. Złożyła je jedna z nauczycielek liceum ekonomicznego — dziewczyna uczestniczyła w wakacyjnych zajęciach i pewnego dnia przestała na nie przychodzić. Przeprowadzono wywiad środowiskowy, który wykazał, że pochodziła z patologicznej rodziny i od początku nauki w liceum zamieszkiwała w przyszkolnej bursie.

Działania policji utrudniał fakt, że nikt tak naprawdę dobrze jej nie znał. Z rodziną trudno było się dogadać, a koleżanki jedna z drugą twierdziły, że tak naprawdę nic o niej nie wiedziały. Była skryta i chodziła własnymi ścieżkami. Żyła ze skromnego stypendium i prawie nigdy nie jeździła do domu. Uczyła się dość dobrze, ale nie na tyle, żeby się wyróżniać.

— Sfotografowałam plakat z jej zdjęciem. Był w aktach. Swojego czasu rozlepiali je w całym województwie.

Była jasną blondynką o nieśmiałym uśmiechu. W jej wyglądzie nie było nic niezwykłego.

— Rzeczywiście nie wygląda na siedemnaście lat — mruknąłem, przypominając sobie słowa prezesa Kornimpeksu. — Chodziła do ekonomika, tak? — upewniłem się, choć byłem pewien, że nigdy jej nie widziałem.

Z policyjnych analiz wynikało, że najbardziej prawdopodobnym scenariuszem była ucieczka z domu. Poszukiwania prowadzone były nad morzem i w górach, a jej zdjęcie przesłane zostało nawet do Interpolu. Ale mijały dni, a potem tygodnie, a Alina nie wracała...

— Porwania oczywiście się zdarzają, ale dziewczyna była biedna jak mysz kościelna. A poza tym... chociaż brzmi to brutalnie... za stara na adopcję lub na to, by wykorzystać ją jako... dawcę narządów. Dużo bardziej prawdopodobny wydawał się zgon, ale pomimo poszukiwań nigdy nie znaleziono ciała.

Dopiłem fantę. Historia Aliny Janeczek była dziwna i tajemnicza, ale nie potrafiłem powiązać jej zaginięcia z pożarem ośrodka. Zaczynałem sądzić, że był to tylko dziwny zbieg okoliczności. Idąc tym tropem, wykluczyłem związek jej zniknięcia z dramatem, który rozgrywał się w „Rybitwie”.

Ale Karolina nie była do końca przekonana.

— Pamiętaj, że nie wiemy, czym tak naprawdę interesował się detektyw. A może

wcale nie chodziło o pożar, tylko o Alinę?

Otworzyłem usta i wleciała mi do nich mucha. Rozkaszałem się.

— Ale kradzież... Włamanie do archiwum... Zginęły przecież dokumenty dotyczące imprezy... — wydusiłem, z trudem łapiąc oddech.

— A skąd wiesz, czy podczas tej imprezy nie wydarzyło się jeszcze coś? — spytała Karolina, a ja ponownie przeanalizowałem w myślach to, czego dowiedziałem się od Agnieszki i prezesa Kornimpeksu.

— Masz rację — stwierdziłem po chwili. — Nie można tego wykluczyć.

Opowiedziałem jej o swojej rozmowie z Agnieszką. Zrobiła wielkie oczy. Sądziłem, że chodzi jej o wagę uzyskanych informacji, ale w pierwszej chwili bardziej zainteresował ją fakt, że po pięciu latach spotkałem się ze swoją byłą narzeczoną.

— Wow — wyjąkała, patrząc na mnie z mieszaniną współczucia, podziwu i niedowierzania. — I tak po prostu sobie gadaliście? Jak gdyby nigdy nic?

W jej głosie brzmiały podobne nuty, co w głosach moich współwięźniów, kiedy mówiłem im, że nie mam żalu o zdradę. Była jeszcze młoda i widziała świat w czarno-białych barwach.

— Tylko koniec naszego spotkania był nietypowy — mruknąłem, przypominając sobie rozjuszonego dyrektora szpitala.

Gdy przetrawiła informacje uzyskane od Agnieszki, na jej twarzy pojawił się sceptycyzm.

— Nawet jeżeli tym prokuratorem był Mauer, to jego zachowanie świadczy o tym, że nie zrobił tamtej nocy nic złego.

— Uciekł przed policją, a potem wymazał swoje nazwisko z protokołu akcji gaśniczej... — przypomniałem, bo świadomość, że w tamte wydarzenia zamieszany był prokurator, pozwalała mi formułować ciekawe hipotezy.

— Załóżmy, że masz rację — kiwnęła głową dziewczyna. — Ale zwróć uwagę, że jednak tam był. Nie zwiął tak jak inni. Był tam do momentu, kiedy miało to sens. A co do policji... Może nie chciał dmuchać w balonik. Albo coś nawywijał i nie chciał, by dowiedziała się o tym jego żona.

— A on ma w ogóle żonę? — spytałem, bo w więzieniu nauczyłem się zwracać uwagę na takie szczegóły jak obrączka. A on jej nie nosił.

— Nie wiem, ale mogę się dowiedzieć. — Podniosła telefon i połączyła się z jakąś koleżanką, której piskliwy głos docierał także do mnie. — Pytałam naszej sekretarki — wyjaśniła, skończywszy połączenie. — Ona wie wszystko o wszystkich. Jest kawalerem.

— Ciekawe... stary kawaler — zamyśliłem się, a Karolina niespodziewanie parsknęła śmiechem.

— Uważaj na to, co mówisz — poprosiła. — Sam też jesteś już starym kawalerem. A prokurator Mauer... To cham, ale z opowieści twojej... — zawiesiła głos — byłej narzeczonej... wynika, że tamtej nocy zachował się w porządku.

Zmarszczyłem groźnie czoło.

— Stary kawaler... Też coś — ofuknąłem ją żartobliwie, wdzięcząc się przy tym jak nastolatka. Oboje się zaśmialiśmy, ale Karolina nagle zamilkła.

— O cholera! — zerwała się od stolika, patrząc na wieżyczkę ratusza. Przed kilku

laty zainstalowano na niej zegar i wkrótce potem zaczęto nazywać ją Big Benem. — Od dziesięciu minut powinnam być na komendzie. Zapłacisz? — poprosiła i po kilku sekundach rozplynęła się wśród przechodniów.

Ja jeszcze przez chwilę siedziałem na swoim miejscu, zaabsorbowany nowym pomysłem. Nabazgrałem na serwetce nazwy miejsc, które — o ile mogłem uwierzyć listonoszowi podrzucającemu mnie rano do Gęglówek — odwiedził w Mogielnie pan Tadeusz. Cmentarz, na którym pochowano Dzwonkowską, był oczywistym punktem wyjścia. Szpital, w którym prawdopodobnie badano to, co z niej zostało, też sam się nasuwał. Listonosz mówił jednak także o liceum... Nie wiedziałem, jaką szkołę kończyła Kate, ale na pewno było to dawno temu. Całe lata przed pożarem, a poza tym nie w Mogielnie, bo — o ile dobrze pamiętałem — nie pochodziła stąd.

Zacząłem się zastanawiać, po co panu Tadeuszowi była ta szkoła. Nie mogło chodzić ani o Kate, ani o zaginioną dziewczynę, bo ta uczyła się w liceum ekonomicznym. Powodem jego wizyty w mogielneńskim liceum mógł być natomiast Cezary. Postanowiłem to sprawdzić.

„Moje” liceum było dwie przecznice stąd. Wiedziałem, że mogę tam liczyć na miłe przyjęcie. Wciąż miałem w szkole dużo znajomych, a dyrektor — gdy pewnego dnia spotkałem go nad jeziorem — szczerze zapraszał, bym któregoś dnia wpadł do niego na kawę. Uznałem, że ten dzień właśnie nadszedł. Zmiałem serwetkę i wstałem z miejsca, a po chwili siedziałem już w samochodzie, przeklinając swoje lenistwo, bo równie szybko dotarłbym na miejsce piechotą.

Szkoła mieściła się w przedwojennym gmachu, tuż obok starego parku. Budynek był jak na warunki Mogielna imponujący — dwa skrzydła, cztery piętra i monumentalne schody, które kojarzyły mi się ze Schodami Potiomkinowskimi w Odessie. Wielkie okna, przestronne korytarze... Wschodniopruska architektura naprawdę potrafiła się podobać, zwłaszcza jeżeli spojrzano się na stojące nieopodal bloki z wielkiej płyty.

Ze szkołą związane były wyłącznie miłe wspomnienia. Lubiłem to miejsce — i to zarówno jako uczeń, jak i nauczyciel. Pierwszy raz przekroczyłem progi liceum dokładnie dwadzieścia lat temu. Majestatyczne świerki, w cieniu których zaparkowałem, były wtedy małymi krzaczkami, a asfaltowe podwórko — teraz pełne dziur i odcisniętych śladów opon — lśniło nowością. Później stawiałem tu pierwsze kroki jako nauczyciel. Do dziś pamiętam, jak bardzo się denerwowałem przed pierwszą lekcją i jak gładko mi ona poszła...

Westchnąłem cicho, a potem wziąłem się w garść. To nie był czas na wspomnienia. Czując przyjemne podniecenie, wbiegłem po stromych schodach i pchnąłem drzwi. Po drugiej stronie nadziełem się na starowinkę.

— Dziś zamknięte — burknęła na mnie, jak tyle razy przedtem. — Rok szkolny zaczyna się jutro...

— Wiem, pani Lodziu. — Ukłoniłem się z szacunkiem, a ona mnie poznała. — Czy jest dyrektor?

— Pan Marcin... Jak miło pana widzieć. — Woźna-staruszka rozczuliła się do tego stopnia, że chciała mnie wycalować. Wyrwałem się w ostatniej chwili. — Właśnie skończyli radę. Jest u siebie...

Też czułem się tutaj jak u siebie. Wbiegłem na pierwsze piętro i — jak setki razy przedtem — pchnąłem drzwi sekretariatu.

To, że ta szkoła była tak przyjazna, było zasługą dyrektora. Trwał na swoim stanowisku już ze dwadzieścia lat i wszyscy ludzie, którym los szkoły nie był obojętny, życzyli mu kolejnej dwudziestki. Miał pomarszczoną twarz, bujne siwe włosy i sumiasty wąs. Było w nim coś ze Świętego Mikołaja.

— Marcin! — Energicznie uściśnął mi rękę i usadził w fotelu, traktując mnie jak honorowego gościa. Taki już był. — Jak miło cię widzieć...

Z przyjemnością dostrzegłem, że czas był dla niego łaskawy. Jedyne jego oczy były podpuchnięte bardziej niż zwykle. Okazało się, że ze zmartwienia. Tak jak wszyscy, bardzo przeżywał śmierć swojego nauczyciela.

— Jutro początek roku, a pojutrze ma się odbyć pogrzeb — poinformował mnie, gdy sekretarka przyniosła kawę. — Aż się nie chce wierzyć. Taki młody facet — wziął w rękę kartkę papieru i podał mi ją nad biurkiem. — Rzucisz okiem?

To był tekst nekrologu, który miał się ukazać w jutrzejszej prasie. Przebiegłem go wzrokiem, nie znajdując błędów.

— Nie wiedziałem, że miał na drugie imię Czesław — powiedziałem, odkładając kartkę. — Cezary Czesław Cybulski... W skrócie CCC. Tak jak sklepy z butami — dodałem z rozpędu, choć pewnie nie wypadało tak żartować.

Korzystając z chwili milczenia, zapytałem go o detektywa. Wyglądał na zaskoczonego.

— Zbierał w szkole jakieś informacje? Pierwsze słyszę — stwierdził. — Czy to ma jakiś związek z tymi morderstwami?

— Tylko taki, że ten detektyw był pierwszą ofiarą — odpowiedziałem. — Staram się znaleźć między nimi jakieś powiązanie, ale nie bardzo mi wychodzi...

Popatrzył na mnie z troską.

— Widzę, że ty też bawisz się w detektywa. Z tego, co mówisz, wynika, że jest to niebezpieczna zabawa. Może daj wykazać się policji.

Nie chciałem go wtajemniczać w motywy swojego działania. Wolałem słuchać, niż mówić. Zapytałem go o zaginioną dziewczynę, ale niewiele mi powiedział.

— Ona chodziła do ekonomika. Nie wiadomo, co się z nią stało. Może doszło do tragedii, a może mieszka teraz gdzieś daleko stąd i jest szczęśliwa? Z tego, co słyszałem, nie miała łatwego życia...

Był zawsze powściągliwy w swoich osądach. Zazwyczaj bardzo to w nim ceniłem, ale dzisiaj wolałbym, by nie ważył każdego słowa. Jego powściągliwość była szczególnie jaskrawa, gdy mówił o Czarku. Widać było, że niezbyt go cenił, ale nie wypowiedział na jego temat ani jednego złego słowa.

— Jaki był, taki był — powiedział, gdy się zegnaliśmy. — Było na niego trochę skarg, ale nigdy nie złapałem go za rękę. A zresztą... Teraz niech sądzi go kto inny.

Już za drzwiami przypominałem sobie słowa starego nauczyciela, z którym rano zbierałem grzyby. Zapukałem i wróciłem do gabinetu. Tym razem postanowiłem nie owijać w bawełnę.

— Panie dyrektorze, czy w sprawie Czarka były na pana jakieś naciski... na przykład z magistratu?

Popatrzył na mnie przenikliwie, a potem się roześmiał.

— Zapomniałem, jaki potrafisz być uparty... Naprawdę nam tu ciebie brakuje. Tak, to prawda. Kiedyś chciałem, by odszedł, ale twój przyjaciel prosił, bym dał mu drugą szansę.

— Adaś?

— Tak, Adaś. Powiedziałem mu, żeby poszedł do diabła. Nie wyrzuciłem Czarka z innego powodu. Widzisz, pojawiły się plotki, że ma wylecieć z pracy z powodu swych... skłonności. Gdybym go wtedy wylał... sam wiesz. Uznałem, że nie mam podstaw, by łącać mu życie.

— To prawda, że z biegiem lat te... skłonności mu się nasiliły?

Dyrektor westchnął.

— Odpowiem ci w ten sposób: przez ostatnie dwa lata patrzyłem mu na ręce. Jeżeli zobaczyłbym coś niewłaściwego, osobiście bym go zatłukł. Wierzysz mi?

Powiedział to takim tonem, że odruchowo pokiwałem głową. Nie żartował. Naprawdę by go zatłukł.

— Czyli był w porządku, tak?

— Był starym kawalerem z lekko zwichrowaną psychiką. Może i podobały mu się młode dziewczyny, ale umiał nad sobą panować. A teraz wybaczone, ale nie mam ochoty więcej o nim rozmawiać. W myśl zasady: *de mortuis aut bene, aut nihil*. Wiesz, co to znaczy?

Uśmiechnął się. Chociaż od lat nie prowadził lekcji, to wciąż siedział w nim belfer. Zaszurałem nogami jak sztubak i czym prędzej dałem nogę. Nie miałem ochoty na egzamin z łaciny.

Za zakrętem korytarza niespodziewanie wpadłem na... Adasia. Prędzej spodziewałbym się ujrzeć tu ducha. Obaj zastygliśmy w bezruchu, nie wiedząc, jak się zachować.

— Dorosłeś już do rozmowy? — spytałem wreszcie, a on drgnął, usiłując ukryć coś za plecami. — Co tam chowasz?

Podszedłem do niego i zobaczyłem, że trzyma w ręku reklamówkę, którą wypełniały ciuchy i jakieś szpargały. Rozpoznałem męskie dresy, a potem przeniósłem wzrok na dalszą część korytarza. Na lewo znajdowały się drzwi do pokoju nauczycielskiego.

— Zostaw mnie — mruknął Adaś i próbował mnie wyminąć, ale zastąpiłem mu drogę.

— To są rzeczy Czarka — wymamrotałem, wciąż w to nie wierząc. — Wziąłeś je z jego szafki?

Powinienem powiedzieć „ukradłeś”, ale nie przeszło mi to przez gardło. Nie umiałem użyć tego słowa w stosunku do chłopaka, z którym dorastałem. A już na pewno nie w tych murach. Położyłem mu rękę na ramieniu.

— O co chodzi, Adam? Dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?

Przez moment się wahał. Wyglądał na skrajnie zdenerwowanego. Myślałem, że pięknie, ale nagle stracił moją rękę i mnie odepchnął.

— Daj mi spokój, Marcin. Proszę.

W jego głosie było tyle smutku, że zrobiło mi się go żal.

— Dlaczego tamto miejsce jest dla ciebie takie ważne? — zapytałem łagodnie. — To czyjś grób? Kogoś z rodziny? A może coś tam ukrywasz?

Chyba trafiłem, bo podskoczył, jakby ktoś smagnął go batem. Oczekiwałem, że będzie zaprzeczał, ale mnie zaskoczył.

— To nie twoja sprawa! Daj mi spokój i nigdy tam nie wracaj! — krzyknął, a potem pobiegł korytarzem, ściskając w ręku reklamówkę z rzeczami Czarka. Spodziewałem się, że wkrótce zapuka do niego policja.

Wszedłem do pokoju nauczycielskiego i przez chwilę wspominałem czasy, gdy spędzałem tu całe godziny. Pomieszczenie było zupełnie puste. Ze wzruszeniem spostrzegłem, że na suszarce stoi mój stary kubek. Widocznie ktoś go przejął. Odnalazłem szafkę Cezarego i spróbowałem ją otworzyć, ale Adaś zamknął ją na klucz. Na drzwiczkach jakiś dowcipniś umieścił naklejkę z reklamą firmy obuwniczej.

— Cezary Czesław Cybulski — wyszeptałem. — CCC.

Nagle poczułem się tak, jakbym przegapił coś ważnego. Tylko co? Odpowiedź czaiła się tuż za rogiem mojej podświadomości. Uczucie, że jestem o krok od przełomu, było tak silne, że aż namacalne. Wyteżyłem umysł, ale na próżno. Zamiast szeptu z dna duszy usłyszałem dyskretne kasznięcie.

— Marcin? — W damskim głosie zabrzmiało niedowierzanie. — Ty wróciłeś?

Odwróciłem się na pięcie i stanąłem oko w oko z panią Jadwigą. Znałem ją

z widzenia, a od brata wiedziałem, że gdy trafiłem do więzienia, przejęła mój etat. Teraz w jej głosie wyczułem niepokój. Moja przekorna natura nawoływała, by trochę ją podręczyć, ale głos sumienia był silniejszy.

— Proszę się nie martwić. Jestem tu tylko towarzysko.

Zaczerwieniła się i spuściła głowę, przyjmując nieświadomie pozę małej dziewczynki. Wyglądało to groteskowo, bo miała pięćdziesiąt lat i figurę średniej wielkości słonia. O ile dobrze pamiętałem, nigdy nie założyła rodziny.

— Ach tak... Miło cię widzieć — bąknęła i odwróciła się, chcąc dać nogę.

Ale ja nagle sobie o czymś przypomniałem. Pani Jadwiga pracowała przedtem w liceum ekonomicznym. Lepsza okazja do pogadania z kimś, kto mógł mi coś powiedzieć o zaginionej Alinie Janeczek, mogła mi się nie trafić. Dlatego okrążyłem stolik socjalny i zaszedłem jej drogę.

— Niech pani nie ucieka — poprosiłem, przywołując na twarz nieśmiały uśmiech.

Popatrzyła na mnie z ostrożnym dystansem. Znałem to spojrzenie. Patrzyło tak na mnie wielu ludzi, dla których pobyt w więzieniu uczynił ze mnie pariasa. Ale ona była zbyt kulturalna, by z ostentacją pokazać mi plecy.

— W czym mogę ci pomóc? — spytała, nerwowo się rozglądając.

Miała pewnie nadzieję, że ktoś zaraz do nas dołączy, ale na piętrze poza dyrektorem nie było żywego ducha. Większość nauczycieli rozpląnęła się po mieście zaraz po zakończeniu rady, chcąc dobrze wykorzystać ostatni dzień wakacji. Tylko ona nie miała do kogo się spieszyć, chociaż na pewno układała teraz w głowie jakąś przekonującą wymówkę, by mnie spławić. Dlatego nie zwlekając, zacząłem z wysokiego „c”.

— Pamięta pani Alinę Janeczek? Tę dziewczynę, która zaginęła?

Zatrzepotała ciężkimi od tuszu rzęsami. Miałem wrażenie, że jej oczy zrobiły się błyszczące.

— No pewnie, że pamiętam. Uczyla ją w pierwszej klasie... — urwała, patrząc na mnie ze zdziwieniem. — Dlaczego o nią pytasz?

Mogłem wymyślić tysiąc pretekstów, ale nie chciało mi się wysilać. Postawiłem na prawdę.

— Jej zaginięcie może mieć związek z tymi morderstwami z Gęglawek. Na pewno pani słyszała...

Zbladła tak bardzo, że się przestraszyłem, iż zemdleje. Podsunąłem jej krzesło, a ona opadła na nie niczym worek owsa. Podtrzymałem ją, bo zaczęła się zsuwać, a potem odkręciłem stojącą na stoliku butelkę z wodą.

Przelknęła kilka łyków i na jej policzki wróciły kolory. Wciąż jednak nie wyglądała najlepiej. Strużka potu ściekała jej po policzku, żłobiąc kanion w grubej warstwie pudru.

— Słyszałam — wydyszała, a potem upiła kolejny łyk wody. — Ale co to ma wspólnego...

Znów osłabła, a ja wyrzucałem sobie w myślach, że postanowiłem zagadnąć w tej sprawie właśnie ją. Przecież miałem w telefonie numery do kilku innych nauczycieli ekonomika. Każdy z nich chętnie wypiłby ze mną szybką kawę i wszystko mi opowiedział. Zgubiło mnie lenistwo i teraz miałem za swoje... Musiałem na kilka minut zamienić się w pielęgniarsza.

— Już lepiej? — zapytałem, wachlując ją ściągniętym ze stołu obrusem. — Pani powinna pójść do lekarza. To nie jest normalne, by tak mdleć...

— Mam tak od urodzenia — oznajmiła nieco żywszym głosem, ale dla pewności wciąż ją wachlowałem. — To było takie miłe dziecko. Wierzyłam, że po prostu uciekła i zaczęła gdzieś nowe życie. A ty mówisz, że te morderstwa...

— To tylko hipoteza — powiedziałem szybko, nie chcąc znów jej cucić. — I to głupia. Proszę się nie przejmować.

Teraz to ja chciałem czmychnąć, ale pani Jadwiga niespodziewanie poczerwieniała i chwyciła mnie za nadgarstek. Poczulem się tak, jakby dotykała mnie meduza.

— Alinka była taka jak ja — wyszeptwała, połykając łzy. — Też nieśmiała i skryta. I też bardzo wrażliwa. Zbyt wrażliwa. Chciałam jej pomóc, lecz nie umiałam do niej dotrzeć. Ale wiedziałam, że coś ją gryzło...

— Ale co? — spytałem, uwalniając rękę.

Otarła łzę, rozmazując puder. Było go tyle, że musiała chyba nakładać go kielnią.

— Nie wiem... Dupa ze mnie, nie pedagog — oznajmiła, a ja aż westchnąłem, bo te słowa kompletnie do niej nie pasowały. — Widywałam ją codziennie. Widziałam, jak płacze, ale nie umiałam skłonić jej do zwierzeń. Policji powiedziałam, że zachowywała się normalnie, ale to było kłamstwo. Tylko ja tak się wstydziłam...

Oparła głowę o moją pierś i wypłakiwała mi się w ramię. Po minucie koszulka była mokra. Miałem dość. Nie sądziłem, że jednym prostym pytaniem wywołam u niej aż takie emocje. Widocznie sprawa Aliny, mimo upływu lat, wciąż ją gryzła.

— Może po prostu uciekła od problemów — powiedziałem krzepiącym głosem. — A teraz chodzi sobie pod rękę ze swoim Johnem czy innym Williamem i karmi gołębice na Trafalgar Square...

— Może tak — westchnęła, ale jej głos drżał tak, jakby w głębi serca w to nie wierzyła.

Pożegnałem ją i wybiegłem przed szkołę. Chwilę potem jechałem już w kierunku Gęglawek. Miałem dość. Marzyłem o tym, by wykapać się w jeziorze, a potem wypić z Włodkiem dwa zimne piwa. Albo i cztery — aby tylko zapomnieć na moment o wiszącym nad moją głową toporze. Ale w sprawę znów wmieszało się przeznaczenie. Tym razem pod postacią piłki, która wpadła mi pod koła.

Przejeżdżałem akurat przez wieś o smakowitej nazwie Barszcz. Gdy zobaczyłem podskakującą na jezdni piłkę, z całej siły nacisnąłem hamulec, kręcąc w panice kierownicą. Na szczęście pobocze było zupełnie płaskie — w przeciwnym wypadku mój odruch mógł mieć tragiczne konsekwencje. Wypadłem z samochodu i pognałem w kierunku trawiastego placyku, na którym stało kilkoro dzieci.

Na ogół jestem łagodny jak baranek, ale tym razem postanowiłem przemówić im do rozumu. W końcu o mały włos nie doszło do wypadku. Wygłosiłem długą tyradę, podczas której najmniejszy chłopiec zaczął cicho płakać. Zagroziłem im rodzicami, policją i konsekwencjami w szkole, po czym kopnąłem piłkę w jakieś chaszczce.

— To ostatnie mogłeś sobie darować, Marcinie. Oni nie chcieli. — Usłyszałem spokojny męski głos i ku swojemu zdumieniu zobaczyłem księdza. Tego samego, który wczoraj odprawiał mszę wspominkową.

Zrobiło mi się głupio. Bąknąłem coś na swoje usprawiedliwienie, a on włożył do ust dwa palce i gwizdnął.

— Koniec na dzisiaj, chłopcy! Widzimy się jutro na obiedzie.

A potem wziął mnie pod ramię i powiodł w kierunku wznoszącego się kilkadziesiąt metrów dalej wiejskiego kościółka.

— Nie ma tu boiska — powiedział tonem wyjaśnienia. — Zwykle nie kopią tak mocno, by piłka doleciała do drogi, ale dziś się zdarzyło... Będę musiał pomyśleć nad jakimś nowym miejscem.

Zrobiło mi się przykro. Wiedziałem, że był typem społecznika. Na plebanii zorganizował stołówkę, w której dzieci z ubogich rodzin mogły zawsze liczyć na ciepły posiłek. A teraz wziął się do organizowania im wolnego czasu. Dawno już zapomniałem o złości, ale on się uparł, by w rewanżu za sytuację z piłką zaprosić mnie do kościelnego sadu na dojrzałe gruszki. A ja nie umiałem znaleźć grzecznego pretekstu, żeby to zaproszenie odrzucić.

Między gruszami zrozumiałem, że nie zostałem tu zaproszony tylko z powodu piłki. Ksiądz, jak każdy człowiek, był ciekawy. Wypytał mnie o sytuację w ośrodku i — że się tak wyrażę — kulisy odnalezienia zwłok Cezarego. Wyznałem mu wszystko jak na spowiedzi, a na koniec wspominałem o swoich obawach.

— Nie przejmuj się, Marcinie. Jak mówi Pismo, prawda was wyzwoli...

W jego słowach było pewnie dużo racji, ale w duchu się zachnąłem. Nie potrzebowałem teraz religijnych sentencji. Chciałem, by ktoś mi powiedział, że na pewno nie wrócę do więzienia. Dlatego postanowiłem nie przedłużać wizyty. Zjadłem gruszkę, drugą wziąłem sobie na drogę i podniosłem dłoń w pożegnalnym geście. Ale ksiądz jeszcze nie chciał mnie puścić.

— Czy posłuchałeś tego, co ci wczoraj mówiłem? — zapytał.

Nie umiałbym przytoczyć konkretnych słów, ale ich sens sprowadzał się do tego, bym trzymał się jak najdalej od... wydarzeń nocy, podczas której wybuchł pożar. Okazało się, że go nie posłuchałem i od trzydziestu paru godzin interesowałem się przede wszystkim właśnie tym. Zmieszałem się, a on to zauważył. Potem jak zwykle pogroził mi palcem.

Nie znał mnie dobrze, bo wychowałem się w Mogielnie, ale przed laty — gdy mieszkaliśmy jeszcze nad jeziorem — to tu była moja parafia. Lubilem ten mały, wiejski kościółek. Czasem przyjeżdżaliśmy tu w niedzielę z Agnieszką i stąd mnie kojarzył.

— To nie jest mądre z twojej strony — powiedział powoli, obracając twarz w kierunku słońca. — Ostatnia osoba, która pytała mnie o tamten pożar, leży teraz w kostnicy...

Wzdrygnąłem się.

— Detektyw też tu był? — spytałem, a on pokiwał ponuro głową. — O co pytał? I co mu ksiądz powiedział?

Ksiądz odwrócił się w moją stronę i spojrzał mi w oczy. Jego wzrok był surowy.

— Naprawdę chcesz to wiedzieć? Mimo tego, co go spotkało?

— Tak, proszę księdza — potwierdziłem stanowczo. — Boję się, że zanim wyzwoli mnie prawda, będzie za późno. Nie zniosę ani jednego dnia za kratami. Już się

nasiedziałem...

Uniósł rękę.

— Dobrze już, dobrze. — Wszedł mi w słowo, nieco zniecierpliwiony. — Pan dał ci wolną wolę i nic mi do tego. Detektyw, tak jak ty, pytał o tę nieszczęsną dziewczynę... Kate, tak? — upewnił się, kalecząc przy tym angielszczyznę. — Powiedziałem mu, że była biednym dzieckiem, które samo nie wiedziało, czego chce... Ale on pytał dalej. Twierdził, że ktoś... pomógł jej umrzeć.

Zamilkł, a ja aż podskoczyłem. Okazało się, że moje rozumowanie było słuszne. Ktoś tę dziewczynę zamordował, a potem upozorował jej śmierć w pożarze. A po latach, gdy pan Tadeusz zaczął zadawać niewygodne pytania, uśmiercił także i jego.

— I jak ksiądz sądzi? — spytałem z podnieceniem. — Rzeczywiście tak było?

Przez chwilę oglądał swoje paznokcie, a potem utkwiał wzrok w trawie pod stopami.

— Proszę księdza?

— Nie mogę ci powiedzieć.

Popatrzyłem na niego z mieszaniną złości i zdumienia.

— Mnie ksiądz nie może... A jemu ksiądz powiedział?

— Synu... — Dla odmiany uniósł wzrok do nieba. — Czy pamiętasz jeszcze siedem sakramentów?

Odruchowo wymieniłem je w myślach.

— Pamiętam. Ale co to ma do rzeczy?

Popatrzył na mnie z naciskiem.

— Pomyśl chwilę — poprosił, a ja nagle zrozumiałem.

Nie mógł nic powiedzieć, bo obowiązywała go tajemnica spowiedzi. Ale sam fakt, że miał zawiązane usta, też stanowił jakąś informację.

— Spowiadał ksiądz mordercę... — wyszeptałem, a potem złapałem się za usta. — Przepraszam, wiem, że ksiądz nie może...

— Nie mogę — powiedział i popatrzył na mnie uważnie. — Chociaż bardzo bym chciał. W ogóle nie powinienem o tym rozmawiać, ale... Nie chcę, by cierpiały niewinne osoby. Dlatego powtarzam ci raz jeszcze. Zostaw to. Zostaw tę sprawę, a zachowasz życie...

W sadowym przy plebanii powiało chłodem. Poczułem się tak, jakbym stał nad własną mogiłą.

— A czy detektyw pytał księdza o coś jeszcze? — zapytałem, unikając jego wzroku.

— Pytał jeszcze o tę małą Alinkę, która nagle zniknęła. Ale ja nie mam pojęcia, co się z nią stało. Powiedziałem mu tylko, że przestała chodzić do kościoła. Bardzo go to zaintrygowało.

— Jak to przestała?

— Zwyczajnie. Była bardzo religijna i w niedzielę zawsze przychodziła na wieczorną mszę. Nawet wtedy, gdy mieszkała już w Mogielnie. A potem nagle przestała. Gdy spotkałem ją kiedyś przypadkiem, nie chciała ze mną rozmawiać. Uciekła na drugą stronę ulicy. Przecież nie mogłem jej gonić...

W głosie księdza obok smutku pobrzmiwały też defensywne nuty. Wspomnienie

dziewczyny sprawiło, że odezwały się w nim wyrzuty sumienia. Podobnie jak wcześniej pani Jadwiga podświadomie winił się za to, co się stało. A przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

— Czyli detektyw twierdził, że zaginięcie dziewczyny w jakiś sposób wiąże się z pożarem, tak?

Ksiądz wzruszył ramionami.

— Nie wiem — wychrypiał, wciąż poruszony wspomnieniem zaginionej. — Ja nigdy tych spraw ze sobą nie łączyłem, ale któż to może wiedzieć...

— Ale wie ksiądz, kto zabija, tak? — przerwałem mu nagle, licząc, że uda mi się go zaskoczyć.

Spojrzał na mnie z urazą, a potem potrząsnął głową.

— Mogę się tylko domyślać... Oj, synu, gdyby tylko...

— Gdyby tylko co, proszę księdza?

Westchnął ciężko, a potem ukrył twarz w dłoniach.

— Gdyby tajemnica spowiedzi dotyczyła tylko żywych penitentów...

— Kogo? — nie zrozumiałem.

— Penitentów. Czyli... spowiadających się. Ale niestety, śmierć niczego tu nie zmienia. Tajemnica spowiedzi chroni penitenta także po jego śmierci.

Zrozumiałem, że — świadomie czy nie — powiedział właśnie coś bardzo ważnego.

— Czyli ten penitent... nie żyje? — spytałem niepewnie.

— Nie powiem już nic więcej — stwierdził stanowczo ksiądz. — Już i bez tego będę miał się z czego spowiadać...

Zacząłem analizować jego słowa, ale po chwili z zamyślenia wyrwał mnie chór dziecięcych głosów. Do sadu wpadło trzech kilkuletnich chłopców, przekrzykujących się wzajemnie. Jeden z nich wyraźnie kulał.

— Biedne dziecko — westchnąłem, a ksiądz chwycił chłopca i wziął go na ręce.

— Mikołajowi nic nie będzie — powiedział, czochrając go po blond główce. — Nóżka była złamana i źle złożona, ale teraz, po operacji, wszystko wróci do normy. I Mikołajek znów będzie kopał piłkę, prawda?

Chłopiec pisnął i popatrzył na księdza z uwielbieniem. A potem czmychnął, ciągnąc za sobą unieruchomioną nogę.

— Jemu nic nie będzie, ale jego brat — ksiądz wskazał palcem na drugiego chłopca — nie ma tyle szczęścia. Ma mukowiscydozę. To koszmarna choroba, a leczenie jest bardzo drogie. Rodziców nie stać na rehabilitację, a i ja nie zawsze mogę pomóc.

Zasepił się, a ja popatrzyłem ze smutkiem na chorego chłopczyka. Wyglądał tak bezbronnie. Zbliżyłem się i spontanicznie chwyciłem go za rękę.

— Jak masz na imię?

— Franek — odparł chłopczyk, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

Ksiądz wręczył każdemu z chłopców po dorodnej gruszce, a potem zagarnął ich przed sobą i poszedł w stronę plebanii. Odprowadziłem go kilka kroków, po czym wyciągnąłem rękę.

— Uważaj na siebie, synu — rzekł na pożegnanie, po czym uczynił szybki znak krzyża. — I bądź silny... Tak, bądź silny, bo czasem życie pisze najmniej prawdopodobne

scenariusze...

Idąc w stronę furtki, zastanawiałem się nad wszystkim, co od niego usłyszałem. Jednego mogłem być pewien — ksiądz wprost wychodził ze skóry, by mnie ostrzec. Niestety nie wiedziałem najważniejszego. Przed kim mnie ostrzegał? Albo przed czym?

Pod kościołem wpadłem na przechodzącego mężczyznę. Podniosłem głowę i chciałem wymamrotać przeprosiny, ale słowa uwięzły mi w gardle. Okazało się, że zderzenie nie było przypadkowe. Naprzeciwko mnie stał ratownik Grzesiek. Jego twarz nosiła świeże ślady naszej bójki.

Zerknąłem na wieżyczkę kościoła i udało mi się zapanować nad agresją. Chciałem go wyminąć, ale mi to uniemożliwił. Gapił się na mnie, a w jego wzroku było pełno nienawiści.

— Nie masz już na dzisiaj dosyć? Zjeżdżaj — warknąłem, ale on nawet nie drgnął.

W jego prawym ręku niespodziewanie pojawił się klucz francuski. Nie wiedziałem, czy nosi go ze sobą zawsze, czy też wziął go specjalnie dla mnie, licząc na rewanż za poranne bęcki. Ale nie zamierzałem w to wnikać. Jedyne, o czym marzyłem, to jak najszybciej stąd odjechać.

— Po co ci to? W końcu naprawdę cię wyleją. Nawet Włodek ci nie pomoże — powiedziałem, chcąc odwrócić jego uwagę.

I kiedy szukał w głowie jakiejś błyskotliwej riposty, rzuciłem się biegiem w kierunku furtki.

Usłyszałem, jak zaklął. Wciąż przyspieszając, włożyłem rękę do kieszeni w poszukiwaniu kluczyków. Chciałem dobiec do samochodu i odjechać mu sprzed nosa. To mogłoby się udać, ale pod jednym warunkiem — nie mogłem się wywrócić. A niestety po kilku krokach padłem na ziemię jak postrzelona gazela, potknąwszy się o ukryty w trawie pień.

Przetoczyłem się na brzuch i usiłowałem zerwać na nogi, ale minimalnie się spóźniłem. Jego stopa wylądowała na moich żebrach, posyłając mnie z powrotem w trawę. Machnąłem rękami jak ktoś, kto się topi, uderzając się boleśnie o betonowy cokół. Podniosłem wzrok i zobaczyłem nad sobą posąg Matki Boskiej. Maryja miała zamknięte oczy, jakby nie chciała patrzeć na rozgrywającą się u jej stóp scenę.

Uniesiony klucz francuski zaślnił w promieniach słońca. Grzesiek wyszczerzył popsute zęby i poprawił uchwyt. Wierzgnąłem nogami, ale nie udało mi się obalić go na ziemię. Próbowałem potoczyć się w bok, ale kopnął mnie w żołądek.

— Boisz się? — spytał, wykrzywiając twarz jak szaleniec.

Tak, bałem się. Ale nie na tyle, by mu to okazać.

— Bujaj się, chłoptasiu! — wydyszałem, wciąż trzymając się za brzuch.

Uniósł klucz, a ja osłoniłem twarz przedramieniem, myśląc o czekających mnie wizytach u chirurga szczękowego. W tym momencie w bójkę wmieszał się ktoś trzeci. Ciszę rozdarł kobiecy lament.

— Zostaw go! — Jakaś obca kobieta złapała go wpół, jednocześnie krzycząc i szlochając. — Grzesiek, słyszysz?! Zostaw!

Odwrócił się i uderzył ją otwartą dłoń. Kłaśnięcie zlało się z jej krzykiem.

— Nie wtrącaj się! — ryknął, pryskając śliną. — Wynos się stąd! No już!

Kobieta usiadła na trawie i głośno zawodziła. Miał ochotę uderzyć ją jeszcze raz, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Gramoląc się z ziemi, usłyszałem, jak do płaczu kobiety dołączają inne głosy. Przerazający pisk nadbiegających od strony plebanii chłopców.

— Mamo! — wrzasnął ten najmłodszy, podskakując na zdrowej nodze w parodii biegu. — Mamusiu! — przewrócił się i ostatnie metry pokonał na czworakach, rżąc z wysiłku.

Kobieta przytuliła go mocno jedną ręką, a drugą otarła płynącą jej z rozbitego nosa strużkę krwi. Pozostali chłopcy też do niej przypadli, łkając z przerażenia. Poczulem, jak na moje oczy opada czerwona kurtyna. Znów byłem gotów zabić.

Ratownik odwrócił się w moją stronę z twarzą czerwoną ze złości.

— Spływaj! — warknął, mierząc mnie wzrokiem. — No spływaj! Chciałem cię tylko nastraszyć!

Być może mówił prawdę. Pewnie w innych okolicznościach bym mu uwierzył — w końcu dopiero co o mały włos nie wyleciał z pracy, a kolejna bójka prawie na pewno skończyłaby się dla niego bezrobociem. Ale teraz nie byłem w stanie myśleć. Moich zapędów nie mógł ostudzić nawet widok kamiennej Madonny. Marzyłem tylko o jednym. Chciałem rozszarpać go na strzępy.

Zbliżałem się powoli, a on zaczął się bać.

— Marcin, daj spokój — powiedział zaskakująco wysokim głosem. — To tylko takie głupie żarty. Nie chciałem zrobić ci krzywdy...

Nie docierało do niego, że w tej chwili liczyło się dla mnie tylko to, co zrobił łkającej na ziemi kobiecie i jej trójce dzieci. Moich uczuć nie były w stanie oddać żadne słowa. Gdzieś w tle usłyszałem nawoływanie księdza, ale nawet nie próbowałem się w nie wsłuchiwać. Zbliżyłem się na odległość ciosu i z całej siły huknąłem go w twarz.

Padł na ziemię i przez moment się nie ruszał, a potem potoczył wkoło półprzytomnym spojrzeniem. Nachyliłem się i chciałem podnieść go na nogi, szykując się jednocześnie do kolejnego uderzenia. Ale nie zdążyłem. Płacz kobiety przybrał na sile, a do Grzeška przyłgął jeden z chłopców, zasłaniając go własnym ciałem.

— Tatusiu! Tatusiu! — pisał.

— Uciekaj, Franek — wybełkotał ratownik, odpychając syna. — No chodź — rzucił w moją stronę i podniósł się z wysiłkiem.

Stał przede mną, chwiejąc się na nogach. Wystarczyło lekko go trącić i walka dobiegłaby końca. Ale cała agresja nagle mi przeszła, bo wszystko zrozumiałem. Delikatnie uwolniłem nogę od uwieszającego się na niej dzieciaka, a potem uśmiechnąłem się z wysiłkiem do zawodzącej kobiety.

— To twoja rodzina? — upewniłem się.

Grzesiek bez słowa pokiwał głową.

— Naprawdę chciałem cię tylko nastraszyć — powiedział powoli, a potem osunął się na ziemię.

Popatrzyłem na zakrwawioną kobietę i trzech małych blondasów ocierających łzy. A potem przeniosłem wzrok na wciąż oszołomionego Grzeška. Trudno było mi sobie wyobrazić bardziej przygnębiający widok.

— Przepraszam, że biłem się z twoim tatą — powiedziałem cicho do chłopca chorego na mukowiscydozę, a on mocno się wtulił w ramiona matki.

Zrobiło mi się niedobrze. Jeszcze raz zerknąłem na ratownika. Był podłym człowiekiem, a na dodatek damskim bokserem, ale i tak poczułem, że mu współczuję. Zrozumiałem też, dlaczego Włodek tak się za nim wstawiał. Wiedział, że praca w ośrodku była dla niego czymś więcej niż tylko pracą. Dzięki niej zarabiał pieniądze na leczenie syna.

Zadyszany ksiądz nie odezwał się do nas ani słowem. Nawet na nas nie spojrzał. Delikatnie uwolnił chłopców z ramion matki i poprowadził ich do figury Matki Boskiej.

— Pomódlcie się do Bozi za tatusia — powiedział i klęczał obok nich, póki się nie uspokoili. — Pomódlcie się, a ja sobie teraz z nim porozmawiam.

Wciąż na nas nie patrząc, skinął ręką w kierunku kościoła. Powlekliśmy się za nim. Kazał nam uklęknąć przed ołtarzem, a sam stanął przed nami. W jego wzroku nie było potępienia, tylko bezgraniczna dobroć.

— Podajcie sobie ręce — powiedział cicho, a my, jakby pchani jakąś niewidzialną siłą, uścisnęliśmy sobie dłonie. — Jesteście braćmi w Chrystusie. I niezależnie od tego, co między wami zaszło, od dzisiaj macie się kochać jak bracia.

Gdy po chwili usiłowałem wyjąć rękę z dłoni Grzeška, on mocno ją przytrzymał. Jego oczy zdawały się płonąć jakimś dziwnym światłem.

— Przepraszam, bracie — wyszeptał, a potem niespodziewanie zaczął się trząść od niemego szlochu. — Przepraszam cię za wszystko...

W drewnianym kościele musiało być cieplej niż na dworze. A ja mimo to zadrzałem. Potem popatrzyłem na Grzeška z niepokojem. Po jego twarzy spływały łzy. Doszedłem do wniosku, że chyba za mocno uderzyłem go w głowę.

Gdy wyszliśmy z kościoła, zaproponowałem, że podrzucę go do „Rybitwy”, ale okazało się, że szef dał mu dwa dni wolnego. Poszedł do bawiących się w sadzie chłopców. Przez chwilę za nim patrzyłem i odniosłem wrażenie, że porusza się jak starzec.

Miałem nadzieję, że reszta dnia upłynie mi w spokoju, ale oczywiście się przeliczyłem. Obok budynku stołówki zebrał się tłumek ludzi. W większości byli to pracownicy ośrodka, wśród których brylowała jak zwykle Ilona. Podeszedłem do niej, podrzucając kluczyki od auta.

— Co się stało? Umarł ktoś? — zażartowałem, chociaż w obecnej sytuacji lepiej było tak nie żartować.

— Nie, ale miałam ochotę kogoś zabić — burknęła Ilona, patrząc na mnie ze złością.

— Kogo? — spytałem, chociaż domyślałem się odpowiedzi.

— Jeszcze się pytasz?! Dzwoniłam do ciebie z dziesięć razy!

Popatrzyłem na telefon. Miałem siedem nieodebranych połączeń.

— Przepraszam, miałem wyłączony dźwięk. — Usprawiedliwiłem się, pokazując jej ekran z przekreślonym głośnikiem. — Coś się stało?

Nie wyglądała na udobruchaną. Zobaczyłem, że ma na sobie odświętną białą bluzkę, i coś mnie tknęło. Inne kelnerki też były odwalone, choć było już przecież po

kolacji. I nagle aż pacnąłem się w czoło.

— Dziś zakończenie sezonu, tak?

Bal ostatniego dnia sierpnia był w „Rybitwie” tradycją, której korzenie sięgały pewnie lat zatechłej komuny. Podobna impreza odbywała się również w WOW-ie i oba ośrodki od lat rywalizowały, gdzie będzie głośniej. Ale ostatnie wydarzenia sprawiły, że bal kompletnie wywietrzył mi z głowy. Zresztą w świetle tego, co zaszło w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, urządzenie tanecznej zabawy wydało mi się absurdem. Po pierwsze, nie wypadało, a po drugie — kto miałby nastrój, by się bawić, gdy wokół ginęli ludzie...

Wyraziłem swoje obiekcje, ale Ilona wyprowadziła mnie z błędu.

— To nie będzie taka impreza jak każdego roku. Zwyczajna kolacja. Zamówiono już catering, rozesłano zaproszenia... Trudno byłoby odwołać wszystko tak w ostatniej chwili.

Wzruszyłem ramionami i wszedłem na stołówkę. Stoły były zasłane śnieżnobiałymi obrusami, a na ścianach rozwieszono tę samą co zwykle draperię. Na szczęście nikt nie wpadł na pomysł, by przyozdabiać ją balonami. Pokręciłem się chwilę po sali, utwierdzając się w przekonaniu, że impreza będzie miała charakter stypy. Trudno, cóż zrobić. I tak nie zamierzałem w niej uczestniczyć.

Ilona dreptała za mną krok w krok. Domyśliłem się, że płonie z ciekawości, ale nie zamierzałem informować jej o tym, czego się dzisiaj dowiedziałem. Przynajmniej nie teraz. Było tego zbyt dużo na krótką rozmowę, a na długą nie miałem siły.

— Jest tu dla mnie coś do roboty? — spytałem, marząc, że odpowie „nie”.

Ale moje pragnienia się nie ziściły. Na parking podjechała właśnie zdezelowana furgonetka, na której ktoś wymalował sprayem wstrętnego węża i kilka koślawych liter, informujących, że pojazd należy do zespołu muzycznego o nazwie „Kobra”. Ilona wskazała w tamtą stronę, uśmiechając się złośliwie.

— To miło, że pytasz. Przyjechał pan Kazik. Pomóż mu rozładować sprzęt.

Rozejrzałem się dookoła, ale nie znalazłem żadnego naiwniaka, który chciałby mnie zastąpić. Westchnąłem i powlok-łem się w stronę furgonetki, zastanawiając się po drodze, na co nam dzisiaj zespół muzyczny. Doszedłem do wniosku, że — podobnie jak catering — „Kobra” została zakontraktowana już wcześniej. Przywitałem się z sędziwym panem Kazikiem, kłaniając mu się z należnym szacunkiem.

Witając się z nim, witałem się jednocześnie z całym zespołem, gdyż zespół „Kobra” był... jednoosobowy. Pan Kazik był typowym człowiekiem-orkiestrą. Miksował muzykę jak wzięty didżej i jednocześnie śpiewał, a jakby tego było mało, od czasu do czasu wyłączał konsolę i grał na elektrycznej gitarze, obsługując przy tym nożną perkusję. Potrafił tak całymi godzinami, mimo siódmego krzyżyka na karku. Słyszał z tego w całym powiecie, a za sprawą wczasowiczów jego sława docierała też do innych zakątków Polski.

Chociaż podobno wystąpił kiedyś nawet w telewizji śniadaniowej, nie zachowywał się jak celebryta. Pozostał rockmanem. Gdy wspólnym wysiłkiem wtaszczyliśmy jego sprzęt do stołówki, zaprosił mnie z powrotem do furgonetki i poczęstował piwem. Usiadłem obok niego na pace i — machając w powietrzu nogami — jednym haustem opróżniłem od razu połowę butelki.

— Ciężki dzień? — spytał muzyk, a ja przytaknąłem. — Nie dziwię się. Sam ledwo przyjechałem, a najchętniej już bym pojechał. Czuję się, jakbym miał grać na cmentarzu.

— Niech się pan nie przejmuj. Nie każą grać panu walczyków. Tu chodzi o melodię do kotleta — poinformowałem go, a on pokiwał leniwie głową.

— Wiem, ale i tak głupio się czuję. Znałem tego Czarka. Fajny gość...

— A kogo pan tu nie zna? — przerwałem mu ze śmiechem.

— To fakt — uśmiechnął się, a potem dyskretnie czknął. — Jak się przez tyle lat obsługuje wszystkie imprezy, to nietrudno o znajomości. Ciebie na przykład pamiętam jeszcze z twojej studniówki. Przeszedłeś wtedy z taką cycatą lalką...

Spojrzałem na niego z mieszaniną zdumienia i podziwu.

— Ale pan ma pamięć!

Mruknął coś w odpowiedzi, ale przestałem go słuchać. Nagle dotarło do mnie coś ważnego. Skoro od tylu lat nie ominęła go żadna większa potańcówka...

— Panie Kazimierzu, czy pan grał na tej imprezie, podczas której spalił się jeden z domków? — spytałem z nadzieją w głosie.

— Tak — odparł takim tonem, jakbym zapytał o coś oczywistego. Na przykład, czy Ziemia kręci się wokół Słońca. — Gram tu od lat osiemdziesiątych. A tamtą imprezę z wiadomych względów pamiętam aż za dobrze...

Nie chciał wiedzieć, dlaczego o to pytam. Był urodzonym gawędziarzem i powitał moje pytanie jako zaproszenie do wspominek. Oparł się o ścianę furgonetki i przymknął oczy, a potem pociągnął z butelki.

— Było gorąco i duszno jak w piekle. Co chwila myliłem klawisze, bo pocily mi się okulary, ale i tak nikt nie zwracał na to uwagi. Wszyscy jak na komendę postanowili się upić. Już o dwudziestej drugiej na parkiecie były pustki. Ci, którzy jeszcze trzymali się na nogach, palili na dworze papierosy. A reszta gości drzemała przy stolikach...

W pewnym momencie przestał grać, bo nie było już dla kogo. Co prawda na parkiecie tańczyło jeszcze dwoje gości, ale wyglądało na to, że wcale nie potrzebują muzyki. Kate Dzwonkowska i Adaś, lokalny polityk, który dopiero co zwyciężył w wyborach na burmistrza... Chociaż się nie dotykali, w ich spojrzeniach była taka dawka namiętności, że finał był łatwy do przewidzenia. Marzyli, by zerwać z siebie ubrania, a jedyne, co ich powstrzymywało, to obecność ich małżonków, którzy — pogrążeni w wesołej rozmowie — kompletnie się nie orientowali w erotycznych nastrojach swoich drugich połówek.

Rafał Dzwonkowski wkrótce wyszedł z sali i padł gdzieś w rabatkach, by obudzić się kilka godzin później. Już po wszystkim. Żona Adasia zniknęła w toalecie, a Kate i Adaś — korzystając z okazji — szybko się wymknęli. W sali zostało tylko dwóch lekarzy, którzy wychylali kolejne kieliszki i bredzili coś trzy po trzy, co chwila wybuchając śmiechem. Pan Kazimierz — rozgrzeszając się w duchu — opuścił swoje stanowisko pracy i wyszedł na dwór, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na dworze słychać było mieszaninę bełkotliwych głosów. Imprezowicze zegnali się hałaśliwie. Część z nich udawała się w stronę parkingu, spierając się, kto będzie kierowcą. Rozsądniejsi rozchodzili się po domkach, chcąc przed drogą powrotną złapać kilka godzin snu.

— W całym ośrodku poza mną były chyba tylko dwie trzeźwe osoby — opowiadał dalej muzyk, kręcąc głową z wyrazem dezaprobaty. — Jedną z nich była twoja bratowa. Namawiała ludzi, by nie prowadzili po pijanemu, ale nikt nie chciał jej słuchać. W końcu się zezłościła i sobie poszła. Drugą trzeźwą osobą był prokurator Patryk Mauer...

— Mauer? — przerwałem. — Jest pan pewien?

— Tak — uśmiechnął się pan Kazik. — Na moich oczach podszedł do Kate i ostro ją zwymyślał. Burmistrz zmył się jak niepyszny, a ona, ze skruczą na twarzy, wróciła do głównego budynku. Amory wywietrzały jej z głowy. Gdyby jeszcze poszła spać w którymś z tamtejszych pokoi... Wtedy nie doszłoby do tej całej tragedii.

— Chwileczkę — znów mu przerwałem, bo nie byłem pewien, czy dobrze go zrozumiałem. — Prokurator Mauer kazał jej wrócić do budynku? Dlaczego?

— Chyba chodziło o to, by wyrwać ją z ramion burmistrza. Przynajmniej tak to wtedy odebrałem. Podszedł do mnie i pogadaliśmy przez chwilę, a potem poszedł odprowadzić twoją bratową, która właśnie się zbierała. Jedyny dżentelmen w stadzie ochlapusów...

Zamyśliłem się. Prokurator Mauer jak na razie wypadł niemal kryształowo — i to zarówno w opowieści pana Kazimierza, jak i w relacji mojej byłej narzeczonej. Stał na straży moralności, dbał o bezpieczeństwo kobiet, wezwał straż pożarną... Ale mimo to jakoś mu nie ufałem.

— Byłem zmęczony i nie chciało mi się prowadzić — opowiadał dalej pan Kazimierz. — Zestawiłem na tarasie kilka krzeseł i się na nich położyłem. Po minucie spałem jak kamień. Obudziły mnie dopiero płomienie. W ośrodku zrobiło się jasno jak w dzień.

Dopiłem piwo, nawet tego nie zauważając. Muzyk opowiadał mi o imprezie z perspektywy sali balowej. Zestawiałem sobie jego słowa z tym, co usłyszałem od Agnieszki, i w mojej głowie pojawiał się całkiem wyraźny obraz. Wiedziałem, że Kate podczas imprezy wchodziła w interakcję z Adasiem, Czarkiem i prokuratorem. Teraz przechodziliśmy do najważniejszego, czyli samego pożaru.

I właśnie tę chwilę wybrała sobie Ilona, by nam przerwać.

— Widzę, że sobie piwkujecie — rzuciła, wyłaniając się niespodziewanie zza żywoplotu. — Pięknie, pięknie... Prawdziwi ludzie pracy. A tam szef się zastanawia, dlaczego jeszcze nic nie jest gotowe...

Spojrzałem wymownie w niebo. Było jeszcze jasno, a nawet dziecko wiedziało, że żaden prawdziwy bal nie zaczyna się przed zmrokiem. Ale to nie miał być bal, a poza tym... Nasz szef miewał czasem dziwne pomysły.

— Już idziemy. — Pan Kazimierz zerwał się na nogi, odstawiając butelkę. Chociaż miał wygląd niepokornego rockmana — długie siwe włosy, kolczyki w uszach i wytatuowane przedramiona — solidność była jego znakiem firmowym. Nie mógł sobie pozwolić na obsuwę.

Rzuciłem Ilonie mordercze spojrzenie, ale nawet nie mrugnęła. Chyba miała mi za złe te nieodebrane połączenia.

— Kobieto, czy ty wiesz, co narobiłaś?

Sytuację uratował przypadek. W tym momencie na teren ośrodka wjechał mercedes

mojego brata. Michał nie skręcił jednak na parking, tylko podjechał pod samą stołówkę i dwa razy zatraził. Nie minęło więcej niż dziesięć sekund, gdy do mercedesa podbiegł kierownik. Trzasnęły drzwi, zapiszczały opony i auto wyjechało z „Rybitwy”, kierując się w stronę przystani i zabudowań Gęglawek.

— Uff! — Otarł czoło pan Kazimierz. — Chyba mamy szczęście.

Pokiwałem energicznie głową, a potem podałem mu jego niedopite piwo.

— Mówił pan o tym, jak obudził się pan w trakcie pożaru...

Pan Kazimierz zawałał się na moment. Popatrzył w kierunku sali, ale na szczęście zamiłowanie do piwa zwyciężyło. Usiadł z powrotem na pace, a ja klapnąłem obok niego. Ilona przykucnęła u naszych stóp i nadstawiła uszu.

— Przez dłuższą chwilę nie wiedziałem, co się dzieje — podjął swą opowieść muzyk. — Myślałem, że w ziemię wałnął meteoryt i zaraz wszyscy podzielimy los dinozaurów. Ale wtedy zobaczyłem Mauera. Biegł do mnie i krzyczał, żebym mu dał telefon, bo jego się rozładował. Kiedy dzwonił, zdołałem się rozbudzić. Pobiegłem w stronę pożaru, ale nie dało się już nic zrobić. Postąłem przez chwilę, a potem wróciłem do głównego budynku i położyłem się dalej spać. Tym razem już w łóżku.

— Jak to? — zdziwiła się Ilona. — I tak po prostu pan zasnął? W momencie, w którym kilkadziesiąt metrów dalej paliła się młoda dziewczyna?

Pan Kazimierz spojrzał na nią z wyrzutem.

— A skąd miałem wiedzieć, że tam ktoś jest? — zapytał defensywnym tonem. — Myślałem, że Kate została w głównym budynku. Gdybym wiedział...

— ...to i tak nie mógłby pan niczego zrobić — wtrąciłem, bo niepotrzebnie się zdenerwował.

— Zresztą nie byłem jedyny, który myślał, że nic się nie stało — tłumaczył dalej podniesionym głosem. — Kiedy Mauer dzwonił po straż pożarną, z ośrodka wyjeżdżał właśnie jakiś samochód. A twój brat... On na pewno też poszedł spać. Gdy go widziałem, ledwo trzymał się na nogach.

Zdębiałem. Dlaczego wspomniał o moim bracie?

— Michał był wtedy na zewnątrz? — spytałem, mając nadzieję, że zaprzeczy.

Ale nie zaprzeczył.

— Zobaczyłem go na samym początku, jak tylko się obudziłem. Początkowo myślałem, że to sen. Szedł... A raczej był prowadzony... przez Rudego. Tego kryminalistę, który... — urwał i spojrzał na mnie z zakłopotaniem.

Nie byłem w stanie wykrztusić słowa. Michał był świadkiem pożaru? Dlaczego mi o tym nie powiedział? Przecież pytałem go o ten cholerny pożar zaledwie dwa dni temu!

— Jakiego kryminalistę? — spytała Ilona.

Policzki pana Kazimierza lekko się zaróżowiły. Był człowiekiem starej daty. Starał się nie poruszać niewygodnych tematów.

— Tego... no... — wił się niczym piskorz tak długo, aż zrozumiałem, co chciał powiedzieć. A raczej czego nie chciał. Moje ramiona pokryły się gęsią skórą.

— Chodzi o człowieka, którego zabiłem, tak? — spytałem cichym głosem, a on niemal niezauważalnie skinął głową.

— Tak. To on prowadził twojego brata — mruknął, szarpiąc nerwowo za zwisający

z ucha kolczyk.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Na chwilę zakręciło mi się w głowie. A potem zalała mnie fala złości. Zeskoczyłem z paki i ruszyłem przed siebie, zaciskając pięści.

— Gdzie idziesz? — Ilona zerwała się na nogi i podążyła za mną. — Uspokój się! Oddychaj! — dodała pół żartem, pół serio, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

— Do Michała — wycedziłem, dysząc z wściekłości. — Chcę mu zadać kilka pytań...

— Wyglądasz tak, jakbyś chciał mu dać po gębie — zauważyła, a moje usta wykrzywiły się w ponurym uśmiechu.

— Nie wykluczam tego — mruknąłem, a ona zaszła mi drogę.

Jej oczy błyszczały z determinacji.

— Nie pozwolę ci na to — stwierdziła stanowczo. — To twój brat. Zresztą... co on takiego zrobił?

Chciałem ją wyminąć, ale przesuwiała się, blokując mi przejście. Osiągnęła tyle, że po kilku sekundach byłem wściekły także na nią.

— Nie wcinaj się! To są sprawy między nim a mną! — Moje słowa były obcesowe, ale wcale jej to nie rozgniewało.

— Zaczekaj! — krzyknęła, a potem się roześmiała. — Wy, faceci... Najpierw działacie, a potem myślicie. Nie słyszałeś, co mówił Kazik? Twój brat był tak nawalony, że ledwo szedł. Nie przyszło ci go głowy, że mógł nic z tego nie pamiętać?

Ująłem ją za ramiona i odsunąłem. Delikatnie, bo w przeciwieństwie do ratownika Grzeška nie umiałbym fizycznie skrzywdzić kobiety.

— Między innymi o to chciałbym go zapytać — poinformowałem ją nieco spokojniejszym tonem, a ona zmierzwiła mi włosy.

— Dobrze już, dobrze, mój ty zapaleńcu — powiedziała ze śmiechem. — Ale wiesz co? Na wszelki wypadek pójdę razem z tobą.

Mercedes Michała był zaparkowany przy przystani. Ruszyłem w jego kierunku, lecz rozglądałem się na próżno. W okolicy nie było żywego ducha. Plaża, pomosty, boisko do siatkówki — wszystko świeciło pustkami.

— Poszli popływać? — zdziwiłem się, bo nigdy nie widziałem swojego szefa w kąpielówkach.

Przeszliśmy się po pomostach, ale nigdzie nie było po nich śladu. Na jeziorze nie unosiła się nawet najmniejsza łódka. Wzruszyłem ramionami znów podirytowany. Przecież nie rozplynęli się w powietrzu.

— Są w hangarze — stwierdziła nagle dziewczyna. — Spójrz, poruszyły się drzwi!

Spojrzałem w tamtą stronę. Nie dostrzegłem żadnego ruchu, ale drzwi — w przeciwieństwie do zamkniętej na cztery spusty bramy — rzeczywiście były uchylone. Włodek na pewno nie zapomniałby ich zamknąć. Pod tym względem był zawsze wyjątkowo sumienny, a po ostatniej kradzieży łodzi zamieniło się to w prawdziwą obsesję.

Weszliśmy do hangaru i przez chwilę przyzwyczajaliśmy wzrok do panującego tam półmroku. Otaczały nas całe góry sprzętu — kajaków, rowerów, desek surfingowych i innych przedmiotów, których chwilowo nie byłem w stanie zidentyfikować. Jak na taki

niewielki ośrodek jak „Rybitwa” sprzętu było nawet za dużo. Inna sprawa, że większość stanowiły stare rupiecie, które nie nadawały się już do użytku.

— Ktoś powinien tu posprzątać — stwierdziła Ilona, rozglądając się dookoła. — Hop, hop! — zawołała, ale odpowiedziało jej milczenie.

— Nikogo tu nie ma — uznałem niepotrzebnie, ciągnąc ją w kierunku jasnego prostokąta wyjścia.

Ale ona się zaparła. A potem uwolniła z uścisku rękę i podeszła do koślawego stolika, przy którym w deszczowe dni urzędował Włodek.

— Patrz. — Nachyliła się nad blatem i podniosła z niego marynarkę i białą koszulę. — Poznajesz?

Pokręciłem głową. Ubranie jak ubranie — w tym świetle wyglądało zupełnie zwyczajnie.

— To Włodka? — spytałem zdziwiony, gdyż nie przypominałem sobie, by kiedykolwiek miał na sobie coś bardziej eleganckiego od poplamionego T-shirtu.

— No coś ty — zachichotała. — Przecież jeszcze niedawno miał to na sobie twój brat.

— Skąd wiesz? — spytałem zdziwiony. — Przecież widzieliśmy go tylko przez chwilę. I to w dodatku przez szybę samochodu...

Spojrzała na mnie z wyższością.

— Jestem kobietą — powiedziała takim tonem, jakby to wszystko tłumaczyło. — Zresztą popatrz — wskazała na oparcie krzesła i zaprezentowała mi inny elegancki strój. — To przecież marynarka i koszula kierownika...

Nie zamierzałem się z nią spierać, bo nigdy nie zwracałem uwagi na ubiór. Rozejrzałem się w poszukiwaniu spodni i butów, ale nigdzie ich nie znalazłem.

— Po co rozbierali się do pasa? — zapytałem, sięgając po leżącą na biurku latarkę.

Poświeciłem to tu, to tam, ale po chwili się poddałem. To nie było dobre miejsce na szukanie śladów. Wszędzie aż roiło się od rupieci. W najciemniejszym kącie namierzyłem nawet stary, obtłuczony klozet.

— Może nie chcieli się ubrudzić — powiedziała w zamyśleniu Ilona.

Sądziłem, że będzie tę myśl rozwijać, ale na próżno czekałem na dalszy ciąg.

— Gdzie ubrudzić? — spytałem, odkładając latarkę na miejsce.

— No... tutaj — zatoczyła ręką krąg, a potem nagle podskoczyła. — Słyszałeś?!

W powietrzu rozległ się skrzypiący dźwięk dawno nieoliwionych zawiasów. Był tak niespodziewany, że sam się przestraszyłem. Chwyciłem za latarkę i przez dłuższą chwilę penetrowałem półmrok, ale nie wypatrzyłem nic podejrzanego. Spojrzałem w kierunku wyjścia.

— To drzwi — westchnąłem z ulgą, ocierając czoło. — Chodź, może stoją na zewnątrz i się z nas śmieją.

Wyszliśmy z hangaru wprost w blask zachodzącego słońca. Przymknąłem niesforne drzwi i podeszedłem do linii wody. A potem wyciągnąłem telefon i wybrałem numer brata. Po drugiej stronie odezwała się poczta głosowa.

— Nie podoba mi się to — mruknąłem, czując, że irytacja ustąpiła miejsca niepokoju. W końcu ośrodek w ostatnich dniach nie zaliczał się do zbyt bezpiecznych

miejsc.

— Spokojnie. — Ilona pociągnęła mnie w kierunku pomostów skąpanych w pomarańczowym świetle kończącego się dnia. — Nie popadaj w paranoję. Przecież było ich dwóch. Może poszli do wsi? Zobaczysz, że zaraz się pojawią.

Magia zachodzącego słońca podziałała na mnie jak uspokajający napar. Wyciągnąłem się na rozgrzanych deskach i przymknąłem oczy. To był długi dzień, ale dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy. Spojrzałem Ilonie w oczy i zagadnąłem ją o zaginioną dziewczynę.

— Alina Janeczek... — powtórzyła, ale zaraz pokręciła głową. — Nie pamiętam nazwisk tych ludzi. Wyprowadziłam się z Gęglówek ponad dwadzieścia lat temu. Musiałabym zapytać mamy...

— Ale naprawdę nic nie słyszałaś? To była przecież głośna sprawa... — Jej niewiedza wydała mi się co najmniej dziwna.

Okazało się jednak, że nie było w tym nic podejrzanego.

— Pracowałam wtedy w Londynie — wyjaśniła. — Ktoś musiał zarabiać na rachunki, a zresztą... nie tylko rachunki. Mój ojciec narobił długów. Spłacam je już prawie dziesięć lat. A ojciec Oliwki... Nigdy nie chciałam od niego ani grosza.

Odwróciłem w zakłopotaniu głowę. Rozmawialiśmy codziennie od trzech miesięcy, a ja nigdy nie zapytałem jej o córkę. Nie wiedziałem nawet, jak miała na imię. Zgoda, więzienie nauczyło mnie nie wtrącać się w sprawy innych ludzi, ale to już była przesada.

— Oliwka... ładne imię — stwierdziłem, a ona w kilku zdaniach przedstawiła mi swoją smutną, ale jakże typową historię.

— Wpadłam w wieku osiemnastu lat. Jej ojciec chciał, bym usunęła ciążę, ale ja się nie zgodziłam. Łudziłam się, że będzie chciał z nami zostać, ale on miał już swoją rodzinę. Odfrunął w świat, a my z Oliwką zostałyśmy zupełnie same.

Objąłem ją ramieniem. Nie płakała. Pojąłem, że niczego nie żałuje. Córka była dla niej całym światem.

— Bydlak — powiedziała z nienawiścią, a ja zrozumiałem, iż nie ma mu za złe tego, że odszedł, tylko to, że namawiał ją do aborcji.

— Dobrze, że się nie zgodziłaś — wyszeptalem, a wtedy ona zaczęła płakać.

— Już wszystko było przygotowane i opłacone — łkała. — Następnego dnia miał zawieźć mnie na zabieg. Boże, a jakbym się zgodziła? Przecież prawie do końca nie wiedziałam, czy chcę je urodzić...

Poczułem drapanie w gardle. A potem wziąłem się w garść.

— Nie ma co gdybać. Najważniejsze, że skończyło się tak, jak się skończyło.

Przez kolejne pół godziny moczyliśmy nogi, a wokół nas stopniowo zapadał zmrok. Nagle Ilona poderwała się z miejsca. Zrobiła to tak niespodziewanie, że się przestraszyłem.

— Przecież już prawie dziewiąta! Dziewczyny mnie zabiją...

Popędziła na stołówkę, a ja jeszcze raz obszedłem teren przystani. Przy hangarze natknąłem się na Włodka. Jak gdyby nigdy nic leżał na leżaku i pił piwo.

— Widziałeś gdzieś Michała? — spytałem, a on przez chwilę koncentrował na

mnie wzrok.

— Kręcili się ze starym po ośrodku — powiedział, pociąg-nąwszy z butelki. — Chcesz piwa?

Pokręciłem głową, a potem próbowałem zajrzeć do hangaru, ale drzwi były zamknięte. Nie mogłem nawet sprawdzić, czy ubranie brata wciąż było wewnątrz. Mogłem poprosić Włodka o klucze, ale machnąłem ręką.

— A gdzie konkretnie się kręcili?

Westchnął tak ciężko, jakbym zadawał mu pytania ponad jego siły.

— Przy parkingu — mruknął, a potem pogrążył się w pijackim stuporze.

Poszedłem w kierunku parkingu, zostawiając go na nabrzeżu. Podejrzewałem, że będzie tam siedział do północy. Ktoś, kto go nie znał, mógł posądzić go o romantyzm, ale on wcale nie zachwycił się widokiem jeziora. Po prostu lubił ciszę i samotność. Mógł sobie w spokoju tęsknić za rodziną.

Na parkingu było tylko kilka samochodów. Tak jak podejrzewałem, bal nie przyciągnął zbyt wielu gości. Przez chwilę szukałem wzrokiem czerwonego passata burmistrza, ale nigdzie go nie dostrzegłem. Podobnie jak szarej „cytryny” jego zastępcy. Najwyraźniej władze miejskie postanowiły spędzić ten wieczór w inny sposób.

Słońce już zaszło i ośrodek powoli pogrążał się w ciemności. Przez moment rozglądałem się za bratem, ale nigdzie go nie było. Postąłem trochę na środku parkingu, a potem skusiły mnie światła stołówki. Nie, nie chciało mi się iść na bal. Byłem po prostu bardzo głodny, a wiedziałem, że na sali jest mnóstwo pysznego jedzenia.

Nie miałem na sobie odpowiedniego stroju, więc postanowiłem, że moja chwilowa obecność między gośćmi powinna być niezauważalna. Wślizgnąłem się dyskretnie na salę i — trzymając się blisko ściany — podszedłem do szwedzkiego stołu. Porwałem talerz i nachyliłem się nad potrawami. Nie miałem zbyt wysublimowanego smaku. Zignorowałem półmiski z wykwintnymi sałatkami i nałożyłem sobie furę opiekanych ziemniaków, polewając je jakimś białym sosem.

Zamierzałem dać nogę, ale coś mnie podkusiło, by sprawdzić, czy na sali nie znajduje się mój brat. Wychyliłem się ostrożnie zza filara i mój wzrok prześlizgiwał się przez chwilę po kilkunastu przebywających tu gościach. Zobaczyłem kilka znajomych osób, ale nie było między nimi ani kierownika, ani Michała. Skinąłem głową panu Kazikowi, który pomachał do mnie znad konsoli, i ruszyłem w kierunku wyjścia. I wtedy naprzeciwko mnie pojawił się ktoś, kogo się tu nie spodziewałem. Wyrósł przede mną tak niespodziewanie, że aż sapnąłem.

— Jesteś wreszcie — powiedział bezosobowym tonem.

Przez moją głowę w ciągu sekundy przemknęło tysiąc myśli, a każda kolejna była... głupsza od poprzedniej. Kompletnie nie wiedziałem, jak się zachować. Nie miałem ochoty na szarpaninę, ale uznałem, że ucieczka między gości też nie byłaby najlepszym wyjściem z sytuacji. W końcu zdecydowałem się na rozwiązanie pośrednie. Rzuciłem się ku drzwiom prowadzącym na zaplecze, chcąc zwiać przez kuchnię. Ale miałem pecha. Drzwi, które zazwyczaj stały otworem, dziś były zamknięte na klucz.

— Witam, panie dyrektorze — powiedziałem możliwie spokojnym głosem, odwracając się w jego stronę.

Mąż mojej narzeczonej, który przed kilkoma godzinami chciał zrobić ze mnie mokrą plamę, krzywo się uśmiechnął.

— Spokojnie, Marcin. Wiem, że wcześniej zachowałem się jak idiota, ale już mi przeszło. Przepraszam.

Jego słowa i ton, jakim je wypowiedział, nieco mnie zaskoczyły. Spodziewałem się agresji, a on sprawiał wrażenie, jakby trzymał pod pachą gołąbka pokoju. Przybrałem sympatyczny wyraz twarzy, ale wewnątrz wciąż byłem napięty niczym cięciwa łuku. Nie ufałem mu ani trochę.

— Nic nie szkodzi — rzuciłem lekkim tonem, usiłując go wyminąć. — Sam nie wiem, jak bym zareagował na pana miejscu...

Położył mi na ramieniu lewą rękę. Zesztywniałem, ale najwyraźniej nie zamierzał mnie udusić. Poklepał mnie tak, jakby klepał konia, a potem wyciągnął do mnie drugą dłoń.

— Daj spokój z tym panem — powiedział, wprawiając mnie w osłupienie. — Jak tak do mnie mówisz, to czuję się jeszcze starszy, niż jestem — dodał, klepiąc się po wydatnym brzuchu.

Uścisnąłem jego dłoń.

— Janusz, tak? — upewniłem się, a potem po raz pierwszy w życiu dokładnie mu się przyjrzałem.

Kiedy nie wykrzywił się ze złości, robił raczej sympatyczne wrażenie. Był — jak to mówią — uroczym brzydalem. Jego wielka, łysiejąca głowa była tak nieforemna, jakby jakiś dzieciak ulepił ją z modeliny. Ale uśmiech miał sympatyczny.

— Chodź, pogadajmy — zaproponował, wskazując wielką dłonią na pokryty obrusem stolik, przy którym na szczęście nie zauważyłem jego żony. — Agnieszka została z synkiem. Nie lubi takich imprez.

To coś nowego — pomyślałem. Kiedyś uwielbiała wychodzić z domu, ale pewnie zmieniło ją dziecko.

— Wolałbym się tu nie kręcić w takim stroju — powiedziałem, wskazując dłonią na mój wymięty podkoszulek i wystrzępione džinsy. — Może siądziemy sobie na chwilę na tarasie?

— Zaczekaj na mnie — poprosił i wrócił do stolika. Za moment pojawił się znowu, ściskając w dłoniach dwie butelki piwa. — Nie wiedziałem, co wolisz. Jak chcesz, to wrócę po wódkę.

Wziąłem od niego butelkę piwa. Na wódkę nie miałem ochoty. A poza tym nie chciałem, by mnie upił. Był wielki jak tur, a ja przez kilka ostatnich lat odwykłem od alkoholu.

Usiedliśmy na opustoszałym tarasie. Noc, która nastąpiła po upalnym dniu, była przyjemnie chłodna. Pachniało lasem i grzybami. Wyciągnąłem przed siebie nogi i poczułem, że wbrew zdrowemu rozsądkowi zaczynam się relaksować. Natomiast Janusz sprawiał wrażenie spiętego.

— Głupio mi, wiesz? — powiedział, a ja przez chwilę myślałem, że cały czas chodzi mu o jego dzisiejszy atak złości.

— Daj spokój — mruknąłem. — Zobaczyłeś byłego faceta swojej żony, jak

w twoim własnym ogrodzie rozmawia z twoim własnym synem. Jak niby miałeś się zachować? Pocałować mnie w rękę? Wręczyć kwiaty? Zwłaszcza że już wcześniej widziałeś, jak kręciłem się w okolicy. To mi powinno być głupio...

— Nie — przerwał mi gwałtownie. — Nic nie rozumiesz. Chodzi mi o całość tej sytuacji... Odbiłem ci dziewczynę, kiedy siedziałeś w więzieniu...

Gdy to mówił, brzmiało to paskudnie, ale ja wcale nie miałem do niego żalu. Przecież i tak ostateczną decyzję podjęła Agnieszka. Powiedziałem mu to, dodając, że do niej też nie mam pretensji.

— Łatwo jest ferować wyroki — mruknąłem, przełknąwszy łyk zimnego piwa. — Ale tak naprawdę nigdy do końca nie wiesz, jak się zachowasz i co w danej sytuacji jest właściwe, a co nie. Nie chciała być z kimś, kto zabił człowieka. I ja ją rozumiem.

Westchnął ciężko i przewrócił oczami.

— Gdyby wszyscy byli podobni do ciebie, poszedłbym na bezrobocie — stwierdził. — Ale nie wszyscy umieją tak jak ty...

— Co umieją?

— Przyjmować to, co niesie życie, nie dzieląc przy tym włosy na czworo. Agnieszka tego nie umiała. Wiesz, jak się poznaliśmy, prawda?

— Podczas terapii — stwierdziłem, szukając na ciemnym niebie pierwszych gwiazd.

— No właśnie. Jako psychoterapeuta nie powinienem dopuścić do tego, co zaszło...

Nagle straciłem chęć do rozmowy. Zacząłem się obawiać, że zacznie ze mną gadać o swoim życiu seksualnym. Tego bym nie zniósł, ale okazało się, że jemu chodziło o etykę.

— Zakochałem się w pacjentce. Nigdy nie sądziłem, że to spotka właśnie mnie. Wiem, że mnie to nie tłumaczy, ale chcę, żebyś wiedział: broniłem się przed tym rękami i nogami. Tylko że bezskutecznie...

W jego głosie było tyle smutku, że zrobiło mi się go żal. Nie zamierzałem go jednak pocieszać. W końcu uwiódł dziewczynę, która była moją narzeczoną. Większość mężczyzn dałaby mu za to w zęby.

— Daj spokój, Janusz — przerwałem mu, bo nie było o czym gadać. — Przecież każdy, kto kiedykolwiek się zakochał, powie to samo. Kiedy pojawia się miłość, zasady nagle nie mają żadnego znaczenia. Masz tyle lat, że powinieneś to rozumieć...

Do miejsca, w którym siedzieliśmy, nie docierały światła ze stołówki. Było tu ciemno choć oko wykol, ale domyśliłem się, że pokiwał głową.

— Była naprawdę w kiepskim stanie — powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszałem. — Ta sytuacja kompletnie ją załamała. Musiałem podać jej silne leki.

Pokręciłem głową. Jej psychika stanowiła dla mnie zagadkę. Zawsze była tak wesoła i żywotna. I nagle rozsypała się jak domek z kart. Nie podejrzewałem jej aż o taką wrażliwość.

— Ale teraz jest już lepiej, prawda?

Usłyszałem, jak przełyka piwo.

— Lepiej, ale wciąż nie idealnie. Na szczęście nie jest sama... Ma syna. Ale takie

sytuacje jak ta dzisiejsza na pewno jej nie pomagają...

Nagle zrozumiałem, dlaczego chciał ze mną rozmawiać. Wcale nie chodziło o nagły przyptyw sympatii albo chęć uzyskania rozgrzeszenia. Stał twardo po ziemi, a te wszystkie łzawe teksty miały mnie uformować jak plastelinę. Chodziło mu o to samo co przed kilkoma godzinami, tyle że teraz spróbował po dobroci.

Chciał, żebym przestał nachodzić jego żonę.

Zmieniło się tylko jedno. Zrozumiałem, że nie powodowała nim zazdrość, tylko troska. Dlatego zamiast się obruszyć, poczułem, że naprawdę zaczynam go lubić. Przerwałem mu od razu i powiedziałem to, co chciał usłyszeć.

— A już twoja w tym głowa, żebyśmy nie wpadali na siebie przypadkowo — zakończyłem, a on niespodziewanie wstał i unieruchomił mnie w braterskim uścisku.

— Dzięki, Marcin... Nigdy ci tego nie zapomnę.

Sądziłem, że się rozstaniemy, ale namawiał mnie tak gorąco, że zgodziłem się z nim wypić jeszcze jedno piwo. Kiedy poszedł po nie na salę, przytknąłem twarz do okna i usiłowałem zlokalizować swojego brata, ale wciąż nigdzie go nie było. Impreza dogorywała. Przy stolikach siedziało może z dziesięć osób. Z wczasowiczów rozpoznałem jedynie pana Zbyszka, który w samotności raczył się winem.

Przez jakiś czas gawędziliśmy o wszystkim i o niczym, omijając zgrabnie temat Agnieszki. Podobnie jak ona Janusz też był gadułą. Zastanawiałem się, jak ze sobą wytrzymują.

Był tytanem pracy — tyrał od rana do nocy jako dyrektor szpitala, a poza tym prowadził prywatne praktyki: psychiatryczną i psychoterapeutyczną. Nie narzekał na brak zajęć. Widocznie w Mogielnie nie brakowało ludzi, którzy potrzebowali pomocy specjalisty.

— Lubię tę robotę — mówił jakby z lekkim zdziwieniem. — Jest piekielnie trudna, ale jeżeli uda się wyprowadzić kogoś na prostą... Możesz mi wierzyć, pieniądze nigdy nie dadzą ci takiej satysfakcji jak świadomość, że komuś pomogłeś.

W jego słowach wyczułem nutkę hipokryzji. Przypomniałem sobie jego piękny dom i sportowego chevroleta, którym chwalił się kilka minut wcześniej. Nie omieszkałem mu tego wypomnieć. Zamilkł na chwilę, a potem się roześmiał.

— Masz cholerną rację — powiedział z rozbawieniem. — Kasa też ma znaczenie. Ale pieniądze nie są dla mnie celem samym w sobie. Dają poczucie bezpieczeństwa. A to bardzo ważne, i mówię to jako psychiatra.

Akurat w tym temacie nie czułem się swobodnie. Po moim koncie hulał wiatr.

— Paskudna robota — mruknąłem, przypominając sobie poranne przejścia w szpitalu w Pasymiu. — Gdyby to zależało ode mnie, każdy psychiatra byłby milionerem.

Z parkingu wyjeżdżał jakiś samochód. Światło jego reflektorów na sekundę oświetliło twarz Janusza. Odniosłem wrażenie, że się uśmiechał.

— Niestety nie jest tak różowo — mruknął. — Ale nie mogę narzekać...

Uprzytomniłem sobie, że jest nie tylko psychiatrą, ale też dyrektorem szpitala. I nagle coś mnie tknęło. Przypomniałem sobie, że przecież właśnie w tym szpitalu pracował Rafał Dzwonkowski. Nie mogłem nie skorzystać z okazji.

— Znałeś go? — zapytałem, wymieniając imię i nazwisko ginekologa.

— No pewnie — ożywił się natychmiast. — Dobry lekarz, ale straszny safandula. Miał żonę, która puszczała się na prawo i lewo. Słyszałeś, co się z nią stało?

Nie było sensu zaprzeczać.

— Zginęła w pożarze — stwierdziłem sucho. — Ale dowiedziałem się o tym niedawno. Kiedy to się stało, byłem w Niemczech.

— A ja na Majorce. — Psychiatra uśmiechnął się do wspomnień, ale po chwili spoważniał. — Po tym wszystkim Rafał kompletnie się rozsypał... Wylądował w końcu w psychiatriku. To też wiedziałeś?

— Tak. — Kiwnąłem głową, choć w ciemności nie mógł tego zobaczyć. — Ale podobno nie było z nim aż tak źle. Słyszałem nawet, że symulował...

Zawiesiłem głos, ale Janusz nie odezwał się od razu. Z jego strony dobiegły mnie najpierw jakieś dziwne dźwięki. Zgrzytanie zębami?

— Kto tak powiedział? — starał się mówić spokojnie, ale zdradzało go drzenie głosu. Był wściekły.

Nie chciałem mu opowiadać o porannej wizycie w Pasymiu. Im mniej osób wiedziało o mojej aktywności, tym lepiej. Postanowiłem trochę pościemniać.

— Gadałem jakiś czas temu z pracującym tam pielęgniarzem. Spytałem go o Dzwonkowskiego, a on stwierdził, że facet tylko udaje świra, a tak naprawdę jest zupełnie normalny.

— A jak się nazywał ten pielęgniarz? — zapytał ostro Janusz. — Nie obraż się, ale za coś takiego powinien wylecieć z roboty. Nie powinien rozmawiać z osobami trzecimi o pacjentach...

— To mój kumpel — brnąłem dalej. — Nie wydam ci go. Twierdzisz, że nie miał racji?

Myślałem, że mi nie odpowie. Dyszał przez chwilę ze złości, ale w końcu się opanował. Udało mu się nawet zabarwić głos odrobiną sarkazmu.

— Ten twój kumpel to musi być prawdziwy geniusz — mruknął, po czym głęboko odetchnął. — Co prawda nie znam wszystkich pacjentów Pasymia i nie wykluczam, że są wśród nich symulanci... chociaż symulowanie choroby psychicznej jest na dłuższą metę raczej niewykonalne... ale akurat Dzwonkowskiego jestem pewien. Cierpiał na poważną depresję, moim zdaniem niemal niemożliwą do wyleczenia. To ja skierowałem go do zakładu zamkniętego. I jestem pewien, że nie byłby w stanie mnie oszukać...

Zrozumiałem, dlaczego się tak zezłościł. Lekarze są kapryś-ni niczym primadonny. Nie znoszą, gdy ktoś podważa ich diagnozy. Choćby miał to być nawet nie inny lekarz, tylko zwykły pielęgniarz. Zachowują się bardzo podobnie do artystów, którymi — w pewnym sensie — są.

— A co byś powiedział na to, że Dzwonkowski jest już „na wolności”?

Nerwowo poruszył się na krześle.

— Wypuścili go? To niemożliwe. Byłem przecież w stałym kontakcie z dyrektorem tamtego szpitala...

Oświeciłem go, że starego dyrektora już nie ma. Pacnął się w czoło.

— Rzeczywiście, coś słyszałem. Ale nie sądziłem, że zmiana na stanowisku

dyrektora oznaczać będzie zbiorową amnestię. Tam naprawdę przebywają groźni ludzie.

Przypomniałem sobie to, co wydarzyło się na ostatnim piętrze, w duchu przyznając mu rację. A potem poczułem ukłucie niepokoju. Zamierzałem jutro odwiedzić Dzwonkowskiego w Giżycku. A co, jeżeli rzuci się na mnie z nożem?

— Może być groźny? — spytałem, czując, jak po kręgosłupie spływa mi kropla potu.

Odstawił z hukiem butelkę.

— Oni zawsze mogą być groźni — stwierdził enigmatycznie. — A najgorzej bywa wtedy, gdy odstawi im się leki.

Przez moment zastanawiałem się, czy nie zaprosić go na wycieczkę do Giżycka, ale ostatecznie postanowiłem tego nie robić. W jego głosie brzmiała ta niezłomna pewność, że Dzwonkowski jest psycholem. Wsłuchując się w jego słowa, zaczynałem ginekologowi przekornie współczuć. Dopiero co opuściłem więzienie i wierzyłem, że każdy zasługuje na drugą szansę, a Janusz wyglądał tak, jakby chciał znów go zamknąć w pomieszczeniu bez klamek. Odniosłem wrażenie, że własny autorytet liczył się dla niego bardziej niż los człowieka. Skoro raz powiedział, że Dzwonkowski jest trwale upośledzony psychicznie, to pod żadnym pozorem nie zamierzał się z tego wycofywać.

— To okropne, co mówisz — mruknąłem dla świętego spokoju, bo chciałem zamknąć ten temat. — Nie można wypuszczać kogoś takiego między ludzi. Może być groźny dla innych, ale także dla siebie...

Wciąż był zły, ale starał się zatrzeć to wrażenie. Zaczął opowiadać o innych przypadkach lekarzy, którzy zachorowali „na głowę”. Słuchałem go jednym uchem, ale to wystarczyło, by wyłowić z jego monologu, że problemy natury psychicznej najczęściej dotyczą właśnie psychiatrów. Jakby w myśl przysłowia, że szewc bez butów chodzi...

— Jak widziałeś, sam jestem już na granicy — dodał na zakończenie, nawiązując do ataku szału sprzed kilku godzin. — Na pocieszenie mogę sobie tylko powtarzać, że nie ma ludzi całkowicie zdrowych psychicznie. Każdy ma swojego fioła, prawda?

Chciał kontynuować piwną biesiadę, ale ja nie miałem już ochoty. Wezwał taksówkę i powoli ruszył w stronę bramy. Odprowadziłem go kilka kroków, po czym podałem mu rękę. Uścisnął ją tak mocno, jakbyśmy zawierali tajemny pakt.

— Dzięki, Marcin. Równy z ciebie chłop.

Gdy zniknął w ciemności, wróciłem na stołówkę. Była zupełnie pusta. Zobaczyłem tylko pana Kazika, który w pośpiechu składał swój sprzęt. Ulotniłem się w ułamku sekundy. Nie miałem ochoty znów robić za tragarza.

Gdy mój brat nocował w ośrodku, zajmował zwykle luksusowo urządzonej apartament na piętrze głównego budynku. Wspiąłem się po schodach, ale pokój — zwany przez pracowników „Rybitwy” VIP-roomem — był pusty.

Wyszedłem na balkon i spojrzałem na teren ośrodka z góry. Wyglądał jak pogrążony we śnie. Z nocnego nieba niespodziewanie zaczął padać deszcz. Ziewnąłem i zacząłem marzyć o kołdrze i poduszce.

Na schodach wpadłem na Ilonę.

— Już po sesji?

— Jakiej sesji? — Nie zrozumiałem.

— Psychoterapeutycznej — uśmiechnęła się kpiąco. — Widziałam, jak rozmawiasz z panem Januszem. Bałam się, że weźmiecie się za kłapy...

— No widzisz, jaka niespodzianka — przerwałam jej, tłumiąc ziewnięcie. — Idziesz spać?

Zabrzmiało to dwuznacznie, ale nie miała ochoty na żarty. Wyglądała na równie zmęczoną, co ja.

— Nie mogę — westchnęła. — Musimy posprzątać tam na dole...

— Jutro też jest dzień — zauważyłam przytomnie, ale pokręciła głową.

— Szef by nas zamordował. A właśnie... à propos szefa...

— Widziałas go?

— Razem z twoim bratem kręcili się przed chwilą przy bramie. Powinieneś ich tam złapać.

Zapomniałem o zmęczeniu. Michał był mi winny wyjaśnienie i nie zamierzałem czekać z tym do jutra. Płomień mojej irytacji, który podczas rozmowy z Januszem nieco przygasł, rozbłysnął teraz z podwójną mocą. Minałem Ilonę i wybiegłem przed budynek.

— Zaczekaj! — wrzasnęła i mnie dogoniła. — Nie napadaj na niego od razu, dobrze? Daj mu się wytłumaczyć...

Roześmiałem się, lecz w tym śmiechu nie było nawet cienia wesołości.

— Nie martw się, nic mu nie zrobię — stwierdziłem, ale mój głos nie zabrzmiał przekonująco nawet dla mnie.

— Lepiej pójdę z tobą — zdecydowała, odraczając swój udział w sprzątaniu stołówki. — Wy, mężczyźni... potraficie czasem zachowywać się jak dzieci — dodała, a ja odniosłem wrażenie, że podobnych słów użyła już wcześniej, gdy szukaliśmy mojego brata na przystani.

Przy bramie nie było żywego ducha. Zniknął gdzieś nawet pan Janek, który zwykle siedział w stróżówce. Rozejrzałem się uważnie, a potem intuicyjnie skierowałem w stronę jeziora.

Niebo było zachmurzone i poruszałem się niemal po omacku. Widoczność poprawiła się dopiero w momencie, w którym doszedłem do skarpy. Przystań znajdowała się tuż obok. Na nieco jaśniejszym tle jeziora wyraźnie odznaczały się kształty dwóch samochodów. Jednym z nich był mercedes mojego brata, a drugim transportowy bus, którego silnik pracował na wolnych obrotach. Obok samochodów ujrzałem ludzką sylwetkę. Mężczyzna — o ile był to mężczyzna — zdawał się uwijać jak w ukropie.

— Co on tam robi? — zdziwiłem się, bo to nie była pora na gimnastykę.

Ruszyłem w kierunku busa, uruchamiając włączającą się na fotokomórkę latarnię. Nabrzeże zalane zostało niebieskawym światłem, które wydobyło z mroku więcej szczegółów. Zobaczyłem, że drzwi busa są uchylone, a tajemniczy mężczyzna coś przez nie wrzuca. A raczej wrzucał, bo w chwili, w której nas zobaczył, jego zachowanie zupełnie się zmieniło.

O ile wcześniej uwijał się jak w ukropie, o tyle teraz osiągnął prędkość naddźwiękową. Zatrzasnął drzwi, okrążył pojazd i wskoczył za kierownicę — wszystko to zajęło mu nie więcej niż sekundę. Pojazd wystrzelił przed siebie, zostawiając za sobą chmurę kurzu. A potem przemknął tuż obok nas, wypadając na drogę.

Ruszyłem biegiem, ale nie miałem szans. Zniknął za zakrętem, zanim zdążyłem się rozpędzić. Zza kurtyny drzew dostrzegłem, że włączył światła, ale chwilę później ich blask rozproszył się w ciemności. Zatrzymałem się, klnąc na czym świat stoi.

— Kto to był? — wydyszała Ilona.

— Jak to kto? — warknąłem. — Złodziej! Cholerny złodziej! Zwiął nam sprzed samego nosa.

Nie miałem wątpliwości, że chodzi o złodzieja. Ale Ilona myślała inaczej.

— Zaparkował koło twojego brata — zauważyła. — A poza tym co miałby tam ukraść? Kajaki?

Jej argumentacja brzmiała logicznie, ale nie zdążyłem jej rozważyć. Nagle dotarło do mnie coś przerażającego.

— Michał! — wyszeptałem, po czym rzuciłem się biegiem w stronę przystani.

Oczami wyobraźni widziałem już jego rozwaloną czaszkę, ale w miejscu, z którego odjechał bus, pozostał tylko osiadający kurz. Wściekając się, że nie mam latarki, zataczałem coraz większe koła. Ilona zrozumiała mnie bez słów.

— Nigdzie go nie ma — oznajmiła z ulgą po kilku dłużących się jak godziny sekundach.

Usiadłem na ziemi i przez chwilę otwartymi ustami chwytalem powietrze. Uczucie ulgi było tak obezwładniające, że o mało nie zemdlałem. Dziękowałem opatrności, że mój brat nie stał się ofiarą rozboju.

— Czyli co? Rzeczywiście chodziło o kajaki? — spytałem, nie bardzo w to wierząc.

Z ośrodka wojskowego dobiegały dźwięki muzyki. Tam impreza na zakończenie wakacji wciąż się rozkręcała. Po wodzie płynęły słowa jakiegoś współczesnego przeboju. Ilona obróciła się w rytm muzyki, potrząsając biodrami.

— To nie był złodziej — stwierdziła, siadając obok mnie. — Stąd nie ma co ukraść.

— A reakcja kierowcy? Przecież on przed nami uciekał!

Z tym nie mogła polemizować.

— A bo ja wiem? — zawahała się. — Może w tym busie był ktoś, kogo nie powinniśmy tu zobaczyć?

— Kto? Papież? — zaśmiałem się sarkastycznie, nawiązując do trwającej właśnie wizyty Ojca Świętego.

— Papież nie. Sądzę, że ktoś z przeciwnego bieguna. Niewierna żona? Perwersyjny młodzieniec?

Machnąłem ręką. To nie był dobry moment na żarty. Wstałem i usiłowałem zadzwonić do brata, ale znów był poza zasięgiem.

— Gdzie on tak znika? — mruknąłem pod nosem, a potem ruszyłem w kierunku hangaru.

Deszcz padał coraz intensywniej. To już nie była mżawka. Koszulka kleiła mi się do ciała, a piasek zaczynał się zmieniać w błoto. Wymacałem klamkę i usiłowałem ją nacisnąć, ale drzwi były zamknięte. Skryłem się na moment pod daszkiem i jeszcze raz wyjąłem telefon. Zbliżała się północ.

Latarnia zgasła już jakiś czas temu i przy hangarze panowały egipskie ciemności.

Wymacałem drewnianą ławkę i ciężko na nią opadłem, masując się po zmarzniętych przedramionach. Ilona usiadła obok mnie. Dotknęła mnie udem i natychmiast odskoczyła.

— Ale jesteś zimny... I mokry.

— Ty też — mruknąłem, obejmując ją ramieniem. — Chodź tu, tak będzie ciepiej.

Nie opierała się. Ogrzewając się wzajemnie, siedzieliśmy w przyjaznym milczeniu.

Moje myśli błądziły gdzieś daleko.

— Co tu się dzieje? — spytałem wreszcie, a ona natychmiast zrozumiała, o co mi chodzi.

— Nie mam pojęcia. To zawsze było takie spokojne miejsce. Jakaś klątwa czy co?

Poczułem zabobonny lęk. Zadrżałem, a ona złożyła to na karb chłodu i jeszcze mocniej mnie przytuliła. A potem zaczęła mnie całować.

Nie było mi dane sprawdzić, jak by się to skończyło. Nagle tuż obok nas zabrzmiał męski głos.

— Ja rozumiem, randka, młodość, hormony... Ale dlaczego akurat tutaj? Ja tu śpię!

Zerwałem się tak gwałtownie, że Ilona potoczyła się po trawie. Moje serce waliło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

— Włodek? — spytałem słabym głosem.

Zapalił latarkę i oświetlił najpierw bladą jak ściana Ilonę, a potem siebie.

— Tak, to ja — powiedział pogodnym tonem, gasząc latarkę.

Zdażyłem dostrzec, że ma na sobie to samo ubranie, co wcześniej. Zacząłem podejrzewać, że się tu zdrzemnął. Chciałem zagadnąć go o busa, ale ubiegła mnie Ilona.

— Kto tu był? — spytała.

Włodek objął ją ramieniem.

— Chodzi ci o tego busa, tak? — spytał, a ja zdębiałem, bo okazało się, że wcale nie spał. — To był mój znajomy. Wpadł na piwko, a potem odjechał. Nie wiedziałem, że ty i Marcin...

— My wcale nie... — Ilona urwała, a ja oczyma wyobraźni zobaczyłem rumieniec, który na pewno rozlał się po jej twarzy. — Tylko rozmawialiśmy...

— Tak, widziałem — zaśmiał się z sympatią, po czym objął mnie wolnym ramieniem, przyciągając nas ku sobie. — Ja z moją Nataszą też tylko rozmawialiśmy, a wyszła nam z tego trójka dzieci...

Ilona zaśmiała się nerwowo, ale ja wciąż nie byłem w nastroju do żartów. Jego wyjaśnienie kompletnie mnie nie zadowoliło.

— Ten twój kolega jest bardzo strachliwy — odezwałem się, wyślizgując się z jego uścisku.

Mój głos był napastliwy, ale Włodek nie dał po sobie poznać, że to zauważył.

— Dlaczego tak sądzisz? — spytał, wciąż się uśmiechając.

Nie lubiłem takich gier.

— Włodek, czy tym masz mnie za idiotę? Ten facet zwiął, bo nas zobaczył.

Jego głos pozostał pogodny, ale zauważyłem, że nieco się usztywnił.

— Wydawało ci się — powiedział, a potem usiłował zmienić temat. — Już po imprezie, tak?

Byłem spokojnym człowiekiem, ale tylko do czasu. A Włodek przekroczył właśnie

tę cienką czerwoną linię, która wyznaczała granicę. Chwyciłem go za jego potężne bary i mocno nim potrząsałem. Nie usiłował się wyrwać.

— Powiedz mi, o co tu chodzi! — rzuciłem mu w twarz, z trudem panując nad głosem.

— Nie denerwuj się — poprosił. — To nie ma sensu. Przecież i tak ci nie powiem. Zakląłem paskudnie, a potem jeszcze raz nim potrząsałem. Ilona usiłowała nas rozdzielić, ale jej wysiłki spęzły na niczym.

— Włodek! Marcin! Przestańcie!

— Przestań, Marcin — zawtórował jej Włodek, unosząc ręce. — To nie są twoje sprawy.

Przypomniałem sobie, że w podobnym duchu potraktował mnie na podwórku u mojego brata, kiedy przeszkodziłem mu w rozmowie z prezesem Kornimpeksu. Miałem tego dosyć. Uznałem, że zasługuję na szczerłość. W końcu był moim najlepszym przyjacielem. Jeszcze raz nim potrząsałem i to był błąd. W sekundę potem leżałem na ziemi, a moja twarz wykrzywiała się w paroksyzmie bólu.

— Przepraszam, Marcin. — Jego głos był pełen współczucia. — Ale naprawdę zaczynałeś mnie wkurzać.

Podniósł mnie z ziemi z taką łatwością, jakbym był pacynką. A potem otrzepał mi koszulkę z piachu. Był przy tym tak delikatny, że pokaz jego zwierzęcej siły wydał mi się tylko dawno zapomnianym wspomnieniem.

— Chciałbym cię prosić tylko o jedno, przyjacielu — powiedział. — Nie wtrącaj się. Dla swojego własnego dobra.

Dla faceta nie ma większego bólu niż ból zdeptanej dumy. Ale ja dużą część swojej dumy straciłem, gdy zamknęły się za mną bramy więzienia. Dlatego łatwiej było mi pogodzić się z porażką. Nie miałem pretensji o to, że na oczach ładnej dziewczyny obezwładnił mnie jak małego chłopca. Dlatego wyciągnąłem do niego rękę i go przeprosiłem. A potem ostrzegłem.

— Wiem, że coś tu jest nie tak. Jesteś moim kumplem, ale jeżeli się okaże, że masz coś wspólnego z całym tym syfem... z morderstwami, kradzieżą... Wtedy nie będziesz już dla mnie kumplem. Zrobię wszystko, żeby cię zniszczyć.

Uścisnął mocno moją dłoń, a potem położył mi rękę na ramieniu. Znow wyglądał tak, jakby z trudem powstrzymywał się od łez. Tak jak wtedy, u mojego brata.

— Oj Marcin, Marcin... — westchnął. — Nie mam z tymi sprawami nic wspólnego i nie wiem, o co chodzi w tej całej grze, ale uważaj. W życiu bywa tak, że prawda okazuje się bolesna.

Nie dałem mu się zbyć.

— Słyszałeś kiedyś o Alinie Janeczek? Albo o Katarzynie Dzwonkowskiej? Mówili na nią Kate.

Popatrzył na mnie z odległości kilku centymetrów. Odniosłem wrażenie, że teraz nie próbuje niczego przede mną ukrywać.

— Uderzasz pod niewłaściwy adres — powiedział. — Ja jestem tu dopiero od trzech lat. A poza tym ja tu tylko... sprzątam.

Nie wnikałem, co miał na myśli. Jeszcze raz rzuciłem okiem na miejsce, z którego

przed kilkunastoma minutami odjechał bus. A potem spojrziałem na mercedesa.

— A mój brat...

— Nie ma go tu — stwierdził autorytatywnie Włodek, ale ja nie o to chciałem zapytać. Jego nieobecność wydała mi się podejrzana, a poza tym wciąż wracałem myślami do tego, co usłyszałem od muzyka z „Kobry”. Że w nocy pożaru Michał bratał się z człowiekiem, którego zabiłem.

— Czy on też... — zacząłem, ale zaraz ugryzłem się w język. To była sprawa między Michałem a mną.

Gdy byliśmy przy bramie, deszcz zamienił się w ulewę. Skryłem się wraz z Iloną pod drzewem i zastanawiałem się, czy ta przygoda nie skończy się dla mnie zapaleniem płuc. Z minuty na minutę robiło się coraz zimniej. Od strony jeziora wiał przenikliwy wiatr.

— On naprawdę chce tam nocować? — Ilona machnęła ręką w kierunku niewidocznego stąd hangaru, gdzie przed dwoma minutami zostawiliśmy Włodka.

Wzruszyłem ramionami. Jakoś trudno było mi wzbudzić w sobie współczucie. Ręka, którą wykręcił mi mój przyjaciel — po tym, jak wyrzucił mnie na ziemię — wciąż mnie bolała.

— Niech sobie marznie — rzuciłem mściwie, opierając się o pień i przybitą do niego tabliczkę, która informowała, że pięćdziesiąt metrów stąd znajdują się toalety. — Tak blisko, a tak daleko — mruknąłem, bo od jakiegoś czasu mój pęcherz wysyłał dość jednoznaczne sygnały.

Wryty na tabliczce skrót „WC” uruchomił w moim mózgu gonitwę myśli, którą na próżno próbowałem zwalczyć. Literki te atakowały moją wyobraźnię nawet wtedy, gdy deszcz nieco zelżał, a ja skorzystałem już z toalety. Na chwilę wyrzuciłem je z głowy, żegnając się z Iloną.

— Dzięki, Marcin — szepnęła, a ja się zarumieniłem.

Zanim wymyśliłem odpowiedź, zdążyła zniknąć w ciemności. Poszła na stołówkę, a ja wróciłem do baraku. Wziąłem szybki prysznic i włożyłem suchą bieliznę. Położyłem się, a myśl o umieszczonych na drzewie literach znów do mnie wróciła.

Usiadłem i przez chwilę usiłowałem sobie wmówić, że mam halucynacje. Ale sprawa była zbyt poważna, by ją tak zostawić.

W połowie drogi na parking przypomniałem sobie, że przecież wypłem dzisiaj trzy piwa. Co prawda czułem się trzeźwy jak niemowlę, ale nie chciałem łamać swoich zasad. Klnąc na czym świat stoi, wróciłem po rower. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że po alkoholu nie powinienem jeździć także rowerem, ale nie czułem wyrzutów sumienia. Postępowałem w zgodzie z lokalną tradycją. Tutaj każdy jeździł na cyku...

Droga do Wymyk w pewnym momencie zaczęła przypominać afrykańskie wadi w sercu pory deszczowej. Gлина nie wchłaniała całej wody — zimny strumień omywał koła roweru, utrudniając jazdę. Jeden z odcinków był do tego stopnia nieprzejezdny, że pokonałem go pieszo, ciągnąc rower za sobą. W moich butach chlupotała woda. Przeklinałem w myślach swoje pijaństwo. Dużo wygodniej byłoby mi w samochodzie. Chociaż mazda nie była amfibią, przejeżdżałem nią przez o wiele gorsze miejsca.

W połowie drogi wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do Karoliny.

— Masz jeszcze służbę? — spytałem, a ona potwierdziła. — Słuchaj, czy mogłabyś przyjechać do Wymyk?

Nie chciała, ale zdołałem ją przekonać. Która kobieta jest w stanie oprzeć się tajemnicy? Miałem tylko nadzieję, że się nie zbląźnię.

Przytwierdzone do ramy roweru dynamo dawało tak mało światła, że o mały włos przegapiłbym wieś i pojechał dalej. Wszystkie cztery chałupy pogrążone były w całkowitej ciemności. Wątpiłem, czy ktoś tu w ogóle nocuje.

Zostawiłem rower na poboczu i przyświecając sobie latarką, ruszyłem w kierunku cmentarza. Niewyraźna ścieżka co chwila zanikała, a wysokie trawy pokryte były kropelkami deszczu. W świetle latarki krople lśniły jak malutkie diamenty. Wyglądały pięknie, ale nie robiły się przez to mniej mokre. Po kilkudziesięciu krokach czułem się tak, jakbym właśnie skąpał się w bagnie. Sweter, który na siebie naciągnąłem, przypominał teraz świeżo namoczoną szmatę.

Przez dłuższą chwilę błądziłem wśród moczarów, ale w końcu trafiłem na wyniesienie, na którym znajdowało się zapomniane cmentarzysko. Pochyle, poskręcane ze starości krzyże robiły dość ponure wrażenie, a w oparach unoszącej się nad nimi mgły kryło się coś złowieszczo. Ciężkie krople deszczu uderzały w wilgotną ziemię, wsiąkając w mogiły. W powietrzu unosił się zapach zbutwiałych liści. Do pełni szczęścia brakowało tylko płynącej między grobami białej damy.

Ale ja nie przyszedłem tu po to, żeby się bać. Starając się nie deptać po mogiłach, przeszedłem przez cmentarz. Gdy dotarłem do jego przeciwnego skraju, poświeciłem w górę. Korona potężnego dębu działała jak ogromny parasol. Ściana deszczu nagle zniknęła, a jedynym świadectwem tego, że nadal pada, był monotony odgłos uderzających w liście kropel.

Nie od razu go znalazłem. Światło latarki było słabe, ale wreszcie się udało. Poczulem, jak moje serce zrywa się do galopu. Dopiero teraz zacząłem się bać.

Karolina nadjechała kilka minut później. Zatrzymała się w środku osady i uruchomiła sygnał dźwiękowy. Podbiegłem do radiowozu. Zajrzałem przez szybę na miejsce kierowcy i natychmiast odskoczyłem. Z fotela kierowcy patrzyła na mnie jakaś wąsata twarz.

— Chyba nie sądziłeś, że przyjadę tutaj sama? — powiedziała Karolina, wysiadając od strony pasażera. Dostrzegłem, że na jej twarzy pojawiło się zakłopotanie. — Nie zaprosiłeś mnie tu na randkę, prawda?

W innej sytuacji parsknąłbym śmiechem, ale teraz stać mnie było jedynie na błądy uśmiech.

— Chodźcie za mną — poleciałem, po czym przeprowadziłem ich przez moczary na teren cmentarza.

— Nie mów tylko, że znalazłeś kolejne ciało. — Dziewczyna zadrżała, patrząc z lękiem na wirującą w podmuchach wiatru mgłę.

— Nie. Znalazłem dowód — odparłem, prowadząc ją za rękę w kierunku dębu.

Wąsaty policjant — ten sam, który przyjechał do „Rybitwy” trzy dni temu, po włamaniu do archiwum — przyświecał sobie solidną latarką, o wiele silniejszą niż moja. Poprosiłem go, by oświetlił pień dębu. Tym razem nie miałem problemów ze

zlokalizowaniem wyciętych w korze liter. Teraz wiedziałem, że mają przynajmniej sześć lat.

— Co to jest? — spytała Karolina, podchodząc do pnia i badając wyryte w sercu znaki.

C.C. + A.J.

— A jak myślisz? — zapytałem, ale nie czekałem na odpowiedź. — To jest świadectwo. Świadectwo dawno przebrzmiałej miłości. Miłości Aliny Janeczek i Cezarego Cybulskiego.

Ciszę, która zapadła po tych słowach, zakłócał tylko żalobny płacz puszczyka.

Odezwała się dopiero w radiowozie. Siedziałem na tylnym siedzeniu, trzymając w objęciach przednie koło roweru, które nie zmieściło się do bagażnika.

— Ten nauczyciel i ta dziewczyna? Fuj... — zrobiła taką minę, jakby atakowały ją mdłości. — Przecież to nauczyciel. Nie robią wam jakichś testów na pedofilię?

Poczułem złość. Nie lubiłem, jak ktoś wrzucał wszystko do jednego worka.

— Wszędzie może trafić się zwyrodnialec. Nie wyeliminują tego żadne testy. Jego przynajmniej spotkała kara.

Przypomniała sobie zdjęcia z miejsca, w którym znalazłem ciało Cezarego. Poblądła i natychmiast uchyliła okno.

— Zemsta, tak? — spytała, a ja pokiwałem głową.

Było to dla mnie oczywiste. Nasuwały się tylko dwa pytania. Kto się mścił? I za co? Bo wciąż nie wiedzieliśmy, co tak naprawdę stało się z dziewczyną.

— Rusz głową. W końcu byliście kumplami.

Powiedziałem jej, dlaczego przestałem się z nim kolegować. Gdy to mówiłem, poczułem wyrzuty sumienia. Może powinienem zrobić coś więcej, niż tylko się od niego odsuwać. Powiedzieć komuś o swoich odczuciach, naskarżyć... Tylko że z tego, co słyszałem, Cezary i tak był nietykalny. Stał za nim sam burmistrz. Burmistrz, który grzebał w jego szkolnej szafce.

Ledwo zdążyłem opowiadać, Karolina włączyła radio i przekazała to, co jej powiedziałem, na komisariat. Usłyszałem, że dyżurny postanowił obudzić prokuratora.

— No to pan burmistrz będzie miał kłopoty — powiedziała mściwym głosem. — Zaraz po niego pojedą.

Nie miałem złudzeń. Takie zatrzymanie oznaczało dla Adasia koniec kariery. Nie czułem ani odrobiny żalu. Podzielałem uczucia Karoliny. Jak można było rozkładać parasol ochronny nad kimś, kto uwodził niedojrzałe dziewczynki? Jak dla mnie, burmistrz mógł sobie zgnieć w więzieniu.

Podwieźli mnie pod bramę ośrodka. Wygramoliłem się z radiowozu i ruszyłem w stronę swojego baraku. Karolina dogoniła mnie po kilku krokach.

— Nie chciałam tego mówić przy koledze — powiedziała konspiracyjnym szeptem. — Przyszły wyniki badań laboratoryjnych. Okazało się, że w notesie pana Tadeusza było wpisane twoje nazwisko. Ktoś wyrwał stronę, na której je napisano. Co prawda bieglej orzekli, że nie zgadza się charakter pisma, ale jednak ktoś po coś tę stronę usunął. Postanowiono zintensyfikować działania w twojej sprawie.

Przełknąłem ślinę. Teraz wiedziałem, jak głupim posunięciem było zniszczenie tego

dowodu. Okazało się, że moje nazwisko umieścił w notesie nie pan Tadeusz, tylko ktoś, kto usiłował mnie wrobić. Ale nie mogłem jej tego powiedzieć. Moje szachrajstwo natychmiast wyszłoby na jaw.

— Nie bałaś się do mnie przyjeżdżać? Zwłaszcza z nim — wskazałem na wścizka w radiowozie.

Przestałem już udawać, że rozumiem, dlaczego kolejny raz mnie ostrzegła. Nigdy nie spotkałem tak niestandardowej policjantki. Obawiałem się, że w końcu wpadnie przeze mnie w kłopoty, ale ona się nie przejmowała.

— Żyjemy w państwie prawa — stwierdziła. — Dopóki ktoś nie udowodni ci winy, jesteś niewinny.

— A dobro śledztwa?

Wzruszyła ramionami.

— Ja jestem od tego, żeby zbierać informacje. Jak będą cię chcieli zatrzymać, to cię zatrzymają. A jeżeli chodzi o niego — odwróciła się w kierunku samochodu — to możesz być spokojny. Nic nie powie. Nie znosi komendanta. Utopiłby go w łyżce wody.

Myślałem, że to już wszystko, ale okazało się, że chciała mi powiedzieć coś jeszcze.

— Zastanawiałeś się nad tym, po co prokuraturze informacje o twoich współwięźniach?

— Zastanawiałem — odparłem zgodnie z prawdą. — Cały czas się zastanawiam, ale jak na razie nie mam pomysłu.

— Mnie też nie daje to spokoju. Słuchaj, a może byś się z nimi skontaktował? Z Bierutem i pozostałymi.

Nie byłem zaskoczony jej propozycją. Myślałem o tym już wcześniej. Nie podobało mi się to zainteresowanie moją więzienną przeszłością. Za bardzo kojarzyło mi się z kratami.

— Z Bierutem nie siedziałem w jednej celi... — sprostowałem. — Oczywiście pamiętam adresy swoich kumpli i mogę się z nimi skontaktować. Nie wiem tylko, czego mam szukać. Rozumiesz, to takie działanie po omacku.

— Szukaj... anomalii — powiedziała powoli. — Czegoś, czego się nie spodziewasz...

Żachnąłem się. Dla mnie to wciąż było działanie po omacku.

— Oczywiście mogę się spotkać tylko z tymi, którzy są na wolności — zastrzegłem. — Nie zamierzam umawiać się na wizyty w zakładach karnych. Od tych miejsc chciałbym się trzymać możliwie jak najdalej. Wiesz, żeby nie kusić losu...

— Pewnie, że na wolności — przerwała z niecierpliwością. — Powinniśmy działać możliwie dyskretnie.

Zdębiałem.

— Jak to „powinniśmy”?! Chcesz jeździć ze mną?!

— Tak — powiedziała po prostu, a mnie na chwilę zatkało.

Gapiałem się na nią jak na wariatkę.

— Nie boisz się, że wylecisz z policji?! — wydusiłem z siebie, gdy odzyskałem głos. — To niebezpieczna gra. Możesz dużo stracić.

Popatrzyła na mnie twardym wzrokiem.

— Nie boję się. Mam plan. Chcę, by po tej sprawie było o mnie głośno. Chcę się wreszcie wynieść z tego zadupia...

Była tak zdeterminowana, że postanowiłem nie drażnić tego tematu. W końcu była już dorosła. Umówiliśmy się na rano. Postanowiliśmy zacząć od Giżycka, gdzie — według naszego informatora z pasymskiego szpitala — przebywał Rafał Dzwonkowski. A potem... Potem chciałem złożyć kilka samodzielnych wizyt.

— Zdajesz sobie sprawę, że będziesz czekać w samochodzie? Przecież nie wezmę policjantki na spotkanie z kolegami z celi.

— Wystarczy, że wszystko mi opowiesz. Dzięki — pocałowała mnie w policzek i pobiegła do radiowozu.

A ja przez chwilę stałem na deszczu, zastanawiając się, dlaczego tak bardzo zależało jej na tym, by ze mną jechać. Nie chciało mi się pomieścić w głowie, że można ryzykować tak jak ona.

Moje rozważania przerwała zimna strużka wody, która popłynęła po moim kręgosłupie. Byłem mokry jak szczur. Ruszyłem w kierunku baraku, ale po kilku krokach stanąłem jak wryty. Na podjeździe przy stołówce stał mercedes mojego brata.

Dopałem do niego w dziesięć sekund. Był otwarty, ale w środku nikogo nie było. Wbiegłem po schodkach i zajrzałem na salę stołówki. Był w środku. Jak gdyby nigdy nie siedział przy stoliku i jadł kolację.

— Marcin — wypowiedział moje imię z uśmiechem, ale jego oczy patrzyły na mnie ostrożnie. — Myślałem, że już od dawna śpisz. Siadaj...

To zaproszenie jeszcze bardziej mnie rozsierdziło.

— Gdzie ty się podziewałeś? — warknąłem, opierając ręce o blat. — Szukam cię przez całą noc!

Zobaczyłem, że pobladł.

— Coś się stało? — spytał, luzując kołnierzyk koszuli.

Mogłem usiąść przy stole i spokojnie z nim pogadać. Ale byłem cholerykiem. A poza tym czułem się przez niego oszukany.

— Tak. Stało się. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że byłeś świadkiem tego pożaru? Wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał mnie powstrzymać przed pytaniami.

— To nie tak, Marcin — powiedział drżącym głosem. — Ja naprawdę niewiele z tego pamiętam...

Mogłem pozwolić mu skończyć. A potem wypić kawę i zjeść kanapkę. Złość jest złym doradcą. Miałem zapamiętać to już na zawsze.

Ale w tamtej chwili jeszcze tego nie wiedziałem. Zamiast się uspokoić, zrobiłem groźną minę i obcesowo mu przerwałem.

— Ale pamiętasz faceta, którego potem zabiłem? — zacząłem i w tym momencie puściły mi wszelkie hamulce. — W co ty grasz za moimi plecami?! Jesteś moim bratem czy nie?! — krzyknąłem, a potem nabrałem powietrza, by wykrzyknąć całą nagromadzoną we mnie złość. Ale nie zdążyłem. Zdążyłem tylko wytrzeszczyć oczy.

Michał — mój kochany starszy brat, któremu zawdzięczałem niemal wszystko — złapał się za serce i wraz z krzesłem runął na podłogę.

Wezwana przeze mnie karetka przyjechała po dwudziestu minutach. Michał

balansował na granicy utraty świadomości. Otwartymi ustami łapał powietrze, a jego twarz wykrzywiona była w wyrazie udręki. Trzymałem jego głowę na kolanach i ścisnąłem go za rękę. Staralem się nie myśleć i wychodziło mi to całkiem nieźle. W mojej głowie panowała kompletna pustka. Powtarzałem w duchu słowa modlitwy i co chwilę zerkałem na zegarek.

Ilona pobiegła do bramy, by wpuścić pogotowie. Tymczasem na sali pojawił się też kierownik. Był blady jak prześcieradło, bledszy nawet od Michała. Patrząc na niego, odnosiło się wrażenie, że zaraz też upadnie na podłogę.

— Serce? — zapytał rozedrganym szeptem, ale nie trudziłem się, by mu odpowiadać.

Gdy na stołówkę wpadli ratownicy medyczni, poczułem, że sam chwieję się na nogach. Wpatrywałem się w napięciu, gdy go badali. Gdy jeden z nich rzucił w moją stronę, że nie ma zagrożenia dla życia, moje nogi zrobiły się miękkie jak galareta. Gdyby nie silne ramię Ilony, wylądowałbym na podłodze, tuż obok brata.

Ulga była gigantyczna, ale zaraz po niej pojawiły się wyrzuty sumienia. Ruszyłem przy noszach, trzymając Michała za rękę.

— Przepraszam, braciszku — powiedziałem łamiącym się głosem, a potem rozbeczałem się jak dziecko.

Brat odwrócił głowę w bok — zupełnie jakby nie chciał być świadkiem mojego płaczu — a po policzku spłynęła mu pojedyncza łza.

— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz! — zaszlochałem, ale on pokręcił przecząco głową.

— Nie, Marcin... Nie będzie — wychrypiał, a potem zamknął oczy.

Chciałem za nim wejść do karetki, ale drogę zastąpił mi kierowca. Potężny drab o niskim czole i złamanym nosie.

— Będzie za ciasno — stwierdził autorytatywnie i lekko mnie odepchnął.

— Gdzie go zabieracie? — spytałem, ale już go nie było.

Pobiegłem do samochodu, ale Ilona zabrała mi kluczyki.

— Ja poprowadzę. Ty piłeś, a poza tym wyglądasz, jakbyś miał zaraz odpłynąć. Co się stało?

Ruszyła z piskiem opon, trzymając się tuż za zderzakiem karetki. W kilku słowach opisałem jej całe zajście. Czuję się cholernie winny, ale ona nie robiła mi wyrzutów.

— Nie powiedziałaś nic złego — stwierdziła ostrożnie, bojąc się, że na nią naskoczę. — Miałaś prawo zadać te pytania. Przecież nie było w nich nic takiego, by aż tak się zdenerwował. To musiał być przypadek...

Mówiła w ten sposób niemal całą drogę i chyba naprawdę w to wierzyła. Nie zdołała mnie jednak przekonać. W przeciwieństwie do niej ja widziałem jego twarz. Gdy wspomniałem o mężczyźnie, który tamtej nocy prowadził go pod rękę, jego oczy zrobiły się wielkie jak talerze. Do tej chwili myślałem, że facet, którego zabiłem, zwyczajnie pobierał od niego haracz. Ale teraz wiedziałem, że łączyło ich coś innego.

Co to mogło być? Aż bałem się zgadywać. To musiało być coś paskudnego. W przeciwnym razie mój brat nie wylądowałby na OIOM-ie...

Karetką zawiozła go od szpitala w Mogielnie. Szedłem za noszami aż do chwili,

gdy zamknęły się przede mną drzwi z napisem „blok operacyjny”. Kolejne dwie godziny spędziłem na korytarzu, w towarzystwie Ilony. Nie wykrztusiłem przez ten czas ani słowa, z trudem zwalczając mdłości. Nie pomyślałem nawet o tym, by powiadomić Marysię. Strach trzymał mnie w swoich szponach do momentu, kiedy w drzwiach pojawił się lekarz. Na jego wymizerowanej twarzy zobaczyłem lekki uśmiech.

— Mogą państwo iść do domu. Pan Michał czuje się już lepiej.

Nie mogłem wykrztusić słowa. Do oczu znów napłynęły mi łzy. Wyręczyła mnie Ilona.

— Co mu jest? — spytała.

— Stan przedzawałowy — odparł lekarz, pocierając dłońmi nieogolone policzki.

— Za dużo stresu, za mało odpoczynku. Ostrzegałem go, że tak się to skończy.

Okazało się, że Michał leczył się u niego już ponad dwa lata. Zaczęło się od uczucia duszności, a potem pojawiły się bóle. Był nieodpowiedzialnym pacjentem. Często zapominał o lekach i nie umiał się rozstać z papierosami.

— Już ja go przypilnuję — wychrypiałem, pociągając nosem. — Czy mógłbym na chwilę go zobaczyć?

Lekarz zawahał się, a potem skinął głową.

— Tylko dyskretnie, panie Marcinie. To wbrew regulaminowi.

Domyśliłem się, że mój brat zostawił w jego prywatnym gabinecie niemałą fortunę. Teraz nie wypadało mu być nadmiernym służbistą.

Poszliśmy do pokoju lekarskiego, gdzie otrzymałem biały kitel. A potem lekarz wprowadził mnie do pojedynczej sali. Wyglądała jak centrum dowodzenia NASA. Dwie ściany zabudowane były monitorami i sprzętem medycznym, który co chwila coś popiskiwał i jarzył się kolorowymi lampkami. Na środku — na potężnym łóżku — leżał Michał. Wyglądał dużo lepiej niż przed dwoma godzinami.

— Braciszku — pochyliłem się nad nim i pogłaskałem go po policzku. — Nie powiedziałaś mi, że jesteś chory...

Uśmiechnął się blado. Odniosłem wrażenie, że unika mojego wzroku.

— To głupstwo — mruknął, nadrabiając miną. — Nie przejmuj się.

Jeden z monitorów zaczął migać na czerwono. Zerknąłem za siebie, ale lekarz najwyraźniej postanowił dać nam chwilę prywatności. Wcale mi się to nie podobało. O ile dobrze widziałem, to puls mojego brata przyspieszył do stu sześćdziesięciu.

— Nic nie mów — poprosiłem. — Wszystko jest OK.

Pokręcił głową i na chwilę spojrzął mi w oczy. Zobaczyłem w nich coś dziwnego.

— Nic nie jest OK — wykrztusił, podnosząc się do pozycji siedzącej. — Musimy pogadać...

— Nie musimy — przerwałem mu, po czym ułożyłem go z powrotem na materacu.

— Mam gdzieś te wszystkie stare historie. Najważniejsze, żebyś był zdrowy, rozumiesz?

Znów spojrzął na mnie tak, jak przed chwilą. I znów odniosłem wrażenie, że patrzy na mnie z mieszaniną wstydu i poczucia winy. Tymczasem to ja powinienem się wstydzić. Przecież gdyby nie ja, toby tu nie trafił. Kto wie, może przez swoje choleryczne usposobienie skróciłem mu życie? W końcu stan przedzawałowy to nie przelewki...

— Marcin... — powiedział z mocą, po czym wywrócił oczami, ukazując mi białka.

Dwa inne monitory pokryły się szkarłatem, a z podłużnego urządzenia zaczęły wydobywać się alarmujące piski. Wybiegłem na korytarz.

— Doktorze! Znów mu gorzej! — krzyknąłem.

Pojawił się po kilku sekundach. Wstrzymując oddech, patrzyłem, jak majstruje przy stojaku z kroplówkami.

— Kryzys opanowany — mruknął pod nosem, a potem spojrzał na mnie nieprzyjaźnie. — Zdenerwował się na pański widok. Będzie lepiej, jak pan już sobie pójdzie!

Rzuciłem bratu ostatnie spojrzenie i wyszedłem na korytarz. Ręce trzęsły mi się tak, że nie byłem w stanie rozpiąć guzików. W końcu zdjąłem kitel przez głowę. Mój brat wyglądał jak trup.

— No i jak? — spytała Ilona, gdy opuściłem blok operacyjny.

Znalazła gdzieś automat z kawą i podała mi plastikowy kubek. Część jego zawartości wylądowała na podłodze, ale pierwszy gorący łyk sprawił, że trochę się uspokoiłem. Opowiedziałem jej o swoich wrażeniach.

— Takie skoki pulsu są w jego stanie normalne — powiedziała, chcąc mnie pocieszyć. — Potrzymają go przez parę dni i dopiero wtedy zadecydują, jak dalej go leczyć.

W połowie drogi do ośrodka przypomniałem sobie o Marysi. Przecież ktoś musiał jej powiedzieć, co się wydarzyło. Na pewno umierała z niepokoju. Poprosiłem Ilonę, by zawiozła mnie do brata. Przemknęliśmy przez uśpione Nadrowo i zatrzymaliśmy się przed bramą. Zobaczyłem, że Ilona z trudem utrzymuje koncentrację.

— Idź spać, bo w końcu zaliczysz jakieś drzewo — poprosiłem. — Rano odwiozę cię do ośrodka.

Pokazałem jej swój pokój, a potem wyruszyłem na poszukiwania Marysi. Znalazłem ją w kuchni. Siedziała na krześle i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w okno.

— Gdzie Michał? — spytała, a ja odniosłem wrażenie, że znów jest pijana.

Usiadłem obok niej i chwyciłem ją za rękę. Jej palce były zimne jak u trupa.

— Michał poczuł się słabo — zacząłem, starając się mówić jak najbardziej delikatnie. — Nic mu nie jest, ale lekarze postanowili dokładnie go przebadać.

Spodziewałem się krzyków i hysterii, ale zachowała olimpijski spokój.

— Ach tak — stwierdziła, a potem znów odwróciła się w stronę okna. — Masz ochotę na kolację?

Popatrzyłem na nią zdziwiony. Kiwała się na krześle jak indyjski fakir. Szukałem wzrokiem kieliszka, ale bezskutecznie. Pociągnąłem nosem, ale nie pachniała alkoholem. Wzruszyłem ramionami i wtedy spłynęło na mnie olśnienie.

Delikatnie ująłem ją za podbródek i popatrzyłem w oczy. Nie były tak piękne jak zwykle. Czaiło się w nich coś groźnego. Żrenice były nienaturalnie powiększone, a białka nabiegły krwią.

— Co brałaś? — spytałem ostro, bo od razu pomyślałem o narkotykach.

Uśmiechnęła się do mnie niewinnie.

— Tylko lekarstwa — stwierdziła. — Było mi bardzo smutno...

Zakląłem. Bałem się, że przedawkowała. Miałem na dzisiaj już dość pogotowia. Chwyciłem za telefon i wybrałem numer, który wprowadziłem przed kilkoma godzinami. Chociaż było już po trzeciej, Janusz odebrał po pierwszym sygnale.

— Przyjedź do mojego brata — poprosiłem, a on odparł, że nie ma sprawy.

Zaparkował przed domem już po dziesięciu minutach. Cóż, Mogielno było niewielkim miasteczkiem. Wyszedłem i zapaliłem światło przed wejściem.

— Dzięki, Janusz — powiedziałem, ale on tylko machnął ręką.

Gdy oglądał jej lekarstwa, Marysia próbowała z nim flirtować.

— Cudownie znów pana widzieć, panie doktorze...

Janusz nie wdawał się w pogawędki. O tej porze był bardziej psychiatrą niż psychoanalitykiem. W pewnym momencie wyjął z torby fiolkę i strzykawkę.

— Nic jej nie jest, ale na wszelki wypadek dam jej zastrzyk. Pośni po nim przynajmniej do południa...

Gdy nakładał igłę, powiedziałem mu o Michale. Nie był zaskoczony.

— Zupełnie o sobie nie dba — mruknął, dezynfekując skórę Marysi jakimś środkiem w sprayu. — A wywiad medyczny macie nieszczególny. Wasz ojciec... — umilkł i wbił igłę w skórę mojej bratowej. Uśmiechnęła się, jakby aplikował jej hormony szczęścia.

Żegnając się z nim, poprosiłem, by miał na Michała oko.

— Możesz być spokojny — zapewnił. — Wpadnę do niego koło siódmej, od razu po przyjściu do pracy. Wiesz, jak działa taka wizyta dyrektora? Nie będę musiał nic mówić, a i tak będą stawać na głowach. No to co? Do zobaczenia.

Wsiadł w samochód i odjechał, a ja jeszcze przez jakiś czas za nim patrzyłem. Uznałem, że los bywa przewrotny. Rano go nienawidziłem, po południu nim pogardzałem, a teraz... Teraz byłem gotowy wystawić mu pomnik.

Ciekawe, jakie uczucia wzbudzi we mnie jutro...

Gdy wróciłem, Marysia leżała już na tapczanie. Przykryłem ją kocem, a ona zamruczała jak głaskany kot. Była tak delikatna, że patrząc na nią, poczułem ucisk w sercu. Gdyby zabrakło Michała, nie umiałaby sobie poradzić.

Wróciłem do swojego pokoju i położyłem się obok Ilony. Coraz bardziej ją lubiłem, ale teraz nie w głowie były mi jakiegokolwiek miłosne igraszki. Jej na szczęście też nie. Sapała przez sen jak stary parowóz.

Budzik w telefonie zadzwonił po pięciu minutach, a przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Kusilo mnie, by nakryć komórkę poduszką, ale kiedy mój wzrok padł na Ilonę, natychmiast się rozbudziłem. Wydarzenia wczorajszej nocy wróciły do mnie jak niechciany senny koszmar. Zerwałem się z łóżka i wciągnąłem spodnie.

Gdy parzyłem usta gorącą kawą, niespodziewanie pojawiła się w kuchni. Jej włosy przypominały stóg siana.

— Prześpij się jeszcze — zaproponowałem, ale w milczeniu pokręciła głową.

— Zrób mi kawy i jedziemy do szpitala.

Przed szpitalem natknęliśmy się na kierownika. Dreptał w kółko, paląc papierosa. Pod jego nogami było już kilka świeżych niedopałków.

— Jeszcze nie wpuszczają — powiedział, a potem zaciągnął się głęboko i wypuścił

w powietrze chmurę śmierzącego dymu.

Po zapachu poznałem, że wciąż kopci te wstrętne st. thomasy.

Przeszedłem przez drzwi szpitala i wpadłem na grubą pielęgniarkę. Musiałem wyglądać zdrowo, bo z miejsca na mnie warknęła.

— Jeszcze zamknięte. Odwiedziny dopiero od dziewiątej.

Spuściłem wzrok, bo pielęgniarki zawsze mnie onieśmiały. Ale zaraz za mną stała Ilona.

— My do dyrektora — powiedziała władcym tonem. — To tutaj? — wskazała w lewo, w kierunku korytarza.

— Pokój dziewiętnaście — rzuciła pielęgniarka i poszła w przeciwną stronę.

Dyrektor był chwilowo nieobecny.

— Poszedł na kardiologię — poinformowała nas sekretarka. — Mieli tam jakieś kłopoty...

Niemal biegnąc, dotarliśmy na oddział kardiologii. Mieścił się na drugim piętrze. Na korytarzu zebrało się kilkunastu pacjentów. Wszyscy bez wyjątku sprawiali wrażenie podenerwowanych. Zdenerwowana była też pielęgniarka.

— Proszę się rozejść — mówiła łamiącym się głosem, ale nikt jej nie słuchał.

— Co się stało? — wydyszałem do pierwszego z brzegu gapia.

Mężczyzna poprawił zainstalowany u pasa holter, a potem oblizwał wargi z emocji.

— Ktoś wypadł przez okno — powiedział, ale stojące obok kobiety od razu go zakrzyczały.

— Wcale nie wypadł, tylko wyszedł — poinformowała mnie jedna z nich, ocierając chustką pomarszczony dekolt. — Panie, co tu się wyrabia... — machnęła ręką i chciała dodać coś jeszcze, ale nie czekałem na dalszy ciąg.

— Przepraszam — przepchałem się przez podekscytowany tłumek i wszedłem do pokoju.

Janusz drapał się po zakolach i wyglądał w zamyśleniu przez okno. Gdy mnie zobaczył, na jego twarzy pojawił się wyraz rozbawienia.

— Twój brat to jakiś były komandos? — zapytał, a gdy zaprzeczyłem, przywołał mnie do okna. — Patrz i podziwiał. Pielęgniarki mówią, że zszedł po tym jak pająk.

Wychyliłem się i zobaczyłem, że po ścianie budynku pięło się dzikie wino.

— Michał tędy wyszedł? — spytałem w osłupieniu. — Ale... dlaczego?

Janusz rozłożył bezradnie ręce.

— Cholera go wie! Może było mu u nas źle... Fakty są takie, że postanowił stąd zwiać.

— Uciekł ze szpitala? — złapałem się za głowę. — Dlaczego? W takim stanie...

— Skoro udało mu się po tym zejść — dyrektor wskazał na winorośl — to jego stan nie mógł być taki najgorszy. Zresztą jego wyniki nie były wcale złe. Według wskazań komputera, pod który był podpięty, nad ranem bardzo mu się polepszyło. Dlatego przenieśli go tutaj z OIOM-u. Oczywiście zanim wypisałbym go ze szpitala, musiałby przejść całą serię badań, ale pewnie i tak wyszedłby jutro albo pojutrze.

Popatrzyłem na niego bezradnie.

— I co teraz? Zawiadomimy policję?

Dyrektor objął mnie ramieniem i wyprowadził z pustego pokoju. Przeszliśmy przez korytarz i zatrzymaliśmy się przy jednej z ławek.

— Proszę państwa, zapraszam do pokoi! — powiedział w stronę pacjentów, a ci posłusznie się rozeszli. — A panie niech wracają do pracy! Nic się nie stało.

Po chwili zostaliśmy we trójkę, razem z Iloną. Janusz rozsiadł się wygodnie. Wyglądał na zupełnie wyluzowanego.

— Nie będziemy wzywać policji. Twój brat jest wolnym człowiekiem, a to nie więzienie. Zrelaksuj się. — Klepnął mnie po ramieniu. — Te wyniki naprawdę są niezłe.

Patrzył na mnie z takim przekonaniem, że mu uwierzyłem. Jeszcze raz podziękowałem mu za nocną wizytę. Prychnął lekceważąco, po czym wyciągnął do mnie rękę.

— Jakby co, to wal jak w dym — powiedział i zaraz zniknął za zakrętem korytarza.

Podniosłem się powoli, stękając niczym staruszek. Ostatnie dni bardzo dały mi w kość. Okazało się, że nie oszczędzał mnie nawet mój własny brat. Skoro czuł się lepiej i nie lubił szpitali, to mógł wypisać się na żądanie. A potem — zamiast niczym mała zsuwać się po gałęziach dzikiego wina — jak normalny człowiek wyjść przez drzwi.

Odnosiłem wrażenie, że Michał nie uciekał przed szpitalem, tylko przede mną. Ten wstyd i to poczucie winy w jego oczach... Coś musiało być na rzeczy.

— Jeśli tak, to będzie się starał z tobą skontaktować — stwierdziła Ilona, ciągnąc mnie w stronę wyjścia. — Jak chcesz, to możemy przejechać koło jego domu.

Ale w domu go nie było. Szukałem go nie tylko ja, ale też dwóch ukraińskich kierowców, którzy właśnie przyjechali z towarem. Powiedziałem im, żeby uzbroili się w cierpliwość. Nie wyglądali na zachwyconych.

Marysia wciąż spała na tapczanie. Wyglądała normalnie, ale ja nie mogłem wyrzucić z głowy obrazu jej oczu. Kilka godzin wcześniej przypominały oczy jakiegoś demona. Na samo wspomnienie drżałem jak jesienny liść. Zastanawiałem się, jak radzi sobie z wychowaniem synów. Wiedziałem, że trochę pomaga jej babcia, ale chłopcy potrzebowali przede wszystkim matki. Z tego, co wiedziałem, mieli wrócić z wakacji w weekend, opuszczając pierwsze dwa dni nauki. Miałem nadzieję, że do tego czasu moja bratowa jakoś do siebie dojdzie.

Dojechałem do ośrodka dokładnie w porze śniadania. Kierownik wciąż kręcił się pod szpitalem, a większość „dzieciatego” personelu wzięła dziś wolne ze względu na rozpoczęcie roku szkolnego. Na stołówce spotkałem tylko Włodka. Jego dzieci przebywały daleko stąd.

Ilona pomknęła na zaplecze, a ja przywitałem się z przyjacielem. Zapytał o mojego brata, ale odniosłem wrażenie, że słucha mnie jednym uchem. Gdy doszedłem do ucieczki, pokręcił głową i parsknął śmiechem.

— Chyba nie jest z nim aż tak źle — stwierdził, a potem wstał i podszedł do okna. — Przyjechała ta twoja policjantka — powiedział po chwili, znów siadając. — Wszędzie cię szuka. Lepiej szybko coś zjedz, bo nie da ci spokoju.

Przypomniałem sobie, że byliśmy na dziś umówieni. Zakląłem pod nosem i idąc za dobrą radą, porwałem ze stołu kilka plastrów wędliny. Włodek patrzył na mnie w zamyśleniu.

— Mogę ci coś poradzić? — zapytał, gdy zbierałem się do wyjścia.

— Tak, tylko szybko.

Pochylił się w moją stronę i ściszył głos.

— Na twoim miejscu brałbym się za Ilonę. To jest normalna dziewczucha. A tamta...
Jakoś jej nie ufam.

— Ja też jej nie ufam. Jest policjantką — stwierdziłem, posyłając mu krzywy uśmiech. — Nie martw się, nad wszystkim panuję.

Wzruszył wytatuowanymi ramionami.

— Skoro tak twierdzisz — mruknął ze stoickim spokojem, a potem włożył sobie do ust całe jajko.

Karolina przechodziła akurat przez boisko. Pomachałem jej ręką, a ona ruszyła w moją stronę niczym ogar, który zobaczył zająca. Już z daleka widziałem, że jest wściekła.

— Gdzie ty się podziewałeś? — naskoczyła na mnie, zupełnie ignorując przechodzącego obok pana Zbigniewa. — Byliśmy umówieni, zapomniałeś?

Nie chciałem, by jeszcze bardziej się rozkręciła. W kilku słowach opowiedziałem jej o swoich nocnych przeżyciach. Natychmiast zapomniała o złości.

— Uciekł? Tak po prostu uciekł i nigdzie go nie ma?

Wyglądała na poruszoną. Zażądała, bym natychmiast do niego zadzwonił. Wybrałem jego numer, ale odpowiedziała mi poczta głosowa.

— Wyłączony — stwierdziłem, a potem ze zdziwieniem przejrzałem listę nieodebranych połączeń.

— Dzwoniłaś do mnie... siedem razy?

Skrzyżowała ręce na piersiach. Był to bardzo policyjny gest.

— Widocznie tak — powiedziała, a w jej głosie niespodziewanie zabrzmiały nutki podniecenia. — Wiesz, co się stało? Koło szóstej nad ranem nasi ludzie poszli zatrzymać burmistrza, a on... uciekł im sprzed nosa. Teraz szuka go każdy policjant w kraju.

— Uciekł? — zdziwiłem się. — To tak jak mój brat.

— No właśnie — potwierdziła, ale zaraz potem się zreflektowała. Chyba na widok mojej miny. — Nie twierdę, że twój brat też jest w coś zamieszany, ale musisz przyznać, iż to zastanawiające. Nie lubię takich zbiegów okoliczności.

Popatrzyłem na nią bez cienia sympatii. Jej świat dzielił się na świadków i podejrzanych.

— A co z żoną Adasia? — spytałem po chwili.

— Cała we łzach. Kompletnie nie wiedziała, co jest grane. Mauer przesłuchuje ją właśnie w prokuraturze.

Odniosłem wrażenie, że nazwisko prokuratora wypowiedziała z pewnym lekceważeniem. Ale też z wrogością. Trudno było się temu dziwić. Była bardzo ambitna, a on dopiero co zmieszał ją z błotem.

Otworzyłem drzwi i zaprosiłem ją do wnętrza mazdy.

— Jak się tu dostałaś? — spytałem, bo na parkingu nie było żadnego obcego samochodu.

— Przyjechałam z pocztą. — Uśmiechnęła się promiennie i trzasnęła drzwiami.

Zważywszy na okoliczności, podróż mijiała nam dość przyjemnie. Kupiona na stacji benzynowej kawa pozwoliła mi pozbyć się senności, a przygnębienie wywołane kłopotami zdrowotnymi mojego brata jakby się zmniejszyło. Tłumaczyłem sobie, że to nie była tragedia, tylko ostrzeżenie. Karolina zachowywała się tak, jakby wypiała nie jedną kawę, lecz trzy. Była pobudzona i cały czas trajkotała.

— To jest właściwie Warmia czy Mazury? — spytała, gdy przejeżdżaliśmy przez Biskupiec.

— Jesteśmy na granicy — odpowiedziałem. — Na południu i wschodzie są Mazury, a w stronę Olsztyna i na północ rozciąga się Warmia. Na mapie przypomina topór.

Nie doceniła mojego plastycznego porównania.

— A Mogielno to jeszcze Warmia?

— Zdania są podzielone. Granica jest dość płynna, ale większość utrzymuje, że to już Mazury. Chociaż... największy supermarket nazywa się „Warmiak”.

— A jaka jest różnica? — dociekała.

Westchnąłem ciężko i przez kolejne minuty tłumaczyłem jej te wszystkie historyczne zależności. Zakończyłem na tym, że po drugiej wojnie światowej granice się zatarły. Rdzenna ludność tych ziem została wysiedlona, a na ich miejsce trafili mieszkańcy Mazowsza, Wileńszczyzny, Podola i Wołynia, a także Polacy wracający z Syberii. Jakby tego było mało, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych przesiedlono tu mieszkańców Łemkowszczyzny i Bojkowszczyzny.

— Trudno się dziwić, że nawet teraz znaczna część miejscowych traktuje Warmię i Mazury jak jeden organizm...

— Widać, że byłeś kiedyś nauczycielem — przerwała mi ze śmiechem, a ja nie wiedziałem, czy się obrazić, czy też może był to komplement.

Połykaliśmy kolejne kilometry. Karolina nie przestawała się rozglądać.

— Ale tu ponuro — mruknęła w pewnej chwili, wskazując na wzburzoną toń mijanego jeziora i ołowiane chmury, które pędziły na nas od wschodu.

Fakt, to nie były te Mazury, które przedstawiano na pocztówkach. Wraz z początkiem września pogoda uczyniła potężny krok w kierunku jesieni. Na zewnątrz było nie więcej niż piętnaście stopni, a wrażenie chłodu potęgował zimny, miejscami porywisty wiatr.

Po półtorej godzinie dotarliśmy do Giżycka. Tu też gołym okiem widać było koniec sezonu. Knajpki nad Niegocinem powoli się zwijały, a na wodzie, która zwykle była biała od żagli, dostrzegłem tylko kilka jachtów. I to mimo prawdziwie żeglarskiej pogody.

— Brrr... — wstrząsnęła się Karolina i szybko zamknęła okno.

Przejechaliśmy przez most zwodzony i okrążyliśmy centrum miasta. Podążając za wskazówkami nawigacji, skręciliśmy z głównej drogi i dojechaliśmy pod bramę strzeżonego osiedla segmentów. W odległości niecałych stu metrów leniwie falowały wody jednej z licznych zatoczek jeziora Kisajno.

— Ale tu ładnie — skwitowała dziewczyna, po czym, widząc zbliżającego się ochroniarza, uchyliła szybę. — My do pana Dzwonkowskiego.

Mężczyzna cofnął się do budki i przez chwilę wertował jakiś zeszyt. Korzystając

z chwili beczynności, zerknąłem za bramę. Segmenty wyglądały jak niewielkie pałace. Podejrzywałem, że każdy z nich kosztował fortunę.

— Kto tutaj mieszka? — zastanawiała się głośno Karolina. — Przecież nie rybacy...

— Podejrzewam, że w większości pomieszkują tu twoi krajanie z Warszawy. Albo Niemcy. Tutaj niestety mało kogo stać na taki standard. To dość biedne rejony...

— Widać to na przykładzie twojego brata — mruknęła, wykrzywiając się złośliwie. — Ale skąd wziął się tutaj ten Dzwonkowski? Przecież przez ostatnie kilka lat raczej nie miał zbyt wielu okazji, by zarobić.

Odpowiedź na jej wątpliwości pojawiła się niemal od razu i była dość zaskakująca.

— Musieli państwo się pomylić — stwierdził ochroniarz, patrząc na nas podejrzliwie. — Tu nie mieszka żaden Dzwonkowski.

Nie dziwiłem się jego podejrzliwości. Moja dwudziestoletnia mazda pasowała tu jak pięść do nosa. Sam musiałem wyglądać niewiele lepiej. Byłem nieogolony, włosy sterczały mi na wszystkie strony, a pod oczami miałem ciemne wory.

Ale obok mnie siedziała Karolina, która wyglądała jak... panna z dobrego domu.

— A kto mieszka pod piętnastką? — Uśmiechnęła się bezradnie. — Jechaliśmy tyle kilometrów...

Ochroniarz nie pozostał odporny na jej uśmiech. Zerknął do zeszytu i podał nam zupełnie obce nazwisko.

Popatrzyliśmy na siebie bezradnie. Tak to jest, jak daje się wiarę pacjentom psychiatryka. Chciałem odjechać, ale Karolina nie poddawała się tak łatwo. Wysunęła głowę przez okno i obdarzyła ochroniarza jeszcze jednym uśmiechem.

— Może będą wiedzieli, co stało się z panem Dzwonkowskim? — zaszczębiotała, a skołowany mężczyzna machnął w końcu ręką.

— Wjeżdżajcie — powiedział i pilotem otworzył szlaban. — Ale jakby co, to ja was nie wpuszczałem.

Na każdym z segmentów przybito tabliczkę z numerem. Piętnastka była na samym końcu. Gdy ją wypatrzyliśmy, opadły nam szczęki.

— Co to jest? Zamek krzyżacki? — wyjąkałem.

Budynek był gigantyczny. Wznosił się na dwa piętra, a na jego werandzie zmieściłaby się wojskowa orkiestra. Kolumny zdawały się sięgać samego nieba, a szlachetna biel ścian sprawiała, że mrużyłem oczy. Na podjeździe parkowały dwie luksusowe limuzyny. Moja mazda wyglądała przy nich jak uboga krewna. Jak bardzo uboga krewna.

— Dzwonimy? — spytała Karolina, odzyskawszy głos.

Wyglądała na onieśmioną. Ale ja czułem się zupełnie swobodnie. Dobrze jest mieć brata milionera. Podeszedłem do furtki i nacisnąłem klawisz dzwonka, wpatrując się w fontannę z posągiem Kupidyna.

— Trochę to kiczowate — mruknąłem, czekając, aż ktoś odezwie się przez głośnik.

Nie doczekałem się jednak na odzew. Zamiast tego na podwórzu wyszła owinięta w poncho kobieta. Wyglądała na służącą, ale pozory mogły mylić.

— Dzień dobry! — powiedziałem głośno i lekko się skłoniłem, a ona powoli do

nas podeszła.

— W czym mogę pomóc? — spytała, a ja uświadomiłem sobie, że na pewno nie jest służącą. Jej głos był na to zbyt snobistyczny.

— Chcielibyśmy porozmawiać z panem Dzwonkowskim — wypaliłem prosto z mostu, bo nie sprawiała wrażenia osoby, która ma ochotę na pogaduszki. Miała taką minę, jakby zamierzała poszczuć nas psami.

Ale po moim pytaniu wszystko się zmieniło. Jej pewność siebie zniknęła, jakby jej nigdy nie było. W jej oczach na moment pojawił się strach.

— Nikt taki tu nie mieszka — oznajmiła, ale nie uwierzyłoby jej nawet dziecko.

— Czemu pani wprowadza nas w błąd? — zapytałem spokojnie, a ona nagle zupełnie się rozkleiła.

— Jesteście z policji, tak? — zapytała drżącym głosem. — Co on znowu nabroił? Nie wyprowadzałem jej z błędu, a Karolina na szczęście się nie wtrącała.

— Chcemy tylko z nim pogadać — mój ton był tak bezosobowy, jakbym rzeczywiście był policjantem. Takim z serialu.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła telefon.

— Mogę wam podać jego numer. Ale nie obiecuję, że odbierze. Ode mnie nigdy nie odbiera. Kto wie, może wyrzucił telefon do rzeki.

— Wolelibyśmy porozmawiać z nim osobiście. Nie wie pani, o której wróci?

Jej twarz wykrzywiła się w wyrazie zaskoczenia.

— Przecież on tutaj nie mieszka — oznajmiła, a mnie opadły ręce.

— Można jaśniej? — zażądałem, a ona cofnęła się o kilka kroków.

— Skoro to konieczne — zawahała się, ale po chwili westchnęła z rezygnacją. — Wejdźcie, napijemy się kawy.

Kuchnia była wielkości boiska do siatkówki. Przycupnęliśmy na niewygodnych stołkach barowych, a ona uruchomiła ekspres, który — tak jak wszystko w zasięgu wzroku — był z najwyższej półki. Po chwili postawiła przed nami filiżanki. Nie znałem się na porcelanie, ale ta sprawiała wrażenie bardzo drogiej.

Przez te kilka minut trochę się uspokoiła. Chyba zdała sobie sprawę, że nie jesteśmy tu oficjalnie. Policjanci rzadko dają się częstować kawą.

— Czego chcecie od Rafała? — zapytała, siadając po drugiej stronie blatu.

Spojrzałem na Karolinę. W końcu to ona miała doświadczenie w takich rozmowach. Sądziłem, że będzie chciała mówić, ale się pomyliłem. Z namaszczeniem mieszała kawę, czekając, aż zacznę.

Westchnąłem ciężko i pochyliłem się do przodu, patrząc kobiecie prosto w oczy.

— Chcemy wiedzieć, dlaczego symulował chorobę psychiczną — powiedziałem, bo akurat to przyszło mi do głowy.

Drgnęła, rozlewając trochę kawy na spodek.

— Mój brat nie symulował — odparła ostrożnie. — Miał orzeczenie specjalisty, według którego...

Jej pierwsze słowa sprawiły, że się wyprostowałem. A więc rozmawialiśmy z siostrą Dzwonkowskiego. Nie była do niego podobna. Nie przypominała wychudzonego diabła.

Natomiast ciąg dalszy jej wypowiedzi z miejsca mnie zirytował.

— Rozmawiajmy o faktach, a nie papierkach — przerwałem jej dość obcesowo, bo wersję oficjalną znałem z pierwszej ręki. Od Janusza, czyli autora orzeczenia, na które się powoływała.

Okazało się, że przeszarżowałem.

— Ja nic nie wiem. — Jej ton był defensywny. — Tak naprawdę to wcale nie muszę z wami rozmawiać.

Zapadła niezręczna cisza. Przez chwilę miałem wrażenie, że wyprosi nas za drzwi, ale nagle zmieniła front. Okazało się, że nie dorosła jeszcze do konfrontacji.

— Naprawdę nie wiem, jak to było z tym symulowaniem — powiedziała miękko. — Byli państwo w Pasymiu, prawda?

Kiwnąłem głową i upiłem trochę kawy. Była bardzo smaczna.

— Odwiedzałam go tam kilkanaście razy — ciągnęła. — To samo co od państwa słyszałam od lekarzy i sama nie wiedziałam, co o tym myśleć. Jak dla mnie, to on zawsze był nadwrażliwy.

— Pani jest jego starszą siostrą, tak?

— Bardzo pan miły — mruknęła z sarkazmem. — Tak, Rafał jest ode mnie o dwa lata młodszy. W pewnym sensie czuję się za niego odpowiedzialna, bo nasi rodzice dawno nie żyją, ale... Niech pan powie, co ja mogę zrobić, skoro on od samego początku podejmuje niewłaściwe decyzje?

Zabrzmiało to zagadkowo.

— Co pani ma na myśli?

Westchnęła ciężko, jakby ta rozmowa sprawiała jej przykrość. Być może właśnie tak było.

— Wszystko zaczęło się od tej Kaśki. Przepraszam, nie Kaśki, tylko Kate — wycodziła złośliwie. — Gdy zaczęli być razem, on miał dwadzieścia dwa lata, a ona niecałe siedemnaście. Byli jeszcze dziećmi, ale ta małpa już wtedy go zdradzała. Mówiłam mu sto razy, że popełnia błąd, ale nie chciał mnie słuchać. Zakochani mężczyźni są tacy żałośni...

Wzięła ze stołu serwetkę i przytknęła ją do oczu. W tym geście nie było nic teatralnego.

— Wszystko, co złe, przytrafiało mu się przez nią — mówiła dalej, cicho łkając. — To przez nią kisił się w tym Mogielnie, chociaż mógł robić specjalizację w jakimś porządnym szpitalu. Ale ona nie chciała się przenieść do większego miasta. To przez nią pracował po kilkanaście godzin na dobę, podczas gdy ona leżała do góry brzuchem na kanapie. To przez nią miał te wszystkie kłopoty. Jedyne, co potrafiła, to wydawać jego pieniądze...

Urwała, po czym pobiegła do kuchennego zlewu i przez dłuższą chwilę ochlapывwała twarz. W końcu udało jej się jakoś zapanować nad płaczem. Wróciła na swoje miejsce i przez moment ciężko oddychała. Odniosłem wrażenie, że nie tylko jej brat był wrażliwy.

— Musi pani bardzo go kochać — powiedziałem odruchowo, a ona przełknęła łzy.

— Nawet pan nie wie, jak bardzo. To był taki dobry, uczciwy chłopak, a ona

zmieniła go w robota.

— Bardzo się załamał po jej śmierci?

Wstała i wyszła z pomieszczenia. Myślałem, że poszła się wypłakać, ale wróciła niemal natychmiast. W rękę ścisnęła coś, co okazało się albumem ze zdjęciami.

— To z pogrzebu — poinformowała. — Jakoś się trzymał, ale wewnątrz zupełnie się posypał. Koledzy mówili mu, że teraz będzie mógł zacząć od nowa. Wszyscy znali tę raszplę i wiedzieli, do czego była zdolna... A on tego słuchał, kiwał głową, a wieczorami płakał w poduszkę. Widocznie to wtedy ujawniła się ta jego choroba.

Nie do końca ją rozumiałem. Czy płacz w poduszkę świadczył o chorobie psychicznej?

— Ja nie widzę w tym nic dziwnego — wtrąciłem. — W końcu chodziło o jego żonę.

Dopiła kawę.

— Może i ma pan rację — przyznała. — Po prostu nie rozumiałam, jak można po niej płakać. Za bardzo jej nienawidziłam.

Wziąłem z jej rąk album i otworzyłem na przypadkowej stronie. Była na niej duża fotografia, zrobiona nad świeżo przykrytym nagrobkiem. Na płycie było mnóstwo wieńców. Obok grobu stało pięciu ludzi.

— To jego koledzy ze szpitala — poinformowała mnie kobieta.

Domyśliłbym się tego i bez jej odpowiedzi. Po prawej stronie Dzwonkowskiego stał nieco szczuplejszy Janusz, a po lewej mężczyzna, którego też już przedtem widziałem.

— Kto to jest? — spytałem, ale wzruszyła ramionami.

Wpatrywałem się w jego toporną twarz i nagle zdałem sobie sprawę, że widziałem go całkiem niedawno. A konkretnie wczorajszej nocy. Mężczyzną stojącym obok Dzwonkowskiego był kierowca karetki, która przyjechała po mojego brata. Nie poznałem go od razu, bo przed sześciu laty nie miał jeszcze złamanego nosa.

Wziąłem ostatni łyk i z żalem odstawiłem pustą filiżankę.

— Po jakim czasie od pogrzebu pani brat trafił do zakładu w Pasymiu?

Potała się po czole.

— To musiało być jakoś niedługo, ale nie tak od razu. Pewnie po jakichś trzech czy czterech miesiącach. Przez pewien czas brat mieszkał w Mogielnie. Nie pracował, bo go zawiesili...

— Z powodu załamania psychicznego?

To byłoby logiczne, ale kobieta pokręciła głową.

— Nie, to jeszcze z powodu tej raszpli. Mówiłam panu, że zmuszała go do pracy po godzinach? Była strasznie pazerna na pieniądze. Brał dodatkowe dyżury, prowadził prywatną praktykę... W końcu wziął na siebie za dużo. Popęłił błąd i ktoś się poskarżył. Nie chciał o tym mówić, ale w szpitalu prowadzone było jakieś postępowanie wyjaśniające. Bardzo to przeżywał, przynajmniej do śmierci swej uroczej małżonki. Potem przestał. Nie zależało mu już na niczym.

Dostrzegłem, że Karolina, która wyglądała dotąd na znudzoną, nagle się ożywiła.

— Błąd w sztuce lekarskiej? — zapytała.

Siostra Dzwonkowskiego obrzuciła ją jadowitym spojrzeniem.

— To chyba za dużo powiedziane. Raczej naruszenie jakichś szpitalnych procedur. Nie było śledztwa i prokuratora. Tylko postępowanie wyjaśniające prowadzone przez dyrekcję szpitala.

Pomyślałem, że zawsze zdążę zapytać o ten wątek samego dyrektora. Ale Karolina wciąż drążyła temat.

— Chodziło o jakiś poród? — dopytywała. — Coś poszło nie tak?

Ale kobieta nie miała już nic więcej do dodania.

— Naprawdę nie wiem — zarzekała się, kładąc rękę na sercu. — Mieliśmy wtedy słaby kontakt. Ja nie znosiłam jego żony, a on przez całe lata miał żal do mojego męża. Mój mąż jest światowej klasy chirurgiem i Rafał prosił go kiedyś, by załatwił mu staż na jakiejś amerykańskiej uczelni medycznej. Odmówił.

— Dlaczego?

Przez moment się wahała.

— Bo go o to poprosiłam — wyznała wreszcie ze wstydem. — Nie chciałam, żeby ta wstrętna baba opalała się gdzieś na Florydzie. Zamiast Miami zaproponował mi Warszawski Uniwersytet Medyczny, ale nie chcieli przenosić się do Warszawy. Obrazili się i od tego czasu gadaliśmy ze sobą tylko w święta.

— Ale po śmierci Kate to się zmieniło, prawda?

Spojrzała na mnie bezradnie.

— Niby widywaliśmy się częściej, ale czy byliśmy przez to bliżej? W szpitalu dla psychicznie chorych nie rozmawia się zbyt swobodnie. To straszne miejsce. Z każdym kolejnym spotkaniem wracałam stamtąd coraz bardziej przygnębiona.

— Ale chyba pani brat czuł się coraz lepiej? W końcu go przecież wypuścili, prawda?

— Lekarze twierdzili, że nic mu nie jest. W każdym razie nic na tyle poważnego, by trzymać go w zamknięciu. Wreszcie ktoś stwierdził, że trzeba go wypuścić. Zmieniła się dyrekcja, mieli jakieś cięcia finansowe czy coś w tym rodzaju. Ale on wcale nie wyglądał na szczęśliwego, że wychodzi...

— Dlaczego? — zapytała Karolina, a ja nadstawiłem uszu.

Kobieta wstała i oparła dłonie o blat.

— Miałam nadzieję, że dowiem się tego od was — wyznała. — Nie daje mi to spokoju. Pojechaliśmy po niego z mężem, a on miał taką minę, jakby zjadł cytrynę. Możecie to sobie wyobrazić?

Przypomniałem sobie moment, w którym po raz pierwszy od pięciu lat znalazłem się na wolności. To było upajające uczucie. Miałem ochotę podskakiwać z radości. Dlatego w odpowiedzi na jej pytanie odruchowo pokręciłem głową.

— I co? Przywieźliście go tutaj?

— Nie chciał — powiedziała łamiącym się głosem. — Kazał się zawieźć do Mogielna. Miał w starym mieszkaniu trochę rzeczy, głównie ubrań. Spakował to wszystko do reklamówki i poprosił, by podrzucić go do Warszawy. Wsiadł do pierwszego pociągu do Berlina. I od tego czasu już się nie widzieliśmy.

Potrząsnąłem głową. Nie chciało mi się w to wierzyć.

— A dokumenty? Pieniądze?

— Miał ważny dowód osobisty, a jeżeli chodzi o pieniądze, to trochę mu daliśmy. Chcieliśmy dać mu więcej, ale wziął tylko tyle, ile potrzebował na bilet. Mówił, żebyśmy się nie martwili, że ma za co żyć i jakoś sobie poradzi. Powiedział też, że podał nasz adres kilku kolegom ze szpitala. Tłumaczył, że to dla celów korespondencji, ale mąż był trochę na niego zły.

— Nie dziwię się — mruknąłem, wyobrażając sobie niezapowiedziane wizyty różnych szajbusów.

— Na szczęście żaden z pacjentów jak dotąd nas nie odwiedził — dodała kobieta, patrząc na nas wyczekująco. — Nie zrobicie mu nic złego, prawda?

— Dlaczego pani twierdzi, że mielibyśmy mu coś zrobić?

Przez chwilę się zastanawiała, ale w końcu zdecydowała się z nami zagrać w otwarte karty.

— On chyba coś nabroił... Bo niby skąd miałby mieć pieniądze? Martwię się, że jego niespodziewany wyjazd był w rzeczywistości ucieczką.

— Przed czym? — drażyła dziewczyna.

— Na przykład przed... skarbówką? — strzeliła, patrząc na nas wyczekująco.

Uśmiechnąłem się pod nosem, bo w jej spojrzeniu wyczułem także niechęć. Bogaci ludzie nie lubią płacić podatków.

— Nie jesteśmy z Urzędu Skarbowego — powiedziałem.

— To kim jesteście?

Nie wiedziałem, jak na to odpowiedzieć. Ja byłem byłym więźniem, a ona policjantką. Ale kim byliśmy razem?

— Poszukiwaczami prawdy — stwierdziłem niezręcznie, po czym wstałem i ruszyłem w stronę wyjścia. — Chcemy wiedzieć, co tak naprawdę spotkało panią Katarzynę Dzwonkowską.

Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną.

— A co ją mogło spotkać? Przecież zginęła w pożarze...

Pożegnaliśmy się i wyszliśmy na zewnątrz. Niespodziewanie nas dogoniła. Najwyraźniej dotarło do niej to, co powiedziałem.

— Myślicie, że ktoś jej pomógł... umrzeć? — zapytała, a ja zrobiłem tajemniczą minę. — Jeżeli go znajdziecie, to przekażcie mu ode mnie tylko jedno słowo.

— Jakie? — spytałem, chociaż znałem już odpowiedź. Obwiniła ją o wszystko, co spotkało jej brata.

— Dziękuję. Powiedzcie, że mu dziękuję — powiedziała, wpatrując się we mnie tak intensywnie, że przeszły mnie dreszcze.

Odprowadzani jej świdrującym wzrokiem, wsiedliśmy do samochodu. Dopiero wtedy zniknęła wewnątrz rezydencji. Zastanawiałem się, czy nasza wizyta nie oznaczała dla niej powrotu starych demonów. Bo już na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że dręczą ją potężne wyrzuty sumienia.

— Dziwna kobieta — mruknąłem, włączając silnik. — Taka... niestabilna.

— Też byś był niestabilny, gdybyś miał takiego braciszka...

— Serio? — przerwałem. — Z moim braciszkiem też chyba ostatnio jest coś nie

tak.

Zarumieniła się i spuściła wzrok.

— Ciekawa jestem, przed czym ten Dzwonkowski tak ucieka — odezwała się po chwili, zmieniając temat. — W końcu przez pięć lat był w odosobnieniu...

Nie miałem pojęcia. Zresztą bardziej interesowało mnie coś innego. Ze słów kobiety wynikało, że przeciwko Dzwonkowskiemu toczyło się w szpitalu jakieś postępowanie. Byłem ciekaw, czego dotyczyło.

— Słuchaj, jeżeli uda nam się wrócić o sensownej godzinie, to może wpadniemy do...

Chciałem dodać słowo „szpitala”, ale nagle zamilkłem. Po drugiej stronie bramy osiedla stał czerwony samochód. Patrząc na jego sportową sylwetkę, doznałem déjà vu.

— Co się tak gapisz? — zdziwiła się Karolina. — To chevrolet corvette. Fajna bryka, ale trochę zbyt efekciarska. Patrz, jaki gówniarz — dodała, patrząc na kierowcę.

Otworzyłem drzwiczki i wysiadłem. O ile się nie myliłem, chłopak był wnuczkiem pana Zbigniewa. Chciałem zamienić z nim kilka słów. Tym bardziej że jego obecność w tym miejscu nie mogła być przypadkowa.

— Przepraszam pana — uniosłem rękę i przeszedłem pod podniesionym szlabanem. — Poświęci mi pan minutę?

Otworzył szybę i spojrzał na mnie z zainteresowaniem. Był tak młody, że się zastanawiałem, kiedy zdążył zrobić prawo jazdy. Nie pasował do tego samochodu. Bardziej naturalnie wyglądałby na rowerze.

— W czym mogę pomóc? — zapytał grzecznie, potwierdzając moje pierwsze wrażenie. Wyglądał na sympatycznego i skromnego chłopaka.

Podszedłem do okna i się przedstawiłem.

— Jestem instruktorem kulturalno-oświatowym z „Rybitwy” — wyjaśniłem, a w jego zachowaniu zaszła tak gwałtowna zmiana, że aż mnie zamurowało.

— Nie zamierzam z panem rozmawiać! — oznajmił stanowczo, kładąc dłonie na kierownicy. — Niech pan stąd odejdzie, bo wezwę ochronę! — podniósł głos i zerknął w stronę budki strażnika.

Może bym i odszedł, ale byłem tak zaskoczony, że zamarłem w bezruchu. Żeby wjechać na osiedle, musiałyby przejechać mi po stopach. Niespodziewanie wrzucił wsteczny i ruszył z piskiem opon do tyłu. Zatrzymał się kilkanaście metrów dalej i w pośpiechu zaczął zawracać na trzy.

— Co się dzieje?! — spytała Karolina, wysiadając z samochodu.

Chłopak najwyraźniej zamierzał uciekać. Zareagowałem instynktownie. Pobiegłem z powrotem do mazdy i wskoczyłem za kierownicę.

— Wsiadaj! — krzyknąłem w stronę policjantki, a potem wcisnąłem pedał gazu w podłogę.

Ochroniarz próbował mnie zatrzymać. Zaczął opuszczać szlaban, ale zdołałem przemknąć tuż pod nim. Na szczęście mazda była bardzo niska.

— Niewiele brakowało — powiedziała Karolina. — Co my robimy?

W jej głosie było tyle flegmy i spokoju, że aż się roześmiałem.

— Próbuje się ścigać z chevroletem — mruknąłem, a ona odpowiedziała mi

śmiechem.

Jeżeli ktoś zapytałby mnie, dlaczego tak bardzo zależało mi na rozmowie z chłopakiem, moja odpowiedź brzmiałaby tak: bo nie podobało mi się, że uciekał. Ludzie, którzy nie mają nic do ukrycia, z reguły nie uciekają. A on — gdy tylko usłyszał, że pracuję w „Rybitwie” — zareagował jak osaczony jelonek. Tyle że jelonki zazwyczaj nie jeżdżą sportowymi chevroletami.

Gdy zakończył manewr zawracania, byłem tuż za nim. Gdyby to był film, wjechałbym mu w zderzak, ale to było prawdziwe życie i nie chciałem tracić zniżek za OC. Nacisnąłem klakson, usiłując go nastraszyć, ale chyba się nie przejął. Wcisnął gaz i w kilka sekund odsadził mnie na pięćdziesiąt metrów.

— I co teraz? — spytała Karolina, uśmiechając się złośliwie. — Nie mamy szans, chyba że — zawiesiła głos — jesteś jakimś współczesnym Panem Samochodzikiem.

Wiedziałem, o czym mówi, bo w więzieniu odświeżyłem sobie całą serię książek Nienackiego. Niestety moja mazda nie kryła pod maską silnika ferrari, chociaż z zewnątrz rzeczywiście przypominała trochę wehikuł sympatycznego pana Tomasza. W swojej klasie miała naprawdę niezłe osiągi, ale nie mogła się równać z corvetą. Na nasze szczęście to nie był tor wyścigowy ani autostrada, tylko zwykłe polskie drogi. Dzięki temu nie byliśmy w tym wyścigu bez szans.

Chłopak był już sto metrów przed nami, ale nagle musiał zwolnić. Przed nim włókł się rolniczy ciągnik, ciągnący za sobą porzewiałą przyczepę pełną gnoju. Z przeciwka jechały dwa samochody, więc zanim zdołał go wyprzedzić, znaleźliśmy się tuż za nim. I chociaż wkrótce znowu nas odsadził, to chyba nieco zrzędała mu mina.

— Zaraz dojedziemy do głównej drogi — stwierdziła dziewczyna. — Tam nie będzie nam już tak łatwo...

Na głównej drodze panował spory ruch, ale chłopak nie zamierzał nikogo przepuszczać. Z piskiem opon skręcił w prawo, tuż przed nadjeżdżającą ciężarówką. Jej kierowca przyhamował gwałtownie, a potem gniewnie zatrąbił. Wjechałem na szosę zaraz za nim i po chwili udało mi się go wyprzedzić.

— Może sobie odpuścimy? — zaproponowała Karolina. — Nie boję się o nas, tylko o niego. Nie chcę go mieć na sumieniu.

Miałem podobne odczucia, ale jakiś atawistyczny pierwiastek kazał mi nie odpuszczać. Chłopak wyprzedzał kolejne ciężarówki, a ja podążałem za nim, nie chcąc stracić go z oczu. Oczywiście nie chciałem go dogonić za wszelką cenę. Zachowywałem ostrożność i przez to coraz bardziej mi się oddalał.

— I tak jedziemy w tym kierunku, w którym mieliśmy jechać — stwierdziłem, gdy na moment zniknął mi z oczu. — To najkrótsza droga do Mikołajek.

Kątem oka zobaczyłem, jak sprawdza naszą pozycję na mapie.

— Mamy jeszcze szansę — stwierdziła tajemniczo. — Kto to w ogóle jest?

Wyprzedziłem nowego passata. Jego kierowca znacząco puknął się w czoło, a ja zamrugałem mu światłami awaryjnymi. Machnął ręką, ale przestał się złościć. Może pomyślał, że wiozę żonę na porodówkę.

— Taki chłopak — mruknąłem zdawkowo, przygotowując się do wyminięcia rozklekotanego daewoo, a Karolina podniosła oczy ku niebu. — Wiem, że kręcił się

w okolicach ośrodka, gdy doszło do morderstw — dodałem szybko, nie chcąc jej drażnić, a potem znów skupiłem się na jeździe. Udało mi się go dogonić przed Wilkasami. Czaił się za plecami długiego tira, bojąc się go wyprzedzić. Gdy zobaczył mnie w lusterku, postanowił zaryzykować, zmuszając jadących z naprzeciwka do gwałtownego hamowania.

— Dupa nie kierowca — mruknąłem, redukując biegi i wyprzedzając tira.

Kilkaset metrów dalej odwalił taki numer, że postanowiłem dać za wygraną. Gdyby nie refleks jednego z kierowców, który w ostatniej chwili uskoczył, wyprzedzenie skończyłoby się tragicznie. Zdałem sobie sprawę, że chłopak kompletnie przestał myśleć. Zwolniłem i przeczesywałem wzrokiem pobocze, chcąc się gdzieś zatrzymać i nieco odetchnąć.

— Podjedź jeszcze kawałek — poprosiła Karolina. — Nie goń go, ale się nie zatrzymuj.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem, ale wykonałem jej polecenie. Po chwili domyśliłem się, o co jej chodziło. Samochody zaczęły zwalniać, a potem zupełnie się zatrzymały.

— Przejazd kolejowy — stwierdziłem z radością, a dziewczyna uniosła kciuki do góry.

— Brawo, Sherlocku — zakpiła, po czym wskazała na niewielki placzyk przed sklepem z materiałami budowlanymi. — Stań tutaj.

Wyskoczyliśmy z samochodu i popędziliśmy w kierunku przejazdu. Czerwony chevrolet był sto metrów przed nami. Chłopak zobaczył nas w lusterku i próbował zawrócić, ale w tym miejscu było zbyt ciasno. Nie widząc innego wyjścia, zjechał dwoma kołami na pobocze, wyskoczył z samochodu i zaczął uciekać.

Pobiegliśmy za nim, oddalając się od szosy. Dla postronnych obserwatorów musiało to wyglądać co najmniej dziwnie. Przynajmniej dwóch kierowców zaczęło trąbić.

— Ktoś może wezwać... policję — wydyszałem. — Kto wie, może zrobił... to... już... ochroniarz.

— Mam to... gdzieś — odkrzyknęła Karolina, kolejny raz mnie zadziwiając. — Leć za nim... ja nie mogę... tak szybko...

Została w tyle, a ja zacząłem zmniejszać dzielącą nas odległość. To mit, że człowiek osiąga swój szczyt sprawności w wieku osiemnastu lat. Takim szczytem była zazwyczaj trzydziestka, a to ja miałem do niej bliżej. Chociaż już — niestety — od drugiej strony...

Chłopak początkowo biegł po rżysku, a potem wpadł między drzewa niewielkiego zagajnika. Potknął się o jakiś korzeń i padł jak długi. Poderwał się na nogi, zrobił kilka chwiejnych kroków i wreszcie się zatrzymał.

— Czego ode mnie chcecie? — wyjąkał, trzymając się za falującą ze zmęczenia przeponę.

Nie zdążyłem wyhamować. Wpadłem na niego z całym impetem, obalając go na ziemię. Potoczyliśmy się po podłożu, zatrzymując się w kłujących krzakach.

— Nie ruszaj się — wyrzuciłem niepotrzebnie, bo i tak nie miał jak się wydostać spod mojego dziewięćdziesięciokilogramowego ciała.

Podniosłem się powoli i przez chwilę walczyłem o odzyskanie oddechu. Chłopak wciąż leżał u moich stóp. Wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Z otartego policzka kapłała mu krew.

— Po cholere tak uciekałeś? — spytałem z pretensją w głosie, choć to ja go tak urządziłem. — Tam, na szosie — wskazałem ręką za siebie — mogłeś przecież zginąć.

Wciąż patrzył na mnie ze strachem w oczach. Był tylko dzieciakiem.

— Mogę wstać? — spytał drżącym głosem, a ja chwyciłem go za ramię i postawiłem na nogi.

— Nic ci nie jest? Masz! — Karolina, jak na kobietę przystało, miała przy sobie torebkę, z której wyjęła dezynfekujące chusteczki. — Jak ty wyglądasz — dodała, a potem spojrzała na mnie z wyrzutem. — Musiałeś go tak masakrować?

Rozłożyłem bezradnie ręce. Tak wyszło.

— To po co uciekał? — spytałem defensywnie, ale odwróciła się do mnie plecami.

— O co chodzi, młody? Czego się tak przestraszyłeś?

Popatrzył na nią nieufnie, ale stopniowo się uspokajał. W przeciwieństwie do mnie Karolina wyglądała zupełnie niegroźnie.

— Bo... Ja nie mam nic wspólnego ze śmiercią pana Tadeusza — wypalił, a najlepsze było to, że w jego głosie wcale nie było pewności.

Karolina na moment straciła rezon.

— Znałeś pana Tadeusza? — zapytała wreszcie, a chłopak spuścił wzrok.

— Tak — powiedział cichym głosem, który drżał w poczuciu winy. — To ja go wynająłem.

— Jako detektywa, tak? — upewniłem się, a on skinął głową.

— Znalazłem jego numer w internecie. Korzystanie z usług detektywa nie jest karalne, prawda? — Chciał, by zabrzmiało to hardo, ale wyszło płacziwie. Miałem ochotę poprosić go o dzienniczek i wpisać do niego uwagę.

— A po co był ci detektyw? — zapytała Karolina, sadzając go na potężnym pniu.

Usiedliśmy naprzeciwko niego. Z boku musiało to wyglądać jak parodia przesłuchania.

— Chciałem się dowiedzieć, co tak naprawdę stało się mojej... cioci. Podobno zginęła w pożarze, ale nikt nie chciał mi podać więcej szczegółów i zacząłem podejrzewać, że coś było nie tak.

— Twoja ciocia to Katarzyna Dzwonkowska, tak?

— Tak! — Skinął głową, po czym wyrzucał z siebie kolejne słowa z prędkością karabinu maszynowego. — Detektyw pracował dla mnie od dwóch tygodni i wtedy... ktoś go zabił. Ale ja naprawdę nie wiem kto!

Był przerażony. Odniosłem wrażenie, że obwinia się o śmierć detektywa, wiążąc ją ze zleconym przez siebie zadaniem. Poniekąd miał rację, ale jak mógł to przewidzieć?

— Zacznijmy od początku — powiedziała stanowczym tonem Karolina. — Jesteś synem państwa spod piętnastki, tak? Twoim wujkiem jest Rafał Dzwonkowski, a Katarzyna była jego żoną?

Kiwał głową tak szybko, że obawiałem się o jego mózg.

— A pan Zbigniew jest twoim dziadkiem, tak?

Zrobił zdziwioną minę.

— Pan Zbigniew z „Rybitwy”? Nie, jakim dziadkiem? On jest... był pomocnikiem pana Tadeusza.

Zrobiłem głupią minę. Tego nie brałem pod uwagę. Okazało się, że odpowiedź na większość pytań cały czas znajdowała się w zasięgu ręki. Tylko skąd miałem to wiedzieć?

— Kontaktowałeś się z nimi na zmianę?

— Nie, w „Rybitwie” miałem kontakt tylko z panem Zbigniewem. Pan Tadeusz nie chciał, by nas razem widziano. Chciał zachować... jak to się mówi?

— Incognito — odpowiedziała Karolina.

— No właśnie, jakoś tak — ucieszył się chłopak. — Ale zanim przyjechał do „Rybitwy”, spotkaliśmy się dwa razy. Za pierwszym razem mu zapłaciłem, a za drugim opowiedział mi o spotkaniu z moim wujkiem.

— Czyli zaczął od podróży do Niemiec? — spytałem niewinnym tonem, ale w myślach wyzwałem detektywa od cwaniaków. Nie pochwalałem żerowania na tak młodym kliencie.

— Tak. Spotkał się z wujkiem w Berlinie. Mówił, że dobrze mu się powodzi i jest tam szczęśliwy. A co do cioci, to klucz do rozwiązania zagadki jej śmierci ukryty miał być właśnie w „Rybitwie”...

Pokręciłem z dezaprobatą głową. Wyglądało na to, że jedyne informacje, które pan Tadeusz przywiózł z „delegacji” do Niemiec, dotyczyły samopoczucia Dzwonkowskiego. -Odnios-łem wrażenie, że do tego nie trzeba było żadnych kwalifikacji. Równie dobrze mogłem zrobić to ja.

Chciałem przepytować go dalej, ale ubiegła mnie Karolina.

— A czemu tak nagle zainteresowałeś się losem tej swojej cioci? — zapytała podejrzliwie.

Znałem odpowiedź, zanim jeszcze otworzył usta. Ale Karolina najwyraźniej się nie domyśliła.

— Mam dopiero osiemnaście lat — wyjaśnił chłopak. — Wcześniej nie mogłem wynająć detektywa. Nie miałem pieniędzy. Na osiemnastkę zamiast prezentu poprosiłem o trochę gotówki. Rodzice byli zdziwieni, ale założyli mi konto. A prezent i tak dostałem — dodał, uśmiechając się głupkowato.

— Chevroleta, tak? — zapytała Karolina.

— I kurs na prawo jazdy — dodał z dumą chłopak.

Nie wiedziałem, o co jej chodzi. Poprosiła chłopaka, by pokazał jej prawo jazdy i dowód osobisty. Nie musiał tego robić, ale był w takim wieku, że lubił się chwalić swą dorosłością. Typowy dzieciak...

— Proszę — podał jej etui z dokumentami, a ona przez chwilę oglądała jego dowód.

— Dlaczego kłamiesz? — spytała, a on spłoszował jak róża. — Katarzyna Dzwonkowska wcale nie była twoją ciocią.

Chociaż twierdziła, że ją okłamał, w jej wzroku pojawiła się dziwna łagodność. Sięgnąłem po dowód i prześlizgnąłem się po jego danych. Miał na nazwisko Dzwonkowski, a jego rodzicami byli Katarzyna i Rafał. Przez chwilę nie byłem pewien,

czy dobrze zrozumiałem.

— Katarzyna Dzwonkowska była twoją matką, tak? — spytałem, a on bez słowa pokiwał głową.

Trochę potrwało, zanim znów się otworzył. Na szczęście Karolina okazała się niezłym psychologiem. Udała, że musi gdzieś zadzwonić i pod tym pretekstem odeszła kilka kroków, ciągnąc mnie za sobą. Chwila samotności dobrze mu zrobiła. Gdy wróciliśmy, jego oczy znów były suche.

Okazało się, że mieszkał w Giżycku niemal od urodzenia. Gdy się urodził, jego ojciec miał dwadzieścia lat, a matka siedemnaście. To on był powodem, dla którego wzięli ślub. Gdyby nie niechciana ciąża, życie Katarzyny i Rafała potoczyłoby się zupełnie inaczej.

— Nie chcieli mnie — mówił bezosobowym tonem, spod którego wyzierał nieutulony żal. — Gdyby nie ciocia i wujek, pewnie wyładowałbym w sierocińcu. Ale oni nie mogli mieć dzieci. Zabrali mnie do siebie i chociaż nigdy formalnie mnie nie usynowili, to zawsze pozostaną dla mnie moimi prawdziwymi rodzicami.

Mieszkał więc u cioci i wujka w Giżycku, a z biologicznymi rodzicami widywał się sporadycznie.

— Moja matka była dziwna — wspominał. — Kazała mówić do siebie Kate i odkąd skończyłem dziesięć lat, traktowała mnie jak rówieśnika. A Rafał... Z Rafałem nigdy nie miałem kontaktu. Sprawiał wrażenie bardzo nieszczęśliwego człowieka.

Śmierć biologicznej matki bardzo nim wstrząsnęła. Był wtedy na koloniach. Chciał wiedzieć wszystko, ale dorośli postanowili oszczędzić mu przykrych szczegółów. Nieświadomie obudzili w nim podejrzliwość, która w kolejnych latach systematycznie wzrastała.

— To nie mógł być wypadek — mówił, patrząc na nas niczym wizjoner. — Matka nie piła alkoholu. Nie mogła spać tak twardo, by nie zdać sobie sprawy z sytuacji. Miała za to na pewno mnóstwo wrogów. Wiem, jak żyła, wiem o tych wszystkich mężczyznach...

Był pewien, że to właśnie faceci przywiedli ją do zguby. Z tą myślą wynajął detektywa. Chciał, by człowiek, który odpowiadał za jej śmierć, poniósł za to zasłużoną karę. Kiedy detektyw oznajmił, że chce zacząć od wyjazdu do Niemiec, chłopak bardzo się ucieszył.

— Bolało mnie, że mój biologiczny ojciec nigdy nawet o mnie nie pytał — tłumaczył. — Próbowałem się z nim zakolegować, ale nic z tego nie wychodziło. Ani w Pasymiu, ani później, gdy pojechałem do niego do Niemiec. Co prawda zgodził się na krótkie spotkanie, ale nie chciał gadać o przeszłości.

Spotkanie nie zaspokoilo jego ciekawości.

— Zastanawiałem się, jakim jest człowiekiem — ciągnął. — Matka zawsze powtarzała, że przed ślubem był normalnym chłopakiem. Według matki to Kate go zniszczyła.

Zrozumiałem, że mówiąc „matka”, miał na myśli kobietę, która go wychowała, czyli swoją biologiczną ciotkę.

— Liczyłem, że dowiem się czegoś od detektywa, ale on nie chciał ze mną

rozmawiać o ojcu... o Rafale Dzwonkowskim. Powiedział tylko, że dowiedział się czegoś wstrętnego... tak to sformułował... ale chciał to jeszcze potwierdzić. Nie naciskałem. Przede wszystkim zależało mi na ustaleniu, kto był mordercą.

Przestępowałem z nogi na nogę. Spodziewałem się, że zaraz usłyszę coś, co wreszcie otworzy mi oczy. Ale zakończenie jego opowieści okazało się więcej niż banalne.

— Niestety pan Tadeusz nie zdążył się tego dowiedzieć. Nie przekazał mi niczego, nawet najmniejszej wskazówki.

Skończył, a ja sapnąłem z rozczarowaniem. Coś się tu nie zgadzało. Skoro niczego się nie dowiedział, to dlaczego zginął?

— A wiesz może, z kim się spotykał? — spytałem, lecz on tylko rozłożył ręce.

— Nie miałem z nim kontaktu — powiedział takim tonem, jakby się usprawiedliwiał.

Spojrzałem na Karolinę, a ona wzruszyła ramionami. Nie mieliśmy więcej pytań. Zaproponowałem, że oddam mu kasę za porwane dzinsy, ale nie był tym zainteresowany. I całe szczęście. Podejrzywałem, że kosztowały małą fortunę. Ruszyliśmy w milczeniu w kierunku drogi. I wtedy coś sobie przypominałem.

— Może i nie kontaktowałeś się z panem Tadeuszem, ale na pewno widywałeś się z panem Zbyszkiem — powiedziałem triumfalnym głosem. — I to przynajmniej dwa razy. Raz w lesie, kiedy widział was ten staruszek, i drugi raz przy wysypisku śmieci. Wtedy widziałem was ja...

— To pan tak wtedy przyhamował? — Młodzieniec klepnął się dłonią po czole. — Wiedziałem, że skądś znam ten pana zielony samochód! Jest bardzo charakterystyczny.

Taka uwaga w ustach kogoś, kto poruszał się chevroletem, nie mogła być komplementem, ale zupełnie o to nie dbałem. Byłem ciekaw, o czym rozmawiali z panem Zbigniewem.

— O wszystkim, tylko nie o tym, co dotyczyło Kate — poinformował z goryczą w głosie. — Najwięcej opowiadał mi o jakiejś dziewczynie, która zaginęła mniej więcej w tym samym czasie. Tak jakby mnie to interesowało...

— O Alinie Janeczek? — zapytałem szybko, a on wzruszył ramionami.

— Być może... — mruknął z lekceważeniem. — Razem z panem Tadeuszem bardziej interesowali się tą dziewczyną niż tym, za co im płaciłem. Zbyszek twierdził, że ta mała romansowała z nauczycielem. A ten nauczyciel miał niby być na imprezie, podczas której zginęła Kate. Trochę naciągany związek ze sprawą, nie?

Nie byłem pewien. Intuicja podpowiadała mi, że te sprawy jakoś się wiążą. Ale nie miałem na to żadnych dowodów.

Przedarliśmy się przez rżysko i dotarliśmy do szosy. Chłopak skinął nam ręką i ruszył w kierunku stojącej na poboczu corvetty. Karolina przytrzymała go za rękę.

— Czy twoi detektywi... no wiesz, Tadeusz i Zbyszek... kontaktowali się w jakiś sposób z Patrykiem Mauerem?

Odniosłem wrażenie, że odpowiedź na to pytanie z jakichś względów jest dla niej bardzo ważna. Ale musiała obejść się ze smakiem.

— Z kim? — zapytał chłopak, robiąc zdziwioną minę.

— Z Mauerem. Prokuratorem Prokuratury Rejonowej w Mogielnie.

Pokręcił głową.

— Nie, chyba nie. W każdym razie pierwsze słyszę.

Jego ostatnie słowa zagłuszył dźwięk policyjnej syreny. Radiowóz przejechał obok nas i zatrzymał się obok stojącej na poboczu ciężarówki, a potem — dosłownie dziesięć sekund później — ruszył na wstecznym i zaparkował tuż przy naszej trójce. Wyskoczyło z niego dwóch młodych policjantów. Zesztywniałem ze strachu.

— Co tu się dzieje? — zapytał na wdechu jeden z nich, podczas gdy drugi położył rękę na pistolecie.

Zrozumiałem, że kierowca ciężarówki był świadkiem naszej pogoni za chłopakiem i — tak jak podejrzewałem — zdecydował się wezwać policję. Mundurowi się nie spieszyli. Od wezwania minęło tyle czasu, że mogliśmy chłopaka poćwiartować i zjeść. Ale w końcu się pojawili i zastali nas — jak to się brzydko mówi — z opuszczonymi majtkami.

Popatrzyłem błagalnie na chłopaka. Mógł się teraz na nas stokrotnie zemścić. Za podarte spodnie i podrapaną twarz. Ale na szczęście nie chował do nas urazy. Pewnie naczytał się książek sensacyjnych i podejrzewał, że jesteśmy ze służb.

— Nic. Wszystko w porządku — odparł, a ja miałem ochotę go uściskać.

Ale policjantowi to nie wystarczyło.

— Otrzymaliśmy zgłoszenie, że doszło do bójki. Nie wyglądasz najlepiej, chłopcze — popatrzył na dzieciaka, a potem przeniósł wzrok na swojego partnera. — Porozmawiamy o tym na komendzie — zdecydował i otworzył tylne drzwi radiowozu.

Poczułem, jak miękną mi nogi. Spełniała się wizja z moich najgorszych koszmarów. Spojrzałem na Karolinę, ale ona — w przeciwieństwie do mnie — wyglądała na zupełnie spokojną. Musiała mieć nerwy ze stali. Przecież jej dalsza praca w policji zawisała właśnie na włosku.

I wtedy kompletnie mnie zaskoczyła.

— Aspirancie, czy mogę na słówko? — powiedziała tonem, w którym dźwięczały stalowe nuty. To nie było pytanie, tylko rozkaz.

Skinęła na zdziwionego policjanta i poszła wzdłuż drogi, oddalając się poza zasięg słuchu. Policjant — chcąc nie chcąc — podreptał za nią. Jego kolega nie spuszczał ze mnie oczu, cały czas nerwowo się oblizując. Miałem mu ochotę powiedzieć, że jeżeli jest głodny, to niech idzie na obiad, ale się nie odważyłem. Stałem jak wioskowy głupek, bojąc się nawet zerknąć w kierunku Karoliny.

Moja koleżanka wróciła dosyć szybko. Z ulgą zobaczyłem, że nie ma nałożonych kajdanek.

— Jedziemy — powiedziała pogodnie, kompletnie nie zwracając uwagi na policjantów, a potem zwróciła się do chłopaka. — Ty też, młody. Trzymaj się!

Czekałem, że policjanci obalą nas na ziemię, ale nic takiego nie nastąpiło. Ten, który rozmawiał z Karoliną, od razu ruszył w stronę radiowozu. Mijając swojego wygłodzonego kumpla, szepnął mu coś na ucho. Kilka sekund później obaj zajmowali już miejsca w swoim opłu insygnii. Ruszyli tak szybko, jakby coś ich goniło.

Wsiadłem do mazdy i drżącą ręką zapiąłem pasy. A potem uważnie przyjrzałem się

swojej koleżance. Jej mina wyrażała obojętność.

— Coś ty mu powiedziała? — spytałem, wciąż dygocąc z emocji.

— Żeby dali nam spokój, bo pożałują — odparła, a ja nie byłem w stanie stwierdzić, czy mówi poważnie, czy żartuje.

— Kim ty jesteś? — spytałem, patrząc na nią jak na obcą osobę.

Uśmiechnęła się do mnie kpiąco.

— A nie domyślasz się? — spytała, a potem jej twarz zastygła na podobieństwo maski. — Na co czekasz? Mieliśmy jechać do Mikołajek — przypomniała, a ja ostrożnie włączyłem się do ruchu.

Trudno nie zgodzić się z tymi, którzy określają Mikołajki jako stolicę Krainy Tysiąca Jezior. Ta niewielka miejscowość wciśnięta jest między trzy potężne jeziora: Tały, Mikołajskie i położone nieco dalej Śniardwy. To w tym miejscu wypada mniej więcej środek mazurskiego szlaku żeglownego, biegnącego od Węgorzewa na północy aż po mało uczęszczany akwen Jeziora Nidzkiego na południu lub jezioro Roś na południowym wschodzie. Dla żeglarzy most w Mikołajkach, po którym właśnie przejeżdżaliśmy, jest mazurskim równikiem.

Zawsze zachwycały mnie czerwone dachy mikołajskich zabudowań. Najlepiej widoczne były z wody od południa, ale malowniczo prezentowały się również od strony mostu. Trudno było uwierzyć, że poza sezonem mieszkało tu tylko niecałe cztery tysiące ludzi. W wakacje liczba ta wzrastała przynajmniej sześciokrotnie.

Uwielbiałem Mikołajki. A raczej uwielbiałbym je, gdyby nie permanentny tłok. W trakcie sezonu urlopowego tłumy turystów potrafiły być męczące, ale teraz — na początku września — było tu zacisznie i urokliwie.

Zamiast żeglarzy i amatorów innych sportów wodnych na ulicach widziało się głównie wystrojoną młodzież. Apele z okazji rozpoczęcia roku szkolnego powoli dobiegały końca i elegancko ubrani uczniowie rozchodzili się do domów. Widok był doprawdy sielankowy, ale nie chłonałem go zbyt uważnie. Moje myśli wypełnione były wspomnieniami z celi.

— To kogo bierzemy na pierwszy ogień? — zainteresowała się Karolina, a ja powróciłem na ziemię.

Artur Kajetanowicz, wiek około czterdziestu lat, dwa metry wzrostu, ponad sto czterdzieści kilo wagi, wykształcenie podstawowe, zawód wykonywany — rybak. Z wyglądu poczciwy, zarosnięty misio, z zachowania — łagodny baranek. Gdy na niego patrzyłeś, gdy zamieniłeś z nim kilka słów... nigdy byś się nie domyślił, za co znalazł się w więzieniu i dlaczego spędził tam prawie siedem lat, podczas gdy jego rodzina — żona i szóstka dzieci — przez cały ten czas żyła na granicy ubóstwa. Artur raz w życiu popełnił błąd.

Zamordował widłami swojego sąsiada.

Nie chciał o tym mówić. W ogóle nie był zbyt rozmowny. Rzadko wypowiadał naraz więcej niż kilka słów. Sprawiał wrażenie nieco przymulonego, ale wszyscy go lubili. Tak jak lubi się ludzi, którzy myślą trochę wolniej i przez to na co dzień nie są w stanie nosić masek.

— Sympatyczny facet — mruknąłem, nie chcąc wdawać się w szczegóły. —

Niestety okazało się, że nie służy mu alkohol.

Domagała się szczegółów. Opowiedziałem jej, jak pewnego letniego wieczoru sąsiad zarzucił mu nieuczciwość. Artur nie wdawał się w dyskusję. Podniósł leżące na ziemi widły i wbił je w jego wątrobę. A potem pił dalej, jak gdyby nigdy nic, aż do momentu, w którym przyjechała wezwana przez świadków policja.

— To jakiś świr — stwierdziła dziewczyna, a ja pokiwałem głową.

— Każdy adwokat załatwiłby mu żółte papiery, ale nie stać go było na prawnika. Na trzeźwo zachowywał się jak łagodny dzieciak. Cholernie przykro było patrzeć, jak martwi się o rodzinę. Gdyby nie mój brat, to chyba pomarliby z głodu.

Michał, gdy opowiedziałem mu o zmartwieniu Artura, postanowił pomóc jego najbliższemu. Przez pełne trzy lata, czyli do momentu, w którym Artur wyszedł z pudła, przynajmniej dwa razy w miesiącu przez któregoś z kierowców podrzucał im żarcie i ubrania.

— Kiedy się ciebie słucha, to człowiek zaczyna czuć sympatię do morderców — skwitowała Karolina. — I do twojego brata. To fajny facet — westchnęła, a potem odwróciła się do okna. — Gdzie my jedziemy?

Zabudowania Mikołajek gdzieś zniknęły, a zamiast nich pojawiły się bagniste łąki. Artur nie mieszkał w samych Mikołajkach. Nigdy u niego nie byłem, ale wiedziałem, jak tam dojechać. Dokładnie mi to kiedyś wytłumaczył. Mówił, że droga nie jest dobra, ale nie spodziewałem się, że będzie aż tak zła. Wyrwy były tak głębokie, że obawiałem się o zawieszenie. Wlokłem się dwadzieścia kilometrów na godzinę, z niecierpliwością wypatrując Śniardw.

— Tam są — krzyknęła w pewnym momencie Karolina, wskazując w prawo. — Cholera, rzeczywiście wyglądają jak morze!

Od razu było widać, że Śniardwy to największe z polskich jezior. Przy takiej pogodzie jak dzisiaj — zachmurzeniu i silnym wietrze — prezentowały się naprawdę imponująco. Drugi brzeg nikał we mgle, a rozbijające się o brzeg fale osiągały miejscami wysokość metra. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, nie było widać ani jednego jachtu. Szlak żeglowny poprowadzony był południową częścią akwenu, a tutaj — na północy — roilo się od kamienistych mielizn.

— Największa z mielizn jeszcze kilka lat temu oznaczona była tabliczką z napisem „uwaga mielizna” — powiedziałem tonem przewodnika wycieczki. — Napis był tak mały, że żeglarze musieli podpłynąć naprawdę blisko, by go odczytać. Dla wielu było już za późno. Ciekawość kończyła się dla nich uszkodzonym mieczem.

— Czym? — spytała, a ja machnąłem ręką i jeszcze zwolniłem, bo ze słów Artura wynikało, że wkrótce po dostrzeżeniu Śniardw trzeba było skrócić w pełną drogę.

Po kolejnych dziesięciu minutach podskoków dojechaliśmy do poniemieckiego siedliska. Zabudowania były murowane i kiedyś musiały prezentować się bardzo solidnie, ale dziś niewiele brakowało im do popadnięcia w ruinę. Podwórko było zavalone jakimiś rupieciami, pomiędzy którymi przechadzały się kury.

Zaparkowałem przed otwartą bramą i poprosiłem Karolinę, by została w samochodzie. Nie oponowała. Wyjęła komórkę i zaczęła przeglądać skrzynkę odbiorczą.

— Zapytaj, czy ktoś go o ciebie wypytywał — mruknęła znad klawiatury.

Wszedłem na podwórko i w oknie budynku mieszkalnego dostrzegłem nieznaczny ruch firanki. Po kilku sekundach wyszła do mnie starsza kobieta. Przedstawiłem się z imienia i nazwiska.

— Ja do Artura — dodałem.

Za kobietą z budynku wysypało się kilkoro dzieci. Wszystkie miały takie same, płowe włosy. Różniły się od siebie tylko wzrostem.

— Męża nie ma — oznajmiła kobieta, opierając dłonie na rozłożystych biodrach.

Ze zgrozą uświadomiłem sobie, że ta starsza pani była żoną mojego kolegi. Wyglądała przynajmniej na pięćdziesiąt pięć lat, a z tego, co wiedziałem, nie miała jeszcze czterdziestki. Musiała mieć naprawdę ciężkie życie... Jej zmęczone oczy patrzyły na mnie wrogo.

— A kiedy będzie? — spytałem, posyłając jej nieśmiały uśmiech. — Widzi pani, my znamy się z Bartoszcyc...

— Dałbyś mu pan spokój — przerwała mi kobieta. — Swoje już odsiedział.

W jej głosie było tyle stanowczości, że straciłem rezon. Szukałem słów, które miały ją uspokoić, ale jak na złość w mojej głowie hulał wiatr. W końcu machnąłem ręką. Nie zależało mi na tym spotkaniu aż tak, żeby się z nią kłócić.

— Niech mu pani powie... — zacząłem, ale nie wiedziałem, jak skończyć. — Niech pani go ode mnie pozdrowi.

Nie dała po sobie poznać, czy mnie zrozumiała. Jej oczy wciąż patrzyły nieprzyjaźnie. Odwróciłem się na pięcie i chciałem odejść, ale wtedy odezwało się jedno z dzieci.

— Tatuś jest u siebie — wysepleniała pięcioletnia na oko dziewczynka, chowając się za starszą siostrą.

Matka zgromiła ją wzrokiem, po czym wzruszyła ramionami.

— Męża naprawdę nie ma — wskazała na drzwi do budynku. — Może pan sprawdzić.

Ale ja znałem Artura jak samego siebie. W końcu przez trzy lata spędzaliśmy ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wiedziałem, co to znaczy, że jest „u siebie”. Dlatego zignorowałem zaproszenie do budynku i poszedłem w głąb podwórka, rozglądając się za sadem.

Artur był o wiele większym świrem, niż wynikało to z jego policyjnej kartoteki. Ale akurat ten aspekt jego szaleństwa był zupełnie nieszkodliwy. Mój kolega zaliczał się do tych, którzy obawiają się globalnej katastrofy. Był do niej doskonale przygotowany. Wiedziałem, że w sadzie wykopał schron i chomikował w nim żywność i wodę. W tym szaleństwie paradoksalnie była metoda. Dzięki jego zapasom żona i dzieci mogły przetrwać ten pierwszy, najtrudniejszy okres po jego osadzeniu w zakładzie karnym.

Sad rozciągał się bezpośrednio za rozsypującą się stodołą. Przeszedłem przez dziurę w spróchniałym płocie i zacząłem wypatrywać schronu. Nikt za mną nie poszedł. Z podwórka dobiegł głośny płacz dziecka. Najwyraźniej matka postanowiła ukarać swą córeczkę za zbyt długi język.

Przez dłuższą chwilę spacerowałem między jabłonkami, szukając śladów, które

naprowadziłyby mnie na wejście do schronu. Kryjówka Artura była tak dobrze zakamuflowana, że znalazłem ją dopiero wtedy, gdy potknąłem się o metalowy uchwyt klapy. Schyliłem się i z całej siły za niego pociągnąłem. Kłapa otworzyła się niemal bezgłośnie. Przez moment podziwiałem inżynierski kunszt kolegi, a potem ostrożnie opuściłem się w dół, natrafiając stopami na szczeble drabiny. Nagle na mojej łydce zacisnęło się imadło.

Zasyczałem z bólu.

— To ja, Literat — powiedziałem szybko, przedstawiając się swoim więziennym przezwiskiem. — Nie urwij mi nogi, OK?

Oślepiło mnie światło mocnej latarki. Zacisnąłem powieki, ale mimo to przed oczami pojawiły mi się ogniste koła.

— To rzeczywiście ty — powiedział znajomy, flegmatyczny głos. — Witaj!

Artur zdjął mnie z drabiny i postawił na ziemi, a potem ostrożnie uścisnął. Był potężnym mężczyzną, ale jego ruchy były zaskakująco delikatne. Zdawał sobie sprawę ze swej siły i nie chciał połamać mi kości. Poklepałem go po potężnych plecach. Poczulem wzruszenie. Byłem zaskoczony siłą swojej sympatii.

— Co tu robisz? — zapytałem przez ściśnięte gardło. — Przecież nie było żadnej globalnej katastrofy.

Oświetlił latarką wnętrze schronu. Pomieszczenie miało około trzydziestu metrów kwadratowych. Pod ścianami stały półki z puszkami i słoikami. To musiały być te jego zapasy.

— Fajnie, nie? — zarechotał, ale zaraz potem posmutniał. — Wczoraj była u mnie policja. Pomyślałem, że trochę tu posiedzę.

Był jedynym znanym mi eskryminalistą, który mówiąc o policji, nie używał obelg typu „psy” czy „mendy”. Jedynym, oprócz mnie. I najwyraźniej — podobnie jak ja — reagował na niebieskie mundury dość nerwowo.

— Pytali cię o mnie, prawda?

Opadł ciężko na ustawioną w centralnym punkcie schronu kanapę.

— Budowałem to przez dwa lata — jego słowa nie miały związku z moim pytaniem, ale znałem go na tyle dobrze, że nie byłem tym zaskoczony. Rozmowa z nim wymagała cierpliwości. — Strop, ściany i podłoga są z gazobetonu. Mają po sześćdziesiąt centymetrów grubości — zaciął się, ale po chwili odzyskał głos. — Pytali o chłopaków z naszej celi. I czy znałem cię przed wyrokiem.

Był jednym z trzech współwięźniów, z którymi dzieliłem celę, a którzy byli już na wolności. Pozostałych czterech — bo przecież skład mojej celi przez te pięć lat zmieniał się kilkakrotnie — wciąż odbywało karę w Bartoszycach. Rekordzista miał do odsiedzenia jeszcze siedem lat.

— I co im powiedziałaś?

— Prawdę. Nie mam kontaktu z kolegami, a ciebie pierwszy raz spotkałem w więzieniu. Myślałem, że dadzą mi spokój, ale wtedy zaczęli pytać, za co siedziałeś.

Nic z tego nie rozumiałem. Po co policji takie informacje? Przecież wszystko było w aktach.

— Powiedziałem im — podjął z zakłopotaniem w głosie — że nie mam pamięci do

paragrafów i żeby zapytali ciebie. Nie byli zadowoleni.

Usiadłem obok niego. Kanapa była zaskakująco wygodna. Czułbym się jeszcze bardziej komfortowo, gdyby nie śmierdziało tu stęchlizną. Ale nie można było mieć wszystkiego.

— Czego oni ode mnie chcą? — westchnąłem, zabijając maszerującego mi po udzie pająka.

Poczułem, jak Artur wzrusza ramionami.

— Pytali, czy wiem, gdzie cię znaleźć. Mam adres twojego brata, ale powiedziałem im, że nie wiem...

— ...i bardzo dobrze... — wtrąciłem.

— ...a na koniec jeden z nich zapytał mnie o dwóch ludzi.

Poczułem przyspieszone bicie serca. To mogło być to, na co czekałem. Trop, który zaprowadzi mnie do rozwiązania zagadki.

— Pamiętasz nazwiska? — spytałem z podnieceniem.

Ale u Artura wszystko szło swoim tempem.

— Ten pan, który mnie o to spytał, nie był policjantem — mówił powoli, nie dostrzegając mojej niecierpliwości. — Znam wszystkich miejscowych policjantów, a jego widziałem po raz pierwszy w życiu. Musiał być z jakiegoś większego miasta. Był bardzo elegancki.

Usiłowałem nie okazywać zdenerwowania.

— Powiedział dwa nazwiska i spytał, czy kiedyś je słyszałeś, tak?

— Właściwie to nie. — Artur, nie wstając z kanapy, uruchomił lampę naftową i w jej świetle dostrzegłem, że kręci głową. — Nie powiedział żadnych nazwisk. Wyjął długopis i napisał je na kartce. Nie wiem dlaczego...

Ja wiedziałem. Tajemniczy cywil nie chciał, by towarzyszący mu policjanci usłyszeli, o kogo chce zapytać.

— Masz tę kartkę? — zapytałem, powstrzymując się od wstania z miejsca.

Artur znów pokręcił głową.

— Nie. Ten pan zaraz ją zniszczył.

Zakląłem pod nosem. Artur nie mógł pochwalić się dobrą pamięcią. Zwykle nie pamiętał nawet, jaki mamy dzień tygodnia. Szansa na to, by zapamiętał dwa obce nazwiska, była równa zeru. Świadomość, że byłem tak blisko, utrudniała mi pogodzenie się z porażką.

— Ale nie znałeś tych ludzi, prawda? — spytałem na wszelki wypadek, z góry przewidując odpowiedź.

Nie myliłem się.

— Nigdy o nich nie słyszałem — powiedział z żalem Artur, a ja po raz ostatni obrzuciłem wzrokiem wnętrze schronu.

— Nie przejmuj się — klepnąłem go ręką i wstałem, zamierzając się pożegnać. — I tak bardzo mi pomogłeś.

Jego następne słowa sprawiły, że stanąłem jak wryty.

— Nie chcesz wiedzieć, o kogo chodziło? — spytał, a ja wytrzeszczyłem oczy.

— Ale... — na chwilę zabrakło mi słów. — Ty naprawdę pamiętasz te nazwiska?

Artur się uśmiechnął. W mdłym świetle lampy naftowej jego szeroka twarz przypominała księżyc w pełni.

— Jedno nazwisko — powiedział głosem grzecznego chłopca, który właśnie miał pokazać rodzicom świadectwo z czerwonym paskiem. — Obaj mężczyźni, o których pytał ten pan, nosili to samo nazwisko.

— Jakie?! — przerwałem mu, bo aż skręcało mnie z ciekawości.

— Takie samo, jakie nosiła przed ślubem moja stara — oznajmił triumfalnie, a ja zrozumiałem, jak to się stało, że je zapamiętał. — Boniecki.

Opadłem ciężko na kanapę. Przypomniało mi się wewnątrz drewnianego kościoła i mocny uścisk dłoni klęczącego obok mnie mężczyzny. I jego dziwne przeprosiny, skropione łzami.

— Grzegorz? — wyjąkałem.

Artur z entuzjazmem pokiwał głową.

— Tak, jednemu z nich na pewno było na imię Grzegorz. Tak jak mojemu najstarszemu synkowi.

Nie był sobie w stanie przypomnieć imienia drugiego z mężczyzn, ale kompletnie o to nie dbałem. Siedziałem na zbutwiałej kanapie trzy metry pod ziemią, a przed oczami przesuwał mi się tylko jeden obraz. Ten z kościoła, kiedy ratownik ze łzami w oczach mówił, że mnie przeprasza. Sądziłem wtedy, że chodzi mu o bójkę, ale słowa Artura zmieniły wszystko.

Za co przepraszał mnie wtedy Grzesiek Boniecki? I dlaczego pytano o niego moich kolegów z celi?

— Czemu nic nie mówisz? — spytała po raz kolejny Karolina, patrząc przez ramię na smagane wiatrem Śniardwy, które stopniowo chowały się za zakrętem. — Co on ci powiedział? Nie było cię z pół godziny, a na dodatek wyłączyłeś telefon.

— Dzwoniłaś do mnie? — zdziwiłem się, odzywając się po raz pierwszy od powrotu do samochodu. — Byłem kilka metrów pod ziemią. Nie było zasięgu.

— Ha, ha, ha... Bardzo śmieszne.

Była coraz bardziej nadąsana. Postanowiłem jej nie drażnić.

— To ciekawe — mruknęła, gdy zrelacjonowałem jej rozmowę z Arturem. — Myślisz, że można mu ufać? Zresztą nieważne. Przecież sam nie wymyśliłby tego nazwiska.

Zasypała mnie pytaniami o Grzeška Bonieckiego. Zdałem sobie sprawę, że o naszym ratowniku wiem tyle, co nic.

— Ma około czterdziestki — mówiłem, wjeżdżając między pierwsze zabudowania Mikołajek. — Żona i trzech synów, w tym jeden niepełnosprawny. Karany za kradzieże, tak przynajmniej mówił mój kierownik...

— Twój kryształowo uczciwy kierownik? — jej głos ociekał sarkazmem.

— A co to miało znaczyć? — spytałem zdumiony. — Masz coś do mojego kierownika?

Machnęła lekceważąco ręką.

— Sam mówiłeś, że to jakiś mętny typ. Wróćmy do Bonieckiego.

Nie przypominałem sobie, bym rozmawiał z nią na temat kierownika. Ale skoro tak

mówiła...

— Grzesiek to nieprzyjemny typ — podjąłem. — Złośliwy i hardy. Podejrzewam, że miał ciężkie życie...

— Czekaj! — niespodziewanie mi przerwała, jednocześnie pogłaśniając radio.

Była punkt trzynasta i w radiu nadawano właśnie wiadomości. Monotonny głos spikera informował o zatrzymaniu prokuratora Prokuratury Okręgowej w Olsztynie, Andrzeja Klickiego. W pierwszej chwili pomyślałem, że to słuch płata mi figle.

— Przecież to mój prokurator — wyjąkałem zdumiony. — To on prowadził moją sprawę.

Zarzuty dotyczyły przyjmowania korzyści majątkowych w ciągu ostatnich trzech lat. Kodeks karny przewidywał za to do ośmiu lat pozbawienia wolności. Poczujęm coś na kształt mrocznej satysfakcji. Zatarłem ręce.

Karolina słuchała uważnie, nie odrywając wzroku od panelu radia.

— Myślisz, że w twojej sprawie było coś nie tak? — zapytała, gdy spiker porzucił temat korupcji i zaczął mówić o wizycie papieża.

Patrzyła na mnie w taki sposób, że aż się zmieszałem.

— Ja na pewno nie dałem mu łapówki — zażartowałem, chociaż temat wcale nie był zabawny. — Sądzę, że w moim przypadku chodziło o nadgorliwość. Prokuratorów rozlicza się z efektywności, prawda?

Pokiwała w zadumie głową.

— No właśnie — ciągnąłem, przejeżdżając mostem nad Jeziorem Mikołajskim. — Wydaje mi się, że w tamtym czasie grał o awans. Wkrótce po moim wyroku trafił z Mogielna do Olsztyna.

Karolina nie odpowiedziała. Odniosłem wrażenie, że myślami znajdowała się daleko stąd. Wiadomość o zatrzymaniu prokuratora bardzo ją poruszyła. Nawet bardziej niż mnie, a to przecież ja miałem nieprzyjemność go poznać.

Podczas dzisiejszej wycieczki zaskoczyła mnie już drugi raz. Wciąż zachodziłem w głowę, co powiedziała tamtym policjantom, że zamiast zawieźć nas na komisariat, zmyli się jak niepyszni. A teraz to... Kompletnie tego nie rozumiałem.

Zatrzymanie prokuratora obudziło stare demony. Przez całą drogę do Mrągowa wspominałem te straszne chwile: osadzenie w areszcie śledczym, przesłuchania, rozprawę i ogłoszenie wyroku. Myśl o tym, że przez to samo piekło będzie teraz przechodził prokurator, była niczym balsam na wzburzone morze moich mrocznych namiętności. Być może byłem małostkowy, ale moje usta co i raz rozciągały się w uśmiechu. Obyś tam zgnił, gnoju — myślałem nie do końca po chrześcijańsku.

Mrągowo słynęło z festiwalu muzyki country. Było kilka razy większe od Mikołajek, ale równie ładne — z przedwojenną starówką i promenadą poprowadzoną nad jeziorem Czos, które stanowiło integralną część miasta. Wznosiły się nad nim hotele i ośrodki wypoczynkowe, a także słynny na całą Polskę amfiteatr. Nazwa miasta pochodziła od Krzysztofa Celestyna Mrongowiusza, dziewiętnastowiecznego obrońcy polskości na tych ziemiach. Wcześniej Mrągowo nosiło staropruską nazwę Żądzbork.

— Tu Mrongowiusz, tam Gizewiusz... — burknęła Karolina w odpowiedzi na mój krótki wykład, nawiązując przy okazji do tego, co mówiłem jej wcześniej o patronie

Giżycka. — Jako nauczyciel musiałeś być przeraźliwie nudny. Opowiedz lepiej, którego z twoich patologicznych znajomych będziesz teraz odwiedzać.

Popatrzyłem na nią z pobłażaniem. Historia Warmii i Mazur od lat była moim konikiem i nie rozumiałem, jak mogła komuś wydawać się nudna. Nie byliśmy tu jednak na wycieczce. Wlokąc się wąskimi uliczkami starówki, opowiedziałem jej o człowieku, do którego przyjechaliśmy.

Siwy w przeciwieństwie do Artura nie był człowiekiem, który trafił do kryminału przez przypadek. Popadał w konflikty z prawem, od kiedy nauczył się chodzić. Na początku jego znakiem firmowym były kradzieże i pobicia, ale potem zajął się czymś „poważniejszym”. Gdy go poznałem, siedział za kierowanie „grupą przestępczą o charakterze zbrojnym”. Działał lokalnie, na terenie swojego powiatu. Zajmował się wymuszeniami — ściąganiem haraczu od właścicieli lokali gastronomicznych i hoteli. Był reliktem lat dziewięćdziesiątych. Co wcale nie oznaczało, że nie był groźny.

Był przy tym niepoprawnym dowcipnisiem. Jego sytuacyjne żarty wielokrotnie doprowadzały mnie do niekontrolowanych ataków śmiechu. Czasem to jego poczucie humoru było dość prymitywne, ale więzienie to nie herbatka u kuzyna z wyższych sfer.

Im dosadniej, tym śmieszniej.

Był kawalerem, a na widzenia co chwila przychodziły do niego inne kobiety. Znaczna część z nich wyglądała na prostytutki, ale większość osadzonych i tak mu zazdrościła. Miał w sobie coś, co przyciągało kobiety. A przynajmniej ich określony typ...

Gdy odbywaliśmy karę, obchodził czterdzieste urodziny. Odśpiewaliśmy mu motyw z „Czterdziestolatka” i podarowaliśmy przemycone opakowanie po viagrze. Był zachwycony. Rechotał przez pół godziny, aż do momentu, gdy popuścił ze śmiechu w spodnie. Potem rechotaliśmy już tylko my. Ta anegdota doskonale obrazowała klimat, który panował za kratami. Cóż, wybrzydzenie nic by nie dało. Trzeba się było dostosować.

— A dlaczego Siwy? — zapytała Karolina, gdy już dostatecznie dosadnie wyraziła swój niesmak. — Od koloru włosów?

— Tak, ale nie w takim sensie, jak myślisz. Jest jasnym blondynem. Takim aryjczykiem...

Przejechałem obok ratusza i zaparkowałem na placyku, tuż obok dużej piwiarni. Mimo wczesnej pory pod parasolami siedziało już kilka osób. Tutaj sezon wakacyjny jeszcze się nie skończył.

Elegancki chodnik prowadził stąd nad odległe o kilkadziesiąt metrów jezioro, ale ja udałem się w przeciwną stronę. Karolina posłusznie została w samochodzie. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak wyciąga komórkę i przykłada ją do ucha. Wciąż miała na twarzy wyraz obrzydzenia. Skinąłem jej ręką, a potem minąłem skrzyżowanie i wszedłem w pierwszą z mijanych bram.

Kamienica była przedwojenna i wyglądało na to, że od czasów wojny nikt jej nie remontował. Dziwiłem się Siwemu, że mieszkał w takim miejscu, ale chyba nie było go stać na nic lepszego. Zamiast willi nad jeziorem wciąż miał tę samą, odziedziczoną po matce kawalerkę na poddaszu. Wszystkie pieniądze, które zarabiał na gangsterce, szybko trafiały do przepastnych kieszeni adorujących go kobiet. Cóż, życie w stylu Casanovy nie

było tanie...

Przeszedłem przez bramę i znalazłem się na zapuszczonym podwórzu. Wały się po nim jakieś stare szmaty, a na rozciągniętych sznurach suszyła się poszarzała ze starości bielizna. W najciemniejszym kącie przykucnął wyliniały kot. Przez chwilę rozglądałem się za wejściem do klatki, ale najwyraźniej musiało się znajdować od strony ulicy. Odwróciłem się na pięcie i wtedy usłyszałem odgłos otwieranego okna.

Zadarłem głowę i w otwartym oknie mieszkania na poddaszu ujrzałem twarz Siwego. Pomachałem, ale mój kolega wcale na mnie nie patrzył. Ze zgrozą uświadomiłem sobie, że zamierza wejść na dach. Chwycił się ręką ramy okna i wykonał pierwszy chwiejny krok.

Nigdy nie posądzałem go o skłonności samobójcze. Zamarłem w bezruchu, nie wierząc w to, co widzę. A Siwy krok po kroku opuścił mieszkanie i przesuwiał się po dachu, w kierunku kolejnej, nieco niższej kamienicy. Nawet stąd widziałem, że jest przerażony. Doszedłem do wniosku, że zwariował.

Nie odważyłbym się krzyknąć. Nie chciałem go mieć na sumieniu. Gdy na podwórku pojawiła się staruszka, położyłem palec na ustach, ale chyba tego nie zauważyła. Dostrzegła natomiast Siwego.

— Ludzie! — ryknęła niskim, ochrypłym głosem, płosząc siedzące na gzymsie gołębie. — Ludzie, ratujcie! Siwy zwariował!

Podzielałem jej konstatację, ale w tym momencie miałem gdzieś jego zdrowie psychiczne. Martwiłem się, by nie spadł i się nie zabił. Kamienice w Mrągowie nie były wysokie, ale upadek z wysokości trzeciego piętra mógł skończyć się tragicznie. Widząc, że się zachwiał, odruchowo wstrzymałem oddech. Na szczęście w ostatniej chwili chwycił się rynny.

Myślałem, że obrzuci kobietę wyzwiskami. To byłoby jak najbardziej w jego stylu, ale nawet na nią nie spojrział. Parł uparcie przed siebie, zbliżając się do krawędzi dachu. Zrozumiałem, że chce przeskoczyć na dach sąsiedniej kamienicy, a potem — wykorzystując wiatr śmietnika — zsunąć się na ziemię. Nie wiedziałem tylko dlaczego. Nic nie wskazywało na to, że w jego mieszkaniu wybuchł pożar.

Przeskoczyłem przez betonowe ogrodzenie i już byłem na podwórku sąsiedniej kamienicy. Gdy znalazł się na jej niemal płaskim dachu, postanowiłem się ujawnić. Gwizdnąłem na palcach, a on wreszcie mnie zobaczył. Jego twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie.

— Spływaj stąd — jeżeli można krzyczeć szeptem, to właśnie to robił. — Uciekaj...

Urwał i spojrział z lękiem w stronę okna swojego mieszkania. Firanka lekko się poruszyła i raptem pojawił się w nim mężczyzna. Zakląłem pod nosem, bo nagle wszystko stało się jasne. Mężczyzna miał na sobie policyjny mundur.

— Nie ruszaj się, Siwy! — wrzasnął, mierzając mojego kolegę urzędowym spojrzeniem. A potem przeniósł wzrok w dół. — Ty też się nie ruszaj! — ryknął w moim kierunku. — Stój w miejscu! Zaraz ktoś do ciebie podejdzie.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Pewnie posłuchałbym rozkazu dzielnicowego, ale Siwy miał zupełnie inne plany. Zamiast zastygnąć w bezruchu, wykonał karkołomny skok

i wylądował na dachu śmietnika. Cienka warstwa papy przedarła się jak papier, a mój kolega zatrzymał się o poziom niżej — w wypełnionym do połowy kontenerze.

— Dobrze, że „odpady zmieszane”, a nie „szkło opakowaniowe” — mruknąłem z przekąsem, podając mu rękę. — Jesteś cały?

Wygramolił się z kontenera i wstrząsnął się jak mokry pies.

— Dobrze — zaśmiał się, nawiązując do moich pierwszych słów. — Spadajmy stąd!

To był odruch. Nie miałem powodu, by uciekać, ale natychmiast zerwałem się do biegu. Krzyki dzielnicowego nie były w stanie mnie zatrzymać. Będąc o krok za Siwym, wbiegłem w bramę i znalazłem się na ulicy. W naszą stronę maszerowało dwóch policjantów.

— Na promenadę — wydyszał Siwy. — Wmieszajmy się w tłum turystów.

Policjanci popędzili za nami niczym spuszczone ze smyczy psy. Byli zbyt blisko, byśmy mogli ich zgubić. Jediną szansą na udaną ucieczkę było rzeczywiście wmieszanie się w tłum, ale jak na złość promenada była niemal pusta. Siwy niespodziewanie wciągnął mnie do wnętrza jakiejś piwiarni.

— Wyjdziemy przez zaplecze — szepnął, po czym przeskoczył przez bar, taranując stojącą za nim dziewczynę.

Przeklinając w duchu, poszedłem w jego ślady. Przebiegliśmy przez kuchnię i znaleźliśmy się na tyłach knajpy. Podwórko było puste, ale jedyna droga prowadziła z powrotem na promenadę.

— Czemu uciekamy?! — spytałem, z trudem panując nad ogarniającą mnie paniką.

Promenadą szła spora grupa niemieckich turystów. Musiało być ich ze czterdziestu — tylu, ilu mieściło się w autokarze. Szli parami, jak wycieczka dzieci z podstawówki. Siwy wziął mnie pod ramię i ustawił się na końcu grupy.

— Kocham niemiecki porządek — mruknął, dostosowując długość kroku do niemieckich emerytów.

Spotkanie pierwszego stopnia z zawartością śmietnika pozostawiło na nim trwałe ślady. Koszulkę miał uwalaną jakimś starym kefirem, a z jasnych włosów spływało mu coś, co przywodziło na myśl żółtko jajka. Kamuflaż nie był idealny, ale na szczęście w zasięgu wzroku nie było żadnych policjantów.

— Co się dzieje? — spytałem po raz kolejny, tym razem szeptem. Skoro mieliśmy uchodzić za Niemców, nie wypadało epatować polszczyzną.

Siwy wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Od rana nachodzi mnie policja. Dwa razy ich wyczekałem, ale za trzecim byli bardziej natarczywi. Spanikowałem.

Parsknąłem śmiechem.

— Aż tak? — spytałem, przypominając sobie jego karkołomną wycieczkę dachami kamienic. Zakończoną spektakularnym lądowaniem w śmietniku.

— Aż tak — zaśmiał się nieprzekonująco. — Gdybyś spotykał się z nimi tak często, jak ja, to też byś był nerwowy.

Nie pytałem go, czym się zajmuje po wyjściu z pudła. Nie chciałem wiedzieć, a poza tym był to temat tabu. Miałem nadzieję, że wziął się do czegoś zgodnego z prawem, ale chyba ta nadzieja była płonna. Jego nerwowość na sam widok munduru

wskazywała, że nie podążał ścieżką uczciwości.

— Nie wiesz, czego mogli od ciebie chcieć? — zapytałem.

Pokręcił głową, ale zrobił to w sposób mało przekonujący. Domyśliłem się, że zainteresowanie policji nie było dla niego zaskoczeniem. Z tym że jego grzechy i grzeszki mało mnie obchodziły.

— Nie wiem też, skąd wzięłeś się tutaj ty — zarzucił przynętę, ale nie miałem ochoty mieszać go w swoje sprawy.

— Nieważne — mruknąłem, a potem popatrzyłem na niego uważnie. — Być może policja interesuje się tobą z mojego powodu. Mogą pytać o moje kontakty z więzienia. I o przeszłość.

Jego twarz wyrażała zdziwienie. Widocznie sądził, że mój zatarg z prawem miał charakter jednorazowy.

— Spokojna głowa, nic im nie powiem — powiedział, ale ja pokręciłem głową.

— Możesz im powiedzieć wszystko, co wiesz. I tak nic na mnie nie mają — stwierdziłem z pewnością, której wcale nie odczuwałem.

Parsknął śmiechem.

— Takiś niewinny? — spytał ironicznie. — I tak nie będę gadał o tobie z mendami. Mam zasady. Na kumpli się nie kabluje. A tak w ogóle, to co u ciebie?

To nie był odpowiedni moment na towarzyską rozmowę. Skoro ustaliłem, że policja jeszcze go o mnie nie pytała, to dalsza wymiana zdań nie miała sensu. Postanowiłem nie kusić losu i jak najszybciej stąd odjechać.

— A czy nie szukał mnie przez ciebie któryś z chłopaków? — spytałem szeptem, ale Siwy stanowczo zaprzeczył.

— Nie słyszałem o tobie od chwili, w której wyszedłem — powiedział, kładąc dłoń na sercu. — Czyli — zaczął liczyć na palcach — od czternastu miesięcy. Sprawiłeś już tę lafiryndę?

Pozostawiłem jego pytanie bez komentarza. Zawsze tak postępowałem, gdy rozmowa schodziła na temat Agnieszki. Rozejrzałem się, chcąc dać nogę, ale w tym momencie w naszą stronę obrócił się brodaty Niemiec.

— Kim jesteście? — spytał w swoim języku. — I co tu tak śmierdzi?

Obrzucił umorusanego Siwego złym spojrzeniem. Gdyby mój kolega nie znał niemieckiego, sprawa mogłaby rozejść się po kościach. Ale na nieszczęście Niemca Siwy pół życia spędził nad Łabą i wszystko zrozumiał.

— Sam śmierdzisz, ty niemiecka świnió! — warknął w języku Goethego, zdejmując jednocześnie z ramienia resztki rozklapciałego pomidora. — I co się gapisz? Chcesz w ryj?

Byłem szczerze zdziwiony, że jeszcze go nie uderzył. Widocznie z wiekiem trochę zmiękł. Ale nie na tyle, bym chciał być świadkiem tego, co się stanie.

— Ja idę w długą — rzuciłem w jego stronę, po raz kolejny się dziwiąc, jak gwara uczniowska podobna jest do gwary więziennej.

Skinął mi głową i odwrócił się do poczerwieniałego z emocji Niemca. Nie zdążyłem zrobić trzech kroków, gdy usłyszałem tępy odgłos uderzenia i łoskot padającego ciała. A potem przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety i zaniepokojony chór

niemieckich głosów.

— A ty co się gapisz?! — Siwy znalazł jakiś nowy obiekt agresji, a ja nawet nie próbowałem go powstrzymać. Z przerażeniem zobaczyłem, że zamieszanie zwróciło uwagę dwóch wychodzących właśnie zza zakrętu policjantów.

Na szczęście obaj rzucili się w kierunku Siwego. Nie zamierzałem nadstawiać za niego karku. To, co w więzieniu wydawało się nieszkodliwe — tam każdy czasem się bił — było kompletnie nieakceptowane na wolności. Życzyłem swojemu koledze, aby odczuł na sobie siłę policyjnej pałki. Ruszyłem szybko w przeciwną stronę i nagle usłyszałem za sobą wykrzyczane „stój”.

Odwróciłem się powoli, mając nadzieję, że to nie ja byłem adresatem tego rozkazu. Ale wystarczył tylko rzut oka, bym w krzyczącym policjancie rozpoznał dzielnicowego. Tego samego, który kilka minut temu widział mnie z okna. Zanim zdążyłem zebrać myśli, nogi same poniosły mnie przed siebie. Po trzech krokach zerwałem się do biegu.

Po lewej stronie rozciągała się tafla jeziora Czos. Wiatr przestał wiać już jakiś czas temu, a ołowiane chmury rozstały się, odsłaniając miejscami błękitne niebo. Na wodzie unosiło się kilkanaście rowerów wodnych. Widok był pocztówkowy, ale nie miałem czasu go podziwiać. Biegłem ile sił w nogach, a kilkadziesiąt metrów za mną pędził policjant. Poza nami na promenadzie nie było żywego ducha. Dzięki temu nikt nie próbował mnie zatrzymać.

Słyszałem, że policjanci przechodzą cykliczne badania sprawnościowe, które w teorii decydują o ich przydatności do służby. Na szczęście była to tylko teoria. Dzielnicowy, który wychodował pokaźny brzuszec, poddał się już po trzystu metrach. Dysząc jak miech kowalski, biegłem dalej, aż do momentu, w którym straciłem go z oczu. Wtedy zatrzymałem się i mój wzrok padł na stragan z pamiątkami. Ostatni taki stragan w tym sezonie.

— Poproszę tę koszulkę — poprosiłem i po chwili ściągnąłem swój pomarańczowy T-shirt, zastępując go nowym, niebieskim.

Mój fortel zdał egzamin. Wróciłem przez centrum i chociaż natknąłem się po drodze na dwóch mundurowych, to żaden z nich nie zwrócił na mnie uwagi. Dotarłem do samochodu i szybko uruchomiłem silnik.

— Co tam się działo? — zapytała Karolina, wskazując w kierunku promenady. — Przed chwilą policja prowadziła stamtąd jakiegoś blondyna w kajdankach. Czy to był ten Siwy?

Przez chwilę prowadziłem w milczeniu. Uspokoilem się dopiero wtedy, gdy wyjechaliśmy z centrum.

— Tak, to mój kumpel — mruknąłem, ocierając czoło. — Nic nie wiedział. Policja przyszła do niego dopiero dzisiaj.

Opowiedziałem jej o jego karkołomnej ucieczce, ale chyba sądziła, że ją nabieram. Uwierzyła mi dopiero wtedy, gdy powiedziałem o zakupie niebieskiej koszulki.

— Nie wykonałeś polecenia policjanta — powiedziała poważnym głosem. — Nie boisz się, że będziesz miał kłopoty?

Zastanowiłem się. Poza Siwym nikt nie znał mojej tożsamości. A o jego milczeniu byłem spokojny. Zasady nie pozwalały mu na rozmowy z „mendami”...

— Teraz Nidzica — odezwałem się, opuszczając Mrągowo. — Tam mieszka niejaki Felek...

— Czy do Nidzicy jedzie się stąd przez Szczytno? — przerwała mi, patrząc w ekran telefonu. — Mapa mówi, że tak.

Pokręciłem głową. Wyjechaliśmy w kierunku na Biskupiec. Nie chciałem zawracać — po dzisiejszej przygodzie nie zamierzałem pojawiać się w Mrągowie przynajmniej przez rok.

— Pojedziemy inaczej — zakomunikowałem, ale ona nieoczekiwanie się sprzeciwiła.

— Muszę być w Szczytnie — powiedziała z naciskiem.

— Ale dlaczego?

Popatrzyła na mnie jak na karalucha.

— Po prostu muszę. Nie wnikaj.

Nie lubiłem, jak mi się rozkazuje. Za kółkiem swojego samochodu to ja byłem władcą. Dlatego spokojnie jechałem dalej, nie zwracając uwagi na jej słowa.

Zaniepokoiła się, gdy mijaliśmy Sorkwity.

— Chcę się tam z kimś spotkać. W Szczytnie — dodała, bo udałem, że nie wiem, o czym mówi.

— Z kim? — spytałem, czując, że przeciągam strunę.

Przez chwilę się wahała.

— Z kolegą z dawnych lat — powiedziała wreszcie, a ja poczułem rozczarowanie. Byliśmy w środku czegoś poważnego, a ona mi tu wyjeżdżała z jakimiś sentymentalnymi spotkaniami.

— Naprawdę tak bardzo ci na tym zależy?

W jej oczach było tyle determinacji, że postanowiłem pójść jej na rękę. W przeciwnym wypadku mogła mnie do tego zmusić...

Szczytno jest najbardziej „policyjnym” miastem w Polsce. Od początku lat dziewięćdziesiątych siedzibę ma tu Wyższa Szkoła Policji, a wcześniej — od 1954 roku — w mieście funkcjonowała (pod różnymi nazwami) Wyższa Szkoła Oficerska Milicji Obywatelskiej. Słuchacze uczelni często kręcą się po mieście w ramach praktyk. Liczba funkcjonariuszy na jednego mieszkańca jest tu rekordowo wysoka. Nic dziwnego, że w Szczytnie jest bezpiecznie jak na Islandii.

— Podjedziesz pod WSPol? — poprosiła Karolina, a ja bez słowa skręciłem w stronę uczelni i po kilku minutach zatrzymałem się naprzeciwko groźnie wyglądającej bramy.

— Szofer melduje wykonanie zadania — oświadczyłem, wykrzywiając się złośliwie. — Ile waćpanna potrzebuje?

Popatrzyła na zegarek. Była czternasta.

— Może poszedłbyś na jakiś szybki obiad? Spotkalibyśmy się za... czterdzieści minut?

Machnąłem ręką i poszedłem na pizzę. Tymczasem zadzwoniłem do Włodka i spytałem, czy moja nieobecność nie wkurzyła szefa.

— Nie martw się — odpowiedział mi tym swoim śpiewnym akcentem. — Jest dziś

zakręcony jak słoik po ogórkach. Pewnie nawet nie zauważył, że cię nie ma.

Potem próbowałem połączyć się z bratem, ale wciąż włączała się tylko poczta. Po chwili zastanowienia wystukałem numer Janusza.

— Brak informacji czasem jest dobrą informacją — powiedział mi mąż mojej dawnej narzeczonej, gdy spytałem go o Michała. — Jego ostatnie wyniki badań kardiologicznych były naprawdę dobre. Widocznie miał do załatwienia coś pilnego. Nie martw się!

Łatwo mu było mówić. Gdy wróciłem pod Wyższą Szkołę Policji, byłem naładowany negatywnymi emocjami. Zaginięcie brata przyprawiało mnie wręcz o niestrawność. Dlatego gdy Karolina zaczęła się spóźniać, miałem ochotę ją rozszarpać.

Pojawiła się piętnaście minut po czasie. Szykowałem już stosowną tyradę, ale na widok jej miny powstrzymałem się od komentarzy. Wyglądała na zaaferowaną.

— Muszę tu zostać — powiedziała spięta. — Przepraszam, że tak wyszło.

W jej głosie oprócz skruchy było coś jeszcze. Złość?

— Nic nie szkodzi — powiedziałem łagodnie, chcąc ją uspokoić. — Przyjechać po ciebie później?

Przez chwilę się wahała.

— Nie, poradzę sobie. Ty jedź do Nidzicy i spotkaj się z tym trzecim gościem. A potem daj mi znać, czego się dowiedziałeś. Zgoda?

— Zgoda — powiedziałem i spojrzałem na nią ze współczuciem. Była spięta i rozdrażniona. Widocznie spotkanie z kolegą nie poszło tak, jak się spodziewała. Ach, młodość — westchnąłem, czując ukłucie żalu za czymś, co już nigdy nie wróci.

Patrzyłem, jak z powrotem pomaszerowała na teren szkoły. Przeszła przez bramę i skierowała się w stronę jednego z budynków. Zanim zniknęła mi z oczu, zobaczyłem, jak podchodzi do niej jakiś starszy pan. Rozmawiała z nim z ożywieniem, a potem oboje wsiedli do policyjnego radiowozu. Nie czekałem, aż przejadą obok mnie. Włączyłem się do ruchu i stanąłem dopiero na światłach.

Nie podejrzewałem jej o upodobanie do starszych mężczyzn. Facet, z którym się spotkała, mógłby spokojnie być jej ojcem. Byłem pewien, że cała jej „bajera” o spotkaniu z kolegą była tylko wykrętem. Tak naprawdę Karolina załatwiała jakieś swoje ciemne sprawy. Zdziwiła mnie dziś już po raz trzeci. Ale po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, czy mogę jej ufać.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim przez całą drogę do Nidzicy, ale nie wpadłem na nic konstruktywnego. Dopiero gdy parkowałem obok zamku, moje myśli powędrowały w kierunku Felka. Trzeci z odwiedzanych dzisiaj przeze mnie kolegów spod celi był wziętym oszustem. Przez całe lata działał w Warszawie, ale na starość postanowił wrócić do Nidzicy. Wpadł na jakiejś drobnostce, ale miał do tego stopnia zszarganą kartotekę, że prokurator przywalił mu „piątala”, czyli pięć lat za kratami.

W przeciwieństwie do pozostałych kolegów jego po wyjściu z pudła spotykałem już dwukrotnie. Za pierwszym razem podczas wycieczki krajoznawczej z „Rybitwy”, a po raz drugi — podczas prywatnego wypadu z Iloną.

W obu przypadkach zajmował się tym samym. Grał w szachy w cieniu zamkowych murów.

Dzisiaj go tam nie było, ale jeden z pozostałych szachistów doradził mi, bym poszukał go w bibliotece. Okrążyłem zamek i wszedłem przez bramę na dziedziniec, a potem wspiałem się po drewnianych schodach. Zobaczyłem go na jednym z krążanków. Siedział na krześle i czytał książkę.

Był do tego stopnia pogrążony w lekturze, że zauważył mnie dopiero wtedy, gdy nad nim stanąłem. Zdjął okulary i zamrugnął oczami.

— Marcin? Cześć, stary — uniósł się i uściśnął mi rękę.

Wyglądał na uprzejmie zdziwionego. Podczas dwóch poprzednich spotkań tylko mu się kłaniałem. Z jego zachowania wysnułem, że nie powie mi nic ciekawego. Gdyby pytała go o mnie policja, na pewno zachowywałby się inaczej.

— Pogadamy? — poprosiłem, patrząc znacząco na kręcących się po krążankach ludzi.

Podreptał za mną na zamkowe wzgórze i ciężko opadł na jedną z ławeczek. Miał z siedemdziesiąt lat, ale wyglądał przynajmniej pięć lat starzej. Przez całe życie funkcjonował na wysokich obrotach. Teraz lont powoli się dopalał.

— Dobrze cię widzieć — powiedział, jak zwykle uprzejmy.

Był przestępcą starej daty. Kojarzył mi się z bohaterami filmu *Vabank*. Do starszego z Machulskich podobny był nawet z wyglądu.

— Cześć, Felek — przywitałem się ponownie, po czym zapytałem go o policję. Tak jak się spodziewałem, nie miał mi nic do powiedzenia.

— Policja o mnie zapomniała — mruknął. — Podejrzewam, że nie mają nawet mojego adresu. Chyba traktują mnie jak emeryta — dodał, mrugając okiem, żebym przypadkiem mu nie uwierzył.

Chociaż przywodził na myśl Henryka Kwintę, to zawodowo bliżej mu było do Piotra Fronczewskiego z filmu *Konsul*. Wykręcił w życiu kilka takich numerów, że o nim też można by nakręcić kasowy film. W środowisku pokutowało przekonanie, że potrafiłby sprzedać Eskimosom śnieg.

Przed takim człowiekiem nie zamierzałem niczego ukrywać. Tym bardziej że się przyjaźniliśmy. Siedzieliśmy razem niemal od początku i wyszliśmy na wolność w tym samym tygodniu — ja o trzy dni później niż on.

— Nie wiem, co się dzieje — wyznałem, po czym opowiedziałem mu o zorganizowanej akcji policji, polegającej na nękanii moich znajomych spod celi. Słuchał uważnie, gładząc się po siwym zarostcie.

— Boją się — mruknął, nabijając fajkę. — Wygląda na to, że ktoś coś spieprzył i nie chcą, żebyś się o tym dowiedział.

— Ja? Ale... po co? Co ja im mogę zrobić? — miotalem się, szukając właściwych słów. — Chodzi mi o to...

— Wiem, o co ci chodzi, Marcin — przerwał mi. — Nie chcą, żebyś dowiedział się o czymś, co może im zaszkodzić. Czy w twoim otoczeniu nie wydarzyło się ostatnio nic dziwnego?

Uśmiechał się. Czyżby wiedział?

— W ośrodku, w którym pracuję, zamordowano ostatnio dwie osoby... — zacząłem, po czym pod wpływem impulsu opowiedziałem mu o wszystkim, co

wiedziałem. Słuchał mnie uważnie, cmokając fajkę.

— To może być wszystko — westchnął niechętnie, gdy tylko skończyłem. — Coś, co dotyczy tego pożaru albo tej zaginionej dziewczyny... Ufasz swojemu bratu? — spytał niespodziewanie.

Nie zawahałem się ani na moment.

— Jak nikomu innemu — powiedziałem głośniejszym głosem, niż potrzeba. — Jeżeli chcesz mi powiedzieć coś o moim bracie...

— Nie denerwuj się — przerwał mi łagodnie. — Twój brat jest porządnym człowiekiem. Ale pamiętaj. Nikt nie jest idealny.

Przypomniałem sobie opowieść pana Kazika, samowystarczalnego muzyka zespołu „Kobra”. Mój brat w objęciach kryminalisty... Czyżby miał coś wspólnego ze śmiercią Katarzyny Dzwonkowskiej? Tylko jaki byłby motyw? Zabiłby ją dlatego, że chciała go uwieść? Bzdura!

— Wiem, że nikt nie jest idealny — przytaknąłem. — Mój brat na pewno taki nie jest. Ale jestem pewien, że nie zrobiłby nic za moimi plecami. Jeżeliby coś nawywijał, to na pewno bym o tym wiedział.

Uśmiechnął się kpiąco.

— Nie wątpię — stwierdził. — Wcale nie twierdzę, że twój brat w jakikolwiek sposób chce ci zaszkodzić. Ale sam musisz przyznać. Jego postępowanie nie jest zbyt racjonalne.

Przypomniałem sobie bluszcz, po którym Michał zszedł z drugiego piętra. Jego zachowanie skojarzyło mi się z dzisiejszym popisem Siwego, dla którego ucieczka przez okno zakończyła się twardym lądowaniem w śmietniku.

— Twój brat jest bogatym człowiekiem — mówił dalej Felek. — Tacy ludzie nie znikają bez powodu. Mają za dużo do stracenia.

Pokiwałem głową, a potem wbiłem ponury wzrok w gotyckie mury zamku. Zbudowano go w XIV wieku, a dziś stanowił główny symbol miasta. Tymczasem mój starszy kolega nie przestawał mówić.

— Na twoim miejscu najpierw odszukałbym brata. We dwóch byłoby wam łatwiej. Na twoją głowę, a może też na głowę twojego brata, poluje ktoś, kto dużo może.

Jego opis idealnie pasował do prokuratora Mauera. Kiedy Artur powiedział mi o towarzyszącym policji eleganckim mężczyźnie, który na dodatek zadawał tajemnicze pytania, od razu pomyślałem o prokuratorze. Na pierwszy rzut oka pasował idealnie. W nocy, podczas której wybuchł pożar, był na miejscu do samego końca, a później — po pięciu latach — tak prowadził śledztwo, żeby broń Boże nie powiązać śmierci detektywa z prowadzonymi przez niego poszukiwaniami, które dotyczyły, a jakże, tamtego tragicznego pożaru.

— Patryk Mauer — mruknąłem pod nosem, ale Felek pokręcił głową.

— To nie trzyma się kupy. Chyba że znajdziesz motyw. I to zarówno dla wzniesienia pożaru, jak i tego, co dzieje się teraz wokół ciebie. On nie ma powodów, żeby cię nie lubić. Nie lubić do tego stopnia, by tak ryzykować.

Zastanowiłem się. Mauer mógł być do mnie uprzedzony ze względu na grzechy przeszłości, ale to przecież nie on prowadził moją sprawę. „Mój” prokurator od kilku

godzin siedział w policyjnej izbie zatrzymań.

Wzruszyłem ramionami.

— Co za historia — jęknąłem. — Wygląda na to, że zamieszany może być każdy.

— I kto wie, czy tak nie jest... — wtrącił z zadumą Felek.

— Jak?

— Że każdy, o kim wspomniałeś, jest w jakiś sposób umoczony. Weźmy na przykład tego ratownika...

— Grześka?

— Tak, Grześka. Dlaczego policja o niego pyta? Jesteś pewien, że nie spotkałeś się z nim za kratkami?

Wyteżyłem pamięć. Przez moment błąkałem się w myślach po tych wszystkich celach.

— Chyba nie — stwierdziłem, ale wcale nie byłem tego taki pewien. — W każdym razie na pewno się z nim nie poznałem. Ale kto wie? Może nasze drogi gdzieś się przecięły...

Zawiesiłem głos i w milczeniu rozważałem tę możliwość, ale po chwili pokręciłem głową. Chyba jednak się nie spotkaliśmy. Po pierwsze, ufałem swojej pamięci. A po drugie, miałem wrażenie, że pojednanie przed ołtarzem bardzo nas zbliżyło. Gdybyśmy znali się zza krat, na pewno by mi o tym powiedział. Albo chociaż dał jakiś znak.

A on mnie tylko przeproszał.

— Może tu chodzi o wiedzę kogoś, kto wciąż siedzi? — spytałem, ale Felek od razu pokręcił głową.

— Wtedy nie działaliby tak nerwowo. Osadzonego można kontrolować. Kontrola korespondencji, kontrola widzeń... Wszystko jest w aktach. Jeśli baliby się kogoś zza krat, to po prostu przeniesliby go na drugi koniec Polski i objęli kwarantanną.

Od jego gadania rozbolała mnie głowa. Byłem tylko prostym polonistą. Nie aspirowałem do roli analityka.

— W każdym razie jesteś pewien, że od kiedy wyszliśmy z więzienia, nikt o mnie nie pytał? — zapytałem dla porządku, chcąc wreszcie zakończyć te głupie szarady, wrócić nad jezioro i otworzyć zimne piwo.

Pogładził się po brodzie. Miał dość niewyraźny wyraz twarzy. Poczulem niepokój.

— Coś przede mną ukrywasz? — spytałem z wyrzutem.

Załamnął ręce.

— Nie potrafiłbym — szepnął, a potem popatrzył na mnie z naciskiem. — Ale zanim wszystko ci powiem, musisz mi coś obiecać.

Ta drętwa gadka w ogóle do niego nie pasowała.

— Co obiecać? — spytałem z niecierpliwością.

— Że nie weźmiesz do siebie tego, co ci powiem.

Poczulem dreszcze. Staruszek nie ostrzegałby mnie bez powodu. Wiedział, że jestem twardszy, niż mogłoby się wydawać.

— Obiecuję — wymamrotałem.

Przez chwilę szukał odpowiednich słów. A potem znów zaczął mówić o Michale.

— Widzisz, twój brat działa w branży, która przyciąga kryminalistów. Zdarza się,

że ktoś znajomy... wiesz... z tego środowiska... przychodzi do mnie i o niego pyta. Ludzie chcą pracy. Chcą zarobić. I nie ma w tym nic złego, prawda?

— Chyba nie — odpowiedziałem ostrożnie, nie wiedząc, dokąd zmierza.

Drżącą ręką rozpalili wygasłą fajeczkę.

— Ostatnio taki jeden też o niego pytał — poinformował mnie, znikając na chwilę w oparach cuchnącego dymu. — Jakiś miesiąc temu. Myślałem, że chodzi o robotę. Zdziwiłem się nawet, ale skoro chciał znać adres, to mu go podałem. To nie żadna tajemnica, jest dostępny nawet w internecie... Ale teraz, jak o tym myślę, to dochodzę do wniosku, że może wcale nie chodziło o robotę. Ten facet nie nadawał się do żadnej pracy.

— Skąd go znałeś?

— Z dawnych czasów — odparł wymijająco, po czym pyknął z fajeczki. — Tak, mogło mu chodzić o ciebie, chociaż wy się przecież nigdy nie poznaliście...

— Nie siedział w Bartoszczech?

— W Bartoszczech akurat nie... Pytał o twojego brata, a gdy podałem jego adres, od razu się zmył. Mówił, że ma jeszcze coś do załatwienia. Zabrzmiało to tak... biblijnie.

— Biblijnie? — nie zrozumiałem.

— Tak, biblijnie. Widzisz, o jednym ci nie powiedziałem. Ten facet był ciężko chory. To dlatego się zdziwiłem, że niby szuka pracy. Wyglądał tak, jakby chwiał się nad grobem.

— Ale nie mówił nic o mnie?

— Nie. Nazywa się Arek Maciejewski. Mówi ci to coś?

Po raz wtóry w ciągu ostatnich minut przeszukałem zasoby swojej pamięci. I po raz drugi rozłożyłem ręce.

— Pierwsze słyszę. A co mu było?

— Chyba nowotwór. Jakieś paskudne raczysko. Był chudy i miał taką ciemną twarz. Bardzo się zmienił. Nie widziałem go od ponad dwudziestu lat...

Zakląłem. Znów miałem wrażenie, że byłem tak blisko, i znów musiałem pogodzić się z porażką. Ale Felek niespodziewanie dał mi nadzieję.

— Masz kontakt z Bierutem? — zapytał niespodziewanie, a ja odruchowo kiwnąłem głową. — To świetnie. Widzisz, oni się bardzo dobrze znali. Chyba nawet lepiej niż ja i ty. Może on będzie wiedział coś więcej?

Pożegnałem się, życząc mu zdrowia. A potem wróciłem do samochodu i zjechałem z zamkowego wzgórza. Zatrzymałem się na środku rynku, gdzie władze miejskie zorganizowały przestronny parking.

Wojenny los nie był dla Nidzicy zbyt łaskawy. Trzy czwarte miejskiej zabudowy zostało zrównane z ziemią, a odbudowa tylko w niewielkim stopniu uwzględniła historyczny układ przestrzenny miasta. Między zabytkowymi budynkami stały peerelowskie bloki. Widać je było także z rynku.

Wszedłem do księgarni i przez kilka minut przeglądałem książki. Kupiłem w końcu jakiś thriller medyczny i wyszedłem na skąpany w słońcu rynek. Zachciało mi się pić, więc wstąpiłem jeszcze do spożywczego. I to był błąd.

Przy kasie dostrzegłem dwie znajome twarze. Bracia mężczyzny, którego przed pięciu laty pozbawiłem życia, kupowali właśnie alkohol. Na mój widok stanęli jak wryci.

— To będzie razem szesnaście osiemdziesiąt — oznajmiła zmęczonym głosem ekspedientka, podsuwając w stronę swych klientów trzy butelki wina.

Zareagowałem jako pierwszy. Nagle przestałem odczuwać pragnienie. Rzuciłem się do wyjścia i po sekundzie byłem na zewnątrz. Po dwóch sekundach usłyszałem ze środka sklepu wściekły ryk.

Miałem nadzieję, że nieudane polowanie, które zakończyło się doszczętnym wypaleniem łąki, było ostatnim akcentem moich stosunków z braćmi mężczyzny, którego zabiłem. Ale okazało się, że byłem naiwny. Wciąż znajdowałem się na ich liście do odstrzału. Zdałem sobie sprawę, że nie spoczna, póki się nie zemszczą. Na szczęście nie znajdowaliśmy się na bezludziu, tylko w samym centrum piętnastotysięcznego miasteczka.

Przebiegłem przez ulicę i zatrzymałem się przy krawężniku. Wokół mnie cały czas przechodzili ludzie. Wbiłem wzrok w wejście do sklepu. Chciałem, by wyszli. Chciałem z nimi pogadać i skończyć tę wojnę, która była mi potrzebna jak grzybica stóp.

Wypadli na zewnątrz kilka sekund później. Wyglądali na wściekłych. Kłócili się podniesionymi głosami, nie przebierając w słowach. Najwyraźniej sądzili, że uciekłem. Gdy zobaczyli mnie po drugiej stronie ulicy, nagle umilkli.

— Panowie, uspokójcie się — powiedziałem spokojnym głosem, rozkładając ręce w geście wyrażającym brak złych zamiarów. — Chciałbym z wami porozmawiać.

Przez chwilę gapili się na mnie, jakbym był przybyszem z kosmosu. Odniosłem wrażenie, że te wina, które kupowali, to nie była ich pierwsza kolejka. Mieli czerwone twarze i dymiło im się z czaszek. Miałem nadzieję, że alkohol zmiękczył ich na tyle, iż będą bardziej skłonni do kompromisu.

Ale moja nadzieja okazała się płonna. Na moich oczach jeden z mężczyzn wyciągnął zza pazuchy pistolet i oddał w moim kierunku dwa szybkie strzały. Po rynku potoczyło się echo.

Kule gwizdnęły mi gdzieś obok ucha. Odruchowo przykucnąłem, a potem opadłem na kolana. Byłem w szoku. Gdzieś za moimi plecami usłyszałem histeryczny krzyk. Odwróciłem się odruchowo i zobaczyłem, jak starsza kobieta trzyma przed sobą zakrwawioną rękę. Dwie dalsze osoby leżały na chodniku i z przerażeniem w oczach rozglądały się na boki. Ruch na rynku stopniowo zamierał. Coraz więcej osób przystawało i patrzyło na wszystkie strony, mając nadzieję, że to tylko petardy, a nie zamach terrorystyczny.

Ale to niestety nie były petardy. Uzbrojony mężczyzna znów podniósł broń i dwukrotnie pociągnął za cyngiel. Z jego postawy wynikało, że umie strzelać. Gdyby był nieco bardziej trzeźwy, leciałbym już na chmurce w kierunku nieba.

Zerwałem się na nogi i rzuciłem do ucieczki. Wbrew swoim uprzedzeniom pomyślałem o policji, ale komenda — jak na złość — znajdowała się po przeciwnej stronie zamkowego wzgórza. Pobiegłem w stronę parkingów, bo tam było najwięcej ludzi. Liczyłem, że ich obecność powstrzyma bandytów przed otwieraniem ognia, ale po chwili okazało się, że się przeliczyłem. Nad moją głową znów gwizdnęła kula.

Chciałem uciec z otwartej przestrzeni, ale drogę zastąpił mi nagle trzeci z piekielnych braci. Porzuciłem myśl o schronieniu się w jakiejś bocznej uliczce i znów

wypadłem na rynek. Na mojej drodze wyrósł nagle zaparkowany samochód. Niewiele myśląc, wskoczyłem na maskę, a potem odbiłem się od niej, lądując na dachu sąsiedniego auta. Na tle nieba stanowiłem doskonały cel, lecz uzbrojony bandyta wystrzelił już najwyraźniej ostatni pocisk. Gonił mnie wraz z dwoma braćmi, ale na moje szczęście cała trójka poruszała się po bruku, klucząc między zaparkowanymi samochodami. Ja skakałem po ich dachach i dzięki temu coraz bardziej się oddalałem.

Po jednym ze skoków zachwiałem się i — ratując się przed wywrotką — zeskoczyłem na ziemię. Może to był przypadek, a może zadziałała podświadomość — fakty były takie, że gdy tylko moje stopy dotknęły ziemi, zobaczyłem swoją mazdę. Stała tuż przede mną, skierowana przodem w stronę wyjazdu. Niewiele myśląc, chwyciłem za kluczyki, wskoczyłem do środka i uruchomiłem silnik. Goniący mnie bandyci pojawili się nagle we wstecznym lusterku.

Wcisnąłem pedał gazu w podłogę. Opony zapiszczały, a mazda — niczym podcięty ostrogą ogier — ruszyła z kopyta. Jeden z bandytów chciał się rzucić na maskę, ale zdążyłem skrócić, a on zaliczył pusty przelot i z całym impetem upadł na brukową kostkę. Wyminąłem go i wyjechałem z parkingu na drogę.

— Rusz się! — zatrąbiłem na tarasującą przejazd półciężarówkę.

Wyjechałem dwoma kołami na chodnik, wymijając przeszkodę. Dwóch spośród trzech braci wciąż za mną biegło, ale mnie najbardziej niepokoił ten, którego nie widziałem. Miałem już dość niespodzianek. Nie chciałem, by nagle znalazł się tuż przede mną.

Piszcząc oponami, przejechałem przez rondo i wyjechałem z rynku. Dodałem gazu, a goniący mnie mężczyźni szybko zrozumieli, że nie dadzą rady ścigać się z samochodem. Zobaczyłem, jak się zatrzymują — zbyt zmęczeni, by choćby pogrozić mi pięścią. Przejechałem jeszcze kilkaset metrów i wreszcie odetchnąłem z ulgą. Przede mną była „siódemka”. Mogli mi naskoczyć.

Trasa E7 na wysokości Nidzicy zmieniała się w dwupasmową ekspresówkę. Do Mogielna było stąd niecałe trzydzieści kilometrów, a do Gęglówek — położonych nieco w bok — niecałe dwadzieścia. Po wyjeździe z miasteczka wyprzedziłem ciężarówkę i wróciłem na prawy pas. Nagle poczułem się bardzo dziwnie. Serce biło mi jak młot pneumatyczny, a ręce trzęsły się tak, że z trudem trzymałem kierownicę. Zwolniłem do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, a kierowca wyprzedzonej przed momentem ciężarówki wściekle mnie obraził.

Była to zupełnie naturalna reakcja. Siwy — mój kumpel z więzienia — wielokrotnie brał udział w strzelaninach. Opowiadał mi kiedyś, że już po wszystkim zawsze przychodził moment, w którym znajdował się na granicy omdlenia. Ludzki organizm, stając się tarczą strzelniczą, mobilizuje wszystkie siły, by przetrwać. Kiedy zagrożenie mija, wszystkie podzespoły są do tego stopnia przeciążone, że na jakiś czas odmawiają posłuszeństwa.

Trzęsąc się jak staruszek, sunąłem dostojnie prawym pasem, pocąc się przy tym tak, jakbym sam ten samochód popychał. Wiedziałem, że za kilka kilometrów znajduje się zjazd na leśny parking. Zacisnąłem zęby i mozolnie pokonywałem kolejne metry. Nie mogłem się przecież zatrzymać na poboczu drogi ekspresowej!

Radio grało jakąś skoczną melodię, ale dźwięki muzyki wcale do mnie nie docierały. Czuję się tak, jakby od świata oddzielała mnie gruba szyba. Nie zwracałem uwagi na otoczenie. Oprzytomniałem dopiero w momencie, gdy jakiś kretyn zajechał mi drogę i nacisnął hamulec. Szarpnąłem kierownicą w lewo i minąłem go o centymetry. Gdyby ktoś jechał akurat lewym pasem, zostałaby ze mnie mokra plama.

— Uważaj, kretynie — mruknąłem pod nosem, wciąż zbyt roztrzęsiony, żeby dążyć do konfrontacji.

To było stare audi. Tak stare, że moja dwudziestoletnia mazda wyglądała przy nim niczym porsche przy syrence. Gdy je mijąłem, rzuciłem okiem na kierowcę. Popatrzył na mnie, zdejmując przeciwsłoneczne okulary. Zdębiałem.

To wszystko było niczym jakiś zły sen. W przedpotopowym audi siedzieli mężczyźni, którym dopiero co uciekłem.

Dodałem gazu, przeklinając moment, w którym tak się rozluźniłem. Skoro byli tak zdeterminowani (bądź pijani), by ryzykować strzelaninę w środku miasta, to dlaczego mieliby mnie nie gonić? Trzeci brat — podczas gdy dwaj pozostali biegli za mazdą — musiał wrócić po samochód. A dogonić mnie nie było trudno. W końcu wlokłem się jak zółw.

Trzęsawka ustąpiła jak ręką odjął, a adrenalina wyostrzyła mi zmysły do tego stopnia, że widziałem, jak po twarzy ścigającego mnie kierowcy spływa strużka potu. Wcisnąłem pedał gazu i wysforowałem się do przodu. Nie wiedziałem, z jaką prędkością może się poruszać ich audi, ale nie sądziłem, by było w stanie dopędzić moją mazdę. Po kilku sekundach na liczniku miałem sto dwadzieścia kilometrów i wciąż przyspieszałem. Stare audi powoli zostawało z tyłu. A mnie ogarniała coraz większa złość.

Miałem jeszcze dużo benzyny i bez trudu mogłem im uciec, ale to nie rozwiązywało problemu. Wiedziałem, że jeżeli nie dopadną mnie dzisiaj, to za tydzień czy miesiąc spróbują znowu. Poza tym nie chciałem wciąż przed nimi uciekać. Cierpiała na tym moja męska duma. Rozwiązanie nasuwało się samo. Wykręciłem numer do Włodka.

— Co u ciebie tak głośno? — zapytał mój przyjaciel.

Przekrzykując wyjący silnik, naświetliłem mu sytuację. Tak jak się spodziewałem, zaakceptował mój plan bez cienia sprzeciwu. Lubił, jak coś się działo.

— Na pewno nie mają już amunicji? — zapytał. — Bo jakby co, to też mogę wziąć jakąś broń...

Poczułem mdłości. Nie chciałem, by ktoś zginął.

— Nie mają — stwierdziłem, bo gdyby mieli jeszcze naboje, to przecież by do mnie strzelali.

— To jak łowienie ryb — zarechotał Włodek, nawiązując do tego, że będę przynętą. — Podjedź na łąkę za przystanią. O tej porze nie będzie tam żywego ducha. A ja pójdę poszukać Grzeška i tam na was zaczekamy...

Rozłączyłem się i skupiłem wszystkie zmysły na prowadzeniu. Plan był prosty. Chcieliśmy zwabić braci w okolice ośrodka i solidarnie spuścić im łomot. Nie mieli szans. Włodek bił się jak zawodowy bokser, a w zanadrzu był jeszcze ratownik, który — jak zapewniał mnie mój przyjaciel — na pewno nie odmówi pomocy.

Droga była niemal pusta. Prułem sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, a za mną — mniej więcej w odległości pół kilometra — jechało audi. I chociaż trzymało się głównie na rdzy, a z rury wydechowej co jakiś czas wydostawał się kłęb czarnego dymu, to kiedy się już rozpędziło, bez trudu utrzymywało narzucone przeze mnie tempo. Chociaż robiłem wszystko, co w mojej mocy, nie byłem w stanie oddalić się od pogoni na bezpieczniejszą odległość.

W takim tempie pokonanie dziesięciokilometrowego odcinka, który dzielił nas od zjazdu na Gęglawki, zajęło dosłownie chwilę. Ustawiłem się na prawym pasie i odruchowo włączyłem kierunkowskaz. Człowiek jest jednak niewolnikiem wpojonych nawyków — pomyślałem, po czym roześmiałem się nerwowo. Audi ustawiło się za mną i nieco się zbliżyło.

Zjechałem z trasy i z piskiem opon pokonałem ciasny zakręt, a potem skręciłem w połataną drogę. Zielona tablica informowała, że od Gęglawek dzieli mnie jeszcze siedem kilometrów. Wcisnąłem gaz, ale nie dało się tu jechać szybciej niż dziewięćdziesiątką. W każdym razie ja nie umiałem. Audi gnało nieco szybciej i powoli zaczęło mnie doganiać.

Udało mi się płynnie wyprzedzić dwa wlokące się drogą samochody, a audi musiało zwolnić — zyskałem na tym kilkadziesiąt metrów, ale wkrótce roztrwonilem i tę przewagę. Znali tę drogę znacznie lepiej ode mnie. W końcu znajdowaliśmy się niedaleko Nadrowa. W prostej linii było tam bliżej niż do Gęglawek. Wykorzystywali znajomość każdego zakrętu i po kilometrze siedzieli mi już na ogonie. Byli tak blisko, że w pewnym momencie poczułem uderzenie w tylny zderzak. Mazdą lekko zarzuciło, a ja cały się spościłem. Dotarło do mnie, że moi przeciwnicy są szaleni. I nie mają nic do stracenia.

Nie miałem innego wyjścia. Musiałem zaryzykować. Wcisnąłem gaz nieco mocniej i wskazówka prędkościomierza przesunęła się w prawo, dotykając setki. Znow udało mi się oddalić od nich na kilka metrów, ale na kolejnym zakręcie tak mną zarzuciło, że niewiele brakowało, a wypadłbym z drogi. Zagryzłem wargi niemal do krwi i chwyciłem kierownicę jeszcze mocniej. Pokonałem kolejny zakręt, a potem z całej siły wcisnąłem pedał hamulca.

Opony zapisały, a mazda obróciła się o niemal dziewięćdziesiąt stopni, jakimś cudem utrzymując się na asfalcie. Skontrolowałem kierownicą i znow zwróciłem się przodem do kierunku jazdy. Wytraciłem połowę prędkości i zdążyłem wyminąć przeszkodę, niemal się o nią ocierając.

Połowa jezdni była zagrodzona. Tablica informowała, że trwają roboty drogowe, ale w zasięgu wzroku nie było żadnego robotnika. Na wyłączonym z ruchu pasie asfalt był częściowo zdarty. Ziały w nim głębokie na kilkanaście centymetrów dziury.

Kierowca audi nie miał aż takiego refleksu. Być może spowalniał go alkohol. Dość powiedzieć, że nie zdążył zahamować i z całym impetem wpadł na barierkę. Przednia szyba rozsypała się na kawałki, ale on wciąż jechał. Podwozie uderzyło w nierówną nawierzchnię z taką siłą, że aż posypały się iskry. Wyhamowałem i patrzyłem na to z otwartymi ustami.

Audi z głośnym szczęknięciem otarło się o bok mazdy, po czym przekoziółkowało i poleciało na pobocze. Niestety bezkresne łąki już jakiś czas temu ustąpiły miejsca

staremu drzewostanowi. Samochód jakimś cudem minął dwie potężne sosny, ale trzeciej nie mógł już uniknąć. W powietrzu poniósł się potężny huk rozrywanego i miażdżonego metalu. Zamknąłem oczy, a gdy je otworzyłem, audi leżało kołami do góry, w połowie zasłonięte połamanymi gałęziami. Jedno z kół wciąż się kręciło.

Drżącą nogą wcisnąłem gaz i potoczyłem się te kilkadziesiąt metrów. Mazda dziwnie podskakiwała, ale nie zwracałem na to uwagi. Zaparkowałem na wysokości miejsca, gdzie leżało audi. Wysiadłem i zataczając się jak pijany, podszedłem do wraku.

Na pierwszy rzut oka audi wyglądało na nieuszkodzone. Ta strona, która była widoczna z miejsca, w którym stanąłem, nie zaliczyła spotkania z drzewem. Schyliłem się i zajrzałem przez pęknięte okno. Kierowca wciąż zaciskał ręce na kierownicy, a z jego rozbitej głowy kapała krew.

Gdzieś czytałem, że jeżeli ktoś krwawi, to nie może być martwy. Szarpnąłem za klamkę, a drzwiczki — ku mojemu zdziwieniu — otworzyły się tak łatwo, jakby nic nie zaszło. Ciało kierowcy było unieruchomione, ale z wnętrza auta wytoczyło się coś okrągłego. Zerknąłem w dół i o mało nie zwymiotowałem. Pod moimi stopami leżała ludzka głowa z otwartymi w niemym krzyku ustami. Wytrzeszczone oczy zdawały się patrzeć na mnie z urazą.

Odskoczyłem i przeniosłem wzrok na tylną kanapę. Trzeci z braci miał więcej szczęścia. Cicho łkał, trzymając się za złamaną paskudnie nogę. Z ulgą skonstatowałem, że przynajmniej jego nie będę mieć na sumieniu.

Nic nie wskazywało, by samochód — tak jak działo się to w filmach — miał zamienić się zaraz w kulę ognia. Rzuciłem ostatnie spojrzenie leżącej w mchu głowie, a potem biegiem wróciłem do mazdy. Była przekrzywiona. Kolizja z audi pozbawiła ją opony. Drżącą ręką wyjąłem ze środka telefon i wykręciłem numer alarmowy. Z telefonem przy uchu wyciągnąłem trójkąt i rozstawiłem go dwadzieścia metrów za mazdą.

— Pogotowie? — wrzasnąłem, gdy po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos. — Na drodze z „siódemki” do Gęglawek doszło do wypadku. Jedna osoba nie żyje, dwie są ciężko ranne...

Rozłączyłem się i w tym samym momencie usłyszałem silnik zbliżającego się samochodu. Domyśliłem się, że to któreś z wyprzedzonych przez nas aut. Nie czekałem, aż się pojawi. Wsadziłem telefon do kieszeni i rzuciłem się w kierunku drzew. Po kilku chwilach byłem już w lesie.

Byłem już świadkiem czyjejś gwałtownej śmierci, ale wtedy wyglądało to tak niewinnie... Jeden cios, potem drugi... Ciało opadające na śnieg, a zaraz potem krzepiący widok karetki pogotowia. Teraz było zupełnie inaczej. Brutalność, z jaką jeden z braci stracił życie, wstrząsnęła mną tak jak gigantyczny shaker. Nie myślałem nawet o dwóch pozostałych, z których jeden wyglądał na półżywego. Wystarczył obraz tej jednej, oderwanej od tułowia głowy. Obraz, który wypełniał całą wyobraźnię i z każdą sekundą wpędzał mnie w szaleństwo.

Błąkałem się po lesie, tracąc poczucie czasu. Każdy lekarz zdiagnozowałby u mnie szok pourazowy, ale ja nie zdawałem sobie sprawy ze swojego stanu. Co chwilę wibrowała mi komórka, ale nawet nie pomyślałem, by ją odebrać. Dzwonił Włodek,

Karolina, Ilona i mój szef. Chwilowo nie miałem im nic do powiedzenia.

Trafiłem w jakąś obcą część lasu, ale nawet tego nie zauważyłem. Do przytomności przywrócił mnie dopiero deszcz. Nad okolicą przetoczyła się ulewa. Zimne strugi lejącej się z nieba wody sprawiły, że nieco oprzytomniałem.

Wraz z powrotem do zmysłów zacząłem odczuwać strach. Znowu było tak jak przed laty. Znowu przeze mnie zginął człowiek. A ja tak bardzo nie chciałem wrócić za kraty!

Usiadłem na przewróconym jakąś wichurą drzewie i skryłem twarz w dłoniach. Popadłem w coś na kształt odrętwienia, z którego wyrwał mnie jakiś zwierzęcy ryk. Poczulem atawistyczny lęk. Dźwięk był straszny. Zdawał się wydobywać z gardła samego diabła.

Przemogłem się i poszedłem w stronę, z której dobiegał. Ryki były coraz wyraźniejsze. Doszedłem do wniosku, że wydawał je człowiek, ale nie byłem w stanie wychwycić poszczególnych słów. Na wszelki wypadek schyliłem się i podniosłem z ziemi potężny kij. Przydał mi się już po kilku sekundach. Dzięki niemu nie upadłem.

Na niewielkiej polanie wznosiło się pojedyncze drzewo. Było dziwnie pokręcone — tak jakby przed laty, gdy było małe, ktoś się nad nim znęcał. Zdawało się wyrastać z dywanu mchu, którym pokryta była polanka. Na jego najniższej gałęzi wisiał człowiek. Wiatr bujał nim niczym zawieszoną na płocie kukiełką.

Chciałem się zatrzymać, ale nie mogłem. Jakaś siła pchała mnie w kierunku tej makabrycznej polanki. Podeszedłem do drzewa i obróciłem zwłoki ku sobie. Z góry spjrzała na mnie alabastrowa twarz Grzeška, pokryta strużkami zaschniętej krwi. Przelknąłem ślinę, przypominając sobie jego synów. Chociaż go nie lubiłem, chciało mi się płakać.

Tym razem nie byłem pierwszym, który odkrył zwłoki. Na skraju polany chwiał się jakiś mężczyzna. Gdy mnie dostrzegł, jego oczy rozjarzyły się mrocznym blaskiem.

— To przez ciebie — wychrypiał, a ja się domyśliłem, że to on tak wył. — Po co wracałeś?!

Poznałem go po złamanym nosie. To on kierował karetką, która wczoraj zabrała mojego brata. I to jego wypatrzyłem na zdjęciu z pogrzebu Kate Dzwonkowskiej. Wiedziałem, że był pracownikiem szpitala. I nic poza tym.

— Kim jesteś? — spytałem, nie zwracając uwagi na jego złość.

Po jego zdeformowanej twarzy sływał deszcz. Ten widok przywołał inne wspomnienie. Ciemna noc, światła pędzącej ciężarówki... To on lazył za mną tej nocy, kiedy wracałem z prokuratury!

Miałem tego wszystkiego po dziurki w nosie. Podeszedłem do niego i złapałem go za koszulę.

— Zabiję cię — warknął i podniósł rękę, ale z łatwością sparowałem jego cios.

Pewnie każdego innego dnia byłby trudnym przeciwnikiem, ale teraz sprawiał wrażenie przygniecionego ogromnym ciężarem. Zrozumiałem, że śmierć Grzeška wstrząsnęła nim jeszcze bardziej niż mną. Ale miałem gdzieś jego uczucia.

— Dlaczego za mną łaziłeś?! — wydarłem mu się do ucha. — I czego teraz ode mnie chcesz?

Wyrwał się z uścisku i znowu próbował mnie uderzyć. Na ustach pojawiła mu się

piana.

— Po co wracałeś, ty frajerze? — wycedził. — To wszystko przez ciebie. Trzepnąłem go w ucho, żeby choć trochę rozładować buzującą we mnie złość.

— Co „przeze mnie”?

— Wszystko. — Przewrócił oczami jak szalowiec i trafił mnie pięścią w nos.

Padłem na posłanie z miękkiego mchu. Świat przez chwilę tańczył mi przed oczami. W ostatnim momencie dostrzeg-łem pędzący ku mojej głowie but. Skuliłem się i udało mi się uniknąć kopnięcia, ale mężczyzna szykował się do kolejnego ciosu. Nie doceniłem go. Może i był załamany, ale to nie czyniło go mniej groźnym. Kompletnie nad sobą nie panował. Zrozumiałem, że walczę o życie.

Zdołałem wstać i wykonać kilka głębokich oddechów. Świat przestał tańczyć i znów stał na swoim miejscu. Otarłem kapiącą z nosa krew i popatrzyłem na swojego przeciwnika z taką samą nienawiścią, z jaką on patrzył na mnie.

— Nazywasz się Boniecki, tak? — spytałem w przebłysku zrozumienia. — Jesteś bratem Grzeška?

Ruszył w moją stronę, rozkładając ręce.

— Byłem bratem Grzeška — powiedział, kładąc nacisk na pierwsze słowo. — Stryjecznym...

Usiłował znów uderzyć mnie w nos, ale tym razem się poślizgnął. Poleciał w moją stronę, a ja odruchowo podnios-łem kolano. Trafiłem go prosto w skroń. Usiadł na ziemi, nie wiedząc, co się dzieje.

Zamachnąłem się pięścią, ale nie wyprowadziłem ciosu. Nie było takiej potrzeby. Wyglądał na zamroczonego. Popchnąłem go, a on posłusznie położył się na ziemi. Przekręciłem go na brzuch i z tylnej kieszeni spodni wyjąłem jego portfel. Nie chciałem go obrabować. Sięgnąłem do właściwej przegródki i wyjąłem dowód osobisty. W rubryce z nazwiskiem stało jak byk. Boniecki. Damian Boniecki.

Poklepałem go po policzku. Otworzył oczy i przez chwilę usiłował skupić na mnie wzrok. Doszedłem do wniosku, że nic mu nie będzie. Jego pokiereszowana twarz wskazywała na to, że obrażenia głowy to dla niego nie pierwszorzędne.

— Dla kogo pracujesz? Dla prokuratora? — spytałem, ale on tylko uśmiechnął się zadziornie i wy dobył z ust kilka bełkotliwych przekleństw.

Zostawiłem go pod drzewem, na którym wciąż wisiał jego kuzyn. Ruszyłem przez las bez żadnego planu działania. Czułem się trochę jak trędowaty. Gdziekolwiek się pojawiłem, tam natykałem się na zwłoki.

Nogi same poniosły mnie przed siebie. Telefon dzwonił niemal przez cały czas, ale wciąż go ignorowałem. Najczęściej próbowała się ze mną łączyć Karolina. Zastanawiałem się, czy jej zainteresowanie moją osobą nie wynikało z prokuratorского nakazu. Nie zdziwiłbym się, gdyby po śmierci mężczyzny ze starego audi (tego, który... stracił głowę) prokurator kazał mnie zatrzymać. Cóż, pan Mauer na pewno nie zaliczał się do moich przyjaciół...

Błąkałem się przez jakiś czas po leśnych ostępach, aż wreszcie dotarłem do miejsc, które znałem. Teren stał się bardziej pofałdowany, a drzewa rosły trochę rzadziej. Wiedziałem, że przede mną rozciąga się jezioro, a po lewej wznoszą się bunkry.

Odruchowo poszedłem w lewo. Bunkry przyciągały mnie niczym magnes, a poza tym idąc w ich kierunku, oddalałem się od Gęglawek. Było mi to na rękę. Nie byłem jeszcze gotowy na powrót i stawienie czoła wymiarowi sprawiedliwości.

Ten fragment lasu miał w sobie coś ponurego. Drzewa były tu starsze i jakby powykręcane, a piętro podszycia tak gęste, że nie zapuszczali się tutaj nawet najbardziej zdesperowani grzybiarze. Nieraz się zastanawiałem, czy pod rozłożystymi paprociami nie pozostał jakiś śmiertcionośny niewypał lub wręcz mina pułapka. Zawsze chodziłem tutaj z duszą na ramieniu. Posępne bryły bunkrów potęgowały uczucie zagrożenia. Odnosiło się wrażenie, że lada chwila wyskoczy z nich jakiś odhibernowany esesman.

Atmosfera tego miejsca działała nie tylko na ludzi, ale i na ptaki. Prawie ich tutaj nie było. Jedynym ptasim dźwiękiem było tu pohukiwanie sowy.

Chciałem odnaleźć bunkier, przy którym odkryłem poprzednim razem coś, co wyglądało jak wejście do grobowca. Ale wszystkie były do siebie podobne. Chodziłem bezradnie w kółko, wyczerpując wzrok. Osiągnąłem tyle, że w końcu wpadłem po pas w pokrzywy.

Zniechęcony postanowiłem wdrapać się na dach jednego z bunkrów. Znalazłem odpowiednie miejsce i po chwili byłem na górze. Na dachu rosły zdziczałe krzaki jeżyn. Ruszyłem przez nie, uważając, by się nie podrapać. Gdy doszedłem do centralnej części bunkra, gwałtownie się zatrzymałem. Pod moimi nogami dostrzegłem otwarty właz.

Nachyliłem się nad nim, ale wewnątrz było tak ciemno, jak na dnie filizanki z kawą. Z otworu buchał odór wilgoci i stęchlizny. Nawet nie próbowałem tam wchodzić. Nie byłem aż tak odważny. Zamiast ryzykować, znalazłem miejsce, w którym nie rosły jeżyny, ułożyłem się na nagim betonie i wbiłem wzrok w niebo, prześwitujące pomiędzy koronami drzew. Było szare i smutne.

Leżałem tak przez kilka minut i w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że w okolicy jest ktoś jeszcze. Usłyszałem wyraźny odgłos łamanych gałązek, a potem charakterystyczny dźwięk zapalniczki. Z tego, co wiedziałem, zwierzęta nie używały zapalniczek. Mogłem co prawda ulec złudzeniu, ale...

Pociągnąłem nosem, wyczuwając zapach dymu. Zwierzęta na pewno nie palą papierosów.

W głębi serca liczyłem, że tak jak dwukrotnie przedtem, spotkam tu burmistrza. Ale to nie był Adaś. Znałem go od dwudziestu lat i wiedziałem, że nigdy nie palił. Uważając, by nie narobić hałasu, podpełzłem do krawędzi bunkra.

Zapach nikotyny był coraz silniejszy. Wychyliłem ostrożnie głowę i po chwili dojrzałem ludzką postać. Palacz stał oparty o ścianę bunkra. Nie widziałem go wyraźnie, bo między nami rósł potężny modrzew.

Podkradłem się w jego stronę, ale gdy okrążyłem modrzew, wyrzucił niedopałka i ruszył przed siebie. Uznałem, że dość już zabawy w kotka i myszkę. Podniosłem się i podbiegłem do krawędzi. Chciałem krzyknąć, lecz było to zbyteczne.

Odgłos moich kroków sprawił, że tajemnicza postać podskoczyła, a potem odwróciła się do mnie twarzą i popatrzyła prosto na mnie. W jej oczach pojawiło się zaskoczenie, ale jeszcze bardziej zaskoczony byłem ja. Spodziewałem się każdego, ale nie jej. Miałem ochotę poprosić, by ktoś mnie uszczypnął.

— Ilona? — wyjąkałem. — Co ty tu robisz?

Na jej twarzy na moment pojawiło się zmieszanie, które jednak szybko ustąpiło miejsca bezbrzeżnemu smutkowi.

— Dobrze, że jesteś — powiedziała po cichu.

Spodziewałem się pytań, ale moja obecność w tym miejscu — po chwili początkowego zaskoczenia — zdawała się jej nie dziwić. Ilona zachowywała się tak, jakbyśmy się spotkali w miejskim parku. Albo raczej — biorąc pod uwagę jej wilgotne oczy — na miejskim cmentarzu. Wyciągnęła do mnie rękę.

— Chodź ze mną — poprosiła miękko.

Zeskoczyłem z bunkra i dałem się jej poprowadzić. Powiodła mnie wprost do miejsca, którego szukałem. Zeszliśmy po zmurszałych schodkach i przykucnęliśmy przed mosiężnym krzyżem i bukietem polnych kwiatów. Zauważyłem, że były zupełnie świeże.

— To... grób? — spytałem szeptem, czując, że coś ściska mnie w gardle.

Ilona pokiwała głową. Jej policzki były suche, ale wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać. Poczulem, jak po kręgosłupie przechodzą mi ciarki.

— Spotkałem tutaj Adasia... To było trzy dni temu.

Myślałem, że się zdziwi, ale znów kiwnęła głową.

— Wiem — szepnęła.

Przez moment próbowałem sobie przypomnieć, czy jej o tym mówiłem. Wydawało mi się, że nie, ale w ostatnich dniach działo się tak dużo, że mogło mi to umknąć.

— Wiem to od Adasia — dodała, a ja popatrzyłem na nią w zdumieniu. Nie miałem pojęcia, że się znali.

— Kto jest tu pochowany? Jakiś żołnierz? — spytałem, ale Ilona tym razem nie przytaknęła. Patrzyła na mnie tak, jakbym wygłosił jakiś niesmaczny żart.

— No coś ty... — powiedziała wreszcie. — Jaki żołnierz? To grób...

— Zaczekaj! — tuż za plecami usłyszałem męski głos. — Ja mu o tym powiem.

Odwróciłem się błyskawicznie i stanąłem oko w oko z Adasiem. Wyglądał fatalnie. Jego ubranie zwisało w strzępach, a twarz była ciemna od brudu.

— Co mi powiesz? — spytałem łagodnie, bo sprawiał wrażenie tak napiętego, jakby zaraz miał pęknąć.

Podciągnął się na rękach i wszedł na dach bunkra. Ruszyłem za nim. Zatrzymaliśmy się nad takim samym włazem, jaki oglądałem na sąsiednim bunkrze.

— To twoja kryjówka? — spytałem domyślnie, a on skinął głową. — Tylko dlaczego się ukrywasz? I co łączy cię z Iloną?

Usłyszałem za sobą trzask łamanej gałązki. Ilona nie miała zadatków na trapera.

— Co nas łączy? — mruknęła, nie patrząc mi w oczy. — W zasadzie nic. Poza tym, że mamy ze sobą dziecko.

W ciszy, która zapadła, usłyszałem bicie swojego serca. Walilo o wiele za szybko.

— Ale... Twoja żona... — wydusiłem z siebie, zwracając się do Adasia.

— Nic nie wie — mruknął, patrząc na czubki swoich butów. — Ilona chciała je urodzić i zgodziłem się... pod warunkiem że moja żona o niczym się nie dowie.

Jego słowa wydały mi się szczytem chamstwa. Łaskawie się zgodził, by nie przerwała ciąży... Spojrzałem na Ilonę. Spodziewałem się, że go spoliczkuje, ale

zadowolili się jednym miażdżącym spojrzeniem.

— On tego nie łapie — westchnęła. — Myśli, że zachował się szlachetnie...

Nie chciałem już więcej tego słuchać. Popatrzyłem na nich pustym wzrokiem.

— Nie interesuje mnie wasze dziecko. Chcę wiedzieć, dlaczego tu razem jesteście.

Ilona skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała znacząco na Adasia.

— Mów — powiedziała, a jej oczy znów wypełniły się łzami.

Adam przez chwilę zbierał myśli.

— Od wczorajszego wieczoru siedziałem w lesie i byłem już bardzo głodny — zaczął. — Nie chciałem ryzykować powrotu do domu. Nie jestem głupi. Gdy zginął Cezary... wiedziałem, że policja powiąże fakty i prędzej czy później się mną zainteresuje. Dlatego poszedłem do Ilony. A ona akurat była w domu...

— Wpadłam na chwilę do córki — weszła mu w słowo Ilona. — Miałam już wychodzić i wtedy zjawił się on. Był w takim stanie, że aż się przestraszyłam. Zażądałam wyjaśnień, a on przyprowadził mnie tutaj...

Adam zaczął płakać. Nie lubiłem widoku płaczących mężczyzn.

— Ale co tu jest? — spytałem, chwytając go za ramię. — Kto tu jest pochowany? Jakiś twój krewny?

Oparł czoło o moją pierś i przez chwilę trwał w tej pozycji, wstrząsany szlochem. Ilona wyglądała tak, jakby zaraz miała zemdleć. Patrzyła z lękiem na włącz do bunkra. Popatrzyłem tam, gdzie ona, i odniosłem wrażenie, że nad włazem unoszą się muchy. Zrobiło mi się niedobrze. Nasze spojrzenia znów się spotkały, ale tym razem tylko na moment.

— Przed chwilą mi to wszystko opowiedział. Nie mam zamiaru słuchać tego jeszcze raz — oznajmiła, po czym oddaliła się szybkim krokiem.

Czekałem cierpliwie, a Adaś wreszcie się opanował. Przynajmniej na tyle, bym mógł go zrozumieć. Jego głos wydawał mi się dziwnie odległy.

— Jesteśmy na grobie Aliny Janeczek — powiedział. — Zabiłem ją tamtej strasznej nocy, pięć lat temu...

O ile pierwsza część jego wypowiedzi nie była dla mnie wielkim zaskoczeniem, o tyle druga wpędziła mnie w stan szoku.

— Co? — wyjąkałem, cofając się o krok.

Morderca zaginionej przed laty dziewczynki wyglądał tak, jakby się postarzał o dziesięć lat. Jego ręce drżały jak w febrze.

— Posłuchaj... — zaczął, po czym przeniósł mnie w sam środek wydarzeń, które przez ostatnie dni nie dawały mi spać.

Było tak gorąco, że koszula lepiła mu się do pleców. Płasał na parkiecie w rytm starego przeboju „Varius Manx”, cały czas rozglądając się na boki. Szukał wzrokiem dwóch kobiet. Jedną z nich była jego żona, której od samego początku imprezy starał się unikać. A drugą Kate Dzwonkowska — obiekt jego sennych marzeń. Ale na sali było pusto. Jedyne długie włosy w zasięgu wzroku należały do muzyka z zespołu „Kobra”.

Był podenerwowany. Robił wszystko, by namówić żonę do zostania w domu, ale ona się uparła, żeby mu towarzyszyć. Kate nie była tym zachwycona. Planowali ten wieczór od dawna, a teraz nic nie szło tak, jak powinno. Rafał — ten konował ze szpitala,

a prywatnie jej mąż — wciąż był na chodzie, chociaż wlał w siebie już co najmniej pół litra wódki. Żona Adasia, która nigdy nie wylewała za kołnierz, dziś jak na złość prawie nie piła i prawie go nie odstępowała. A do tego ten upał... Wysysał z ludzi resztki energii i odbierał chęć do zabawy.

Pan Kazik z „Kobry” skończył grać Księżycową piosenkę i ogłosił krótką przerwę. Adaś wyszedł na zewnątrz, dołączając do kilku palaczy. Sam nie palił, więc dym szybko go zmęczył. Nie mogąc chwilowo zlokalizować Kate, postanowił się przejść po ośrodku.

Idąc ciemną alejką, pomacał się po kieszeniach. Miał wszystko. Klucz od położonego najbardziej na uboczu domku, opakowanie prezerwatyw i szczoteczkę do zębów. Wraz z żoną zajmowali pokój w głównym budynku, ale nie zamierzał tam spać. Chciał zrzucić swą nieobecność na karb zgubnych skutków nadmiernego pijaństwa. Marzył o chwili, w której rzuci się na Kate. Nie spali ze sobą od dobrego miesiąca.

Nie martwił się, że żona będzie go podejrzewać o wiarołomstwo. Przeszła już tyle, że przestała sobie zawracać głowę jego przelotnymi miłostkami. Wystarczyła jej świadomość, że po wszystkim do niej wracał. Ale teraz miało być inaczej. Z Kate nie chodziło tylko o seks. Była pierwszą kochanką, do której czuł coś więcej. Gdyby nie lęk o karierę polityczną, już dawno odszedłby dla niej od żony.

O ile w ogóle by tego chciała. Bo uczucia Kate stanowiły dla niego ekscytującą tajemnicę. Nie wiedział, czy zależy jej na nim tak mocno, jak jemu na niej. Dodawało to ich związkowi pikanterii, ale na dłuższą metę mogło być męczące.

Tak naprawdę cały czas go zaskakiwała i nie zawsze był tym zachwycony. Jej zniknięcie przyprawiało go o mdłości. Po raz ostatni widział ją godzinę temu. A godzina to było dużo czasu. Znał jej temperament. Bał się, że wystawiła go do wiatru i poszła do łóżka z kimś innym. Była do tego zdolna, ale on wciąż ją kochał. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, był pod tym względem podobny do jej męża.

Przechodził akurat obok recepcji, gdy niespodziewanie ją zobaczył. Jego serce zabiło mocniej, bo nie była sama. Obok niej stał mężczyzna. Wyglądało na to, że go adorowała, ale on niespodziewanie ją odepchnął i ruszył przed siebie. Po chwili znalazł się koło Adasia.

— Co jej zrobiłeś? — zapytał zaczepnie burmistrz, ale mężczyzna nie podjął rzuconej rękawicy. Interesowało go coś innego.

— Nie widział pan jej męża?

W jego głosie wściekłość mieszała się z niepokojem. Adaś przyjrzał mu się uważnie. Rysy twarzy były jakby znajome.

— Jakiś czas temu kręcił się w okolicach stołówki — mruknął w odpowiedzi.

Chciał o coś spytać, ale nie zdążył. Mężczyzna zniknął tak szybko, jakby w ogóle go nie było. Nie miał na sobie wieczorowego stroju. Wyglądało na to, że zjawił się tu przypadkiem. Adaś przez chwilę wysilał pamięć i nagle sobie przypomniał, skąd znał tę twarz.

Mężczyzna, który pytał o Rafała Dzwonkowskiego, był nauczycielem w liceum. Chyba wuefistą.

Adaś nie myślał o nim dłużej. Podbiegł do Kate i porwał ją na rękę.

— Gdzie ty się podziewałaś? — zapytał, a ona pisnęła i objęła go w pasie udami.

— *Upijałam mojego męża — odpowiedziała, śmiejąc się zmysłowo. — Już niewiele mu brakuje.*

Wrócili na parkiet. Adaś zauważył, że Dzwonkowski rozmawia z jego żoną. Nie miał nic przeciwko temu. Tańczył naprzeciwko Kate, pożerając ją wzrokiem. W końcu złapała go za rękę.

— *Teraz — mruknęła zmysłowo. — Nikt nie patrzy.*

Wymknęli się z sali i pobiegli w kierunku samotnej „Brdy”, śmiejąc się jak nastolatki. Dwie minuty później byli już nadzy.

— *Tak długo na to czekałem — wyszeptał Adaś, ściskając w dłoni jej nabrzmiałą pierś.*

* * *

Spał, śniąc o tym, co przed chwilą robili w łóżku. Seksualny maraton doszczętnie go wykończył. Ocknął się dopiero na odgłos krzyków. Usiadł w łóżku, mrugając oczami. W drzwiach pokoju zobaczył dwa szamoczące się ze sobą cienie.

— *Kto tam?! — spytał, wciąż nie do końca rozbudzony.*

Odpowiedziało mu milczenie. Przetarł oczy i dopiero w tym momencie przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Sięgnął ręką i dotknął nagiego ramienia leżącej obok Kate.

— *Słyszałaś? — zapytał, lekko nią potrząsając.*

Leżała jak kłoda, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Wiedział, że miała twarde sen, ale bez przesady. Szarpnął nieco mocniej, coraz bardziej zdziwiony.

— *Kate! Obudź się!*

Nie reagowała. Czyżby była aż tak pijana?

Sięgnął ręką do lampki nocnej. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył w jej różowym świetle, był leżący na koldrze nóż. Z przerażeniem uświadomił sobie, że był lepki od krwi. Popatrzył na swe zakrwawione ręce i zrobiło mu się słabo. A potem przeniósł wzrok na leżącą obok kobietę i zaczął krzyczeć.

— *Zamknij się! No już, ciszej! — głos Patryka Mauera drżał z emocji. Adaś wciąż się darł, więc prokurator wymierzył mu policzek. — Zamknij ryj! Chcesz, by wszyscy się tu zlecieli?*

Adaś zamilkł i przez chwilę walczył, by nie zemdleć. Ale kolejne słowa Mauera sprawiły, że nieco oprzytomniał.

— *Jak wytłumaczysz się z tego wyborcom?!*

Pomyślał o latach lizania partyjnych tyłków, dzięki któremu był teraz tu, gdzie był — na początku obiecującej kariery politycznej. Nie chciał tego wszystkiego tracić. A nie potrafiłby przekonywająco wyjaśnić, co o trzeciej nad ranem robił w łóżku kobiety słynącej z rozwiązłości. W dodatku zupełnie nagi...

Stanął chwiejnie, walcząc z zawrotami głowy. Kate miała otwarte oczy. Była martwa. Nóż przebił gardło i zatrzymał się dopiero na kręgosłupie. Wpatrywał się przez chwilę w ziejącą w szyi dziurę, a potem pochylił się i wymiotował.

— *Wyjdź stąd — rozkazał Mauer, a gdy Adaś nie zareagował, siłą wyprowadził go z domku, zgarniając z krzesła jego ciuchy. — Możesz prowadzić?*

Adaś odruchowo pokiwał głową, wciągając w pośpiechu spodnie. Ucieczka wydała

mu się najsensowniejszym wyjściem z sytuacji. A skoro namawiał go do niej sam prokurator...

— Nie wsypie mnie pan? — zapytał belkotliwie.

W tym momencie obaj podskoczyli, bo tuż obok nich rozległ się kobiecy głos. Adaś odwrócił się na pięcie i ku swojemu przerażeniu zobaczył zbliżającą się Marysię.

— Gdzie jest Michał? — zapytała kobieta.

Wyglądała na pijaną, ale z tego, co wiedział, nigdy nie nadużywała alkoholu. Popatrzył bezradnie na prokuratora. Teraz nie mógł się już wykręcić ucieczką.

Ale prokurator zachował spokój. Rozejrzał się dookoła, bezskutecznie wypatrując innych świadków, a potem podszedł do Marysi i objął ją ramieniem.

— Jesteś zmęczona — mruknął, patrząc jej w oczy. — Adam odwiezie cię do domu. Odwieź ją, dobrze? — zwrócił się w kierunku burmistrza, popychając kobietę w jego stronę.

Adaś oczekiwał pytań, ale Marysia milczała. Była kompletnie skołowana. Czuć było od niej alkohol. Oparła się o jego ramię i znów zapytała o swojego męża.

— Michał śpi — oznajmił stanowczo prokurator. — Jedźcie już. I nikomu ani słowa...

Burmistrz powiódł Marysię do swojego samochodu i usadowił ją na tylnej kanapie. Usnęła, zanim uruchomił silnik. Wrzucił bieg i podjechał do bramy. Przez dłuższą chwilę mocował się z kłódką, aż w końcu zdał sobie sprawę, że jest otwarta. W tym samym momencie dotarło do niego, że wciąż jest podпиты. Nie powinien prowadzić, ale nie bardzo miał inne wyjście.

I wtedy popełnił największy błąd w swoim życiu. Zamiast jechać do głównej drogi, postanowił wrócić do Mogielna przez las. Wyjechał z ośrodka i skręcił w kierunku wsi. Nad ośrodkiem unosiła się już luna pożaru, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

Nie włączając świateł, gnał przez pogrążone we śnie Gęglawki. Tragedia wydarzyła się tuż przed lasem. Samochód nagle podskoczył, tak jakby przejechał po leżącym na jezdni pniu. Ale to nie był pień.

— Alina! — Wrzask poniósł się w kierunku ściany lasu i odbiwszy się od niej, wrócił z wielokrotnioną. — Alina? Nie!!!

Adaś zahamował i wyskoczył z samochodu, odwracając się do tyłu. Zapalił latarkę i w jej świetle zobaczył na środku drogi klęczącego nauczyciela. Nogi drżały mu tak mocno, że ledwo stawiał kroki. Zbliżył się powoli i nagle sam osunął się na kolana. Dostrzegł, że nauczyciel trzymał w dłoniach bezwładną rękę dziewczyny.

— Przepraszam — wyjąkał, przypominając sobie imię nauczyciela. — Przepraszam, panie Czarku...

— Nie żyła? — spytałem, zagryzając wargi.

— Nie żyła — potwierdził Adam, ocierając oczy chusteczką. — Włożyłem jej ciało do bagażnika i razem z Cezarym pochowaliśmy ją wewnątrz tego bunkra. Przysypaliśmy ją gruzem. Jej zaginięcie zgłoszono dopiero po kilku dniach. Policja przeczesywała cały las, ale nikt jej tutaj nie szukał. W końcu sprawa zaginięcia została umorzona i pomału wszyscy o niej zapomnieli. Wszyscy oprócz mnie...

Wyglądał okropnie. W jego oczach było tyle bólu, że niewiele brakowało,

a zacząłbym mu współczuć. Ale to nie on zasługiwał na współczucie. Zasługiwała na nie tylko Alina. Najpierw uwiedziona przez zbrodnicę, a potem zabita przez zepsutego karierowicza.

Miałem ochotę dać mu po mordzie, ale to byłoby za mało. We wzroku Ilony, która pojawiła się obok mnie, też nie było cienia współczucia. Jej oczy wyglądały jak lodowe sztylety.

— Dlaczego Cezary na ciebie nie doniósł? — zapytała głosem zimniejszym od grudniowego wiatru.

Adam zadrzał. Popatrzył na nią jak zagubione dziecko.

— Był nauczycielem, który wdał się w romans z szesnastolatką — odezwałem się zamiast niego. — Nie chciał, by to się rozniosło. Gdyby zgłosił ten wypadek, musiałby odpowiedzieć na wiele niewygodnych pytań. Co robił o tej porze razem z nią? Kim dla siebie byli? A tak... Mógł udawać, że nic się nie stało.

— Ta śmierć nas połączyła — wychrypiął burmistrz. — Obaj byliśmy winni, więc obaj musieliśmy milczeć...

— Jak to „obaj”? — naskoczyła na niego Ilona. — To ty ją zabiłeś! Ty i nikt inny...

— To dlatego tuszowałeś jego wybryki! — przerwałem jej, przypominając sobie plotki o nietykalności Cezarego. — On ślinił się do kolejnych dziewczynek, a ty zamiatałeś wszystko pod dywan. Ty... — obaliłem go na trawę i uniosłem zaciśniętą pięść.

Nawet nie próbował się zasłaniać.

— Mówiłem mu, żeby zaczął nad sobą panować — tłumaczył płaczliwym głosem. — Zapowiedziałem mu, że jeszcze jedna skarga...

— Zostaw go. — Ilona położyła mi dłoń na ramieniu. — Nie ma sensu, żebyś się brudził.

Wstałem i otrzepałem dłonie. Najchętniej bym je umył.

— Masz rację — mruknąłem. — Niech zgnije w więzieniu.

Popatrzyłem na niego mściwym wzrokiem. Ale nie wyglądał na przygnębionego moimi słowami. Odniosłem wrażenie, że spłynęły po nim jak woda po kacze. Czegoś tu nie rozumiałem.

— Dlaczego nam o tym wszystkim powiedziałaś? — spytałem, po czym odwróciłem się w stronę Ilony. — Dlaczego cię tu zabrał? Przecież to nie trzyma się kupy.

Popatrzyła na mnie zdziwiona.

— Nic nie rozumiesz? On się boi...

Doskonale wiedziałem, co to strach. Sam panicznie bałem się zatrzymania. Na jego miejscu też pewnie wolałbym spać w lesie. Bliska znajomość z Cezarym była na pewno dla burmistrza czynnikiem obciążającym, ale z drugiej strony... nie mieli na niego żadnych konkretów. Na podstawie dotychczasowych ustaleń trudno go było powiązać z zaginięciem Aliny. Gdyby trzymał język za zębami, pewnie udałoby mu się uniknąć odpowiedzialności. Przesłuchaliby go, a potem puścili do domu.

Dlaczego zatem tak się przed nami otworzył? Przecież musiał się liczyć z tym, że nie będziemy go kryć przed policją. Sam jako pierwszy poszedłbym na komisariat. Dla takich szumowin nie powinno być miejsca na wolności.

Czy to możliwe, że bardziej niż więzienia bał się czegoś innego?

— Czego on się boi? — odezwałem się do Ilony. — Co może być straszniejsze od więzienia?

Chciała coś powiedzieć, ale Adaś nie dopuścił jej do głosu.

— Nie chcę, by spotkało mnie to, co Cezarego — powiedział cicho.

Przypomniałem sobie zmasakrowane ciało nauczyciela. Ktoś bił go tak długo, aż złamał na nim wiosło. Przestałem się dziwić.

— Chcesz sam zgłosić się na policję?

Wstał z ziemi i się otrzepał. Chociaż w jego oczach lśniły łzy, wyglądał na zdeterminowanego.

— Tak — oznajmił zmęczonym głosem. — Zgłoszę się do nich jeszcze dzisiaj.

Mogielno jest typowym prowincjonalnym miasteczkiem. Przesadą byłoby stwierdzenie, że wszyscy się tu znają, ale uzyskanie informacji o dowolnym jego mieszkańcu nie przysparza większych trudności. Trzeba po prostu wiedzieć, kogo zapytać. Ja postawiłem na Ilonę, a ona zadzwoniła do swojej matki.

Po chwili ściszałem w dłoni kartkę z prywatnym adresem prokuratora Mauera.

Adaś, wraz z dręczącymi go demonami, został przy bunkrach. Ilona chciała iść ze mną, ale poprosiłem ją, by z nim została. Nie był w najlepszym stanie psychicznym. Uznałem, że jeden wisielec w zupełności wystarczy. Umówiliśmy się z Iloną, że da mi znać, gdy ojciec jej dziecka odda się w ręce policji.

Po kilkunastu minutach dotarłem do drogi. Jak za starych czasów próbowałem złapać stopa. Dwa samochody minęły mnie, nawet nie zwalniając, ale za trzecim razem miałem szczęście. Z okna furgonetki pomachał do mnie listonosz. Podbiegłem kilka metrów i wgramoliłem się do środka.

— Witam, panie Marcinie — odezwał się przyjaźnie, podając mi rękę. — Do Mogielna?

— Jakby był pan tak miły — poprosiłem, a on uśmiechnął się, błyskając złotym zębem.

— Nie ma problemu. Jadę jeszcze do Świętajn. To przecież prawie po drodze.

Rozsiadłem się wygodnie i przygotowałem się na zalew słów. Listonosz lubił sobie pogadać. Ale przejechaliśmy najpierw sto, potem dwieście metrów, a on nie odezwał się ani słowem. Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Panie Marcinie — odezwał się w tym momencie, ale jego głos brzmiał inaczej niż zwykle. Dominowało w nim wahanie. — Pan mnie przecież zna. Ja nigdy się nie wtrącam...

Zamilkł, a ja westchnąłem w duchu. Czyżby zdążył już usłyszeć o wypadku? A może chciał zawieźć mnie prosto na policję?

— O co chodzi? — spytałem ostrożnie, opierając dłoń na mechanizmie otwierającym drzwi.

Spojrzał na mnie z zakłopotaniem. Przygotowałem się na najgorsze. Spodziewałem się, że zaraz mi powie, iż jestem poszukiwany pod zarzutem morderstwa, ale on kompletnie mnie zaskoczył.

— Rozmawiałem dzisiaj z pana bratową.

Znów zamilkł, a na jego obwisłe policzki wypełził rumieniec. Był człowiekiem starej daty i niektóre tematy zdawały się go krępować.

— Rozmawiał pan z Marysią? Kiedy? — zdziwiłem się, oddychając jednocześnie z ulgą.

— Wczesnym popołudniem. Zatrzymała mnie na drodze, zupełnie tak jak pan. Wyglądała... — urwał i chrząknął z zakłopotaniem. — Wyglądała tak, jakby od dawna nie spała...

Zrozumiałem ten eufemizm. Listonosz miał na myśli to, że wyglądała jak naćpana. Nie byłem tym zdziwiony. W końcu po zastrzyku Janusza miała prawo tak wyglądać. Cud, że w ogóle wstała...

— Moja bratowa spała, i to aż za długo. Była pod wpływem leków uspokajających. Nie jest ostatnio w najlepszej formie — dodałem i nagle poczułem ukłucie niepokoju. — Tylko niech pan nikomu o tym nie mówi, dobrze?

Zachnął się.

— Panie Marcinie, to, że lubię sobie pogadać, wcale nie oznacza, że nie wiem, kiedy milczeć. Już od pewnego czasu widzę, że z panią Marysią nie wszystko jest tak, jak należy. Ale nikt nie usłyszał ode mnie na jej temat jednego złego słowa...

— Dobrze już, dobrze — przerwałem mu, a potem przeprosiłem. — A dokąd pan ją zabrał?

Listonosz nie zdawał sobie sprawy z problemów zdrowotnych Michała, ale przecież ona wiedziała, co zaszło. Podejrzywałem, że pierwsze kroki skierowała do szpitala, ale okazało się, że byłem w błędzie.

— Kazała wysadzić się w Gęglawkach — poinformował mnie listonosz. — Myślałem nawet, że jedzie do pana, ale zamiast do „Rybitwy”, poszła w stronę wsi.

Zamyśliłem się. Nie wiedziałem nic o tym, by kogoś tam znała. Wraz z Michałem obracali się zazwyczaj w zupełnie innych sferach. Miałem ochotę wysłać tam kogoś na zwiady, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. W mojej głowie zakiełkowała pewna myśl.

A może umówiła się tam z moim bratem?

Zachowanie Michała było dziwaczne, ale wciąż bezgranicznie mu ufałem. Skoro zniknął, musiał mieć ku temu jakiś powód.

Listonosz wysadził mnie przy rynku. Do domu prokuratora miałem stąd niecały kilometr. Po drodze minąłem siedzibę prokuratury, ale nawet nie zwolniłem. Już z daleka widziałem, że była zamknięta na cztery spusty. Ucieszyłem się, bo i tak nie chciałem spotykać się z nim w miejscu pracy. Liczyłem, że w domu będzie bardziej skłonny do zwierzeń.

Z relacji Adasia wynikało, że to Patryk Mauer zamordował Dzwonkowską. A potem w sprytny sposób pozbył się dowodów. Po latach trudno byłoby mu coś udowodnić, ale chciałem, żeby wiedział, że o tym wiem. I chciałem się dowiedzieć, dlaczego to zrobił. Można by mi zarzucić, że niepotrzebnie pchałem się do paszczy lwa, ale przekroczyłem już granicę, za którą mój lęk przed więzieniem stracił na znaczeniu. Po detektywie i Cezarym dziś poniósł śmierć kolejny człowiek. Wszystkie te morderstwa nierozzerwalnie wiązały się z tamtym pożarem — i uznałem, że już najwyższy czas, by to

wszystko wyjaśnić.

Nie miałem wątpliwości, że śmierć Grzeška nie była wynikiem samobójstwa. To fakt — można powiesić się bez udziału osób trzecich. Co roku w Polsce ginie w ten sposób więcej niż tysiąc ludzi. Ale nie można się samemu uderzyć, a przynajmniej nie tak, jak uderzony został ratownik. Jego czaszka trzymała się tylko na skórze.

Dlatego naciskając dzwonek przy furtce, nie miałem żadnych wątpliwości. Moja pewność siebie nie ustąpiła nawet wtedy, gdy dzwonienie nie wywołało żadnej reakcji.

— Halo! Panie Patryku! — krzyknąłem, ale odpowiedziała mi cisza.

Willa prokuratora nie była tak wypasiona jak dom, w którym mieszkał Janusz — a do rezydencji siostry Dzwonkowskiego brakowało jej kilku lat świetlnych — ale i tak nie prezentowała się źle. Była niewielka, ale stylowa. Mauer nie potrzebował zbyt wiele miejsca. Był starym kawalerem. Nie miał rodziców ani dzieci. Na zadbanym trawniku stały natomiast dwa ogrodowe krasnale, tak modne za naszą zachodnią granicą.

Rozejrzałem się dookoła, a potem szarpnąłem za kłamkę. Furtka była otwarta. Szybkiem krokiem przeszedłem przez frontowy trawnik i podszedłem do okna. Zapukałem w szybę i odniosłem wrażenie, że we wnętrzu domu coś się poruszyło. Ruszyłem wzdłuż ściany i po chwili znalazłem się przy werandzie. Niewiele myśląc, wspiąłem się po trzech stopniach i zabębniłem palcami w drzwi balkonowe. Tym razem nie miałem wątpliwości. Wyraźnie widziałem ukryty za firanką cień.

— Panie Patryku! Wiem, że pan tam jest! — krzyknąłem, przykładając usta do szpary w lekko uchylonym oknie.

Nikt mi nie odpowiedział, ale za moment okno drgnęło. Zanim zdążyłem zareagować, z wnętrza domu wyskoczył przez nie wielki czarny kocur. Wylądował u moich stóp, po czym czmychnął w krzaki. Zanim zdążyłem chwycić się za serce, już go nie było.

Przez chwilę uspokajałem rozszalałe tętno. Nie przewidziałem, że prokurator ma kota. Do jego zawodu bardziej pasowałby pies. Najlepiej doberman.

— Panie Patryku! — krzyknąłem jeszcze raz w kierunku otwartego okna, ale bez rezultatu.

Zrozumiałem, że prokuratora nie było w domu. Kto wie, może przebywał teraz przy wraku rozbitego audi? Nie miało to dla mnie znaczenia. Odwróciłem się i cicho zakląłem. A potem, pod wpływem impulsu, podszedłem znów do okna i je otworzyłem. Nie minęła sekunda, a stałem w jego salonie i ze zdziwieniem wpatrywałem się w stojące na regale zdjęcie. Ktoś uwiecznił na nim moją bratową.

Wziąłem fotografię do ręki i uważnie się jej przyjrzałem. Marysia wyglądała na zdjęciu na dwadzieścia kilka lat, ale to o niczym nie świadczyło. Zawsze wyglądała młodo. Nawet dziś dałbym jej co najwyżej trzydziestkę. Stała na tle jakiegoś modrego jeziora i uśmiechała się nieśmiało do obiektywu.

Nie rozumiałem, co jej fotografia robiła w salonie Mauera. Na miejscu mojego brata miałbym do prokuratora kilka niecierpiących zwłoki pytań.

Odłożyłem zdjęcie na miejsce i przeszedłem przez przestronny salon. Wnętrze urządzone było po spartańsku. Oprócz regału z książkami i imponującego zestawu kina domowego w salonie była tylko skórzana kanapa. Żadnych foteli, stołu czy choćby pufów.

Najwyraźniej Mauer nie lubił przyjmować gości.

Salon połączony był z aneksem kuchennym. Do dalszej części domu prowadził korytarz, który kończył się trojgiem drzwi. I to wszystko. Nie było nawet piętra. Całość miała nie więcej niż dziewięćdziesiąt metrów kwadratowych.

Podszedłem szybko do końca korytarza i po kolei otwierałem drzwi. Środkowe prowadziły do łazienki, a prawe — do nieumeblowanego pokoju, pełnego kurzu i pajęczyn. Na koniec pchnąłem lewe drzwi, za którymi — jak słusznie zakładałem — była jego sypialnia. Wszedłem do środka i poczułem się tak, jakbym znalazł się w muzeum. Eksponatami były tu zdjęcia. Dziesiątki zdjęć. Stały w ramkach, wisiały na ścianach, a kilka walało się nawet po podłodze.

Na wszystkich uwieczniona była Marysia — moja bratowa.

* * *

Uznałem, że nie ma na co czekać. Strach o bratową wyparł wszystkie moje obawy towarzyszące myśli o zatrzymaniu. Wybiegłem na zewnątrz i jeszcze na werandzie wystukałem numer Karoliny. Odebrała po pierwszym sygnale.

Chciałem jej wykrzyknąć, że Mauer to psychol, ale nie zdążyłem otworzyć ust.

— Gdzie jesteś?! — spytała roztrzęsionym głosem, z trudem opanowując histerię.

Odruchowo podałem adres Mauera. Chciałem z nią pogadać, ale się rozłączyła. Wzruszyłem ramionami i ruszyłem w stronę furtki. Dziewięćdziesiąt sekund później przed posesją zatrzymał się policyjny radiowóz.

Wybiegła z niego tak szybko, jakby się spodziewała, że będę uciekał. Ale ja nie chciałem już dłużej bawić się w kotka i myszkę. Wyciągnąłem przed siebie ręce, aby mogła założyć mi kajdanki. Ona jednak zignorowała ten gest i rzuciła się na mnie, obejmując mnie za szyję. Zrobiła to z takim impetem, że o mały włos nie upadliśmy.

— Myślałam, że umierasz gdzieś w lesie — wydusiła z siebie na wdechu, dotykając policzkiem mojego policzka. — Widziałam miejsce wypadku. Dlaczego nie odbierałeś telefonu?!

Pacnęła mnie otwartą ręką w bok głowy. Zabolalo.

— Byłem w szoku — powiedziałem szybko, chwytając ją za uniesioną do kolejnego ciosu rękę. — A poza tym bałem się, że mnie przymkniecie. Za dużo tych trupów...

— Zgłupiałeś? — puściła moją szyję i stanęła naprzeciwko mnie, ujmując się pod boki. Jej długie włosy związane były w warkocz, który podrygiwał niczym ogon rozeźlonej lwicy. — Przecież to oni chcieli zabić ciebie. Gadałam z kierowcami samochodów, które wyprzedzaliście, a w Nidzicy do tej pory przesłuchują świadków tej strzelaniny...

Poczułem ulgę. Nie chcieli mnie zatrzymać. Ale nie to było w tej chwili najważniejsze.

— To dom Mauera — wskazałem za siebie. — W sypialni ma ze sto zdjęć Marysi. Żony mojego brata. Boję się o nią...

Chciałem jej powiedzieć, że Mauer był mordercą. Ale nie zdążyłem. Z radiowozu wysiadł policjant w mundurze. Miał siwe włosy i pomarszczoną twarz. Widziałem go już

wcześniej. To on był tym „kolegą”, z którym spotkała się na terenie Wyższej Szkoły Policji.

— Nadkomisarz Andrzej Zawadzki — podszedł i wyciągnął do mnie rękę. — Niech pan wsiada. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Karolina się zawahała.

— Czy to konieczne, panie komisarzu?

Jej „kolega” spojrzał na nią surowo.

— Już pani to tłumaczyłem. Lepiej, żeby był z nami.

Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Spodziewałem się, że zainteresują się tym, co mówiłem o Mauerze, ale nie zadali mi ani jednego pytania. Radiowóz pomknął przez miasto, a oni nie odzywali się do mnie ani słowem. Czuję się jak w Matriksie.

— Gdzie jedziemy? — spytałem wreszcie buntowniczym tonem.

Gdyby mnie zignorowali, kazałbym im się zatrzymać. Czuję się jak ofiara porwania. Ale siwy policjant w końcu podjął decyzję.

— Niech mu pani powie, co tu robimy — mruknął w stronę Karoliny.

— Wszystko? — spytała dziewczyna, patrząc na niego z niepokojem.

— Wszystko — stwierdził. — I tak dowiedziałby się z mediów.

Karolina odpięła pas i odwróciła się do mnie twarzą, podkurczając nogi. W jej wzroku dostrzegłem poczucie winy. Coraz mniej mi się to podobało.

— Tylko nie mów, że to ty jesteś tu czarnym charakterem — zażartowałem, ale się nie uśmiechnęła.

— Jestem funkcjonariuszem Biura Spraw Wewnętrznych Komendy Głównej Policji — powiedziała tak szybko, jakby chciała to już mieć za sobą. — Na co dzień pracuję w Warszawie. Do Mogielna trafiłam miesiąc temu, żeby zrealizować pewne zadanie...

— To nie przenieśli cię tutaj na stałe po tej reorganizacji? — spytałem naiwnie, wygrzebując z pamięci jej słowa sprzed kilku dni.

Pokręciła z zakłopotaniem głową.

— To była moja przykrywka. Wiesz, czym zajmuje się w policji kontrola wewnętrzna?

Nie wiedziałem, ale się domyślałem.

— Mielście zastrzeżenia do kierownictwa tutejszej komendy?

Pokiwała głową.

— Tak. Od tego się zaczęło. Ale gdy trochę tutaj powęszyłam, okazało się, że to tylko czubek góry lodowej. W tuszowanie pewnych spraw zaangażowana była prokuratura.

Najpierw pomyślałem o Mauerze, ale potem przypomniałem sobie to, co usłyszałem dzisiaj w radiu.

— Ten prokurator z Olsztyna, którego zatrzymaliście...

Zobaczyłem, jak siwy policjant nerwowo ścisnął kierownicę.

— Zatrzymała go wojewódzka z Olsztyna, a nie my — warknął. — Nam to zatrzymanie jest bardzo nie na rękę. Wydarzyło się za wcześnie. To dlatego musimy dzisiaj działać bez przygotowania.

— Pan też jest z tego... Biura Spraw Wewnętrznych, tak?

— To mój szef — poinformowała mnie dziewczyna. — Sprawował nadzór nad prowadzonymi przeze mnie czynnościami.

Nagle zdałem sobie sprawę, że sam byłem elementem tych czynności. Poczuję się wykorzystany.

— To wszystko była gra, tak? — spytałem, czując pustkę w głowie. — Tak naprawdę prokuratura wcale mnie nie podejrzewała? Kiedy mówiłaś, że prokurator kazał ci za mną chodzić...

— Nie kazał — powiedziała, nagle się rumieniąc. — Ale naprawdę się tobą interesował. Wystąpił do zakładu w Bartoszycach o listę osób, z którymi odbywałeś karę... Do tej pory nie mamy pojęcia, dlaczego to zrobił.

— A co wiecie? — spytałem, usiłując nie okazywać emocji.

Zatrzymaliśmy się na przejeździe kolejowym. Po torach toczyły się w ślimaczym tempie wagony z węglem. Szef Karoliny zabębnił palcami po kierownicy.

— Do niedawna wiedzieliśmy tylko tyle, że Mauer rozłożył parasol ochronny nad grupą przestępczą zajmującą się przemytem papierosów — powiedział, patrząc na mnie spoде łba. — Ale w ostatnich dniach zauważyliśmy coś jeszcze. Śledztwo w sprawie tych zabójstw... Mauer prowadził je tak, jakby nie chciał złapać winnego. A co najważniejsze — unikał jak ognia jakichkolwiek nawiązań do tamtego pożaru. Pożaru, który mógł mieć dla tej sprawy kluczowe znaczenie...

Urwał, a ja w ostatniej chwili ugryzłem się w język. To nie był dobry moment, by mówić o tym, czego się dowiedziałem od Adasia. Wiedziałem, że burmistrz jeszcze dzisiaj odda się w ręce władz. Postanowiłem nie ubiegać faktów.

— Czyli to twoje zainteresowanie tamtymi wydarzeniami... te poszukiwania w archiwach... Robiłaś to tylko po to, żeby go sprowokować?

Popatrzyła na mnie, kręcąc głową.

— Nie tylko po to. Chciałam się dowiedzieć, co ukrywa. Później przestało mi chodzić tylko o pożar. Poczytałam akta dotyczące zaginięcia tej dziewczyny i odniosłam wrażenie, że to wszystko się ze sobą łączy. I gdzieś w samym środku tej afery siedzi prokurator Mauer.

Znow musiałem się ugryźć w język. Tajemnica zaginięcia Aliny Janeczek też już się rozwiązała.

— A do czego potrzebny byłem ci ja? — zapytałem z autentyczną ciekawością.

Szef Karoliny niespodziewanie się roześmiał.

— Też chętnie posłucham odpowiedzi — powiedział, obrzucając ją ojcowskim spojrzeniem.

Wzruszyła ramionami.

— Przecież mówiłam, że Mauer interesował się twoją więzienną przeszłością. Wydało mi się to podejrzane. A poza tym chciałam mieć kogoś do pomocy. I tak siedziałeś w tym po same uszy, nie?

Urwała i popatrzyła mi prosto w oczy.

— Cały czas miałam wrażenie, że lada chwila wszystkiego się domyślisz.

Przez chwilę analizowałem każdy nasz krok.

— Byłem zdziwiony, że tak się ze mną bratasz. Że zdradzasz mi to, co mówił o mnie prokurator, że wprowadzasz mnie do policyjnego archiwum... Ale kiedy mówiłaś, że chcesz się stąd wyrwać, brzmiałaś tak wiarygodnie... Naprawdę myślałem, że grasz w jakąś własną grę, która sprawi, że awansujesz i przeniosą cię do Warszawy.

Byłem przygnębiony i tego nie ukrywałem. Siwy gliniarz popatrzył na mnie ze współczuciem.

— Jest dobra w tym, co robi — stwierdził, a Karolina pokraśniała z zadowolenia. — Mną też czasem manipuluje.

Pociąg przetoczył się wreszcie po torowisku. Ruszyliśmy dalej, kierując się ku przedmieściom.

— A gdzie teraz jest Mauer? — spytałem z zaciekawieniem.

— Kilkanaście minut temu był w centrum Mogielna. Nasi funkcjonariusze nie odstępują go ani na krok.

— Śledzą go? — zdziwiłem się. — A nie lepiej od razu go zatrzymać?

Pokręciła głową.

— Nie chcemy popełnić błędu chłopaków z Olsztyna — oznajmiła. — Zatrzymanie Mauera mogłoby spłoszyć... jego współpracowników — dodała, lekko się zacinając. — Tak jak zatrzymanie tamtego prokuratora w Olsztynie spłoszyło Mauera.

— A spłoszyło?

— Jak cholera! Kiedyś blisko ze sobą współpracowali. Podejrzewamy, że wtedy się wszystko zaczęło...

— Kiedy? — spytałem, chcąc się w tym wszystkim połapać.

— Z dziesięć lat temu. Wtedy Mauer przeniósł się do Mogielna z Ostrołęki, a ten drugi prokurator, czyli Andrzej Klicki, trafił tu jako asesor. Szybko się ze sobą skumali. To wtedy pewnie zaczął się ten przemyt...

— A wy dowiedzieliście się o tym dopiero teraz? — spytałem, chcąc się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiałem.

Ale oni odebrali moje pytanie jako atak.

— Przy tego typu interesach obowiązuje zmowa milczenia — powiedział policjant, posyłając mi urażone spojrzenie. — Jeżeli nie masz kogoś w środku, to niby skąd masz się dowiedzieć, że coś jest nie tak? Takich miasteczek powiatowych jak Mogielno jest w kraju ponad trzysta...

Zamilkł i zaczął wymijać wlokącą się ciężarówkę. Karolina od razu skorzystała z okazji.

— Wpadliśmy na trop dzięki donosom i współpracy ze Służbą Celną — podjęła w miejscu, w którym skończył jej szef. — Poznaliśmy nazwisko człowieka, który tym wszystkim kręci. Ale wciąż nie wiemy wszystkiego. Mam nadzieję — zerknęła na zegarek — że za godzinę od teraz będziemy mądrzejsi.

— Kto stoi za tym przemytem? — spytałem z umiarkowaną ciekawością, bo w przeciwieństwie do matki Ilony nie znałem w Mogielnie zbyt wielu ludzi.

Siwy policjant zjechał na pobocze i się zatrzymał.

— Twój brat — rzucił mi w twarz, przyglądając mi się jak zatopionemu w bursztynie trylobitowi.

W pierwszym odruchu chciałem dać mu w mordę, ale na szczęście nie miałem jak się zamachnąć.

— Chyba zwariowałeś — powiedziałem tylko, patrząc na niego ze zdumieniem.

— Mówiłam panu — triumfowała Karolina. — Marcin nie ma z tym nic wspólnego.

— Z czym?

Jej słowa brzmiały jak ponury żart.

— Z działalnością twojego brata — stwierdziła, patrząc na mnie ze współczuciem. — Wiem, że to dla ciebie trudne, ale spójrz na fakty. Ludzie nie bogacą się tak na usługach transportowych. W przeciwnym razie wszyscy chcieliby być kierowcami.

Uśmiechnąłem się pod nosem. To, co mówiła, brzmiało dla mnie jak totalna abstrakcja.

— Mój brat nie jest szefem żadnej mafii — powiedziałem tak powoli i wyraźnie, jakby była opóźniona w rozwoju.

Spojrzała bezradnie na swojego szefa.

— Wiedziałam, że nie uwierzy. Ale chyba nie ma pan wątpliwości...

Zdałem sobie sprawę, że przed chwilą poddali mnie testowi. Wpadłem nieźle, ale wcale nie byłem z tego zadowolony. Na usta cisnęły mi się same mocne słowa.

— A dlaczego twój brat tak nagle rozpląnął się w powietrzu? — spytał niespodziewanie siwy policjant, odraczając mój wybuch.

— Bo... — zacząłem z pewnością w głosie, ale zaraz umilkłem. Chociaż gorączkowo przeszukiwałem głowę, nie umiałem znaleźć żadnego rozsądnego wytłumaczenia.

— Posiadłość twojego brata jest jednocześnie magazynem — wtrąciła Karolina. — Domyślamy się, że pan Michał nie pracuje sam, i mamy nawet pewne podejrzenia co do jego współpracowników. Niestety, nie wiemy tyle, ile byśmy chcieli. Nasi koledzy z Olsztyna zmusili nas do przedwczesnego działania — dodała, krzywiąc się ze złości. Po chwili jej spojrzenie złagodniało. — Dobrze, że ty nie masz z tym nic wspólnego — dorzuciła zupełnie innym, miękkim głosem.

Wciąż nie bardzo wiedziałem, co o tym myśleć. To fakt, Michał rzeczywiście zachowywał się ostatnio dość tajemniczo, a ta jego ucieczka ze szpitala... Pokręciłem głową. Miałem nadzieję, że to jakaś kosmiczna pomyłka.

Po minucie wyjechaliśmy z miasta.

— Jedziemy do jego domu?

— My nie — poinformował mnie policjant, zjeżdżając w boczną uliczkę, gdzie stało kilka samochodów.

Wysiadł z auta i po paru sekundach podeszło do niego kilkunastu policjantów. Część z nich miała na sobie kominiarki.

— Na terenie posesji jest tylko dwóch mężczyzn — usłyszałem przez uchyloną szybę. — To kierowcy tirów, obywatele Ukrainy. Nie wiedzą, gdzie jest właściciel.

Siwy policjant zaklął szpetnie.

— Ptaszki wyfrunęły z gniazda — mruknął, brzmiąc jak bohater filmu klasy B. A potem zerknął na zegarek i westchnął. — Trudno, nie ma czasu. Wchodzimy!

Wsiadł do jednego z samochodów. Po chwili kawalkada pojazdów ruszyła w kierunku posiadłości mojego brata. Na parkingu został tylko „nasz” radiowóz.

— Nie jedziesz z nimi? — spytałem ze złością, bo czułem, że najchętniej zostałbym sam.

Otworzyła drzwi i wysiadła. Gestem dłoni zaprosiła mnie, bym do niej dołączył.

— Rozumiem, że jesteś wściekły, ale zrozum... Twój brat jest przestępcą.

Przeszedłem kilkadziesiąt metrów i znalazłem się w szczerym polu. Niedaleko stała myśliwska ambona. Powlokłem się w jej kierunku, a Karolina ruszyła za mną. Nie miała wesołej miny.

— Wiem, że myślisz, że cię wykorzystałam, ale to nieprawda. Twojego brata miałam rozpracowanego na długo przed tym, zanim się poznaliśmy.

Ignorując ją, wszedłem po drabinie i rozsiadłem się w budce — siedem metrów nad ziemią. Widać stąd było gospodarstwo Michała.

— Chodziło o Mauera — tłumaczyła się policjantka, siadając obok mnie. — Od początku to jego posądzałam, że właśnie on zabił tego detektywa... Pana Tadeusza. To, że tak interesował się tobą, wydało mi się podejrzanym. Chciałam go zmusić do popełnienia błędu.

Żałowałem, że nie mam lornetki. Figurki buszujących między zabudowaniami policjantów były z tej odległości tak małe, że momentami znikwały mi z oczu.

— Odniosłam poza tym wrażenie, że ktoś chce cię zrobić. W notesie detektywa była kartka z twoim nazwiskiem. Nie miałam pojęcia, o co w tym chodzi. Uważałam, że Mauer jest zbyt mądry, by preparować dowody.

Nad posiadłością Michała unosił się jakiś drapieżny ptak. Przez dłuższą chwilę obserwowałem jego majestatyczny lot, a gdy znów przeniosłem wzrok na podwórze, figurki mundurowych zniknęły. Domyśliłem się, że policja penetruje teraz budynki.

— Nie chciałam, żeby to się tak skończyło. Miałam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Nie mogłam postąpić inaczej. No powiedz coś wreszcie!

Objęła mnie ramieniem i zbliżyła swą twarz do mojej. Jej oczy wydały mi się urocze.

— Nie czuję do ciebie żalu — powiedziałem zgodnie z prawdą. — Ale nie oczekuj, że będę teraz w nastroju do rozmowy. Dziewczyno, tu chodzi o mojego brata!

Pokiwała głową i oparła głowę na moim ramieniu.

— To były ciekawe dni, prawda? — powiedziała po dłuższej chwili milczenia.

— Najbardziej podobało mi się, jak odprawiłaś tego policjanta pod Giżyckiem. — Mimowolnie się uśmiechnąłem, przypominając sobie swoje zdziwienie.

— Jak usłyszał, że jestem z BSW, o mało nie zemdłał. Swoją drogą musiał mieć coś za uszami. Może warto by się nim zainteresować...

— Fajną masz robotę — powiedziałem zgryźliwie.

— To fakt, nikt nas nie lubi — westchnęła z udawanym żalem.

Oparłem łokcie o balustradę i przez kolejne minuty w milczeniu obserwowaliśmy policyjne przeszukanie. Czułem, jak spływa ze mnie stres. Karolina była natomiast coraz bardziej zaniepokojona.

— Dlaczego nic nie robią? — dziwiła się, mrużąc oczy w promieniach

popołudniowego słońca. — Przecież takie przeszukanie to zawsze mnóstwo roboty. Trzeba wszystko policzyć, spisać...

Jej zdziwienie było uzasadnione. Policjanci, zamiast pracować, snuli się jak duchy po podwórzu. Niektórzy z nich skryli się nawet we wnętrzu samochodów. Patrzyłem na to ze spokojem, czekając na koniec przedstawienia. W końcu nastąpił.

Kawalkada policyjnych samochodów ruszyła w kierunku bramy. W tym samym momencie odezwał się telefon Karoliny.

— Co?! — wydarła się do słuchawki. — Jak to, nic nie znaleźliście?!

Udało mi się zapanować nad uśmiechem. Przyoblekłem twarz w grymas przerażenia.

— Czy może pan powtórzyć? — Dziewczyna zbladła jak papier, a za moment poczerwieniała ze złości. — To jest... nedorzeczne.

Rozłączyła się i przez chwilę klęła pod nosem.

— Posiadłość twojego brata jest czysta — mruknęła takim tonem, jakby jej to nie obchodziło.

Byłem tego niemal pewien, ale miło było to usłyszeć z jej ust. Jednak zamiast odetchnąć z ulgą, zagryzłem wargi. Z tych strzępów rozmowy, które usłyszałem wynikało, że sytuacja wymknęła się spod kontroli.

— Zgubiliście Mauera, tak? — zapytałem, przełykając ślinę.

— Tak — warknęła. — Szło za nim trzech funkcjonariuszy, a on im zwał. I nie mają pojęcia, gdzie może być...

Moja uszkodzona mazda została odprowadzona do Mogielna. Nie miałem po co po nią jechać — i tak była unieruchomiona, a nie byłem w nastroju na rajd po warsztatach. Dlatego z wdzięcznością przystałem na propozycję Karoliny i dałem się odwieźć do ośrodka. Przez całą drogę marudziła, a ja — chociaż moja twarz nie wyrażała żadnych emocji — siedziałem jak na rozżarzonych węglach.

Wysiadłem pod bramą i czekałem, aż odjedzie. Przez chwilę z tym zwlekała.

— Nie oceniaj nas zbyt surowo — poprosiła, wychylając się przez opuszczoną szybę. — To wszystko przez tych z Olsztyna. Po tym, jak zatrzymali tamtego prokuratora, -liczyła się każda godzina. Musieliśmy improwizować, a wyszło, jak wyszło...

Na moją prośbę zdjęcie Marysi miało zostać rozesłane do wszystkich jednostek policji w województwie. Bałem się, że ten świr może ją skrzywdzić. W końcu kilka lat temu nie miał żadnych skrupułów, by zamordować Kate Dzwonkowską. Miałem nadzieję, że jest gdzieś daleko stąd. I że nie ma przy nim mojej bratowej.

Według słów listonosza Marysia przed kilkoma godzinami przyjechała do Gęglawek. Nie miałem pojęcia, co nią kierowało, ale postanowiłem przejść się po wsi i trochę za nią powęszyć. Ale w pierwszej kolejności musiałem załatwić coś innego. Byłem to winny swojemu bratu.

Nigdy nie zastanawiałem się nad pochodzeniem jego majątku. Siwy policjant miał rację — Michał rzeczywiście był nieprzyzwoicie bogaty. Czy mógł dojść do takich pieniędzy wyłącznie uczciwą pracą? Takie kariery czasem się zdarzały, ale nie mogłem wykluczyć, że w przypadku mojego brata nie wszystko przebiegało w stu procentach uczciwie. Michał był — jak to mówią — „przedsiębiorczy”.

Ale był też diabelnie inteligentny i nade wszystko kochał swoją rodzinę. Dlatego założenie policji, że trzyma coś nielegalnego we własnym domu, od początku wydało mi się karkołomne. Podczas przeszukania oczywiście trochę się denerwowałem, ale byłem prawie pewien, że akcja policji zakończy się fiaskiem.

Zawsze byłem uczciwym człowiekiem, a pobyt w więzieniu nauczył mnie jeszcze bardziej tę uczciwość cenić. Nie lubiłem kanciarzy, oszustów i złodziejasków. Nie lubiłem też przemytników, ale Michał był moim bratem. Jeżeli rzeczywiście był w coś zamieszany, to moim obowiązkiem było go ostrzec. Rodzina zawsze była u mnie na pierwszym miejscu. Dlatego gdy tylko Karolina zniknęła za zakrętem, natychmiast pobiegłem na przystań.

Drzwi do hangaru nie były zamknięte na klucz, ale w środku nie było żywego ducha. Tym razem jednak nie dałem się zwieść. Tak długo myszkowałem po kątach, aż wreszcie — w najciemniejszym rogu pomieszczenia — znalazłem zamaskowaną klapę. Chwyłem za uchwyt i pociągnąłem z całej siły, a ona uchyliła się, niemiłosiernie zgrzytając. Chociaż tak jak hangar miała dopiero kilka lat, przydałby się jej jakiś środek na rdzę.

Kłapa prowadziła do pomieszczenia ukrytego pod podłogą. Przez otwór wyraźnie widziałem pierwszy szczebel metalowej drabiny. Ale nie zdążyłem postawić na nim stopy. Ktoś zaszedł mnie z tyłu i boleśnie wykręcił mi rękę.

— Co tutaj robisz?!

Szarpnąłem się i udało mi się uwolnić rękę. Kierownik patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. W przeciwieństwie do niego nie byłem zaskoczony. Wiedziałem, że ten szwindel nie mógł się odbywać bez jego wiedzy.

— Policja dużo o was wie — powiedziałem, siłąc się na spokój. — Pół godziny temu robili przeszukanie u Michała. Nic nie znaleźli, ale niedługo wpadną na to, że kryjówka jest gdzie indziej. A wtedy może być za późno.

Kierownik nie myślał racjonalnie.

— O czym ty mówisz?! — wrzasnął, rzucając się na mnie z pięściami. — Jaka kryjówka? Kompletnie cię powaliło!

Odskoczyłem, a on niemal się przewrócił. W gębie był mocny, ale nie umiał się bić.

— Proszę! Musicie się pospieszyć — przekonywałem, ale nawet nie udawał, że mnie słucha.

— Zabiję cię! — wysyczał.

Ale nie zdążył zrobić nic więcej. Nagle w otwartej klapie pojawiła się głowa, a zaraz potem wytatuowany kark.

— Uspokój się. — Głos Włodka był tak stanowczy, że zabrzmiał jak trzaśnięcie bicia. — On mówi prawdę. Dopiero co napisał do mnie jeden z kierowców. Przed chwilą policja skończyła przeszukanie u Michała.

Jego słowa pozbawiły mnie reszty złudzeń co do niewinności mojego brata. Westchnąłem ze smutkiem i zszedłem za nim do skrytki. Trzeba było się schylać, bo strop był na wysokości zaledwie półtora metra. Na ziemi poukładane były kartony papierosów. Całe pomieszczenie wręcz pękało w szwach.

— To te wstrętne saint thomasy — zauważyłem, patrząc na znajome opakowania. Niebieskie i czerwone.

Włodek klepnął mnie po plecach. Już wcześniej zrozumiałem, że to on tutaj rządzi. Szef ośrodka był tylko... szefem ośrodka.

— Od dwóch dni stopniowo wywozimy towar — powiedział. — Zostało tego akurat na jeszcze jeden transport. To był pomysł twojego brata. Pamiętasz, jak się u niego spotkaliśmy? To było wtedy... Czuł, że coś się szykuje.

Podszedł do klapy i lekko się wychylił. Po tym, jak udało mu się znaleźć zasięg, wykonał dwa szybkie telefony. Gadał po rosyjsku jak rodowity Rosjanin. Okazało się zresztą, że... był Rosjaninem.

— Twój brat rozkręcił ten biznes we współpracy z poprzednim dyrektorem — mówił, a ja się zastanawiałem, jak to się stało, że dotąd na to nie wpadłem. — Zaczęli przemycać niewielkie ilości papierosów, psując nam rynek. Twój brat miał dużo samochodów, a dyrektor dysponował znajomościami. Zamiast ich zwalczać, postanowiliśmy ich wchłonać. I tak znalazłem się w Polsce. Pilnuję interesów swoich szefów z... Moskwy.

Obecny szef ośrodka był zwykłą płotką, ściągniętą przez poprzednika. Konkurs na jego stanowisko był rzecz jasna sfingowany. Pierwszą decyzją nowego szefa było wybudowanie hangaru. Pomysł z podziemnym magazynem wyszedł od mojego brata.

— To mądry facet — stwierdził Włodek, zbliżając się do końca swojego monologu. — Współpracujemy już trzy lata i bardzo go przez ten czas polubiłem. Nie podoba mi się u niego tylko jedna rzecz.

— Jaka? — spytałem odruchowo.

Jego twarz przybrała smutny wyraz. Tak jak tamtej nocy, gdy spotkaliśmy się w domu Michała. Po tym, jak ochrzanił naszego szefa, który w tej konfiguracji był jego podwładnym.

— Nie podoba mi się, jak cię traktuje. Myślę, że zasługujesz na prawdę, jakakolwiek by ona była.

Nie chciał powiedzieć nic więcej. Myślałem, że go rozszarpie.

— To sprawa między tobą a twoim bratem — stwierdził stanowczo. — Ja nie będę się w to bardziej wtrącał.

Musiałem zadać jeszcze jedno pytanie.

— A gdzie on jest?

Ale i tu mnie rozczarował.

— Nie mam pojęcia — wyznał, a potem w jego oku zapalił się złośliwy błysk. — Ale to chyba dobrze, że zniknął, prawda? W przeciwnym razie byłby już za kratami.

Nie miałem ochoty siedzieć tu dłużej, chociaż Włodek proponował mi piwo. Nie chciałem mieć nic wspólnego z walającymi się wszędzie kartonami st. thomasów. Co innego ostrzec własnego brata, a co innego głupio wpaść... Pożegnałem się z Włodkiem, skinąłem głową milczącemu kierownikowi i dwie minuty później maszerowałem przez wieś.

Gęławki jak zwykle wyglądały jak wymarłe. Nie słychać było nawet szczekania psów. Zapukałem do pierwszej chałupy, ale nikt mi nie otworzył. Zerknąłem przez okno

i zobaczyłem, że wewnątrz nie ma żadnych sprzętów, a pod powalą wiszą pajęczyny. Wzdrygnąłem się, bo na pierwszy rzut oka wyglądały jak żałobny welon.

Druga z chałup wyglądała na zamieszkaną. Zastukałem w drzwi i po chwili stanęła w nich staruszka. Zapytałem ją o Marysię, ale nie wiedziała, o kogo chodzi.

— Młoda kobieta? — powtórzyła za mną, przykładając dłoń do ucha. — Nie, dzisiaj tu takiej nie było. A zresztą... nie wiem. Proszę pytać córki.

Wydobyłem od niej, że córka mieszka w Olsztynie i przyjeżdża do Gęglawek raz w miesiącu. Nie zamierzałem tak długo czekać. Zastukałem do dwóch kolejnych chałup, ale ich mieszkańcy też nie mieli mi do powiedzenia nic ciekawego. Nikt nie widział Marysi i nikt jej tu nie znał.

Gęglawki nie były dużą wsią. Jej znaczna część znajdowała się w pobliżu jeziora. Brzeg opadał tu do lustra wody wysoką skarpią. Jako dzieciak przychodziłem w to miejsce, żeby poskakać do wody. Najczęściej towarzyszył mi Michał. Ale to było jeszcze zanim poznał Marysię. Nie umiałem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek ją tu przyprowadził.

Nieopodal skarpy stała samotna chałupa. Wyglądała biedniej niż pozostałe, ale z komina unosił się obłok dymu, wskazujący na to, że ktoś tam mieszka. Postanowiłem spróbować jeszcze raz. Minąłem rozwalający się płot i przedarłem się przez sięgające miejscami do połowy uda zielsko. Chciałem zapukać, ale drzwi były uchylone. Wisiały tylko na górnym zawiasie i chwiały się w podmuchach wiatru.

Nie wyglądało to zachęcająco. Wpatrując się w na wpół rozwalone drzwi, poczułem dziwny niepokój. Miałem ochotę odwrócić się i odejść, ale zrobiło mi się głupio.

— Dzień dobry! — krzyknąłem, rozglądając się na boki.

Nikt mi nie odpowiedział. Pociągnąłem za skobel, a drzwi uchylły się jeszcze bardziej, skrzypiąc niczym stawy emerytowanego rugbisty. W twarz buchnął mi swąd zgnilizny. Był tak przykry, że aż się cofnąłem.

— Halo! Jest tam kto? — zapytałem niepewnym głosem, odruchowo napinając mięśnie.

Podświadomość nakazywała mi brać nogi za pas, ale jej nie posłuchałem. Przekroczyłem próg i wszedłem do ciemnego korytarza. Na jego końcu zobaczyłem drzwi.

Wokół mnie unosiły się drobinki kurzu.

— Halo! Dzień dobry! — zawołałem ponownie, a potem potężnie kichnąłem. Takim kichnięciem obudziłbym nawet umarłego, a jednak wciąż nie było żadnej reakcji. Nabrałem przekonania, że w chałupie nie ma żywego ducha, i wtedy przeszły mnie dreszcze. Dlaczego z komina unosił się dym?

Przeszedłem przez korytarz. Spoconą z emocji dłonią chwyciłem za klamkę i ostrożnie otworzyłem drzwi. Moim oczom ukazał się ubogo urządzony pokój z poczerniałymi ze starości meblami, wielkim pudłem kilkudziesięcioletniego telewizora i wyliniałym dywanem, który niegdyś musiał być bordowy. Panował tu względny porządek. Tylko na stole stały brudne naczynia — talerz i szklanka z fusami po herbacie. A w zatęchłym powietrzu unosił się zapach smażonej ryby.

Bojąc się tego, co zaraz zobaczę, powoli wkroczyłem do izby. Po prawej stronie od

drzwi stał kaflowy piec, zasłaniający mi dalszą część pomieszczenia. Suszyły się na nim jakieś mokre łachy. To wyjaśniało zagadkę dymu, ale wciąż nie wiedziałem, gdzie podziiali się mieszkańcy.

W końcu ich znalazłem. Byli uwiecznieni na dużej, czarno-białej fotografii, oprawionej w ramki i zawieszanej na ścianie. Brodaty mąż, filigranowa żona i dwójka dzieci — dziesięcioletni na oko chłopiec i śliczna, dwuletnia córeczka. Cała czwórka wpatrywała się w obiektyw aparatu z tajemniczymi półuśmiechami. Zdjęcie było bardzo ostre — odnosiło się wrażenie, że postacie zaraz z niego wyjdą i usiądą przy stole.

Wciąż czując się niepewnie, wszedłem w głąb pomieszczenia. Zbliżał się wieczór i niebo za oknem robiło się coraz ciemniejsze. Widoczne przez drzwi do pieca rozżarzone węgle przywodziły na myśl diabelskie oczy. Przełknąłem ślinę i wtedy usłyszałem ciche westchnienie. Moje serce zerwało się do galopu.

— Jest tu ktoś? — wychrypiałem.

Odpowiedzią na moje pytanie było tylko kolejne westchnienie. Dobiegało zza pieca. Podeszedłem tam i ostrożnie się wychyliłem. Spodziewałem się czegoś strasznego, ale niczego takiego tam nie było. Zamiast grozy znalazłem... smutek.

Stary Maciej siedział na stołku i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. Po jego pobrużdżonych policzkach spływały łzy, a potężną piersią wstrząsał coraz głośniejszy szloch. Trzymał w ręku coś, co skojarzyło mi się z chusteczką. Dopiero gdy przyjrzałem się temu uważniej, odkryłem, że w swoich sękatych dłoniach ścisnął małą, dziewczęcą czapeczkę. Nigdy nie widziałem czegoś tak przygnębiającego.

Cofnąłem się, przewracając jedno z krzesel. Drgnął, ale nawet na mnie nie spojrzał.

— Przepraszam — bąknąłem pod nosem, ciągle się wycofując.

Czułem się jak intruz, który wtargnął z butami do jego smutnego świata. Przez chwilę było mi wstyd, ale wnet się połapałem, że nawet mnie nie zauważył. Po cichu zamknąłem drzwi i wyszedłem na korytarz. Gdy znalazłem się na zewnątrz, byłem cały mokry od potu.

Kiedy przechodziłem przez podwórko, moja stopa natrafiła na jakąś przeszkodę. Potknąłem się i upadłem w pokrzywy. Zerwałem się i — rozcierając poparzone dłonie — rozgarnąłem nogami pleniące się przy ziemi zielsko. Pod jego dywanem leżało wiosło. Na oko takie samo jak to, które pływało w jeziorze. Odwróciłem się jeszcze raz w kierunku domu, a moje ramiona pokryły się gęsią skórką. Przypomniała mi się poblądła z przerażenia twarz Adasia. Na jego miejscu też bym się bał.

Przedarłem się przez chaszczę, zatrzymując się nad jeziorem. Przez moment gapilem się na zachodzące słońce. Miałem ochotę zanurzyć się w zabarwionej na pomarańczowo wodzie i zmyć z siebie cały brud tego świata. Ale nie mogłem sobie na to pozwolić. Czułem, że Marysia wciąż gdzieś tutaj jest.

Odwróciłem się w kierunku wsi i aż podskoczyłem. Tuż przede mną stał pan Zbigniew. Podeszedł do mnie cicho jak kot.

— Widział pan, prawda? — zapytał, ale nie oczekiwał odpowiedzi. — Biedny człowiek. Chyba pan na niego nie doniesie, co?

Zrozumiałem, że musiał mnie obserwować. Widział, jak wchodziłem do chałupy starego Macieja, a potem był świadkiem, jak potknąłem się o wiosło. Słusznie zakładał,

że się wszystkiego domyśliłem.

— Córka musiała być jego oczkiem w głowie — mruknąłem.

Pan Zbigniew usiadł na trawie i zwrócił twarz w kierunku słońca.

— Po śmierci żony i syna została mu tylko ona — westchnął. — Kochał ją tak, jak ojcowie kochają córki. Albo jak powinni kochać... — urwał na chwilę, po czym mówił dalej: — Alina była dla niego sensem życia. Kiedy zaginęła, zupełnie stracił zmysły.

Coś mi nie grało.

— Przecież nie mieszkała z nim, tylko na stacji — zauważyłem. — Nawet w wakacje...

Pokiwał ze smutkiem głową.

— Śmierć żony i syna zostawiła w nim trwałe ślady. Nie był po tym taki, jak wcześniej. Nie radził sobie z wychowaniem. To bardziej Alina się nim opiekowała niż on nią. Ale to nie zmienia faktu, że kochał ją do szaleństwa. Była wszystkim, co mu zostało.

Pokręciłem głową. Nie miałem pojęcia, co robić. Współczułem staremu rybakowi, ale przecież nie dopuścił się kradzieży jabłek, tylko zamordował człowieka. Musiał ponieść karę.

A może całe jego życie było karą?

— Skąd się dowiedział, że jego córka miała romans z Cezarym? — spytałem, chcąc zyskać na czasie.

— Ode mnie — odparł pan Zbigniew. — A ja dowiedziałem się tego od pana Tadeusza. Nie udało mu się ustalić, co tak naprawdę stało się z Katarzyną Dzwonkowską, ale sprawę dziewczyny i tego zbrojnego rozgryzł niemal natychmiast. A ja powiedziałem o tym jej ojcu. Myśli pan, że źle zrobiłem?

Wzruszyłem ramionami. Na szczęście to nie ja miałem o tym rozstrzygać.

— To Cezary zabił Alinę? — spytałem, chcąc się dowiedzieć, czy wiedział o Adasiu i spowodowanym przez niego wypadku.

Nie wiedział. Sądził, że wszystko odbyło się zupełnie inaczej.

— Dziewczyna była w ciąży. Ten... nauczyciel nie mógł sobie pozwolić na taki skandal. Musiał ją zabić i ukryć ciało w lesie...

Pokręciłem głową. Ale nie chciałem mu mówić, jak było naprawdę. Przynajmniej nie teraz.

— Była w ciąży? — zdziwiłem się, bo ten element układanki był dla mnie obcy.

— W piątym miesiącu — poinformował mnie. — To wtedy...

— ...zaczyna się powiększać brzuch, tak? — dokończyłem za niego, drapiąc się po głowie.

Potwierdził, a ja się zamyśliłem. Byłem ciekaw, czy Adaś wiedział, że tej feralnej nocy zakończył nie jedno, lecz dwa życia.

— Współpracował pan z Tadeuszem, prawda? — zapytałem po chwili milczenia. — Dzieciak wszystko mi powiedział. Ten niby pana „wnuk” — zakreśliłem w powietrzu znak cudzysłowu.

Zmieszkał się.

— Rozmawiał pan z nim? — zapytał, a ja skinąłem głową. — Fajny chłopak. Są takie chwile... Czasem żałuję, że poznaliśmy się tak późno...

Powiedział to takim smutnym tonem, że aż się zdziwiłem.

— Polubił go pan? — zapytałem, czując nagły przypływ współczucia. A potem coś mnie tknęło. — Jesteście trochę do siebie podobni.

Wyjął z kieszeni koszuli paczkę papierosów. Czerwonych st. thomasów.

— Tak pan myśli? — spytał przez zaciśnięte gardło, a potem pstryknął zapalniczką. — Nic z tego. I tak jest już za późno. Nie da się posklejać tej rodziny...

Jego stosunki rodzinne nie były mi znane. Wiedziałem tylko, że od kilku lat spędzał w „Rybitwie” wakacje. Zawsze samotnie. Czyżby rzeczywiście był spokrewniony z chłopakiem z chevroleta? Czy mógł być jego prawdziwym... dziadkiem?

— To niemożliwe... Przecież pan ma na imię Zbigniew...

Chciałem dodać, że według danych z bazy PESEL ojciec Kate miał na imię Karol, ale nie zdążyłem. Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dowód osobisty. Zerknąłem na niego i szczeka opadła mi do samej ziemi.

— Karol Zbigniew... — przeczytałem, a potem spojrzałem na niego ze zdumieniem. — Dlaczego posługuje się pan drugim imieniem?

To nie było pytanie, które powinienem zadać w pierwszej kolejności. Ale nie musiałem już o nic dopytywać. Ojciec Kate Dzwonkowskiej zbyt długo milczał. Teraz zasypał mnie potokiem słów.

Okazało się, że od urodzenia wszyscy nazywali go Zbyszkciem. Imię Karol było urzędniczą pomyłką, której nigdy nie sprostował. Zawsze podpisywał się drugim imieniem i kilka razy doprowadziło to do bardziej lub mniej zabawnych nieporozumień. Z tego powodu urzędnik stanu cywilnego chciał unieważnić nawet jego ślub.

— I dobrze by zrobił — opowiadał pan Zbigniew, zaciągając się co chwila papierosem. — Moja była żona była straszną cholera. Od początku się nie dogadywaliśmy. Jedyne, co nam razem wyszło, to nasza córka. Od urodzenia była prześliczna, a my... Mnie pan widzi, a moja stara była brzydka jak noc.

Kaśka była nawet zbyt ładna. Cały czas kręcili się przy niej chłopcy. Zaczęło się już w przedszkolu, a gdy poszła do liceum, sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli. Pan Zbigniew zachowywał się jak typowy ojciec jedynaczki. Był o nią cholernie zazdrosny.

— Kiedy się okazało, że na wakacyjnym obozie zaszła w ciążę, nie mogłem się z tym pogodzić. Widzi pan, była tylko o rok starsza od tej Alinki. Nie rozmawiałem z nią przez miesiąc. A kiedy wreszcie się przemogłem, było już za późno. Przyjęła oświadczyzny tego pętaka i przeniosła się z Brodnicy do Mogielna. Wtedy widziałem ją ostatni raz. Przez resztę jej życia nie zamieniliśmy nawet jednego słowa.

— Słucham?

Zwiesił głowę.

— Nie rozumie pan tego, prawda? Pan jest z innej gliny. Ale my oboje byliśmy zbyt dumni, by ustąpić. Ja miałem jej za złe, że wyszła za męża bez mojego błogosławieństwa, a ona... Teraz to rozumiem. Nie umiała mi wybaczyć, że po tym, jak zaszła w ciążę, zostawiłem ją samą sobie. Gdyby można było cofnąć czas... Ale nie można. Czasem jest już za późno, żeby powiedzieć „przepraszam”.

Informacja o śmierci córki dotarła do niego z blisko miesięcznym opóźnieniem.

Był już wtedy po rozwodzie i przebywał za granicą. Na początku nie chciał uwierzyć. Przyjechał do Mogielna i odnalazł na cmentarzu jej grób. Wtedy uwierzył, a jego życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. To było pięć lat temu.

— Od tego momentu każde wakacje spędzam w „Rybitwie”...

— Wiem — kiwnąłem głową, bo Ilona przed dwoma dniami wyciągnęła dla mnie tę informację z archiwum ośrodka.

— Nie mogłem pogodzić się z tym, że los odebrał nam szansę na pojednanie — ciągnął, skrywając twarz w dłoniach. — Wiedziałem, że nie była idealna. Ale była moją córką. Myślałem o niej dzień i noc. Przyjeżdżałem do „Rybitwy”, siadałem w miejscu, gdzie zginęła, i całymi godzinami rozmyślałem...

— Spotkaliśmy się tam — wtrąciłem, przypominając sobie zarośnięte miejsce po zgłiszczach „Brdy”. — Opowiadał pan coś o swoim psie...

— Nie chciałem, by ludzie wiedzieli o moim cierpieniu. To była sprawa między mną a Kaśką.

Im dłużej o tym myślał, tym częściej dochodził do wniosku, że to nie mógł być wypadek, a jego córka została zamordowana. Próbował dopytywać o szczegóły tamtej nocy, ale nie bardzo wiedział, do kogo się udać. Przez pięć lat nie dowiedział się niemal niczego.

— Przed kilkoma tygodniami zadzwonił do mnie pan Tadeusz. Powiedział, że jest detektywem i zbiera informacje o mojej córce. Spotkaliśmy się już w „Rybitwie”. On też nie wierzył w przypadek. Zaproponował mi wspólne poszukiwanie mordercy, a ja się zgodziłem.

Nie zdołali wpaść na żaden trop. Ale to z ust pana Tadeusza po raz pierwszy od kilkunastu lat usłyszał o wnuku. Zanim doszło do pierwszego morderstwa, zdążyli spotkać się dwukrotnie.

— Nie wiedział, że jestem jego dziadkiem. Poznał mnie jako „współpracownika” pana Tadeusza. Byłem dla niego tylko kolejnym detektywem. A on... Do tej chwili nie wiem, czy go lubię. Za dużo w nim tego Rafała, chociaż z drugiej strony... Jest tak podobny do Kaśki!

Przez delikatność nie wspominałem, że porównanie do córki nie było dobrą rekomendacją. Chyba że chodziło mu tylko o wygląd.

— Mówił pan o nim jako o swoim wnuku — przypomniałem. — Mnie i pańskiemu sąsiadowi...

— A co miałem mówić? Że potajemnie umawiam się z młodym chłopakiem? To była dobra legenda. Najlepsza, bo... oparta na prawdzie — przez moment rechotał, ale później znów posmutniał.

Westchnąłem. Pod pewnymi względami podobny był do starego Macieja. Obaj utracili córki, z tym że pan Zbigniew stracił swoją na długo przed jej śmiercią. Różniło ich jedno — byłem pewien, że gdyby Alina mogła urodzić to dziecko, stary rybak pokochałby je tak samo, jak kochał córkę. Pan Zbigniew najwyraźniej miał z tym problem. Nie wiedział, co sądzić o wnuku.

— Chce pan się przed nim... ujawnić? — spytałem, nie mogąc znaleźć lepszego słowa.

Wzruszył ramionami.

— To chyba nie ma sensu. Może kiedyś, kiedy będę gotowy...

Załamałem w duchu ręce. Pan Zbigniew miał sześćdziesiąt kilka lat, ale życie niczego go nie nauczyło. Wciąż odkładał na później to, co należało załatwić jak najszybciej. Ale to nie była moja sprawa.

Słońce zniknęło za ścianą drzew na przeciwnym brzegu jeziora. Cienie robiły się coraz dłuższe.

— Nie widział pan tu czasem takiej filigranowej brunetki? — zapytałem, ale nie miał mi nic do powiedzenia o Marysi.

Podniosłem się z trawy i otrzepałem spodnie. Chciałem już iść, ale coś mnie powstrzymywało. Targały mną wątpliwości. Powiedzieć czy nie powiedzieć?

— Jeżeli dowiedziałby się pan prawdy... Co by pan zrobił?

Popatrzył w kierunku chałupy starego Macieja. A potem przeniósł wzrok na mnie.

— Nie to, co on... Może kiedyś też chciałbym zabić, ale teraz... — zamyślił się. — Teraz już nie. Teraz chciałbym tylko wiedzieć. Chciałbym, żeby zgnił w więzieniu.

Na taką odpowiedź czekałem. Ukląknę naprzeciwko niego i zdradziłem mu nazwisko mordercy jego córki. W jego oczach pojawił się dziwny błysk. Przez chwilę sądziłem, że mówiąc mu o Mauerze, popełniłem błąd.

Ale jemu nie chodziło o krwawą zemstę. Błysk spowodowany był czym innym.

— Ten prokurator... Niedawno go widziałem — wybełkotał, patrząc na mnie przez rozszerzone źrenice. — Wyglądał tak, jakby się bardzo spieszył.

— Gdzie go pan widział? W Mogielnie?

— Nie. Tutaj, w Gęglawkach. Szedł w stronę swojej działki. Co pan tak patrzy?

— Jakiej działki? — spytałem, rżąc niczym astmatyk.

— Zwykłej. Rekreacyjnej — odpowiedział pan Zbigniew. — Przy ośrodku wojskowym jest kilka takich działek. Jedna należy do niego...

Wstał i spojrzał na mnie znacząco.

— Idziemy. Nie ma co czekać.

Pan Zbigniew rozmyślił się mniej więcej w połowie drogi. Odniosłem wrażenie, że im bliżej byliśmy celu, tym szedł coraz wolniej. Od momentu, w którym dotarliśmy do ogrodzenia Wojskowego Ośrodka Wypoczynkowego, posuwał się jak ślimak.

— Wszystko w porządku? — spytałem.

Przechodziliśmy obok kortów tenisowych. W sezonie nawet o tak późnej porze ustawiała się do nich kolejka, ale teraz były puste. Siatki zwisały smętnie, czekając na zimę.

— Chyba nie mam ochoty na to spotkanie — mruknął mężczyzna. — Moje serce mogłoby tego nie wytrzymać.

Rzeczywiście wyglądał kiepsko. Jego twarz była czerwona jak pomidor. Diagnoza wydawała się oczywista. Nie trzeba było być lekarzem, żeby rozpoznać objawy zaawansowanej wieńcówki. Położyłem mu rękę na ramieniu.

— Zadzwoń po pomoc? — spytałem, bo nie miałem ochoty jeszcze przechodzić przez to, co wczoraj z Michałem.

— Nie, dzięki — pokręcił głową pan Zbigniew. — Zaraz przejdzie. Muszę tylko

trochę posiedzieć.

Odprowadziłem go pod wiatę przystanku PKS-u. Dyszał ciężko, a na jego górnej wardze perliły się kropelki potu.

— Na pewno nie wzywać karetki? — upewniłem się.

— Nie ma takiej potrzeby.

Nie mogliśmy wiedzieć, że w ciągu pół godziny — dokładnie w tym miejscu — i tak pojawi się karetka...

Zostawiłem go na przystanku i — nadrabiając stracone minuty — pognąłem w kierunku ogródków działkowych. Były wciśnięte między parkan WOW-u i ścianę lasu. Nie było to najpiękniejsze miejsce. Niewielkie domki stały tak blisko siebie, że sąsiedzi zaglądali sobie do okien. Widok na jezioro zasłaniały odrapane budynki gospodarcze ośrodka. W sezonie było tu głośno i tłoczno, ale teraz światła paliły się tylko w jednym z domków. Czwartym od ściany lasu, czyli tym, który — według pana Zbigniewa — należał do Mauera.

Nie bawiłem się w konwenanse. Myślałem o Marysi, a wyobrażenia podsuwała mi paskudne obrazy. Nie tracąc czasu na szukanie furtki, przeskoczyłem przez ogrodzenie i podbiegłem do drzwi. Były zamknięte na klucz, ale nie stanowiło to dla mnie problemu. Wykopałem je z zawiasów i wpadłem do środka.

Domek był malutki. Była w nim tylko jedna, niewielka izba — co najwyżej dwadzieścia metrów kwadratowych. Na jej umeblowanie składały się: stół, dwa krzesła, tapczan i niepasująca do tego wnętrza skórzana sofa. Na próżno szukałem wzrokiem Marysi. W izbie była tylko jedna osoba. Na sofie siedział Patryk Mauer. W lewej dłoni ścisnął wycelowany w drzwi pistolet.

Odruchowo podniosłem ręce do góry.

— Gdzie jest Marysia? — spytałem, patrząc na niego z nienawiścią.

Wyglądał dziwnie. Miał potargane włosy, pogniecioną koszulę i dziki wzrok. Po jego elegancji nie zostało nawet wspomnienie.

— Nie wiem — odparł drewnianym głosem. — Poszła sobie.

Nie uwierzyłem mu. Na twarzy wypisane miał poczucie winy.

— Mnie też zabijesz?! — warknąłem, patrząc na pistolet.

Popatrzył na mnie zimno. A potem podniósł broń. Przez jego ciało przeszedł nagły dreszcz. Zanim zdążyłem zareagować, wsadził ją sobie do ust.

Miałem nadzieję, że wystrzeli. Ale zamiast huku usłyszałem szloch. Zamknął oczy, a zwiotcząca ręka opadła na miękką poręcz sofy. Pistolet wypadł z dłoni i wylądował na podłodze. Błyskawicznie go podniosłem.

— Na co czekasz? Zastrzel mnie — powiedział obojętnie.

Wymierzyłem w niego, ale nie byłem w stanie nacisnąć na cyngiel.

— Też nie potrafisz? W takim razie obaj jesteście mięczakami.

Mówił jak robot. Odniosłem wrażenie, że nie zależy mu już na niczym. Obróciłem w dłoniach pistolet i po chwili udało mi się odpiąć magazynek. Odciągnąłem zamek i wy dobyłem pocisk wprowadzony do komory. Położyłem bezużyteczną już broń na stoliku, po czym zbliżyłem się do niego na odległość metra.

— Co zrobiłeś mojej bratowej? — spytałem ponownie, zaciskając pięść.

Moja manifestacja przemocy nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Nic dziwnego. W końcu przed kilkunastoma sekundami chciał się zabić.

— Nic jej nie zrobiłem — szepnął, kładąc dłoń na sercu. — Nie umiałbym. Ja ją kocham...

Nie zaskoczyła mnie jego deklaracja. W końcu gdyby było inaczej, nie trzymałby w sypialni jej zdjęć. Ale to nie była zdrowa miłość. W więzieniach znajdowało się pełno osób, które zabiły w imię takiej właśnie miłości. Koktajl źle ulokowanych uczuć potrafił być bardzo niebezpieczną mieszanką...

— Gdzie jest?! — powtórzyłem, tańcząc przed nim jak bokser.

— Spotkaliśmy się, ale odeszła — wyrzucił z siebie, a potem się rozplakał. Wyglądał żałośnie.

— Nic dziwnego, że odeszła — mruknąłem, wzdychając z ulgą. — Nikt nie lubi szajbusów. A tym bardziej szajbusów, którzy zostali mordercami.

Podniósł na mnie załzawione oczy.

— Nigdy nikogo nie zabiłem — powiedział z mocą. — I nigdy bym nie zabił. Sam widziałeś, że nie umiałem nawet zabić siebie.

Parsknąłem szyderczym śmiechem.

— Takie gadki to możesz sobie wstawiać przed sądem. Ale i tak posiedzisz dwadzieścia pięć lat. W gwarze więziennej taki wyrok nazywano kiedyś „chałupa”, wiesz? Do Kate Dzwonkowskiej dołożą ci pana Tadeusza. „Chałupa”, bez dwóch zdań...

Wzruszył ramionami.

— Może być „chałupa”, mnie tam wszystko jedno. Ale nie posadzą mnie za morderstwo. Ze śmiercią tego detektywa nie miałem nic wspólnego...

— Tak mówisz, ale to nie znaczy, że ci uwierzą.

Westchnął ciężko.

— Uwierzą. W dniu, kiedy go zabili, byłem na konferencji w Warszawie. Jadłem obiad z zastępcą szefa Prokuratury Krajowej. Trudno o lepsze alibi...

Urwał, a ja na chwilę zgłupiałem. Blefował czy nie blefował? Rozsądek podpowiadał mi, że człowiek, który dopiero co wkładał sobie do ust lufę pistoletu, nie jest w nastroju do kłamstwa. Ale skoro to nie on był mordercą, to kto?

— Po co spotykałeś się dzisiaj z Marysią? — zaatakowałem go kolejnym pytaniem.

Potrząsnął głową.

— Chciałem jej powiedzieć, że ją kocham — powiedział głosem boksera, którego właśnie ktoś znokoutował. — Bałem się, że to ostatnia okazja. Byłem dziś śledzony... Wiem o dzisiejszym zatrzymaniu i tej całej akcji Biura Spraw Wewnętrznych. Zadzwoiłem do niej dzisiaj w południe, a ona zapytała, czy wiem, gdzie jest Michał. Skłamałem, że wiem, i kazałem jej tu przyjechać...

— Wybrałeś sobie dobry moment na amory — skomentowałem z przekąsem, ale udał, że mnie nie słyszy.

— Wyznałem jej miłość, a ona wciąż pytała o Michała. W końcu wyszła, ale zanim to zrobiła... Ona powiedziała mi, że wie. Od lat wiedziała, że ją kocham, a mimo to nigdy nie dała mi szansy...

Pociągnął nosem. Znow znalazł się na granicy płaczu. Nie miałem ochoty tego

słuchać. Chciało mi się rzygać.

— Weź przestań, bo zaraz się rozplacę — przerwałem mu z obrzydzeniem. — Jesteś kompletnym śmieciem. Mało ci było Kate Dzwonkowskiej? Musiałeś prześladować jeszcze Marysię?

Zamrugał oczami. Miał taką minę, jakbym go spoliczkował.

— Nie prześladowałem jej — zaprotestował tak żarliwie, że aż się zdziwiłem. — Przeciwnie. Bardzo jej pomogłem...

— Nie chce mi się z tobą gadać — stwierdziłem, po czym wyciągnąłem komórkę. Chciałem zadzwonić po policję, ale niespodziewanie chwycił mnie za rękę.

— Posłuchaj mnie — zaskomlał. — Proszę, muszę ci to powiedzieć!

Wyrwałem się z jego uścisku, a potem uderzyłem go w twarz otwartą dłonią.

— Ręce przy sobie — warknąłem, ale mój cios go nie zniechęcił. Znów wyciągnął w moją stronę rozcapierzone palce.

— Wysłuchaj mnie! To nie ja zabiłem Kate Dzwonkowską...

Cofnąłem się o krok i zmierzyłem go zimnym spojrzeniem.

— Nie ty? A niby kto? — spytałem, a potem wbrew sobie zacząłem go słuchać. Na czoło wystąpił mi zimny pot...

Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Spotkali się na balu w noc świętojańską, wkrótce po jego przeniesieniu z Ostrołęki. Była zachwycająca. Miała czarne jak węgle oczy i najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widział. Flirtowali przez chwilę przy barze, a potem rozeszli się każde w swoją stronę. Od tego dnia Mauer, który zawsze twardo stąpał po ziemi, zaczął pisać wiersze.

Nie miał dobrych doświadczeń z kobietami. Zwykle nie umiały zaakceptować jego... nieśmiałości w alkowie, ale Marysia wydawała się inna. Zawsze gdy się widywali, miała dla niego jakieś dobre słowo. Nie dostrzegał, że jest miła dla każdego, że taki po prostu ma charakter. Widział to, co chciał widzieć, i na tych nietrwałych fundamentach wznosił zamek swej miłości.

Nie lubił imprez, ale dla niej był w stanie znieść dosłownie wszystko. Zaczął bywać na „mogielneńskich salonach”, poznając coraz więcej ludzi. W końcu poznał też jej męża i z miejsca go znienawidził. Nienawidził go z całego serca przez wszystkie te lata, co nie przeszkadzało mu brać od niego łapówek. Marzył o tym, że pewnego dnia odbierze mu żonę, majątek i wolność. Chciał, by dokonano się to naturalnie, ale po pięciu latach stracił cierpliwość i postanowił wziąć wszystko w swoje ręce.

Tego wieczoru było tak gorąco, że złamał swoje zasady, rezygnując z marynarki. Miał ochotę zostać w domu, ale w „Rybitwie” miała się pojawić ona. Działała na niego jak narkotyk. Nie umiałby nie przyjść. Dlatego zamiast leżeć w rozwieszonym na działce hamaku, przeciskał się między spoconymi ludźmi, walcząc o miejsce przy zatłoczonym barze, gdzie serwowano zimne piwo.

Gdy wreszcie został obsłużony, poszukał wzrokiem swej miłości. Ale zamiast niej jak spod ziemi wyrósł Michał. Mimo relatywnie wczesnej pory był już ostro wcięty.

— Witam nadzór prokuratorski! — parsknął śmiechem, parafrazując scenę z serialu „07 zgłoś się”.

Mauer miał ochotę chlusnąć mu alkoholem prosto w twarz, ale zdołał się

powstrzymać. Na szczęście nie musiał podejmować rozmowy, bo obok nich pojawiła się Kate Dzwonkowska, rozsiewając wokół siebie zapach drogich perfum.

— Cześć, przystojniaki! — zagaiła, po czym uwiesiła się na ramieniu Michała. — Co popijacie?

Wyjęła z dłoni Michała kufel piwa i umoczyła w nim usta. A potem oblizła się zmysłowo, opierając się o niego piersiami. Pod letnią sukienką nie miała stanika.

— Kochanie — szepnęła, a potem stanęła na palcach i polizła go po szyi. — Zatańczymy?

Pan Kazik z „Kobry” grał akurat jakąś polską balladę, ale Michał nie miał ochoty na pląsy. Mruknął coś pod nosem i szybko się zmył. Wyglądał na zawstydzonego.

— Ale ciacho. — Kate jeszcze raz się oblizła i mrugnęła do Mauera. — Oddałabym wszystko, by go mieć.

Mauer nie bawił się dobrze. Marysia podeszła do niego tylko raz, tuż po północy. Spytała, czy nie widział jej męża. Obiecał, że się za nim rozejrzy, i wyszedł w noc. Znalazł go na wpół leżącego na schodkach.

— Ale się upilem — wybelkotał Michał. — Idę spać...

Mauer odprowadził go do głównego budynku, a potem ruszył na poszukiwania Marysi, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć. Natknął się natomiast na Kate Dzwonkowską, która prowadziła za sobą rozanielonego burmistrza. Podążyli w kierunku samotnej „Brdy”, co chwila się całując. Prokurator przypomniał sobie jej słowa o Michale. Równie dobrze to Michał mógł być na miejscu burmistrza. Najwyraźniej dziewczynie było wszystko jedno, z kim się dziś prześpi.

Skręcił między domki i niespodziewanie stanął twarzą w twarz ze starym znajomym. Dwa lata wcześniej oskarżał go o rozbój, ale mężczyzna najwyraźniej nie miał żalu.

— Witam, panie prokuratorze — mężczyzna o ksywce Rudy uchylił kaszkiet i strzelił obcasami. — Co za okropna noc...

Mauer przypomniał sobie, że mężczyzna był z Nadrowa, czyli osady, w której kiedyś miał siedzibę lokalny PGR. Nie widział jego nazwiska na liście gości. Pogroził mu palcem.

— Nie przyszedłeś tu kraść? — spytał z uśmiechem, chociaż był prawie pewien, że właśnie tak było.

— Ależ skąd — zarzekał się mężczyzna, mrugając okiem. — Przyszedłem tutaj, bo lubię posłuchać muzyki.

Mauer obrzucił go groźnym spojrzeniem, po czym poczłapał w kierunku recepcji. Nagle jego serce zabiło mocniej niż kiedykolwiek. Wśród drzew dostrzegł kobiecą postać. Marysię. Jak zwykle trochę go przytknęło, ale na szczęście ona też go zauważyła.

— Już nie mogę z tym swoim starym — westchnęła. — Ta Dzwonkowska nie ma za grosz wstydu...

Marysia narzekała dalej, a on odruchowo potakiwał. W jego umyśle w ciągu kilku sekund wykrystalizował się karkołomny plan. Postanowił działać. Nie miał ochoty dłużej na nią czekać.

— Zaczekaj chwilę, skoczę do łazienki — poprosił ją, po czym zniknął w mroku i za moment stał przed mężczyzną z Nadrowa.

— Pokój numer czternaście... Dobrze, mogę go tam zanieść — zgodził się bandzior,

chowając do kieszeni trzy stułotowe banknoty.

Mauer biegiem wrócił do Marysi. Ziewała jak krokodyl.

— Idę spać — stwierdziła, ale on zaczął ją namawiać na krótki spacer. — Dobrze, skoro tak ci zależy... Ale tylko chwilkę, bo zasypiam.

Ruszyli ciemnymi alejkami. Mauer szedł powoli i plół coś trzy po trzy. Znad jeziora powiała chłodna bryza. Zrobiło się przyjemniej, ale Marysia szybko zaczęła tracić cierpliwość.

— Wracajmy, dobrze? — poprosiła, ale Mauer ubłagał ją, by jeszcze z nim została.

Po dobrym kwadransie znaleźli się w okolicach „Brdy”. Prokurator miał nadzieję, że opłacony przez niego bandzior zdążył na czas przywlec pijanego Michała i zostawić go przed domkiem. Chciał, by Marysia pomyślała, że mąż spędził noc z Kate Dzwonkowską. Plan był idiotyczny, ale najzabawniejsze było to, że mógł się udać. Mauer nie przewidział jednego. Marysia miała słaby wzrok.

— Spójrz! Czy to nie Michał? — spytał z udawanym zdziwieniem, gdy dostrzegł przed domkiem leżącego mężczyznę.

— Gdzie? — zapytała dziewczyna, bezradnie wpatrując się w ciemność.

Była zaskoczona, bo przed dwoma godzinami widziała go w ich pokoju.

— Tam — wskazał Mauer. — To chyba domek Kate...

Na dźwięk imienia rywalki Marysia wpadła w szal. Ruszyła biegiem, niemal potykając się o leżącego w piachu męża. Nieświadoma jego obecności minęła go i — zanim Mauer zdołał ją powstrzymać — wpadła do domku...

— Co?! — spytałem, nie wierząc własnym uszom.

— Wpadła do sypialni i zobaczyła pod kołdrą dwa ciała — kobietę i mężczyznę. A na ścianie wisiał zabytkowy nóż. Nawet się im nie przyjrzała. Nie wiem, co ją opętało. Machnęła tym nożem i przebiła jej szyję, zawadzając o kręgosłup. Przerwała rdzeń kręgowy. Jeden przypadek na milion...

— Marysia? — wydukałem.

— Nie, duch święty — parsknął. — Chwyciłem ją wpół i wyniosłem. Złapała leżącego Michała i zaczęła płakać. Zawołałem tego bandziora z Nadrowa i kazałem mu ich stąd zabrać. Szybko się połapał, ale nie zadawał pytań. Zdążyłem zobaczyć, że siłą napoił Marysię wódką z piersiówki, a potem... Potem musiałem wrócić do wnętrza domku, bo burmistrz zaczął krzyczeć...

— Postanowiłeś ją kryć?

— Zachowywałem się tak, jakbym to ja zabił Dzwonkowską. Na szczęście miałem na niego haka. Burmistrz do dzisiaj nie pisał na ten temat nawet słówkiem. Gdy mnie widzi, od razu ucieka... Kazałem mu jechać i zabrać ze sobą Marysię. Była pijana, ledwo trzymała się na nogach. Kiedy poszli...

— ...wywołałeś pożar, tak?

Pokiwał głową.

— To był pomysł tego bandziora. W sieni znalazł kanister z benzyną i jakieś butle z gazem. Zrobiliśmy to we dwóch... Twój brat nie bardzo kontaktował, ale w końcu dotarło do niego, co się stało, i pod koniec nam pomagał. Potem wraz z tym bandytą uciekli, a ja... — urwał i przez chwilę nasłuchiwał. — Wzywałeś policję?

Wyrzałem przez okno. Na dworze panował już półmrok, ale na tle nieba wyraźnie widać było grupkę szybko zbliżających się do drzwi policjantów. Pomyślałem o panu Zbigniewie. Byłem gotów się założyć, że to on zadzwonił pod sto dwanaście.

— Idą po ciebie — mruknąłem bez cienia współczucia.

Popatrzył na mnie obojętnie, po czym — jak gdyby nigdy nic — podjął w miejscu, w którym przerwał.

— Wezwałem straż pożarną. Ruszyło śledztwo, ale nie było żadnych dowodów na udział osób trzecich. Pozostał tylko jeden problem — urwał, bo rozległo się walenie w drzwi i do izby wpadli policjanci. — Ale o tym już innym razem... — dodał spokojnie, po czym bez oporu sam położył się na ziemi.

Siwy policjant wszedł do pomieszczenia jako ostatni i już od progu obrzucił mnie jadowitym spojrzeniem.

— Co za spotkanie — mruknął, po czym zaskakująco zwinnym ruchem podciął mi nogi, przewracając na ziemię.

Dziesięć minut później byłem wolny. Policjanci obszukali mnie dokładnie, po czym pozwolili wstać. Nie czekałem, aż skończą przeszukiwać domek. Spytałem, czy mogę iść, a siwy policjant przyzwalająco skinął głową.

— Naprawdę nie wiesz, gdzie może być twój brat? — zapytał bez większej wiary w głosie.

Po raz kolejny zaprzeczyłem, a w duchu zwyzywałem go od naiwniaków. Rzeczywiście liczył, że gdybym znał miejsce pobytu Michała, to tak po prostu bym mu je zdradził? Wyglądało na to, że jego postrzeganie rodzinnej lojalności było kompletnie wypaczone.

Wychodząc, rzuciłem okiem na siedzącego w kącie Maue-ra, a on popatrzył na mnie obojętnie. Jego nadgarstki skute były kajdankami.

— Pozdrowienia do więzienia — rzuciłem w jego kierunku pseudokibicowski slogan, uśmiechając się złośliwie.

Niespodziewanie się zaśmiał.

— Jesteś ślepy — mruknął, a mnie zrobiło się jakoś dziwnie.

— Co to miało znaczyć? — spytałem, cofając się od drzwi.

Patrzył na mnie z chorą satysfakcją. Jego wargi wciąż rozciągały się w uśmiechu.

— Pamiętasz tę noc, kiedy rozsypało ci się życie? — wycedził. — To ja ukradłem ci te pięć lat...

Wzruszyłem ramionami.

— O czym ty mówisz? — zapytałem z autentyczną ciekawością. — Niczego mi nie ukradłeś. To ten twój kumpel wnioskuje o pięć lat...

Jego oczy błysnęły triumfalnie.

— Świetnie się spisał, to prawda. Ale to ode mnie się zaczęło...

Byłem coraz bardziej skołowany.

— Co się zaczęło? — spytałem.

Zrobił efektowną pauzę, niczym aktor na scenie, ale jego występ nie doszedł do skutku. Między nami stanął jeden z policjantów.

— Zamknijcie się! — warknął, a potem stanowczo mnie odepchnął. — Panu już

dziękujemy.

Nie chciałem mu się narażać. Posłałem Mauerowi ostatnie zdziwione spojrzenie, a potem ruszyłem do drzwi. Gdy moja dłoń nacisnęła klamkę, prokurator odezwał się raz jeszcze. Jego głos smagnął mnie niczym bat.

— Porozmawiaj z Michałem! — krzyknął. — On powie ci, jak było naprawdę...

Odwrociłem się, ale napotkałem spojrzenie coraz bardziej zirytowanego policjanta. Pchnąłem drzwi i wyszedłem w wieczorny półmrok. Przed działką stały dwa policyjne radiowozy. Nieco dalej zauważyłem stojącą na sygnale karetkę. Tajemnicze słowa Mauera natychmiast wywietrzały mi z głowy.

Ruszyłem w stronę karetki szybkim krokiem, ale nie zdążyłem pokonać nawet połowy dzielącej nas odległości, gdy odjechała. W pierwszej kolejności pomyślałem o panu Zbyszku, ale to nie on potrzebował pomocy. Stał obok przystanku i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Nie miałem już wątpliwości, że to on zadzwonił po policję. Ale co w takim razie robiła tu erka?

— Ilona? — zapytałem, widząc wśród kilku zgromadzonych obok przystanku osób kobiecą sylwetkę.

Tak, to była ona. Odwróciła się i szybko do mnie podbiegła. Dostrzegłem, że jest blada i bardzo zmęczona.

— Marcin! — Oparła się o mnie falującą piersią. — Tak mi przykro...

Poczułem, jak strach ściska mi gardło.

— To był Michał? — spytałem, modląc się w duchu, żeby zaprzeczyła.

Zaprzeczyła. Ale wcale nie zrobiło mi się lepiej.

— To Marysia — wydyszała. — Znalazłam ją na skraju lasu. Była nieprzytomna. Jakoś ją tu przywlekłam, a Włodek zadzwonił po pomoc.

Wśród grupki gapiów dostrzegłem swojego przyjaciela.

— Co z nią? — spytałem, a on wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Nie umiałem jej docucić. Zabrali ją do szpitala.

Poprosiłem, by mnie podwiózł. Potruchtaliśmy w kierunku ośrodka, a Ilona ruszyła za nami. Po chwili siedzieliśmy już w transportowym busie. Wokół nas walały się kartony przemyconych papierosów.

— Co z Adasiem? — zapytałem Ilonę, chcąc chociaż przez chwilę oderwać myśli od mojej nieprzytomnej bratowej.

— Rozstaliśmy się przy leśnej drodze — poinformowała. — Miał tam samochód. O tej porze pewnie jest już na komendzie.

Opowiedziałem jej o starym Macieju. Wyglądała na zaskoczoną.

— Byłam wczoraj w jego chałupie i widziałam to rodzinne zdjęcie. Ale on mówił, że córka wyjechała...

Westchnąłem ze współczuciem.

— Kto wie, może łatwiej mu wierzyć w to, że kiedyś do niego wróci...

Zapiekł mnie oczy. A gdy moje myśli pomknęły w kierunku Marysi, o mało się nie rozplakałem. Patrząc przez okno, jak nad bagiennym krajobrazem zapada noc, zastanawiałem się nad jednym. Kiedy to wszystko się tak spieszyło...

Włodek wysadził nas na granicy miasta. Ze swoją — jak to określił — kontrabandą

bał się wjeżdżać dalej, a my go rozumieliśmy. Przebiegliśmy te kilkaset metrów i ciężko dysząc, wpadliśmy do szpitala. Na pytanie o kobietę przywiezioną przed chwilą karetką, szatniarz skierował nas na OIOM. Wpadając tam, miałem uczucie déjà vu.

— Prosto z karetki zabrali ją na stół — poinformowała nas zmęczonym głosem pielęgniarka. — Proszę zaczekać na korytarzu.

Kolejną noc spędzałem w szpitalu i zaczynałem mieć już tego dość. Poprosiłem Ilonę, by czatowała pod wejściem na blok operacyjny, a sam poszedłem do toalety nieco się orzeźwić. Wsadziłem głowę pod kran i przez dłuższą chwilę trzymałem ją pod strumieniem letniej wody.

— Aż tak źle?

Szum wody zagłuszał słowa, uniemożliwiając rozpoznanie głosu. Wyprostowałem się i wierzchem dłoni otarłem twarz. Woda spływała mi z włosów, mocząc podkoszulek, ale nawet tego nie poczułem. Ze zdziwieniem wpatrywałem się w myjącego ręce w sąsiedniej umywalce mężczyznę.

— Cześć, Bierut — wymamrotałem wreszcie. — Co ty tu robisz?

Urwałem trzy listki papierowego ręcznika i wytarłem mokre włosy. Rzut oka w lustro upewnił mnie, że nie wyglądałem kwitnąco. Miałem podkrążone oczy, a wokół moich ust zarysowały się głębokie bruzdy. Nadmiar wrażeń najwyraźniej mi nie służył, ale mój kumpel litościwie powstrzymał się od komentarza.

— Jestem tu w charakterze księdza spowiednika — oznajmił, a mnie opadła szczęka.

— Mógłbyś uściślić? — poprosiłem. — Nie mam nastroju na rozwiązywanie krzyżówek...

Miałem tak zmęczony głos, że postanowił porzucić swój zwykły, drwiący ton.

— W tym szpitalu umiera mój kolega. Siedzieliśmy razem przez kilka lat, jeszcze na Rakowieckiej. Zostało mu już niewiele czasu. Jak go odwiedzam, czuję się jak ksiądz przychodzący z ostatnim namaszczeniem...

Przypomniałem sobie słowa Felka, mojego przyjaciela z Nidzicy.

— Czy to czasem nie Arek... — zawiesiłem głos, usiłując przypomnieć sobie nazwisko, ale Bierut wypowiedział je za mnie.

— Arek Maciejewski... Wy się znacie? — spytał, szeroko się uśmiechając.

Wy tłumaczyłem mu, o co chodzi. Nie wiedział, po co jego umierającemu koledze był adres mojego brata, ale postanowił pomóc.

— Tylko po cichu, bo jest już po godzinach odwiedzin, a tutejsze piguły potrafią być uparte...

Zaprowadził mnie do bocznego skrzydła. Na pierwszym piętrze ulokowany był oddział paliatywny. Było to ponure miejsce, a na domiar złego już wpadliśmy właśnie na pielęgniarkę.

— Co tu robicie? — zaatakowała nas, tarasując przejście.

Sięgnęła ręką i wcisnęła przycisk. Myślałem, że wzywa w ten sposób ochronę, ale okazało się, że chciała nas po prostu lepiej widzieć. Pogrążony dotąd w półmroku korytarz zalało świat-ło kilkunastu jarzeniówek. Zamrugałem oczami, oślepiony ich ostrym blaskiem. „Piguła” natychmiast zgasła światło i wydukała przeprosiny. Znow

zamrugalem, tym razem ze zdziwienia.

— Panowie do pana Arkadiusza? Proszę bardzo, chyba jeszcze nie śpi.

Bierut zerknął na mnie ze zdumieniem. Sam nie wiedziałem, dlaczego pielęgniarka zaczęła nas nagle traktować jak kontrolę z ministerstwa zdrowia. Tajemnica wyjaśniła się jednak dość szybko.

— Jesteśmy na miejscu. — Kobieta wskazała na zamknięte drzwi. — Jakby coś było potrzebne, to będę w pokoju numer pięć.

— Dziękujemy — bąknąłem.

— Nie ma za co. Proszę pozdrowić pana dyrektora — dygnęła jak pensjonarka i pożeglowała korytarzem, kręcąc monstrualnymi biodrami.

Zrozumiałem, że widziała dziś rano, jak rozmawiałem z Januszem. Widocznie uznała, że jesteśmy przyjaciółmi. Po tym, jak mnie potraktowała, doszedłem do wniosku, że musiał być tyranem, któremu lepiej nie podpadać.

Wciąż zdziwiony Bierut pchnął oszklone drzwi i po cichu wszedł do sali. Stały w niej dwa łóżka. Na jednym cicho chrapał jakiś staruszek. Mój kumpel minął go bez słowa i podszedł do drugiego łóżka, w którym leżał przy lampce nocnej dużo młodszy mężczyzna. Podszedłem bliżej i spostrzegłem, że wyglądał na wynędzniałego, a jego głowa była łyśa jak kolano. Nie trzeba było medycznej wiedzy, by stwierdzić, że zżera go nowotwór. Słyszając nasze kroki, zamknął czytaną książkę i podniósł na nas oczy. Na tle jego wychudzonej twarzy wyglądały jak latarnie.

— Co tam, Bierut? — zapytał zaskakująco silnym głosem.

Zanim Bierut zdążył się odezwać, w krąg rzucanego przez lampkę światła wkroczyłem ja. Śmiertelnie chory mężczyzna obrzucił mnie spojrzeniem i nagle się ożywił.

— Cześć, Marcin! — podniósł się do pozycji półsiedzącej, a na jego wyniszczonej twarzy pojawił się uśmiech. — Nie poznajesz mnie, prawda?

Pokręciłem głową. Widok tej twarzy nie przywoływał żadnych wspomnień.

— Skąd mnie znasz? — spytałem, w ostatniej chwili rezygnując z formy „pan”.

Podniósł lampkę i przysunął ją do twarzy.

— Ciągle nic? Przecież to ja wysłałem ci ten list. Areszt śledczy w Białymstoku. Spaliśmy na sąsiednich kojach.

Coś zaczęło mi świtać. Rzeczywiście, był tam jakiś Arek. Ale z tego, co pamiętałem, ważył ze sto kilo i miał bujną czuprynę. Choroba była dla niego bezlitosna.

— Cześć, Arkadio. — Podałem mu rękę, wygrzebując z pamięci wariację jego imienia, którą się wówczas posługiwał. — Wybacz, ale w życiu bym cię nie poznał. Co to za cholerstwo? — spytałem, mając na myśli jego chorobę. Albo choroby.

Machnął ręką.

— Długo bym musiał wymieniać. Lepiej powiedz, co u ciebie? Felek mówił, że wyszedłeś...

Gadaliśmy przez chwilę, wymieniając się wspomnieniami. Ale zauważyłem, że Arkadio szybko się męczy, przeszedłem więc do rzeczy. Spytałem, po co mu był adres Michała.

— Jak to po co? — zapytał ze zdziwieniem. — Chciałem u niego zostawić ten list.

Nie znałem twojego adresu, a poza tym... Uznałem, że lepiej będzie, jeżeli skazaniec nie będzie pisał do innego skazańca, nawet jeżeli ten drugi został skazany... niesłusznie. Zrobiłeś coś z tym?

Nic z tego nie rozumiałem.

— Wysłałeś do mnie list? Nigdy go nie dostałem.

— Jak to? — mężczyzna sprawiał wrażenie zdziwionego. — Brat ci go nie przekazał?

Podrapałem się po głowie. Listy do mnie automatycznie trafiały do „Rybitwy”, ale skoro zaadresowałem go do Michała...

— No... nie — stwierdziłem. — A co w nim było? I o co chodzi z tym niesłusznym skazaniem? To fakt, siedziałem trochę za długo, ale w końcu... W końcu zabiłem człowieka.

Umierający mężczyzna popatrzył na mnie uważnie.

— Ty naprawdę nic nie wiesz? — zapytał, a jego pociągła twarz jeszcze się wydłużyła.

— Wiem tylko tyle — warknąłem — że na polecenie prokuratora policja z całego województwa szukała informacji o moich kolegach z celi. A ten prokurator — dodałem, przypominając sobie relację Artura z Mikołajek — jeździł z miejsca na miejsce i przesłuchiwał moich kolegów, czy aby się ze mną nie kontaktowali...

— Prokurator Mauer? — przerwał mi, a ja skinąłem głową. — No tak, to by wszystko tłumaczyło... List trafił w niepowołane ręce.

Gdyby nie był ciężko chory, chwyciłbym go za ramiona i mocno nim potrząsnął. Jego powolność doprowadzała mnie do szału.

— Skąd wiesz? — spytałem, z trudem nad sobą panując.

— Bo podpisałem się w nim jako „kolega zza krat”, a prokurator Mauer był jednym z jego bohaterów.

— Bohaterów listu?

— No... tak. Ale nie pomyślałem, że chodziło o areszt śledczy. Szukał tylko w zakładzie karnym w Bartoszycach...

Nadal nic nie rozumiałem, ale czułem coraz większy strach.

— Ale... dlaczego w ogóle szukał?

— To będzie dla ciebie szokiem, ale myślę, że teraz, gdy jest już po wszystkim, powinieneś wiedzieć. Dobrze, że się dziś spotkaliśmy. Jeszcze parę dni i mogłoby być za późno...

Nagle zacząłem się strasznie denerwować.

— Co to znaczy, że jest po wszystkim? Co chcesz mi powiedzieć?!

Bąłem się, że zaraz usłyszę coś, co wstrząśnie moim światem. Nie myliłem się. Wstrząsnęło, i to o wiele bardziej, niż sobie wyobrażałem.

— Chcę ci uświadomić tylko jedno — powiedział mężczyzna. — Spędziłeś pięć lat w więzieniu za coś, czego tak naprawdę nie zrobiłeś...

Wypił o dwa piwa za dużo i trafił na „dolek” w jakimś zabitym dechami Mogielnie. Alkohol zawsze wywoływał u niego agresję. Tym razem zwymyślał na dworcu babcię klozetową, a potem podbił oko interweniującemu policjantowi. Za coś takiego groziło do

dziesięciu lat, a jako recydywa mógł być pewien, że sąd nie będzie dla niego pobłażliwy.

Jedyna nadzieja w tym, że policjant nie powie, jak było naprawdę — myślał. Nie powinien tego mówić, także dla swojego dobra. Picie na służbie nie jest mile widziane, a funkcjonariusz — podobnie jak Arkadio — był w trakcie szarpaniny pijany jak świnia. Dochodził do siebie w sąsiedniej celi — Arkadio wyraźnie słyszał coraz głośniejsze stęknięcia.

W jego celi zamknięto jeszcze jednego mężczyznę. Typowego wieśniaka, którym Arkadio od samego początku głęboko pogardzał. Nie szanował ludzi, którzy biją kobiety, a Grzesiek — bo tak nazywał się jego niechciany towarzysz — trafił na „dołek” po domowej awanturze, podczas której złamał żonie rękę. Według tego, co mówił, na co dzień parął się kradzieżami. Arkadio też żył z włamań, ale w przeciwieństwie do Grzeška nie lubił się tym chwalić.

Po kilku godzinach przewieziono go do prokuratury. Wiedział, że zaraz wszystko się wyjaśni. Wytrzeźwiał już i był na siebie wściekły. Żeby tak głupio wpaść...

Prokurator był bardzo elegancki i bardzo zdenerwowany. Arkadio, który nie spotkał dotąd na swej przestępczej drodze zdenerwowanego prokuratora, nakazał sobie ostrożność. Usiadł na wskazanym miejscu i czekał na werdykt w swojej sprawie. Ale zamiast werdyktu usłyszał pytanie:

— Czy napije się pan kawy?

Zbaraniał, zapominając języka w gębie. Prokurator częstujący kawą? To nie mieściło się w głowie. Kiwnął głową i z ciekawością czekał, co będzie dalej.

Prokurator własnoręcznie nalał mu kawy, a potem zaczął kartkować jakieś akta. Arkadio dostrzegł, że strasznie drżą mu ręce. Po chwili sam się zdenerwował, bo zobaczył, że akta poświęcone są w całości jemu. Cóż, przez ostatnie lata trochę się tego nazbierało — pomyślał, szykując się na wszystko to, co najgorsze.

Ale okazało się, że prokurator wcale nie palił się do tego, by go zamykać. W ramach odkupienia zaproponował mu udział w policyjnej prowokacji.

— Musisz dać się pobić i udawać martwego — powiedział, po czym umilkł, czekając na reakcję.

Arkadio nie wierzył mu nawet przez sekundę. Wiedział, że policja nie korzysta z usług recydywistów. A poza tym prokurator był zbyt zdenerwowany. Wiedział, że nie pójdzie na żaden układ, ale postanowił dowiedzieć się jak najwięcej. I prokurator — nie radząc sobie ze stresem — zdradził mu dwa kolejne szczegóły.

Imię i nazwisko mężczyzny, wobec którego zastosowana miała być prowokacja, oraz scenariusz tej prowokacji, który zakładał pozorne zaatakowanie towarzyszącej mężczyźnie kobiety.

Dopiero wtedy powiedział „nie”. Prokurator zestresował się jeszcze bardziej, a następnego dnia Arkadio został przewieziony do aresztu śledczego, gdzie spędził kolejne sześć miesięcy — aż do oddalenia zarzutu pobicia policjanta.

Zanim jednak przewieziono go do Białegostoku, był świadkiem jak Grzesiek — jego towarzysz niedoli — został wezwany przez prokuratora. Stało się to zaraz po jego powrocie. W przeciwieństwie do niego Grzesiek nie wrócił już na „dołek”. Wniosek mógł być jeden, ale Arkadio nie zaprzął sobie tym głowy. Przynajmniej do pewnego czasu.

Do czasu, aż w areszcie śledczym w Białymstoku spotkał młodego mężczyznę, oskarżonego o pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Traf chciał, że mężczyzna ten pochodził z Mogielna. Któregoś dnia zaczęli gadać i Młody — bo tak nazywali go w celi — się otworzył. Opowiedział mu historię bójki, przez którą trafił za kraty. Historię tak przerażająco znajomą...

Arkadio umilkł, a ja doskoczyłem do okna, otworzyłem je na oścież i zwymiotowałem. Bierut podszedł do mnie i ścisnął mnie za ramię.

— Skąd wiesz, że to nie przypadek? — rzucił w stronę łóżka. — Może ta ich prowokacja i jego bójka to dwie różne sprawy.

Śmiertelnie chory mężczyzna pokręcił głową. Rozmowa kompletnie go wyczerpała. Z nosa spływała mu strużka krwi.

— Daty — wychrypiał. — Marcin mówił, że to się stało w połowie marca. Czyli dokładnie wtedy, kiedy gadałem z Mauerem.

Stałem przy oknie i z całych sił ścisnąłem framugę. To dlatego poszło mi tak łatwo. Jeden cios i od razu śmierć. Ludzie tak łatwo nie umierają — pomyślałem, ale jakiś złośliwy głosik w mej głowie zaraz uzupełnił: „powiedz to Kate Dzwonkowskiej”.

Nie miałem wątpliwości, że tym „Grześkiem”, który poszedł na układ z Mauerem, był ratownik. To za to przeproszał mnie, klęcząc w drewnianym kościele. Kierowcą karetki, która tak nagle znalazła się na miejscu „wypadku”, był nie kto inny, tylko jego kuzyn. A Mauer... Teraz rozumiałem, co chciał mi powiedzieć. Miałem ochotę uderzyć pięścią w ścianę.

Podszedłem do Arkadia. Wyglądał tak, jakby miał zaraz umrzeć.

— Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego od razu — powiedziałem, ale on pokręcił głową.

— Nie mogłem — wydyszał, pocąc się z wysiłku. — Gdybyś wiedział, że jesteś niewinny, nie przetrwałbyś tych pięciu lat...

Opadł na poduszkę, a ja przez chwilę zastanawiałem się nad jego słowami. Kto wie, może miał rację? Chciałem dalej z nim rozmawiać, ale Bierut delikatnie mnie odciągnął.

— On jest już jedną nogą na tamtym świecie — szepnął. — Jeżeli nie damy mu spokoju, umrze jeszcze dziś.

Kiwnąłem głową, a potem wyjąłem z kieszeni telefon. Wibrował.

— Tak, Ilona? — spytałem, a potem skinąłem Bierutowi głową i ruszyłem w kierunku OIOM-u. Operacja mojej bratowej dobiegła końca.

Czekała na mnie w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłem. W jej oczach dostrzegłem niepokój.

— Lekarzom udało się ją wybudzić, ale musi zostać na intensywnej terapii. Dostała silne leki.

— Można ją zobaczyć? — spytałem, ale ona pokręciła głową.

— Nie wolno dostarczać jej żadnych dodatkowych bodźców. Co ci się stało?

Patrzyła na mnie wytrzeszczonymi oczami.

— Nic specjalnego — mruknąłem, zaciskając zęby.

— Wyglądasz tak, jakbyś zobaczył ducha — skwitowała, a potem wskazała w głąb korytarza. — Tam jest ktoś, z kim na pewno będziesz chciał zamienić kilka słów.

Popatrzyłem w tamtą stronę i zmrużyłem oczy, usiłując zorientować się w panującym i tu półmroku. Zobaczyłem, że przed jednym z gabinetów stoi wysoki mężczyzna. Posłałem Ilonie pytające spojrzenie, a gdy nie odpowiedziała, ruszyłem w jego kierunku. On też się poruszył. W migoczącym świetle dogorywającej jarzeniówki ujrzałem go w miarę wyraźnie.

Choć słońce zaszło już dawno, miał na sobie ciemne okulary. Ubrany był w obszerną bluzę z naciągniętym na głowę kapturem. Wyglądał trochę jak diler, który czai się pod szkołą i proponuje dzieciom narkotyki. Gdy usłyszał moje kroki i zobaczył, że się do niego zbliżam, nerwowo podskoczył. Był skrajnie zdenerwowany.

Coraz bardziej przypominał mi diler.

Podszedłem jeszcze bliżej i nagle go rozpoznałem. Byłem tak zaskoczony, że zachwiałem się na nogach.

— Cześć, braciszku! — powitał mnie smutnym głosem.

Wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle. Nieogolone policzki i młodzieżowy strój odejmowały mu lat. Był blady i lekko się trząsał. Najwyraźniej wiedział, że jest poszukiwany przez policję. Mimo to postanowił zaryzykować, bo Marysia była dla niego najważniejsza.

— Skąd wiedziałeś, że ją tu przywieźli? — zapytałem chłodno, zmniejszając dzielącą nas odległość.

— Włodek dał mi znać. Byłem już w połowie drogi do granicy z Obwodem, ale zawróciłem.

A więc to było jego wyjście awaryjne. Chciał się skryć za granicą. Na pewno w ciągu ostatnich kilku lat zawarł tam wiele znajomości. Jego reakcja pozbawiła mnie reszty złudzeń. Włodek mówił prawdę — mój brat rzeczywiście był przemytnikiem.

Byłem już tylko trzy metry od niego.

— A jak twoje serce?

Machnął lekceważąco ręką.

— Nie dożyję setki, ale to nie ma większego znaczenia. Teraz myślę tylko o tym, jak się bezpiecznie ukryć i ściągnąć rodzinę.

Stałem tuż obok niego.

— Rodzinę, tak? Rzeczywiście, ty przecież jesteś bardzo rodzinny — powiedziałem sarkastycznie, a potem z całej siły uderzyłem go w usta.

Padł na podłogę, nakrywając się nogami. Pochyliłem się nad nim i chciałem walnąć go drugi raz. Zamachnąłem się, a on popatrzył na mnie bezradnie. Spomiędzy jego rozwartych warg pociekła krew.

— Uderzaj — wyseplenił, a potem wypuł ułamany fragment zęba. — Zasłużyłem na to, byś mnie zabił.

Ale ja zmieniłem zdanie. Nie chciałem stać się ofiarą kolejnej prowokacji. Niespodziewanie dla samego siebie zacząłem łkać.

— Dlaczego, Michał? Przecież jesteś dla mnie wszystkim... Dlaczego mi to zrobiłeś?

Popatrzył na mnie smutno.

— Bo ją kochałem. Tak bardzo ją kochałem.

— Kogo? Marysię?

Podciągnął się do pozycji półsiedzącej.

— Wiesz, że to ona zabiła Kate Dzwonkowską?

Pokiwałem głową.

— Mauer mi powiedział. Trudno w to uwierzyć.

— Mnie też było trudno, chociaż... pewnie nie tak trudno jak tobie. Widzisz, Marysia od zawsze miała problem z kontrolowaniem emocji...

— Marysia? To niemożliwe...

— Nie znałeś jej tak, jak ja. Dla świata była miła i sympatyczna. Ale były chwile, gdy dopadały ją ataki szału. Oprócz mnie nikt o nich nie wiedział. Nawet dzieci... Coś takiego musiało się zdarzyć także wtedy. Po prostu podniosła nóż i ją zabiła.

— Ale... — nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Teraz jest lepiej... Po tym wszystkim podjęła psychoterapię. Ataki szału się skończyły, ale wciąż dręczy ją poczucie winy. To stąd te leki i alkohol. Widziałeś, prawda?

Zignorowałem to pytanie.

— Nie rozumiem, co wspólnego ma ten... wypadek z tym, co stało się później. Ze mną.

Nie miałem wątpliwości, że uczestniczył w przygotowaniu scenki, która zaprowadziła mnie za kraty. Gdyby zaprzeczał, pewnie znów bym go uderzył. Ale nawet nie próbował kłamać.

— To Mauer go zabił — powiedział, zamykając oczy. — Ten mężczyzna z Nadrowa był świadkiem zabójstwa Dzwonkowskiej i niemal od razu zaczął nas szantażować. Zatrudniłem go u siebie i płaciłem comiesięczny haracz, ale jemu wciąż było mało. Pewnego dnia zaczął dobierać się do mojej żony. Pognałem go na cztery wiatry, a on poszedł na skargę do Mauera. Nie wiem dokładnie, co się wtedy stało. Mauer przyjechał do mnie następnego dnia i powiedział, że trzyma w piwnicy jego ciało.

— I postanowił obciążyć morderstwem kogoś innego.

— Tak.

— Tylko dlaczego akurat mnie?! — krzyknąłem, a przysłuchująca się z daleka naszej wymianie zdań Ilona doskoczyła do mnie i złapała mnie za rękę.

— Nie bij go. To i tak niczego już nie zmieni...

Michał zaczął się trząść.

— Nie wiedziałem, że padnie na ciebie. Mauer powiedział mi tylko tyle, że znalazł człowieka, który da się pobić. Pewnie już wiesz, że chodziło o Grześka... Nie podobało mi się, że moja żona ma służyć za przynętę, ale nie miałem wyboru. Mauer powiedział, że jeżeli się nie zgodzę, Marysia pójdzie siedzieć...

— Blefował — przerwałem mu, przypominając sobie, że prokurator był w niej zakochany.

— I ja tak sądziłem, ale wybacz... nie chciałem ryzykować — mruknął w odpowiedzi Michał. — Ona nic nie wiedziała o swojej roli w tym teatryku. I tak ledwo sobie wtedy radziła. Powiedziałem jej, żeby odebrała cię z miasta. To miało się stać właśnie wtedy...

— Ale dlaczego wrobiłeś w to akurat własnego brata? — warknęła Ilona, patrząc to na niego, to na mnie.

Michał zwiesił głowę.

— Nie miałem pojęcia, że to będzie Marcin — powiedział sucho. — To miał być ktoś przypadkowy. Kiedy było już po wszystkim, poszedłem do Mauera i kazałem mu odegrać tę scenkę jeszcze raz, z kimś innym, ale on mnie wyśmiał. Dałem mu po mordzie, ale on znów postraszył mnie więzieniem dla Marysi. Mogłem tylko siedzieć cicho i patrzeć, jak życie mojego młodszego brata zmienia się w koszmar.

Rozpłakał się, ale Ilonie nie drgnęła nawet brew.

— Pieprzysz, że nie wiedziałeś — powiedziała zimnym głosem. — Miałeś go gdzieś. Liczył się dla ciebie tylko czubek twojego nosa...

— Nie — zaprzeczył jej przez łzy. — Ja naprawdę nie wiedziałem. Błagałem Mauera, by zamiast Marcina zamknął mnie, ale było już za późno. Inny prokurator przesłuchał już kierowcę karetki. Nie można było wycofać zeznań obciążających Marcina... Załoga karetki była wtajemniczona w tę grę. Podmienili po drodze żywego Grześka na zwłoki tego faceta z Nadrowa...

— Słowa nic nie kosztują — przerwała mu z pogardą Ilona, ale dałem jej znak, by zamilkła.

Pamiętałem aż za dobrze każdą minutę tego feralnego wieczoru. Byłem pewien, że to nie był przypadek. Ktoś zaplanował, by oskarżyć o morderstwo właśnie mnie.

— Naprawdę nie wiedziałeś, że to miałem być ja?

Jarzeniówka zamigotała ostatni raz i zgasła. Jedyne źródłem światła były teraz lampy na drugim końcu korytarza. Michał złapał mnie za rękę.

— Nie wiedziałem — powiedział, a ja mu uwierzyłem.

Przez chwilę trwaliśmy w objęciach, pociągając nosami. To było cudowne uczucie znów sobie ufać. Ilona chrząknęła sceptycznie, ale ja byłem pewien. Michał znów był dla moim starszym bratem.

— A co z listem? — zapytałem, chcąc mieć to już za sobą.

Okazało się, że list otworzyła Marysia. Jego treść oddawała to, czego dowiedziałem się od Arkadia, który rzeczywiście podpisał się pod listem jako „kolega zza krat”.

— Myślałem nad tym bardzo długo — mówił Michał. — I w końcu wymyśliłem, żeby ci go nie pokazywać. Uznałem, że ta wiedza sprawi, że się załamiesz. Poszedłem z tym do Mauera. Gadałem z nim po raz pierwszy od pięciu lat...

— Po raz pierwszy? Podobno ułatwiał ci... prowadzenie interesów — zakończyłem, chrząkając znacząco.

— Ale nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Wszystko załatwiał z nim Włodek, który zresztą wtedy też u niego był. Myślę, że udało mu się nad ramieniem Mauera przeczytać fragment listu, bo potem robił mi wyrzuty.

— A mnie mówił, że nie podoba mu się, jak mnie traktujesz. Albo coś w tym stylu...

— No właśnie. Mauer podobno był w Bartoszykach, a potem jeździł po całych Mazurach, szukając twoich kumpli. Bardzo chciał dorwać autora listu... tego „kolegę zza krat”. Chyba mu się nie udało...

— Nie udało mu się — potwierdziłem, a potem opowiedziałem o jego zatrzymaniu. — Wychodzi na to, że to on zabił tego detektywa. Tylko nie wiem jak, skoro był w tym czasie w Warszawie.

— Może znów posłużył się Grześkiem — wtrąciła Ilona, a ja uświadomiłem sobie, że ratownik już nic nie powie.

— Posłużył się nim, a potem go zabił — mruknąłem, po czym znów musiałem zdać relację. Tym razem z odnalezienia zwłok ratownika.

W połowie opowieści zdałem sobie sprawę, że coś mi nie pasuje. Nie umiałem znaleźć motywu. W końcu detektyw nie posunął się zbyt daleko w odkrywaniu kulisów pożaru „Brdy”, a jeżeli chodzi o okoliczności bójki, podczas której „zabiłem” człowieka... Tym w ogóle się nie interesował. Ludzie związani z tymi dwoma sprawami mogli czuć się względnie bezpiecznie.

Podzieliłem się tą konkluzją z Iloną i Michałem. Mój brat nic nie powiedział, natomiast Ilona skwitowała moje rozważania lekceważącym prychnięciem.

— Wcale nie czuli się bezpiecznie — stwierdziła. — W przeciwnym razie nie włamałoby się do archiwum i nie wynieśliby z niego dokumentów...

Michał westchnął z zakłopotaniem.

— To ja byłem tym włamywaczem — mruknął. — Zwyczajnie spanikowałem. Ten detektyw pytał o pożar na prawo i lewo, a ja nie chciałem, by znalazł kolejne punkty zaczepienia. Gdybyś mnie wtedy zatrzymał, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej...

— Zdajesz sobie sprawę, że w takiej sytuacji będziesz pierwszym podejrzanym o morderstwo? — zapytałem, ale on roześmiał się drwiąco.

— I tak będę musiał na parę lat wyjechać. Jeden zarzut wte czy wewte... Co to za różnica?

W duchu przyznałem mu rację, cały czas intensywnie myśląc. Czyżby mordercą pana Tadeusza był ktoś, komu przeszkadzały jego sukcesy na innym polu? Tylko na jakim? W grę mogła wchodzić sprawa zaginięcia, tylko przecież w tej sprawie wszystkie karty były już odkryte. Dla burmistrza i Cezarego było już za późno. Z ich perspektywy morderstwo na tym etapie byłoby kompletnie bezsensowne.

Tylko czy można było zakładać, że morderca kierował się w działaniu zdrowym rozsądkiem?

Poszliśmy do automatu z kawą. Była wstrętna, ale dawała pretekst dla jeszcze chwili rozmowy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Michał zaraz będzie się musiał zmywać.

— Co zamierzasz? — spytałem.

Jak zwykle miał plan. Chciał przedostać się do Obwodu Kaliningradzkiego, a stamtąd polecieć do Ameryki Środkowej.

— Odłożyłem w tamtejszych bankach trochę kasy. Ściągnę Marysię i chłopców i zaczniemy nowe życie. Będę takim młodym emerytem...

Wymogłem na nim obietnicę, że zacznie się leczyć. Nie chciałem, by przed następnym spotkaniem zabrała go wieńcówka. W rewanżu poprosił mnie, bym zajął się matką.

— Możecie mieszkać u mnie. Chyba mi tego nie odbiorą...

W pewnym momencie włożył mi w dłoń swój kubek i zniknął w łazience.

— Tylko nie wychodź przez okno — zażartowałem, nawiązując do jego porannej ucieczki ze szpitala.

Usiadłem obok Ilony i pogłaskałem ją po włosach. Podobało mi się, że zawsze staje po mojej stronie. Wtulila się w moje ramię i przez chwilę siedzieliśmy w absolutnej ciszy, którą przerwał miarowy odgłos kroków.

— Marcin? Co tu robisz? — głos Karoliny poderwał mnie na nogi. Tym razem miała na sobie policyjną kurtkę.

— Karolina?! — powiedziałem nienaturalnie głośno. — A co policja ma do roboty w szpitalu?!

Pytanie było idiotyczne, ale odniosło skutek. Usłyszałem, że Michał zakręcił wodę. Słowo „policja” było dla niego sygnałem ostrzegawczym.

Karolina spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Co się tak drzesz? I po co ci dwa kubki kawy? A tak w ogóle: jestem Karolina — podała rękę Ilonie, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Na szczęście nie drążyła tematu mojej „podwójnej” kawy. Wyglądała na zaaferowaną.

— Wiecie już o burmistrzu, tak? Podobno przed chwilą przyznał się na komisariacie do śmiertelnego potrącenia Aliny Janeczek...

Pokiwałem twierdząco głową, a ona nadawała dalej niczym katarynka.

— Słyszałam o twojej bratowej. Na szczęście to podobno nic poważnego. Ogólne osłabienie organizmu wywołane stresem i lekami — wyrecytowała, a ja spojrzałem na nią ze zdziwieniem, bo powiedziała nam więcej niż lekarze.

— Masz tu drugi etat? — spytałem.

— Poniekąd — odparła tajemniczo, ale zaraz pospieszyła z wyjaśnieniami. — Pamiętasz, jak ta bogata kobieta z Giżycka...

— Siostra Dzwonkowskiego?

— Tak, siostra Rafała Dzwonkowskiego. Pamiętasz, jak mówiła, że Dzwonkowski miał jeszcze przed pożarem kłopoty w pracy?

W natłoku wrażeń zupełnie o tym zapomniałem. Rzeczywiście tak mówiła.

— No właśnie. Uznałam, że to może być ważne, i jak tylko się rozstaliśmy, pojechałam do prokuratury i wydębiłam od nich nakaz...

— Do prokuratury? — spytałem zdziwiony.

— Wyobraź sobie, że nie wszyscy prokuratorzy są skorumpowani — zadrwiła. — Przyjechałam tu z nakazem i uzyskałam wgląd do dokumentacji medycznej. Siedzę tu już ponad dwie godziny.

To tłumaczyło, skąd tyle wiedziała o Marysi. Ale nie rozumiałem, co nią kierowało.

— Po co ci wgląd do dokumentacji medycznej?

— Chodźcie ze mną, to się przekonacie — zaproponowała.

Byliśmy gotowi pójść z nią wszędzie, byle dalej od drzwi łazienki. Zaprowadziła nas do przestronnej sali. Na blacie ogromnego stołu rozłożone były stosy dokumentów. W rogu pomieszczenia siedział staruszek w grubych okularach. Z wyglądu przypominał sowę.

— To wicedyrektor szpitala do spraw medycznych — poinformowała nas Karolina, nie trując się podawaniem jego nazwiska. — A tutaj mamy dokumentację Oddziału Ginekologii i Położnictwa — dodała, wskazując na stół.

Spojrzałem bezradnie na tysiące kartek. Miałem nadzieję, że nie każe nam się przez nie przekopywać. Ale okazało się, że to, co interesujące, zmieściłoby się w jednym cienkim segregatorze.

— Rzuć okiem — powiedziała, zerkając na kręcącego się niespokojnie wicedyrektora.

Kartek było na oko ze sto. Wszystkie były identyczne.

— Karta Martwego Urodzenia — przeczytałem, a po plecach przeszły mi ciarki. — Co to jest?

Karolina ujęła się pod boki.

— W ciągu czterech lat szpital wystawił dziewięćdziesiąt siedem takich dokumentów. Ostatni nosi datę sprzed pięciu i pół roku. Obecnie, według pana dyrektora — wskazała na staruszkę o wyglądzie przestraszonej sowy — szpital wystawia rocznie koło pięciu kart. Pan dyrektor nie potrafi powiedzieć, skąd taki spadek śmiertelności niemowląt...

— Ja jestem tutaj od niedawna — wybełkotał wicedyrektor. — Naprawdę nie wiem... To strasznie dziwne.

— To wcale nie jest dziwne — przerwała mu policjantka. — Po prostu w tym szpitalu na wielką skalę dokonywano nielegalnych zabiegów przerywania ciąży. Przerwanie ciąży to też poronienie, prawda? W szpitalu pracowali mordercy.

Moje czoło pokryło się potem. Abstrahując od światopoglądu, aborcja była niezgodna z prawem. Lekarz, który wykonałby ponad dziewięćdziesiąt zabiegów przerywania ciąży, trafiłby na wiele lat do więzienia. Wraz z tymi, którzy mu to umożliwili. Domyślałem się, kto był tym lekarzem.

— Dzwonkowski, tak?

Karolina pokiwała głową.

— Było ich dwóch. Dzwonkowski i Boniecki. Tak, kuzyn Grzegorza Bonieckiego, którego ciało znaleziono dzisiaj w lesie. O tym pewnie też już wiecie?

— Gdybyś wraz ze swoim siwym szefem chciała mnie słuchać, to też byś o wszystkim wiedziała — stwierdziłem, a ona machnęła ręką.

— Dwóch ginekologów-położników... Jeden po śmierci żony trafił do psychiatryka, a drugi otrzymał zakaz wykonywania zawodu i został kierowcą karetki. To oni podpisani są na wszystkich Kartach Martwego Urodzenia. Jak dotąd nikt nie oskarżył ich o nielegalne aborcje...

Urwała i przeniosła wzrok ze mnie na Ilonę. Odwróciłem się do kelnerki i zobaczyłem, że pobladała niczym ściana.

— To tutaj miał cię przywieźć Adaś? — zapytałem najdelikatniej, jak umiałem.

Pokiwała głową i się wzdrygnęła.

— Gdybym nie postawiła na swoim, tych Kart Martwego Urodzenia byłoby dziewięćdziesiąt osiem — powiedziała cicho.

Wziąłem jeden z tych makabrycznych dokumentów i spojrzałem na podpis

wystawiającego. Rafał Dzwonkowski. Do tej chwili mu współczułem, ale teraz uważałem, że jego puszczalska żona i tak była dla niego za dobra. Ile kobiet nie miało w sobie tyle siły, co Ilona? Ile nie umiało powiedzieć „nie”, a później do końca życia żałowało?

— Te dziewięćdziesiąt kilka kart to tylko czubek góry lodowej — mruknęła Karolina. — W wielu przypadkach takie karty nie były w ogóle wystawiane. Tych sztucznych poronień mogło być o wiele więcej. Patrząc po adresach, przyjeżdżali tu ludzie z całej Polski. Ci lekarze musieli zrobić na tym interesie niezły majątek.

— Zaraz, zaraz — przerwałem jej, bo przypomniały mi się słowa pana Zbigniewa. — Przecież w niechcianej ciąży była też Alina Janeczek...

— Co? — wykrzyknęły jednocześnie obie kobiety.

Opowiedziałem im to, czego się dowiedziałem. Karolina wyglądała na wstrząśniętą.

— I ten detektyw o tym wiedział?! Skąd?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie mam pojęcia. Może od Dzwonkowskiego?

— Ale tu nie ma jej nazwiska — zaprotestowała Karolina, wskazując na dokumenty. — Chyba że...

— Alina nie przerwała ciąży — stwierdziłem autorytarnie, bo nagle przypomniał mi się fragment relacji burmistrza. — Cezary chciał się skontaktować z Dzwonkowskim tej nocy, kiedy doszło do pożaru. Czyli tej nocy...

— ...kiedy śmiertelnie potrafił ją burmistrz — skończyła za mnie policjantka.

Wyglądała tak, jakby spłynęła na nią prawda objawiona. Wyszła na chwilę z sali, z telefonem przy uchu.

— Gdzie jest dyrektor? — spytałem siedzącego wciąż w kącie zastępcę.

— W domu — odpowiedział drżącym głosem. — Kiedy pani policjantka pojawiła się z nakazem, z kierownictwa byłem tylko ja.

— Nie chciał przyjechać? — zdziwiłem się, bo będąc na jego miejscu, chciałbym wiedzieć, co się dzieje.

— O niczym nie wie — odparł. — Nie zdążyłem do niego zadzwonić, a sekretarki już nie było...

Zakląłem pod nosem. Janusz przydałby się na miejscu. Miałbym do niego kilka pytań. Byłem ciekawy, jak odpowiedziałby zwłaszcza na jedno z nich. Dlaczego tak ryzykował swoją reputację? I to dwukrotnie: raz, wystawiając Dzwonkowskiemu „żółte papiery”, a drugi — zatrudniając Bonieckiego jako kierowcę karetki? Przecież nie mógł być aż tak ślepy — musiał się w końcu domyślić, czym jego dwaj ginekolodzy zajmowali się po godzinach...

Karolina wróciła do sali po dwóch minutach. Na jej twarzy gościł błogi spokój. Tak błogi, że wydało mi się to podejrzanym.

— Kończymy na dzisiaj — zarządziła, a potem wyprosiła nas na korytarz i zaplombowała pomieszczenie zielonym kawałkiem plastiku. — Do widzenia, panie dyrektorze. Wy też się trzymajcie.

Odniosłem wrażenie, że przebierała nogami z pośpiechu. Postanowiłem to

sprawdzić.

— Nie odwiozłabyś nas do ośrodka? — zapytałem, ale stanowczo pokręciła głową.

— Muszę odstawić radiowóz na komendę. Przykro mi — zakomunikowała, a potem szybkim krokiem ruszyła w kierunku wyjścia.

Przytrzymałem Ilonę za rękę.

— Niech sobie idzie — powiedziałem, mając nadzieję, że Michał jest już daleko stąd.

Ilona ścisnęła moje palce.

— Chodź do mnie — zaproponowała. — Rodzice i córeczka już śpią. Wypijemy po piwie i pomyślimy co dalej. Bo tak naprawdę to nie wiem nawet, czy nadal mamy pracę...

Propozycja była kusząca, ale miałem inne plany. Wciąż trzymając jej dłoń, skierowałem się na Wczasową. Janusz coś ukrywał, a ja chciałem wiedzieć, co to takiego...

Dotarliśmy na miejsce po dwudziestu minutach. Ciężko dyszałem, a Ilona z trudem chwytiała powietrze.

— To... tutaj — wysapałem i utkwilem wzrok w ciemnych oknach willi Janusza.

Wyglądało na to, że nasz szaleńczy galop pustymi ulicami Mogielna był bezcelowy. Dyrektor szpitala najwyraźniej spędzał ten wieczór poza domem. Ilona spojrzała na mnie z wyrzutem.

— A nie mogłeś najpierw... do niego zadzwonić? — powiedziała, walcząc o odzyskanie oddechu.

Rozłożyłem bezradnie ręce. Chciałem się jakoś jej odgryźć, ale nie zdążyłem. Na ulicy pojawiły się dwa policyjne radiowozy. Zbliżyły się do posesji Janusza i zaczęły zwalniać.

I wtedy stało się coś, co sprawiło, że aż podskoczyłem.

Spod krawężnika niespodziewanie ruszył terenowy wóz. Z piskiem opon wyjechał na spotkanie radiowozów, a te jak na zawołanie włączyły sygnały dźwiękowe. Po ulicy poniósł się rozdzierający ryk syren. Radiowozy ustawiły się obok siebie, blokując przejazd, a terenówka, zamiast się zatrzymać, zwyczajnie je staranowała. Do kakofonii policyjnych syren dołączył huk uderzenia i przykry dźwięk rozrywanej blachy. Jeden z radiowozów przekoziołkował i potoczył się w krzaki, a drugi wbił się w stalowe sztachety płotu sąsiedniej posesji. Sprawca też nie wyszedł z wypadku obroną ręką. Terenówka przez chwilę posuwała się do przodu na dwóch kołach, a potem — niczym w zwolnionym tempie — przewróciła się na bok. Wszystko to wydarzyło się w ciągu dosłownie dwóch sekund.

— O cholera! — krzyknąłem, a szok odebrał mi zdolność ruchów.

Stałem jak manekin, patrząc, jak z przewróconego na prawy bok dżipa wyczołguje się potężny mężczyzna. Ilona podbiegła do niego i pomogła mu się wydostać. Potem wspólnymi siłami wyciągnęli z wnętrza kolejną osobę. W świetle latarni dostrzegłem, że była to wysoka kobieta. W ułamku sekundy mnie olśniło.

— Janusz! — wrzasnąłem, a potem popatrzyłem na wraki radiowozów. Z jednego z nich dobiegł mnie przeciągły jęk. — Co ty zrobiłeś, chłopie...

Wyciągnąłem telefon, chcąc wezwać pomoc. Ręce drżały mi tak bardzo, że nie byłem w stanie wcisnąć odpowiednich klawiszy. Podbiegłem do bliższego z radiowozów, chcąc skorzystać z policyjnego radia.

Przód był zmiądzony po kontakcie z płotem, ale reszta pojazdu wyglądała na nienaruszoną. Otworzyłem drzwi i na przednim siedzeniu zobaczyłem znajomego policjanta. Jego siwe włosy były zmierzwione, a twarz wykrzywił grymas bólu.

— Mam złamaną nogę — jęknął, a potem ścisnął mnie za nadgarstek. — Proszę... Nie daj mu uciec.

Zobaczyłem, że we wnętrzu radiowozu było jeszcze dwóch innych policjantów. Obaj wyglądali na poturbowanych. Chciałem zawiadomić pomoc, ale ucisk na nadgarstku jeszcze się wzmocił.

— Łap dyrektora! My sobie poradzimy!

Jego słowa zabrzmiały jak rozkaz. Odwróciłem się w kierunku dżipa i mój wzrok napotkał spojrzenie Janusza.

— Stój! — ryknąłem, jakbym sam był policjantem.

Janusz odwrócił się do mnie plecami i ruszył przed siebie, ciągnąc za sobą Agnieszkę. Utykał na jedną nogę, a moja była dziewczyna lekko się zataczała.

— Zaczekaj! — wrzasnąłem. — Co robisz?!

Myślałem, że jest w szoku, ale nagle spłynęło na mnie olśnienie. Zdałem sobie sprawę, że radiowozy przyjechały tu po niego, a on z jakichś powodów nie miał ochoty na spotkanie z policją. To nie był wypadek, tylko desperacka ucieczka. Tak desperacka, że Janusz nie liczył się z niczym. Był gotów nawet zabić.

Niestety Ilona na to nie wpadła. Widząc, że dyrektor się oddala, postanowiła go zatrzymać. Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Panie Januszu, spokojnie... — zaczęła, ale nie zdążyła dokończyć zdania.

Janusz odwrócił się i z całej siły ją odepchnął. Upadła na asfalt, jęcząc z bólu. A dyrektor chwycił swoją żonę w pół i pognął na przełaj w kierunku stacji PKP.

Budynek stacji był stąd ledwie widoczny. Od ulicy Wczasowej oddzielał go kilkuhektarowy nieużytek, pokryty trawą, chwastami i całą masą śmieci. Było tam ciemno choć oko wykol, więc na chwilę zniknęli mi z oczu. Ale nagle zza chmury wyłonił się wąski sierp księżyca. W jego upiornym świetle Janusz wyglądał jak kulawy garbus. Jego „garbem” była głośno krzycząca Agnieszka.

Dopałem do Ilony i zobaczyłem, że nic jej nie jest. Podniosłem ją na nogi i wskazałem drugi z radiowozów. Leżał do góry kołami na niezabudowanej działce, a z jego wnętrza dobywały się stłumione jęki.

— Pomóż im — poprosiłem, po czym utkwilem wzrok w uciekającym Januszu.

A potem zerwałem się do biegu.

Nie goniłem ich na polecenie siwego policjanta. Prawdę mówiąc, miałem go gdzieś. Powód był inny. A w zasadzie były dwa powody. Po pierwsze, zrozumiałem, że Janusz ma na sumieniu więcej, niż myślałem. Niewinny człowiek się tak nie zachowuje.

A po drugie, mógł zrobić krzywdę Ilonie. A tego nie mogłem puścić płazem. Mam niewielu przyjaciół, ale tych, których mam, bardzo cenię.

Jego ucieczka nie miała żadnego sensu. To nie był Dziki Zachód. Nie mógł

wskoczyć do jadącego pociągu i odjechać w siną dal. Ale najwyraźniej postanowił spróbować. Biegł w stronę powoli sunącego po torach pociągu towarowego i miał szansę, by znaleźć się obok niego, zanim odjedzie. Nie przewidział tylko jednego. Agnieszka nie zamierzała z nim współpracować.

— Puść mnie! No puszczaj! — wrzeszczała.

Wreszcie udało się jej wyrwać. Poleciała w trawę, a on się wyprostował. Spodziewałem się, że uwolniwszy się od jej ciężaru, przyspieszy, ale niespodziewanie się zatrzymał.

— Agnieszka! Ja cię kocham!

W jego głosie pobrzmiwała skrajna rozpacz. Ale na Agnieszkę to nie działało.

— Nie podchodź! Jesteś szalony! — krzyknęła, podnosząc się chwiejnie.

Dzieliło mnie od nich już tylko dziesięć metrów. Janusz usłyszał, jak się zbliżam. Z przerażeniem dostrzegłem, że trzyma w ręku pistolet. Zwolniłem, a potem całkiem się zatrzymałem. Księżyc nie dawał tyle światła, bym mógł zobaczyć jego oczy, ale ich wyraz musiał być bezlitosny. Taki był też jego głos.

— Nie oddam ci jej — warknął.

Usiłowałem nie zemdleć. Serce uderzało mi dwieście razy na minutę.

— Nie uciekniesz — wybełkotałem, a on się roześmiał.

— Ty też nie uciekniesz — stwierdził, po czym uniósł broń. — Powinienem to zrobić pięć lat temu. Więzienie to nie był dobry pomysł.

Coraz więcej rozumiałem, ale w tym momencie zupełnie się to dla mnie nie liczyło. Marzyłem tylko o jednym: żeby się rozmyślił. Ale jego ręka była nadzwyczaj pewna.

— Czemu mnie tak nienawidzisz? — spytałem, ale on nie zamierzał mi odpowiadać.

— Dowiesz się po drugiej stronie — powiedział i szarpnął za cyngiel.

Gdyby nie Agnieszka, podziurawiłby mnie jak rzeszoto. Na szczęście moja była narzeczona miała dobry refleks. W ostatniej chwili uwiesiła się na jego ręce, a obie przeznaczone dla mnie kule uderzyły w ziemię obok moich stóp.

— Zostaw go — wybuchła płaczem. — Nie wystarczy ci, że zniszczyłeś nam życie?

Odepchnął ją jak natrętną muchę. W jego głosie usłyszałem nutki szaleństwa.

— Wciąż go kochasz, ty szmato — wycedził mściwie, a potem znów podniósł broń.

— To patrz, znów go zniszczę. Tym razem już na zawsze.

Krzyknęła rozpaczliwie, ale była za daleko, by zareagować. Miałem tylko jedną, ostatnią szansę.

— Strzelaj! — krzyknąłem, patrząc w miejsce za jego plecami.

Zaśmiał się drwiąco.

— Myślisz, że dam się nabrać na tę starą sztuczkę? — mruknął z pogardą.

Ta chwila zwłoki uratowała mi życie. Przyłożył broń do oka, ale nie zdążył do mnie wystrzelić. Jego głowa eksplodowała niczym zrzucony z dachu wieżowca arbuz. A ja wciąż wpatrywałem się w to samo miejsce.

Kierowca karetki stał tam jeszcze przez chwilę.

— To za Grześka — powiedział dźwięcznym głosem, po czym rozpląnął się w ciemnościach.

Agnieszka wstała i rzuciła mi się na szyję. Po jej policzkach płynęły łzy.

— To wszystko jego wina — wychlipała, a potem szepnęła mi do ucha kilka słów, które sprawiły, że usiadłem. — Gdybym mogła cofnąć czas... — westchnęła, wtulając się w moje ramię i mocząc je swoimi łzami.

Zanim na miejscu zdarzenia zjawiała się policja, wszystko mi opowiedziała. Okazało się, że Janusz nienawidził mnie na długo przedtem, zanim się dowiedziałem, że istnieje. A za wszystko, co złe, odpowiadała jak zwykle chora miłość...

Zakochał się w Agnieszce mniej więcej w tym samym czasie, kiedy jego przyjaciel Patryk Mauer pokochał Marysię. Niespełniona miłość zbliżyła ich do siebie jeszcze bardziej, ale w przeciwieństwie do prokuratora Janusz wiedział, że aby osiągnąć cel, należało być cierpliwym. Wielka szansa zjawiała się na progu jego domu wraz z roztrzęsionym Mauerm.

— Chyba zabiłem człowieka — wydyszał prokurator.

W piwnicy prokuratora leżały zwłoki bandziora z Nadrowa. Mauer nie wiedział, co począć, i wtedy Janusz przedstawił mu swój upiorny plan. Jeden z wielu, które układał w głowie, myśląc o tym Marcinie. Gówniarzu, który miał wszystko to, o czym marzył on...

— Tylko pamiętaj... Mordercą ma być ten facet Agnieszki — zażądał.

Mauer od razu zaakceptował jego plan.

— Tylko skąd mam wziąć człowieka, który odegra rolę tego „trupa”?

— Podeślę ci kogoś... Jeszcze dziś trafi na policyjny dołek.

Janusz myślał o Grzesku Bonieckim, czyli nieudanym kuzynie jednego ze swoich zaufanych lekarzy.

Wraz z tym lekarzem, który obecnie zdegradowany został do roli kierowcy karetki, uczynili z Mogielna mekkę nielegalnych aborcji. Pomagał im jeszcze Rafał Dzwonkowski, ale jego spotkała jeszcze większa degradacja. Na własną prośbę wylądował w wariatkowie. A wszystko to z powodu szeptanych zarzutów, które — choć nigdy nie zostały udowodnione — zakończyły ten skrobankowy interes, dzięki któremu psychiatra stał się bogaty.

Plan Janusza wydawał się prosty, ale już na samym początku o mały włos nie doszło do klapy. Grzesiek Boniecki w umówionym terminie znalazł się na dołku, ale zestresowany Mauer zaproponował udział w „prowokacji” innemu zatrzymanemu. Na szczęście błąd udało się naprawić. Tego samego wieczoru Grzesiek udał trupa, a jego kuzyn oraz występujący w roli ratownika medycznego Janusz zapakowali go do karetki i podmienili ciała. Wina Marcina była tak bezsporna, że nikt nie wgłębiał się w wyniki sekcji zwłok, ułatwiając robotę wyznaczonemu przez Mauera prokuratorowi. Marcin dostał pięć lat i wszyscy — może z wyjątkiem jego brata — byli zadowoleni. A Janusz mógł spełniać swe marzenia.

Ale to nie było takie łatwe. Agnieszka wciąż go kochała. Nawet za mocno — dwa miesiące po zatrzymaniu narzeczonego przeszła załamanie nerwowe. Janusz tylko na to czekał. Za pośrednictwem Marysi, która od czasu pożaru była jedną z jego pacjentek, namówił ją na terapię. Wcisnął jej do głowy ten psychologiczny bełkot tak długo, aż zwątpiła. Przestała odwiedzać Marcina w areszcie, a kiedy na świecie pojawił się Zenek,

podjęła wreszcie decyzję. Kilka tygodni później byli z Januszem małżeństwem. I — chociaż brzmi to jak paradoks — ich małżeństwo zaliczało się do bardzo szczęśliwych. Przynajmniej do tego cholernego czerwca cztery i pół roku później.

W czerwcu doszło do dwóch wydarzeń, które zaważyły na ich dalszym losie. Na początku miesiąca z więzienia wyszedł Marcin. Chociaż jego gnębiony wyrzutami sumienia brat robił wszystko, co w jego mocy, dawny narzeczony Agnieszki uparł się i wrócił do Mogielna, zatrudniając się w „Rybitwie”. Z kolei pod koniec czerwca ze szpitala psychiatrycznego w Pasymiu wyszedł Rafał Dzwonkowski. Wyszedł i — co gorsza — zaczął chlapać językiem o dawnych czasach i swej niesławnej przeszłości ginekologa-mordercy. W Berlinie zwierzył się pewnemu detektywowi, który miesiąc później odwiedził Janusza w szpitalu...

Ten detektyw wszystkiego się domyślił i zamierzał zawiadomić gliny. A do tego Janusz nie mógł dopuścić. Postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Spotkał się z Grześkiem, który — ze względu na chorobę syna — zawsze potrzebował pieniędzy i nigdy nie wybrzydzał.

Grzesiek nie tylko zabił detektywa, ale zrobił to także w taki sposób, by obciążyć tym Marcina. Napisał jego nazwisko na ostatniej stronie notesu, ukraść łódź, podrzucił do niej jego okulary, a nawet — co pozostało niezauważone — zostawił na cmentarzu rozbitą butelkę jego ulubionego piwa. Dowody były tak silne, że postanowił nie mówić nic Mauerowi. Miał nadzieję, że prokurator sam wpadnie na to, by zamknąć właściwą osobę.

Ale Mauer nie był sobą. Michał przyniósł mu pewien anonim, w którym opisany został przekręt sprzed lat. Ten, który zaprowadził jego brata za kratki. Prokurator, zamiast tropić mordercę, zaczął jeździć po Mazurach i szukać autora listu. Bezskutecznie.

Janusz dowiedział się o liście podczas sesji terapeutycznej z Marysią, ale nie zaprzętał sobie tym głowy. Był wściekły na Mauera. Niespełniona miłość do Marysi sprawiła, że prokurator stracił rozum.

Rozum stracił też Grzesiek Boniecki. Gdy się spotkali, bredził coś o Bogu i pojednaniu... Chciał powiedzieć o wszystkim Marcinowi. Janusz nie miał wyboru. Z zaskoczenia rozwalił mu czaszkę cegłówką, a potem powiesił na drzewie w środku lasu. Liczył, że śledczy będą upatrywać przyczyn jego śmierci w wiejskich porachunkach.

Kiedy zastępca dyrektora do spraw medycznych powiedział mu o zabezpieczeniu przez policję dokumentacji oddziału ginekologii, miał ochotę się rozplakać. Zrozumiał, że przegrał. Przegrał przez własną głupotę, bo miał przecież tysiąc okazji, by tę dokumentację unicestwić. Cóż było złego w niewielkim pożarze w archiwum... Wściekły na siebie, postanowił wyznać Agnieszce całą prawdę. Na szczęście Zenek, którego szczerze pokochał, był akurat u dziadków.

Liczył, że żona chociaż spróbuje go zrozumieć, ale tylko się popłakała. Stracił głowę i postanowił uciekać, zabierając ją ze sobą. Nie udało się. Na jego drodze stanął Boniecki...

— Nie da się cofnąć czasu, Agnieszko — powiedziałem łagodnie, gdy skończyła mówić.

A potem poprosiłem, by powtórzyła mi jeszcze raz to, co wyszeptwała mi na ucho. Czy naprawdę Zenek był moim synem?

— Ma cztery i pół roku, a nie trzy — powiedziała. — Myślałam, że od razu się zorientujesz.

Przerwali nam policjanci. Resztę nocy spędziliśmy na komendzie. O jej załamaniu na wieść o ciąży dowiedziałem się dopiero następnego dnia. To dlatego przestała mnie odwiedzać w więzieniu. Chciała, by jej dziecko miało normalnego ojca. Normalną rodzinę.

Obiecałem, że od dziś będę dla Zenka ojcem. Ale nie chciałem do niej wrócić. Chyba na to liczyła, bo z jej oczu pociekły łzy. Ale może to nie był żal, tylko jej krucha psychika?

Po dwóch miesiącach wylądowała w Pasymiu. Lekarze stwierdzili, że nigdy nie dojdzie do siebie. Zenek przez pewien czas przebywał u jej rodziców, a potem zamieszkał u mnie. Nie będę pisał o tym, co wtedy czuliśmy. To zbyt intymne.

Patryk Mauer stanął przed sądem i został skazany na długoletnie więzienie. Dowiedziałem się, że siedzi w Zakładzie Karnym w Bartoszycach. Podobno odbywa karę na tym samym bloku co Adaś. Są momenty, w których mam ochotę go odwiedzić i zaśmiać mu się w twarz, ale pewnie i tak nie chciałby się ze mną widzieć.

Za kraty powędrowali też dwaj byli kierownicy „Rybitwy”. Ten starszy został zatrzymany w swoim gabinecie w siedzibie Kornimpeksu, trafiając na czołówki wszystkich gazet. Dziennikarze nie pisali natomiast o zatrzymaniu aktualnego kierownika, chociaż ta historia była z pewnością ciekawsza. Mój szef (teraz już były szef) został zatrzymany na przejściu granicznym w Bezledach. Był nagi i związany, a wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że zdażył już wcześniej przekroczyć granicę. Widocznie jego mocodawcy z Rosji nie byli z niego na tyle zadowoleni, by dłużej go gościć...

Policja poszukiwała też Bonieckiego, ale zabójca Janusza wyparował jak kamfora. Podobnie jak Rafał Dzwonkowski. Czasem się zastanawiałem, czy ci dwaj byli lekarze — godni następcy doktora Mengele — nie otworzyli gdzieś razem gabinetu ginekologicznego. Miałem nadzieję, że nie. Liczyłem na to, że smażą się w piekle.

Kolejną porażką wymiaru sprawiedliwości był wątek zabójstwa Cezarego. Śledztwo w tej sprawie zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawców. Ilekroć natykałem się na starego Macieja, zadawałem sobie pytanie, czy zamordowanie faceta, który romansował z jego nieletnią córką, przyniosło mu chociaż namiastkę ukojenia. Za każdym razem odnosiłem wrażenie, że jednak nie...

Do więzienia o mały włos nie trafiła także... Karolina. Wszystko przez jej siwego szefa, który narobił jakichś machlojek, a na koniec — pół roku po opisywanych wydarzeniach — uciekł do Singapuru. Nikt nie chciał jej uwierzyć, że o niczym nie wiedziała. Udało jej się co prawda uniknąć odpowiedzialności karnej, ale musiała zrezygnować ze służby w policji. Początkowo była załamana, ale praca w zachodniej korporacji nie zostawiała jej zbyt wiele czasu na rozpamiętywanie przeszłości. Ani na odwiedzanie Gęglawek — przez cały ten czas wpadła do „Rybitwy” zaledwie dwukrotnie. Miała zresztą prawo nie lubić tych okolic. Tej feralnej nocy była w jednym z radiowozów — tym, który dachował. Na pamiątkę tego wydarzenia została jej na twarzy głęboka, nieregularna blizna.

Pan Zbigniew przestał przyjeżdżać do „Rybitwy” i szczerze mówiąc, nie bardzo za nim tęskniłem. Dwa lata później ktoś pokazał mi jego nekrolog. Nie poczułem większego smutku. Był dla mnie tylko nieszczęśliwym starszym panem, który na własne życzenie zniszczył sobie życie.

Tęskniłem za to za Włodkiem, ale długo nie mogłem znaleźć czasu, by go odwiedzić. Wciąż pracowałem w „Rybitwie” — pod nowym kierownictwem ośrodek przeżywał swój renesans i w sezonie trudno było znaleźć chwilę, by się z niego wyrwać. Udało mi się to dopiero w październiku, ponad rok po tych wszystkich dramatycznych wydarzeniach. Wraz z Iloną odwiedziliśmy go na Krymie, gdzie przedstawił mi swoich dwóch kolejnych synów — uroczych bliźniaków. Łącznie miał już pięcioro dzieci. Spędziliśmy razem wspaniałe trzy tygodnie, a rok później udało nam się to powtórzyć.

Wciąż natomiast nie widziałem się z moim bratem. Bardzo chcę go odwiedzić, ale mieszka zbyt daleko. Kupił sobie ranczo w Meksyku i wraz z rodziną spokojnie czeka na uniewinniający wyrok, zażywając spacerów i wzmacniając serce. Jego sprawa trafia do coraz wyższych instancji, a zatrudnieni przez niego prawnicy wciąż obiecują, że już wkrótce będzie mógł wrócić do kraju. Tęsknię za nimi wszystkimi: za Michałem, Marysią, ich synami — Bartkiem i Olkiem — oraz moją matką, która poleciała tam za nimi. Mam nadzieję, że już niedługo wszyscy znów siądziemy przy jednym stole.

Od trzech lat, czyli praktycznie od chwili, gdy opadł kurz po tym wszystkim, co się stało, mieszkam z Iloną. Na razie nie bierzemy ze sobą ślubu, ale jest nam dobrze. Oboje pracujemy w „Rybitwie”, a nasze dzieci — Zenek i Oliwia — mimo różnicy wieku dobrze się ze sobą dogadują.

Kiedy wieczorami chodzę po pustym pomoście i patrzę wstecz na ostatnie lata, myślę sobie, że wszystko potoczyło się lepiej, niż mogłem się spodziewać. Felek — mój mentor z bartoszyckiej celi, świeć Panie nad jego duszą — upierał się kiedyś, że życie jest grą o sumie zerowej. I chyba rzeczywiście tak było. Los z nawiązką wynagradzał mi te wszystkie smutne chwile, które spędziłem za kratami. Od trzech lat byłem naprawdę szczęśliwy. I każdego dnia modliłem się, by to szczęście trwało jak najdłużej...

Od autora

Czytelniku! Jeżeli spojrzysz na mapę Warmii i Mazur, to nie odnajdziesz na niej Gęglówek i Mogielna. Ale obie te miejscowości istnieją, chociaż nazywają się zupełnie inaczej. W „Gęglówkach” rzeczywiście są dwa ośrodki wypoczynkowe, a „Mogielno” — chociaż na potrzeby fabuły nieco zmieniłem jego topografię — ma malowniczy rynek, stację kolejową i osiedle bloków z wielkiej płyty. Jeżeli chcesz się dowiedzieć, które miejscowości posłużyły mi jako pierwowzór Mogielna i Gęglówek, to zapraszam do poszukiwań. Mała wskazówka: szukaj między Ostródą a Szczytnem i między Nidzią a Olsztynem. I najlepiej nie na mapie, tylko... w terenie. Nie zawiedziesz się! To wyjątkowo piękny fragment Polski, leżący na pograniczu Warmii i Mazur, pokryty lasami i falującymi łąkami, wśród których lodowiec pozostawił po sobie głębokie rynny jezior. Mam stamtąd mnóstwo pięknych wspomnień.

Chciałbym podziękować pierwszym czytelnikom tego teks-tu, czyli — w kolejności — mojemu Tacie i mojej Żonie. Za celne uwagi i to, że zawsze mogłem liczyć na Wasze wsparcie. Mojej Żonie należą się także dodatkowe podziękowania: za to, że ze mną wytrzymuje, bo kiedy piszę, potrafię być tak rozkapryszony, jakbym rzeczywiście uprawiał sztukę przez wielkie S, a nie pisał kryminały. Kochanie, jesteś aniołem! Żadne słowa nie wyrażą tego, co do Ciebie czuję!

Nie mogę też nie wspomnieć o moich dwóch Maluszkach. Chociaż niemal codziennie wstaję o piątej rano, to dzięki Wam robię to z uśmiechem. Jesteście całym naszym światem.

Pragnąłbym także, by moje podziękowania przyjęli pracownicy Wydawnictwa Zysk i S-ka, z którym współpracuję. Chociaż nie spotkaliśmy się twarzą w twarz (siedziba Wydawnictwa jest w Poznaniu, a ja mieszkam w okolicach Warszawy), to staliście się ważną częścią mojego życia. Jestem bardzo wdzięczny za szansę, jaką od Was otrzymałem, i za Waszą ciężką pracę nad tekstem, który jest teraz o niebo lepszy niż zaraz po napisaniu.

Na koniec standardowa formuła, której wymagałby ode mnie zapewne mój prawnik — gdybym go miał. Wszystkie postaci i wydarzenia opisane w tej książce są wyłącznie wytworem mojej wyobraźni. Jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych postaci/wydarzeń jest zatem zupełnie przypadkowe.

A person is standing on a wooden deck, looking out over a lake at sunset. The sky is a mix of orange, yellow, and blue, with the sun low on the horizon. The water reflects the colors of the sky. In the background, there is a line of trees. The person's legs and feet are visible on the right side of the frame. Large, bold, yellow text is overlaid on the image.

**WOJCIECH
WÓJCIK**

**JEZIORO
PEŁNE
ŁEZ**